

Alvin TOFFLER

Trzecia fala

Przełożyła Ewa Woydyłło

Przedmowę opatrzył Wiktor Osiatyński

Państwowy Instytut Wydawniczy 1986

THE THIRD WAVE

© 1980 by Alvin Toffler

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985



Dla Heidi,

której przekonujące argumenty skłoniły mnie do napisania *Trzeciej fali*. Jej surowy i bezwzględny krytycyzm w stosunku do moich pomysłów oraz praca włożona w redakcję książki zostawiły na każdej stronie swój ślad. Jej udział w tworzeniu tej książki wykracza daleko poza to, co mógłby wnieść kolega, partner intelektualny, przyjaciel, ukochana kobieta i żona.

SPIS RZECZY

<i>SPIS RZECZY</i>	3
<i>PRZEDMOWA</i>	10
<i>NOTA OD WYDAWCY</i>	21
<i>WSTĘP</i>	25
<i>ZDERZENIE FAL</i>	31
<i>Rozdział I</i>	31
<i>SUPERWALKA</i>	31
<i>REWOLUCYJNA PRZESŁANKA</i>	33
<i>KRAWĘDŹ NATARCIA</i>	34
<i>FALE PRZYSZŁOŚCI</i>	36
<i>BOGACZE I MORDERCY</i>	38
<i>Rozdział II</i>	41
<i>ARCHITEKTURA CYWILIZACJI</i>	41
<i>GWALTOWNE ROZWIĄZANIA</i>	42
<i>ŻYWE BATERIE</i>	44
<i>BRZUCH TECHNOLOGICZNY</i>	45
<i>CYNOBROWA PAGODA</i>	46
<i>RUCHLIWSZA RODZINA</i>	47
<i>CZEGO NAPRAWDĘ UCZY SZKOŁA?</i>	48
<i>ISTOTY NIEŚMIERTELNE</i>	49
<i>FABRYKA MUZYKI</i>	50
<i>PAPIEROWY POTOP</i>	52
<i>Rozdział III</i>	55
<i>NIEWIDZIALNY KLIN</i>	56
<i>ZNACZENIE RYNKU</i>	58
<i>NIERÓWNOUPRAWNIENIE</i>	60

ROZDZIAŁ IV	64
ŁAMANIE SZYFRU	64
STANDARYZACJA	64
SPECJALIZACJA	67
SYNCHRONIZACJA	69
KONCENTRACJA	71
MAKSYMALIZACJA	72
CENTRALIZACJA	75
ROZDZIAŁ V	80
TECHNICY WŁADZY	80
INTEGRATORZY	80
INTEGRACYJNY MOTOR	82
PIRAMIDY WŁADZY	84
SUPERELITY	85
ROZDZIAŁ VI	87
WSPÓLNY SCHEMAT	87
MECHANOMANIA	88
PRZEDSTAWICIELSKI PAKIET	90
GLOBALNA FABRYKA PRAW	91
USPOKAJAJĄCY RYTUAŁ	93
Rozdział VII	96
INDUSTREALNOŚĆ	96
ZASADA POSTĘPU	97
OPROGRAMOWANIE CZASU	100
PRZESTRZEŃ W NOWEJ POSTACI	102
Z CZEGO SKŁADA SIĘ RZECZYWISTOŚĆ?	106
ODWIECZNE PYTANIE "DLACZEGO?"	109

ROZDZIAŁ VIII	113
KODA: NAGŁY PRZYPLÝW	113
Rozdział IX	123
NOWA SYNTEZA	123
Rozdział X	127
LOKOMOTYWY ROZWOJU	127
KU SŁOŃCU I DALEJ	127
PRZEMYSŁY NA JUTRO	134
BLIŻEJ KOSMOSU	137
PODOBÓJ GŁĘBI MORSKICH	139
PRZEMYSŁ GENETYCZNY	142
TECHNOREBELIANCI	145
Rozdział XI	151
ODMASOWIANIE ŚRODKÓW PRZEKAZU	151
SKŁADNICA WYOBRAŻEŃ	151
ODMASOWIONE ŚRODKI PRZEKAZU	154
KULTURA IMPULSÓW	161
Rozdział XII	165
INTELIĞENTNE ŚRODOWISKO	165
POTĘGOWANIE MÓZGU	169
PAMIĘĆ SPOŁECZNA	173
Rozdział XIII	176
ZMIERZCH PRODUKCJI MASOWEJ	176
CO KOT NAPŁAKAŁ I TRYKOTOWE BLUZECZKI	177
EFEKT SZYBKOŚCI	181
CZYŻBY ŚMIERĆ SEKRETARKI?	183
Rozdział XIV	191

WIOSKA ELEKTRONICZNA	191
PRACA DOMOWA	192
TELEKOMUNIKACJA ZAMIAST TRANSPORTU	196
SPOŁECZEŃSTWO ZORGANIZOWANE WOKÓŁ DOMU	201
Rozdział XV	205
RODZINY PRZYSZŁOŚCI	205
KAMPANIA NA RZECZ RODZINY NUKLEARNEJ	206
NIE-NUKLEARNE STYLE ŻYCIA	208
BEZDZIETNA KULTURA	210
"GORĄCE" ZWIĄZKI	213
COŚ WIĘCEJ NIŻ MIŁOŚĆ	215
KAMPANIA NA RZECZ PRACY NIELETNICH	216
RODZINA POSZERZONA ERY ELEKTRONICZNEJ	217
RODZICE - POD SĄD	219
UŁATWIĆ PRZEJŚCIE W JUTRO	220
Rozdział XVI	224
NOWY KODEKS POSTĘPOWANIA	224
INACZEJ NIŻ OD 9 DO 17	225
MOLOCH CIERPIĄCY NA BEZSENNOŚĆ	227
KOMPUTERMINARZ TOWARZYSKI'	230
KOMPUTERY I MARIHUANA	231
ODEJŚCIE OD STANDARYZACJI	234
NOWA MATRYCA	237
„MAŁE W DUŻYM" JEST PIĘKNE	242
ORGANIZACJA PRZYSZŁOŚCI	243
Rozdział XVII	246
PROSUMENT - KLIENT NOWEGO TYPU	246

NIEWIDZIALNA GOSPODARKA	247
OBŻARTUCHY I WDOWY	248
"OBSŁUŻ SIĘ SAM"	250
KONSUMENCI PROJEKTANTAMI	254
PROSUMPCYJNY STYL ŻYCIA	256
EKONOMIA TRZECIEJ FALI	260
KRES MARKETYZACJI	265
Rozdział XVIII	270
W WIRZE IDEI	270
NOWY OBRAZ NATURY	270
PROJEKTOWANIE EWOLUCJI	272
DRZEWO POSTĘPU	274
PRZYSZŁOŚĆ CZASU	276
WĘDRÓWKI W PRZESTRZENI	278
CAŁOŚCIOWOŚĆ I POŁOWICZNOŚĆ	281
KOSMICZNA SALA GIER	284
LEKCJA Z TERMITOW	287
Rozdział XIX	292
WIZJA GANDHIEGO Z SATELITAMI	292
STRATEGIA DRUGIEJ FALI	292
ROZPAD MODELU SUKCESU	294
STRATEGIA PIERWSZEJ FALI	296
DYLEMAT TRZECIEJ FALI	300
SŁOŃCE, KREWETKI I ELEKTRONIKA	301
PIERWOTNI PROSUMENCI	308
LINIA STARTOWA	311
Rozdział XX	313

KODA: WIELKI NURT	313
FUNDAMENTALIA JUTRA	314
NOWE POJĘCIE: "PRAKTOPIA"	321
NIEWŁĄSCIWE PYTANIE	322
ZAKOŃCZENIE	326
Rozdział XXI	326
NOWA PSYCHOSFERA	326
SZTURM NA SAMOTNOŚĆ	328
OD CZEGO ZACZAĆ?	330
"TELE-WIĘŹ"	333
NARKOMAŃSKA STRUKTURA	334
SEKRET KULTÓW	335
ORGANIZATORZY ŻYCIA I "PÓLKULTY"	337
Rozdział XXII	341
OSOBOWOŚĆ CZŁOWIEKA JUTRA	341
NOWE WARUNKI ROZWOJU CZŁOWIEKA	343
NOWY CZŁOWIEK PRACY	345
ETYKA PROSUMENTA	348
KONFIGURATYWNE "JA"	350
Rozdział XXIII	354
POLITYCZNE MAUZOLEUM	354
CZARNA DZIURA	354
PRYWATNE ARMIE	358
KOMPLEKS MESJASZA	361
W SIECI PROBLEMÓW	366
SPRZĘŻENIE PROBLEMÓW	367
TEMPO DECYZJI	368

<i>BRAK ZGODY I JEDNOŚCI</i>	369
<i>IMPLOZJA DECYZJI</i>	372
<i>Rozdział XXIV</i>	377
<i>DEMOKRACJA XXI WIEKU</i>	377
<i>WŁADZA MNIEJSZOŚCI</i>	380
<i>DEMOKRACJA NA WPÓŁ BEZPOŚREDNIA</i>	388
<i>DELEGACJA WŁADZY</i>	392
<i>ROZSZERZANIE ELIT</i>	396
<i>NADCHODZĄCA SUPERWALKA</i>	397
<i>NASZYM PRZEZNACZENIEM - TWORZYĆ</i>	401

PRZEDMOWA

Z pociągu jadącego z Nowego Jorku do Waszyngtonu widać opuszczone hale fabryczne, wysypiska żelastwa, starych samochodów i innego śmiecia, opustoszałe bocznicę kolejową i nabrzeża portowe. W okolicach Newark, Filadelfii czy Baltimore, tam gdzie jeszcze dwadzieścia lat temu było serce przemysłowej Ameryki, ogląda się dziś taki sam przygnębiający krajobraz.

Miasteczko Dayton w stanie Ohio ćwierć wieku temu przeżywało rozkwit. W Dayton produkowano opony do samochodów. Przed kilku laty blisko połowa mężczyzn w Dayton pozostawała bez pracy. Podobnie było w Detroit, gdzie opony z Dayton wykorzystywano do produkcji samochodów. I w Pittsburgu, i w Cleveland, i w Chicago. Niemal wszędzie, gdzie w żelazie i stali wykuto przemysłową potęgę Ameryki.

Kryzys. Kryzys gospodarczy. Kryzys społeczny. Kryzys szkolnictwa. Kryzys rodziny. Kryzys wszystkiego. Kryzys spędza sen z powiek bezrobotnemu i temu, kto nazajutrz może stać się bezrobotnym. Przedsiębiorcom, menedżerom i politykom. Demokraci mówią, że państwo musi odbudować przemysł i otoczyć opieką ofiary kryzysu. Republikanie mówią, że państwo powinno stworzyć jak najlepsze warunki prywatnej przedsiębiorczości, by ta z kolei mogła sama odbudować przemysł i dać pracę bezrobotnym. Spierając się o środki i metody, demokraci i republikanie mają taki sam cel - przywrócić żywotność i potęgę przemysłowej Ameryce. Tego samego pragną miliony Amerykanów.

A tymczasem Alvin Toffler mówi, żeby niczego nie odbudowywać ani nie przywracać. Żeby na przemysłową Amerykę po prostu machnąć ręką. Bo to, co widać z okien pociągu mijającego Baltimore, to nie są objawy zwykłego kryzysu. To właśnie umiera cywilizacja przemysłowa. I nie trzeba jej oplakiwać. Bo przecież na gruzach industrialnej Ameryki może powstać zupełnie nowe społeczeństwo.

Podstawą gospodarczą nowej cywilizacji będą zróżnicowane i odnawialne źródła energii, zasilające nowoczesne gałęzie przemysłu: mikroelektronikę i komputery, przemysł kosmiczny, przemysł biologiczny oraz genetyczny. Żaden z tych przemysłów nie będzie wymagał podobnych ilości energii, stali i żelazobetonu, rur i kabli, a także tych wszystkich środków transportu, co przemysłowa Ameryka.

W nowym społeczeństwie standardowa kultura masowa ustąpi miejsca odmasowionym i zróżnicowanym środkom wymiany informacji; każdy będzie mógł nadawać, a nie tylko odbierać informacje. Również standardowa produkcja identycznych towarów zostanie wyparta przez krótkie serie produktów wytwarzanych na życzenie klienta. Fabryka przestanie

być głównym ośrodkiem życia społecznego i wzorem dla innych instytucji. Dzięki komputerom nie trzeba będzie jeździć do pracy; będzie można pracować we własnym domu w porze dogodnej dla każdego. Przeniesienie pracy do domu spowoduje zmianę modelu rodziny oraz zacieśnienie więzi międzyludzkich w mniej płynnych społecznościach lokalnych.

Zmieni się cel ludzkiej pracy. Tylko część wysiłku człowieka będzie pochłaniać tworzenie dóbr i usług przeznaczonych na wymianę. Wiele potrzeb każdy będzie mógł zaspokajać sam. Zupełnie nowego znaczenia nabiorą takie pojęcia, jak czas pracy i czas wolny, dochód i bezrobocie, ubóstwo i dobrobyt.

Zmaleje znaczenie rynku, a wraz z tym podstawowej wartości rynkowej, czyli pieniądza. Dochody i zyski nie będą głównym celem ludzkich działań; wzrośnie ranga innych, pozaekonomicznych wartości.

Ludzie nie będą walczyć z naturą, ale żyć ze swym środowiskiem w harmonii. Powstanie nowa nauka; zmieni się rozumienie takich pojęć, jak czas i przestrzeń, materia i przyczynowość. Władzę elit przemysłowych zastąpi na wpół bezpośrednia demokracja, dopuszczająca do głosu nietrwałe koalicje zmieniających się mniejszości.

Spółeczeństwo przyszłości będzie bez porównania bardziej zróżnicowane niż obecne. I zarazem bardziej tolerancyjne wobec tych różnic. Będzie bardziej demokratyczne i bardziej odpowiedzialne za przyszłość. Słowem, będzie to społeczeństwo, w jakim chciałoby się żyć. Po cóż więc podnosić z gruzów przemysłową Amerykę?

Bliższą wizję tego społeczeństwa przyszłości oraz prowadzących ku niemu już dzisiaj przemian zawiera *Trzecia fala* Alvina Tofflera, autora znanego polskim czytelnikom z *Szoku przyszłości* (1975) i *Ekospazmu* (1977), a także z licznych rozmów, wywiadów i spotkań w różnych środowiskach podczas jego pobytu w Polsce wiosną 1976 roku.

Rok przedtem, niedługo po ukazaniu się polskiego przekładu *Szoku przyszłości*, poprosiłem Tofflera o rozmowę dla tygodnika „Kultura”. Zaprosił mnie do swego nowojorskiego mieszkania. Ruchoma ściana oddziela tam część mieszkalną od biurowej. Wszędzie białe. Białe blaty do pracy, białe stoliki, na których stoją komputery do pisania. Wszędzie, zarówno w części biurowej, jak i mieszkalnej, białe półki, a na nich książki. Tysiące książek - od podłogi po sufit.

Toffler uprzedził, że może mi poświęcić półtorej godziny. Po zakończeniu wywiadu powiedział, że teraz sam chciałby mnie o coś zapytać. I pytał przez pięć godzin. O to, jak ludzie w Polsce żyją i jak pracują? Na którą i jak jeżdżą do pracy, i co jedzą na śniadanie? Jak spędzają wolny czas ci, którzy pozostali na wsi? Ile jest programów radiowych i

telewizyjnych? Ile gazet centralnych, a ile lokalnych? I tak dalej.

Nigdy przedtem ani potem nie spotkałem człowieka tak pełnego ciekawości. Kogoś, kto chciałby nie tylko potwierdzić to, co i tak już wie, ale naprawdę dowiedzieć się czegoś, czego nie wie. I o tym, że nie wie, mówi wprost.

Ciekawość, otwartość na wszystko, co nowe i odmienne - to chyba główna cecha Tofflera, chociaż bywa ona ukryta pod pozorem pewnej twardości i nieprzystępności. Mówi bardzo pewnie i głośno. Potrafi być brutalnie szczery. Ale tej szczerości towarzyszy oczekiwanie takiej samej szczerości wobec niego oraz tolerancja wobec każdego, najbardziej nawet krytycznego poglądu. I gotowość do zmiany własnych przekonań. Jesienią 1983 roku rozmawiałem z Tofflerami o potrzebie więzi z innymi oraz o zagrożeniach, jakie niesie ze sobą samotność i izolacja od ludzi. Toffler zamyślił się i zwrócił się do żony ze słowami: „To może cała nasza idea pracy w domu jest błędna?”

Toffler ceni ideę pracy w domu, bo sam tak pracuje i jest mu z tym dobrze. Nie lubi jednak izolacji. Niechętnie jeździ do domu na wsi, półtorej godziny od Nowego Jorku. Tego domu - też urządzonego na biało, też wypełnionego książkami i komputerami, położonego w olbrzymim parku na wzgórzach, z własnym basenem i stawem - pozazdrościłby Tofflerom każdy. Ale Toffler go nie lubi. On kocha miasto. Takie jak Nowy Jork albo Londyn, gdzie zawsze można spotkać się z kimś znajomym, gdzie o każdej porze dnia i nocy można pójść do kina lub do księgarni czy coś zjeść. Toffler niemal nigdy nie jada w domu. Nawet na kawę lub herbatę wychodzi do restauracji. Zawsze z książką.

Kiedy pierwszy raz wszedłem do mieszkania Tofflerów, spojrzawszy na półki z książkami, pomyślałem: „Życia nie starczyłoby, żeby to wszystko przeczytać.” Ale kiedyś, przeglądając u niego setki książek potrzebnych mi do jakiejś bibliografii, w każdej widziałem podkreślenia i uwagi na marginesach. Toffler przeczytał wszystkie swoje książki.

Obok książek pociągają Tofflera interesujące rozmowy i dyskusje. Chętnie widzi u siebie każdego, z kim mógłby porozmawiać. Jeszcze bardziej niż stymulacji, jakiej dostarczają mu lektury, Toffler potrzebuje kontroli, ponieważ ma on zbyt wiele pomysłów i musi je starannie przesiewać. A do tego jest potrzebny umysł drugiego człowieka.

Na co dzień nad pomysłami Tofflera czuwa jego żona, Heidi. Równie odczytana jak Alvin i równie aktywna intelektualnie. Nie zdominowana przez sławnego męża, Heidi zawsze usiłuje skierować jego myśli na taki tor, który najbardziej odpowiada jej umysłowości. Współpracuje z Alvinem przy planowaniu jego prac i przy zbieraniu materiałów. Dzieli się niedostępnymi mu własnymi doświadczeniami kobiety. Uważnie czyta i krytykuje wszystko, co Toffler pisze. Czasem, gdy żona dyskutuje z nim zbyt zaciekle i uparcie, albo gdy za bardzo wtrąca

się w jego myśli i pracę, Toffler ma tego dość i mówi, żeby Heidi sama napisała swoją własną książkę. Heidi interesuje się zmianami w osobowości człowieka, zebrała na ten temat sporo materiałów i kiedyś rzeczywiście postanowiła samodzielnie napisać o tym książkę. A wtedy Toffler naprawdę się przeraził. Bo wątpi, czy bez udziału Heidi w ogóle mógłby sam pracować. A pracę lubi jeszcze bardziej niż kino, księgarnię czy interesującą rozmowę.

Toffler nie tylko pisze książki, artykuły i wstępy do cudzych książek. Spieszy z pomocą każdemu, kogo uważa za swego intelektualnego partnera. Starannie przygotowuje wystąpienia publiczne. Przed kilku laty zrobił film zatytułowany *Trzecia fala*, którego był współproducentem, scenarzystą, reżyserem i w którym wystąpił jako narrator (Heidi była dyrektorką produkcji filmu).

Toffler pracuje dosłownie wszędzie. W mieszkaniu w Nowym Jorku, i w domu, który ma w Londynie. W kawiarni i w taksówce. Ostatnio najczęściej pracuje w hotelach i w samolotach. Kilkakrotnie więcej czasu spędza w podróżach niż w domu. Jeździ po świecie i po całej Ameryce. Śniadanie w Chicago, wykład i lunch w Atlancie, a wieczorem odczyt w Los Angeles czy w San Francisco to dla Tofflerów coś zupełnie naturalnego.

W czerwcu 1983 roku pojechaliśmy z polską tłumaczką *Trzeciej fali* do stolicy Kalifornii, Sacramento, na wykład Tofflera. Miał się on odbyć w miejscowym Civic Center, czyli ośrodku kulturalno-rozrywkowym. Zapytaliśmy jedną z osób stojącą w kolejce do kasy, gdzie jest spotkanie z Tofflerem. Okazało się, że nie była to, jak sądziliśmy, kolejka do kina, ale po bilety na odczyt Tofflera. Bilety, po 12 dolarów, były droższe niż na najlepszy film, a mimo to w sali mieszczącej kilka tysięcy ludzi nie było wolnych miejsc.

Toffler jest dziś chyba najpopularniejszym autorem książek na tematy społeczne w Ameryce. Przynajmniej od czasu, gdy łączne nakłady *Szoku przyszłości* w ponad trzydziestu językach przekroczyły 10 milionów egzemplarzy. Takiego sukcesu nie odniosła żadna książka socjologiczna na całym Zachodzie. Tej popularności i nakładów zazdroszczą Tofflerowi futurologi amerykańscy z uznanych ośrodków naukowych. Jeszcze bardziej zazdroszczą mu sposobu myślenia, zdolności widzenia zjawisk w ich wzajemnych związkach, tworzenia syntez obejmujących rozległe przestrzenie i długie epoki, wrywania się z niewoli dzisiejszych pojęć i stereotypów oraz wypatrywania jakościowo nowej przyszłości. Żadnemu uczonemu futurologowi nie udało się, jak dotąd, wykroczyć poza ograniczenia epoki przemysłowej. Ale uczeni niemal z reguły nie powołują się na Tofflera, nawet gdy zajmują się tym, o czym on sam pisał jako pierwszy na świecie. Ignorują go albo nazywają "żurnalistą". Z początku denerwowało to Tofflera, ale z czasem przestało mu zależeć na uznaniu ze strony świata akademickiego. Woli wygłaszać odczyty dla zwykłych czytelników.

A już naprawdę fascynują go spotkania z premierem Chin czy Japonii albo z prezydentem Ceausescu, który kiedyś przez siedem godzin wypytywał Tofflera o przyszłość. A także odczyty w Kongresie i Białym Domu albo podczas zjazdów wielkich partii i organizacji politycznych.

Tofflera interesują bowiem najbardziej dwie sprawy. Jedną to informatyka, komputery i nowoczesne technologie. Cieszy się jak dziecko, gdy przynosi do domu jakiś nowy gadżet na baterię słoneczną. Jest zafascynowany, gdy ogląda nowy typ sieci komputerowej, w której bank informacji nie znajduje się w centrum, lecz na obwodzie. Wypytyując o szczegóły takiej sieci dopatruje się nowych możliwości demokratyzacji dostępu do informacji, ukrytych w postępie informatyki.

Drugą sprawą, która interesuje Tofflera, jest podejmowanie decyzji społecznych, czyli władza. Bo chciałby, żeby informatyka, komputery i nowoczesne gadżety służyły ludziom.

Wie, że nowa fala cywilizacji stwarza niezwykle możliwości, ale boi się, że możliwości te mogą zostać zaprzepaszczone. Zdaje sobie sprawę, jak bardzo trzecia fala zmian zagraża interesom najpotężniejszych elit politycznych i gospodarczych świata przemysłowego, a przecież opór tych elit wobec zmian może grozić katastrofą. Dobrze rozumie, że wszelkie zmiany musi poprzedzać wola polityczna dokonania - lub przynajmniej zaakceptowania - tych zmian.

I właśnie dlatego jeździ z wykładami, udziela setek wywiadów, próbuje przekonać polityków, a nawet dokłada znaczne sumy do filmów, które sam robi. Bo w gruncie rzeczy Toffler nie całkiem wierzy w to, że ludzkość wykorzysta szansę, jaką stwarza cywilizacja trzeciej fali.

Też w to nie wierzyłem. Kilka lat temu, gdy po raz pierwszy czytałem *Trzecią falę*, najsilniej przemówiła do mnie analiza epoki przemysłowej. "Toffler wzblił się wyobraźnią wysoko - ponad teraźniejszość i stamtąd popatrzył na nas samych - mawiałem. - Zobaczyl, gdzie jestešmy, jacy jestešmy i dlaczego jestešmy tacy, a nie inni." Ukazanie, w jaki sposób uprzemysłowienie wpłynęło na życie ludzkie oraz uformowało większość naszych rzekomo odwiecznych przekonań i zachowań, postaw i praw - wydawało mi się największą zaletą książki Tofflera. Sceptyczny byłem natomiast wobec zarysowanej przez niego wizji nowego, nieprzemysłowego, społeczeństwa.

Ten sceptycyzm utrzymywał się także wówczas, gdy z bliska oglądałem kryzys cywilizacji przemysłowej w Ameryce. A nawet gdy naocznie mogłem się przekonać, jak wiele rzeczy i zjawisk, które Toffler przewidywał w 1980 roku, urzeczywistniły się już dzisiaj.

W biurach i mieszkaniach amerykańskich dziennikarzy, naukowców czy prawników

widywałem skomputeryzowane maszyny do pisania podłączone do banków informacji oraz do poczt komputerowych. Dzięki takiej maszynie waszyngtoński korespondent tygodnika "Time" może pracować o dowolnej porze we własnym domu, przysyłając wydrukowany artykuł do redakcji w Nowym Jorku, a następnie poprawiać go, zmieniać i wspólnie z redaktorem opracowywać ostateczną wersję. Naukowiec z Minneapolis może czytać na ekranie u siebie w domu książki znajdujące się w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie, a prawnik może "zapytać" komputer o wszelkie precedensy w sprawie, którą akurat prowadzi.

W wielu domach amerykańskich oglądałem telewizję przewodową, coraz częściej dopuszczającą do głosu samych widzów, a także przystawki do zapisu wideofonicznego, umożliwiające równoczesne oglądanie jednego programu i nagrywanie innych, nadawanych w tym samym czasie na drugim, piątym czy czterdziestym trzecim kanale. Widziałem, jak miejsce domów towarowych - oferujących tysiące identycznych produktów - powoli zajmują zgromadzone w wielkim centrum handlowym małe sklepiki, sprzedające krótkie serie zróżnicowanych artykułów, i to nie tylko odzieży czy sprzętu elektronicznego, ale także żywności. Telefonując do wydawnictw książek i czasopism, do instytutów naukowych i wielu innych przedsiębiorstw dowiadywałem się, że właśnie przeniosły się one do jakichś zapadłych do niedawna dziur, gdzie koszty własne są wielokrotnie niższe, a dzięki nowoczesnym systemom komunikacji można robić dokładnie to samo, co w Nowym Jorku czy w Bostonie.

Widziałem rozwój "prosumpcji", czyli produkcji na użytek własny. Wielu moich amerykańskich kolegów nabywało materiały, części i urządzenia, które umożliwiały im samodzielne zmontowanie samochodu lub komputera czy budowę domu. Inni eksperymentowali z coraz to nowymi formami mniej lub bardziej trwałych związków rodzinnych, nie ukrywając się przed ludźmi i nie wstydząc się swojej odmienności. W życiu publicznym - zarówno w skali całego społeczeństwa, jak i małych społeczności lokalnych - widziałem rozpadanie się jednorodnych do niedawna mas robotników czy drobnych przedsiębiorców, członków tak zwanych warstw średnich lub ich żon, urzędników czy studentów - na tysiące mniejszych grup o wyraźnej tożsamości i poczuciu wspólnych celów. Słowem, widziałem postępujące odmasowienie społeczeństwa amerykańskiego, jego gospodarki, kultury i obyczajów.

Ale mimo to nie wierzyłem w zmiany, które zapowiadał Toffler w *Trzeciej fali*. On sam, zdając sobie sprawę, że zmiany, jakie umożliwi nowoczesna technologia, spowodują opór elit przemysłowego świata drugiej fali, pokłada nadzieję w nowych formach demokracji, dzięki którym można będzie przewyciężyć opór elit i utworować drogę społeczeństwu trzeciej

fali. I właśnie co do tego miałem najwięcej wątpliwości. Nie wierzyłem, że zmianom technologii będą towarzyszyć równie głębokie zmiany w ludzkich umysłach i postawach, bez których sama demokratyczna większość nie zaakceptuje trzeciej fali. Nie wierzyłem, że ludzie wyrzekną się egoizmu i pragnienia nieustannego pomnażania bogactw. Że przestaną wierzyć w to, czego dotąd nawet nie próbowali kwestionować. Że staną się bardziej otwarci i tolerancyjni.

Owszem, czytywałem książki i słuchałem ludzi rzucających wyzwania tradycyjnym wartościom. Nawołujących do poniechania egoizmu, do wypisywania się z wyścigu o sukces materialny, do większej tolerancji oraz do odkrywania ukrytych możliwości człowieka. Ale głosy te zdawały się ginąć w ofensywie konserwatyzmu, widocznego zwłaszcza w polityce, w masowych środkach przekazu, a nawet w elitarnej kulturze amerykańskiej.

Z czasem jednak, coraz bliżej obcując z Amerykanami, zauważałem różnicę między ich obecnymi postawami a tymi, jakie pamiętałem sprzed ośmiu laty. Najkrócej mówiąc, Amerykanie zaczęli coraz powszechniej wątpić w to, co wmawiały im środki przekazu i reklama, cała kultura masowa. I jakby stracili pewność siebie. Dawniej wszystko wiedzieli najlepiej. Ich własne zasady i metody działania wydawały im się panaceum na wszelkie bolączki całego świata. "Gdyby tylko inni zechcieli przyjąć nasze wartości i nasze rozwiązania, byłiby szczęśliwi" - myśleli Amerykanie. Ale myśleli tak tylko do czasu, gdy bezgranicznie wierzyli, że posiadane przez nich bogactwo jest kluczem do szczęścia. Dziś widzą, że tak nie jest. Nie pragną bynajmniej wyzbyć się bogactw i rzeczy, ale dziś chcą czegoś więcej niż samych tylko rzeczy. Zazdroszczą innym, którzy nie posiadają tych wszystkich dóbr, ale za to żyją w większej harmonii ze środowiskiem, z innymi ludźmi i z samymi sobą. W efekcie Amerykanie stają się bardziej sceptyczni wobec swych tradycyjnych wartości, bardziej otwarci na innych i przede wszystkim - bardziej tolerancyjni.

Kiedy uświadomiłem sobie, że tego rodzaju postawy coraz bardziej się upowszechniają w dzisiejszej Ameryce, pomyślałem, że obecna fala konserwatyzmu może być reakcją obronną sił dawnego porządku, przeczuwających swój kres. I byłem już trochę mniej sceptyczny, co do możliwości stworzenia społeczeństwa trzeciej fali w Ameryce.

Nie wierzę natomiast w to, że ogarnia ona cały świat. Toffler uważa, że społeczeństwo trzeciej fali będzie miało dużo więcej wspólnego z rolniczym społeczeństwem pierwszej fali, niż każde z nich z przemysłowym sposobem życia i produkcji w epoce drugiej fali. Toteż zamiast przechodzić przez cały klasyczny proces uprzemysłowienia, kraje słabo rozwinięte powinny od razu dokonać skoku do trzeciej fali.

Osobiście wątpię, czy to jest możliwe. Obawiam się nawet, że wraz ze wzbieraniem

trzeciej fali w krajach najwyżej rozwiniętych luka między nimi a społeczeństwami, które zostaną w tyle, zmieni się w przepaść nie do przebycia.

Być może technologia rzeczywiście stwarza opisane przez Tofflera możliwości "połączenia sierpu z komputerem". Ale ani technologia, ani stworzone przez nią możliwości same przez się o niczym nie przesądają. Kluczem do wszelkich zmian społecznych zawsze były mechanizmy polityczne.

W Stanach Zjednoczonych dostęp do technologii oraz kanałów informacji od początku był ograniczony przede wszystkim pieniędzmi. Ten, kto je zgromadził, mógł budować fabryki, wpływać na innych przez wszelkie dostępne mu środki przekazu i reklamy, kontrolować instytucje polityczne, słowem - sprawować władzę. W czasach przemysłowych takich ludzi była garstka.

Dziś dostęp do środków informacji oraz do najnowocześniejszych technologii, dzięki którym człowiek może stać się względnie niezależnym wytwórcą, tanieje, a ludzie się bogacą. Nawet niewielka grupka ludzi o wspólnych celach może się zjednoczyć, zdobyć niezależność i zyskiwać wpływy. A obecne potęgi - rządy, korporacje, uniwersytety, grupy nacisku czy nawet mityczne większości demokratyczne - z coraz większym trudem mogą ograniczać te wpływy lub niezgodną z ich interesem działalność małych grup. I chociaż przyszłość całych społeczeństw będzie w rękach ludzi wymyślających i wytwarzających nowoczesne technologie, to przecież egzystencja wytwórców tych technologii będzie z kolei uzależniona od dostarczania zwykłym ludziom technik, pozwalających każdemu obywatelowi uzyskać pewną niezależność jako producent rzeczy lub symboli. Toteż w krajach, w których niemal każdy może uzyskać dostęp do technologii oraz do kanałów informacji, trzecia fala rzeczywiście może, choć wcale nie musi, zwyciężyć.

Inaczej w reszcie świata. Tam, gdzie bardzo nieliczni mają bardzo wiele, a pozostali nie mają dosłownie nic. Albo tam, gdzie większość ma już trochę, ale potężna mniejszość skutecznie strzeże dostępu do technologii i informacji. Kto tam kupi komputer czy choćby najprostszą kpiarkę? I za co? Kto da biednym krajom nowoczesną technologię i pieniądze? A jeśli nawet ktoś da, to kto je w tych krajach dostanie? Kto z nich będzie korzystał i w jakich celach?

Niedawna historia nie skłania do optymistycznych odpowiedzi na te pytania. Wszak rewolucja przemysłowa, czyli - według terminologii Tofflera - druga fala przeobrażeń, nawet w swym najwyższym punkcie nie ogarnęła całego świata. W większości krajów druga fala - a więc urbanizacja i przemysł, finanse i usługi, masowe środki przekazu i mentalność industrialna, a także formalne instytucje demokracji przedstawicielskiej - objęły jedynie

garstkę ludzi: lokalne elity, które zintegrowały się ze światowymi elitami przemysłowymi i wykorzystwały technologie drugiej fali do umocnienia swej władzy nad własnymi społeczeństwami.

Obawiam się, że podobnie może być z trzecią falą. Że w większości krajów najnowsze technologie i środki wymiany informacji zostaną zmonopolizowane w rękach obecnych elit, które wykorzystają je w celu zwiększenia swej zamożności i umocnienia władzy. Słowem, obawiam się, że bez radykalnych zmian społecznych i obalenia dzisiejszych elit świat nie przyjmie trzeciej fali, a w większej części dzisiejszego świata nie dostrzegam sił zdolnych do przeprowadzenia takiej rewolucji.

Jeżeli obawy te nie są bezpodstawne, to może nas czekać jednoczesny błyskawiczny rozwój społeczeństw trzeciej fali i stagnacja tych, w których istnieją inne niż pieniądź ograniczenia dostępu do technologii i informacji. W ostateczności może to doprowadzić nawet do utraty możliwości kontaktu i porozumienia między ludźmi, którzy będą należeć do całkowicie odmiennych cywilizacji technicznych.

Warunkiem wszelkiego ludzkiego porozumienia jest wspólnota pojęć. Mogą one inaczej brzmieć w odmiennych językach, ale muszą być przetłumaczalne. To z kolei zależy od podobieństwa środowisk, w jakich ludzie żyją. Warunki życia i pracy tworzą zespół odniesień, przesądzają o sposobie poznawania i rozumienia świata, który z kolei wyraża się w pojęciach przekazywanych przez kulturę.

W społeczeństwach rolniczych przekazy kulturowe były bardzo szczegółowe i znacznie różniły się od siebie. Ale warunki, z jakich wyrastały, wszędzie były mniej więcej podobne. Toteż w przypadku bliskiego kontaktu ze sobą dwóch odmiennych kultur - możliwe było wcześniejsze czy późniejsze wymieszanie się kultur i ludów. Siła tradycji i kultury utrudniała natomiast krzyżowanie się ze sobą pojedynczych przedstawicieli odmiennych ludów. To stało się możliwe na szerszą skalę dopiero w okresie uprzemysłowienia.

Uprzemysłowienie rozbijało bowiem tradycyjne kultury lokalne i wrywało co aktywniejsze jednostki z tych kultur. Przenosiło je do miast i tam rzucało w nowe warunki społeczeństwa przemysłowego. Te były wszędzie niemal identyczne. Wszędzie ludzie podobnie żyli, podobnie pracowali, podobnie patrzyli na świat. Podobne też były, wyrosłe w tych warunkach, formy kultury masowej i rozrywki. W efekcie, ludzie przemysłowi z całego świata mogli się ze sobą porozumiewać łatwiej niż kiedykolwiek przedtem. Dzięki tejże wspólnocie odniesień i pojęć ludzie przemysłowi mogli się ze sobą spierać, bo nawet gdy spory te dotyczyły zupełnie odmiennych systemów wartości, to przecież u ich podstaw leżała ta sama przemysłowa mentalność.

W przyszłości może być inaczej. Jeżeli trzecia fala rzeczywiście przyniesie ze sobą tak głębokie i powszechne zmiany w sposobie życia, w poznawaniu świata oraz w całej mentalności człowieka, jak to przewiduje Toffler, wówczas może być coraz trudniej o wspólny język i porozumienie. Czy jakkolwiek tłumacz zdoła przełożyć pojęcia ukształtowane w "wiosce elektronicznej", w inteligentnym - mówiącym i słyszącym - środowisku fizycznym na takie, które będą zrozumiałe dla ludzi żyjących w zupełnie innych warunkach? Czy poza najbardziej elementarnymi potrzebami biologicznymi obrazy świata różnych ludzi będą w ogóle miały ze sobą coś wspólnego?

W Ameryce widywałem kilkuletnie dzieci moich przyjaciół nie znające tabliczki mnożenia, ale potrafiące zaprogramować domowy komputer na tysiące możliwości, które niekiedy nawet nie przychodziły do głowy samym konstruktorem komputerów.

Zastanawiałem się także, czy *Trzecia fala* nie jest dla nas, tu w Polsce, książką z innej planety. Co mogą mieć wspólnego rozważania na temat mikroelektronicznego społeczeństwa trzeciej fali z problemami kraju, który boleśnie walczy o to, by w ogóle utrzymać się na powierzchni drugiej fali?

Książka Tofflera nie może, co prawda, zaoferować nam konkretnych metod przezwyciężenia kryzysu, w jakim się znajdujemy, ale może nam pomóc w szukaniu odpowiedzi na jeszcze ważniejsze pytania: Po co przezwyciężać kryzys? Dokąd zmierzać?

Jak wspomniałem, *Trzecia fala* jest nie tylko frapującym spojrzeniem w przyszłość, ale także spojrzeniem z perspektywy zarysowującej się przyszłości - na teraźniejszość. Epoka industrializmu jawi się w książce Tofflera jako swego rodzaju okres przejściowy, dzielący - a może raczej łączący bardziej naturalny dla człowieka rolniczy sposób życia, pełen jednak zagrożeń, znoju i niedogodności, od nowej, również "naturalnej", ale tym razem już wolnej od tych dolegliwości, "wysokiej technologicznej, ale nie przemysłowej" cywilizacji.

Takie spojrzenie na miejsce industrializmu w dziejach wydaje się bezcennym darem dla nas właśnie dzisiaj, gdy przeżywamy głęboki kryzys społeczeństwa przemysłowego. Gdy chcemy wyjść z kryzysu, ale przy ograniczonych środkach musimy wybierać, co naprawiać najpierw; przewartościowywać cele i kierunki działania. *Trzecia fala* pomaga zastanowić się nad tym, które z tych celów mogą okazać się warte długofalowych starań, a które są przejściowym wymogiem albo przelotnym mirażem epizodu przemysłowego. Może nie warto poświęcać energii i zasobów na to wszystko, co można zastąpić technologiami przyszłości? Może uznać "prosumpcję" za celową i świadomą strategię rozwoju gospodarczego i społecznego? Może nie poszukiwać złudnej i z konieczności sztucznej "woli narodu", ale uczyć się godzić ze sobą rozbieżne interesy różnych grup społecznych? Może zacząć tę lekcję

demokracji nie od wielkich organizacji i ruchów masowych, ale od niezależnych wspólnot lokalnych? Może w każdej sprawie raczej patrzeć w przyszłość niż ożywiać niespełnione marzenia z niedawnej przeszłości?

Na takie pytania, które stawia w umyśle każdego czytelnika książka Tofflera, trzeba pilnie poszukiwać odpowiedzi. Choćby po to, by nasze dzieci i wnuki mogły się jednak porozumieć z ludźmi trzeciej fali.

Wiktor Osiatyński

NOTA OD WYDAWCY

Objętość *Trzeciej fali* znacznie przekraczała techniczne możliwości druku w serii Biblioteka Myśli Współczesnej, dlatego też w polskim wydaniu zostały pominięte - za zgodą Autora - cztery rozdziały książki oraz szczegółowe przypisy i bibliografia, znajdujące się w amerykańskim oryginale. Pragnąc zrekompensować Czytelnikom tę stratę i zaznajomić ich z całością wywodów Tofflera, zamieszczamy krótkie streszczenie pominiętych rozdziałów.

Rozdziały VII i VIII oryginału (następujące po VI rozdziale niniejszego wydania) dotyczą powstawania państw narodowych oraz tendencji imperialistycznych w epoce przemysłowej. Zdaniem Tofflera, industrializm wymagał nie tylko integracji ekonomicznej, ale również politycznej. Jednostki władzy politycznej musiały bowiem pokrywać się z poszerzonym zakresem działalności gospodarczej przemysłu. Stąd uprzemysłowieniu towarzyszył nacjonalizm, czyli - w rozumieniu Tofflera - dążenie do tworzenia państw narodowych. Po to bowiem, by nowoczesne technologie opłacały się, dotychczasowe lokalne jednostki gospodarcze musiały zostać połączone w większe gospodarki narodowe. "U podstaw narodu - pisze Toffler - leżał znany imperatyw industrializmu: dążenie do integracji."

Dążenie to miało zresztą charakter ponadnarodowy, stąd charakterystyczny dla industrializmu wszelkiej maści imperializm. Został on tak dalece wbudowany w strukturę industrializmu, że właśnie od imperializmu stało się zależne powodzenie krajów przemysłowych, a nawet poziom życia zwykłych robotników. Wykorzystując nierówność pozycji startowych w "wolnej" konkurencji oraz narzucając krajom nieuprzemysłowionym krzywdzące je "prawo pierwszej ceny", cywilizacja przemysłowa dokonała wielkiego skoku kosztem trzeciego świata. W każdym razie bez imperializmu kraje przemysłowe byłyby pod względem stopy życiowej o trzydzieści lub więcej lat w tyle - konkluduje swoje rozważania na ten temat Toffler.

W rozdziale XVIII oryginału (następującym po rozdziale XV polskiego wydania) Toffler pisze o zmianach zachodzących we współczesnych korporacjach przemysłowych. Kryzys korporacji wynika po części z faktu, że menedżerowie, wychowywani i kształceni w sposób charakterystyczny dla cywilizacji przemysłowej, nie mogą zrozumieć zmieniającego się świata i znaleźć dla siebie w nim miejsca. Przyzwyczajeni do standaryzacji produkcji i konsumpcji, są bezradni w obliczu rosnącej różnorodności potrzeb, wartości i stylów życia w odmasowionym społeczeństwie trzeciej fali.

Jednocześnie coraz powszechniejszy staje się ruch zmierzający do zasadniczego przededefiniowania celów nowoczesnej korporacji. Zarzuty pod adresem wielkich

przedsiębiorstw są przy tym zupełnie inne niż kilka lat temu, kiedy to wciąż jeszcze traktowano korporację przede wszystkim jako jednostkę gospodarczą i jeśli ją krytykowano, to za niepowodzenia gospodarcze. Teraz coraz częściej poddaje się krytyce samą koncepcję korporacji, polegającą na sztucznym oddzieleniu sfery gospodarczej z jednej strony oraz polityki, etyki i innych wymiarów życia z drugiej strony.

"Trzecia fala niesie bowiem ze sobą rosnące żądania utworzenia zupełnie nowego rodzaju instytucji" - pisze Toffler. "Korporacji, która będzie odpowiedzialna już nie tylko za dostarczanie zysków lub produkowanie dóbr, ale również za rozwiązywanie niezwykle złożonych problemów ekologicznych, moralnych, politycznych, rasowych, seksualnych i społecznych."

Żądaniom tym sprzyja zresztą konieczność, bo pogarszające się warunki biosfery same przez się coraz częściej zmuszają korporacje do większej troski o środowisko. W ostateczności, w społeczeństwie trzeciej fali może powstać zupełnie nowy model "wielozadaniowej" korporacji, która będzie dbała o poprawę jakości życia, o zwiększanie równości społecznej, a nawet o jak najlepsze wykorzystanie ukrytych możliwości człowieka.

W rozdziale XXII (następującym po rozdziale XVIII niniejszego wydania) Toffler powraca do problemu państw narodowych. Wraz z nadejściem trzeciej fali państwo narodowe jest podmywane z dwu stron. Od środka państwo osłabiają dążenia do autonomii, wysuwane przez różnorodne grupy lokalne, regionalne, kulturowe, etniczne czy religijne. Rządy państw narodowych z konieczności muszą stosować zuniformizowane w skali całego kraju metody działania, nie mogąc uwzględniać zróżnicowanych potrzeb; stąd coraz liczniejsze konflikty, napięcia i ruchy separatystyczne.

Jednocześnie nowoczesne technologie i środki komunikacji tworzą "ponadnarodową sieć" zależności, kontaktów i opinii, która rozmywa państwo narodowe od zewnątrz. Agencje i organizacje ponadnarodowe przechwytyją prerogatywy państw narodowych, a ludzie zatrudnieni w "ponadnarodowej sieci" i powiązani z nią wytwarzają nową "planetarną świadomość" - wszędzie taką samą, niezależnie od warunków państwowych i tradycji narodowych.

Nie oznacza to jednak, by "sieć ponadnarodowa" miała stworzyć jeszcze bardziej zuniformizowany sposób życia. Także i w tej dziedzinie raczej należy oczekiwać - zdaniem Tofflera - coraz większych zróżnicowań i zwiększania się pluralizmu.

Na rozdziałach tych wyraźnie zaważyła "amerykańska" perspektywa Tofflera i uniwersalizowanie osobliwie amerykańskich doświadczeń. Istotnie bowiem w Ameryce po wojnie domowej proces formowania się narodu z mieszaniny ludzi z różnych regionów, grup

etnicznych i sekt religijnych pokrywał się z procesem konsolidacji industrializmu w skali całego kontynentu. Jednakże nawet w przypadku Stanów Zjednoczonych nie można jednoznacznie twierdzić, że uprzemysłowienie było jedyną bądź główną przyczyną powstawania narodu.

Istniały również obustronne związki między uprzemysłowieniem (czy raczej - rewolucjami burżuazyjnymi?) a kształtowaniem się nowoczesnych narodów w Europie. Z całą jednak pewnością świadomość narodowa w XIX-wiecznej Europie rozwijała się nie tylko pod wpływem uprzemysłowienia. Gdyby tak było, gdyby - jak pisze Toffler - "jednostki polityczne powstały po to, by dopasować się do jednostek gospodarczych", to w pozbawionych ceł Austro-Węgrzech nie powinno było być narodowych ruchów odśrodkowych. Gdyby o istnieniu narodów przesądzały jedynie wymogi koncentracji ekonomicznej, to w XIX wieku przestałyby zapewne istnieć narody skolonizowane przez Austro-Węgry, Rosję czy Prusy. Istniały tam przecież warunki do wielkich, ponadnarodowych systemów integracji gospodarczej. A właśnie w takich warunkach najsilniej rozwijała się świadomość narodowa.

Podobnym uproszczeniem wydaje się sprowadzanie dzisiejszych ruchów separatystycznych w państwach narodowych jedynie do konfliktu technologii drugiej i trzeciej fali. Nie jest wykluczone, że obecnie zmienia się sam sposób rozumienia narodu, zmieniają się formy i charakter lojalności oraz poczucie tożsamości narodowej, ale w zmianach tych technologia ma prawdopodobnie mniejsze znaczenie niż choćby poczucie eksploatacji, bezsilności czy też - skądinąd świetnie opisanej przez Tofflera - nieskuteczności mechanizmów formalnej demokracji w państwach narodowych. Z drugiej strony dzisiejsza "planetarna świadomość" istotnie jest wytworem "ponadnarodowej sieci". Nie wydaje się jednak, by wszędzie była to - jak sądzi Toffler - "sieć trzeciej fali". W dużo większym stopniu jest to ponadnarodowa sieć elit społeczeństw przemysłowych i przedprzemysłowych.

Uwaga ta wiąże się z ogólniejszą wątpliwością pod adresem całej wizji Tofflera, sformułowaną już w Przedmowie do polskiego wydania *Trzeciej fali*. Toffler zdaje się bowiem nie dostrzegać odmiennego potencjału trzeciej fali w różnych krajach współczesnego świata. Podobnie jak cała kultura amerykańska będąca twórczą mieszaniną różnych kultur, zorientowana na szybkie zmiany i równie szybką adaptację do nowych technologii - autor *Trzeciej fali* nie docenia roli kultury, tradycji politycznych oraz mechanizmów społecznych, często przecież przesądzających o zupełnie odmiennym wykorzystywaniu identycznych technologii w różnych społeczeństwach.

W książce tej czytelnik spotka się również ze szczególną, jak na obowiązujące w nauce

zwyczaj, krytyką marksizmu. Uproszczone przedstawienia elementów systemu filozoficznego i teorii rozwoju społecznego Marksa korespondują z wyobrażeniami i stereotypami upowszechnianymi wśród czytelników "literatury ułatwionej". W ocenach i twierdzeniach Tofflera formułowanych w tej materii z niebezpieczną lekkością gubi się historyczny kontekst i wymiar marksizmu oraz jego metodologiczna żywotność. W ocenie współczesności autor znajduje się pod silnym wpływem teorii konwergencji, nie potwierdzanej wszak przez polityczną rzeczywistość świata. Te aspekty pracy Tofflera, choć można je uważać za poboczne w obszernym tekście, winny pobudzić do dyskusji i krytycznego spojrzenia na z takim temperamentem nakreśloną wizję przeszłości i przyszłości społeczeństwa ludzkiego.

Nie umniejsza to oczywiście wszystkich zalet książki Tofflera. Tych, o których była mowa w Przedmowie do jego książki, i wielu innych, które Czytelnik dostrzeże sam. Wypada więc jedynie żywić nadzieję, że opuszczenie czterech rozdziałów książki nie zmniejszy satysfakcji z lektury *Trzeciej fali*.

Przyszliśmy tutaj, by śmiać się, czy płakać? Umieramy, czy też się rodzimy?

Carlos Fuentes *Terra nostra*

WSTĘP

W czasach, kiedy terroryści igrają z życiem zakładników, kiedy pod wpływem pogłosek o trzeciej wojnie światowej chwieją się waluty, kiedy w płomieniach stają ambasady i w tyłu krajach żołnierze oddziałów szturmowych ciasno sznurują buty - z przerażeniem czytamy nagłówki gazet. Cena złota - ów najwrażliwszy barometr strachu - bije wszystkie rekordy. Banki drżą w posadach. Inflacja wymyka się spod kontroli. A rządy, decydujące o losach świata, ogarnia paraliż lub głupota.

Patrząc na to wszystko, kasandryczne chóry wypełniają eter złowróżbną pieśnią. Przysłowiowy człowiek z ulicy powiada po prostu, że świat zwariował, ekspert zaś zwraca uwagę na wszystkie zjawiska prowadzące wprost do katastrofy.

Ta książka przedstawia zdecydowanie odmienny pogląd.

Utrzymuje ona, że świat wcale nie popadł w obłąd i że pod krzykliwym rozgardiaszem pozornie bezsensownych zdarzeń kryje się zdumiewający i budzący nadzieję schemat. O tym schemacie i tej nadziei mówi właśnie niniejsza książka.

TRZECIĄ FAŁĘ ADRESUJĘ DO TYCH, KTÓRZY WIERZĄ, ŻE HISTORIA LUDZKOŚCI WCALE JESZCZE NIE ZBLIŻA SIĘ DO SWEGO KRESU, ALE WRĘCZ PRZECIWNIE, DOPIERO CO SIĘ ZACZEŁA.

Przez ogromne połacie świata przewala się dziś potężna fala, tworząc nowe, często dość osobliwe środowisko do pracy, zabawy, małżeństwa, wychowywania dzieci, wreszcie - życia na emeryturze. W tym oszalałym kontekście biznesmeni rzucają się pod prąd niezrozumiałych trendów gospodarczych, prestiż polityków wzrasta i upada w zawrotnym tempie, raz w górę, raz w dół, a uniwersytety, szpitale i inne instytucje rozpaczliwie i bezskutecznie zmagają się z inflacją. A kiedy rodzina, Kościół, państwo - owe szalupy ratunkowe człowieka - miotane są przez obłąkańcze wiry, zaczynają pękać z trzaskiem dawne systemy wartości.

Te gwałtowne przemiany można uważać za odosobnione znamiona braku stabilności, upadku i klęski. Lecz spojrzawszy z szerszej perspektywy, dostrzec można pewne sprawy, dotąd nie zauważane, które teraz stają się oczywiste.

Przede wszystkim, wiele spośród zachodzących dzisiaj zmian łączy wzajemna zależność. Nie są też one przypadkowe. Wydawać by się mogło, że takie zjawiska, jak na przykład rozpad rodziny nuklearnej, globalny kryzys energetyczny, szerzenie się rozmaitych kultów i wzrost popularności telewizji kablowej, wprowadzenie zindywidualizowanego czasu pracy, nowe formy premii i dodatków lub dążenia separatystyczne pojawiające się od Quebecu po Korsykę, zdaje się nie mieć ze sobą nic wspólnego. Tymczasem jest akurat odwrotnie. Te i

wiele innych, pozornie nie związanych faktów czy tendencji są wzajemnie od siebie zależne. Składają się one w istocie na zjawisko o znacznie szerszym znaczeniu, którym jest śmierć epoki industrializmu i narodziny nowej cywilizacji.

Dopóki będziemy w nich widzieć jedynie odizolowane od siebie zjawiska i pomijać ich szersze znaczenie, dopóty nie będziemy zdolni w żaden sensowny i skuteczny sposób zmierzyć się z nimi. Nasze indywidualne decyzje są bezcelowe i płonne. Nasze rządy zaś potykają się co chwilę o kryzysy i krachy, podążając niepewnie ku przyszłości bez planu, bez nadziei, bez żadnej wizji.

Nie ogarniając w pełni całego zjawiska nie możemy pojąć ścierania się potężnych sił we współczesnym świecie; niby rozbitkowie próbujemy lawirować - bez kompasu i mapy - pośród groźnych raf w czasie sztormu. W wysoce wyspecjalizowanej kulturze, gdy każdy jest pochłonięty drobiazgową analizą rozproszonych danych, w których powodzi tonie - synteza jest nie tylko przydatna, ale ma wręcz przełomowe znaczenie.

DLATEGO TEŻ W *TRZECIEJ FALI* PODEJMUJĘ TAKĄ SYNTezĘ NA WIELKĄ SKALĘ. OPISUJĘ STARĄ CYWILIZACJĘ, W KTÓREJ WIELU Z NAS WYROSŁO, I PRZEDSTAWIAM WNIKLIWY I ROZLEGŁY OBRAZ NOWEJ CYWILIZACJI, KTÓRA GWAŁTOWNIE POWSTAJE NA NASZYCH OCZACH.

Nowa, głęboko rewolucyjna cywilizacja stawia jednak pod znakiem zapytania nasze dawne przekonania. Bez względu na to, jak bardzo jesteśmy przywiązani do dawnych sposobów myślenia, formułek i ideologii, i jak bardzo były one przydatne w przeszłości, dziś nie pasują już one do faktów. Świat, który wyłania się wskutek zderzenia nowych wartości i technologii, nowych stosunków geopolitycznych, nowych stylów życia i sposobów komunikacji, domaga się nowych idei i analogii, klasyfikacji i koncepcji. Nie można tego załączka świata jutra wtłoczyć w konwencjonalne przegródki dnia wczorajszego. Zupełnie nie na czasie są też ortodoksyjne postawy i nastroje.

TOTEŻ W MIARĘ JAK ZE STRONIC NINIEJSZEJ KSIĄŻKI WYŁANIAĆ SIĘ BĘDZIE OBRAZ NIEZNANEJ DOTĄD CYWILIZACJI, ZNAJDZIEMY ZAPEWNE ARGUMENTY PRZECIWKO MODNYM I TAK ROZPOWSZECHNIONYM DZIŚ NASTROJOM PESYMIZMU. W NASZEJ KULTURZE OD DZIESIĘCIU LAT DOMINUJE ROZPACZ - UCZUCIE ŁATWO UDZIELAJĄCE SIĘ I TRUDNE DO POHAMOWANIA. Z *TRZECIEJ FALI* NATOMIAST WYNIKA, ŻE ROZPACZ JEST NIE TYLKO UCZUCIEM GRZESZNYM (POWIEDZIAŁ TAK BODAJ C.P. SNOW), LECZ RÓWNIEŻ NIEUZASADNIONYM.

I nie uciekam przez to bynajmniej w naiwny optymizm. Nikogo nie trzeba chyba dziś przekonywać o prawdziwych niebezpieczeństwach, jakie na nas czyhają - od zagłady nuklearnej i ruiny ekologicznej począwszy, na fanatyzmie rasowym czy lokalnych aktach przemocy skończywszy. O tych niebezpieczeństwach sam w przeszłości pisałem i będę

jeszcze pisał nie raz. Każde z takich zjawisk, jak wojna, rozprężenie gospodarcze lub katastrofa technologiczna może w przyszłości grozić tragedią.

Ale mimo to, zastanowiwszy się nad zależnościami, które nagle powstają między coraz to nowymi wzorcami wytwarzania i wykorzystywania energii a nowymi formami życia rodzinnego czy nowoczesnymi metodami produkcji przemysłowej o tendencji do wytwórczości samoobsługowej (w myśl hasła "Zrób to sam!") - by wspomnieć tylko niektóre z zachodzących przemian - nagle dostrzegamy, że wiele spośród tych okoliczności, które dziś uznajemy za najbardziej niebezpieczne, równocześnie otwiera przed nami fascynujące możliwości.

Trzecia fala ukazuje nam te możliwości. Przekonuje nas, że w upadku i rozkładzie można właśnie znaleźć zupełnie nieoczekiwane przejawy narodzin i życia. Wynika z niej jasno - i jak sądzę bezspornie - iż dysponując inteligencją, przy odrobinie szczęścia można rodzącą się cywilizację uczynić zdrowszą, rozumniejszą, trwalszą, bardziej znośną i bardziej demokratyczną niż wszystkie znane dotąd.

Jeżeli ta główna teza książki jest słuszna, to istnieją ważne powody, by żywić optymizm co do przyszłości, chociaż najbliższe lata prawdopodobnie będą burzliwe i pełne kryzysów.

GDY PRACOWAŁEM NAD *TRZECIĄ FALĄ*, SŁUCHACZE MOICH WYKŁADÓW CZĘSTO PYTALI MNIE, CZYM RÓŻNI SIĘ TA KSIĄŻKA OD NAPISANEGO WCZEŚNIEJ *SZOKU PRZYSZŁOŚCI*. AUTOR I CZYTELNIK NIGDY NIE TRAKTUJĄ KSIĄŻKI DOKŁADNIE TAK SAMO. ALE WEDŁUG MNIE *TRZECIA FALA* RÓŻNI SIĘ ZDECYDOWANIE OD *SZOKU PRZYSZŁOŚCI* - ZARÓWNO POD WZGLĘDEM FORMALNYM, JAK I PRZEDMIOTOWYM. PRZEDE WSZYSTKIM *TRZECIA FALA* OBEJMUJE DŁUŻSZY OKRES, SIĘGAJĄC O WIELE DALEJ ZARÓWNO WSTECZ, JAK I W PRZYSZŁOŚĆ. ZAWIERA TEŻ WIĘCEJ WSKAZÓWEK I PROPOZYCJI. ARCHITEKTURA KSIĄŻKI JEST ODMIENNA. (SPOSTRZEGAWCZY CZYTELNIK ZAUWAŻY, ŻE STRUKTURA KSIĄŻKI ODZWIERCIEDLA JEJ NACZELNĄ METAFORĘ ZDERZENIA SIĘ FAL.)

RÓŻNICE W TREŚCI SĄ JESZCZE WYRAŹNIEJSZE. WPRAWDZIE *SZOK PRZYSZŁOŚCI* WZYWAŁ DO PEWNYCH PRZEMIAN, ALE JEDNOCZEŚNIE PODKREŚLAŁ INDYWIDUALNE I SPOŁECZNE KOSZTY WSZELKICH ZMIAN. NATOMIAST W *TRZECIEJ FALI*, DOSTRZEGAJĄC TRUDNOŚCI ADAPTACYJNE, KŁADĘ NACISK NA RÓWNIIE WYSOKIE KOSZTY W RAZIE NIEDOSTATECZNIE SZYBKICH ZMIAN W NIEKTÓRYCH DZIEDZINACH.

Ponadto, pisząc w poprzedniej pracy o "przedwczesnym nadchodzeniu przyszłości", nie próbowałem nawet szerzej, czy w miarę systematycznie, naszkicować powstającego społeczeństwa jutra. Skoncentrowałem się tam na procesach zmian, nie zaś na ich kierunkach.

W tej książce soczewka została odwrócona. Mniej się tu zajmuję przyspieszeniem jako

takim, a bardziej - miejscem przeznaczenia, ku któremu wiodą nas zmiany. Jedna książka bardziej zajmuje się procesem, druga - strukturą. Dlatego obydwie książki zostały pomyślane jako wzajemnie uzupełniające się części; nie: początek i jego ciąg dalszy, lecz dopełniające się części o wiele większej całości. Obydwie są bardzo różne. Ale jedna rzuca światło na drugą.

Podjmując się syntezy na tak wielką skalę, trzeba z konieczności upraszczać, uogólniać i komprimować. (Bez tego niemożliwe by było omówienie w jednej książce tak wielu spraw.) W rezultacie niektórzy historycy mogą nie zgadzać się z moim podziałem cywilizacji na zaledwie trzy epoki, gdzie pierwsza fala oznacza fazę rolniczą, druga fala - fazę przemysłową, a trzecia fala - fazę, w którą obecnie wkraczamy.

Łatwo wykazać, że na cywilizację rolniczą składały się dość różne kultury oraz że industrializm przechodził w rzeczywistości przez kolejne etapy rozwoju. Można oczywiście posiekać przeszłość (przyszłość również) na 12 lub 38 czy 157 części. Tylko że wówczas, w galimatiasie rozdrobnionych elementów, stracilibyśmy z oczu najbardziej istotne podziały. Lub też - do opisanie tego samego obszaru zagadnień - zamiast jednej książki potrzebowalibyśmy całej biblioteki. Prostsze podziały, nawet nieco uproszczone i naiwne, są w tym wypadku bardziej dla nas przydatne.

Ogromny obszar tematyczny książki wymagał też posłużenia się innymi skrótami myślowymi. Zdarza mi się więc od czasu do czasu obdarzyć naszą cywilizację cechami ludzkimi mówiąc, że pierwsza fala lub druga fala "zrobiła" to czy tamto. Naturalnie zdaje sobie sprawę, podobnie jak czytelnicy, że cywilizacje niczego nie robią; robią - ludzie. Ale przypisanie pewnych cech cywilizacji pozwala często oszczędzić czasu i słów.

INTELGENTNY CZYTELNIK ROZUMIE TAKŻE, ŻE NIKT - ANI HISTORYK, ANI FUTUROLOG, ANI PLANISTA, ASTROLOG CZY EWANGELISTA - "NIE ZNA", ANI NIE MOŻE "ZNAĆ", PRZYSZŁOŚCI. GDY POWIADAM, ŻE COŚ SIĘ "ZDARZY", TO PRZYJMUJĘ, IŻ CZYTELNIK WEZMIE ODPOWIEDNIĄ POPRAWKĘ UWZGLĘDNIAJĄCĄ BRAK PEWNOŚCI. GDYBYM POSTĘPOWAŁ INACZEJ, W KSIĄŻCE ROIŁOBY SIĘ OD NIE NADAJĄCYCH SIĘ DO CZYTANIA I ZUPEŁNIE NIEPOTRZEBNYCH ZASTRZEŻEŃ. ŻADNE PROGNOZY DOTYCZĄCE SPOŁECZEŃSTW NIE SĄ WOLNE OD OCEN ANI NIE MAJĄ CHARAKTERU ŚCIŚLE NAUKOWEGO, NIEZALEŻNIE OD ILOŚCI DANYCH KOMPUTEROWYCH, KTÓRYMI SIĘ POSŁUGUJĄ. *TRZECIA FALA* NIE JEST OBIEKTYWNA PROGNOZĄ ANI TYM BARDZIEJ NIE PRETENDUJE DO MIANA PRAWDY NAUKOWEJ.

Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że idee przedstawione w mojej książce są czczą fantazją. Jak można będzie się wkrótce przekonać, praca ta powstała na podstawie olbrzymiego materiału dowodowego, a pisząc ją próbowałem zastosować przybliżony model

cywilizacji uwzględniając przy tym nasz stosunek do tej cywilizacji.

Opisuję tu ginącą cywilizację przemysłową z uwzględnieniem takich jej aspektów, jak "technosfera", "socjosfera", "infosfera" i "sfera władzy", by następnie pokazać, jakim rewolucyjnym przemianom podlega każda z tych sfer we współczesnym świecie. Zamierzałem pokazać wzajemne powiązania między poszczególnymi sferami, jak również ich stosunek do "biosfery" i "psychosfery", ową strukturę związków psychologicznych i osobistych, za której pośrednictwem zmiany zachodzące w świecie zewnętrznym wpływają na nasze najbardziej prywatne sfery życia.

W *TRZECIEJ FALI* PRÓBUJĘ DOWIEŚĆ, ŻE CYWILIZACJA STOSUJE TAKŻE PEWNE SPOSOBY I ZASADY ORAZ TWORZY WŁASNĄ "SUPER-IDEOLOGIĘ" W CELU WYJAŚNIENIA RZECZYWISTOŚCI I UZASADNIENIA SWEGO WŁASNEGO ISTNIENIA.

Gdy zdołamy zrozumieć wzajemne zależności między tymi sferami, sposobami i zasadami oraz pojmimy, w jaki sposób zmieniają się one wskutek tych zależności dając tym samym początek potężnej nawałnicy przeobrażeń - zaczniemy o wiele lepiej rozumieć tę gigantyczną falę przemian, która napiera dziś na nas i wstrząsa naszym życiem.

JAK MOŻNA SIĘ JUŻ BYŁO ZORIENTOWAĆ, GŁÓWNA METAFORA KSIĄŻKI TO ZDERZAJĄCE SIĘ FALE ZMIAN. OBRAZ NIE JEST ORYGINALNY. NORBERT ELIAS W SWEJ PRACY *PRZEMIANY OBYCZAJU W CYWILIZACJI ZACHODU* PISZE, ŻE "PROCES CYWILIZACJI PRZEBIEGA W DŁUGIM CIĄGU PRZYPLYWÓW I ODPLYWÓW" ORAZ MÓWI O "FALACH ROZPRZESTRZENIANIA SIĘ CYWILIZACJI".¹ **W 1837 roku pewien autor opisywał osadnictwo na amerykańskim Zachodzie, wymieniając kolejno "fale" - najpierw pionierów, potem farmerów, następnie przedsiębiorców i kupców, czyli "trzecią falę" migracji. W 1893 roku posłużył się tą samą analogią Frederic Jackson Turner w klasycznym eseju *The Significance of the Frontier in American History* (Znaczenie granicy w historii amerykańskiej). A więc to nie metafora nawiązująca do fal jest nowa, lecz zastosowanie jej do dzisiejszych przeobrażeń cywilizacyjnych.**

Zabieg ten okazuje się niezwykle pożyteczny. Pomysł fal służy nie tylko jako narzędzie do porządkowania bezmiaru najróżnorodniejszych informacji. Pomaga nam również zobaczyć to, co kryje się pod wzburzoną powierzchnią zmian. Metafora fal ułatwia nam zrozumienie wielu dotąd niejasnych spraw, to zaś, co dobrze znamy, często ukazuje się nam w olśniewająco nowym świetle.

Kiedy zacząłem myśleć o zmianach jak o falach, które zderzają się i nakładają na siebie,

¹ Norbert Elias, *Przemiany obyczaju w cywilizacji Zachodu*, przeł. Tadeusz Zabłudowski, Warszawa 1980, ss. 396 i 400.

powodując konflikt i wywołując napięcie wokół nas - uległa przeobrażeniu moja własna percepcja zmian. W każdej dziedzinie - od oświaty i służby zdrowia do technologii, od życia osobistego do polityki - stało się możliwe odróżnienie innowacji o charakterze kosmetycznym, lub będących tylko przedłużeniem industrialnej przeszłości, od takich, które rzeczywiście są rewolucyjne.

Jednak nawet najtrafniejsza metafora oddaje tylko część prawdy. Żadna metafora nie ujmuje niczego dostatecznie wszechstronnie i dlatego żadne przedstawienie teraźniejszości, a tym bardziej przyszłości, nie może być ani pełne, ani ostateczne. Gdy byłem marksistą tuż przed dwudziestką i jeszcze parę lat potem - a więc ponad ćwierć wieku temu - myślałem, podobnie jak wielu młodych ludzi, że znam już odpowiedź na wszystko. Szybko przekonałem się, że moje "odpowiedzi" były niepełne, jednostronne i przestarzałe. A z czasem doszedłem do wniosku, iż trafne pytanie jest przeważnie ważniejsze niż słuszna odpowiedź na niewłaściwe pytanie.

MAM NADZIEJĘ, ŻE *TRZECIA FALA*, UDZIELAJĄC ODPOWIEDZI, RÓWNOCZEŚNIE STAWIA WIELE NOWYCH PYTAŃ.

Humanizującą rolę spełniać może już samo przyznanie, że człowiek nie potrafi osiąść całej wiedzy, jak również, że żadna metafora nie jest naprawdę pełna. Uświadomienie sobie tego chroni nas przed fanatyzmem. Pozwala przyznać bodaj częściową rację nawet przeciwnikowi, a w stosunku do siebie dopuszcza możliwość pomyłki. Możliwość taka występuje zwłaszcza w przypadku bardzo ogólnej syntezy.

Tak o tym pisał George Steiner: "Stawiając ogólniejsze pytania, ryzykujemy uzyskanie mylnych wniosków. Nie zadając tych pytań w ogóle - ograniczamy swe możliwości poznawcze."

W czasach gwałtownych zmian - gdy rozpada się życie osobiste człowieka, gdy wniwecz obraca się dotychczasowy porządek społeczny i na horyzoncie pojawia się fantastyczny nowy styl życia - szukanie odpowiedzi na najbardziej ogólne z wszystkich pytań, bo dotyczące naszej przyszłości - to nie tylko kwestia ciekawości intelektualnej. To kwestia przetrwania.

ŚWIADOMIE LUB BEZWIEDNIE WIĘKSZOŚĆ Z NAS BIERZE JUŻ UDZIAŁ W ZWALCZANIU BĄDŹ TEŻ W TWORZENIU NOWEJ CYWILIZACJI. MAM NADZIEJĘ, ŻE *TRZECIA FALA* POMOŻE KAŻDEMU Z NAS DOKONAĆ ŚWIADOMEGO WYBORU.

ZDERZENIE FAL

Rozdział I

SUPERWALKA

W nasze życie wdziera się już nowa cywilizacja, choć zaślepieni ludzie wszędzie próbują ją powstrzymać. Nowa cywilizacja niesie z sobą nowy styl życia rodzinnego, zmiany w pracy, w miłości i w życiu; nową gospodarkę, nowe konflikty polityczne, a przede wszystkim - zupełnie odmienną świadomość. Elementy tej nowej cywilizacji już istnieją. Miliony ludzi zaczęły dostrajać swe życie do rytmów dnia jutrzejszego. Inni zaś, przerażeni tym, co nadchodzi, próbują rozpaczliwej i daremnej ucieczki w przeszłość, starając się wskrzesić świat, który ich zrodził.

Narodziny tej nowej cywilizacji są najbardziej wstrząsającym faktem naszych czasów.

To jest właśnie główne zdarzenie - klucz do zrozumienia lat, które już nadchodzą. Jest to zdarzenie o tak samo głębokim znaczeniu, jakie charakteryzowało pierwszą falę przemian rozpętaną 10 tysięcy lat temu, kiedy powstawało rolnictwo. Można je też porównać z drugą falą gwałtownych przeobrażeń, wywołanych przez rewolucję przemysłową. My zaś jesteśmy dziećmi kolejnego przeobrażenia, czyli trzeciej fali.

Z trudem dobieramy słowa, by opisać cały rozmach i zasięg tej nadzwyczajnej przemiany. Niektórzy mówią o początku Ery Kosmicznej, Ery Informacyjnej, Ery Elektronicznej lub o Globalnej Wiosce. Zbigniew Brzeziński powiedział, że stoimy u progu "wieku technotronicznego". Socjolog Daniel Bell mówi o nadchodzącym "społeczeństwie postindustrialnym", a radzieccy futurologowie posługują się terminem RNT - "rewolucja naukowo-techniczna". Ja sam rozpisywałem się szeroko o początkach "społeczeństwa superprzemysłowego". Żaden jednak termin, także mój własny, nie wydaje się trafny.

Niektóre z tych określeń, ograniczając się do jednego wybranego aspektu, zawężają możliwości naszego rozumienia, miast je poszerzać. Inne brzmią statycznie, sugerując, iż zaakceptujemy nowe społeczeństwo łatwo, bezkonfliktowo i bez stresu. Żaden z tych terminów nie oddaje nawet w części całego impetu, rozmiarów ani dynamizmu zmian, ku którym nieuchronnie zmierzamy; terminy te nie pozwalają też sobie uzmysłwić, ile kłopotów i konfliktów czeka nas w wyniku zmian.

Ludzkość szykuje się do ogromnego skoku naprzód. Oczekuje nas najgłębszy w dziejach przewrót społeczny i twórcza przebudowa struktur. Nie zdając sobie z tego sprawy, już uczestniczymy w tworzeniu od podstaw nowej, niezwyklej cywilizacji. Taki właśnie jest sens

trzeciej fali.

Gatunek ludzki przeżył dotychczas dwie wielkie fale przemian, z których każda ścierała niemal doszczętnie wcześniejsze kultury i cywilizacje, wprowadzając swoje obyczaje, niepojęte dla tych, co urodzili się wcześniej. Pierwszej fali przemian, czyli rewolucji agrarnej, potrzeba było tysięcy lat do całkowitego wyczerpania. Druga fala - tworzenie się cywilizacji przemysłowej, trwała już tylko trzysta lat. Współczesne dzieje mają jeszcze większe przyspieszenie, wydaje się więc, że trzecia fala wtargnie do historii i dokona swego dzieła w ciągu kilkudziesięciu lat. Przeto nam, żyjącym w tak dramatycznym momencie, przyjdzie odczuć to potężne uderzenie trzeciej fali zapewne jeszcze za naszego życia.

Rozpad rodziny, zachwianie gospodarki, paraliż systemów politycznych, ruina uznanych wartości spowodują, że trzecią falę odczuje każdy. Kwestionuje ona stare stosunki władzy, przywileje i prawa zagrożonych dzisiaj elit i jest tłem, na którym w niedalekiej przyszłości będą rozgrywać się zmagania między potężnymi siłami.

W wyłaniającej się obecnie cywilizacji wiele rzeczy stanowi zaprzeczenie starej, tradycyjnej cywilizacji przemysłowej. Nowa cywilizacja ma bowiem charakter przede wszystkim technologiczny, będąc równocześnie antyprzemysłową.

Trzecia fala niesie z sobą prawdziwie nowy styl życia, oparty na zróżnicowanych, odnawialnych źródłach energii; na nowych metodach produkcji, przy których większość przemysłowych linii montażowych będzie anachronizmem; na nowym modelu nienuklearnej rodziny. Ten styl życia jest również kształtowany przez nowoczesną instytucję, którą można by nazwać "wioską elektroniczną", oraz przez radykalnie odmienioną szkołę i nową formę korporacji przyszłości. Wyłaniająca się cywilizacja tworzy nowy kodeks postępowania i przenosi nas daleko poza standaryzację, synchronizację i centralizację; poza koncentrację energii, pieniędzy i władzy.

Rzuciwszy wyzwanie staremu łaadowi, nowa cywilizacja obali biurokrację, ograniczy znaczenie państwa narodowego i stworzy w świecie postimperialistycznym na wpół autonomiczne systemy gospodarcze. Do tego będą potrzebne nowe formy rządzenia - skromniejsze, bardziej efektywne, a przy tym bardziej demokratyczne niż jakiegokolwiek ze znanych nam obecnie. Cywilizacja ta tworzy własny, odmienny światopogląd; na swój sposób traktuje też czas, przestrzeń, logikę i zasadę przyczynowości.

Ale przede wszystkim, jak zobaczymy, cywilizacja trzeciej fali zaczyna zmniejszać tradycyjną przepaść między producentami i konsumentami, dając początek jutrzejszej gospodarce "prosumentów". Z tego powodu, nie jedyne zresztą, ma ona szansę - przy naszym inteligentnym udziale - stać się pierwszą w historii prawdziwie humanitarną

cywilizacją.

REWOLUCYJNA PRZESŁANKA

Dziś rozpowszechnione są dwa pozornie przeciwstawne wyobrażenia przyszłości. Większość ludzi - na tyle, na ile w ogóle zadają sobie oni trud myślenia o przyszłości - zakłada, że świat, jaki znają, będzie trwał wiecznie. Trudno im wyobrazić sobie zupełnie inny sposób własnego życia, a tym bardziej jakąś całkowicie nową cywilizację. Oczywiście przyznają oni, że zachodzą różne zmiany. Lecz zakładają, że obecne zmiany jakimś cudem ich ominą, i że nic nie naruszy dobrze im znanych stosunków gospodarczych ani struktury politycznej. Ufają, że przyszłość będzie kontynuacją teraźniejszości.

To prostolinijne myślenie znajduje wyraz w rozmaitych postawach. Na takim nie sprawdzonym założeniu opierają więc swoje decyzje biznesmeni, nauczyciele, rodzice i politycy. W bardziej wyrafinowanym wydaniu pogląd ten wyraża się w statystyce, danych komputerowych, w żargonie różnych prognoz. W obu wypadkach myślenie takie składa się na wizję przyszłego świata, który jest zasadniczo "mniej więcej taki sam" - świata, gdzie cechy industrializmu drugiej fali są tylko jeszcze bardziej spotęgowane i rozprzestrzenione po całej planecie.

Ale to ufne spojrzenie w przyszłość nieustannie podważają wydarzenia ostatnich lat. Kiedy w nagłówkach gazet kryzys goni kryzys, gdy wybucha rewolucja w Iranie, Mao spada z boskiego piedestału, ceny ropy gwałtownie idą w górę i szaleje inflacja, gdy rozpowszechnia się terroryzm, a rządy najwidoczniej nie radzą sobie z jego powstrzymaniem - coraz powszechniejsza staje się wizja o wiele bardziej posępna. Tak więc ogromna liczba ludzi - karmionych stale złymi wiadomościami, filmami o katastrofach, opowieściami na miarę biblijnej Apokalipsy oraz koszmarnymi scenariuszami opracowywanymi przez cieszące się prestiżem "trusty mózgów" - wyraźnie dochodzi do wniosku, że społeczeństwo współczesne nie może istnieć w przyszłości, ponieważ w ogóle nie będzie przyszłości. Dla nich Armageddon to kwestia minut. Świat pędzi ku ostatecznemu kataklizmowi.

Te dwie wizje przyszłości są z pozoru bardzo różne. Ale obie wywołują podobny efekt psychologiczny i polityczny. Albowiem obie prowadzą do paraliżu wyobraźni i woli.

Jeżeli społeczeństwo jutra ma być po prostu szerszą, panoramiczną wersją współczesności, to nie potrzebujemy wiele robić, by się do tego przygotować. Z drugiej strony, jeżeli przeznaczeniem ludzkości jest nieuchronna samozagłada jeszcze za naszego życia, to i tak nic w tej sprawie zrobić nie możemy. Krótko mówiąc, obydwie sposoby widzenia przyszłości rodzą prywatę i bierność. Obydwa skazują nas na bezczynność.

Jednakże próbując zrozumieć to, co się dzieje, możemy uniknąć tego prostodusznego wyboru między Armageddonem a "mniej więcej tym samym". Są jeszcze inne, więcej wyjaśniające i bardziej konstruktywne sposoby myślenia o przyszłości - takie, które przygotowują nas do niej i - co ważniejsze - pomogą nam zmienić teraźniejszość.

Książka moja oparta jest na tym, co nazywam "rewolucyjną przesłanką": mimo dużego prawdopodobieństwa, iż nadchodzące dziesięciolecia wypełnią przewroty, wstrząsy, a może i ogólnoświatowe akty przemocy, to jednak ludzkość nie wyniszczy się całkowicie. Zakładam, że wszystkie wstrząsające przeobrażenia, które obecnie przeżywamy, nie są ani chaotyczne, ani przypadkowe, lecz że w istocie tworzą one wyraźny i czytelny obraz. Zakładam ponadto, że zmiany te mają charakter kumulatywny - że w sumie powodują gigantyczne przeobrażenia w sposobie życia, pracy, zabawy, myślenia oraz że zdrowa i upragniona przyszłość jest w ogóle możliwa. Słowem, wszystko, o czym będę dalej pisał, opiera się na założeniu, że to, co dzieje się dzisiaj, jest niczym innym, jak globalną rewolucją, jakościowym skokiem w historii.

Mówiąc innymi słowy, wychodzę z założenia, że stanowimy ostatnie pokolenie starej cywilizacji i pierwsze pokolenie nowej oraz że nasze osobiste uwikłania, udręki i dezorientacja w znacznej mierze wynikają bezpośrednio z konfliktu rozgrywającego się w nas samych i wewnątrz naszych instytucji politycznych: konfliktu między umierającą cywilizacją drugiej fali i wyłaniającą się cywilizacją trzeciej fali, która gwałtownie wdziera się, by zająć miejsce poprzedniej.

Kiedy zaczynamy w końcu zdawać sobie z tego sprawę, nagle stają się zrozumiałe liczne, dotąd pozornie bezsensowne, fakty. Zaczyna zarysowywać się klarowny, szeroko rozbudowany schemat przeobrażeń. Działanie na rzecz przetrwania znów staje się możliwe i słuszne. Słowem, rewolucyjna przesłanka wyzwala nasz intelekt i wolę.

KRAWĘDŹ NATARCIA

Nie wystarczy jednak stwierdzić, że oczekujące nas zmiany będą miały rewolucyjny charakter. Zanim zdołamy je skontrolować lub nadać im jakiś kierunek, musimy nauczyć się je rozpoznawać i analizować. Bez tego będziemy zgubieni.

Nowe, użyteczne ujęcie można by nazwać społeczną analizą "frontalną"; patrzymy na historię jak na szereg kolejnych fal zmian i pytamy, dokąd nas popycha krawędź natarcia każdej z tych fal. W takim ujęciu uwaga skupia się nie tyle na wątkach stanowiących o ciągłości dziejów (choć są one niezaprzeczalnie ważne), ile na przerwach w ciągłości - na innowacjach i momentach przełomowych. Analiza "frontalna" służy rozpoznaniu schematu

kluczowych przeobrażeń w ich początkowej fazie, tak byśmy mogli mieć na nie wpływ.

Wychodząc z bardzo prostego założenia, że narodziny rolnictwa stanowiły pierwszy punkt zwrotny w społecznym rozwoju człowieka oraz że rewolucja przemysłowa była drugim wielkim przełomem, analiza "frontalna" traktuje oba te fakty nie jako odrębne, jednorazowe zdarzenia, lecz jako falę przeobrażeń o określonej prędkości ruchu.

Przed pierwszą falą przemian większość ludzi wiodła żywot w niewielkich, często wędrownych grupach, trudniących się dla zdobycia pożywienia zbieractwem, rybołówstwem, myślistwem lub pasterstwem. W pewnym momencie, mniej więcej 10 000 lat temu, rozpoczęła się rewolucja agrarna, która ogarniała z wolna całą Ziemię, wszędzie tworząc wsie, osady, pola uprawne i nowy styl życia.

Jeszcze nie opadła zupełnie pierwsza fala przemian, gdy pod koniec XVII stulecia Europę ogarnęła rewolucja przemysłowa, wywołując drugą wielką falę przeobrażeń. Nowy proces, industrializacja, o wiele szybciej niż poprzedni zaczął obejmować kraje i kontynenty. W ten sposób dwa oddzielne i różne procesy przemian przewalały się przez świat równocześnie, choć z niejednakową prędkością.

Dziś pierwsza fala praktycznie opadła. Nie osłabła może tylko w kilku niewielkich społecznościach plemiennych, na przykład w Ameryce Południowej czy w Papui-Nowej Gwinei, które jeszcze muszą być zdobyte przez rolnictwo. Lecz zasadniczo cała siła owej potężnej pierwszej fali wyczerpała się już całkowicie.

Tymczasem druga fala, po zrewolucjonizowaniu w ciągu kilku stuleci życia w Europie, Ameryce Północnej oraz w niektórych innych częściach świata, nadal rozprzestrzenia się, ogarniając liczne, po dziś dzień jeszcze rolnicze państwa, które dopiero teraz starają się budować huty, fabryki samochodów, zakłady włókiennicze, koleje i przetwórnictwo spożywcze. Trwa pęd do uprzemysłowienia. Druga fala nie wyczerpała jeszcze do końca swej siły.

Chociaż proces ten trwa nadal, już rozpoczął się inny, jeszcze ważniejszy. W ciągu dziesięcioleci po drugiej wojnie światowej, gdy przyływ uprzemysłowienia osiągnął swój najwyższy poziom, zaczęła wzbierać trzecia fala, niezbyt jeszcze zrozumiała, przeobrażając wszystko, z czym się zetknęła.

W wielu krajach odczuwa się więc równoczesny napór dwóch, nawet trzech fal niosących zupełnie różne zmiany, przy czym każda z nich uderza z inną prędkością i inną siłą.

Dla celów niniejszej książki przyjmiemy, że era pierwszej fali zaczęła się gdzieś około 8000 r. p.n.e. i niczym nie zakłócona panowała do mniej więcej lat 1650 - 1750. Od tej pory, aż po dzień dzisiejszy, pierwsza fala traciła swą siłę, gdy tymczasem druga fala nabierała z wolna rozpędu. Następnie cywilizacja przemysłowa, produkt owej drugiej fali, objęła

panowanie w świecie, by w końcu także osiągnąć swój szczyt. Ten ostatni historyczny punkt zwrotny przypadł w Stanach Zjednoczonych w dekadzie, która zaczęła się mniej więcej w 1955 roku, kiedy to pracownicy umysłowi i usługowi (tzw. "białe kołnierzyki") po raz pierwszy osiągnęli liczebną przewagę nad pracownikami fizycznymi (czyli "niebieskimi kołnierzykami"). Była to ta sama dekada, w której staliśmy się świadkami szerokiego zastosowania komputerów, rozwoju pasażerskiego lotnictwa odrzutowego, rozpowszechnienia się pigułki antykoncepcyjnej i wielu innych, brzemiennej w skutki innowacji. Podczas tej właśnie dekady zaczęła nabrzmiewać w Stanach Zjednoczonych trzecia fala. Od tamtego czasu napłynęła już ona, z mniejszym lub większym opóźnieniem, do większości innych wysoko uprzemysłowionych krajów, między innymi do Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec Zachodnich, Związku Radzieckiego i Japonii. Dziś wszystkie państwa rozwinięte pod względem technologicznym dostają zawrotu głowy starając się ująć całość z tego zderzenia trzeciej fali z przestarzałymi, zeskorupiałymi systemami gospodarczymi i instytucjami należącymi do drugiej fali.

Zrozumienie tego wszystkiego stanowi sekret, dzięki któremu zdołamy pojąć istotę politycznego i społecznego konfliktu rozgrywającego się w otaczającym nas świecie.

FALE PRZYSZŁOŚCI

Zawsze, gdy w jakimś kraju wybija się nad inne jedna fala, wywołująca określone zmiany, względnie łatwo można przewidzieć rozwój przyszłych wydarzeń. Pisarze, artyści, dziennikarze widzą w niej "falę przyszłości". W ten sposób myśliciele, czołowi przedsiębiorcy, politycy, a także zwyczajni ludzie żyjący w XIX-wiecznej Europie, wyraźnie i zasadniczo trafnie przewidywali, jaki będzie obraz przyszłości. Wyczuli, że historia podąża w kierunku ostatecznego zwycięstwa industrializmu nad jeszcze nie zmechanizowanym rolnictwem; dość dokładnie przewidzieli również, że wraz z drugą falą pojawią się skuteczniejsze rodzaje technologii, większe miasta, szybszy transport, masowa oświata itd.

Ta jasność widzenia powodowała bezpośrednie skutki polityczne. Partie i ruchy polityczne mogły już zawczasu przymierzać się do przyszłości. Wpływowe kręgi przedprzemysłowego rolnictwa organizowały akcje swej tylnej straży przeciwko wdzierającemu się industrializmowi, przeciwko "wielkiemu biznesowi", "przywódcom związkowym", "miastom pełnym zepsucia". Robotnicy ścierali się z menedżerami zabiegając o uzyskanie kontroli nad mechanizmami powstającego społeczeństwa przemysłowego. Mniejszości etniczne i rasowe określały swe prawa, zakładając, że w świecie przemysłowym będą odgrywać większą rolę, i zaczynały domagać się pracy, stanowisk w korporacjach, budownictwa mieszkaniowego w

miastach, lepszych wynagrodzeń, masowej oświaty publicznej itd.

Skutki psychologiczne tej przemysłowej wizji przyszłości były również niemałe. Ludzie mogli się nie zgadzać ze sobą, mogli popadać w ostre, niekiedy nawet krwawe konflikty. Okresy depresji i nagłego ożywienia mogły dramatycznie zmieniać ich życie. Ale na ogół powszechnie podzielany obraz przemysłowej przyszłości dawał jednak jasne możliwości wyboru, oferował ludziom nie tylko poczucie tego, czym lub kim są, lecz także tego, czym każdy z nich może się stać. I chociaż zachodziły drastyczne przeobrażenia społeczne, ten obraz jutra dawał poczucie tożsamości i przynajmniej częściowej stabilizacji.

Kiedy natomiast na jakieś społeczeństwo jednocześnie napierają dwie wielkie fale lub więcej, przy czym żadna nie ma wyraźnej przewagi nad innymi - obraz przyszłości załamuje się. Bardzo trudno wówczas odgadnąć prawdziwy sens zachodzących zmian i konfliktów. Czołowe zderzanie się fal powoduje, że ocean jest wzburzony, pełen zamętu, przeciwnych prądów i wirów, pod którymi nie sposób dostrzec głębszych i ważniejszych fal dziejowych.

W Stanach Zjednoczonych, podobnie jak i w wielu innych krajach, wskutek zderzenia drugiej i trzeciej fali powstają dziś napięcia społeczne, niebezpieczne konflikty i spiętrzenia nieznanych dotąd prądów politycznych, płynących w poprzek zwykłych podziałów klasowych, rasowych, partyjnych czy wynikających z różnicy płci. W wyniku tej kolizji zostaje kompletnie rozbite tradycyjne słownictwo polityczne; toteż bardzo trudne staje się odróżnienie człowieka postępowego od reakcjonisty, przyjaciela od wroga. Dezaktualizują się zarówno dawne spory, jak i koalicje. Żadne różnice nie przeszkadzają związkowcom i pracodawcom jednoczyć się w walce z rzecznikami ochrony środowiska. A Murzyni i Żydzi - niegdyś zjednoczeni we wspólnej walce z dyskryminacją - dziś stają przeciwko sobie.

Klasa robotnicza wielu krajów, która tradycyjnie popierała tzw. "postępowe" kroki polityczne opowiadając się na przykład za redystrybucją dochodu, dziś często przyjmuje postawę "wsteczną" w takich sprawach jak równouprawnienie kobiet, zasady funkcjonowania rodziny, imigracja, system ceł czy regionalizm. Tradycyjna "lewica" to obecnie często zwolennicy centralizacji, zagorzali nacjonałiści i przeciwnicy ochrony środowiska.

A równocześnie widzimy polityków - od Giscarda d'Estaing do Jimmy Cartera czy Jerry Browna - którzy mają "konserwatywny" stosunek do gospodarki, "liberalny" zaś do sztuki, moralności, praw kobiet czy ochrony środowiska. Nic dziwnego, że ludzie są zdezorientowani i że tracą nadzieję na zrozumienie tego wszystkiego.

Tymczasem środki masowego przekazu nieprzerwanie donoszą o kolejnych innowacjach, momentach zwrotnych, dziwacznych wypadkach, morderstwach, porwaniach, wystrzeleniach nowych urządzeń kosmicznych, przewrotach rządowych, rajdach komandosów i różnych

skandalach, tak jakby te wszystkie sprawy nie były ze sobą powiązane.

Ten jawny brak logiki w życiu politycznym znajduje odbicie w dezintegracji osobowości ludzkiej. Psychoterapeuci i rozmaici guru robią złoty interes; ludzie gubią się w konkurencyjnych sposobach terapii, od szkoły "pierwotnego krzyku narodzin" po szkołę *est*. Szukają ucieczki w kultach i sabatach albo, wręcz przeciwnie, patologicznie zasklepiają się w sobie w przekonaniu, że rzeczywistość jest absurdalna, obłąkana lub pozbawiona sensu. W jakimś szerszym, kosmicznym sensie życie może i jest absurdalne. Ale to jeszcze nie oznacza, że we współczesnych wydarzeniach nie ma żadnej logiki. W rzeczywistości, gdy tylko nauczymy się odróżniać te przeobrażenia, które zapoczątkowała trzecia fala, od przemian związanych z opadającą już drugą falą, zobaczymy bardzo wyraźny, ukryty porządek rzeczy.

Zrozumienie konfliktów zrodzonych z frontального zderzenia tych dwu fal ułatwia nam nie tylko przewidywanie możliwych wariantów przyszłości, ale daje rentgenowski obraz oddziałujących na nas sił politycznych i społecznych. Pozwala ono również każdemu z nas ocenić własny udział w historii. Bowiem każdy z nas stanowi żywą część historii, niezależnie od tego, jak mało ważni możemy się sami sobie wydawać.

Krzyżujące się prądy wywoływane przez przeciwne fale odbijają się na naszej pracy, życiu rodzinnym, na naszym stosunku do seksu i moralności. Znajdują wyraz w stylu życia i zachowaniach wyborczych. Albowiem zarówno w życiu osobistym, jak i w działaniu politycznym - bardziej lub mniej świadomie - większość ludzi żyjących w bogatych krajach stanowi pokolenie drugiej fali, zdecydowane podtrzymywać ginący ład, bądź pokolenie trzeciej fali, pragnące budować radykalnie odmienne jutro, bądź też zdeorientowaną, niezdolną do dokonania wyboru mieszaninę tamtych obu.

BOGACZE I MORDERCY

Konflikt między zwolennikami drugiej i trzeciej fali stanowi w istocie najważniejsze spięcie polityczne, przenikające dziś na wskroś nasze społeczeństwo. Niezależnie od tego, co głoszą współczesne partie i kandydaci, w ich walce chodzi prawie wyłącznie o to, kto wyciśnie dla siebie najwięcej korzyści z upadającego systemu przemysłowego. Innymi słowy, pochłania ich wrywanie sobie przysłowiowych leżaków na pokładzie tonącego "Titanica".

Ważniejszą kwestią polityczną, jak zobaczymy, jest nie to, kto ma odgrywać decydującą rolę w ostatnich dniach społeczeństwa przemysłowego, lecz kto już dziś nadaje kształt nowej cywilizacji, przygotowującej się by co rychlej zająć miejsce poprzedniej. Podczas gdy w doraźnych potyczkach politycznych tracimy energię i rozpraszamy uwagę, gdzieś pod powierzchnią toczy się o wiele głębsza batalia. Po jednej stronie stoją rzecznicy przemysłowej

przeszłości; po drugiej - nowe miliony ludzi, którzy widzą, że porządek przemysłowy nie pozwoli nam rozwiązać takich najpilniejszych problemów światowych jak: wyżywienie ludzkości, energia, kontrola zbrojeń, przeludnienie, ubóstwo, zasoby naturalne, środowisko, klimat, problemy ludzi starych, upadek miast, potrzeba produktywnej, dającej satysfakcję pracy.

Ten konflikt to "superwalka" o jutro.

Konfrontacja między grupami interesów związanymi z drugą falą a rzecznikami trzeciej fali niczym prąd elektryczny przenika życie polityczne narodów. Nawet w nieuprzemysłowionych krajach świata nadejście trzeciej fali zmusiło do przekreślenia dawnych i wytyczenia nowych linii frontu. Dawna wojna często jeszcze feudalnych grup interesów, opartych na rolnictwie, z elitami zorientowanymi na rozwój przemysłu, nabiera nowych wymiarów w świetle niechybnej anachroniczności industrializmu. Czy teraz, kiedy pojawia się cywilizacja trzeciej fali, szybki rozwój przemysłu pociąga za sobą wyzwolenie od neokolonializmu i nędzy, czy może raczej utrwała na zawsze uzależnienie jednych narodów od innych?

Dopiero takie szerokie tło pozwala naprawdę pojąć sens prasowych sensacji, odróżnić sprawy priorytetowe, nakreślić rozsądne strategie kontrolowania zmian zachodzących w naszym życiu.

Kiedy to piszę, gazety na pierwszych stronach donoszą o hysterii i losie zakładników w Iranie, zabójstwach w Korei Południowej, zawrotnych spekulacjach złotem, tarcjach między Murzynami i Żydami w USA; o olbrzymim wzroście wydatków wojskowych w RFN, o płonących krzyżach Ku Klux Klanu na Long Island, o zanieczyszczeniu ropą Zatoki Meksykańskiej, o największej manifestacji antynuklearnej w historii i o sporze między bogatymi i biednymi państwami na tle kontroli częstotliwości emisji radiowych. Libię, Syrię i Stany Zjednoczone ogarniają fale coraz to nowych ruchów odrodzenia religijnego, neofaszystowscy fanatycy przypisują sobie "zasługę" popełnienia mordu politycznego w Paryżu, a General Motors ogłasza przełom w technologii, który umożliwi produkcję samochodu o napędzie elektrycznym. Te nie powiązane ze sobą doniesienia wołają o połączenie w jakąś spójną całość, o syntezę.

Wystarczy, że zdamy sobie sprawę z tego, jak zaciekle walka toczy się obecnie między zwolennikami przedłużenia ery industrializmu a tymi, którzy pragną zastąpić ją czymś nowym, by osiąść klucz do zrozumienia świata. Co ważniejsze, narzędzie to możemy wykorzystać po to, by zmieniać świat - zarówno gdy ustalimy politykę dla całego narodu czy strategię dla jednej korporacji, jak i wtedy, gdy myślimy o celach własnego życia.

Aby jednak posługiwać się tym nowym narzędziem, musimy umieć dokładnie odróżniać zmiany, które służą przedłużeniu starej cywilizacji przemysłowej, od zmian, które torują drogę nowej. Słowem, musimy rozumieć zarówno stare, jak i nowe: industrializację drugiej fali, do której przyzwyczało się tak wielu z nas, i cywilizację trzeciej fali, w której przyjdzie żyć nam i naszym dzieciom.

W następnych rozdziałach zajmiemy się najpierw dwiema pierwszymi falami przeobrażeń; przyjrzawszy się im bliżej, będziemy lepiej przygotowani do zgłębiania trzeciej. Zobaczymy, że cywilizacja drugiej fali nie była przypadkową mieszaniną składników, lecz systemem, w którym poszczególne elementy oddziaływały na siebie w sposób dający się mniej więcej dokładnie przewidzieć oraz że podstawowe prawidłowości ery przemysłowej powtarzały się w każdym kraju, niezależnie od dziedzictwa kulturowego czy różnic politycznych między nimi. To jest ta cywilizacja, o której dalsze przetrwanie walczy dzisiejsza "reakcja" - zarówno "lewicowa", jak i "prawicowa". To jest ten świat, któremu zagraża trzecia w historii fala przeobrażeń cywilizacyjnych.

Rozdział II

ARCHITEKTURA CYWILIZACJI

Mniej więcej trzysta lat temu nastąpiła eksplozja, w której wyniku ziemię ogarnęły fale drgań i wstrząsów; runęły pradawne społeczeństwa, powstała kompletnie nowa cywilizacja. Eksplozją tą była oczywiście rewolucja przemysłowa. Wyzwolona wówczas potężna, wzbierająca siła - owa druga fala - zderzyła się z wszystkimi istniejącymi od dawna instytucjami i przeobraziła życie milionów ludzi.

W ciągu długich tysiącleci niepodzielnego panowania cywilizacji pierwszej fali ludność naszej planety dzieliła się na dwie kategorie - na ludy "prymitywne" i "cywilizowane". Ludy tzw. prymitywne, żyjące w niewielkich gromadach i plemionach i utrzymujące się ze zbieractwa, łowiectwa lub rybołówstwa, to te, które ominęła rewolucja agrarna.

W odróżnieniu od nich świat "cywilizowany" obejmował dokładnie te części globu, w których większość mieszkańców zajmowała się uprawą roli. Gdziekolwiek bowiem pojawiało się rolnictwo, tam swe korzenie zapuszczała cywilizacja. Od Chin i Indii po Benin, Meksyk, Grecję i Rzym, cywilizacje rozkwiatały i upadały, zmagaly się w walkach i stapiały w wiecznie zmiennych, barwnych mieszaninach.

Pod powierzchownymi różnicami kryły się jednak zasadnicze podobieństwa. We wszystkich cywilizacjach ziemia była podstawą gospodarki, życia, kultury, struktury rodziny i polityki. We wszystkich życie było zorganizowane wokół wsi. We wszystkich przeważał prosty podział pracy i istniało kilka wyraźnie określonych kast i klas: szlachta, duchowieństwo, wojownicy, niewolnicy lub chłopci pańszczyźniani. Władza miała zawsze charakter dyktatorski. Pozycję życiową określało urodzenie. Wszędzie też gospodarka była zdecentralizowana; w każdej społeczności wytwarzano większość niezbędnych artykułów.

Od tej reguły zdarzały się odstępstwa - wszak nic nie jest proste w historii. Były kultury handlowe, a wywodzący się z nich żeglarze przemierzali morza, a także scentralizowane królestwa oparte na potężnych systemach irygacyjnych. Pomimo różnic należy jednak traktować te pozornie odmienne cywilizacje jako szczególne przypadki jednego i tego samego fenomenu, mianowicie cywilizacji rolniczej, którą przyniosła i rozprzestrzeniła po świecie pierwsza fala.

Zdarzało się w czasie jej panowania, że tu i ówdzie pojawiały się jak gdyby zwiastuny bardzo odległych zjawisk, które miały dopiero nadejść. W starożytnej Grecji i Rzymie istniały załazkowe fabryki prowadzące produkcję masową. Ropę wydobywano spod ziemi na jednej z wysp greckich 400 lat p.n.e., a w Birmie 100 lat p.n.e. W Babilonie i Egipcie bujnie rozkwiły

potężne systemy biurokratyczne. W Azji i Ameryce Południowej wyrosły wielkie metropolie. Istniał pieniądź i jego wymiana. Szlaki handlowe przecinały pustynie, oceany i pasma górskie od kraju Środka do środka Europy. Istniały korporacje i zaczątki państwowości. A w starożytnej Aleksandrii pojawił się nawet zdumiewający archetyp silnika parowego.

Nigdzie jednak nie powstało nic, co bodaj w przybliżeniu można by było nazwać cywilizacją przemysłową. Te, nazwijmy to, przebłyski przyszłości przypominały zwykle dziwactwa historii, porozrzucane bezładnie po różnych miejscach i epokach. Nigdy nie złożyły się one na żaden spójny system, bo też nie mogły się nań złożyć. A zatem można mówić, że mniej więcej do lat 1650 - 1750 nad światem dominowała pierwsza fala. Panowała cywilizacja rolnicza i wydawało się, że będzie tak po wsze czasy - mimo występujących gdzieś wysepki prymitywizmu lub znamion przemysłowej przyszłości.

W tym właśnie świecie doszło do wybuchu rewolucji przemysłowej, która nadała bieg drugiej fali i stworzyła dziwną, przepotężną i tętniącą gorączkowo kontrocywilizację. Industrializm to były nie tylko kominy i linie montażowe. Był to bogaty, wszechstronny system społeczny, który wywierał wpływ na wszystkie aspekty życia ludzkiego i rzucił wyzwanie wszystkiemu, co było związane z pierwszą falą. To industrializm stworzył wielką fabrykę Willow Run pod Detroit, on też umieścił traktor na polu, maszynę do pisania w biurze, lodówkę w kuchni. Stworzył gazetę codzienną i kino, metro i samolot DC-3. Dał nam kubizm i muzykę dwunastotonową. A także domy w stylu Bauhausu i krzesła barcelońskie, strajki okupacyjne, witaminy w tabletkach i dłuższe życie. Dzięki niemu upowszechnił się zegarek ręczny i urna wyborcza. Co ważniejsze, połączył on te wszystkie rzeczy razem - zmontował je niczym jakiś mechanizm - tworząc w ten sposób najpotężniejszy, najbardziej zwarty i niepowstrzymany w swej ekspansji z wszystkich znanych do tamtej pory system społeczny - cywilizację drugiej fali.

GWAŁTOWNE ROZWIĄZANIA

Przetaczając się przez różne kraje, druga fala wszędzie powodowała krwawą, przewlekłą wojnę między obrońcami rolniczej przeszłości i partyzantami przemysłowej przyszłości. W czołowym zderzeniu sił pierwszej i drugiej fali odpadały, niczym odpryski, napotymane po drodze, często dziesiątkowane, ludy "prymitywne".

W Stanach Zjednoczonych do zderzenia doszło z chwilą przybycia Europejczyków, którzy pragnęli tam założyć rolniczą cywilizację pierwszej fali. Rolnicza biała fala parła bezwzględnie na Zachód, wywłaszczając Indian z ich ziemi i znacząc drogę świeżo zakładanymi farmami i wsiami - dalej i dalej, ku brzegom Pacyfiku.

Ale w ślad za farmerami zjawili się natychmiast rzecznicy przemysłu - agenci drugiej fali. W Nowej Anglii i stanach środkowych Wschodniego Wybrzeża zaczęły wyrastać fabryki i miasta. Już w pierwszej połowie XIX wieku w stanach północno-wschodnich szybko rozwijała się przemysłowa produkcja broni palnej, zegarków, sprzętu rolniczego, tekstyliów, maszyn do szycia i innych artykułów; reszta zaś kontynentu była tymczasem wciąż niepodzielnie rolnicza. Napięcia natury ekonomicznej i społecznej między siłami pierwszej i drugiej fali nasilały się do 1861 roku, kiedy to - osiągnąwszy szczyt - znalazły rozładowanie w formie starcia zbrojnego.

Przyczyną wojny domowej nie była wyłącznie, jak często sądzono, moralna kwestia niewolnictwa albo wąskie problemy gospodarcze w rodzaju sporu o wysokość ceł. Stawką była kwestia o wiele poważniejsza, mianowicie to, czy na nowo odkrytym bogatym kontynencie będą panować farmerzy, czy przemysłowcy, siły pierwszej fali czy drugiej? Czy przyszłe społeczeństwo amerykańskie będzie głównie rolnicze, czy przemysłowe? Z chwilą, gdy armie z Północy odniosły zwycięstwo, klamka zapadła. Industrializacja całych Stanów Zjednoczonych została więc przesądzona. Od tamtej pory w gospodarce, polityce, w życiu społecznym i kulturalnym rolnictwo występowało z pozycji przegranej, a znaczenie przemysłu rosło. Pierwsza fala powoli opadała, a równocześnie coraz gwałtowniej narastał napór drugiej fali.

Cywilizacje zderzały się także i gdzie indziej. W Japonii, począwszy od roku 1868, w okresie tzw. rewolucji Meiji, rozegrała się w bardzo japońskim stylu ta sama walka - walka rolniczej przeszłości z przemysłową przyszłością. Zniesienie feudalizmu przed 1876 rokiem, bunt klanu Satsuma w 1877, przyjęcie w roku 1889 konstytucji w stylu zachodnim - wszystko to było odzwierciedleniem zderzenia pierwszej i drugiej fali w Japonii; były to pierwsze kroki na drodze tego kraju do stania się potęgą przemysłową pierwszej wielkości.

Również w Rosji doszło do gwałtownego starcia między siłami pierwszej i drugiej fali. Rewolucja 1917 roku była rosyjską wersją amerykańskiej Wojny o Niepodległość. Bój toczył się przede wszystkim nie o komunizm - jak się wydawało - lecz znów o uprzemysłowienie. Po starciu z powierzchnią ziemi ostatnich oznak pańszczyzny i monarchii feudalnej bolszewicy odsunęli na dalszy plan rolnictwo, świadomie przyspieszając industrializm. Tym samym opowiedzieli się za drugą falą.

Od kraju do kraju, wszędzie eksplodowało zderzenie sił pierwszej i drugiej fali, prowadząc do kryzysów politycznych i przewrotów, do strajków, powstań, zamachów stanu i wojen. Ale do połowy XX wieku siły pierwszej fali zostały doszczętnie rozbite i Ziemią zawładnęła cywilizacja drugiej fali.

Dziś gorset przemysłowy ściska półkulę północną między 25 a 65 równoleżnikiem. W Ameryce Północnej wiodzie życie przemysłowe blisko 250 milionów ludzi. W Europie, od Skandynawii aż po Włochy, dalsze ćwierć miliarda żyje w industrializmie. Ku wschodowi rozciąga się "eurosyjski" region przemysłowy - Europa Wschodnia i zachodnia część Związku Radzieckiego; tam znajduje się dalsze ćwierć miliarda ludzi żyjących w społeczeństwach przemysłowych. No i wreszcie dochodzimy do azjatyckiego regionu przemysłowego obejmującego Japonię, Hongkong, Singapur, Tajwan, Australię, Nową Zelandię i część Korei Południowej oraz kontynentu chińskiego, w sumie znów ćwierć miliarda istot przemysłowych. Razem wzięwszy, cywilizacja przemysłowa obejmuje z grubsza miliard ludzi - czyli czwartą część całej ludności zamieszkującej kulę ziemską.²

Mimo kolosalnych różnic językowych, kulturowych, historycznych i politycznych - różnic tak głębokich, że wybuchały o nie wojny - wszystkie społeczeństwa drugiej fali mają też niemało cech wspólnych. W rzeczywistości pod rzucającymi się w oczy różnicami tkwią ukryte podobieństwa.

Aby dobrze zrozumieć napierające na siebie z przeciwnych stron fale współczesnych przeobrażeń, musimy nauczyć się wyraźnie dostrzegać analogiczne struktury występujące we wszystkich krajach przemysłowych; musimy wyodrębnić ów utajony szkielet cywilizacji drugiej fali. Dziś bowiem ten właśnie przemysłowy szkielet grozi rozsypaniem.

ŻYWE BATERIE

Warunkiem istnienia każdej cywilizacji - starej czy nowej - jest energia. Społeczeństwa pierwszej fali czerpały energię z "żywych baterii" - z mięśni ludzkich i zwierzęcych, a także ze słońca, wiatru i wody. Żeby gotować i ogrzewać domy, ścinano drzewa. Koła wodne, czasem wykorzystując przyływy, obracały kamienie młyńskie. Na polach skrzypiały wiatraki. Zwierzęta ciągnęły pługi. Szacuje się, że jeszcze w czasach rewolucji francuskiej wykorzystywano w Europie siłę pociagową czternastu milionów koni i dwudziestu czterech milionów wołów. Tak więc wszystkie społeczeństwa pierwszej fali pobierały energię ze źródeł odnawialnych. Natura uzupełniała z czasem wytrzebione lasy, przywracała siłę wiatrom, które wzdymały żagle łodzi, i wartkość rzekom, co popychały łopatkami kół

² Na użytek niniejszej książki przyjmuję, że światowy system przemysłowy około 1979 roku obejmował: Amerykę Północną, Skandynawię, Wielką Brytanię i Irlandię, Europę - zarówno Wschodnią, jak i Zachodnią (z wyjątkiem Portugalii, Hiszpanii, Albanii, Grecji i Bułgarii), ZSRR, Japonię, Tajwan, Hongkong, Singapur, Australię i Nową Zelandię. Można by ewentualnie wziąć pod uwagę jeszcze inne kraje, jak również niektóre ośrodki przemysłowe w zasadniczo nie przemysłowych krajach - takie jak na przykład Monterrey i Meksyk w Meksyku, Bombaj w Indiach i wiele innych.

młyńskich. Nawet zwierzęta i ludzi - owych "niewolników oddających swą energię" - można było zastąpić innymi.

Spółeczeństwa drugiej fali, przeciwnie, zaczęły pobierać energię z węgla, gazu i ropy naftowej, a więc z nieodnawialnych paliw kopalnych. Ta rewolucyjna zmiana, która nastąpiła po udoskonaleniu przez Newcomena w 1812 roku silnika parowego, oznaczała, że po raz pierwszy cywilizacja jęła wydatkować zasoby naturalnego kapitału, miast utrzymywać się jedynie z odsetków od tego kapitału.

Sięgnięcie po ziemskie zasoby energii ogromnie zasiłowało cywilizację przemysłową, przyspieszając znacznie jej rozwój gospodarczy. Od tamtej pory po dziś dzień, wszędzie, gdzie przetoczyła się druga fala, ludzie - wychodząc z założenia, że tanich paliw kopalnych nigdy nie zabraknie - wznosili niebotyczne struktury technologiczne i gospodarcze. W społeczeństwach przemysłowych - zarówno kapitalistycznych, jak i socjalistycznych, na Wschodzie i na Zachodzie - zachodziły te same zmiany, mianowicie przechodzenie od energii rozproszonej do skoncentrowanej; od odnawialnej do nieodnawialnej; od wielu rozmaitych źródeł energii i paliw do zaledwie kilku. Paliwa kopalne stały się bazą energetyczną dla wszystkich społeczeństw drugiej fali.

BRZUCH TECHNOLOGICZNY

Przejściu do nowego systemu energetycznego towarzyszył kolosalny postęp techniczny. Społeczeństwa pierwszej fali opierały się - jak nazwał to 2 tysiące lat temu Witruwiusz - na "wynałazkach niezbędnych". Ale tamte kołowroty i kliny, katapulty, prasy do winorośli, lewary i żurawie służyły głównie do zwielokrotniania siły mięśni ludzi i zwierząt.

Druga fala wyniosła technologię na zupełnie inny poziom. Wydała mocarne maszyny elektromechaniczne, ruchome części maszyn, pasy transmisyjne, węże gumowe, łożyska i sworznie i puściła to wszystko w ruch. Nowe maszyny nie tylko dodawały mocy muskułom, robiły coś więcej. Cywilizacja przemysłowa wyposażała technologie w organy zmysłowe tworząc maszyny, które słyszą, widzą i dotykają dokładniej i precyzyjniej niż człowiek. Dała technologii brzuch, tworząc obrabiarki, czyli maszyny przeznaczone do wydawania na świat nieskończonej ilości i odmian nowych maszyn. Co ważniejsze, połączyła maszyny we wzajemne układy i umieściła je pod jednym dachem, utworzyła w ten sposób fabrykę, a w jej wnętrzu ulokowała linię montażową.

Z tej bazy technologicznej zrodziło się wiele gałęzi przemysłu, które odcisnęły swe piętno na cywilizacji drugiej fali. Najpierw były koleje i włókiennictwo, a następnie węgiel, stal, samochody, aluminium, przemysł chemiczny i sprzęt domowy. Wyrosły ogromne miasta

fabryczne - Lille i Manchester z przemysłem włókienniczym, Detroit z samochodowym, Essen i później Magnitogorsk z hutnictwem stali oraz setki innych.

Z tych centrów przemysłowych płynęły nie kończące się miliony identycznych produktów - koszul, butów, samochodów, zegarków, zabawek, mydeł, szamponów, aparatów fotograficznych, karabinów maszynowych i silników elektrycznych. Nowa technologia zasilana przez nowy system energetyczny otworzyła drzwi przed produkcją masową.

CYNOBROWA PAGODA

Sama produkcja masowa znaczyła jednak niewiele bez jednoczesnych zmian w systemie dystrybucji. Społeczeństwa pierwszej fali wytwarzały dobra metodami rzemieślniczymi. Przedmioty, każdy z osobna, powstawały na zamówienie.

To prawda, że olbrzymie wielofunkcyjne kompanie handlowe zakładali już kupcy w spēkaniach rozsadzających feudalny porządek w krajach zachodnich. Kompanie te wyznaczały szlaki handlowe na całym świecie, organizowały konwoje statków i karawany wielbłądów. Sprzedawały szkło, papier, jedwab, gałkę i kwiat muszkatołowy, herbatę, wino, wełnę i indygo.

Większość tych towarów docierała jednak do odbiorców poprzez małe sklepiki albo za pośrednictwem domokrażców dźwigających je po wsiach i osadach na własnych plecach lub w ręcznych wózkach. Fatalna komunikacja i prymitywny transport drastycznie ograniczały rozmiary rynku. Drobnik sklepiarze i wędrowni handlarze mieli na sprzedaż jedynie drobiazgi, a przy tym bywało, że takiego czy innego artykułu brakowało im miesiącami lub nawet latami.

W tym ledwie dyszącym, przeciążonym systemie dystrybucji druga fala wprowadziła zmiany, które na swój sposób były równie radykalne, jak rzucające się w oczy innowacje i postęp w produkcji. Koleje, szosy i kanały wodne dosięgły najdalszych rubieży; wraz z industrializmem pojawiły się "pałace handlu" - pierwsze domy towarowe. Powstały skomplikowane siatki pośredników, hurtowników, agentów komisowych i akwizytorów. W 1871 roku zaś George Huntington Hartford, właściciel pierwszego domu handlowego w Nowym Jorku, otynkowanego na cynobrowo, z budką kasjera w kształcie pagody, uczynił w dziedzinie dystrybucji to, co później wprowadził Henry Ford do fabryki; Hartford stworzył pierwszy w świecie łańcuchowy system domów sprzedaży - Wielką Kompanię Herbacianą Atlantyck-Pacyfik.

Indywidualne dostawy towarów ustąpiły miejsca masowej dystrybucji sprzedaży; zjawiska te stały się równie powszednim i ważnym jak sama maszyna elementem wszystkich

społeczeństw przemysłowych.

Biorąc pod uwagę te wszystkie zmiany, zobaczymy, że przeobrażeniu uległo coś, co można nazwać "technosferą". Wszystkie społeczeństwa - prymitywne, rolnicze, przemysłowe - zużywają energię, wytwarzają rzeczy i organizują ich dystrybucję. We wszystkich krajach system energetyczny, system produkcji i system dystrybucji stanowią powiązane z sobą części rozleglejszego systemu, czyli właśnie technosfery, mającej - na każdym etapie rozwoju społecznego - swą charakterystyczną postać.

Kiedy przez naszą planetę przetaczała się druga fala, miejsce technosfery rolniczej zajmowała technosfera przemysłowa: energia pochodząca z nieodnawialnych źródeł została zastosowana wprost do produkcji masowej; system produkcji masowej zaś wypływał strumień towarów, przejmowanych przez rozbudowany system masowej dystrybucji.

RUCHLIWSZA RODZINA

Technosfera drugiej fali wymagała jednak równie rewolucyjnej "socjosfery", w której mogłaby znaleźć dla siebie odpowiednie warunki. Musiał się więc radykalnie zmienić kształt organizacji społecznej.

Przed rewolucją przemysłową, dla przykładu, w zależności od miejsca na mapie, istniały różne formy rodziny. Lecz wszędzie tam, gdzie rolnictwo stanowiło podstawę egzystencji, ludzie najczęściej żyli w dużych, wielopokoleniowych zbiorowiskach - pod jednym dachem z wujami i ciotkami, teściami, dziadkami, babkami i gromadą kuzynów, z którymi wszyscy razem pracowali jako produkcyjna jednostka gospodarcza. W Indiach była to rodzina łączona, w krajach bałkańskich - "zadruga", w Europie Zachodniej - wielopokoleniowa "rodzina rozszerzona". Rodzina była unieruchomiona, przywiązana do ziemi.

Kiedy do społeczeństw pierwszej fali dotarła druga fala, rodziny zaczęły przeżywać stres związany z zachodzącymi zmianami. W każdym domu zderzenie dwóch napierających na siebie fal przejawiało się w formie konfliktu; zachwiała się autorytatywna władza ojca, zmienił się stosunek dzieci do rodziców, z czasem pojawiły się nowe obyczaje. Kiedy produkcja przeniosła się z pola do fabryki, skończyła się wspólna praca wszystkich członków rodziny jako jednostki gospodarczej. Robotnicy musieli bez reszty oddać się do dyspozycji fabryki, toteż inne ważne funkcje rodziny zostały rozparcelowane między nowe, wyspecjalizowane instytucje. Edukacją dzieci zajęły się szkoły. Opieką nad ludźmi starymi - przytułki i domy starców, a nade wszystko - nowe społeczeństwo musiało być mobilne; potrzebni byli robotnicy, którzy za pracę przenosili się z miejsca na miejsce.

Obarczona leciwymi krewnymi, chorymi, kalekami, tudzież licznym potomstwem,

tradycyjna rodzina w żadnym wypadku nie mogła pozwolić sobie na ruchliwość. Przeto w nowych warunkach, stopniowo i nie bez trudności, struktura rodziny zaczęła ulegać zmianie. Rozdarte z powodu migracji do miast, zdruzgotane przez ciosy natury ekonomicznej, rodziny pozbywały się uciążliwych krewnych, małały, stawały się bardziej ruchliwe i dostosowywały się do potrzeb nowej technosfery.

Społecznie akceptowaną normą stała się rodzina nuklearna - składająca się z ojca, matki i kilkorga dzieci; rodzina wolna od zbytecznego ciężaru, jakimi byli inni krewni. Taki "nowoczesny" model rodziny występował we wszystkich społeczeństwach przemysłowych, zarówno kapitalistycznych, jak i socjalistycznych. Nawet w Japonii, gdzie kult przodków dawał seniorom wyjątkową pozycję, pod wpływem naporu drugiej fali zaczęły się rozpadać duże, zżyte ze sobą rodziny wielopokoleniowe. I tam coraz częściej tworzyły się komórki nuklearne. Słowem, rodzina nuklearna stała się rysem charakterystycznym społeczeństw drugiej fali, odróżniającym je równie wyraźnie i jednoznacznie, jak paliwa kopalne, huty czy domy towarowe, od społeczeństw pierwszej fali.

CZEGO NAPRAWDĘ UCZY SZKOŁA?

Gdy coraz mniej ludzi wymagała praca w polu i w domu, do życia fabrycznego trzeba było przygotować również dzieci. Właściciele kopalń, hut i fabryk w uprzemysławiającej się Anglii - jak pisał już w 1836 roku Andrew Ure - szybko zauważyli, że "przestawienie się ludzi dojrzałych na pracę w fabryce było niemal niemożliwe, i to niezależnie od tego, czy wywodzili się oni ze środowiska wiejskiego, czy rzemieślniczego". Gdyby można było zawczasu wdrażać młodych ludzi do pracy w systemie przemysłowym, potem byłoby o wiele mniej problemów z niezbędną w przemyśle dyscypliną pracy. Tak właśnie powstała kolejna centralna struktura wszystkich społeczeństw drugiej fali, a mianowicie masowa edukacja.

Masowa oświata, wzorowana na modelu fabryki, dawała podstawy umiejętności czytania, pisania i arytmetyki, odrobinę historii i trochę wiedzy z kilku innych przedmiotów. Był to "jawny program nauczania". Pod nim jednak krył się niewidoczny, "ukryty program", mający o wiele większe znaczenie. Obejmował on - i w wielu krajach przemysłowych nadal obejmuje - trzy przedmioty: punktualność, posłuszeństwo i umiejętność wykonywania rutynowej, powtarzalnej pracy. Ludzie zatrudnieni w fabryce, zwłaszcza przy obsłudze linii montażowej, musieli być punktualni. Musieli przyjmować bez żadnych zastrzeżeń polecenia wydawane im przez członków hierarchii kierowniczej. Musieli umieć tkwić niewolniczo przy maszynach lub w biurach, wykonując powtarzające się do znudzenia, te same czynności.

Tak oto, począwszy od połowy XIX wieku, w miarę jak druga fala ogarniała coraz to nowe

kraje, w systemie oświaty następował osobliwy "postęp": szkołę zaczynały coraz to młodsze dzieci; rok szkolny stale się wydłużał (w Stanach Zjednoczonych między 1878 i 1956 rokiem czas zajęć szkolnych zwiększył się o 35 procent), ustawicznie rosła też liczba lat obowiązkowego nauczania.

Masowa oświata publiczna stanowiła wyraźny krok naprzód w zakresie humanizacji życia. "Uważamy - oświadczyła w 1829 roku grupa nowojorskich robotników - że oświata, zaraz po życiu i wolności, stanowi największe błogosławieństwo ludzkości." Szkoły drugiej fali urabiały młodych ludzi, pokolenie za pokoleniem, modelując ich na podatną, zuniformalizowaną siłę roboczą, jakiej wymagała elektromechaniczna technologia i linia montażowa.

Rodzina nuklearna i wzorowana na fabryce szkoła łącznie stanowiły część jednolitego, zintegrowanego systemu, w pełni nastawionego na przygotowanie młodych ludzi do typowych ról w społeczeństwie przemysłowym. Także pod tym względem wszystkie społeczeństwa drugiej fali - czy to kapitalistyczne, czy socjalistyczne, na Północy czy na Południu - były jednakowe.

ISTOTY NIEŚMIERTELNE

W społeczeństwach drugiej fali powstała jeszcze jedna instytucja kontroli społecznej uzupełniająca dwie poprzednie. Wynalazek ten jest znany jako korporacja. Do czasu jej powstania typowe przedsiębiorstwo produkcyjne lub handlowe było własnością jednostki, rodziny lub spółki. Korporacje, owszem, też istniały, ale niezmiernie rzadko.

Jak twierdzi historyk Arthur Dewing, jeszcze w czasie rewolucji amerykańskiej "nikt nie mógł przewidzieć", że właśnie korporacja - a nie spółka czy własność indywidualna - stanie się główną formą organizacyjną w biznesie. Niezbyt dawno, bo w 1800 roku, w Stanach Zjednoczonych było tylko 335 korporacji, z których większość zajmowała się taką działalnością użyteczności publicznej, jak budowa kanałów czy utrzymywanie głównych dróg.

Wszystko zmieniło się w wyniku rozwoju produkcji masowej. Technologie drugiej fali wymagały kolosalnych zasobów kapitału, którego zgromadzenie przekraczało możliwości pojedynczego człowieka lub nawet grupki ludzi. Dopóki właściciele czy partnerzy przy każdej inwestycji ryzykowali cały osobisty majątek, dopóty nie mieli wielkiej ochoty utopić go w zbyt rozległych lub ryzykownych przedsięwzięciach. Aby ich zachęcić do udziału w dużych inwestycjach, wprowadzono zasadę ograniczonej odpowiedzialności. Jeżeli zdarzyło się, że korporacja upadła, udziałowiec tracił tylko tę sumę, jaką zainwestował, i nic ponadto.

Innowacja ta przerwała tamy hamujące przedtem wielkie inwestycje.

Prawo traktowało korporację jako "istotę nieśmiertelną", co znaczyło, że mogła ona żyć dłużej niż jej założyciele. A zatem, korporacja mogła robić bardzo dalekosiężne plany i podejmować o wiele większe inwestycje niż kiedykolwiek przedtem.

W 1901 roku powstała United States Steel, pierwsza na świecie korporacja o majątku rzędu miliarda dolarów - taka koncentracja aktywów była niewyobrażalna w żadnej epoce wcześniejszej. Do 1919 roku istniało już pół tuzina takich kolosów. W istocie, wielkie korporacje wrosły w życie gospodarcze wszystkich krajów przemysłowych, z socjalistycznymi i komunistycznymi włącznie; miały tam one wprawdzie nieco inną formę, ale ich istota (w sensie organizacyjnym) była w dużej mierze ta sama. Te trzy zjawiska - rodzina nuklearna, szkoła na wzór fabryki oraz wielka korporacja - stały się instytucjami społecznymi charakterystycznymi dla wszystkich społeczeństw drugiej fali.

Tak więc, na całym świecie objętym drugą falą - w Japonii i w Szwajcarii, w Wielkiej Brytanii, Polsce, USA i w ZSRR - ludzie przeważnie podążali standardową trajektorią życia: najpierw wyrastali w rodzinie nuklearnej, potem przechodzili masowo przez szkoły wzorowane na fabryce, a następnie wstępowali do wielkiej korporacji, prywatnej lub państwowej. Zawsze, na każdym etapie ich życia, sprawowała nad nimi kontrolę któraś z kluczowych instytucji drugiej fali.

FABRYKA MUZYKI

Wokół tych trzech głównych instytucji wyrosło mnóstwo innych. Powstały ministerstwa, kluby sportowe, kościoły, izby handlu, związki zawodowe, organizacje profesjonalne, partie polityczne, biblioteki, stowarzyszenia etniczne, grupy rekreacyjne i tysiące innych. Instytucje te, które rozmnożyły się w ślad za drugą falą, utworzyły skomplikowane środowisko organizacyjne, gdzie każda z grup wspomaga, koordynuje i równoważy działalność innej.

Rozmaitość tych grup może na pierwszy rzut oka sugerować pozorną ich przypadkowość lub chaos. Przyjrząwszy się im bliżej, zobaczymy jednak pewną ukrytą prawidłowość. Otóż w krajach, po kolei obejmowanych we władanie drugiej fali, nowatorzy i działacze społeczni - uważając, że fabryka jest najwcześniejszą formą przedsiębiorstwa produkcyjnego - chcieli zastosować te same zasady organizacyjne również do innych organizmów społecznych. Dlatego właśnie organizacje drugiej fali, a więc między innymi szkoły, szpitale, więzienia i urzędy państwowe, przyjęły tyle cech typowych dla fabryki - wśród nich podział pracy i obowiązków, taką samą hierarchiczną strukturę i taką samą zimną i nieczułą bezosobowość.

Nawet sztuka w pewnym sensie upodobniła się do fabryki. W długim okresie cywilizacji

rolniczej muzyki, malarze i rzeźbiarze, kompozytorzy i pisarze pracowali dla mecenasa lub opiekuna; natomiast później artyści coraz bardziej uzależniali się od rynku. Coraz częściej ich "produkty" przeznaczone były dla anonimowych odbiorców. W wyniku tej zmiany, która zaszła we wszystkich krajach drugiej fali, zmienił się sam charakter twórczości artystycznej.

Bardzo przekonujący jest przykład muzyki. Z nadejściem drugiej fali w Londynie, Wiedniu, Paryżu i innych miastach sale koncertowe mnożyły się jak grzyby po deszczu. Wraz z nimi powstała kasa biletowa i pojawił się impresario, czyli biznesman, który finansował występy i sprzedawał bilety konsumentom dóbr kulturalnych.

Im więcej zdołał sprzedać biletów, tym więcej zarobił. Dlatego w salach zaczęło przybywać krzeseł. Ale w większych salach potrzebowano głośniejszej muzyki, gdyż słuchano jej także na jaskółce. Wówczas muzyka kameralna ustąpiła miejsca formom symfonicznym.

W DOBRZE UDOKUMENTOWANEJ *HISTORII INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH* KURT SACHS POWIADA: "PRZEJŚCIE OD KULTURY DWORSKIEJ DO DEMOKRATYCZNEJ POCIĄGNĘŁO ZA SOBĄ ZMIANĘ MAŁYCH SALONÓW NA CORAZ TO WIĘKSZE I POTĘŻNIEJSZE SALE KONCERTOWE, KTÓRE WYMAGAŁY WIĘKSZEGO WOLUMENU BRZMIENIA.³ **Nie istniały wówczas jeszcze umożliwiające to technologie, toteż przybywało instrumentów i muzyków, dzięki którym osiągnęto wymaganą siłę brzmienia. W efekcie powstała współczesna orkiestra symfoniczna; dla tej właśnie industrialnej instytucji pisali swe wspaniałe symfonie Beethoven, Mendelssohn, Schubert i Brahms.**

Nawet struktura wewnętrzna orkiestry była lustrzanym odbiciem fabryki. Najpierw orkiestra symfoniczna nie miała kierownika albo zwyczajowo kierowali nią po kolei poszczególni muzycy. Później - dokładnie tak samo jak robotników w fabryce lub urzędników w biurokratyzowanej instytucji - muzyków przydzielano do oddzielnych zespołów (czyli sekcji instrumentalnych), przy czym każdy z artystów miał swój wkład w ostateczny produkt (czyli w wykonanie utworu), każdy podlegał odgórnej koordynacji ze strony menedżera (czyli dyrygenta), a z czasem nawet ze strony tymczasowego zwierzchnika znajdującego się na niższym szczeblu hierarchii kierowniczej (czyli, na przykład, koncertmistrza lub pierwszego głosu w danej grupie instrumentów). Instytucja ta sprzedawała swe wytwory na rynku dla odbiorcy masowego - uzupełniając ostatnio swą "produkcję" jeszcze płytami gramofonowymi, taśmami i kasetami. Tak narodziła się fabryka muzyki.

Dzieje orkiestry to tylko jedna ilustracja sposobu, w jaki tworzyła się socjosphera drugiej

³ Kurt Sachs, *Historia instrumentów muzycznych*, przeł. Stanisław Olędzki, Warszawa 1975, s. 431.

fali, na którą złożyły się trzy główne instytucje i tysiące rozmaitych organizacji, przy czym wszystkie one dostosowane były do potrzeb i stylu przemysłowej technosfery. Lecz cywilizacja to coś więcej niż technosfera i odpowiadająca jej socjosfera. W każdej cywilizacji musi też istnieć "infosfera", której zadaniem jest produkowanie i rozpowszechnianie informacji; również i w tej dziedzinie druga fala wprowadziła ogromne zmiany.

PAPIEROWY POTOP

GROMADY LUDZKIE OD EPOK PRYMITYWNYCH PO DZIEŃ DZISIEJSZY ZAWSZE OPIERAŁY SIĘ NA OSOBISTEJ, BEZPOŚREDNIEJ KOMUNIKACJI MIĘDZY ICH CZŁONKAMI. DO PRZEKAZYWANIA WIADOMOŚCI W CZASIE I PRZESTRZENI POTRZEBNE BYŁY JEDNAK SPECJALNE SYSTEMY. STAROŻYTNI PERSOWIE USTAWIALI PODOBNO NA WIEŻACH POSTERUNKI LUB, JAK KTO WOLI, "PUNKTY INFORMACYJNE", SKĄD - OD WIEŻY DO WIEŻY - MĘŻOWIE OBDARZENI SZCZEGÓLNIEM DONOŚNYM GŁOSEM PRZESYŁALI OBWIESZCZENIA I NOWINY. RZYMIANIE MIELI ROZBUDOWANĄ SIEĆ POSŁAŃCÓW, ZWANĄ *CURSUS PUBLICUS*. MIĘDZY ROKIEM 1305 A POCZĄTKIEM XIX WIEKU SPECJALNY CECH POSŁAŃCÓW UTRZYMYWAŁ COŚ W RODZAJU OGÓLNOEUROPEJSKIEJ POCZTY ROZSTAWNEJ. DO 1628 ROKU ZATRUDNIAŁ ON 20 000 LUDZI. ODZIANI W NIEBIESKIE SUTO SREBREM SZAMEROWANE UNIFORMY, KURIERZY PRZEMIERZALI KONTYNET Z WIADOMOŚCIAMI DO I OD KSIĄŻĄT, GENERALÓW, KUPCÓW I BANKIERÓW.

W dobie cywilizacji pierwszej fali wszystkie te kanały zastrzeżone były tylko dla bogatych i możnych. Zwykli ludzie nie mieli do nich dostępu. "Wszelkie próby wysłania listów innymi sposobami - pisze historyk Laurin Zilliacus - władze traktowały podejrzliwie lub... zabraniały ich w ogóle." Słowem, podczas gdy bezpośrednia wymiana informacji między ludźmi była dostępna dla każdego, to bardziej wyrafinowane systemy przekazu informacji poza ścisłym obrębem rodziny lub wioski były zasadniczo niedozwolone i używane tylko dla celów odgórnej kontroli społecznej lub politycznej. Stanowiły one zatem broń elity.

Druga fala, przetaczając się z kraju do kraju, doszczętnie zmiotła ten monopol na komunikację. Stało się tak nie dlatego, że bogatych i możnych nagle opanował altruizm, lecz dlatego, że technologia drugiej fali i fabryczna produkcja masowa wymagały "masowego" obiegu informacji, któremu stare kanały po prostu nie potrafiły sprostać.

W prymitywnych społeczeństwach, a także w społeczeństwach pierwszej fali, informacja niezbędna do produkcji gospodarczej była względnie nieskomplikowana i można ją było uzyskać od kogoś, kto znajdował się pod ręką. Przeważnie była to informacja ustna lub wyrażana za pomocą gestu. Natomiast gospodarka drugiej fali wymagała dokładnej koordynacji pracy wykonywanej w różnych miejscach. Produkować, i to w dużych ilościach,

a następnie rozprawiać, trzeba było nie tylko surowce, ale i informacje.

Dlatego, gdy druga fala zaczęła przybierać na sile, w poszczególnych krajach co rychlej organizowano usługi pocztowe. Poczta była wynalazkiem mniej więcej tak samo pomysłowym i użytecznym, jak odziarniarka do bawełny lub przędzarka; dziś już nikt nie pamięta, jaki ekstatyczny entuzjazm wywołała pierwsza poczta. Mówca amerykański, Edward Everett, oświadczył na przykład: "Skłonny jestem uznać pocztę - zaraz po chrześcijaństwie - za prawe ramię naszej współczesnej cywilizacji."

POCZTA UMOŻLIWIŁA SZEROKI PRZEPLÝW INFORMACJI. DO 1837 ROKU POCZTA BRYTYJSKA PRZEKAZYWAŁA NIE TYLKO WIADOMOŚCI INTERESUJĄCE ELITĘ, ALE PONADTO 88 MILIONÓW PRZESYŁEK ROCZNIE; JAK NA TAMTE CZASY BYŁA TO DOPRAWDY LAWINA WIADOMOŚCI. DO 1960 ROKU, GDY ERA PRZEMYSŁOWA DOSZŁA DO SZCZYTU I DRUGA FALA ZACZĘŁA Z WOLNA OPADAĆ, LICZBA TA WZROSŁA JUŻ DO 10 MILIARDÓW. W TYM SAMYM ROKU NA KAŻDEGO OBYWATELA, Z KOBIETAMI I DZIEĆMI WŁĄCZNIE, PRZYPADAŁO 355 PRZESYŁEK, ROZPROWADZANYCH PRZEZ POCZTĘ AMERYKAŃSKĄ W RUCHU KRAJOWYM.⁴

Wzrost ilości informacji przesyłanych za pośrednictwem poczty, jaki towarzyszył rewolucji przemysłowej, stanowił zaledwie znikomą część ogromnego strumienia informacji, który uruchomiła druga fala. W rozbudowanych przedsiębiorstwach i organizacjach, jak gdyby w systemie "mikro-pocztowym", przepływ informacji obejmował jeszcze więcej wiadomości. Okólniki to przecież listy, które nie trafiają do otwartych kanałów komunikacji pocztowej. W 1955 roku, kiedy druga fala na dobre ogarnęła Stany Zjednoczone, Komisja Hoovera zbadała archiwa trzech wielkich korporacji. Stwierdzono wówczas, że na każdego pracownika przypadało tam rocznie odpowiednio - 34, 56 i 64 tysiące dokumentów, z którymi musieli się oni zapoznawać.

Tej nieprawdopodobnej potrzeby nadawania i otrzymywania informacji w społeczeństwach przemysłowych nie można jednak było zaspokoić wyłącznie pismami. W wieku XIX wynaleziono więc telefon i telegraf, które przejęły sporą porcję z pęczniejącego stosu przekazów informacyjnych. Jeszcze przed 1960 rokiem Amerykanie odbywali dziennie 256 milionów rozmów telefonicznych - a więc rocznie 93 miliardy rozmów; nawet najnowocześniejsze systemy i sieci telefoniczne w świecie bywały często przeciążone ponad miarę. Wszystkie wymienione systemy służyły zasadniczo do przekazywania wiadomości od

⁴ Ilość przesyłek pocztowych stanowi trafny, bezpośredni wskaźnik poziomu uprzemysłowienia danego kraju. Dla społeczeństw drugiej fali w 1960 roku średnia wynosiła 141 przesyłek na osobę. Natomiast w krajach pierwszej fali wskaźnik ten utrzymywał się na poziomie niższym niż dziesiąta część tej liczby - a więc do 12 przesyłek na osobę rocznie w Malezji i Ghanie, a tylko 4 przesyłki na osobę rocznie w Kolumbii.

jednej osoby do drugiej. Jednakże w społeczeństwie rozwijającym masową produkcję i konsumpcję potrzebne były również środki do przesyłania komunikatów masowych - czyli wiadomości prokurowanych przez jednego nadawcę dla wielu odbiorców naraz. W przeciwieństwie do pracodawcy przedindustrialnego, który w razie potrzeby mógł zobaczyć się z każdym spośród garstki swoich pracowników w jego własnym domu, pracodawca ery przemysłowej nie mógł już osobiście komunikować się z tysiącami zatrudnionych przez siebie robotników. A jeszcze trudniej było nawiązać bezpośredni, osobisty kontakt z klientami kupcowi lub dostawcy towarów. Społeczeństwo drugiej fali potrzebowało - przeto wkrótce zostały wynalezione - skutecznych środków do przekazu tej samej wiadomości wielu ludziom jednocześnie, i to w jak najkrótszym czasie, tanio i niezawodnie.

Drogą pocztową można było wysłać wiadomość do milionów adresatów, ale to trwało. Telefonicznie wiadomość docierała szybciej, ale nie równocześnie do milionów odbiorców. Natomiast oba wymogi spełniały środki masowego przekazu.

Dziś w absolutnie wszystkich uprzemysłowionych krajach, gazety i czasopisma o masowych nakładach wydają się normalnym elementem życia codziennego; a przecież powstanie publikacji o zasięgu ogólnokrajowym musiało być poprzedzone przez rozwój wielu nowych technologii przemysłowych i form życia społecznego. Tak więc, jak pisze Jean-Louis Servan-Schreiber, masowe nakłady prasy stały się możliwe dzięki między innymi "pociągom, które mogły przywieźć gazety na drugi koniec kraju (o rozmiarach średniego państwa europejskiego); prasom rotacyjnym drukującym w kilka godzin kilkadziesiąt milionów egzemplarzy gazet; sieci telegrafów i telefonów... no, a nade wszystko, dzięki społeczeństwu umiejącemu czytać w wyniku obowiązkowego nauczania oraz dzięki rozwojowi gałęzi niezbędnych do utworzenia sieci masowej dystrybucji".

Środki masowego przekazu - od gazet i radia począwszy, a na filmach i telewizji skończywszy - stanowią kolejne wcielenie podstawowych zasad fabryki. Identyczne treści, niczym spod sztancy, wbija się w głowy milionom odbiorców tak samo, jak równie identyczne towary, też spod sztancy, trafiają z fabryki do milionów domów. Standardowe, masowo produkowane "fakty" - odpowiedniki standardowych, masowo wytwarzanych artykułów przemysłowych - płyną z nielicznych, skoncentrowanych fabryk opinii i poglądów do wielomilionowej klienteli. Bez rozbudowanego, potężnego systemu informacji cywilizacja przemysłowa w ogóle by nie powstała, ani nie mogłaby niezawodnie funkcjonować.

Tak oto we wszystkich społeczeństwach przemysłowych - zarówno kapitalistycznych, jak i socjalistycznych - powstała skomplikowana infosfera, sieć kanałów komunikacji, którymi przepływają indywidualne i masowe informacje i doniesienia. Infosfera, splótłszy się

nierozerwalnie z technosferą i socjosferą, służyła im obu, przyczyniając się do zintegrowania produkcji gospodarczej z prywatnymi zachowaniami obywateli.

Każda z tych sfer odegrała ważną rolę w szerszym systemie i nie mogłaby istnieć bez pozostałych. Technosfera przysparzała bogactw i je rozdzielała; socjosfera, za pomocą tysięcy powiązanych ze sobą organizacji, przydzielała jednostkom różne role do spełnienia w systemie. Zaś infosfera kierowała informacjami niezbędne do prawidłowego funkcjonowania całego systemu. Razem tworzyły one zręby architektury społeczeństwa.

Mamy tu więc w zarysie strukturę wspólną wszystkim krajom drugiej fali - bez względu na różnice kulturowe czy klimatyczne między nimi, mimo niejednakowej spuścizny etnicznej i religijnej, i niezależnie od tego, czy kraje te zwą się kapitalistycznymi, czy socjalistycznymi.

Ta właśnie struktura, tak samo ważna w Związku Radzieckim i na Węgrzech, jak w Niemczech Zachodnich, we Francji czy w Kanadzie, zakreślała granice, w obrębie których wyrażają się różnice polityczne, społeczne i kulturalne. Struktura ta pojawiała się w coraz to nowych krajach dopiero w wyniku ostrych walk politycznych, kulturalnych i ekonomicznych, rozgrywanych między tymi, którzy pragną utrzymać dawną strukturę pierwszej fali, a tymi, którzy uznawali, że jedynie jakaś nowa cywilizacja może rozwiązać bolesne problemy starej epoki.

Wraz z nadejściem drugiej fali w ludzi wstąpiła wielka nadzieja. Po raz pierwszy ludzie nabrali odwagi i zaczęli wierzyć, że zdołają pokonać nędzę, głód, choroby i tyranie. Tacy filozofowie i pisarze utopijni, jak Morelly, Robert Owen, Saint-Simon, Fourier, Proudhon, Louis Blanc czy Edward Bellamy spodziewali się, że rodząca się cywilizacja przemysłowa zapewni ludziom pokój, harmonię, zatrudnienie dla każdego, zrównanie pod względem zamożności i szans życiowych, że nastąpi zerwanie z przywilejami, jakie dawało urodzenie, i że zostaną zmienione warunki, które przez setki tysięcy lat prymitywnej egzystencji i tysiące lat cywilizacji rolniczej wydawały się niepodważalne bądź wieczne.

Jeżeli dziś cywilizacja przemysłowa nie jest już dla nas utopią, jeżeli okazała się ona wręcz przygnębiająca, posępna, niebezpieczna dla środowiska, prowadząca do wojen i ciemnienia ludzi w sensie psychologicznym - powinniśmy się starać zrozumieć, dlaczego tak się stało. Na to pytanie znajdziemy odpowiedź dopiero wówczas, gdy poświęcimy nieco uwagi gigantycznemu klinowi, który rozplątał na dwoje psychikę człowieka drugiej fali, powodując ustawiczny konflikt między jej dwiema połowami.

Rozdział III

NIEWIDZIALNY KLIN

Druga fala, niczym jądrowa reakcja łańcuchowa, rozerwała dwa aspekty naszego życia, które zawsze stanowiły niepodzielną jedność. Tak oto olbrzymi niewidzialny klin utkwiał w naszej gospodarce, psychice i nawet w naszym poczuciu płci.

Z jednej strony rewolucja przemysłowa stworzyła wspaniale zintegrowany system społeczny z własnymi, odmiennymi od poprzednich, technologiami, z własnymi instytucjami społecznymi i kanałami informacyjnymi, a w dodatku wszystkie one były z sobą ściśle powiązane. Z drugiej jednak strony, rewolucja przemysłowa spowodowała rozdarcie bardzo istotnej jedności społecznej, narzucając sposób życia pełen napięć gospodarczych, konfliktów społecznych i cierpień psychologicznych. Dopiero gdy zrozumiemy, w jaki sposób ten niewidzialny klin wpływał na nasze życie w ciągu całej ery drugiej fali, zdołamy w pełni docenić napór trzeciej fali, za której sprawą wszystko znowu zaczyna się zmieniać.

Dwie części składowe życia ludzkiego, które rozdzieliła druga fala, to produkcja i konsumpcja. Przyzwyczailiśmy się na przykład myśleć o sobie bądź jako o producentach, bądź jako o konsumentach. Lecz kiedyś taki podział w ogóle nie istniał. Do czasu rewolucji przemysłowej przeważająca część całej żywności, towarów i usług wytwarzanych przez ludzi była konsumowana przez samych producentów, ich rodziny, a także przez wąską elitę, która potrafiła przejąć dla siebie nadwyżki produkcyjne.

W większości społeczeństw rolniczych przewagę stanowili chłopci, którzy żyli w małych, na wpół izolowanych skupiskach. Żyli nader skromnie, prowadząc gospodarstwa pozwalające im zaledwie na utrzymanie się przy życiu i na zaspokojenie żądań panów. Ponieważ nie znano sposobów przechowywania żywności ani nie było dróg, którymi można by było wozic płody rolne na odległe rynki, i ponieważ wszelkie nadwyżki plonów konfiskował właściciel lub pan feudalny, chłopci nie odczuwali żadnej potrzeby unowocześniania technologii ani zwiększania produkcji.

Handel, naturalnie, istniał. Wiadomo, że garstka nieustraszonych kupców wędrowała z towarami przemierzając tysiące mil na wielbłądach, dyliżansami lub statkami. Wiadomo, że powstawały miasta, które żywiła wieś. Kiedy Hiszpanie przybyli do Meksyku w 1519 roku, zdumieni się na widok Tlatelolco, którego wielotysięczna rzesza mieszkańców zajmowała się kupnem i sprzedażą wszelkich rodzajów biżuterii, metali szlachetnych, niewolników, sandałów, tkanin, czekolady, lin, skóry, indyków, warzyw, królików, psów i ceramiki. W biuletynach pisanych dla niemieckich bankierów w XVI i XVII wieku znajdujemy barwne opisy ówczesnego handlu. W liście z Cochinu w Indiach opisane są szczegółowo przypadki

pewnego kupca, który przybył do Indii po transport pieprzu z flotą składającą się z pięciu statków. "Skład pieprzu to doskonały interes - pisał on - ale wymaga wielkiego zapału i wytrwałości." Przywiózł on do Europy oprócz pieprzu również goździki, gałkę i kwiat muszkatołowy, mąkę, cynamon, różne zioła i leki.

Niemniej jednak cały ten handel to tylko drobny element ówczesnego życia, zwłaszcza gdy porównamy go z rozmiarami produkcji przeznaczonej bezpośrednio do własnego spożycia przez niewolnika lub chłopą pańszczyźnianego, Jeszcze w XVI wieku, jak pisze Fernand Braudel, najwybitniejszy jak dotąd badacz epoki, cały region śródziemnomorski - od Francji i Hiszpanii na jednym krańcu po Turcję na drugim - zapewniał utrzymanie ludności liczącej 60-70 milionów, z których 90 procent zajmowało się uprawą roli, wytwarzając znikome nadwyżki żywności na sprzedaż. Braudel pisze: "60, a może 70 procent całej produkcji rolnej regionu śródziemnomorskiego nigdy nie objęła gospodarka rynkowa." Jeżeli taka sytuacja była w regionie Morza Śródziemnego, to w Europie Północnej mogło być chyba tylko gorzej, gdyż kamienista gleba i długie mroźne zimy uniemożliwiały chłopom wypracowanie bodaj najmniejszych nadwyżek.

Łatwiej zrozumiemy wiele spraw związanych z trzecią falą gdy zdamy sobie sprawę z faktu istnienia dwóch sektorów w przedprzemysłowej gospodarce pierwszej fali. W sektorze A ludzie produkowali dobra na użytek własny. W sektorze B produkowali na sprzedaż lub wymianę. Sektor A był olbrzymi, sektor B - znikomy. Przeto dla większości ludzi produkcja i konsumpcja zlewała się w jedną życiodajną funkcję. Ta spójna jedność miała tak totalny charakter, że na przykład Grecy, Rzymianie i średniowieczni Europejczycy w ogóle nie rozgraniczali jej dwóch elementów. W ich językach brakowało nawet słowa konsument. Przez cały okres pierwszej fali jedynie znikoma część ludności była zależna od rynku; większości ludzi rynek w zasadzie nie obejmował. Według oceny historyka R.H. Tawneya, "w świecie gospodarki naturalnej transakcje pieniężne stanowiły bardzo wąski margines".

Druga fala drastycznie zmieniła tę sytuację. Jednostki i całe społeczności po raz pierwszy w dziejach przestały być samowystarczalne; powstała sytuacja, w której przeważająca ilość żywności, towarów i usług była przeznaczona na sprzedaż lub wymianę. Wraz z drugą falą zanikła w zasadzie produkcja dóbr przeznaczonych do konsumpcji własnej przez wytwórcę i jego rodzinę. Powstała cywilizacja, w której prawie nikt, nawet farmer, nie był samowystarczalny. Wszyscy stali się niemal całkowicie uzależnieni od żywności, artykułów przemysłowych i usług wytwarzanych przez kogoś innego.

Industrializm, krótko mówiąc, zniweczył jedność produkcji i konsumpcji, oddzielił producenta od konsumenta. Spoistą gospodarkę pierwszej fali zastąpiła rozszczępiona

gospodarka drugiej fali.

ZNACZENIE RYNKU

Rozszczepienie to miało bardzo poważne konsekwencje, których nawet dziś nie potrafimy w pełni docenić. Po pierwsze, rynek - niegdyś zjawisko nieistotne i marginalne - stał się nagle głównym centrum życia. Gospodarka uległa "marketyzacji", przy czym nastąpiło to w obu przemysłowych systemach gospodarczych, zarówno socjalistycznym, jak i kapitalistycznym.

NA ZACHODZIE PANUJE POGLĄD, JAKOBY RYNEK STANOWIŁ ZJAWISKO TYPOWE WYŁĄCZNIE DLA ŚWIATA KAPITALISTYCZNEGO I CZĘSTO UŻYWA SIĘ TEGO TERMINU W TAKI SPOSÓB, JAK GDYBY RYNEK BYŁ SYNONIMEM "GOSPODARKI NASTAWIONEJ NA ZYSK". LECZ WIADOMO Z HISTORII, ŻE WYMIANA TOWAROWO-PINIĘŻNA, CZYLI RYNEK - POJAWIŁA SIĘ WCZEŚNIEJ NIŻ ZYSK I ZUPEŁNIE NIEZALEŻNIE OD NIEGO. BOWIEM PRAWDĘ MÓWIĄC, RYNEK NIE JEST NICZYM INNYM JAK SIECIĄ WYMIANY - SWEGO RODZAJU ROZDZIELNIĄ - ZA POMOCĄ KTÓREJ TOWARY LUB USŁUGI, TAK SAMO JAK W CENTRALI TELEFONICZNEJ POSZCZEGÓLNE POŁĄCZENIA, KIERUJE SIĘ DO WŁAŚCIWYCH ODBIORCÓW. MECHANIZM TEN NIE JEST TYLKO WRODZONĄ CECHĄ KAPITALIZMU. OWA "ROZDZIELNIA" ODGRYWA TAK SAMO ISTOTNĄ ROLĘ W PRZEMYSŁOWYM SPOŁECZEŃSTWIE SOCJALISTYCZNYM, JAK I W INDUSTRIALIZMIE NASTAWIONYM NA ZYSK.⁵

Rynek był bowiem instytucją posiadającą skłonność do rozrastania się i samoumacniania. Podobnie jak z podziału pracy w najwcześniejszych epokach narodził się handel, teraz samo istnienie rynku czy, jak kto woli - owej rozdzielni, przyczyniło się do dalszego podziału pracy i doprowadziło do ogromnego wzrostu wydajności produkcji. Rynek począł się rozrastać i potęgnić.

Ten gwałtowny rozwój rynku przyczynił się do najszybszego w dziejach wzrostu stopy życiowej.

Jednakże pod względem politycznym rządy społeczeństw drugiej fali stanęły w obliczu

⁵ Rynek, czyli swoista "rozdzielnia", musi istnieć niezależnie od tego, czy handel opiera się na pieniądzu, czy na wymianie towarowej. Musi on istnieć niezależnie od tego, czy sam przynosi zysk, ani od tego, czy ceny kształtują się na podstawie podaży i popytu, czy też są ustalane przez państwo, oraz niezależnie od tego, czy system opiera się na planowaniu, czy nie. Rynek musi istnieć niezależnie od tego, czy środki produkcji są własnością prywatną, czy publiczną. Musi on istnieć również nawet w hipotetycznej gospodarce opierającej się na samorządnych przedsiębiorstwach, w których pracownicy sami ustalają swe zarobki na takim poziomie, że kategoria zysku w ogóle zostaje wyeliminowana.

Ten istotny fakt bywa na ogół pomijany, rynek zaś utożsamia się zazwyczaj z jedną spośród jego wielu form (czyli z modelem rynku występującym w gospodarce opartej na zysku i na prywatnej własności, w której cenami rządzi prawo podaży i popytu), toteż w konwencjonalnym słownictwie ekonomicznym brak nawet słów dla wyrażenia różnorodności wielu form rynku.

W niniejszej książce posługuję się terminem "rynek" w jego najogólniejszym sensie, nie zaś w powszechnie przyjętym, ograniczonym rozumieniu. Pominąwszy rozważania semantyczne, pozostaje jednak zasadnicza kwestia, a mianowicie to, że wszędzie tam, gdzie producent i konsument mają oddzielne funkcje, musi istnieć jakiś mechanizm, który by między nimi pośredniczył. Mechanizm ten, występujący w takiej czy innej formie, nazywam właśnie rynkiem.

nieznanego przedtem konfliktu wynikłego z oddzielenia produkcji od konsumpcji. Nacisk marksistów na znaczenie walki klasowej systematycznie przesłaniał szerszy i głębszy konflikt, który zrodził się w wyniku sprzeczności między żądaniami producentów (i to zarówno robotników, jak i kadry kierowniczej), domagających się większych zarobków, zysków dla przedsiębiorstwa i korzyści dla pracowników, a żądaniami konsumentów (którymi składają się ci sami ludzie), domagających się niższych cen. Sprzeczność ta powodowała ciągłą huśtawkę w polityce gospodarczej.

Rozwój ruchu konsumentów w Stanach Zjednoczonych, niedawne rozruchy w Polsce, wywołane ogłoszoną przez władze podwyżką cen, nie kończące się gwałtowne debaty na temat cen i dochodu w Wielkiej Brytanii, prowadzone z powagą w Związku Radzieckim spory ideologiczne o to, czy priorytet należy przyznać przemysłowi ciężkiemu, czy artykułom konsumpcyjnym - wszystkie te problemy odzwierciedlają głęboki konflikt występujący zarówno w socjalistycznych, jak i kapitalistycznych społeczeństwach, w wyniku rozszczepienia produkcji i konsumpcji.

ROZŁAM TEN WPŁYNAŁ NIE TYLKO NA ŻYCIE POLITYCZNE, LECZ I NA KSZTAŁT KULTURY; POWSTAŁA NAJBARDZIEJ ZACHŁANNA, SKOMERCJALIZOWANA I KALKULACYJNA CYWILIZACJA W HISTORII. NIE TRZEBA BYĆ MARKSISTĄ, ABY PRYZNAĆ SŁUSZNOŚĆ SŁYNNEMU ZARZUTOWI, SFORMUŁOWANEMU W *MANIFEŚCIE KOMUNISTYCZNYM*, ŻE NOWA CYWILIZACJA "NIE POZOSTAWIŁA MIĘDZY LUDŹMI ŻADNEJ INNEJ WIĘZI PRÓCZ NAGIEGO INTERESU, PRÓCZ WYZUTEJ Z WSZELKIEGO SENTYMENTU «ZAPŁATY GOTÓWKĄ»".⁶ **Stosunki osobiste, więzi rodzinne, miłość, przyjaźń, związki sąsiedzkie - przesłonił lub zepsuł interes własny rozumiany w czysto handlowym sensie.**

Marks miał rację dostrzegając dehumanizację więzi międzyludzkich, mylił się natomiast obwiniając o to kapitalizm. Marks formułował swe teorie w czasie, gdy jedyną formą społeczeństwa przemysłowego była forma kapitalistyczna. Dziś, bogatsi o ponad półwieczne doświadczenia społeczeństw przemysłowych, które opierają się na socjalizmie lub przynajmniej na socjalizmie państwowym, wiemy, że system kapitalistyczny wcale nie ma monopolu na agresywną zachłanność ani na korupcję czy sprowadzenie więzi międzyludzkich do zimnych stosunków ekonomicznych.

Obsesyjne zainteresowanie pieniędzmi i dobrami materialnymi nie ma bowiem nic wspólnego z kapitalizmem czy socjalizmem, lecz wiąże się z industrializmem. Odzwierciedla naczelną rolę rynku we wszystkich społeczeństwach, w których produkcja jest oddzielona od

⁶ Karol Marks, Fryderyk Engels, *Manifest komunistyczny*, w: K. Marks i F. Engels, *Dzieła*, Warszawa 1962, t. 4, s. 516-517.

konsumpcji i w których w dziedzinie zaspokojenia potrzeb niezbędnych do życia wszyscy są uzależnieni od rynku, nie zaś od swych własnych umiejętności.

W społeczeństwie takim, niezależnie od jego struktury politycznej, kupuje się, sprzedaje lub wymienia nie tylko towary, ale również siłę roboczą, idee, sztukę i dusze. Francuski, brytyjski lub amerykański artysta, który pisze lub maluje tylko dla pieniędzy, nie różni się zbyt od polskiego, czeskiego lub radzieckiego powieściopisarza, malarza czy dramaturga, który swą wolność twórczą wymienia na takie korzyści materialne jak dacha, rozmaite premie, talon na samochód albo jeszcze jakieś inne, trudno dostępne dobra.

Korupcja immanentnie wiąże się z faktem oddzielenia produkcji od konsumpcji. Sama potrzeba istnienia rynku, owej rozdzielni, za której pośrednictwem następuje nawiązanie ponownej łączności między konsumentem i producentem, umożliwiające przechodzenie towaru od producenta do konsumenta - obdarza ludzi zarządzających rynkiem nadmierną władzą, niezależnie od frazesów, którymi próbują oni uzasadniać konieczność posiadania takiej władzy.

Ów rozdział między produkcją a konsumpcją, który stał się cechą charakterystyczną wszystkich przemysłowych społeczeństw drugiej fali, wpłynął nawet na naszą psychikę i stosunek do osobowości. Na zachowanie człowieka patrzy się teraz jak na serię transakcji. Społeczeństwo oparte na przyjaźni, pokrewieństwie albo plemiennej lub feudalnej uległości i wierności, wraz z nadejściem drugiej fali zastąpiła cywilizacja oparta na związkach kontraktowych - faktycznych lub dorozumianych. Nawet mężowie i żony mówią dziś o intercyzie małżeńskiej.

Z rozszczepienia między tymi dwiema rolami - producenta i konsumenta - zrodziła się podwójna osobowość człowieka. Tę samą osobę, którą (jako producenta) rodzina, szkoła i przełożeni uczyli odraczać gratyfikację, być zdyscyplinowanym, kontrolować się, podporządkowywać, być posłusznym i pracować w zespole, równocześnie uczono (jako konsumenta), aby zabiegał o natychmiastową gratyfikację, uczono raczej hedonizmu niż wyrachowania, unikania dyscypliny, dążenia do zaspokajania indywidualnej przyjemności - słowem uczono być kompletnie inną osobą. Zwłaszcza na Zachodzie całą siłą uderzenia reklamy skierowano na konsumenta, namawiając go, aby zapożyczał się, ale kupował natychmiast, aby korzystać z usług zaraz, a płacił potem i przez to - aby wypełniał swą patriotyczną powinność podtrzymując obroty trybów gospodarki narodowej.

NIERÓWNOUPRAWNIENIE

I wreszcie, ten sam gigantyczny klin, który wdarł się między producenta i konsumenta w

społeczeństwie drugiej fali, rozdzielił również pracę na dwa rodzaje. Miało to kolosalny wpływ na życie rodzinne, na podział ról wynikający z różnicy płci oraz na życie wewnętrzne każdego z nas.

Jeden z popularnych stereotypów na temat płci w społeczeństwie przemysłowym określa mężczyzn jako "obiektywne", kobiety zaś jako "subiektywne". Jeżeli jest w tym ziarno prawdy, to tkwi ono prawdopodobnie nie w jakimś uwarunkowaniu biologicznym, lecz w skutkach psychologicznych owego niewidzialnego klina.

W społeczeństwach pierwszej fali większość pracy wykonywano na polach albo w domu, przy czym wszyscy domownicy pracowali wspólnie jako jednostka gospodarcza; cała produkcja była przeznaczona do konsumpcji we wsi lub we dworze. Życie - dziś powiedzielibyśmy - zawodowe oraz życie domowe zlewało się i splatało jedno z drugim. A ponieważ każda wioska była przeważnie samowystarczalna, sukces, jaki odnosili gospodarze w jednym miejscu, nie zależał od tego, co działo się gdzie indziej. Nawet w ramach jednej komórki produkcyjnej większość uczestników wykonywała rozmaite czynności, zamieniając się i przekazując sobie nawzajem role i obowiązki zależnie od pory roku, czyjeś choroby lub wedle wyboru. Przedprzemysłowy podział pracy miał bardzo prymitywny charakter. W rezultacie, praca w rolniczych społeczeństwach pierwszej fali charakteryzowała się niskim stopniem wzajemnego uzależnienia jednej czynności od innej.

Druga fala, ogarniając Wielką Brytanię, Francję, Niemcy i inne kraje, przeniosła pracę z pola i domu do fabryki; poszczególne rodzaje pracy uległy wzajemnemu uzależnieniu. Teraz praca wymagała już wysiłku zbiorowego, podziału specjalizacyjnego, koordynacji i integracji wielu różnych umiejętności. Sukces w pracy zależał od starannie zaplanowanych kolektywnych działań tysięcy nie mających nic wspólnego ze sobą ludzi, z których wielu nigdy nie zetknęło się osobiście. Jeżeli stalownia lub huta szkła nie dostarczyła niezbędnych dostaw do fabryki samochodów, fakt ten mógł w pewnych okolicznościach odbić się na całej branży lub na gospodarce całego regionu.

Różnice między pracą o wysokim i niskim stopniu uzależnienia od pracy innych osób spowodowały poważny konflikt w dziedzinie podziału ról, odpowiedzialności i wynagrodzeń. W początkowym okresie, na przykład, właściciele fabryk uskarżali się na widoczny brak odpowiedzialności u robotników, których niewiele obchodziła wydajność produkcyjna fabryki, którzy szli sobie na ryby, akurat gdy byli najbardziej potrzebni, urządzali głupie kawały albo przychodzili do pracy pijani. Z początku, faktycznie, robotnikami przemysłowymi byli głównie wieśniacy, nie nawykli w pracy do podporządkowania się jakimś wzajemnym zależnościom, mający nikłe lub zgoła żadne pojęcie o ich własnej roli w

ogólnym procesie produkcyjnym i nie zdający sobie sprawy z tego, że ich "nieodpowiedzialność" może powodować powikłania lub przerwy w funkcjonowaniu zakładu. A ponieważ w dodatku zarabiali żałośnie mało, nie mieli bodźców, aby zmienić swój stosunek do pracy.

W starciu między tymi dwoma systemami pracy na pozór triumfowały nowe formy. Produkcja przemieszczała się do fabryk i biur. Ze wsi ubywało ludności. Miliony robotników stawały się trybikami w splecionych z sobą układach wzajemnych zależności. Praca drugiej fali zaczęła wybijać się na pierwszy plan, przesłaniając zacofane formy pracy związane z pierwszą falą.

Jednak zwycięstwo prac uzależnionych od innych ludzi nad samowystarczalnością nie było kompletne. W jednym miejscu uporczywie trwały dawniejsze formy. Tym miejscem był dom.

Dom pozostał zdecentralizowaną komórką, zajmującą się rozrodczością biologiczną, wychowaniem dzieci oraz pielęgnacją przekazów kulturowych. Gdy jednej rodzinie nie udawała się reprodukcja albo fatalnie wychowywano w niej dzieci, nie zagrażało to wypełnianiu podobnych zadań przez sąsiadów. Zajęcia domowe, innymi słowy, pozostały nadal działalnością mało uzależnioną od innych.

Żona, jak niegdyś, wciąż pełniła szereg ważnych funkcji ekonomicznych - "wytwarzała". Ale wytwarzała ona dla sektora A - na użytek własnej rodziny - nie dla rynku.

Kiedy mąż na ogół wychodził z domu, aby uczestniczyć w bezpośredniej działalności gospodarczej, żona przeważnie zostawała w domu, aby realizować pośrednią działalność gospodarczą. Mężczyzna wziął na siebie odpowiedzialność za nowocześniejsze rodzaje pracy; kobiecie pozostała troska o dawniejsze, bardziej zacofane rodzaje działalności. On, jak gdyby, wysunął się w przyszłość, ona wciąż pozostawała w minionej epoce.

Rezultatem tego podziału było rozdarcie osobowości i życia wewnętrznego. Publiczna czy zbiorowa natura fabryki i biura, potrzeb koordynacji i integracji, doprowadziły do tego, że zaczęto przywiązywać większą wagę do obiektywnej analizy i obiektywnych stosunków między ludźmi. Mężczyźni, od dziecka przygotowywani do pracy w warsztacie, gdzie mieli się poruszać w świecie wzajemnych powiązań i zależności, mieli być "obiektywni". Kobiety, od urodzenia nastawiane na rodzenie i wychowywanie dzieci, na żmudne zajęcia domowe wykonywane w znacznej mierze w izolacji społecznej, uczyły się być "subiektywnymi" i często uważano je za niezdolne do tego typu racjonalnego, analitycznego myślenia, jaki rzekomo idzie w parze z obiektywizmem.

O kobietach, które opuszczały względną izolację swego domu i angażowały się we współzależną produkcję, często mówiono, że są pozbawione kobiecości, zimne, twarde i

obiektywne.

Różnicę płci i stereotypy ról przypisanych kobietom i mężczyznom dodatkowo zaostrzało mylne utożsamianie mężczyzn z produkcją, kobiet zaś z konsumpcją - chociaż mężczyźni przecież byli też konsumentami, a kobiety również produkowały. Słowem, wprawdzie kobiety spotykały się z uciskiem na długo przedtem, zanim druga fala jęła przetaczać się przez ziemię, to genezę współczesnej "walki płci" można w dużym stopniu łączyć z konfliktem między stylami pracy, a jeszcze głębiej - z oddzieleniem produkcji od konsumpcji. Rozszczepiona gospodarka zdecydowanie pogłębiła różnice między kobietą i mężczyzną.

Z dotychczasowego wywodu wynika zatem, że gdy tylko ów niewidoczny klin zajął swoje miejsce, rozdzielając producenta od konsumenta, jęły następować dalsze zmiany. Musiał mianowicie powstać i rozwinąć się rynek, miejsce spotkań producentów z konsumentami; pojawiły się nieznane przedtem konflikty polityczne i społeczne; zostały określone na nowo role kobiet i mężczyzn. Ale to nie wszystko, implikacje tego rozdwojenia były daleko poważniejsze. Sprawilo ono między innymi to, że wszystkie społeczeństwa drugiej fali miały funkcjonować w podobny sposób - musiały spełniać określone podstawowe wymagania. I nie miało znaczenia, czy w danym kraju celem produkcji był zysk, czy nie, czy "środki produkcji" były własnością publiczną, czy prywatną, ani czy głoszona ideologia miała, kapitalistyczny, czy też socjalistyczny charakter.

Skoro produkcję przeznaczano na wymianę, a nie na użytek własny, i skoro miała ona przepływać przez ową rozdzielnię ekonomiczną, czyli rynek - obowiązywały określone zasady drugiej fali.

Jeżeli uda się nam zidentyfikować te zasady, zobaczymy jak na dłoni ukryte mechanizmy, które tkwią we wszystkich społeczeństwach przemysłowych. Zrozumiemy także, na czym polega typowy sposób myślenia ludzi drugiej fali. Właśnie te zasady złożyły się na powstanie podstawowych reguł i norm, na kodeks postępowania obowiązujący w cywilizacji drugiej fali.

ROZDZIAŁ IV

ŁAMANIE SZYFRU

Każda cywilizacja posiada swój utajony szyfr - zbiór reguł i zasad, które niczym powtarzający się motyw przenikają wszystkie jej aspekty. Gdy industrializm ogarnął kulę ziemską, nagle uwidocznili się bardzo swoisty, ukryty schemat. Złożyło się nań sześć powiązanych wzajem ze sobą zasad, według których postępowały miliony ludzi. Zasady te, będące logiczną konsekwencją rozdzielenia produkcji i konsumpcji, odcisnęły swe piętno na wszystkich aspektach życia - od seksu i sportu począwszy, a na pracy i wojnie skończywszy.

Gniewne konflikty, jakie dziś wybuchają w szkołach, przedsiębiorstwach i w organach rządowych, dotyczą głównie tych zasad; ludzie drugiej fali instynktownie stosują je i biorą w obronę, a ludzie trzeciej fali te same zasady kwestionują i atakują.

STANDARYZACJA

SPOŚRÓD ZASAD DRUGIEJ FALI NAJLEPIEJ ZNANA JEST STANDARYZACJA. WIADOMO, ŻE W KRAJACH PRZEMYSŁOWYCH PRODUKUJE SIĘ MILIONY IDENTYCZNYCH PRZEDMIOTÓW. ALE JUŻ NIE WSZYSCY ZDAJĄ SOBIE SPRAWĘ, ŻE Z CHWILĄ, GDY RYNEK NABRAŁ WIĘKSZEGO ZNACZENIA, ZASZŁO JESZCZE COŚ OPRÓCZ WPROWADZENIA STANDARDOWYCH BUTELEK DO COCA-COLI, STANDARDOWYCH ŻARÓWEK I WAŁÓW NAPĘDOWYCH DO AUT. ZASADA STANDARYZACJI OBJĘŁA WIELE INNYCH SPRAW. JAKO JEDEN Z PIERWSZYCH DOCENIŁ ZNACZENIE TEJ IDEI THEODORE VAIL, KTÓRY NA POCZĄTKU NASZEGO WIEKU UCZYNIŁ PRAWDZIWĄ POTĘGĘ Z FIRMY AMERICAN TELEPHONE AND TELEGRAPH COMPANY (AT&T).⁷

Pracując jako urzędnik pocztowy na kolei pod koniec lat 80-tych ubiegłego stulecia Vail zauważył, że dwa listy nie zawsze przebywały tę samą drogę do jednego miejsca przeznaczenia. Worki z pocztą jeździły tam i z powrotem, często tygodniami nie docierając do miejsca przeznaczenia. Vail wysunął wtedy pomysł standaryzacji tras pocztowych, co oznaczało, że odtąd wszystkie listy adresowane do jednego miejsca miały przebywać tę samą drogę; w ten sposób Vail zrewolucjonizował pocztę. A później, tworząc kompanię AT&T, zaprzagnął, aby w każdym domu w Ameryce umieścić identyczny aparat telefoniczny.

VAIL NIE TYLKO ZESTANDARYZOWAŁ APARATY TELEFONICZNE I WSZYSTKIE ICH CZĘŚCI SKŁADOWE, LECZ RÓWNIEŻ PROCEDURĘ URZĘDOWĄ I ADMINISTRACYJNĄ KOMPANII AT&T. W OGŁOSZENIU REKLAMOWYM Z 1908 ROKU VAIL UZASADNIAŁ WCHŁONIĘCIE MNIEJSZYCH KOMPANII TELEFONICZNYCH PRZEZ AT&T POTRZEBĄ ZORGANIZOWANIA WSPÓLNEGO DLA

WSZYSTKICH "CENTRALNEGO BIURA STANDARDÓW". MIAŁO ONO ZAPEWNIACŃ OSZCZĘDNOŚCI "W DZIEDZINIE BUDOWY OPRZYRZĄDOWANIA I INSTALACJI, JAK RÓWNIEŻ W DZIEDZINIE METOD EKSPLOATACJI I PRZEPISÓW PRAWNYCH", NIE MÓWIĄC JUŻ O "UJEDNOLICONYM SYSTEMIE OBSŁUGI I OBLICZEŃ". VAIL ZAUWAŻYŁ, ŻE W WARUNKACH DRUGIEJ FALI SUKCES GWARANTUJE DOPIERO RÓWNOCZESNA STANDARYZACJA PROCEDURY ADMINISTRACYJNEJ (TZW. *SOFTWARE*) ORAZ OPRZYRZĄDOWANIA (TZW. *HARDWARE*).

VAIL BYŁ ZALEDWIE JEDNYM Z WIELU WIELKICH STANDARYZATORÓW, KTÓRZY PRZYCZYNIŁI SIĘ DO UFORMOWANIA SPOŁECZEŃSTWA PRZEMYSŁOWEGO. INNY TO MECHANIK FREDERIC WINSLOW TAYLOR, KTÓRY - WIERZĄC, ŻE DO PRACY NALEŻY PODCHODZIĆ W SPOSÓB NAUKOWY - ZAINICJOWAŁ KAMPIĘ MAJĄCĄ NA CELU STANDARYZACJĘ WSZYSTKICH CZYNNOŚCI, WYKONYWANYCH PRZEZ POSZCZEGÓLNYCH ROBOTNIKÓW. W POCZĄTKACH XX WIEKU TAYLOR UZNAŁ, IŻ ISTNIEJE JEDEN NAJLEPSZY (STANDARDOWY) SPOSÓB WYKONANIA KAŻDEJ PRACY, JEDNO NAJLEPSZE (STANDARDOWE) NARZĘDZIE SŁUŻĄCE DO JEJ WYKONANIA ORAZ PEWIEN OKREŚLONY (STANDARDOWY) CZAS, W KTÓRYM KAŻDĄ PRACĘ MOŻNA WYKONAĆ OD POCZĄTKU DO KOŃCA.

SZERMUJĄC TAKĄ FILOZOFIĄ, STAŁ SIĘ ON CZOŁOWYM GURU - JAK BYŚMY TO DZIŚ OKREŚLILI - W DZIEDZINIE ORGANIZACJI PRACY. PRZYRÓWNYWANO GO JUŻ ZA ŻYCIA, A I PÓŹNIEJ TAKŻE, DO FREUDA, MARKSA I FRANKLINA. KAPITALISTYCZNI PRACODAWCY, GOTOWI WYCISNAĆ ZE SWYCH ROBOTNIKÓW OSTATNIĄ KROPLĘ POTU, BYLE OSIĄGNĄĆ MAKSYMALNĄ WYDAJNOŚĆ PRACY, NIE BYLI ODOSOBNIENI W SWEJ ADMIRACJI DLA TAYLORYZMU, Z JEGO "USPRAWNIAJĄCYMI" METODAMI PRODUKCJI, SCHEMATAMI PRACY AKORDOWEJ I PRZODOWNIKAMI PRACY. ICH ENTUZJAZM PODZIELALI TEŻ KOMUNIŚCI. SAM LENIN ZALECAŁ STOSOWANIE METOD TAYLORA W PRODUKCJI SOCJALISTYCZNEJ. PRZED E WSZYSTKIM PIEWCA UPRZEMYSŁOWIENIA, A - DOPIERO NA DRUGIM MIEJSCU KOMUNISTA, LENIN TEŻ BYŁ FANATYKIEM STANDARYZACJI.

W krajach drugiej fali procedura naboru pracowników, jak również sama praca, ulegały coraz większej standaryzacji. Zaczęto powszechnie stosować standardowe sprawdziany służące do rozpoznawania i eliminowania rzekomo niewłaściwych kandydatów, zwłaszcza do pracy w administracji państwowej. W całym przemyśle wprowadzono standardową siatkę płac, ustalono standardowe premie, jednakowe przerwy obiadowe, dni świąteczne i procedurę rozpatrywania skarg i zażaleń. Gwoli przygotowania młodzieży do wymagań rynku pracy, działacze oświatowi opracowali standardowe programy nauczania. Fachowcy w rodzaju

⁷ Nie mylić z wielonarodową International Telephone and Telegraph Corporation (ITT).

Bineta i Termana wymyślili standardowe testy inteligencji. Standaryzacji uległy również zasady przyjmowania uczniów do szkół, ocena ich postępów w nauce oraz promowania absolwentów. Upowszechnił się tzw. egzamin testowy, w którym delikwent wybiera jedną z wielu proponowanych odpowiedzi na każde z zadanych pytań.

Równocześnie wyobrażenia i poglądy upowszechniane przez środki masowego przekazu zaczęły powoli upodabniać ludzi do siebie; wszak milionowe rzesze czytały te same reklamy, te same wiadomości, te same opowiadania. Rugowanie w państwach wielonarodowych przez rządy o charakterze centralnym dialektów i gwar mniejszości narodowych, w połączeniu z wpływem środków masowej komunikacji, doprowadziło do niemal kompletnego zaniku dialektów lokalnych i regionalnych, a nawet odrębnych języków, jak na przykład walijskiego i alzackiego. "Standardowe" języki - amerykański, angielski, francuski czy też rosyjski - wyparły języki "niestandardowe". W miarę jak rozpleniły się identyczne stacje benzynowe, tablice reklamowe i domy mieszkalne, nawet odległe części kraju zaczęły się do siebie upodabniać. Zasada standaryzacji przeniknęła wszystkie aspekty życia codziennego.

W jeszcze głębszej sferze cywilizacja przemysłowa wymagała standaryzacji miar i wag. Nie przypadkiem jedna z pierwszych ustaw w czasie Rewolucji Francuskiej - rewolucji, która przyspieszyła nastanie ery przemysłowej we Francji - dotyczyła wprowadzenia systemu metrycznego i nowego kalendarza w miejsce chaotycznej mieszaniny najrozmaitszych miar, jakimi posługiwała się przedprzemysłowa Europa. Pod wpływem drugiej fali w większości świata przyjęto jednolity system miar i wag.

A ponadto, o ile produkcja masowa wymagała standaryzacji maszyn, produktów i procesów, o tyle rozrastający się bez końca rynek wymagał odpowiedniej standaryzacji pieniądza, a nawet cen. Poprzednio pieniądze emitowały banki i prywatne osoby, no i królowie. Jeszcze w XIX wieku w pewnych rejonach Stanów Zjednoczonych znajdowały się w obiegu pieniądze bite przez prywatne mennice, a w Kanadzie utrzymywały się one do 1935 roku. Jednakże kraje przemysłowe stopniowo wyeliminowały wszelkie waluty nie emitowane przez rządy i wprowadziły w ich miejsce jedną standardową walutę.

Do XIX wieku w krajach przemysłowych było w zwyczaju targowanie się przy okazji każdej transakcji handlowej, na wzór uświęconej wiekami tradycji bazarów kairskich. W 1825 roku młody imigrant z Irlandii Północnej, A.T. Stewart, przybył do Nowego Jorku i otworzył sklep z materiałami i niemi; dla klientów i konkurencji był to szok, bowiem Stewart wprowadził ustalone ceny na każdy artykuł. Dzięki wprowadzeniu stałej ceny - czyli dzięki standaryzacji cen - Stewart zajął szczególne miejsce wśród kupców swojej epoki, usunął bowiem jedną z głównych przeszkód utrudniających rozwój masowej dystrybucji.

Niezależnie od różnic poglądów w innych sprawach, postępowi myśliciele drugiej fali podzielali przekonanie, iż standaryzacja jest korzystna. Tak więc druga fala spowodowała spłaszczenie wielu różnic, wprowadzając wszędzie, gdzie tylko się dało, zasadę standaryzacji.

SPECJALIZACJA

Drugą naczelną zasadą, która obowiązywała w krajach drugiej fali, była specjalizacja. Im skuteczniej druga fala eliminowała zróżnicowania języka, wypoczynku i stylów życia, tym bardziej konieczne stało się zróżnicowanie w sferze pracy. Przyspieszając podział pracy, druga fala zastąpiła zwyczajnego, nawykłego do wszelkiej roboty wieśniaka wyuczonym specjalistą i pracownikiem, który wykonuje tylko jedną czynność, na modłę Taylora, robiąc w kółko jedno i to samo.

JUŻ W 1720 ROKU W SPORZĄDZONYM W ANGLII SPRAWOZDANIU *THE ADVANTAGES OF THE EAST INDIA TRADE* (KORZYŚCI PŁYNĄCE Z HANDLU Z INDIAMI WSCHODNIMI) ZWRÓCONO UWAGĘ, ŻE SPECJALIZACJA PRACY POZWALA NA "MNIEJSZE ZUŻYCIE CZASU I SIŁY ROBOCZEJ". W 1776 ROKU ADAM SMITH ZACZAŁ SWOJE DZIEŁO *BADANIA NAD NATURĄ I PRZYCZYNAMI BOGACTWA NARODÓW* OD STWIERDZENIA: "NAJWIĘKSZY ROZWÓJ SIŁ PRODUKCYJNYCH PRACY I PRZEWAŻNA CZĘŚĆ UMIEJĘTNOŚCI, SPRAWNOŚCI I ZNAWSTWA, Z JAKIM KIERUJE SIĘ PRACĄ LUB JAKIE SIĘ W PRACĘ WKŁADA, SĄ, JAK SIĘ WYDAJE, REZULTATEM PODZIAŁU PRACY." ⁸

Opis produkcji szpilek, zawarty w książce Smitha, uchodzi za klasyczny. Jeden robotnik w dawnym stylu, sam wykonujący wszystkie czynności - pisał Smith - mógł każdego dnia wykonać garść szpilek; nie więcej niż 20, a czasem nawet ani jednej. Dla kontrastu Smith opisał manufakturę, w której 18 kolejnych operacji, niezbędnych do wyprodukowania jednej szpilki, wykonywało 10 wyspecjalizowanych robotników, przy czym do każdego należało wykonanie jednej lub najwyżej kilku czynności. Razem mogli oni wyprodukować ponad 48 000 szpilek dziennie - a więc na jednego robotnika przypadało ponad 4800 sztuk dziennie.

Jeszcze nim upłynął wiek XVIII, w miarę jak fabryki przejmowały coraz to nowe rodzaje pracy, historia ze szpilekami powtarzała się w niezliczonych wariantach i na coraz to większą skalę. Rosły również koszty specjalizacji, jakie ponosić musiał człowiek. Krytycy industrializmu uważają, że wykonując wyspecjalizowaną, powtarzającą się w kółko, tę samą czynność, robotnik coraz bardziej się odczłowieczał, zatracił cechy ludzkie.

Kiedy Henry Ford przystąpił w 1908 roku do produkcji modelu Forda T, trzeba było wykonać nie 18, lecz 7882 kolejnych czynności, aby powstał gotowy automobil. W swej autobiografii Ford odnotował, iż spośród tych 7882 wyspecjalizowanych czynności 949

⁸ Adam Smith, *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*, przeł. G. Wolff i O. Einfeld, Warszawa 1954, t. 1, s. 9.

wymagało "silnych, sprawnych fizycznie i zręcznych mężczyzn"; 3338 operacji mogli wykonywać ludzie o "przeciętnej" sile fizycznej, większości zaś pozostałych zadań mogły sprostać "kobiety lub starsze dzieci". Ponadto - dalej chłodno relacjonował Ford - "stwierdziliśmy, że 670 stanowisk pracy można obsadzić ludźmi bez obu nóg, 2637 - pracownikami bez jednej nogi, dwa stanowiska - ludźmi pozbawionymi obu rąk, 715 - pozbawionymi jednej ręki, a na 10 stanowiskach mogli pracować niewidomi". Krótko mówiąc, do wykonywania wyspecjalizowanej pracy niepotrzebny był cały człowiek, wystarczała jego część. Nie sposób chyba przytoczyć bardziej przekonującego dowodu na to, że nadmierna specjalizacja dość brutalnie zagraża człowieczeństwu.

Praktyka, którą krytycy przypisywali kapitalizmowi, stała się również nieodłącznym atrybutem socjalizmu. Bo przecież owa przesadna specjalizacja pracy, występująca we wszystkich społeczeństwach drugiej fali, wywodzi się z rozdziału produkcji od konsumpcji. Fabryki w Związku Radzieckim, Polsce, NRD czy na Węgrzech bez drobiazgowej specjalizacji nie będą dziś funkcjonować ani trochę lepiej niż fabryki w Japonii lub w USA, gdzie Departament Pracy opublikował w 1977 roku listę 20 tysięcy różnych specjalizacji zawodowych.

A nadto, w krajach przemysłowych - zarówno kapitalistycznych, jak i socjalistycznych - specjalizacji towarzyszyła narastająca fala profesjonalizacji. Kiedy tylko jakiejś grupie specjalistów nadarzała się okazja zmonopolizowania ich hermetycznej wiedzy, zawsze powstawała nowa profesja. Pod naporem drugiej fali między posiadacza wiedzy i niewtajemniczonego klienta wciskał się rynek, także dzieląc ludzi na producentów i konsumentów. I tak na przykład, w społeczeństwach drugiej fali zdrowie człowieka traktowano jako swego rodzaju "produkt" dostarczany przez lekarza i biurokratyczny system opieki zdrowotnej, nie zaś jako rezultat inteligentnej troski pacjenta o samego siebie (czyli swoistej "produkcji na użytek własny"). Oświatę rzekomo "produkował" nauczyciel w szkole, gdzie uczeń był "konsumentem".

Najrozmaitsze grupy zawodowe, z bibliotekarzami i komiwojażerami włącznie, podniosły wrzawę domagając się prawa do nazywania siebie profesjonalistami; wszyscy żądali uprawnień do ustalania norm, cen oraz warunków dopuszczania innych do wykonywania zawodu. Przewodniczący Federalnej Komisji do Spraw Zawodowych, Michael Pertschuk stwierdził: "Nasza kultura została już zdominowana przez profesjonalistów traktujących nas jak «klientów», których «potrzeby» znają oni lepiej niż my sami."

Nawet agitację polityczną pojmowano w społeczeństwach drugiej fali jako oddzielny zawód. Sam Lenin głosił zresztą, iż bez profesjonalnej pomocy masy nie będą zdolne do

zorganizowania rewolucji. Twierdził on stanowczo, że konieczne jest powołanie kadrowej "organizacji rewolucjonistów", której członkami byłiby jedynie "zawodowcy w dziedzinie rewolucji".

Druga fala wytworzyła pewną wspólną mentalność oraz skłonność do coraz bardziej drobiazgowego podziału pracy w społeczeństwie; mentalność ta, jak również owa skłonność, stały się udziałem zarówno komunistów, jak i kapitalistów, przedstawiciele kadry zarządzającej, wychowawców, księży i polityków. Wierzyli oni, że specjalizacja stanowi "siłę napędową cywilizacji" - jak wyraził się na londyńskiej wystawie w Pałacu Kryształowym w 1851 roku książę Albert. Ręka w rękę z "Wielkimi Standaryzatorami" szli "Wielcy Specjalizatorzy".

SYNCHRONIZACJA

Pogłębiający się rozdział między produkcją i konsumpcją spowodował również zmianę w sposobie traktowania czasu przez ludzi drugiej fali. W systemie zależnym od rynku - czy jest to rynek planowany, czy tzw. wolny - czas to pieniądz. Nie można dopuścić, by kosztowne maszyny stały bezczynnie; pracują one własnym rytmem. Tak zrodziła się trzecia zasada cywilizacji przemysłowej - synchronizacja.

Nawet w najdawniejszych społeczeństwach praca musiała być dokładnie zsynchronizowana w czasie. Chcąc skutecznie osaczyć wroga, wojownicy nieraz musieli działać zbiorowo. Rybacy musieli koordynować wysiłki przy wiosłowaniu albo wyciąganiu sieci. Przed wielu laty George Thomson zwrócił uwagę, jak to rozmaite okrzyki i zawołania wydobywane przy różnych pracach odzwierciedlały ich stopień trudności i swoisty rytm. Wioślarzom czas odmierzał prosty, dwusylabowy okrzyk Ho-op! Druga sylaba podkreśla moment maksymalnego wysiłku, pierwsza zaś daje czas na przygotowanie się do niego. Holowanie łodzi było cięższą pracą niż wiosłowanie, "toteż momenty natężenia wysiłku zaznaczano dłuższymi przerwami"; dłuższe też jest przygotowanie do finalnego wysiłku, na przykład w irlandzkim zawołaniu Ho-li-ho-hop!, jakie towarzyszy rybakom ciągnącym ciężką łódź.

Zanim druga fala nie wprowadziła maszyn i nie uciszyła okrzyków zagrzewających do pracy, synchronizacja związana ze zbiorowym wysiłkiem miała charakter organiczny, naturalny. Wpływała ona z rytmu pór roku i z procesów biologicznych, z obrotów ziemi i z rytmu bijącego serca. Natomiast społeczeństwu drugiej fali rytm odmierzał stukot maszyny.

Kiedy rozpowszechniła się produkcja fabryczna, wysoki koszt maszyn i ścisła współzależność poszczególnych czynności produkcyjnych wymagały o wiele dokładniejszej

synchronizacji. Gdy jakaś grupa robotników spóźniła się z wykonaniem zadania, dla robotników zatrudnionych na kolejnych stanowiskach pracy oznaczać to mogło tylko jeszcze większe opóźnienie. Tak oto punktualność, cecha wcale nie tak ważna w społecznościach rolniczych, stała się społeczną koniecznością, powodując upowszechnienie się zegarów i zegarków. W Anglii były one w powszechnym użyciu jeszcze przed końcem XVIII wieku. Według historyka brytyjskiego, E.P. Thompsona, zegarki upowszechniły się na dobre "dokładnie w momencie, kiedy rewolucja przemysłowa zaczęła wymagać precyzyjnej synchronizacji pracy".

Nie przypadkiem w kulturach przemysłowych uczono znać się na zegarku już od dzieciństwa. Uczniom wpajano przychodzenie do szkoły na dzwonek, żeby później tak samo, na dźwięk syreny lub gwizdka, stawiali się punktualnie w fabryce lub w biurze. Zajęcia zawodowe były odmierzone w czasie i podzielone na kolejne "czasokresy" liczone w ułamkach sekundy. Dzień roboczy "od 9 do 17" stanowił ramy czasowe milionów ludzi pracy.

Ale synchronizacją objęte było nie tylko życie zawodowe. We wszystkich społeczeństwach drugiej fali, niezależnie od ich zamożności lub charakteru politycznego, zegary kierowały także życiem społecznym, które było podporządkowane dyktatowi maszyn. Określone godziny przeznaczono na odpoczynek. Standardowe wakacje, święta i przerwy śniadaniowe przedziały regulaminowe godziny pracy.

Dzieci zaczynały i kończyły rok szkolny o jednym czasie. W szpitalach budzono pacjentów na śniadanie jednocześnie. W godzinach szczytu jednakowo przeciążone były wszystkie środki transportu. W programach radiowych i telewizyjnych rozrywkę lokowano w tych samych, specjalnych porach, określanych jako "najlepszy czas odbioru". Każde przedsiębiorstwo miało swoje własne godziny szczytu lub sezony, zsynchronizowane z porami szczytu u dostawców i dystrybutorów. Pojawili się specjaliści od synchronizacji w fabrykach - "przyspieszacze" i planiści, na skrzyżowaniach - policjanci kierujący ruchem, a także różni fachowcy zajmujący się ustalaniem norm dla wszystkich rodzajów produkcji.

Nie wszyscy jednak poddawali się nowemu, industrialnemu dyktatowi zegara. Był to kolejny powód do konfliktów między kobietami a mężczyznami. Ci ostatni bowiem, z uwagi na pracę w instytucjach drugiej fali, znacznie bardziej niż kobiety uzależniali się od zegara.

Mężowie drugiej fali nieustannie narzekali, że ich żony bez przerwy każą im czekać, że nie liczą się z czasem, że przed wyjściem stroją się godzinami i spóźniają się zawsze i wszędzie. Rytm pracy kobiet, wykonujących przeważnie niezależne od nikogo zajęcia domowe, bywał na ogół mniej mechaniczny. Z podobnych powodów mieszkańcy miast nieco z góry traktowali wieśniaków, uważając, że są powolni i nie dotrzymują terminów. "Nie przychodzą

na czas. Nigdy nie wiadomo, czy zjawia się w ogóle." Takie narzekania wynikały zapewne z różnicy między pracą drugiej fali, opartą na olbrzymiej współzależności z innymi, a pracą pierwszej fali, odbywającą się w gospodarstwie i w domu. Osiągnąwszy panowanie, druga fala zaczęła nadawać industrialne tempo nawet najbardziej prywatnym sprawom ludzkim. W Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim, w Singapurze i w Szwecji, we Francji i Danii, w Niemczech i Japonii - rodziny stawały się podobne do siebie jak krople wody; o tych samych porach ludzie jadali, dojeżdżali, pracowali, wracali do domu, szli do łóżka, spali, a nawet kochali się wszyscy mniej więcej równocześnie; stało się tak, ponieważ obok standaryzacji i specjalizacji, cywilizacją zaczęła rządzić również zasada synchronizacji.

KONCENTRACJA

Powstanie rynku zrodziło jeszcze jedną regułę cywilizacji drugiej fali - zasadę koncentracji.

Spółeczeństwa pierwszej fali korzystały z bardzo rozproszonych źródeł energii. Spółeczeństwa drugiej fali niemal całkowicie uzależniły się od wysoce skoncentrowanych zasobów paliw kopalnych.

Ale w spółeczeństwach drugiej fali koncentracji podlegała nie tylko energia. Koncentracja objęła również ludzi, którzy opuszczali wieś i przenosili się do gigantycznych skupisk miejskich. Objęła ona nawet pracę. W spółeczeństwach pierwszej fali praca odbywała się wszędzie - w domu, we wsi, na polach; natomiast większość pracy w spółeczeństwach drugiej fali wykonywano w fabryce, gdzie pod jednym dachem zbierały się na raz tysięczne rzesze robotników.

Ale koncentracja nie dotyczyła tylko energii i pracy. Na łamach brytyjskiego czasopisma "New Society", poświęconego naukom społecznym, Stan Cohen zwrócił uwagę, że z nielicznymi wyjątkami, w czasach przedprzemysłowych "biedni żyli często pod opieką krewnych; przestępców karano grzywną, chłostą, albo wypędzano z rodzinnej wsi; obłąkanymi opiekowała się rodzina, a jeśli pochodzili z biednych domów, to cała wieś". Krótko mówiąc, wszystkie te kategorie ludzi żyły rozproszone w spółeczeństwie.

Industrializm zrewolucjonizował tę sytuację. Początek XIX wieku bywa nazywany dołą "wielkich inkarceracji", być może z powodu obław, jakie urządzano na przestępców i umysłowo chorych po to, by jednych umieścić w więzieniach, a drugich w domach wariatów; ale również wtedy zaczęto spędzać dzieci do szkół, zupełnie tak samo, jak robotników do fabryk.

Koncentracja wystąpiła również w dziedzinie kapitału; cywilizacja drugiej fali zrodziła

wielką korporację oraz trust, inaczej monopol. W połowie lat sześćdziesiątych naszego stulecia "wielka trójka" kompanii samochodowych w USA produkowała 94 procent wszystkich aut amerykańskich. W Niemczech cztery kompanie - Volkswagen, Daimler-Benz, Opel (GM) i Ford-Werke - realizowały 91 procent produkcji. We Francji właściwie 100 procent produkcji należało do Renault, Citroena, Simki i Peugeota. Fiat wypuszczał 90 procent samochodów produkowanych we Włoszech.

Analogicznie w Stanach Zjednoczonych 80 procent albo i więcej aluminium, piwa, papierosów i płatków śniadaniowych wytwarzało po 4 lub 5 koncernów działających w każdej z tych dziedzin. W Niemczech 92 procent wszystkich prefabrykatów budowlanych i barwników, 98 procent błon fotograficznych i 91 procent przemysłowych maszyn do szycia produkowały najwyżej po 4 kompanie, działające w poszczególnych gałęziach. Lista gałęzi przemysłu o wysokim stopniu koncentracji jest zresztą znacznie dłuższa.

SOCJALISTYCZNI MENEDŻEROWIE RÓWNIEŻ BYLI PRZEKONANI, ŻE KONCENTRACJA PRODUKCJI JEST "POŻYTECZNA". ISTOTNIE, WIELU MARKSISTOWSKICH IDEOLOGÓW W KRAJACH KAPITALISTYCZNYCH APROBOWAŁO CORAZ WIĘKSZĄ KONCENTRACJĘ PRZEMYSŁU W TYCH KRAJACH, UWAŻAJĄC, ŻE JEST TO KONIECZNY KROK NA DRODZE DO OSTATECZNEJ, CAŁKOWITEJ KONCENTRACJI PRZEMYSŁU POD EGIDĄ PAŃSTWA. LENIN MÓWIŁ O "PRZEKSZTAŁCENIU WSZYSTKICH OBYWATELI W ROBOTNIKÓW I PRACOWNIKÓW JEDNEGO WIELKIEGO «SYNDYKATU», A MIANOWICIE CAŁEGO PAŃSTWA".⁹ **Pół wieku później radziecka ekonomistka N. Leluchina mogła oświadczyć w artykule zamieszczonym w "Woprosach Ekonomiki", że "ZSRR posiada najbardziej skoncentrowany przemysł na świecie".**

Czy będziemy rozpatrywać energię, zaludnienie, pracę, oświatę, czy organizację działalności gospodarczej, wszędzie zasada koncentracji znamionująca cywilizację drugiej fali przenikała głęboko, dużo głębiej niż wszelkie różnice ideologiczne między Moskwą a Zachodem.

MAKSYMALIZACJA

Rozdzielenie produkcji i konsumpcji wywołało również we wszystkich społeczeństwach drugiej fali swoistą chorobę polegającą na obsesyjnej "makrofilii", coś w rodzaju teksańskiego upodobania do wszystkiego, co już jest ogromne i rośnie jeszcze bardziej. Jeśli bowiem uznaje się, że długie serie towarów z fabrycznej produkcji obniżają w rezultacie koszt jednostkowy każdej sztuki, to przez analogię, wszelkie zwiększenie skali musiałyby prowadzić do oszczędności również i w innych dziedzinach. "Duże" stało się synonimem

⁹ Włodzimierz Lenin, *Dzieła*, Warszawa 1951, t. 25, s. 506.

"wydajnego". Piątą naczelną zasadą stała się maksymalizacja.

Miasta i państwa przechwalały się posiadaniem najwyższego drapacza chmur, największej zapory, a nawet największych krasnoludków. Ponieważ wielkość była efektem wzrostu, ideałem, do którego zaciekle dążyła większość rządów, korporacji i innych organizacji ery przemysłowej, był właśnie ów wzrost, czyli rozwój.

Każdego dnia robotnicy i menedżerowie Matsushita Electric Company w Japonii powtarzali zgodnym chórem:

...Z wszystkich sił rozwijamy produkcję,
Nasze towary płyną do ludzi w świat,
Nieustannie i bez przerwy,
Niczym woda, co tryska z fontanny.
Rozwijaj się, przemysłe, rośnij, rozrastaj!
Szczerość i harmonia!
Matsushita Electric!

W 1960 roku, kiedy zakończył się w Stanach Zjednoczonych etap tradycyjnego industrializmu i można już było wyczuć pierwsze efekty trzeciej fali zmian, każda z 50 największych amerykańskich korporacji przemysłowych zatrudniała średnio 80 000 pracowników. General Motors zatrudniał 595 000 osób, a kierowana przez Vaila kompania użyteczności publicznej ATiT - 736 000 kobiet i mężczyzn. W 1960 roku statystyczne gospodarstwo domowe składało się średnio z 3,3 osób, a więc powyższa liczba oznaczała, że z pensji wypłacanej przez tę jedną tylko kompanię utrzymywało się grubo ponad 2 miliony ludzi, czyli tyle, ile wynosiła połowa całej ludności USA w czasach, gdy Hamilton i Waszyngton tworzyli Stany Zjednoczone Ameryki. (ATiT, tymczasem, rozrosła się do jeszcze większych rozmiarów. W 1970 roku zatrudniała 956 000 osób, przy czym w ciągu zaledwie 12 miesięcy zatrudniono aż 136 000 nowych pracowników.)

ATiT stanowiła przypadek szczególny, a przy tym owa osobliwa nałogowa skłonność do wszystkiego, co ogromne, zda się być wrodzoną cechą Amerykanów. Tym niemniej, nie posiadali oni wcale monopolu na makrofilję. We Francji, w 1963 roku 1400 firm - co stanowi zaledwie ćwierć procenta wszystkich francuskich kompanii - zatrudniało ponad 38 procent całej siły roboczej w tym kraju. Rządy w Niemczech, Wielkiej Brytanii i w innych krajach popierały tworzenie jeszcze większych kompanii poprzez skłanianie mniejszych jednostek gospodarczych do łączenia się; miało to pomóc w rywalizacji z amerykańskimi gigantami.

Ta maksymalizacja skali nie była zresztą prostym odzwierciedleniem maksymalizacji dochodu. Marks wiązał rosnącą skalę zakładów przemysłowych z szerszym rozwojem ich

potęgi materialnej. Lenin z kolei przekonywał, iż ogromne przedsiębiorstwa, trusty i syndykaty doprowadziły technikę produkcji masowej do najwyższego poziomu rozwoju. Jego pierwsza decyzja gospodarcza zaraz po rewolucji miała na celu stworzenie w Rosji jak najmniejszej liczby jak największych zakładów. Stalin poszedł jeszcze dalej w kierunku maksymalizacji skali; zbudował giganty - kombinat stalowy w Magnitogorsku, drugi w Zaporozstalu, wznosił kombinat hutnictwa miedzi w Bałchaszu, fabryki traktorów w Charkowie i Stalingradzie. Wypytywał, jak wielkie są zakłady w USA, a następnie kazał budować jeszcze większe u siebie.

Dr Leon M. Herman w książce *The Cult of Bigness in Soviet Economic Planning* (Kult wielkości w radzieckim planowaniu gospodarczym) pisze: "W różnych rejonach ZSRR władze lokalne zaczęły brać udział w wyścigu o realizację «największych na świecie» inwestycji." Już w 1938 roku partia komunistyczna ostrzegała przed "gigantomanią", lecz z niewielkim skutkiem. Nawet dziś jeszcze komunistyczni przywódcy krajów Europy Wschodniej zdają się pozostawać pod działaniem tego upodobania, które Herman nazywa "nałogowym pociąganiem do wielkości".

Wiara w samą tylko skalę była związana z typowym dla drugiej fali, ale bardzo ograniczonym pojmowaniem "wydajności" i "sprawności". Charakterystyczna dla industrializmu makrofilia dotyczyła nie tylko zakładów produkcyjnych. Znalazła wyraz między innymi w skumulowaniu wielu najrozmaitszych danych w jednym haśle statystycznym, zwanym Produktem Narodowym Brutto, który będąc niejako sumą wartości dóbr i usług produkowanych w danym systemie ekonomicznym stanowił miarę "skali" całej gospodarki. Ten instrument ekonomistów drugiej fali miał sporo mankamentów. Z punktu widzenia całkowitego produktu narodowego nie miało znaczenia, czy wytwarzane były dobra w postaci żywności, oświaty i usług lekarskich, czy też sprzętu wojskowego. Zatrudnienie ludzi przy budowie domu lub przy jego burzeniu jednakowo przyczyniało się do wzrostu produktu narodowego, mimo że jedna działalność zwiększała majątek, a druga go zubożała. A także, skoro całkowity produkt narodowy obejmował tylko działalność rynkową i tylko taką, która polegała na wymianie pieniężnej lub towarowej, spychał on do podrzędnej roli cały niezwykle istotny sektor gospodarki oparty na produkcji niepłatnej - jak na przykład wychowywanie dzieci i prowadzenie gospodarstwa domowego.

Nie bacząc na te mankamenty, rządy krajów drugiej fali na całym świecie w zaślepieniu uległy pędowi do zwiększania produktu narodowego brutto za wszelką cenę, maksymalizując "rozwój" mimo rosnącego zagrożenia katastrofą ekologiczną i społeczną. Owa skłonność do makrofilii tak głęboko wrosła w mentalność industrialną, że nikomu nie przychodziło do

głowy wątpić w jej słuszność. Maksymalizacja odpowiadała standaryzacji, specjalizacji i innym regułom leżącym u podstaw industrializmu.

CENTRALIZACJA

We wszystkich krajach przemysłowych prawdziwy kunszt osiągnęła centralizacja. W czasach pierwszej fali władzę potrafił doskonale centralizować Kościół, umiało to też robić wielu władców, mieli oni jednak do czynienia ze społeczeństwami znacznie mniej złożonymi i w sumie byli niewyrobionymi amatorami w porównaniu z tymi, którzy scentralizowali całe społeczeństwa przemysłowe, od góry do dołu.

We wszystkich skomplikowanych organizmach społecznych istnieje potrzeba zarówno scentralizowanych, jak i zdecentralizowanych działań. Lecz odejście od zasadniczo zdecentralizowanej gospodarki pierwszej fali, w której każda wioska była w dużej mierze odpowiedzialna za produkcję środków niezbędnych do życia jej mieszkańcom, i przejście do zintegrowanych systemów gospodarczych drugiej fali, doprowadziło do zupełnie nowych metod centralizacji władzy. Stosowane one były z równym powodzeniem w prywatnych kompaniach, w poszczególnych dziedzinach przemysłu i w gospodarce jako całości.

Można odwołać się tu do klasycznego przykładu kolei żelaznych. W porównaniu z innymi gałęziami gospodarki koleje były w swoim czasie potentatami. W Stanach Zjednoczonych w 1850 roku tylko 41 fabryk dysponowało kapitałem o wartości co najmniej 250 000 dolarów. Tymczasem kompania New York Central Railroad już w 1860 roku chlubiła się posiadaniem 30 milionów dolarów. Do kierowania takim potężnym przedsiębiorstwem potrzebne były nowe metody zarządzania i organizacji pracy.

Toteż ówcześni menedżerowie kolei - podobnie jak dziś menedżerowie programów kosmicznych - musieli obmyślać nowe techniki. Technologie, taryfy opłat, rozkłady jazdy objęli oni standaryzacją. Zsynchronizowali operacje na przestrzeni setek mil. Powołali do życia nowe specjalizacje zawodowe i całe wyspecjalizowane wydziały. Skoncentrowali kapitał, energię i ludzi. Starali się zmaksymalizować skalę podległej im sieci kolejowej. Aby to wszystko zrealizować, stworzyli nowe formy organizacyjne, oparte na scentralizowaniu informacji i zarządzania.

Pracownicy dzielili się na „szeregowych” i na „kadrę kierowniczą”. Wprowadzono raporty dzienne, zawierające dane na temat ruchu wagonów, ładunków, uszkodzeń, zaginionych transportów, remontów, przebiegów, etc. Wszystkie te informacje płynęły w górę po scentralizowanej osi dowodzenia, aż docierały na szczyt, do głównego naczelnika, który podejmował decyzję i przekazywał polecenia z powrotem na niższe szczeble.

Jak wykazał historyk gospodarczy, Alfred D. Chandler jun., koleje wkrótce stały się wzorem dla innych wielkich organizacji; scentralizowane zarządzanie zaczęto uważać za nowoczesny, niezwykle zręczny sposób kierowania przedsiębiorstwami we wszystkich krajach drugiej fali.

Również do polityki druga fala wniosła centralizację. Ilustruje to batalia, jaka rozegrała się w Stanach Zjednoczonych pod koniec lat 80-tych XVIII stulecia, kiedy luźne, decentralistyczne „Artykuły konfederacji” zastąpiono bardziej centralistyczną Konstytucją. Związane z rolnictwem interesy pierwszej fali występowały w tej batalii przeciwko koncentracji władzy w rękach rządu ogólnonarodowego, natomiast siły gospodarcze drugiej fali, pod przywództwem Hamiltona, głosiły - między innymi w „Federaliście” - że silny, centralny rząd ma zasadnicze znaczenie nie tylko dla obronności i polityki zagranicznej, lecz również dla rozwoju gospodarczego kraju.

Opracowana ostatecznie w 1787 roku Konstytucja była zręcznym kompromisem. Ponieważ siły pierwszej fali wciąż odgrywały poważną rolę, Konstytucja przekazała wiele uprawnień raczej stanom; a nie rządowi centralnemu. Aby zapobiec nadmiernemu umocnieniu się władzy centralnej, Konstytucja wprowadziła unikalny rozdział uprawnień ustawodawczych, wykonawczych i sędziowskich. Jednakże język Konstytucji był na tyle elastyczny, że w końcu nie zapobiegła ona drastycznemu poszerzeniu zakresu władzy rządu federalnego.

W procesie uprzemysłowienia system polityczny ulegał coraz większej centralizacji; rząd w Waszyngtonie przejmował kolejne uprawnienia i obowiązki i monopolizował w swym ręku coraz więcej decyzji, które zapadały na szczeblu centralnym. Tymczasem w obrębie władz federalnych Kongres i sądy powoli traciły władzę na rzecz najbardziej centralistycznej spośród wspomnianych trzech instancji - mianowicie na rzecz władzy wykonawczej prezydenta. W czasach Nixona historyk Arthur Schlesinger (niegdyś zagorzały zwolennik centralizacji) ostro krytykował "imperialną władzę prezydenta".

W innych państwach skłonność do centralizacji politycznej występowała jeszcze silniej. W porównaniu ze Szwecją, Japonią, Anglią czy Francją, system amerykański może wydać się wręcz zdecentralizowany. Zwraca na to uwagę autor książki *Without Marx or Jesus* (Bez Marksa i Jezusa), Jean-Francois Revel, mówiąc o tym, jak w różnych krajach rządy reagują na społeczny protest polityczny. "Kiedy we Francji zakazuje się jakiejś demonstracji - pisze Revel - to nigdy nie ma wątpliwości co do pochodzenia tego zakazu. Zawsze jego autorem będzie rząd (centralny), jeśli tylko w grę wchodzi jakaś poważna demonstracja polityczna. W Stanach Zjednoczonych natomiast, jeżeli zabrania się demonstracji, każdy najpierw pyta:

«Kto zabrania?»" Revel wykazuje, że zakaz pochodzi przeważnie od którejś z działających autonomicznie instancji władz lokalnych.

Szczyty centralizacji politycznej spotykamy oczywiście w przemysłowych państwach marksistowskich. W 1850 roku Marks wzywał do "zdecydowanej centralizacji władzy w rękę państwa". Engels, podobnie jak wcześniej Hamilton, atakował zdecentralizowane konfederacje, uważając, iż forma ta stanowi "kolosalny krok wstecz". W późniejszym okresie władze radzieckie - w dążeniu do zwiększenia tempa uprzemysłowienia - zaczęły tworzyć struktury polityczne i gospodarcze o takim stopniu centralizmu, że nie dorównują im żadne inne systemy; każdą, nawet najmniejszą decyzję produkcyjną musiały zatwierdzać centralne ośrodki planowania.

Do stopniowej centralizacji niegdyś zdecentralizowanej gospodarki dodatkowo przyczyniło się powołanie niesłyszanej ważnej instytucji, a mianowicie banku centralnego, którego rola i cel kryją się w samej nazwie.

W 1694 roku, u zarania ery przemysłowej, kiedy Newcomen wciąż jeszcze pracował nad silnikiem parowym, William Paterson zorganizował Bank of England, na którym wzorowały się podobne, centralistyczne instytucje we wszystkich krajach drugiej fali. Nie było państwa, w którym zamknąłby się etap drugiej fali bez stworzenia własnego odpowiednika tej maszyny do centralnej kontroli środków płatniczych i kredytów.

Bank Patersona sprzedawał obligacje rządowe; emitował walutę obiegową zatwierdzaną przez rząd; z czasem zaczął regulować praktyki pożyczkowe innych banków. W końcu przejął naczelną funkcję wszystkich dzisiejszych banków centralnych - zaczął sprawować centralną kontrolę zasobów pieniężnych. W 1800 roku powstał Banque de France, zorganizowany na podobnych zasadach. W 1875 roku utworzono Reichsbank.

W Stanach Zjednoczonych zderzenie sił pierwszej i drugiej fali doprowadziło wkrótce po przyjęciu Konstytucji do poważnego sporu na temat centralnej polityki bankowej. Hamilton, najwybitniejszy bojownik o urzeczywistnienie postępowego nurtu drugiej fali w życiu politycznym, żądał utworzenia banku krajowego opartego na modelu angielskim. Południe i zachodnie pogranicze, czyli regiony wciąż mocno zrosnięte z rolnictwem, występowały przeciwko niemu. Niemniej jednak, przy poparciu uprzemysławiającego się Północnego Wschodu, Hamiltonowi udało się przeprowadzić ustawodawstwo, którego efektem było utworzenie Banku Stanów Zjednoczonych - bezpośredniego poprzednika dzisiejszego Systemu Rezerwy Federalnej.

Banki Centralne, wykorzystywane przez rządy do regulowania zakresu i stopnia działalności rynkowej, wprowadziły - jak gdyby kuchennymi schodami - do kapitalistycznych

systemów gospodarczych coś w rodzaju nieoficjalnego planowania krótkofalowego. W krajach drugiej fali - zarówno kapitalistycznych, jak i socjalistycznych - pieniądze płynęły wszystkimi arteriami. Jedne i drugie potrzebowały scentralizowanych "stacji pompujących pieniądze", toteż powołały je do życia. Centralny system bankowy szedł ręką w rękę ze scentralizowanym rządem. Centralizacja to jeszcze jedna naczelną zasadą cywilizacji drugiej fali.

Widzimy zatem zestaw sześciu naczelných zasad, jak gdyby rodzaj „programu”, który funkcjonuje w mniejszym lub większym stopniu we wszystkich krajach drugiej fali. Owe pół tuzina zasad - standaryzacja, specjalizacja, synchronizacja, koncentracja, maksymalizacja i centralizacja - znajdowały zastosowanie zarówno w kapitalistycznych, jak i w socjalistycznych modelach społeczeństw przemysłowych; wyrosły one przecież jako nieuchronna konsekwencja rozdarcia między producentem i konsumentem oraz ze znaczenia, jakiego stopniowo nabierał rynek.

Wspomniane zasady, umacniając i utrwalając się nawzajem, prowadziły z kolei nieuchronnie do powstania biurokracji. Przyczyniły się one do narodzin największych, najsztynniejszych i najpotężniejszych systemów biurokratycznych jakie kiedykolwiek istniały na świecie; jednostka zaczęła gubić się w tym kafkowskim świecie organizacyjnych molochów. Dziś, gdy przytłaczają nas one i tyranizują, możemy prześledzić genezę naszych problemów sięgając wstecz, aż do ukrytego szyfru, który zaprogramował cywilizację drugiej fali.

Sześć zasad składających się na ów szyfr odcisnęło wyraźne piętno na cywilizacji drugiej fali. Dziś, jak się wkrótce przekonamy, przeciwko każdej z tych fundamentalnych zasad zdecydowanie występują siły trzeciej fali.

Atakowane są też zresztą elity drugiej fali, które nadal stosują dawne reguły w gospodarce, bankowości, w stosunkach pracy, w rządzeniu, oświacie, w środkach przekazu. Narodziny nowej cywilizacji stanowią zagrożenie dla wszystkich interesów związanych ze starą cywilizacją.

W nadchodzących wstrząsach i przewrotach elity wszystkich społeczeństw przemysłowych - tak nawykłe do narzucania swoich reguł - czeka najprawdopodobniej los niegdyśiejszych panów feudalnych. Niektórzy zostaną daleko w tyle. Niektórych się zdezonizuje. Jeszcze inni stracą faktyczną władzę i tylko będą udawać, że nadal ją mają. A będą i tacy - zapewne najinteligentniejsi i posiadający największą zdolność adaptacji - którzy ulegną przemianie i ujawnią się jako przywódcy cywilizacji trzeciej fali.

Aby zrozumieć, kto przejmie ster jutro, gdy zapanuje trzecia fala, musimy najpierw

dokładnie wiedzieć, kto kieruje wszystkim dzisiaj.

ROZDZIAŁ V

TECHNICY WŁADZY

Pytanie: "Kto wszystkim kieruje?", jest typowym pytaniem drugiej fali. Przed rewolucją przemysłową nie było bowiem powodu o to pytać. Czy to pod panowaniem królów, czy szamanów, dyktatorów, Boga-Słońca czy świętych - ludzie rzadko mieli wątpliwości, co do tego, kto sprawuje nad nimi władzę. Ubogi wieśniak podnosząc wzrok widział z pola pałac lub klasztor mający wyniośle na horyzoncie. Nie potrzebował żadnego politologa ani uczonego w piśmie publicysty, żeby rozszyfrować tajemnicę władzy. Wszyscy wiedzieli, kto nimi rządzi.

Wszędzie jednak, gdziekolwiek docierała druga fala, pojawiał się nowy rodzaj władzy, rozproszony i bezimienny. Władzę sprawowali teraz anonimowi "oni". Kim byli "oni"?

INTEGRATORZY

Industrializm, jak wiemy, rozbił społeczeństwo na tysiące ząbających się elementów - na fabryki, kościoły, szkoły, związki zawodowe, więzienia, szpitale itp. Rozbił też stosunki władzy między kościołem czy państwem a jednostką. Wiedzę podzielił na specjalistyczne dyscypliny. Rozdrobnił pracę zawodową na małe fragmenty. Rodzinę rozbił na mniejsze komórki. Czyniąc to wszystko, industrializm wywołał wstrząs w życiu społecznym i w sferze kultury.

Wszystkie te rozbite fragmenty ktoś musiał z powrotem połączyć według jakiegoś nowego wzorca.

Ta potrzeba zrodziła wielu różnych specjalistów, których głównym zadaniem było integrowanie rzeczy na nowo. Pod różnymi nazwami - jako dyrektorzy naczelni lub administracyjni, komisarze, koordynatorzy, prezesi i wiceprezesi, biurokraci albo menedżerowie mnożyli się w każdym przedsiębiorstwie, organie rządowym i na każdym szczeblu organizacji społecznej. Jak się zresztą okazało, byli absolutnie nieodzowni. To właśnie integratorzy.

Oni określali role i zakres obowiązków. Decydowali o tym, kogo i jak wynagrodzić. Ustalali plany, określali kryteria oraz wystawiali pozytywną lub negatywną opinię o czyichś zasługach i pracy. Organizowali i koordynowali produkcję, dystrybucję, transport i wymianę komunikacji. Ustalali przepisy regulujące współdziałanie różnych organizacji. Słowem, dopasowywali oni odpowiednio elementy pokawałkowanego organizmu społecznego. Bez nich system drugiej fali w ogóle nie mógłby funkcjonować.

W połowie XIX wieku Marks uważał, że ten, kto ma narzędzia i technologie - a więc środki produkcji - może rządzić państwem. Twierdził, że skoro wszystkie ogniwa pracy są ściśle ze sobą powiązane, to robotnikom łatwo by było zdeorganizować produkcję, a następnie odebrać właścicielom narzędzia pracy. Posiadłszy narzędzia, mieliby również władzę.

Historia tymczasem splatała mu figła. Ta właśnie współzależność wszystkich z wszystkimi wyniosła na szczyty społeczeństwa zupełnie nową grupę ludzi; tych, którzy organizowali, czy inaczej mówiąc, integrowali cały system. W ostateczności władzy nie przejęli ani właściciele, ani klasa robotnicza. Zarówno w krajach kapitalistycznych, jak i socjalistycznych na szczycie znaleźli się integratorzy.

To nie własność środków produkcji zapewniła władzę, lecz kontrola nad środkami integracji. Zastanówmy się, na czym to polega.

Pierwszymi integratorami w świecie biznesu byli właściciele manufaktur, różni przedsiębiorcy, właściciele młynów, kuźnic i fryszerok. Właściciel przedsiębiorstwa z pomocą kilku osób radził sobie na ogół z organizacją pracy sporej liczby niewykwalifikowanych robotników i potrafił zintegrować swą firmę z szerszym systemem gospodarczym.

Ponieważ w owym czasie właścicielem i integratorem była ta sama osoba, nic dziwnego, że Marks mógł ich nie rozróżniać i położyć taki nacisk na sprawę własności. Jednakże w miarę komplikowania się procesów produkcyjnych i zwiększania się specjalizacji w związku z podziałem pracy, namnożyło się mnóstwo dyrektorów, kierowników i ekspertów, którzy stanęli między szefem a robotnikami. Przybywało papierkowej roboty. Wkrótce, w nieco większych przedsiębiorstwach, żaden człowiek, z właścicielem i czołowymi udziałowcami włącznie, nie mógł już samodzielnie kierować całą działalnością firmy. Decyzje właściciela zależały od specjalistów, powołanych do koordynowania systemu, aż w końcu oni sami zaczęli podejmować te decyzje. W ten sposób wyrosła nowa elita kierownicza, której władza wcale nie polegała na własności środków produkcji, lecz na kierowaniu procesami integracji.

Kiedy umacniała się władza menedżerów, akcjonariusze tracili znaczenie. Kompanie rozrastały się, a właściciel stopniowo wyprzedawał udziały coraz liczniejszym grupom rozproszonych udziałowców, z których niewielu miało jakie takie pojęcie o faktycznej działalności danej firmy. I stopniowo udziałowcy musieli powierzać wynajętym menedżerom nie tylko nadzór nad codzienną działalnością przedsiębiorstwa, ale również formułowanie dalekosiężnych celów i strategii. Sami członkowie rad nadzorczych, teoretycznie reprezentujący właścicieli, coraz mniej wiedzieli na temat działalności, którą rzekomo mieli

kierować. A w miarę jak coraz więcej prywatnych inwestycji było podejmowanych nie przez pojedyncze osoby, lecz także przez instytucje pośredniczące - składające się z przypadkowo dobranych osób - na przykład spółki inwestycyjne, fundusze emerytalne czy też banki kredytowe - faktyczni "właściciele" przemysłu coraz mniej mieli do powiedzenia w "swoich" przedsiębiorstwach.

Nową władzę integratorów najlepiej chyba scharakteryzował były sekretarz Skarbu USA, W. Michael Blumenthal. Zanim objął stanowisko w rządzie, Blumenthal kierował korporacją Bendix. Zapytany kiedyś, czy chciałby zostać właścicielem firmy, Blumenthal odrzekł: "Nie ten się liczy, kto jest właścicielem, lecz ten, kto ma władzę. Jako naczelny dyrektor właśnie ją mam! W przyszłym tygodniu mamy zebranie udziałowców i wiem, że 97 procent głosów należy do mnie. A posiadam na własność tylko 8 tysięcy akcji. Dla mnie najważniejsza jest władza... Naprawdę interesuje mnie panowanie nad tą bestią i wykorzystanie jej w konstruktywny sposób, a nie zajmowanie się głupstwami, do których zmuszałby mnie ktoś inny."

Tak więc coraz częściej ważne decyzje w życiu gospodarczym podejmowali wynajęci menedżerowie firmy albo menedżerowie polityki inwestycyjno-budżetowej, którzy lokowali w różnych interesach pieniądze należące do innych ludzi. W żadnym jednak przypadku nie decydowali faktyczni właściciele, a tym bardziej robotnicy. Kierownictwo objęli integratorzy.

WSZYSTKIE TE ZJAWISKA MIAŁY SWE ANALOGIE W KRAJACH SOCJALISTYCZNYCH. JUŻ W 1921 ROKU LENIN CZUŁ SIĘ POWOŁANY DO SKRYTYKOWANIA WŁASNEJ RADZIECKIEJ BIUROKRACJI. [...] W LATACH PIĘĆDZIESIĄTYCH MILOYAN DJILAS KRYTYCZNIE PISAŁ W *THE NEW CLASS* (NOWA KLASA) NA TEMAT ROSNĄCEJ POTĘGI ELITY MENEDŻERÓW W JUGOSŁAWII. SAM TITO, KTÓRY KAZAŁ DJILASA ZAMKNAĆ W WIĘZIENIU, NARZEKAŁ TEŻ NA "TEGO WROGA KLASOWEGO, JAKIM JEST TECHNOKRACJA I BIUROKRACJA". STRACH PRZED "MENEDŻERALIZMEM" DOMINOWAŁ RÓWNIEŻ W MAOISTOWSKICH CHINACH.¹⁰

I w socjalizmie, i w kapitalizmie integratorzy przejęli faktyczną władzę. Bez nich poszczególne części systemu nie zazębiałyby się. Machina nie mogłaby funkcjonować.

INTEGRACYJNY MOTOR

Integracja w obrębie jednego przedsiębiorstwa, czy nawet całej gałęzi przemysłu, była jedynie drobną częścią szerszego zadania. Jak wiadomo, w nowoczesnym społeczeństwie przemysłowym powstało mnóstwo organizacji - od związków i stowarzyszeń zawodowych po

¹⁰ Mao, będąc przywódcą największego na świecie państwa tkwiącego wciąż w epoce pierwszej fali, często ostrzegał przed tworzącą się elitą menedżerów, upatrując w niej niebezpieczny element, nieodłączny elekt tradycyjnego industrializmu.

kościół, szkoły, kliniki i najróżniejsze organizacje o charakterze rekreacyjnym; wszystkie te organizacje miały działać według z góry ustalonych reguł. Trzeba było opracować przepisy i ustawy. Ale przede wszystkim trzeba było zgrać ze sobą infosferę, socjosferę i technosferę.

Z głębokiej potrzeby integracji systemu w epoce drugiej fali zrodził się wielki rząd, który był motorem całego systemu. Tylko ową przemożną potrzebą integracji wytłumaczyć można fakt, że we wszystkich krajach drugiej fali rządy nieodmiennie się powiększały.

Zdarzali się oczywiście demagodzy, którzy wysławiali mniejsze rządy. Ale z chwilą objęcia urzędu ci sami politycy raczej powiększali niż zmniejszali rozmiary rządu. Ta sprzeczność między teorią a praktyką staje się zrozumiała, gdy zdamy sobie sprawę, że nadrzędnym celem wszystkich rządów drugiej fali było stworzenie i podtrzymywanie cywilizacji przemysłowej. Ten wspólny cel góruje nad wszelkimi różnicami. Partie i politycy mogli kłócić się w innych kwestiach, ale w tej jednej łączyła ich milcząca zgoda. Wielki rząd - niezależnie od tego, co głosili politycy - był częścią nieoficjalnego programu, jaki realizowali; powodzenie społeczeństwa przemysłowego zależy bowiem od tego, czy rząd wypełni najważniejsze funkcje integracyjne.

Jak zauważył felietonista Clayton Fritchey, rząd federalny w USA ustawicznie się powiększał, także w czasie kadencji trzech ostatnich administracji republikańskich.

Entuzjaści wolnego rynku uważają, że rząd miesza się do gospodarki. Lecz gdyby industrializacja poprzestała wyłącznie na prywatnej przedsiębiorczości, postępowałaby o wiele wolniej, jeżeli w ogóle nie zostałaby w jakimś punkcie zahamowana. Rządy przyspieszyły rozwój kolejnictwa. Zbudowały porty, drogi, kanały i autostrady. Kierowały pocztą, tworzyły systemy telefoniczne, telegraficzne i sieci radiowo-telewizyjne, a przynajmniej ustanawiały przepisy regulujące funkcjonowanie tych systemów. Rządy zajmowały się kodyfikacją handlu i standaryzacją rynku. Za pomocą polityki zagranicznej i ceł wspomagały własny przemysł. Odciągając farmerów od ziemi, poszerzały szeregi przemysłowej siły roboczej. Subwencjonowały - nierzadko kanałami wojskowymi - inwestycje energetyczne i rozwój nowoczesnych technologii. Na tysiącu szczebli władzy organy rządowe przejęły niemal wszystkie funkcje integracyjne, których kto inny nie potrafił lub nie mógł spełniać.

Rządy znacznie przyspieszyły uprzemysłowienie. Korzystając z przymusu oraz z dochodów podatkowych mogły robić to, na co prywatne przedsiębiorstwa nie mogły sobie pozwolić. Mogły "rozgrzewać" proces uprzemysłowienia, zanim prywatne kompanie uznałyby to za korzystne lub w ogóle możliwe; rządy dysponowały bowiem odpowiednimi środkami do łatania pojawiających się raz po raz luk i szczelin w systemie. Rządy mogły z

góry i zawczasu organizować integrację.

Przez powołanie systemu masowej oświaty rządy nie tylko przyczyniły się do odpowiedniego przygotowania młodzieży do pracy w przemyśle (tym samym niejako subwencjonując przemysł), lecz jednocześnie przyczyniły się do upowszechnienia modelu rodziny nuklearnej. Uwalniając rodzinę między innymi od jej edukacyjnych funkcji, rządy przyspieszyły adaptację struktury rodzinnej do potrzeb systemu fabrycznego. Tak oto na wielu różnych płaszczyznach rządy odgórnie kierowały skomplikowanymi funkcjami cywilizacji drugiej fali.

Nic dziwnego, że kiedy integracja nabierała znaczenia, zmieniał się charakter rządu. Coraz częściej prezydenci i premierzy uważali siebie przede wszystkim za menedżerów, a nie za twórczych przywódców społecznych i politycznych. Pod względem osobowości i sposobu bycia upodabniali się bardzo do ludzi kierujących wielkimi kompaniami i przedsiębiorstwami produkcyjnymi. Wprawdzie z obowiązku deklarowali swe oddanie ideom demokracji i sprawiedliwości społecznej, jednak wszyscy ci [...] - dostawali się ze świata przemysłowego na urząd obiecując niewiele więcej od sprawnego zarządzania.

Na ogół więc zarówno w socjalistycznych, jak i kapitalistycznych społeczeństwach przemysłowych można było zaobserwować ten sam schemat - z jednej strony powstawały ogromne kompanie lub inne organizacje produkcyjne, a z drugiej - wielka machina rządowa. Ani robotnicy nie przejęli na własność środków produkcji - choć tak prorokował Marks, ani kapitaliści nie zachowali dla siebie całej władzy - co woleliby wyznawcy teorii Adama Smitha; pojawiła się natomiast zupełnie nowa siła, która usunęła w cień jednych i drugich. Technicy władzy przejęli "środki integracji", obejmując dzięki temu panowanie nad życiem społecznym, kulturalnym, politycznym i gospodarczym. W społeczeństwie drugiej fali władzę sprawowali integratorzy.

PIRAMIDY WŁADZY

Wśród samych techników władzy wytworzyła się hierarchia elit i subelit. W każdej gałęzi przemysłu i we wszystkich organach władzy tworzył się własny "establishment"; pojawiali się mocowładni "oni".

Własne piramidy władzy miały sport, religia i oświata. Powstały odrębne "establishmenty" nauki, obrony i kultury. W społeczeństwach drugiej fali władza rozczłonkowana była między dziesiątki, setki, może nawet tysiące takich wyspecjalizowanych elit.

Owe wyspecjalizowane elity podlegały z kolei integracji ze strony nadrzędnej elity, której przedstawiciele znajdowali się we wszystkich grupach społecznych. Na przykład w Związku

Radzieckim i w Europie Wschodniej członkowie partii komunistycznej funkcjonowali w każdej dziedzinie - od lotnictwa począwszy, a na muzyce i hutnictwie stali skończywszy. Tworzyli oni sieć ułatwiającą przekazywanie informacji od jednej subelity do drugiej. Ponieważ mieli dostęp do wszystkich informacji, odgrywali kolosalną rolę, kontrolując specjalistyczne subelity. W krajach kapitalistycznych podobne funkcje spełniali - w mniej formalny sposób - czołowi biznesmeni i prawnicy, zajmujący stanowiska w organizacjach społecznych lub radach nadzorczych. We wszystkich krajach drugiej fali obserwujemy więc pojawienie się wyspecjalizowanych grup integratorów, biurokratów i dyrektorów, którzy podlegali dalszej integracji ze strony nadrzędnych integratorów.

SUPERELITY

Na najwyższym poziomie integracją zajmowały się superelity, odpowiedzialne za rozdział środków inwestycyjnych. Czy to w finansach, czy w przemyśle, w Pentagonie czy w radzieckim aparacie planowania, ludzie decydujący o kredytach inwestycyjnych ustanawiali granice, w jakich musieli funkcjonować sami integratorzy. Podjęcie każdej poważnej decyzji inwestycyjnej, zarówno w Minneapolis, jak i w Moskwie - w jednakowym stopniu ograniczało swobodę działania w przyszłości. Wobec braku nieograniczonych środków nikt nie mógł sobie pozwolić na niefrasobliwe wyrzucenie pieców besemerowskich lub rafinerii czy linii montażowych dopóty, dopóki nie zamortyzował się ich koszt. A zatem raz ulokowany kapitał inwestycyjny zakreślał teren, po którym musieli się poruszać przyszli menedżerowie i integratorzy. Owe grupy bezimiennych autorów decyzji, zarządzających funduszami inwestycyjnymi, tworzyły we wszystkich społeczeństwach przemysłowych superelitę.

W konsekwencji we wszystkich społeczeństwach drugiej fali wyrastały analogiczne architektury elit. Ta nieoficjalna hierarchia władzy odradzała się - z lokalnymi różnicami - po każdym kryzysie czy przewrocie politycznym. Mogły się zmieniać nazwiska, hasła, etykiety partyjne i kandydaci, mogły wybuchać i gasnąć rewolucje. Zza wielkich mahoniowych biurków mogły spoglądać coraz to inne twarze. Ale architektura władzy pozostawała niezmienna.

W ciągu minionych trzystu lat, kolejno w różnych krajach, buntownicy i reformatorzy próbowali raz po raz atakować mur władzy, pragnąc zbudować nowe społeczeństwo, oparte na sprawiedliwości społecznej i równości politycznej. Ruchom tym udawało się obietnicami wolności porywać na krótko miliony ludzi. Tu i ówdzie rewolucjoniści zdołali nawet obalić panujący reżim.

A jednak za każdym razem ostateczny efekt był ten sam. Za każdym razem rebelianci

odtworzali pod własnym sztandarem podobną strukturę subelit, elit i superelit. Albowiem owa struktura integracyjna, jak również technicy władzy, którzy nią kierowali, byli tak samo niezbędni cywilizacji drugiej fali, jak fabryki, paliwa kopalne czy nuklearna rodzina. Industrializm i obiecwana przezeń pełna demokracja nie mogły w istocie iść w parze.

Kraje przemysłowe można było zmusić - na drodze rewolucji bądź inaczej - do pójścia wstecz lub wprzód na skali obejmującej wachlarz możliwości od gospodarki wolnorynkowej do planowanej. Mogły one przechodzić od kapitalizmu do socjalizmu lub na odwrót. Ale, podobnie jak lampart, nie mogły one pozbyć się swoich cętek. Bez potężnej hierarchii integratorów kraje te nie mogły funkcjonować.

Dziś, kiedy trzecia fala zmian zaczyna napierać na tę twierdzę menedżerskich rządów, pojawiają się pierwsze rysy, które świadczą o pękaniu systemu władzy. W coraz to nowych krajach społeczeństwa domagają się współuczestniczenia w zarządzaniu i podejmowaniu decyzji, żądają usankcjonowania kontroli robotniczej i obywatelskiej, domagają się władzy dla konsumentów oraz przewidującej przyszłość demokracji.

W najnowocześniejszych gałęziach przemysłu powoli znajdują zastosowanie nowe metody organizacji i mniej hierarchiczny, bardziej doraźny ("ad-hoc-kracja") tryb zarządzania. Nasilają się żądania decentralizacji władzy. Menedżerowie są coraz bardziej zależni od informacji oddolnej. Same elity nie są już więc tak trwałe ani nietykalne jak niegdyś. Wszystko stanowi ostrzeżenie, że wkrótce nastąpi przewrót w systemie politycznym.

Trzecia fala, która już zaczyna podmywać struktury ery przemysłowej, otwiera fantastyczne możliwości odnowy społecznej i politycznej. W najbliższej przyszłości w miejsce dotychczasowych zniedołężniałych, wyniszczających człowieka i przestarzałych struktur integracyjnych powstaną zupełnie nowe instytucje.

Zanim jednak zwrócimy się ku tym nowym możliwościom, powinniśmy jak najdokładniej przeanalizować umierający system. Niczym na kliszy rentgenowskiej musimy zobaczyć, jak ten przestarzały system polityczny mieścił się w cywilizacji drugiej fali, w jaki sposób służył on łaadowi przemysłowemu i jego elitom. Dopiero wtedy zrozumiemy, dlaczego nie można go już dłużej aprobować ani dalej w nim żyć.

ROZDZIAŁ VI

WSPÓLNY SCHEMAT

Nic nie potrafi bardziej zadziwić Francuza niż spektakl, jaki odbywa się podczas prezydenckiej kampanii wyborczej w USA; Francuz niewiele rozumie ani z opychania się hot-dogami, klepania wszystkich po ramionach, obcałowywania nieletnich pacholąt, ani z demonstracyjnych wahań kandydatów, czy w ogóle ubiegać się o urząd. Francuz nie bardzo wie, na czym polegają prawybory i konwencje, po których następuje maniacki szal szukania funduszy; spontaniczne spotkania z wyborcami, niezliczone, aranżowane na trasie przejazdu, przemówienia kandydatów i ich wystąpienia w telewizji - a wszystko w imię demokracji. Amerykanie z kolei nie mogą nadziwić się Francuzom i ich sposobom wybierania przywódców. Jeszcze mniej zrozumiałe są dla nich nudne i rozwlekłe wybory brytyjskie czy "wolne zawody" w Holandii z udziałem dwóch tuzinów partii; nie pojmują też "preferencyjnego" systemu głosowania w Australii ani dogadywania się ze sobą różnych odłamów partyjnych w Japonii. [...] Pod względem politycznym nie ma dwóch podobnych do siebie państw przemysłowych.

Wystarczy jednak popatrzeć na to z szerszej perspektywy, by się przekonać, że pod pozornymi różnicami kryje się wiele znamienych analogii. Wygląda na to, że systemy polityczne wszystkich krajów drugiej fali zostały oparte na jednym, wspólnym schemacie, ukrytym przed powierzchownym obserwatorem.

Gdy rewolucjonistom drugiej fali udało się obalić elity pierwszej fali we Francji, USA, Rosji, Japonii i w innych krajach, nadszedł czas układania konstytucji, powoływania rządów i organizowania - niemal że od podstaw - nowych instytucji. W ferworze tworzenia roztrząsano nowe idee i struktury. Wszędzie toczył się spór na temat charakteru przedstawicielstwa. Kto kogo powinien reprezentować? Czy lud ma dyktować swoim reprezentantom, jak głosować, czy mają o tym decydować sami przedstawiciele ludu? Czy kadencje powinny być długie, czy krótkie? Jaką rolę powinny odgrywać partie?

Z tych sporów i dyskusji we wszystkich krajach wyłoniły się nowe systemy polityczne. Przyjrząwszy się im bliżej widzimy, że złożyły się na nie dawne założenia pierwszej fali oraz nowsze, wyrosłe już na gruncie ery przemysłowej, koncepcje.

Po tysiącach lat gospodarki agrarnej trudno było twórcom systemów politycznych drugiej fali wyobrazić sobie gospodarkę opartą nie na ziemi, lecz na pracy najemnej, kapitale, energii i surowcach. Zawsze przedtem istota życia ogniskowała się wokół ziemi. Nic więc dziwnego, że geografia odgrywała olbrzymią rolę w różnych skądinąd systemach wyborczych.

Senatorów i kongresmenów w USA, jak również ich odpowiedniki w Wielkiej Brytanii i innych państwach przemysłowych, wciąż wybiera się nie jako reprezentantów jakiejś warstwy społecznej czy zawodowej, grupy etnicznej lub grupy ludzi charakteryzujących się podobnym ujęciem spraw seksu bądź stylu życia, lecz jako przedstawiciele mieszkańców pewnego obszaru ziemi, czyli rejonu geograficznego.

Ludzie pierwszej fali rzadko zmieniali miejsce pobytu, toteż architekci systemów politycznych ery przemysłowej przyjęli za naturalne założenie, że ludzie zawsze będą spędzać całe życie w jednym miejscu. Stąd wziął się zwyczaj, panujący do dziś, że wyborcy głosują w miejscu stałego zamieszkania.

Życie w epoce pierwszej fali płynęło powoli. Komunikacja była tak prymitywna, że trzeba było całego tygodnia, by wieści z Kongresu Kontynentalnego w Filadelfii dotarły do Nowego Jorku. Treść przemówienia Waszyngtona dopiero po wielu tygodniach, a nawet miesiącach znana była w głębi kraju. Jeszcze w 1865 roku trzeba było aż dwunastu dni, by wiadomość o zamordowaniu Lincolna dotarła do Londynu. Zgodnie z powszechnym mniemaniem, że sprawy toczą się powoli, takie organy przedstawicielskie, jak Kongres czy brytyjski Parlament działały opieszale - zawsze miały czas i nigdy się nie spieszyły z dogłębnym rozpatrzeniem stawianych na ich forum kwestii.

Ludzie pierwszej fali byli przeważnie analfabetami. Uzasadnione więc było powszechne przekonanie, że reprezentanci, zwłaszcza jeśli będą pochodzić spośród warstw wykształconych, będą niechybnie podejmować bardziej inteligentne decyzje niż masy wyborcze.

Rewolucjoniści drugiej fali zdołali wbudować w nasze instytucje polityczne wiele założeń z epoki pierwszej fali, ale jednocześnie patrzyli oni również w przyszłość. Toteż skonstruowany przez nich system polityczny stanowił odzwierciedlenie pewnych aktualnych w ich czasach pojęć i idei z zakresu nowoczesnej techniki i technologii.

MECHANOMANIA

W początkach ery przemysłowej maszyny dosłownie oszołomiły biznesmenów, intelektualistów i rewolucjonistów. Ulegli oni fascynacji silnikami parowymi, zegarami, krosnami, pompami i tłokami, do których nawiązywali w nie kończących się porównaniach i analogiach. Nie przypadkiem mężowie pokroju Beniamina Franklina i Tomasza Jeffersona byli zarówno uczonymi i wynalazcami, jak też rewolucjonistami politycznymi.

Wyrastali oni w atmosferze niepokoju kulturalnego, jaki wywołały wielkie odkrycia Newtona. Newton przebadał przestrzeń pozaziemską i wywnioskował, że cały wszechświat to

gigantyczny mechanizm zegarowy, funkcjonujący z dokładną, mechaniczną regularnością. Francuski lekarz i filozof La Mettrie ogłosił w 1748 roku, że człowiek to nic innego, jak bardzo złożona maszyna. Nieco później Adam Smith przeniósł tę analogię na dziedzinę ekonomii, twierdząc, że gospodarka jest systemem, a systemy "pod wieloma względami przypominają maszyny".

KIEDY JAMES MADISON RELACJONOWAŁ PRZEBIEG KONWENCJI KONSTYTUCYJNEJ W STANACH ZJEDNOCZONYCH, MÓWIŁ ON O POTRZEBIE "PRZEMODELOWANIA SYSTEMU", O ZMIANIE "STRUKTURY" WŁADZY POLITYCZNEJ I O KONIECZNOŚCI WYBIERANIA URZĘDNIKÓW PAŃSTWOWYCH, METODĄ "SUKCESYWNEGO FILTROWANIA". W SAMEJ KONSTYTUCJI - NICZYM W SKOMPLIKOWANYM WERKU GIGANTYCZNEGO ZEGARA - ROIŁO SIĘ OD ZWROTÓW W RODZAJU *CHECK AND BALANCE*, CO ZNACZY DOSŁOWNIE "OGRANICZNIK RUCHU I BALANS", W AMERYKAŃSKIM ZAŚ SŁOWNICTWIE POLITYCZNYM ZWROT TEN PRZYJĄŁ SIĘ JAKO SYNONIM "RÓWNOWAŻENIA SIĘ I WZAJEMNEJ KONTROLI ODDZIELNYCH ORGANÓW WŁADZY". JEFFERSON MÓWIŁ Z KOLEI O "MACHINIE RZĄDOWEJ".

W AMERYKAŃSKIM MYŚLENIU POLITYCZNYM WCIĄŻ POBRZMIWAŁY ECHA RÓŻNYCH KÓŁ ZAMACHOWYCH, ŁAŃCUCHÓW, MECHANIZMÓW, OGRANICZNIKÓW RUCHU I BALANSÓW. TAK WIĘC MARTIN VAN BUREN WYMYŚLIŁ "MACHINĘ POLITYCZNĄ", Z CZASEM NOWY JORK MIAŁ SWĄ MACHINĘ TWEEDA,¹¹ a stany Tennessee i New Jersey odpowiednio - **maszynę Crumpa i maszynę "haską"**. Całe pokolenia polityków amerykańskich aż po dzień dzisiejszy opracowywały "projekty" i "schematy", przygotowywały wybory pod względem "technicznym", w Kongresie i legislaturach stanowych "blokowały" ustawy bądź "nadawały im bieg". W XIX wieku w Anglii Lord Cromer utworzył rząd, który "zapewniał harmonijne współdziałanie wszystkich części maszyny" Imperium Brytyjskiego.

TA MECHANISTYCZNA MENTALNOŚĆ NIE BYŁA BYNAJMNIEJ PRODUKTEM KAPITALIZMU. LENIN NA PRZYKŁAD UWAŻAŁ, ŻE PAŃSTWO TO NIC WIĘCEJ, JAK TYLKO "SPECJALNA MACHINA DO UCISKANIA JEDNEJ KLASY PRZEZ DRUGĄ".¹² Trocki mówił o "trybach i śrubach burżuazyjnego mechanizmu społecznego", a opisując funkcje partii rewolucyjnej nadal posługiwał się porównaniami mechanistycznymi. Używając porównania z potężnym "aparatem" zwracał on uwagę, że "jak każdy mechanizm, sam w sobie jest on

¹¹ Od nazwiska Williama Marcy Tweeda, który nadużywając swej władzy w latach 1868-1871 znieślił się sprzeniewierzeniem milionów dolarów.przyp. tłum.

¹² Włodzimierz Lenin, *Państwo a rewolucja. Nauka marksizmu o państwie i zadania proletariatu w rewolucji*, Warszawa 1980, s. 121.

statyczny... ruch mas musi... pokonać bezruch i inercję... Przeto żywa siła pary zanim puści w ruch koło zamachowe maszyny, musi pokonać jej bezwład."

Nic więc dziwnego, że rewolucyjni twórcy społeczeństw drugiej fali, zarówno kapitalistycznych, jak i socjalistycznych, ogarnięci obsesją mechanistycznych skojarzeń i przepełnieni niemal ślepą wiarą w moc i niezawodną sprawność maszyn, w końcu stworzyli instytucje, które mają wiele cech wspólnych z maszynami z początków ery przemysłowej.

PRZEDSTAWICIELSKI PAKIET

Struktury, jakie ci twórcy wykuli i zespolili, były oparte na podstawowej idei przedstawicielstwa. Każdy z krajów na swój sposób robił użytek z określonych, standardowych elementów systemu. Stanowiły one coś, co tylko na w pół żartobliwie można by nazwać "pakietem przedstawicielskim", na który złożyły się następujące elementy:

1. Wyborcy wyposażeni w prawo głosowania
2. Partie do zbierania głosów
3. Kandydaci, którzy zdobywając głosy, natychmiast stawali się "przedstawicielami" wyborców
4. Ciała ustawodawcze (parlamenty, sejmy, kongresy, bundestagi lub zgromadzenia), w których na drodze głosowania reprezentanci prokurowali ustawy i przepisy
5. Władze wykonawcze (w osobach prezydentów, premierów lub sekretarzy partii), które machinie ustawodawczej dostarczały "surowiec" w postaci decyzji politycznych, a następnie egzekwowały uchwalone ustawy. "Atomem" w tym newtonowskim mechanizmie były głosy wyborców, gromadzone przez partie, spełniające rolę "kolektora" całego systemu. Zbierały one głosy z wielu źródeł i przekazywały je do wyborczej maszyny sumującej, która mieszała je w zależności od stężenia lub rozcieńczenia danej partii, wypuszczając końcowy rezultat w postaci "woli ludu" - niejako głównego paliwa, mającego rzekomo napędzać maszynę rządową.

Elementy składające się na ten pakiet były rozmaicie łączone i rozmaicie funkcjonowały w różnych miejscach. W pewnych krajach każdy, kto ukończył 21 lat, miał prawo głosu; gdzie indziej prawo wyborcze przysługiwało tylko białym mężczyznom; w jednym kraju cała procedura stanowiła tylko fasadę, za którą krył swą władzę dyktator; w innym zaś wybrani na stanowiska ludzie rzeczywiście posiadali sporą władzę. Tutaj były dwie partie, gdzie indziej było ich mnóstwo, a jeszcze gdzie indziej tylko jedna partia. Tym niemniej prawidłowość historyczna jest wyraźna. Jakimkolwiek modyfikacjom czy konfiguracjom poddawano poszczególne elementy, do stworzenia formalnej maszynerii politycznej we wszystkich

krajach przemysłowych zawsze służył ten sam podstawowy zestaw elementów.

Komuniści często krytykowali "demokrację burżuazyjną" i "parlamentaryzm" uważając, że stanowią one jedynie maskę ukrywającą przywileje, gdyż - jak twierdzili - mechanizmami tymi zwykle manipulowała klasa kapitalistów, która miała na uwadze swój własny interes. Jednakże mimo tej krytyki, we wszystkich socjalistycznych państwach przemysłowych skwapliwie i jak najszybciej tworzone bardzo podobne mechanizmy przedstawicielskie.

WPRAWDZIE OBIECUJE SIĘ TAM "BEZPOŚREDNIĄ DEMOKRACJĘ" W DOŚĆ NIEOKREŚLONEJ, ODLEGLEJ ERZE POSTPRZEDSTAWICIELSKIEJ, NA RAZIE JEDNAK PAŃSTWA TE OPIERAJĄ SIĘ NA "SOCJALISTYCZNYCH INSTYTUCJACH PRZEDSTAWICIELSKICH". W PRACY NA TEMAT TYCH INSTYTUCJI WĘGERSKI KOMUNISTA OTTO BIHARI PISZE: "W TRAKCIE WYBORÓW WOLA LUDU PRACUJĄCEGO WYWIERA WPLYW ODCZUWANY PRZEZ ORGANY RZĄDOWE POWOŁYWANE W DRODZE GŁOSOWANIA." PUBLICYSTA "PRAWDY", WIKTOR G. AFANASJEW, W KSIĄŻCE *NAUKOWE ZARZĄDZANIE SPOŁECZEŃSTWEM*, WYJAŚNIA MIĘDZY INNYMI POJĘCIE "CENTRALIZMU DEMOKRATYCZNEGO"; WEDŁUG NIEGO POJĘCIE TO OBEJMUJE "NIEOGRANICZONĄ WŁADZĘ MAS PRACUJĄCYCH... WYBIERALNOŚĆ ORGANÓW KIEROWNICZYCH I PRZYWÓDCÓW I ICH ODPOWIEDZIALNOŚĆ PRZED MASAMI".¹³

Tak samo, jak fabryka zaczęła symbolizować całą przemysłową technosferę, rząd przedstawicielski (bez względu na stopień wynaturzenia) stał się symbolem statusu każdego "postępowego" kraju. W istocie nawet liczne kraje nieprzemysłowe - pod naciskiem kolonizatorów lub przez ślepe naśladownictwo - skwapliwie zaczęły tworzyć u siebie takie same formalne mechanizmy i posługiwać się tym samym przedstawicielskim pakietem.

GLOBALNA FABRYKA PRAW

Owe "mechanizmy demokracji" nie ograniczały się bynajmniej tylko do wymiarów ogólnokrajowych. Znajdowały się one również na wszystkich szczeblach lokalnych - od stanu i prowincji aż po rady miejskie i wiejskie na samym dole. W Stanach Zjednoczonych jest obecnie blisko 500 000 obieralnych urzędników publicznych i 25 869 lokalnych organów władzy na terenie wielkich miast; do każdego z nich odbywają się osobne wybory, każdy ma swoją procedurę wyborczą oraz organy przedstawicielskie.

MACHINY PRZEDSTAWICIELSKIE, KTÓRYCH TRYBY USTAWICZNIE SĄ W RUCHU, NA TERENACH POZAMIEJSKICH MOŻNA LICZYĆ NA TYSIĄCE W USA, A NA DZIESIĄTKI TYSIĘCY NA CAŁYM ŚWIECIE. W KANTONACH SZWAJCARII I DEPARTAMENTACH FRANCJI, W BRYTYJSKICH

¹³ Wiktor G. Afanasjew, *Naukowe zarządzanie społeczeństwem (Próba badania systemowego)*, przeł. Stanisław Macheta i Janina Skrzypek, Warszawa 1976, s. 300.

HRABSTWACH I W PROWINCJACH KANADY, W POLSKICH WOJEWÓDZTWACH I W REPUBLIKACH ZWIĄZKU RADZIECKIEGO, W SINGAPURZE I HAJFIE, W OSACE I OSŁO KANDYDACY UBIEGAJĄ SIĘ O URZĄD I W MAGICZNY SPOSÓB ZMIENIAJĄ SIĘ W "REPREZENTANTÓW". NIE BĘDZIE PRZESADY W STWIERDZENIU, ŻE W SAMYCH TYLKO KRAJACH DRUGIEJ FALI¹⁴ **ponad 100 000 takich machin produkuje obecnie ustawy, dekrety, przepisy i zarządzenia.**

W teorii każdy człowiek i każdy oddany głos były odrębnym "atomem"; podobnie, każda z tych politycznych komórek organizacyjnych - na szczeblu ogólnokrajowym, prowincjonalnym i lokalnym - również posiadała swą odrębność. Każda miała własną precyzyjnie określoną jurysdykcję, własny zakres władzy, własne prawa i obowiązki. Poszczególne komórki łączył hierarchiczny porządek, polegający na uszeregowaniu pionowym, z góry na dół - od szczebla ogólnokrajowego po władze stanowe, prowincjonalne i lokalne.

Ale gdy industrializm zaczął wchodzić w dojrzałą fazę i gospodarka stawała się coraz silniej zintegrowana, skutki decyzji zapadających w poszczególnych komórkach władzy politycznej wykaczały poza granice ich kompetencji, zmuszając inne organy władzy do reakcji.

Decyzja podjęta przez Parlament japoński w sprawie przemysłu włókienniczego w Japonii może wpływać na zatrudnienie w Karolinie Północnej oraz na system opieki społecznej w Chicago. Przegłosowanie w Kongresie kontyngentów na import zagranicznych samochodów może sprawić kłopot władzom lokalnym w Nagoi lub w Turynie. Widzimy więc, że decyzje, których skutki byłyby ograniczone do własnego, ściśle określonego zakresu jurysdykcji każdego organu władzy, coraz bardziej stają się niemożliwe.

Do połowy XX wieku dziesiątki tysięcy rzekomo suwerennych, niezależnych instancji władzy politycznej, rozprzestrzenionych po całej planecie, były już powiązane z sobą poprzez stosunki gospodarcze, rozwój możliwości podróżowania, coraz większą migrację i sprawniejszą komunikację. W efekcie organy te ustawicznie ożywiały się i pobudzały nawzajem.

W ten sposób tysiące mechanizmów przedstawicielskich, na które zawsze składał się ten sam pakiet części składowych, zaczynało stopniowo tworzyć jedną, niewidoczną

¹⁴ Niezależnie od rządów jako takich, dosłownie wszystkie partie polityczne ery przemysłowej, od skrajnie prawicowych po skrajnie lewicowe, stosowały normalnie tradycyjną procedurę wybierania swych przywódców na drodze głosowania. Nawet zmiana władz na szczeblu okręgu lub w podstawowej komórce partyjnej wymagała zazwyczaj jakiejś formy wyborów, polegających bodaj na zatwierdzeniu proponowanych ogólnie kandydatów. W wielu krajach rytuał wyborczy przyjął się jako standardowa zasada stosowana przez wszelkie organizacje, od związków zawodowych i kościołów począwszy, a na drużynach zuchowych skończywszy. Głosowanie stało się nieodłącznym elementem przemysłowego stylu życia.

supermachinę: globalną fabrykę praw i przepisów. Pozostaje nam tylko zbadać, kto i w jaki sposób manipulował dźwigniami i trybami tego globalnego systemu.

USPOKAJAJĄCY RYTUAŁ

Zrodzony ze snów o wolności rewolucjonistów drugiej fali rząd przedstawicielski stanowił rzeczywiście niesłychany postęp w stosunku do wcześniejszych systemów władzy; był to triumf technologiczny przewyższający na swój sposób nawet wynalazek maszyny parowej i samolotu.

Rząd przedstawicielski umożliwił bezkonfliktowe przekazywanie władzy bez potrzeby utrzymywania dziedzicznej dynastii. Spowodował sprzężenie zwrotne między górą i dołami społeczeństwa. Utworzył forum, na którym można było w pokojowy sposób zażegnwać sprzeczności między różnymi grupami społecznymi.

Opierając się na zasadzie większości oraz na regule jeden człowiek - jeden głos, system przedstawicielski pomógł biednym i słabym uzyskać korzyści, jakie musieli im przyznać technicy władzy kierujący motorami integracyjnymi kraju. Z tych przyczyn upowszechnienie się formy rządów przedstawicielskich w sumie było humanitarnym przełomem w historii ludzkości.

Ale rząd przedstawicielski od samego początku zawodził oczekiwania i nadzieje. Nawet przy najbujniejszej wyobraźni nie sposób powiedzieć, by kiedykolwiek rząd znalazł się pod kontrolą ludu, najdowolniej pojmowanego. Nigdzie też nie zmienił on w istocie podskórnej struktury władzy panującej w krajach przemysłowych - owej struktury subelit, elit i superelit. W istocie ta formalna machina przedstawicielska nie tylko nie osłabiła władzy elit kierowniczych, ale wręcz przeciwnie - stała się ona jednym z najważniejszych środków integracji, wykorzystywanym przez te elity do utrzymania się przy władzy.

Wybory tedy, bez względu na ich końcowy wynik, spełniały dla elit ważną funkcję kulturalną. Ponieważ każdy obywatel miał prawo głosu, wybory podsycaly złudzenie równości. Głosowanie było uspokajającym i napawającym pewnością rytuałem, z którego czerpano przekonanie, że skoro wybory przeprowadzane są systematycznie, z regularnością sprawnej maszyny, to muszą być racjonalne. W symboliczny sposób wybory upewniały obywateli, że posiadają oni władzę, że mogą - przynajmniej teoretycznie - odrzucić albo zaakceptować kandydatów na przywódców. Zarówno w krajach kapitalistycznych, jak i socjalistycznych to rytualne uspokojenie i upewnienie często okazywało się ważniejsze od konkretnych rezultatów wielu wyborów.

Elity integracyjne w różnych krajach niejednakowo programowały swoje maszynerie

polityczne, raz kontrolując kilka partii, kiedy indziej wykorzystując specyfikę ordynacji wyborczych. Wszelako sam rytuał wyborczy - niektórzy mogliby użyć tu słowa "farsa" - występował wszędzie. Fakt, że czasem w wyborach regularnie uzyskiwano magiczną większość, świadczy o tym, że potrzeba uspokojenia jest przynajmniej tak samo silna w krajach o centralnym planowaniu, jak i w "wolnym świecie". Wybory pozbawiały skuteczności wszelkie oddolne ruchy protestu.

Co więcej, mimo starań reformatorów i radykałów demokratycznych elity integracyjne zachowały właściwie stałą kontrolę nad systemem przedstawicielskim. Istnieje szereg teorii, dlaczego tak się stało. Jednakże większość z nich przemilcza mechaniczną naturę systemu.

Jeśli spojrzymy na systemy polityczne drugiej fali oczami inżyniera, a nie politologa, uderzy nas pewien niezmiernie istotny fakt, którego na ogół się nie zauważa.

Inżynierowie, mianowicie, rozróżniają dwa zasadniczo odmienne rodzaje maszyn: jedno, które funkcjonują w sposób nieciągły, zwane też maszynami "pracującymi na wsadzie", oraz drugie, pracujące nieprzerwanie, zwane maszynami "do produkcji ciągłej". Przykładem maszyn pierwszego typu jest popularna sztanca. Robotnik przynosi partię płytek metalowych, wkłada je w maszynę po jednej lub po kilka na raz i tłoczy według wybranego wzoru. Kiedy jedna porcja płytek się skończy, maszyna zatrzymuje się i stoi, dopóki nie zostanie przyniesiona następna partia płytek. Przykładem drugiego rodzaju maszyn jest rafineria ropy naftowej, która po uruchomieniu nigdy nie przestaje pracować. Przez jej rury i komory ropa płynie 24 godziny na dobę.

Jeżeli przyjrzymy się "globalnej fabryce praw" i powtarzającym się co jakiś czas wyborom do niej, dostrzeżemy znamiona klasycznej maszyny do produkcji nieciągłej. Społeczeństwu wolno dokonać wyboru między kandydatami w czasie określonym z góry, po którego upływie formalna "maszyna demokracji" zostaje ponownie wyłączona.

Porównajmy to teraz z ciągłym procesem wywierania wpływów i nacisków przez różne zorganizowane interesy, grupy nacisku i protektorów. Roje urzędników reprezentujących korporacje i agencje rządowe, departamenty i ministerstwa, zeznają przed komitetami, uczestniczą w specjalnych posiedzeniach różnorodnych komisji, chodzą na te same przyjęcia i bankiety, przepijają nawzajem toasty - cocktailami w Waszyngtonie, a wódką w Moskwie, przekazują sobie tam i z powrotem informacje i wpływy, wywierając w ten sposób nieprzerwanie wpływ na proces podejmowania decyzji.

Słowem, elity stworzyły potężną maszynę działającą w procesie ciągłym, która funkcjonuje równolegle (choć często ma od niej odmienne cele), z demokratyczną maszyną "okresową". Dopiero kiedy widzimy obie te maszyny obok siebie, możemy zrozumieć, w jaki sposób

sprawuje się władzę w tej globalnej fabryce praw.

Uczestnicząc dzięki głosowaniu w grze przedstawicielskiej naród korzysta - w najlepszym razie co pewien czas - z możliwości przekazywania do góry swego uznania albo niezadowolenia z władzy i jej działań. Technicy władzy wywierają natomiast ciągły i nieprzerwany wpływ na te działania.

Wreszcie, w samą zasadę przedstawicielstwa został wmontowany pewien nowy, niezwykle skuteczny instrument kontroli społecznej. Przez prosty bowiem zabieg typowania jakichś ludzi do reprezentowania innych już tworzy się nowych członków elity.

Kiedy na przykład robotnicy zaczęli domagać się prawa do organizowania związków, nętkano ich i prześladowano za konspirację, nasyłano na nich szpiegów, uzbrojoną policję i oddziały bojówkarzy. Pozostawali oni na marginesie, nie posiadając dostatecznej lub zgoła żadnej reprezentacji w systemie.

Z chwilą powstania związków pojawiła się nowa grupa integratorów - robotniczy establishment - której członkowie, zamiast po prostu reprezentować robotników, pośredniczyli między nimi a elitami biznesu i władzy. Niezależnie od głoszonych przez siebie haseł w różnych krajach, działacze związkowi w rodzaju George'a Meany i Georgesa Seguy sami stali się ważnymi członkami elit integracyjnych. [...]

Teoretycznie konieczność kandydowania w ponownych wyborach miała gwarantować, że przedstawiciele będą uczciwi i że zawsze będą występować w interesie tych, których reprezentują. Nigdzie jednak nie zapobiegło to wchłonięciu przedstawicieli przez system władzy. Wszędzie pogłębiała się przepaść między przedstawicielami a wyborcami.

Krótko mówiąc, rząd przedstawicielski - będący, jak nas uczono, synonimem demokracji - stanowił przemysłowy sposób utrwalania nierówności. Rząd przedstawicielski polegał na pseudopredstawicielstwie.

A więc, spoglądając wstecz w poszukiwaniu jakichś wniosków, widzimy cywilizację niemal całkowicie uzależnioną od paliw kopalnych, produkcji fabrycznej, nuklearnej rodziny, korporacji, masowej oświaty i środków masowego przekazu. Wszystko to opierało się na coraz większym rozdarciu między produkcją a konsumpcją, a kierowały tą cywilizacją wyspecjalizowane elity, których zadaniem było integrowanie całości.

W systemie tym rząd przedstawicielski był politycznym odpowiednikiem fabryki. To rzeczywiście była fabryka do prokurowania kolektywnych decyzji integracyjnych. Jak większość fabryk była kierowana odgórnie. I jak większość fabryk dziś jest coraz bardziej przestarzała, chwiejąca się pod potężniejącym naporem trzeciej fali.

Rozdział VII

INDUSTREALNOŚĆ

Gdy cywilizacja drugiej fali zaczęła swymi czułkami obmacywać planetę, przeobrażając wszystko, co napotykała na swej drodze, świat otrzymał jeszcze coś więcej oprócz technologii i handlu. W zderzeniu z cywilizacją pierwszej fali druga fala nie tylko stworzyła dla milionów ludzi nową rzeczywistość, ale również narzuciła im całkowicie nowy sposób myślenia o tej rzeczywistości.

Ścierając się z wartościami, ideami, mitami i moralnością epoki rolniczej, druga fala przyniosła nowe definicje Boga, sprawiedliwości, miłości, władzy i piękna. Zrodziła nowe idee, postawy i analogie. Zburzyła starodawne rozumienie czasu, przestrzeni, materii i przyczynowości. Pojawił się logiczny i zwarty światopogląd, który nie tylko wyjaśniał, ale i uzasadniał rzeczywistość drugiej fali. Światopogląd epoki przemysłowej nie ma dotąd żadnej nazwy; chyba najtrafniej oddaje go termin "rzeczywistość przemysłowa", a jeszcze lepiej po prostu "industrealność".

Industrealność to katalog idei i założeń; podręcznik rozumienia świata, z którego uczyły się dzieci ery przemysłowej. Jest to zbiór przesłanek, jakimi posługiwała się cała cywilizacja drugiej fali, a więc naukowcy, władze gospodarcze, mężowie stanu, filozofowie i propagandyści.

Byli oczywiście i tacy, którzy kwestionowali idee przewodnie przemysłowej rzeczywistości, lecz tu interesuje nas główny nurt myśli drugiej fali, a nie poboczne prądy. Z pozoru wszelako można było sądzić, że w ogóle żaden taki nurt nie istnieje, że raczej ścierają się ze sobą ostro dwa przeciwne prądy ideologiczne. Nim wiek XIX wkroczył w drugą połowę, w każdym uprzemysławiającym się kraju istniały już wyraźnie zarysowane lewe i prawe skrzydła; z jednej strony byli zdeklarowani rzecznicy indywidualizmu i wolnej przedsiębiorczości, z drugiej zaś strony - zwolennicy kolektywizmu i socjalizmu.

Ścieranie się ideologii, zrazu występujące jedynie w krajach uprzemysławiających się, dość szybko zaczęło ogarniać cały świat. Po rewolucji radzieckiej w 1917 roku ruszyła centralnie sterowana maszyna ogólnoswiatowej propagandy i wojna ideologiczna nasiliła się jeszcze bardziej. [...] Od wielkiego starcia katolicyzmu z protestantyzmem w czasach Reformacji doktrynalne linie podziału między dwoma teologicznymi obozami nigdy chyba nie wystąpiły z taką ostrością.

W ogniu tej propagandowej wojny przeważnie nie dostrzegano, że chociaż każda ze stron głosiła odmienną ideologię - to jednak obydwie namiętnie zachwalały taką samą

superideologię. Wnioski końcowe, a więc programy gospodarcze i dogmaty polityczne, były diametralnie różne, ale wiele założeń wyjściowych brzmiało identycznie. Podobnie jak misjonarze protestanccy i katoliccy posługując się różnymi wersjami Biblii nauczali o jednym Chrystusie, tak samo marksiści i antymarksiści, kapitaliści i antykapitaliści, Amerykanie i Rosjanie jednakowo parli do Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej, czyli do nieuprzemysłowionego świata - nieświadomie niosąc ze sobą ten sam katalog podstawowych przesłanek. Jedni i drudzy głosili wyższość industrializmu nad wszystkimi innymi cywilizacjami. Jedni i drudzy byli namiętnymi apostołami industrealności.

ZASADA POSTĘPU

Upowszechniany przez nich światopogląd opierał się na trzech ściśle ze sobą związanych "industrealnych" przekonaniach; na trzech ideach, które były jakby wspólnym mianownikiem wszystkich krajów drugiej fali, a które odróżniały je od całej reszty świata.

Pierwsze przekonanie dotyczyło przyrody. Choć socjaliści mogli gwałtownie spierać się z kapitalistami co do tego, jak dzielić się jej darami, to jedni i drudzy traktowali ją w ten sam sposób - uważali, że przyrodę trzeba eksploatować

O tym, że człowiek powinien podporządkować sobie przyrodę, wzmiankuje już Księga Rodzaju. Ale do czasów rewolucji przemysłowej tak uważała zdecydowana mniejszość ludzi. Wcześniejsze kultury kładły raczej nacisk na akceptację ubóstwa oraz na harmonijne współistnienie rodzaju ludzkiego z otaczającym go naturalnym środowiskiem.

Wcześniejsze kultury zresztą nie obchodziły się z przyrodą nader delikatnie. Wycinały i paliły, ogołacały pastwiska i trzebiły lasy na opał. Ale możliwości wyrządzenia szkody były ograniczone. Dawniej nie posiadano tylu sposobów wywierania wpływu na ziemię; ludzie nie potrzebowali więc żadnej ideologii uzasadniającej konieczność powodowania zniszczeń.

Wraz z nastaniem cywilizacji drugiej fali kapitalistyczni przemysłowcy zaczęli ryć ziemię w poszukiwaniu bogactw, tłoczyć w powietrze masy trucizn, w pogoni za zyskiem trzebić lesiste regiony - nie myśląc zbyt wiele o skutkach ubocznych ani o dalekosiężnych konsekwencjach tej działalności. Wygodnym uzasadnieniem krótkowzroczności i egoizmu było właśnie przekonanie, jakoby przyroda istniała tylko po to, by ją eksploatować.

Ale kapitaliści wcale nie byli odosobnieni. Gdziekolwiek władzę przejmowali przemysłowcy marksistowscy, zachowywali się dokładnie tak samo (pomimo przeświadczenia, że pogoń za zyskiem jest źródłem wszelkiego zła). Prawdę powiedziawszy, walkę z przyrodą wpisali oni wręcz w swój program ideowy.

W oczach marksistów ludy prymitywne nie pozostawały w harmonii z naturą, lecz zaciekle

się z nią zmagaly w walce na śmierć i życie. Wraz z powstaniem społeczeństwa klasowego, twierdzili marksiści, wojna "człowieka z przyrodą" zmieniła się, niestety, w wojnę "człowieka przeciw człowiekowi". W stworzeniu bezklasowego społeczeństwa komunistycznego upatrywali oni szansę powrotu ludzkości do pierwszorzędnego zadania, mianowicie do wojny człowieka z przyrodą.

Po obu zatem stronach konfliktu ideologicznego znajdował się ten sam wizerunek człowieka - przeciwstawiającego się przyrodzie i pragnącego nad nią panować. Ów wizerunek stanowił główną zasadę industrealności, czyli superideologii, z której czerpali swe założenia zarówno marksiści, jak i antymarksiści.

Druga idea, związana z poprzednią, szła o krok dalej. Ludzie nie tylko byli panami przyrody, ale stanowili szczytowe osiągnięcie długiego procesu ewolucji. Wcześniej też istniały teorie ewolucji, ale dopiero w połowie XIX wieku Darwin - będący synem najbardziej rozwiniętego wówczas kraju przemysłowego - stworzył naukowe podstawy wspierające to przekonanie. Powoływał się on na ślepe działanie "doboru naturalnego", nieuchronnego procesu bezlitośnie skazującego na zagładę słabe i niesprawne formy życia. Te gatunki, które przetrwały, były - z natury rzeczy - najlepiej przystosowane.

Darwin zajmował się przede wszystkim ewolucją biologiczną, ale w jego ideach pobrzmiwały wyraźne akcenty społeczne i polityczne, które zostały skwapliwie podchwyczone przez innych. Darwiniści społeczni twierdzili więc, że zasada "selekcji naturalnej" odnosi się również do organizmów społecznych, a zatem ludzie najbogatsi i posiadający największą władzę z natury rzeczy są najlepiej przystosowani i godni najwyższej gratyfikacji.

Stąd tylko krok do poglądu, że całe społeczeństwa ewoluują według tych samych reguł doboru. Taki tok rozumowania prowadził do wniosku, że industrializm stanowi wyższy etap ewolucyjnego rozwoju niż otaczające go kultury nieprzemysłowe. Oznacza to ni mniej, ni więcej, jak to że cywilizacja drugiej fali zdecydowanie przewyższa całą resztę.

Ta arogancja kulturowa stanowiła takie samo uzasadnienie imperializmu, jakim był darwinizm społeczny dla kapitalizmu. Rozrastającemu się systemowi przemysłowemu potrzebna była arteria życiowa w postaci tanich surowców; system ten stworzył więc moralne uzasadnienie pozwalające mu brać je za bezcen z krajów rolniczych i tzw. prymitywnych, nawet jeśli niekiedy kończyło się to wymazaniem ich z mapy.

Idea ewolucji społecznej stanowiła intelektualne i moralne uzasadnienie traktowania ludów nieprzemysłowych jako ostatnich, a zatem niezdolnych do przetrwania.

Sam Darwin dość chłodno opisywał masakrę tubylców na Tasmanii i w przypiływie

ludobójczego entuzjazmu przepowiadał, że w przyszłości „cywilizowane” rasy ludzkie niemal na pewno wytepią na całym świecie „dzikie” rasy i zajmą ich miejsce. Intelektualni przywódcy cywilizacji drugiej fali nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, kto zasługuje na przetrwanie.

Wprawdzie Marks zaciekle krytykował kapitalizm i imperializm, podzielał jednak pogląd, że industrializm jest najbardziej postępową formą życia społecznego: docelową fazą rozwoju, do której wszystkie kraje nieuchronnie będą musiały dojść.

Albowiem trzecim koronnym przeświadczeniem industrialności, łączącym stosunek do przyrody z ewolucją, była zasada postępu; zgodnie z tą zasadą historia zmierza nieodwracalnie ku lepszemu życiu ludzkości. Idea ta miała również wiele precedensów w erze przedindustrialnej. Ale dopiero nadejście drugiej fali umożliwiło gwałtowny i pełny rozkwit idei Postępu przez duże P.

Nagle, gdy przybór drugiej fali wzbierał w Europie, tysiące gardel podchwyciło wspólnym chórem to samo Alleluja. Powody do kosmicznego optymizmu znaleźli i Leibniz, i Turgot, Condorcet, Kant, Lessing i John Stuart Mili, Hegel, Marks, Darwin i rzesza pomniejszych myślicieli. Spierali się między sobą, czy postęp jest absolutnie nieuchronny, czy jednak potrzebuje pomocnej ręki człowieka; kłócili się o to, co czyni życie lepszym, a także o to, czy postęp będzie trwać *ad infinitum* i czy jest to w ogóle możliwe. Ale samo pojęcie postępu wszyscy zgodnie akceptowali.

Ateiści i teolodzy, studenci i profesorowie, politycy i naukowcy głosili nową wiarę. Zarówno biznesmeni, jak i komisarze triumfalnie przyjmowali każdą nową fabrykę, każdy nowy produkt, osiedle, autostradę lub zapórę wodną, w przekonaniu, że są one dowodem niepowstrzymanego postępu na drodze od złego do dobrego lub od dobrego do jeszcze lepszego. Poeci, dramatopisarze i malarze uważali postęp za rzecz naturalną. Postęp uzasadniał niszczenie przyrody oraz podbój „zacofanych” cywilizacji.

I znów ten sam motyw przewijał się zarówno w dziełach Adama Smitha, jak i Karola Marksa. Robert Heilbroner zauważył, że „Smith wierzył w postęp (...) W *Badaniach nad naturą i przyczynami bogactwa narodów* postęp nie był już idealistycznym celem ludzkości, lecz (...) przeznaczeniem, ku któremu pchał ją los (...) postęp był produktem ubocznym dążenia pojedynczych ludzi do własnych celów ekonomicznych”. Dla Marksa, oczywiście, realizacja prywatnych celów prowadziła jedynie do kapitalizmu i nosiła w sobie zarodki jego niechybnej zguby. Stanowiło to jednak część długiego procesu historycznego, prowadzącego ludzkość naprzód, do socjalizmu, komunizmu, a nawet w jakieś jeszcze lepsze jutro.

A zatem w epoce cywilizacji drugiej fali bronią rzeźników industrializmu, pomocną przy

objaśnianiu i uzasadnianiu świata walorów uprzemysłowienia, były trzy idee - walka z przyrodą, znaczenie ewolucji oraz zasada postępu.

U podstaw tych przekonań tkwiły jeszcze głębsze założenia na temat rzeczywistości, zbiór nie wypowiedzianych głośno przeświadczeń dotyczących najbardziej żywiołowych, pierwotnych przeżyć człowieka. Każdy człowiek staje w obliczu tych doświadczeń, a każda cywilizacja przedstawia je w swoisty sposób. Każda cywilizacja musi wyuczyć kolejne pokolenia swoistego pojmowania czasu i przestrzeni. Musi wyjaśnić - za pomocą mitów, metafor lub teorii naukowych - jak funkcjonuje przyroda. Musi też zaproponować odpowiedź, dlaczego dzieje się coś w taki, a nie w inny sposób.

Tak więc cywilizacja drugiej fali w miarę dojrzewania stworzyła całkowicie nowy obraz rzeczywistości, oparty na własnym, wyraźnie sprecyzowanym rozumieniu czasu i przestrzeni, materii i przyczynowości. Wybierając różne fragmenty z przeszłości, składając je ze sobą w odmienny sposób, stosując eksperymenty i teksty empiryczne, cywilizacja ta drastycznie zmieniła sposób postrzegania przez ludzi otaczającego ich świata oraz postępowania w życiu codziennym.

OPROGRAMOWANIE CZASU

W jednym z poprzednich rozdziałów widzieliśmy, jak bardzo postępy industrializmu były uzależnione od synchronizacji zachowań ludzkich z rytmem maszyn. Synchronizacja stanowiła jedną z głównych zasad cywilizacji drugiej fali; dla postronnego obserwatora ludzie tej epoki ogarnięci byli istną obsesją czasu, przejawiającą się między innymi w tym, że wszyscy co chwilę nerwowo spoglądali na zegarki.

Po to, by wykształcić poczucie czasu i wszystko zsynchronizować, trzeba było drastycznie zmienić podstawowe założenia człowieka na temat czasu, jego mentalne wyobrażenie czasu. Trzeba było na nowo "oprogramować" czas.

Ludy rolnicze, które musiały wiedzieć, kiedy siał, a kiedy zbierać, osiągnęły niesłychaną precyzję w odmierzaniu długich okresów. Ale ponieważ ich praca nie wymagała dokładnej synchronizacji, populacje wieśniacze rzadko używały precyzyjnych jednostek do pomiaru krótkich odcinków czasu. Zazwyczaj dzielili oni czas nie na stałe jednostki w rodzaju godzin czy minut, lecz na bliżej nie sprecyzowane przedziały odmierzane czasem potrzebnym na wykonanie jakiejś powszechnie znanej czynności. Rolnik mógł na przykład powiedzieć, że coś trwa "tyle, co dojenie krów". Na Madagaskarze powszechnie przyjętą miarą był "czas gotowania ryżu", a "smażenie szarańczy" oznaczało tam tyle, co moment. Anglicy odmierzali czas ilością "ojcze-naszek", a niekiedy używali bardziej przyziemnej jednostki, zwanej

pissing while, czyli "chwila siusiania".

Podobnie praca nie wymagała zbyt aktywnych kontaktów między jedną osadą czy wioską a innymi, ani ujednolicenia miar czasu, toteż jednostki, którymi mentalnie określano upływ czasu, różniły się w zależności od miejsca i pory roku. Na przykład w średniowiecznej Europie Północnej dzielono dzień na równe godziny. Ale ponieważ czas od wschodu do zachodu słońca był każdego dnia inny, "godzina" grudniowa była krótsza niż "godzina" marcowa lub czerwcową.

Spółczeństwom przemysłowym nie wystarczały już niedokładne podziały czasu na "zdrowański"; zaczęły być im potrzebne precyzyjnie odmierzane jednostki - godziny, minuty, sekundy. Musiano je tak ujednolicić, by były jednakowe i niezmiennie zawsze i wszędzie, bez względu na porę roku i położenie geograficzne.

Dziś cały świat jest skrupulatnie podzielony na strefy czasu. Mówimy o czasie "standardowym". Piloci powołują się na czas "Zulusów", czyli czas Greenwich. Na mocy konwencji międzynarodowej angielską miejscowość Greenwich obrano za punkt, w stosunku do którego odmierza się wszystkie różnice czasu. Co pewien czas miliony ludzi zgodnie posuwają wskazówki swoich zegarów o godzinę do przodu lub cofają o tyleż. I niezależnie od tego, co nasze wewnętrzne, subiektywne poczucie czasu każe nam myśleć, kiedy czas się wlecze lub zawrotnie pędzi - każda godzina jest teraz po prostu jedną, wszędzie taką samą, standardową godziną sześćdziesięciminutową.

Cywilizacja drugiej fali nie tylko poćwiartowała czas na dokładniejsze i jednakowe kawałki. Umieściła ona także te kawałki na nieskończenie długiej linii prostej biegnącej w jednym kierunku w przeszłość, a w drugim - w przyszłość. Czasowi nadano wymiar linearny.

Mówiąc szczerze, przekonanie, że czas ma charakter linearny, tkwi tak głęboko w naszych myślach, że tym z nas, którzy wyrosli w społeczeństwach drugiej fali, trudno wyobrazić sobie jakąkolwiek inną ewentualność. A przecież wiele ludów przedprzemysłowych, jak również niektóre ze społeczeństw pierwszej fali jeszcze dzisiaj, widzą i czują czas jako okrąg, a nie jako linię prostą. Czas Majów, buddystów, Hindusów zawsze był cyrkularny i powtarzalny, historia powtarzała się bez końca, życie wciąż odradzało się poprzez reinkarnację.

Pomysł, że czas biegnie po wielkim okręgu, spotykamy w hinduistycznej koncepcji powracających er zwanych kalpami, przy czym każda z nich liczy 4320 milionów lat i reprezentuje tylko jeden dzień Brahmy, który zawsze zaczyna się od kolejnego stworzenia, a kończy na rozplnięciu świata, po czym wszystko zaczyna się od nowa i powtarza w nieskończoność. Pojęcie czasu kolistego pojawia się u Platona i Arystotelesa, a jeden z jego uczniów imieniem Eudemus twierdzi wręcz, że jego życie przebiega przez ten sam moment

wciąż na nowo, za każdym razem, kiedy cykl się powtarza. O czasie płynącym po okręgu nauczał też Pitagoras. W dziele *Time and Eastern Man* (Czas i człowiek Wschodu) Joseph Needham powiada: "Helleni (...) wierzyli, że czas jest cykliczny i wieczny." Co więcej, mimo że w Chinach dominowała idea czasu linearnego, to jak utrzymuje Needham: "We wczesnej taoistycznej filozofii spekulatywnej z całą pewnością miała przewagę cykliczna koncepcja czasu."

Również w Europie, w epoce poprzedzającej uprzemysłowienie, współistniały obok siebie te dwa odmienne ujęcia czasu. "Przez całe średniowiecze - pisze matematyk G.J. Whitrow - trwał konflikt pomiędzy cykliczną i linearną koncepcją czasu. Koncepcję linearną propagowała warstwa kupiecko-bankierska, a umacniał ją rozwój gospodarki pieniężnej. Dopóki bowiem władza znajdowała się w rękach posiadaczy ziemskich, dopóty wydawało się, że czasu nigdy nie zabraknie, kojarząc go jednocześnie z niezmiennym cyklem uprawy roli."

Gdy druga fala nabrała impetu, ten wielowiekowy konflikt został rozstrzygnięty - zatriumfował czas linearny. Stał się powszechnie odczuwany we wszystkich społeczeństwach przemysłowych Wschodu i Zachodu. Czas zaczęto przedstawiać niczym autostradę biegnącą z odległej przeszłości poprzez teraźniejszość ku przyszłości; ta koncepcja czasu, obca miliardom istot ludzkich przed cywilizacją przemysłową, stała się podstawą wszelkiego planowania gospodarczego, naukowego i politycznego zarówno w gabinetach dyrektorskich IBM, w japońskiej Agencji Planowania Gospodarczego, jak i w radzieckiej Akademii Nauk.

Warto jednak zauważyć, iż czas linearny stanowił warunek wstępny industrealnego stosunku do ewolucji i postępu. Czas linearny nadał im pozory słuszności. Gdyby bowiem czas miał charakter okrężny, a nie linearny, gdyby zdarzenia powtarzały się, nie zaś następowały po sobie podążając w jednym kierunku, znaczyłoby to, że historia się powtarza i że ewolucja oraz postęp są niczym innym, jak złudzeniami, zwodniczymi cieniami na ekranie czasu.

Synchronizacja, standaryzacja, linearyzacja - zjawiska te wpłynęły na najbardziej elementarne założenia cywilizacji i spowodowały kolosalne zmiany w sposobie, w jaki zwyczajni ludzie traktowali czas we własnym życiu. Ale wraz z przeobrażeniem, jakiemu uległ czas, również i przestrzeń musiała przybrać nową postać, ażeby pasować do nowej industrealności.

PRZESTRZEŃ W NOWEJ POSTACI

Na długo przed nastaniem cywilizacji pierwszej fali nasi pradziadowie żyli w ciągłym

ruchu, utrzymując się z myślistwa i pasterstwa, rybołówstwa albo zbieractwa. Gnani przez głód, chłód lub klęski żywiołowe, w ślad za lepszą pogodą lub zwierzyną, byli prekursorami późniejszych turystów - podróżującymi bez bagażu, unikającymi gromadzenia nieporęcznych dóbr oraz posiadłości i rozpierzchającymi się po szerokich przestrzeniach. Po to, żeby się wyżywić, grupa pięćdziesięciorga mężczyzn, kobiet i dzieci potrzebowała obszaru pięciokrotnie większego od Manhattanu albo musiała w ciągu roku przemierzyć szlak wędrowny ciągnący się, w zależności od warunków, niekiedy dosłownie setki mil. Współcześni geografowie nazywają taki tryb życia egzystencją "przestrzennie ekstensywną".

W odróżnieniu od niej cywilizacja pierwszej fali wyhodowała rasę ludzi "skąpo obdzielonych przestrzenią". Kiedy rolnictwo wyparło nomadyzm, wędrowne szlaki zmieniły się w uprawne pola i stałe osady. Miast bezustannie włączył się z miejsca na miejsce, rolnik osiadał w jednym miejscu z całą rodziną, mozolnie uprawiając małą działkę otoczoną oceanem bezkresnej przestrzeni - oceanem tak ogromnym, że człowiek czuł się w nim niczym karzeł.

Tu przed narodzinami cywilizacji przemysłowej niewielkie skupiska chat wieśniaczych ginęły w rozległych terenach otwartych pól. Poza garstką kupców, uczonych i żołnierzy większość ludzi dokonywała żywota praktycznie nie ruszając się z miejsca. O wschodzie słońca ludzie wychodzili na pola, a wracali z nastaniem nocy. Wydeptywali ścieżkę do kościoła. Czasem, przy jakiejś wielkiej okazji przemierzali sześć czy siedem mil do sąsiedniej wsi. Na ruchliwość ludzi miał oczywiście wpływ klimat i warunki terenowe, ale - jak pisze historyk J. R. Hale - "prawdopodobnie nie omylimy się, jeżeli przyjmiemy, że najdłuższa podróż w życiu człowieka nie przekraczała wtedy 15 mil". Kultura rolnicza zrodziła cywilizację "ograniczoną przestrzenią".

Zawierucha przemysłowa, jaka rozszalała się nad Europą w XVIII wieku, znów wytworzyła kulturę "szerokich przestrzeni", ale tym razem niemal na skalę globalną. Towary i idee przemierzały tysiące mil, a tłumy ludzi szukały pracy po świecie. Produkcja już nie odbywała się na porzucanych polach, lecz koncentrowała się teraz w miastach. Wielotysięczne i w dodatku wciąż rozmnażające się gromady ludzkie gnieździły się w ciasnocie nielicznych skupisk miejskich. Stare wioski wyludniały się i umierały, wyrastały natomiast wielkie ośrodki przemysłowe spowite dymem z kominów fabrycznych i płomieniami pieców hutniczych.

Niesłychane przeobrażenie pejzażu wymagało ściślejszej koordynacji między miastem i wsią. Żywność, energia, ludzie i surowce musiały płynąć do miast, skąd w zamian odpływały wyprodukowane towary, mody, pomysły i decyzje finansowe. Oba strumienie były ściśle

zintegrowane i skoordynowane w czasie i przestrzeni. Poza tym wewnątrz samych miast musiało istnieć więcej różnorodnych struktur przestrzennych. W dawnym systemie rolniczym podstawowymi strukturami fizycznymi były kościół, dwór szlachecki, ubogie chaty oraz tu i ówdzie gospoda czy klasztor. Ze względu na o wiele bardziej złożony podział pracy cywilizacja drugiej fali potrzebowała wielu bardziej wyspecjalizowanych rodzajów przestrzeni.

Toteż wkrótce architekci jęli projektować biurowce, banki, komisariaty, fabryki, dworce kolejowe, domy towarowe, więzienia, remizy strażackie, teatry, przytułki i szpitale dla umysłowo chorych. Te rozmaite rodzaje przestrzeni musiały być funkcjonalnie dopasowane do siebie. Trzeba było skoordynować pod względem przestrzennym położenie fabryk i dróg prowadzących z domu do sklepu, powiązać szlaki kolejowe z dokami i bazami transportowymi, ustalić lokalizację szkół i szpitali, rozmieścić wodociągi, elektrownie, instalacje elektryczne, gazowe i telefoniczne. Przestrzeń musiała być równie starannie i precyzyjnie zorganizowana jak fuga Bacha.

Ta nadzwyczajna koordynacja wyspecjalizowanych przestrzeni - potrzebna po to, aby właściwi ludzie znajdowali się we właściwych miejscach we właściwym czasie - stanowiła analogię synchronizacji czasowej. Była to niejako synchronizacja w przestrzeni. Po to bowiem, by społeczeństwa przemysłowe mogły funkcjonować, zarówno czas, jak i przestrzeń musiały opierać się na starannie zbudowanych strukturach.

Ludziom potrzebne były teraz nie tylko dokładniejsze, standardowe jednostki czasu; równie niezbędne były bardziej precyzyjne i posiadające wspólny przelicznik jednostki przestrzeni. Przed rewolucją przemysłową, gdy czas wciąż jeszcze dzielono z grubsza na odcinki w rodzaju "zdrowasiek", w miarach przestrzeni również panował bałagan. Na przykład w średniowiecznej Anglii miarą zwaną *rood* raz określano zaledwie 16,5 stopy, a kiedy indziej aż 24 stopy. W XVI wieku zalecanym sposobem odmierzania odcinka o długości jednego *rooda* było ustawienie rzędem szesnastu mężczyzn, wybranych przypadkowo, na przykład z tłumu przed kościołem; rząd o długości 16 kolejno po sobie ustawionych lewych stóp męskich miał właśnie długość jednego *rooda*. Stosowano jeszcze mniej precyzyjne miary odległości, na przykład "dzień jazdy konnej" albo "godzina spacerem" lub też "pół godziny galopem".

Kiedy druga fala zaczęła zmieniać charakter pracy i za przyczyną wspomnianego już niewidzialnego klina rósł i rozwijał się rynek, takiej dowolności nie można już było dłużej tolerować. Ze względu na rozkwit handlu nabierała znaczenia precyzyjna nawigacja; rządy nie skąpiły nagród hojnie wypłacanych każdemu, kto obmyślił jakiś nowy sposób na

utrzymanie statku na obranym kursie. Również na lądzie wprowadzano coraz to dokładniejsze jednostki miary.

Trzeba było oczyścić i zrationalizować chaotyczną i pełną sprzeczności różnorodność lokalnych zwyczajów, reguł i praktyk cechowych, jaka panowała w cywilizacji pierwszej fali. Niedokładność i brak standardowych miar były istnym utrapieniem dla właścicieli manufaktur i rosnącej warstwy kupieckiej. Tym tłumaczy się entuzjazm, z jakim francuscy rewolucyjniści u zarania ery przemysłowej wzięli się za standaryzację miar odległości przez wprowadzenie systemu metrycznego oraz ujednoczenie miar czasu przez zmianę kalendarza. Sprawy te uważano za tak ważne, że znalazły się one na porządku dziennym pierwszego spotkania Konwentu Narodowego, tego samego, na którym ogłoszono powstanie republiki.

Pod naporem drugiej fali mnożyły się również granice przestrzenne oraz wyostrzały ich zarysy. Do XVIII wieku granice imperiów często bywały niezbyt precyzyjne. Dokładność nie była potrzebna, ponieważ ogromne połacie ziemi pozostawały nie zaludnione. W miarę wzrostu zaludnienia oraz rozwoju handlu i przemysłu w całej Europie, rządy zabrały się do skrupulatnego wyznaczania granic swych państw. Powstały pierwsze strefy celne. Zaczęto dokładnie oznaczać, grodzić i inwentaryzować tereny pod administrację lokalną, a nawet posiadłości prywatne. Mapy stawały się bardziej szczegółowe, dokładniejsze i ulegały standaryzacji.

Pojawiło się nowe wyobrażenie przestrzeni, będące dokładnym odpowiednikiem nowego wyobrażenia czasu. Podobnie jak punktualność i rozkład zajęć nakładały ograniczenia czasowe i narzucały terminy, tak samo ograniczenia przestrzenne narzucały coraz to nowe limity i granice. Nawet linearyzacja czasu znalazła swój przestrzenny odpowiednik.

W czasach przedprzemysłowych podróżowanie po linii prostej - czy to na lądzie, czy na morzu - było czymś niespotykanym. Ścieżki wieśniaków, stałe trasy bydła, szlaki Indian - wszystkie one meandrowały po nierównościach terenu. Mury obronne wiły się, zakręcały lub rozchodziły się pod nieregularnymi kątami. Ulice miast średniowiecznych zachodziły na siebie, zakrzywiały się, kręciły i zawracały.

Ludzie drugiej fali nie tylko wyprostowali kursy statków, ale również zbudowali linie kolejowe, których lśniące szyny biegły równoległe w dal, prosto jak okiem sięgnąć. Jak zauważył amerykański urbanista Grady Clay, na tych liniach kolejowych (sam termin ma już "linearne" brzmienie) - niczym na osiach - miasta opierały swój regularny, pokratkowany układ przestrzenny. Z planu przypominającego ruszt lub kratę, gdzie linie proste przecinały się pod kątem prostym, wynikała charakterystyczna, wręcz mechaniczna regularność i linearność typowej reduty przemysłowej.

Jeszcze dziś w starych dzielnicach miast widzimy zagmatwaną płataninę ulic, placów, rond i skomplikowanych skrzyżowań. W nowszych natomiast dzielnicach, budowanych w czasach przemysłowych, spotykamy już regularny rozkład ulic krzyżujących się pod kątem prostym. Dotyczy to zresztą całych regionów, a nawet krajów.

Wraz z rozwojem mechanizacji schematy linearne objęły nawet ziemię uprawną. Przedindustrialni oracze idąc za wołem zostawiali kręte, nieregularne bruzdy. Raz ruszywszy wołu, chłop nie chciał go zatrzymywać, toteż na końcu pola bruzdy zakreślały szeroko, tworząc linię podłużnych "esów". A dziś, spojrzawszy z samolotu w dół, widzimy szachownicę pól, zaoranych równiutko, jak pod linijkę.

Kombinacja linii i kątów prostych występuje nie tylko w układzie pól i ulic, lecz również w bardziej intymnych wnętrzach - w mieszkaniach większości ludzi. W architekturze epoki przemysłowej rzadko można natrafić na łuki, półkoliste ściany i kąty ostre lub rozwarte. Równe, prostopadłościennymi kubiki zastąpiły dawne izby o nieregularnych kształtach; wyrosły wysokościowce strzelające równoległymi, pionowymi liniami pod samo niebo, z oknami we wzór linearny lub kratkowany, na ogromnych ścianach flankujących ulice wytyczone prosto, bez zakrętów.

W ten sposób naszą koncepcję przestrzeni ogarnął proces linearyzacji, analogiczny do linearyzacji czasu. We wszystkich społeczeństwach przemysłowych - kapitalistycznych i socjalistycznych, wschodnich i zachodnich - specjalizacja przestrzeni architektonicznych, szczegółowe mapy, ujednoczone, precyzyjne jednostki miar, a przede wszystkim linia prosta - utrwaliły się jako stałe cechy kultury, nieodłączne od samej industrialności.

Z CZEGO SKŁADA SIĘ RZECZYWISTOŚĆ?

Cywilizacja drugiej fali nie tylko stworzyła nowe wyobrażenia czasu i przestrzeni oraz posłużyła się nimi do ukształtowania codziennych zachowań; znalazła ona również własne odpowiedzi na stare jak świat pytanie: z czego składają się rzeczy? Starając się odpowiedzieć na to pytanie, każda kultura tworzy jakieś mity i metafory. Niektórzy wyobrażają sobie wszechświat jako wirującą "jedność". Ludzie są dla nich częścią przyrody, nierozzerwalnie związaną z życiem przodków i potomstwa, tak silnie splecioną z naturą, że wręcz udziela się im "żywołność" zwierząt, drzew, skał i rzek. W wielu kulturach ludzie pojmują siebie nie jako prywatny, autonomiczny byt, lecz jako część większego organizmu - rodziny, klanu, plemienia lub społeczności.

Inne społeczeństwa kładą nacisk nie na całościowość czy jedność wszechświata, lecz na jego podzielność. Rzeczywistość nie jest dla nich spoistym bytem, lecz budowlą złożoną z

wielu pojedynczych cząstek.

Mniej więcej 2 tysiące lat przed narodzinami industrializmu Demokryt wysunął nową, jak na owe czasy, tezę, że wszechświat nie jest jednolitą całością, lecz składa się z odrębnych, niezniszczalnych, niewidocznych i niepodzielnych cząstek elementarnych. Nazwał je atomami. Idea wszechświata zbudowanego z niepodzielnych cząstek materii pojawiała się jeszcze nie raz w późniejszych stuleciach. Niedługo po Demokrycie filozofia Mo Ti w Chinach określała "punkt" jako linię, która została podzielona na tak krótkie odcinki, że nie można ich już podzielić na mniejsze. Również w Indiach, w początkach naszej ery, powstała teoria o istnieniu atomu jako niepodzielnej jednostki rzeczywistości. W starożytnym Rzymie filozofię atomistyczną reprezentował poeta Lukrecjusz. Jednak to wyobrażenie materii nie miało zbyt wielu zwolenników; często je wyśmiewano lub lekceważono.

Dopiero u zarania epoki drugiej fali, dzięki wpływowi szeregu wzajemnie powiązanych zjawisk, upowszechnił się atomizm, rewolucjonizując dotychczasową koncepcję materii.

W połowie XVII wieku francuski duchowny Pierre Gassendi, zajmujący się w Akademii Królewskiej w Paryżu astronomią i filozofią, jął dowodzić, iż materia musi się składać z niesłychanie małych korpuskuł. Odczytany w Lukrecjuszu zaczął głosić atomistyczną teorię materii z takim zapalem, że jego idee szybko przedostały się przez Kanał La Manche i dotarły do Roberta Boyle'a, młodego przyrodnika pochłoniętego właśnie badaniem sprężystości gazów. Boyle zastosował teorię atomizmu w badaniach laboratoryjnych i doszedł do wniosku, iż nawet powietrze składa się z drobnych cząsteczek. Sześć lat po śmierci Gassendiego Boyle opublikował rozprawę, w której dowodził, że żadna substancja - w tym również ziemia - nie jest i nie może być pierwiastkiem elementarnym, skoro można ją rozbić na prostsze substancje.

TYMCZASEM KRYTYKOWANY PRZEZ GASSENDIEGO MATEMATYK Z JEZUICKIM WYKSZTAŁCENIEM, RENE DESCARTES, UTRZYMYWAŁ, ŻE RZECZYWISTOŚĆ MOŻNA ZROZUMIEĆ JEDYNNIE PRZEZ ROZBICIE JEJ NA CORAZ TO MNIEJSZE CZĄSTKI. MÓWIĄC JEGO SŁOWAMI, NALEŻY "PODZIELIĆ KAŻDE Z ROZPATRYWANYCH ZAGADNIENI NA TYLE CZĄSTEK, NA ILE SIĘ DA I ILE BĘDZIE TEGO WYMAGAĆ LEPSZE ROZWIĄZANIE".¹⁵ **Tak więc w czasach, gdy zaczynała przybierać druga fala, atomizm fizyczny towarzyszył rozwojowi atomizmu filozoficznego.**

BYŁ TO CELOWY SZTURM NA POJĘCIE JEDNOŚCI - SZTURM, DO KTÓREGO SKWAPLIWIE

¹⁵ Kartezjusz, *Rozprawa o metodzie właściwego kierowania rozumem i poszukiwania prawdy w naukach*, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), Warszawa 1980, s. 43.

PRZYŁĄCZYŁY SIĘ SZEREGI PRZYRODNIKÓW, MATEMATYKÓW I FILOZOFÓW. DAŻYLI ONI DO ROZBICIA WSZECHŚWIATA NA CORAZ MNIEJSZE CZĄSTKI, Z ZASKAKUJĄCYMI ZRESZTĄ EFEKTAMI. GDY KARTEZJUSZ OGŁOSIŁ SWĄ *ROZPRAWĘ O METODZIE* - PISZE MIKROBIOLOG RENE DUBOS - "NATYCHMIAST POJAWIŁY SIĘ NIEZLICZONE ODKRYCIA W MEDYCYNIE". POŁĄCZENIE TEORII ATOMIZMU I KARTEZJAŃSKIEJ ATOMISTYCZNEJ METODY NAUKOWEJ SPOWODOWAŁO GWALTOWNY PRZEŁOM W CHEMII I W INNYCH NAUKACH. JUŻ W POŁOWIE XVIII WIEKU TEORIA PRZEDSTAWIAJĄCA WSZECHŚWIAT JAKO SKŁADAJĄCY SIĘ Z NIEZALEŻNYCH I MOŻLIWYCH DO ODDZIELENIA OD SIEBIE CZĄSTEK I CZĄSTECZEK STAŁA SIĘ POTOCZNĄ MĄDROŚCIĄ, CZĘŚCIĄ POWSTAJĄCEJ WŁAŚNIE INDUSTREALNOŚCI.

Każda nowa cywilizacja czerpie idee z przeszłości i układa je w nowe konfiguracje, które ułatwiają zrozumienie jej samej i otaczającego świata. Dla rodzącego się społeczeństwa przemysłowego - społeczeństwa zaczynającego właśnie swój marsz w kierunku taśmowo montowanych masowych produktów, składających się z odrębnych elementów - idea wszechświata montowanego również z oddzielnych elementów i cząsteczek była zapewne nieodzowna.

Istniały również powody polityczne i społeczne, skłaniające ludzi do przyjęcia atomistycznego modelu rzeczywistości. Druga fala, rozbijając się o anachroniczne instytucje pierwszej fali, odrywała ludzi od licznej wielopokoleniowej rodziny, od wszechpotężnego Kościoła, od monarchii. Przemysłowy kapitalizm wymagał rozumowego uzasadnienia dla indywidualizmu. Kiedy sto, a może dwieście lat przed nastaniem industrializmu zaczęła podupadać stara cywilizacja rolnicza, kiedy handel nabierał rozmachu i wyrastały liczne miasta, świeżo okrzeple warstwy kupieckie, domagając się dla siebie swobód rynkowych, pierwsze sformułowały nową koncepcję jednostki - człowieka jako atomu.

Jednostka przestała być tylko biernym przydatkiem plemienia, kasty lub klanu; stała się wolnym, autonomicznym człowiekiem, który miał prawo do posiadania własności, nabywania dóbr, zawierania umów, prosperowania lub głodowania w zależności od własnych starań. Miał też prawo wyboru religii oraz własnej drogi do szczęścia. Słowem, industrealność zrodziła koncepcję jednostki jako swego rodzaju atomu, człowiek był bowiem niepodzielną, niezniszczalną, najbardziej elementarną cząstką społeczeństwa.

Jak widzieliśmy, motyw atomistyczny pojawił się nawet w polityce, gdzie głos wyborczy stał się najmniejszą cząstką. Występuje on także w koncepcji stosunków międzynarodowych, zakładającej istnienie samookreślonych, suwerennych, niezależnych jednostek zwanych państwami. Nie tylko materię fizyczną, lecz również sprawy polityczne pojmowano w kategoriach "cegiełek" - autonomicznych jednostek, czyli niejako atomów. Tak oto motyw

atomistyczny przewijał się przez wszystkie sfery życia.

Taka wizja rzeczywistości, na którą składają się odpowiednio zorganizowane, ale podzielne części składowe, pasowała jak ulał do nowych wyobrażeń na temat czasu i przestrzeni, które przecież także można było dzielić na coraz to mniejsze cząstki. Ogarniając najodleglejsze obszary globu i podporządkowując sobie zarówno tzw. społeczeństwa prymitywne, jak i rolnicze kraje pierwszej fali - cywilizacja drugiej fali wszędzie upowszechniała spoisty i konsekwentny, industrialny obraz ludzi, polityki i społeczeństwa.

Do systemu w pełni logicznego brakowało jednak jeszcze jednego elementu.

ODWIECZNE PYTANIE "DLACZEGO?"

Żadna cywilizacja nie może kształtować ludzkiego życia, dopóki nie potrafi wyjaśnić, dlaczego jest tak, jak jest. Wystarczy przy tym, by zaledwie dziesiąta część takiej odpowiedzi wynikała ze znajomości rzeczy; cała reszta może pozostać nieodgadniona tajemnicą. Podporządkowując się bowiem imperatywom kultury, ludzie muszą mieć bodaj odrobinę pewności, że z ich postępowania coś wyniknie. A do tego potrzebna jest przynajmniej częściowa odpowiedź na odwieczne pytanie: "dlaczego?". Cywilizacja drugiej fali zaproponowała teorię tak zręczną i wszechstronną, że wydawało się, iż dzięki niej wszystko będzie można wyjaśnić.

Kamyk wpada do wody. Po powierzchni rozchodzą się kręgi. Dlaczego? Jaka jest przyczyna tego zjawiska? Po dzieciach industrializmu można się spodziewać, że odpowiedzą: "Ponieważ ktoś wrzucił do wody kamyk."

WYKSZTAŁCONY EUROPEJCZYK ŻYJĄCY W XII CZY XIII WIEKU, PRÓBUJĄC ODPOWIEDZIEĆ NA TAKIE PYTANIE, POMYŚLAŁBY ZAPEWNE O CZYMŚ ZUPEŁNIE INNYM. SIĘGNAŁBY ON PRAWDOPODOBNIEM DO ARYSTOTELESA I SZUKAŁ PRZYCZYNY MATERIALNEJ, PRZYCZYNY FORMALNEJ, PRZYCZYNY SPRAWCZEJ I PRZYCZYNY OSTATECZNEJ, A ŻADNA Z NICH SAMA PRZEZ SIĘ NIE WYJAŚNIŁABY MU NICZEGO. ŚREDNIOWIECZNY MĘDRZEC CHIŃSKI NAWIĄZAŁBY DO YIN I YANG ORAZ DO POLA SIŁ WPLYWÓW, KTÓREMU - JAK WIERZYŁ - PODLEGAJĄ WSZYSTKIE ZJAWISKA.

Cywilizacja drugiej fali znalazła swoją odpowiedź na tajemnicę przyczynowości w spektakularnym odkryciu przez Newtona powszechnego prawa ciężenia. Przyczynami, według Newtona, są "siły przyłożone do ciał w celu wprowadzenia ich w ruch". Obiegowym przykładem Newtonowskiej przyczyny i skutku są kule bilardowe, które wskutek zderzenia zaczynają się poruszać zgodnie z zasadą akcji wywołującej reakcję. Ta koncepcja zmian zachodzących wyłącznie pod wpływem sił zewnętrznych, dających się zmierzyć i łatwo

zidentyfikować, niesłuchanie silnie oddziaływała na wyobraźnię, gdyż była doskonale dopasowana do indusrealnych pojęć linearnej przestrzeni i czasu. Prawdę mówiąc, Newtonowska, czy inaczej mechanistyczna przyczynowość, którą przyswajano sobie kolejno we wszystkich krajach w miarę rozprzestrzeniania się rewolucji przemysłowej w Europie, zadzierzgnęła supeł na pakiecie, w którym szczelnie zamknęły się wszystkie pojęcia składające się na nową indusrealność.

Jeżeli świat składa się z oddzielnych cząsteczek - miniaturowych kul bilardowych - to wszystkie przyczyny wynikają z wzajemnych oddziaływań między tymi kulami. Jedna cząsteczka lub atom uderza w drugą. Pierwsza jest przyczyną powodującą ruch drugiej. Jej ruch jest skutkiem ruchu pierwszej. Nie ma żadnego działania bez ruchu w przestrzeni i żaden atom nie może znajdować się w dwóch miejscach na raz.

Wszechświat, który wydawał się skomplikowany, bezładny, zaskakujący, zagęszczony, tajemniczy i chaotyczny, nagle zaczął wydawać się uporządkowany i klarowny. Każde zjawisko, począwszy od atomu w ludzkiej komórce, a skończywszy na najodleglejszej gwiazdzie, mogło być zrozumiane jako materia w ruchu; każda cząsteczka poruszała następną, wprowadzając ją w wir wiecznego baletu istnienia. Ateista znajdował w tym światopoglądzie takie wyjaśnienie życia, że - jak później stwierdził Laplace - hipoteza Boga była już zbędna. Dla ludzi religijnych natomiast było tam nadal miejsce dla Boga, gdyż można Go było uważać za Głównego Sprawcę, który za pomocą kija bilardowego wprowadził bile w ruch, a potem wycofał się z gry.

TA METAFORA RZECZYWISTOŚCI STAŁA SIĘ JAKBY ZASTRZYKIEM INTELEKTUALNEJ ADRENALINY DLA FORMUJĄCEJ SIĘ WŁAŚNIE KULTURY INDUSREALNEJ. RADYKALNY FILOZOF, WSPÓŁTWÓRCA KLIMATU REWOLUCJI FRANCUSKIEJ, BARON HOLBACH, PISAŁ ENTUZJASTYCZNIE: "W ŚWIECIE, TYM WIELKIM ZBIOROWISKU WSZYSTKIEGO, CO ISTNIEJE, WIDZIMY WSZĘDZIE TYLKO MATERIE I RUCH. JEGO CAŁOŚĆ WYKAZUJE NAM JEDYNIE OGROMNY I NIEPRZERWANY ŁAŃCUCH PRZYCZYN I SKUTKÓW." ¹⁶

W tym krótkim, triumfalnym stwierdzeniu znalazło się wszystko - cały wszechświat, będący montażem odrębnych części, z których składa się rzeczywistość. Materię można zrozumieć jedynie w kategoriach ruchu, czyli zmiany miejsca w przestrzeni. Zdarzenia następują w (linearnym) następstwie, idą jedno za drugimi, jak na paradzie, wzdłuż linii czasu. Takie namiętności ludzkie, jak nienawiść, egoizm lub miłość - według Holbacha -

¹⁶ Paul Henri D'Holbach, *System przyrody, czyli prawa świata fizycznego i moralnego*, przeł. Jadwiga Jabłońska i Halina Suwała, Warszawa 1957, s. 61-62.

można przyrównywać do sił fizycznych - do odpychania, bezwładności, przyciągania, toteż rozumna władza państwowa mogłaby manipulując ludzkimi emocjami, kierować je ku dobru publicznemu, tak samo jak nauka mogłaby manipulować światem fizycznym, wykorzystując go dla dobra powszechnego.

To właśnie z tego indusrealnego obrazu wszechświata, z tkwiących w nim głęboko założeń, wywodzą się niektóre spośród najsilniej w nas zakorzenionych modeli zachowań osobistych, społecznych i politycznych. W tych modelach zachowań kryje się bowiem przeświadczenie, iż nie tylko kosmos i przyroda, ale również społeczeństwa i ludzie zachowują się według ustalonych, poznawalnych i pozwalających przewidywać przyszłość reguł. Najwybitniejszymi w istocie myślicielami drugiej fali byli właśnie ci, którzy z największą logiką i siłą przekonywania potrafili dowieść, że wszystko we wszechświecie dzieje się zgodnie z pewnymi regułami.

Newton odkrył prawa rządzące niebem. Darwin ustalił prawa ewolucji społecznej. Freud miał pono odsłonić prawa rządzące ludzką psychiką. Inni uczeni - przyrodnicy, inżynierowie, socjologowie i psychologowie - także starali się odkrywać jak najwięcej najbardziej różnorodnych praw i reguł.

Cywilizacja drugiej fali miała teraz do dyspozycji teorię przyczynowości, teorię o cudownej mocy i szerokich możliwościach zastosowań. Tyle spraw, które dotąd wydawały się skomplikowane, można teraz było sprowadzić do prostych, łatwo wytłumaczalnych formułek. I trzeba było je uznać za prawdziwe wcale nie dlatego, że sformułował je na przykład Newton czy Marks. Każdy sam mógł je sprawdzić i potwierdzić empirycznie. Stosując te prawa i reguły, można było budować mosty, wysyłać w eter fale radiowe, przewidywać przyszłe i rozpoznawać dawne zmiany biologiczne; można było manipulować gospodarką, organizować ruchy polityczne lub montować maszyny, a nawet - jak twierdzono - przewidywać i kształtować postępowanie człowieka przyszłości.

Trzeba było tylko znaleźć krytyczną zmienną, wyjaśniającą każde zjawisko. Wszystko stawało się możliwe, jeżeli tylko znalazło się właściwą "kulę bilardową" i uderzyło w nią pod odpowiednim kątem.

Ta nowa zasada przyczynowości, w połączeniu z nowymi wyobrażeniami na temat czasu, przestrzeni i materii, uwolniła większość ludzkości od tyranii wielowiekowego fetyszyzmu. Dzięki niej doszło do triumfalnych osiągnięć w nauce i technice, do cudów w zakresie teoretycznej konceptualizacji oraz do zdobyczy praktycznych. Dzięki nim zachwiała się władza dyktatorska i wyzwolił się krępowany przez całe tysiąclecia umysł ludzki.

Indusrealność nałożyła wszelako sama na siebie pęta, tworząc mentalność industrialną,

która z kolei pomniejszała lub lekceważyła wszystko to, czego nie dało się ująć ilościowo, która często wychwalała krytyczny rygoryzm, a karała wyobraźnię, która sprowadzała ludzi do uproszczonych wymiarów kropli pierwotnej plazmy, która w końcu każdy problem starała się rozwiązywać sposobami inżynierskimi.

Nie była też indusrealność tak niewinna pod względem moralnym, za jaką chciała uchodzić. Jak wiemy, stanowiła ona wojującą superideologię cywilizacji drugiej fali, z której zrodziły się wszystkie - zarówno lewicowe, jak i prawicowe - ideologie ery przemysłowej. Podobnie jak inne kultury, cywilizacja drugiej fali narzuciła ludziom swej epoki własny, skrzywiony obraz ich samych oraz otaczającego ich świata. Przez ten swoisty "filtr", zniekształcający rzeczywistość, przedostawały się do ludzkiej świadomości idee, wyobrażenia, założenia i analogie, które złożyły się w sumie na najsilniej oddziałujący na człowieka system kulturowy w dziejach.

I wreszcie, indusrealność będąca kulturowym wyrazem industrializmu doskonale pasowała do społeczeństwa, które sama zresztą pomogła ukształtować. Przyczyniła się do stworzenia społeczeństwa wielkich organizacji, wielkich miast, scentralizowanych biurokracji i niepowstrzymanie rozrastających się rynków - zarówno kapitalistycznych jak i socjalistycznych. Ściśle połączyła ze sobą nowe systemy energetyczne, struktury rodzinne, nowe technologie, systemy gospodarcze i polityczne oraz systemy wartości, czyli wszystko, co łącznie złożyło się na cywilizację drugiej fali.

A teraz na naszych oczach cała ta cywilizacja, wraz ze swymi instytucjami, technologiami i kulturą, zaczęła się rozpadać pod naporem kolejnej, trzeciej fali zmian, która już objęła kulę ziemską. Przyszło nam żyć w dobie ostatecznego, nieodwracalnego kryzysu industrializmu. Era przemysłowa przechodzi do historii. Rodzi się nowy wiek.

ROZDZIAŁ VIII

KODA: NAGŁY PRZYPLŹYW

Jedno pozostaje wciąż tajemnicą. Industrializm, który trwał trzy krótkie stulecia, był w dziejach niczym nagły przyplźyw w bezmiarze czasu. Co wywołało rewolucję przemysłową? Co zrodziło drugą falę, która przewaliła się przez naszą planetę?

Wielki nurt przeobrażeń tworzyły liczne strumienie zmian, zlewając się w jedną rzekę. W przededniu rewolucji przemysłowej Europa otrzymała zasób tętniącej energii, który pobudził jej kulturę i gospodarkę; tym impulsem stało się odkrycie Nowego Świata. Wzrost zaludnienia popchnął ludzi do miast. Wyeksploatowanie drewna w lasach brytyjskich skłoniło do używania węgla. To z kolei zmusiło do kopania coraz to głębszych szybów górniczych, dopóki nie okazało się, że starymi pompami, napędzanymi przez konie pociągowe, nie można już wypompować z nich wody. Aby rozwiązać ten problem, udoskonalono maszynę parową, co doprowadziło do fantastycznego wprost rozwoju nowych możliwości technologicznych. Stopniowe rozszerzanie się "industrealnych" idei podważało autorytet Kościoła i władzy politycznej. Upowszechnienie oświaty, poprawa dróg i transportu - wszystko to zbiegło się w czasie, przerywając tamy, które powstrzymują zmiany.

Wszelkie próby doszukania się Jedynej Przyczyny rewolucji przemysłowej są skazane na niepowodzenie. Albowiem żadna z przyczyn nie była jedyna ani dominująca. Technologia nie jest, sama przez się, siłą napędową historii. Nie są nią też - same przez się - idee czy wartości. Ani walka klasowa. Nie jest też historia tylko kroniką zmian ekologicznych, trendów demograficznych czy wynalazków w dziedzinie środków komunikowania się. Za pomocą samej tylko ekonomii nie sposób wyjaśnić żadnego zjawiska historycznego. Nie ma żadnej "zmiennej niezależnej", od której zależałyby wszystkie inne zmienne. Są jedynie wzajemnie powiązane zmienne, nieograniczone w swej złożoności.

W obliczu tej gmatwaniny wpływów przyczynowych, niezdolni nawet do prześledzenia wszystkich wzajemnych oddziaływań między tymi zmiennymi, możemy co najwyżej wybrać takie, które najlepiej nadają się do naszych celów, nie zapominając jednak o nieuchronnym zniekształceniu, jakie tkwi już w samym dokonaniu takiego, a nie innego wyboru. Rozumując dalej w tym duchu, zobaczymy wyraźnie, że wśród licznych sił, które zbiegły się razem, by utworzyć cywilizację drugiej fali, niewiele pociągnęło za sobą bardziej dostrzegalne konsekwencje niż pogłębiający się rozdźwięk między producentem i konsumentem, a także niż rozwój fantastycznej sieci kanałów wymiany, którą zwiemy dziś rynkiem, w zależności od formy - kapitalistycznym bądź socjalistycznym.

Im bardziej producent zaczynał oddalać się od konsumenta - w czasie, przestrzeni oraz w sensie dystansu społecznego i psychicznego - tym wszechwładniej nad społeczną rzeczywistością zaczynał panować rynek - z całą swą zadziwiającą złożonością, z własną hierarchią wartości, z ukrytymi metaforami i założeniami.

Jak mogliśmy zobaczyć, ten niewidzialny klin wytworzył cały współczesny system pieniężny utrzymany w duchu nieustannego liczenia i kalkulacji, wraz z jego centralnymi instytucjami bankowymi, giełdami, handlem światowym, biurokratycznymi planistami; z jego etyką opartą na kontraktach, z materialistycznymi skłonnościami, z wąską miarą sukcesu i sztywnym systemem nagradzania, z jego - wreszcie - potężnym aparatem sprawozdawczości rachunkowej, której kulturowego znaczenia zwykle nie doceniamy. Oddalenie się od konsumenta popchnęło producenta w kierunku standaryzacji, specjalizacji, synchronizacji i centralizacji. To z kolei spowodowało zróżnicowanie pozycji oraz sposobu myślenia kobiet i mężczyzn. Jakkolwiek byśmy nie oceniali znaczenia liczynek i różnorodnych sił, które nadały bieg drugiej fali, to z pewnością rozszczepienie tego pradawnego atomu, jakim był stosunek produkcja-konsumpcja, znajdzie się wśród najważniejszych jej przyczyn. Rozbicie to wywołało fale wstrząsu, odczuwalne jeszcze dzisiaj.

Cywilizacja drugiej fali wprowadziła zmiany nie tylko w technologii, przyrodzie i kulturze. Zmieniła ona osobowość, pomagając utworzyć nowy typ społeczny człowieka. Oczywiście kobiety i dzieci też kształtowały cywilizację drugiej fali i były przez nią kształtowane, ale ponieważ mężczyźni byli bardziej bezpośrednio wciągani w sam środek rynku i w nowe metody pracy, to im, a nie kobietom, udzieliły się bardziej zdecydowanie cechy człowieka przemysłowego. Toteż - mając nadzieję, że czytelniczki zechcą mi wybaczyć - sumując niejako te nowe cechy charakteru, będę używał terminu Człowiek Przemysłowy.

Człowiek Przemysłowy różnił się od wszystkich swoich poprzedników. Wziął w niewolę moce energii, które zwielokrotniały jego chętlawe siły. Sporą część życia spędzał w otoczeniu wzorowanym na fabryce, w kontakcie z maszynami i organizacjami, które skarłały ludzi. Niemal od niemowlęctwa uczył się, że przetrwanie bardziej niż kiedykolwiek przedtem zależy od pieniędzy. Wzrastał przeważnie w rodzinie nuklearnej i uczęszczał do szkoły zorganizowanej na wzór fabryki. Swój podstawowy obraz świata czerpał ze środków masowego przekazu. Pracował dla wielkiej korporacji lub agencji publicznej. Należał do związków zawodowych, Kościoła i innych organizacji - a każdej z nich przypadała częśćka jego pokawałkowanego jestestwa. Stopniowo coraz słabiej utożsamiał się ze swą wioską czy miastem; silniej zaś ze swym narodem. We własnych oczach znajdował się w opozycji wobec przyrody, w swej codziennej pracy zajmując się głównie jej eksploatacją. Chociaż - co brzmi

paradoksalnie - spieszył na jej łono w każdy weekend. (W rzeczywistości, im był dla przyrody okrutniejszy, tym romantyczniej i z większym szacunkiem o niej mówił.) Uczył się widzieć siebie jako część wielkich, splecionych wzajemnymi zależnościami systemów: gospodarczego, społecznego i politycznego; ich granice zacierały się, tworząc niepojęte, skomplikowane układy.

Buntował się bezskutecznie przeciwko tej rzeczywistości. Walczył o byt. Przynosił sobie reguły gry wymagane przez społeczeństwo; wpasowywał się w przypisane mu role, często nienawidząc ich i uważając się za ofiarę tego samego systemu, dzięki któremu poprawiał się standard jego życia. Miał poczucie linearności czasu, który nieuchronnie przenosił go w przyszłość, gdzie oczekiwał na niego grób. A w miarę, jak zegarek na jego rękę odmierzał upływające chwile, zbliżał się do śmierci wiedząc, że cała ziemia i każda istota, łącznie z nim samym, stanowią jedynie cząstkę jakiejś ogromnej maszyny kosmicznej, która funkcjonuje nieubłaganie i z wielką regularnością.

Człowiek Przemysłowy żył w środowisku, które dla jego przodków byłoby pod wieloma względami niepoznawalne. Inne były tu nawet najbardziej elementarne sygnały zmysłowe.

Druga fala zmieniła obszar doznań słuchowych, zastępując pianie koguta syreną fabryczną, a cykanie świerszczy - piskiem opon. Rozświetliła też noc, przedłużając godziny czuwania. Wraz z nią nadeszły obrazy, jakich ludzkie oko nigdy przedtem nie widziało - zdjęcia ziemi z lotu ptaka, surrealistyczne montaż filmowe, formy biologiczne udostępnione po raz pierwszy dzięki potężnym mikroskopom. Woń gnojówki ustąpiła miejsca fetorowi benzyny i fenolu. Mięso i warzywa nabrały innego smaku. Zmienił się cały krajobraz ludzkiego postrzegania.

ZMIENIŁO SIĘ RÓWNIEŻ NASZE CIAŁO, PO RAZ PIERWSZY OSIĄGAJĄC TAKI WZROST, KTÓRY DZIŚ UWAŻAMY ZA W PEŁNI NORMALNY; KAŻDE KOLEJNE POKOLENIE Z REGUŁY PRZERASTAŁO RODZICÓW. INNY STAŁ SIĘ RÓWNIEŻ STOSUNEK DO CIAŁA. NORBERT ELIAS OPOWIADA W KSIĄŻCE *PRZEMIANY OBYCZAJÓW W CYWILIZACJI ZACHODU*, ŻE PODCZAS GDY W NIEMCZECH I W POZOSTAŁEJ CZĘŚCI EUROPY "WIDOK ZUPEŁNEJ NAGOŚCI BYŁ AŻ DO XVI STULECIA CZYMŚ ZGOŁA POWSZEDNIM"¹⁷, **to wówczas, gdy wezbrała już druga fala, nagość zaczęto uważać za rzecz wstydliwą. Kiedy weszła w użycie specjalna nocna bielizna, zmienił się sposób bycia w sypialniach. Wraz z rozpowszechnieniem się widelca i innych wyspecjalizowanych narzędzi stołowych jedzenie uległo technologizacji. Nastąpiło odejście od kultury, w której biesiadnicy czerpali czynną przyjemność z widoku nieżywego zwierzęcia na stole, do takiej, w której "za wszelką cenę należy unikać**

¹⁷ Norbert Elias, *Przemiany obyczajów w cywilizacji Zachodu*, przeł. Tadeusz Zabłudowski, Warszawa 1980, s. 235

wszystkiego, co mogłoby przypominać, iż danie mięsne ma coś wspólnego z zabijaniem zwierząt".

Małżeństwo stało się czymś więcej niż tylko wygodą ekonomiczną. Wojna zwieliokrotniła swój zasięg i trafiła na linię montażową. Zmiany zachodzące w relacjach między rodzicami i dziećmi, nowe możliwości otwierające ludziom drogę do awansu, zmiany obejmujące wszystkie aspekty relacji ludzkich - drastycznie przekształciły u milionów ludzi poczucie sensu własnego istnienia.

W obliczu tak licznych zmian psychologicznych, ekonomicznych, politycznych i społecznych, wszelka próba dokonania jakiejś oceny powoduje w umyśle zamęt i popłoch. Za pomocą jakich kryteriów mamy osądzać cywilizację? Czy probierzem ma być standard życia, jaki zapewniła żyjącym w tej cywilizacji masom? Czy może wpływ cywilizacji na tych, którzy znaleźli się poza jej zasięgiem? Czy jej wpływ na biosferę? Czy doskonałość sztuki? Przedłużone trwanie życia ludzkiego? Osiągnięcia naukowe? Czy wolność człowieka?

Mimo masowych depresji gospodarczych i przerażającego spustoszenia w zakresie życia ludzkiego, cywilizacja drugiej fali - w granicach swego zasięgu - wyraźnie poprawiła materialny standard życia przeciętnego człowieka. Opisując masowe cierpienia klasy robotniczej w Anglii w XVIII i XIX wieku, krytycy industrializmu często idealizują minioną epokę pierwszej fali. Przedstawiają tę sielską przeszłość jako pełne ciepła i równowagi organiczne życie we wspólnocie, kierującej się raczej duchowymi niż czysto materialistycznymi wartościami. Tymczasem z badań historycznych wynika, że te rzekomo urocze wiejskie społeczności były w istocie siedliskami niedożywienia, chorób, ubóstwa, bezdomności i tyranii, w których żyli ludzie bezradni wobec głodu, zimna i cięgów feudalnych panów.

Wiele mówiono o ohydnych slumsach pieniących się wokół wielkich miast, o fałszowanej żywności, chorobotwórczych zbiornikach wodnych, przytułkach, brudzie i nędzy. A jednak - chociaż warunki te niewątpliwie bywały potworne - stanowiły one ogromny postęp w porównaniu z warunkami, w jakich ci sami ludzie żyli poprzednio. Pisarz brytyjski, John Vaizey, zwrócił uwagę, że "w sielankowym obrazie Anglii drobnego ziemiaństwa było dużo przesady"; dla znacznej liczby ludzi przejście do miejskich slumsów w rzeczywistości stanowiło "ogromny skok pod względem standardu życia mierzonego długowiecznością, poprawą fizycznych warunków mieszkalnych i zwiększeniem racji oraz różnorodności pożywienia".

BY ZNALEŹĆ ARGUMENTY DO DYSKUSJI NA TEMAT ZDROWOTNOŚCI Z LUDŹMI, KTÓRZY GLORYFIKUJĄ CYWILIZACJĘ PIERWSZEJ FALI NA NIEKORZYŚĆ DRUGIEJ, WYSTARCZY

PRZECZYTAĆ *THE AGE OF AGONY* (WIEK AGONII) GUYA WILLIAMSA CZY *DEATH, DISEASE AND FAMINE IN PRE-INDUSTRIAL ENGLAND* (ŚMIERĆ, CHOROBA I GŁÓD W ANGLII PRZEDPRZEMYSŁOWEJ) L.A. CLARKSONA. W RECENZJI Z TYCH KSIĄŻEK CHRISTINA LARNER STWIERDZA: "BADANIA HISTORYKÓW SPOŁECZNYCH I DEMOGRAFÓW UWYPUKLAJĄ PRZYGNIAJĄCĄ OBECNOŚĆ CHORÓB, CIERPIENIA I ŚMIERCI ZARÓWNO NA PEŁNEJ ŚWIEŻEGO POWIETRZA WSI, JAK I W NIEZDROWYCH MIASTACH. PRZECIĘTNA DŁUGOŚĆ ŻYCIA BYŁA NISKA: OKOŁO CZTERDZIESTU LAT W XVI WIEKU, ZE SPADKIEM DO TRZYDZIESTU KILKU LAT W NAWIEDZANYM PRZEZ EPIDEMIE XVII WIEKU I NIECO TYLKO POWYŻEJ CZTERDZIESTU LAT W XVIII WIEKU. (...) RZADKOŚCIĄ BYŁY MAŁŻEŃSTWA O DŁUGOLETNIM POŻYCIU (...) ŻYCIE KAŻDEGO DZIECKA ZWIĄZANE BYŁO Z RYZYKIEM." JAKKOLWIEK SŁUSZNA BY BYŁA KRYTYKA DZISIEJSZYCH SŁUŻB ZDROWIA - ŹLE KIEROWANYCH I BORYKAJĄCYCH SIĘ Z CIĄGLYMI KRYZYSAMI - WARTO PRZYPOMNIEĆ, ŻE OFICJALNA MEDYCyna PRZED REWOLUCJĄ PRZEMYSŁOWĄ BYŁA ŻAŁOSNA; POLEGAŁA ONA GŁÓWNIENIE NA PUSZCZANIU KRWI I ZABIEGACH CHIRURGICZNYCH, KTÓRE PRZEPROWADZANO BEZ ZNIECZULENIA.

Głównymi przyczynami śmiertelności były przeważnie dżuma, tyfus, influenza, czerwotka, ospa i gruźlica. "Dziś niektórzy mędrkują - pisze nie bez sarkazmu pani Larner - że tamte plagi zastąpiliśmy jedynie innym zestawem śmiertelnych chorób; jednakże te nowe pozwalają nam żyć nieco dłużej. Epidemie okresu przedindustrialnego nie przebiegały, zabijały na oślep zarówno młodych, jak i starych."

A teraz przejdźmy od zdrowia i ekonomii do sztuki i ideologii. Czy industrializm - pomimo całego pętającego umysłowość materializmu - rzeczywiście bardziej ograniczał myślenie niż poprzedzające go systemy feudalne? Czy mentalność mechanistyczna lub industrealność, owa "industrialna rzeczywistość", były istotnie mniej otwarte na nowe idee, a nawet herezje, niż średniowieczny kościół i monarchie minionej epoki? Nie cierpimy naszych przerośniętych struktur biurokratycznych, ale czyż są one bardziej sztywne od biurokracji chińskich sprzed stuleci lub od hierarchii starożytnego Egiptu? A co do sztuki, to czy powieści, wiersze, obrazy, które powstały na Zachodzie w ciągu ostatnich trzystu lat, są chociaż trochę mniej żywe, głębokie, odkrywcze bądź mniej wielowarstwowe niż dzieła z wcześniejszych epok lub z innych części świata?

Wszystko ma jednak swoją ciemną stronę. Wprawdzie cywilizacja drugiej fali uczyniła wiele dla poprawy warunków życia naszych ojców i matek, pociągnęła za sobą również gwałtowne konsekwencje zewnętrzne i nieprzewidywane skutki uboczne. Jednym z nich jest pogłębiające się i może już wręcz nie do naprawienia uszkodzenie delikatnej ziemskiej biosfery. Z powodu swego industrealnego nastawienia do przyrody, rosnącego przeludnienia,

bezdusznej technologii oraz ustawicznej potrzeby ekspansji, cywilizacja ta spowodowała większe spustoszenie w środowisku niż jakakolwiek inna epoka w przeszłości. Czytałem o ulicach pokrytych nawozem końskim w miastach przedprzemysłowych (opisy te służą zazwyczaj jako uspokajający dowód, że zanieczyszczenie nie jest niczym nowym). Wiem, że ulicami dawnych miast spływały ścieki. Ale w społeczeństwie przemysłowym problemy skażenia ekologicznego i wykorzystania zasobów naturalnych znalazły się na zupełnie innym poziomie, sprawiając, że teraźniejszości i przeszłości nie można nawet porównywać ze sobą.

Nigdy przedtem żadna cywilizacja nie stworzyła środków do literalnego zniszczenia już nie miasta, ale planety. Nigdy zatrucie nie zagrażało całym oceanom ani całe gatunki nie znikwały z ziemi z dnia na dzień w rezultacie ludzkiej chciwości lub czyjś niedbalstwa; nigdy kopalnie tak okrutnie nie ryły bliznami powierzchni ziemi; nigdy kosmetyki w aerozolu nie rozrzedzały warstwy ozonu ani skażenie termiczne nie stanowiło takiego zagrożenia dla klimatu całej planety.

Podobna, tylko jeszcze bardziej złożona, jest kwestia imperializmu. Zniewolenie Indian do pracy w kopalniach Ameryki Południowej, wprowadzenie systemu plantatorskiej gospodarki rolnej w znacznej części Afryki i Azji, rozmyślnie deformowanie gospodarki kolonii w taki sposób, by zaspokajała ona potrzeby państw przemysłowych - wszystko to sprowadzało na ludzi rozpaczliwe męki, głód, zarazy i deformacje kulturowe. Stworzony przez cywilizację drugiej fali rasizm oraz wymuszanie na małych, samowystarczalnych organizmach gospodarczych, by integrowały się w wielki system handlu światowego, pozostawiły ropiejące rany, które jeszcze nawet nie zaczęły się goić.

Ale znów dopatrywanie się samych uroków w tamtych wczesnych gospodarkach, wytwarzających jedynie środki niezbędne do przeżycia, byłoby błędem. Jest bardzo wątpliwe, czy ludność zamieszkująca nieuprzemysłowione jeszcze regiony świata żyje dziś gorzej, niż trzysta lat temu. Nieopisane cierpienia są dziś udziałem setek milionów istot ludzkich - od Sahelu po Amerykę Środkową - upośledzonych pod względem długości życia, ilości spożywanego jedzenia, śmiertelności niemowląt, umiejętności czytania i pisanie oraz godności ludzkiej. Ale w zbyt skwapliwym zamiarze osądzenia obecnej rzeczywistości wyrządzilibyśmy im wątpliwą przysługę, upierając się przy fałszywym obrazie romantycznej przeszłości. Do przyszłości nie dochodzi się wracając do poprzedniej, jeszcze dotkliwszej niedoli.

Tak samo jak nie ma jednej przyczyny, która zrodziła cywilizację drugiej fali, nie może też być jednoznacznej jej oceny. Próbuję przedstawić obraz cywilizacji drugiej fali łącznie z jej wadami. Jeśli z jednej strony zdaję się ostro ją krytykować, a z drugiej pochwałać, to dlatego,

że wszelkie jednoznaczne osądy są zwodnicze. Oburza mnie sposób, w jaki industrializm zgniótl pierwszą falę i stłamsił ludy prymitywne. Nie mogę mu zapomnieć, że umasowił wojnę, wymyślił Oświęcim i uwolnił siłę atomu, którym spopielił Hiroszimę. Wstydę się za jego kulturową arogancję i łupiestwo, jakiego dopuścił się wobec reszty świata. Mam dosyć marnotrawstwa ludzkiej energii, wyobraźni i ducha w gettach, w których przyszło nam żyć.

Ale na ślepej nienawiści do własnej epoki i współplemieńców nie można budować przyszłości. Czy industrializm był klimatyzowanym koszmarem, zmarnowaną szansą, skończoną potwornością? Był. Czy żyliśmy w świecie "jednego wymiaru" - jak twierdzą przeciwnicy nauki i technologii? Bez wątplenia tak. Ale świat ten był czymś jeszcze. Jak samo życie, był krótką chwilą w wieczności, gorzką i słodką zarazem.

Na jakąkolwiek ocenę terażniejszości się zdecydujemy, musimy zrozumieć, że z tą industrialną grą już koniec: że zużyła ona swoją energię; że wraz z pojawieniem się następnej fali musi osłabnąć napór drugiej fali. Dwa nurty przeobrażeń uniemożliwiają "normalną" kontynuację cywilizacji przemysłowej.

Po pierwsze, osiągnęliśmy punkt zwrotny w "walce z przyrodą". Biosfera po prostu już nie wytrzyma dalszego naruszania przez przemysł. Po drugie, nie możemy w nieskończoność opierać się na nieodwracalnych źródłach energii, będących jak dotąd główną siłą napędową rozwoju przemysłowego.

Nie oznacza to kresu społeczeństwa technologicznego czy wyczerpania energii. Fakty te oznaczają natomiast, że na dalszy postęp techniczny będą wpływać nowe uwarunkowania środowiskowe. Oznaczają one również, że dopóki nie znajdziemy nowych źródeł energii, kraje przemysłowe będą raz po raz przeżywać bardzo ostre, być może nawet gwałtowne - jak w kuracji odwykowej - kryzysy, przy czym już same próby zastosowania nowych form energii będą przyspieszać przeobrażenie społeczne i polityczne.

Jedno jest pewne: wyczerpaliśmy, przynajmniej na kilkadziesiąt lat, zasoby taniej energii. Cywilizacja drugiej fali utraciła jedną z dwóch podstawowych sił napędowych.

A jednocześnie kończy się dostęp do drugiej, ukrytej wartości: do tanich surowców. W obliczu zmierzchu kolonializmu i neoimperializmu kraje wysoko rozwinięte będą musiały we własnym zakresie szukać surowców lub ich substytutów, kupując je wzajemnie od siebie i stopniowo rozluźniając powiązania z państwami nieuprzemysłowymi, albo będą je nadal kupować od krajów nieuprzemysłowych, tylko na zupełnie innych warunkach niż dotąd. W jednym i w drugim przypadku koszty znacznie wzrosną, a cała surowcowa i energetyczna podstawa cywilizacji ulegnie przeobrażeniu.

W parze z tymi czynnikami napierającymi niejako z zewnątrz na społeczeństwo

przemysłowe idą siły dezintegracyjne wewnątrz systemu. Czy weźmiemy pod uwagę strukturę rodziny w USA, czy system telekomunikacji we Francji (który jest dziś gorszy niż w niektórych republikach bananowych), czy też system kolei podmiejskich w Tokio (tak straszny, że bezradni pasażerowie na znak protestu szturmują stacje i biorą jako zakładników wysokich urzędników kolejnictwa) - wszędzie mamy do czynienia z tym samym: ludzie i systemy znajdują się na ostatecznej granicy załamania.

Systemy drugiej fali ogarnął kryzys. Mamy więc kryzys w systemie opieki społecznej; kryzys poczty, szkolnictwa, opieki zdrowotnej i położnictwa; kryzys wielkich miast i kryzys w systemie finansów międzynarodowych. W stanie kryzysu znalazło się samo państwo narodowe. Jak również - system wartości drugiej fali.

Kryzys objął nawet system ról, który stanowił o spójności cywilizacji drugiej fali. Najbardziej dramatycznie przejawia się to w usiłowaniach zmierzających do przededefiniowania ról kobiety i mężczyzny. Tradycyjne oczekiwania związane z płcią zaczynają tracić swą dawną ostrość, co znajduje wyraz w ruchu kobiet, w żądaniach legalizacji homoseksualizmu, w rozpowszechnianiu się uniseksu. Zacierają się również linie podziałów na role zawodowe. Zarówno pielęgniarki, jak i pacjenci na nowo określają swe role wobec lekarzy. Policja i nauczyciele wyłamują się z przypisanych im ról i podejmują nielegalne formy protestu. Nie posiadający dyplomów juryści ustalają nowe role dla prawników. Robotnicy coraz bardziej stanowczo domagają się współuczestnictwa w podejmowaniu decyzji, naruszając tradycyjne uprawnienia kierownictwa. To załamanie się struktury określającej role poszczególnych członków społeczeństwa, na której opierał się industrializm, ma daleko bardziej rewolucyjne implikacje niż jednoznacznie polityczne protesty i marsze, na których podstawie czołowi publicyści oceniają zachodzące zmiany.

Wspólne oddziaływanie tych napierających czynników - wyczerpywania się podstawowych zasobów, zakłóceń w funkcjonowaniu najważniejszych systemów niezbędnych do istnienia społeczeństwa, załamywania się tradycyjnej struktury ról - wszystko to powoduje kryzys najbardziej podstawowej i wrażliwej ze struktur: osobowości człowieka. Upadek cywilizacji drugiej fali wywołał epidemię kryzysów osobowości.

Obserwujemy dziś miliony ludzi w rozpaczliwej pogoni za własnym cieniem, pochłaniających filmy, sztuki teatralne, powieści i najróżniejsze poradniki, które obiecują - nawet najbardziej mętnie - pomóc im odnaleźć utraconą tożsamość. Jak zobaczymy, w Stanach Zjednoczonych przejawy kryzysu osobowości są przedziwne.

Jego ofiary uciekają się do terapii grupowej, popadają w mistycyzm albo podejmują eksperymenty seksualne. Korci ich, żeby coś zmienić, ale na myśl o tym umierają ze strachu.

Spieszno im porzucić obecną egzystencję i wykonać skok - chociaż nie bardzo wiedzą jak - w nowe życie, żeby stać się kimś, kim nie są. Pragną innej pracy, innej żony lub męża, innej roli w życiu i innych obowiązków.

Ta niechęć do aktualnego życia nie omija nawet na pozór dojrzałych i zadowolonych z siebie amerykańskich biznesmenów. Ankieta przeprowadzona niedawno przez Amerykańskie Stowarzyszenie Kadry Kierowniczej (American Management Association) wykazała, że co najmniej 40 procent średniego personelu kierowniczego to ludzie niezadowoleni ze swojej pracy, a ponad jedna trzecia marzy o innej karierze, spodziewając się, że robiąc co innego, byłiby szczęśliwsi. Niektórzy niezadowoleni podejmują praktyczne kroki. Porzucają pracę, zostają farmerami lub instruktorami narciarstwa, poszukują nowego stylu życia, czasem wracają do szkoły albo zaczynają bez sensu kręcić się w coraz to ciasniejszym kółku, aż w końcu nie mogą już dłużej wytrzymać napięcia i załamują się.

Dopatrując się źródeł tych niepokojów w samych sobie, przechodzą męczarnie z powodu niepotrzebnego poczucia winy. Wydaje się, iż nie zdają sobie sprawy z tego, że to, co czują, jest subiektywnym refleksem rozleglejszego, obiektywnego kryzysu: nieświadomie grają dramat, który rozgrywa się w innym dramacie, o poważniejszych wymiarach.

Można upierać się, że na każdy z tych kryzysów należy patrzeć jak na osobne zjawisko. Możemy ignorować związek między kryzysem energetycznym a kryzysem osobowości, między nowymi technologiami a nową rolą kobiety i mężczyzny oraz inne ukryte powiązania łączące różne sprawy. Ale w ten sposób ponosimy pewne ryzyko. Albowiem wszystko, co się dzieje, ma o wiele szerszy sens. Kiedy zaczniemy myśleć w kategoriach kolejno napływających fal splatających się ze sobą zmian, w kategoriach zderzania się tych fal, kiedy pojmiemy zasadniczy fakt naszego pokolenia - że industrializm zaczął obumierać - wówczas wśród sygnałów zmian będziemy mogli zacząć szukać tego, co prawdziwie nowe, już nie industrialne. Będziemy w stanie rozpoznać trzecią falę.

To właśnie trzecia fala przemian będzie wyznaczać resztę naszego życia. Jeżeli chcemy złagodzić przejście od dawnej, zamierającej cywilizacji do nowej, która dopiero się kształtuje, jeżeli nie chcemy utracić poczucia sensu własnego istnienia i pragniemy zachować zdolność pokonywania zaostrzających się kryzysów, które mamy jeszcze przed sobą, to musimy nauczyć się rozpoznawać - a także tworzyć - innowacje trzeciej fali.

Przyjrząwszy się bowiem lepiej temu, co nas otacza, zobaczymy - splatające się z przejawami bankructwa i upadku - pierwsze oznaki rozwoju i nowych możliwości.

A gdy wsłuchamy się czujniej, będziemy mogli usłyszeć, jak trzecia fala napiera na nie tak odległe brzegi.

Rozdział IX

NOWA SYNTEZA

W styczniową noc 1950 roku świeżo upieczony dwudziestodwuletni magister z dyplomem uniwersyteckim w kieszeni patrzył przez mokre od deszczu okna dalekobieżnego autobusu na ciągnące się bez końca zabudowania fabryczne amerykańskiego Midwestu. Wiózł z sobą tekturową walizę pełną książek. Dziewczynę też. Jechał do najważniejszego - jak sądził - miejsca naszych czasów.

Wówczas, u progu drugiej połowy XX wieku, Ameryka była czołową potęgą świata. Rejon otaczający Wielkie Jeziora był przemysłową potęgą Ameryki. Jego pulsującym sercem była fabryka. Fabryka - czyli stalownie, huty aluminium, warsztaty narzędziowe, odlewnie, rafinerie, fabryki samochodów; ciągnące się milami zabudowania dudniły wibracją potężnych maszyn: tłoczn, wiertarek, giętarek, spawarek, młotów kuźniczych i urządzeń odlewniczych. Fabryka była symbolem ery przemysłowej; dla chłopaka, który wyrósł we względnie komfortowych warunkach średniozamożnego domu rodzinnego, po czterech latach obcowania z Platonem i T.S. Eliotem, z historią sztuki i z abstrakcyjnymi teoriami socjologicznymi - świat reprezentowany przez fabrykę był absolutną egzotyką, niczym Taszkient czy Tierra del Fuego.

W fabrykach tych pracowałem przez pięć lat. Nie byłem urzędnikiem ani kadrowcem; stałem przy taśmie montażowej, instalowałem urządzenia, byłem spawaczem, kierowcą wózka widłowego, obsługiwałem prasę tłoczącą, robiłem wentylatory, ustawiałem maszyny odlewnicze, montowałem gigantyczne urządzenia pochłaniające pył dla kopalń w Afryce, pracowałem na wykańczalni w fabryce samochodów ciężarowych, które szybko sunęły na taśmie montażowej przy akompaniamencie pisków i zgrzytów maszynerii. Przekonałem się osobiście, w jaki sposób w epoce przemysłowej robotnik fabryczny walczył o to, by zarobić na życie.

Łykałem kurz, pot i dym hutniczy. Uszy mi pękały od syku pary, stukotu żelastwa i huku mieszarki do masy formierskiej. Parzyła mnie rozpalona do białości stal. Acetylenowe iskry zostawiały ślady poparzeń na moich nogach. Obsługując prasę wykonywałem w czasie jednej zmiany tysiące jednakowych elementów, powtarzając identyczne ruchy dotąd, aż krzyczał mój mózg, a mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Obserwowałem menedżerów pilnujących robotników - panów w białych koszulach, których bez przerwy ponaglał i dręczył ktoś jeszcze ważniejszy od nich. Pomagałem wyciągać 65-letnią kobietę z wnętrza pokrwawionej maszyny, która właśnie urwała jej cztery palce, i wciąż jeszcze mam w uszach krzyk tej

kobiety: "Jezus Maria, już nigdy nie będę mogła pracować!"

Fabryka. Niech żyje fabryka! Wprawdzie nowe fabryki powstają i dzisiaj, widać jednak wyraźnie, że cywilizacja, która podniosła fabrykę do rangi katedry, znajduje się już w agonii. Właśnie w tej chwili nocny autobus wiezie jakichś innych młodych ludzi gdzieś w samo serce wyłaniającej się cywilizacji trzeciej fali. Spróbujmy podążać razem z nimi tropem jutra.

Do jakiego celu dojechalibyśmy razem z nimi? Czy tam, skąd wystrzeliwuje się w przestrzeń kosmiczną ogniste rakiety i cząstki ludzkiej świadomości? Czy do laboratoriów oceanograficznych? Czy znaleźlibyśmy się w komunie? Czy w zespole pracującym nad sztuczną inteligencją? Czy wśród fanatycznych sekt religijnych? A może tam, dokąd oni dążą, obowiązuje dobrowolna asceza? Albo przeciwnie - wspinaczka po drabinie karier? A może szmugluje się tam karabiny dla terrorystów? Gdzie jest kuźnia przyszłości?

Gdybyśmy sami planowali podobną wyprawę w przyszłość, jak wyznaczilibyśmy jej szlak? Łatwo powiedzieć: przyszłość zaczyna się w teraźniejszości. Ale w jakiej teraźniejszości? Bo przecież teraźniejszość jest pełna paradoksów.

NASZE DZIECI DOSKONALE ZNAJĄ SIĘ NA NARKOTYKACH, SEKSIE I WYPRAWACH KOSMICZNYCH; NIEKTÓRE WIEDZĄ O WIELE WIĘCEJ O KOMPUTERACH NIŻ ICH RODZICE. A JEDNAK POZIOM WYKSZTAŁCENIA STALE SIĘ OBNIŻA. WCIAŻ ROŚNIE LICZBA ROZWODÓW, ALE ROŚNIE RÓWNIEŻ LICZBA PONOWNYCH MAŁŻEŃSTW. ANTYFEMINIŚCI PODNOSZĄ WRZASK AKURAT WTEDY, GDY KOBIETY UZYSKUJĄ PRAWA UZNAWANE NAWET PRZEZ ANTYFEMINISTÓW. HOMOSEKSUALIŚCI ŻĄDAJĄ PRAW I UZYSKUJĄC JE, CORAZ ŚMIELEJ WYCHODZĄ Z UKRYCIA, NATYKAJĄC SIĘ NATYCHMIAST NA ANITĘ BRYANT ¹⁸.

Kraje drugiej fali dręczy niepowstrzymana inflacja, a jednocześnie, na przekór wszystkim klasycznym teoriom, wciąż pogłębia się bezrobocie. Wbrew uznanej logice podaży i popytu, miliony ludzi nie tylko domagają się pracy, ale chciałyby w dodatku, aby praca zaspokajała ich potrzeby twórcze oraz ambicje psychologiczne i społeczne. Mnożą się sprzeczności ekonomiczne.

W polityce partie tracą poparcie dokładnie w chwili, gdy takie kluczowe problemy, jak na przykład technologia, nabierają jak nigdy przedtem charakteru politycznego. Na ogromnych połączeniach naszej planety umacniają się ruchy narodowościowe; a jednocześnie państwa narodowe chwieją się pod wzmagającymi się atakami podejmowanymi w imię świadomości ogólnoświatowej.

W obliczu takich sprzeczności - jakżeż moglibyśmy w ogóle dostrzec coś, co kryje się

¹⁸ Jedna z wojujących strażniczek moralności w USA - przyp. tłum

poza powierzchownymi tendencjami i kontrtendencjami? Niestety, nikt nie zna cudownej odpowiedzi na to pytanie pomimo zadrukowanych taśm komputerowych, serii wykresów, modeli matematycznych i logicznych matryc, jakimi posługują się futurologi - próby wejrzenia w oczekujące nas jutro, a nawet zrozumienie dzisiejszej teraźniejszości, najwidoczniej muszą mieć więcej wspólnego ze sztuką niż z nauką.

Systematyczne badania naukowe mogą nas wiele nauczyć. Ale w końcu i tak jesteśmy zmuszeni uwzględniać, a nie pomijać, paradoksy i sprzeczności, przeczucia, wyobraźnię i śmiałość (choć ostrożną) syntezę.

W dalszych rozdziałach zastanowimy się, jaka będzie ta nadchodząca przyszłość. Pamiętajmy jednak, że mamy nie tylko ustalić główne jej kierunki. Mimo że będzie to dosyć trudne, nie dajmy się zwieść pozorom prostej kontynuacji współczesności, którym zda się ulegać większość ludzi, z futurologami włącznie. Wyobrażają oni sobie jutro jako proste przedłużenie dzisiaj, zapominając, iż żadne trendy, choćby wydawały się nie wiadomo jak silne, nigdy nie tworzą prostej, linearnej ciągłości. W pewnym momencie dochodzą do punktu, w którym rozpadają się, przybierając zupełnie nową postać. Zmieniają kierunek. Ustają i wznawiają bieg. Fakt, że coś dzieje się obecnie, albo że działo się przez trzysta lat, nie daje żadnej gwarancji, że to samo będzie się działo w przyszłości. Na następnych stronicach skupimy uwagę na tych sprzecznościach, konfliktach, zwrotach i momentach przełomowych, dzięki którym przyszłość niesie tyle zaskoczeń i niespodzianek.

Co ważniejsze, będziemy się starali doszukać ukrytych związków między zdarzeniami na pozór nie mającymi nic wspólnego ze sobą. Niewiele nam przyjdzie z prognoz dotyczących przyszłości półprzewodników czy energii, albo przyszłości rodziny (nawet własnej), jeżeli prognoza będzie wychodzić z założenia, że wszystko inne pozostanie nie zmienione. Przecież nic nie pozostanie bez zmiany. Przyszłość jest płynna, nie zastygła. Tworzą ją zmieniające się decyzje, jakie my sami podejmujemy każdego dnia, a każde zdarzenie wpływa na wszystkie inne.

Cywilizacja drugiej fali kładła ogromny nacisk na umiejętność rozłożenia każdego zagadnienia na prostsze elementy, rzadko tylko doceniając umiejętność składania tych elementów z powrotem w całość. Toteż więcej ludzi umie dziś analizować niż syntetyzować. Jest to jeden z powodów, dla których nasze wyobrażenia o przyszłości (łącznie z wyobrażeniami o nas samych w tej przyszłości) są tak fragmentaryczne, przypadkowe i, niestety, błędne. Spróbujmy zatem nauczyć się myśleć jak "generaliści", nie zaś specjaliści.

Dziś, jak sądzę, znajdujemy się u progu nowej epoki syntezy. We wszystkich dziedzinach rozważań intelektualnych, od nauk ścisłych począwszy, a na socjologii, psychologii i

ekonomii - zwłaszcza ekonomii - skończywszy, będziemy świadkami nawrotu do myślenia na szeroką skalę, do ogólnych teorii, do ponownego układania porzucanych fragmentów w całość. Zaczyna nam bowiem świtać, że z obsesyjnego przywiązywania przesadnej wagi do wyjętego z kontekstu ilościowego szczegółu, do coraz dokładniejszych pomiarów coraz to mniejszych problemów, wynika tylko taki rezultat, że coraz większą wiedzą ogarniamy coraz mniejsze sprawy.

A zatem, w dalszym ciągu niniejszych rozważań będziemy szukać tych strumieni przeobrażeń, które wstrząsają naszym życiem; będziemy ujawniać ukryte związki między zachodzącymi zmianami, nie tylko dlatego, że każda z nich jest ważna sama przez się, lecz dlatego, że strumienie przeobrażeń zbiegają się razem i tworzą jeszcze większe, głębsze, bardziej rwące nurty przemian, które z kolei spływają w jeszcze potężniejszy nurt - tworząc trzecią falę.

Jak tamten młody człowiek w połowie stulecia wyruszył na poszukiwanie serca współczesności, podejmujemy teraz wyprawę w poszukiwaniu przyszłości. Może to być najważniejsza wyprawa w naszym życiu.

Rozdział X

LOKOMOTYWY ROZWOJU

8 sierpnia 1960 roku, inżynier chemik rodem w Zachodniej Wirginii, pan Monroe Rathbone, siedząc w swym biurze wysoko nad Rockefeller Plaza na Manhattanie, powziął decyzję, którą historycy mogą kiedyś uznać za symbol końca ery drugiej fali.

Tego dnia niemal nikt nie zwrócił uwagi na to, że Rathbone, ówczesny dyrektor naczelny potężnej korporacji Exxon, podjął kroki zmierzające do zmniejszenia podatków płaconych przez Exxon krajom produkującym ropę naftową. Choć prasa zachodnia pominęła ten fakt milczeniem, decyzja Rathbone'a uderzyła jak grom w rządy zainteresowanych państw; wszak absolutnie wszystkie ich dochody pochodziły z wpłat kompanii naftowych.

W ciągu kilku dni za Exxonem poszły inne wielkie kompanie naftowe. A w miesiąc później, 9 września, delegaci najbardziej poszkodowanych państw spotkali się w Bagdadzie na zwołanej w nadzwyczajnym trybie naradzie. Przyparci do muru utworzyli międzyrządowy komitet eksporterów ropy naftowej. Przez ponad 13 lat działalność komitetu, a nawet jego nazwę, powszechnie ignorowano; wyjątek stanowiło kilka fachowych pism poświęconych przemysłowi naftowemu. Było tak aż do 1973 roku, kiedy wybuchła tzw. wojna Yom Kippur i niespodziewanie ujawniła swoje istnienie Organizacja Państw Eksporterów Ropy Naftowej, czyli OPEC. Odcinając dostęp do światowych zasobów ropy, organizacja ta zachwiała całą gospodarką drugiej fali.

OPEC nie tylko zwiększyła w czwórnasób zyski ze sprzedaży ropy naftowej; przede wszystkim przyspieszyła ona - narastającą już od jakiegoś czasu - rewolucję w technosferze drugiej fali.

KU SŁOŃCU I DALEJ

Od tamtej chwili trwa przeraźliwa wrzawa na temat kryzysu energetycznego; bombarduje się nas tyloma projektami, pomysłami, argumentami i kontrargumentami, że trudno o jakiś rozsądny wybór. Rządy gubią się w tym tak samo jak przysłowiowy człowiek z ulicy.

Aby przebić się przez ten chaos, trzeba wyjść poza poszczególne technologie czy pomysły i raczej skoncentrować uwagę na leżących u ich podstaw zasadach. Zobaczmy wtedy, że niektóre projekty mają na celu podtrzymanie lub rozbudowę bazy energetycznej drugiej fali w znanej nam już postaci, inne natomiast opierają się na zupełnie nowych zasadach. Teraz możemy dużo lepiej zrozumieć całą kwestię energetyczną.

Baza energetyczna drugiej fali opierała się, jak wiemy, na nieodnawialnych źródłach. Jej

podstawę stanowiły skoncentrowane, wyczerpywalne złoża surowcowe oraz kosztowne i wysoce scentralizowane technologie; występowało też niskie zróżnicowanie względnie niewielu rodzajów źródeł i metod. Cechy te charakteryzowały całą bazę energetyczną we wszystkich krajach drugiej fali w epoce przemysłowej.

Wziąwszy to pod uwagę, po przyjrzeniu się rozmaitym projektom i propozycjom zrodzonym w wyniku kryzysu paliwowego - możemy od razu powiedzieć, które projekty stanowią proste przedłużenie starego systemu, a które są zwiastunami czegoś zupełnie nowego. Zasadnicze pytanie będzie teraz dotyczyć nie tego, czy cena ropy powinna wynosić 40 dolarów za baryłkę, ani czy kolejny reaktor atomowy należy zbudować w Seabrooku, czy też w Grohnde. Poważniejszą kwestią będzie to, czy jakakolwiek baza energetyczna społeczeństwa przemysłowego oparta na założeniach drugiej fali może w ogóle przetrwać. Tak postawione pytanie doprowadzi nas do jednoznacznej odpowiedzi.

Przez ostatnie pół wieku źródłem co najmniej dwóch trzecich całej wykorzystywanej energii była ropa naftowa i gaz ziemny. Większość ludzi wypowiedających się w tej sprawie - od najbardziej fanatycznych zwolenników oszczędzania energii po zdebronizowanego szacha Iranu, od fanatyków energii słonecznej po szejków saudyjskich oraz ekspertów rządowych wielu krajów - zgadza się, że nasze uzależnienie od paliw kopalnych nie może trwać w nieskończoność i to niezależnie od tego, ile pól naftowych uda się nam jeszcze odkryć.

Dane statystyczne są tu rozbieżne. Toczą się ożywione spory co do tego, ile czasu jeszcze zostało, nim nadejdzie ostateczny krach. Przewidywanie przyszłości to bardzo skomplikowana sprawa i z wielu wcześniejszych prognoz dziś się śmiejemy. Ale jedno nie budzi wątpliwości: gazu ani ropy nikt nie pompuje z powrotem do ziemi, aby ponownie wzbogacać zasoby.

Niezależnie od tego, czy koniec nadejdzie w postaci gwałtownej eksplozji, czy - co wydaje się bardziej prawdopodobne - w postaci dotkliwych destabilizujących niedoborów następujących na zmianę z chwilowym nasyceniem i potem jeszcze większymi brakami, jest ewidentne, że epoka ropy naftowej zaczęła dogorywać. Wiedzą o tym w Iranie, wiedzą w Kuwejcie, w Nigerii i Wenezueli. A także w Arabii Saudyjskiej, gdzie właśnie dlatego pospiesznie tworzy się nową gospodarkę, która byłaby oparta na czymś innym niż dochody ze złóż ropy. Wiedzą o tym również kompanie naftowe i właśnie dlatego starają się lokować swoje zainteresowania gdzie indziej. (Niedawno pewien prezydent kompanii naftowej, z którym spotkałem się w Tokio na kolacji, powiedział, że jego zdaniem giganty naftowe pójdą w ślad za kolejami i staną się - podobnie jak one - przemysłowymi dinozaurami. Jeszcze bardziej szokująca była zapowiedź, że nastąpi to już w ciągu najbliższych lat, nawet nie

dziesięcioleci.)

Roztrząsanie kwestii fizycznego wyczerpywania się złóż nie jest zresztą konieczne. We współczesnym bowiem świecie cena ropy ma dużo bardziej bezpośrednie i istotniejsze znaczenie niż jej zapasy w sensie fizycznym. Ale i z tego punktu widzenia fakty prowadzą do takich samych wniosków.

W rezultacie niezwykłych odkryć technologicznych albo wskutek skoków koniunktury gospodarczej, za kilkadziesiąt lat świat może znów obfitować w tanią energię. Ale cokolwiek się zdarzy, w miarę, jak będziemy musieli czerpać ropę z coraz większych głębokości, poszukiwać jej w coraz odleglejszych rejonach, a konkurować o nią będzie coraz większa liczba nabywców, względna cena ropy będzie zapewne bezustannie piąć się w górę. Pomijając OPEC, w ciągu ostatnich 5 lat nastąpił historyczny przełom: otóż pomimo kolosalnych odkryć, na przykład w Meksyku, pomimo zawrotnie rosnących cen, faktyczna ilość sprawdzonych, nadających się do eksploatacji zasobów ropy naftowej skurczyła się, a nie powiększyła - odwracając tym samym trend, który poprzednio trwał całe dziesięciolecie. Jest to jeszcze jeden dowód, że era "nałogu benzynowego" dobiega kresu.

Tymczasem węgiel, z którego wytwarza się większość pozostałej jednej trzeciej energii światowej, na razie mamy pod dostatkiem, choć i te zasoby kiedyś się w końcu wyczerpią. Jednakże wszelkie poważniejsze zwiększenie zużycia węgla pociąga za sobą większe zanieczyszczenie powietrza, co może narazić na szwank nasz klimat (przez zwiększenie ilości dwutlenku węgla w atmosferze), a także samą ziemię. Gdybyśmy nawet uznali to wszystko za ryzyko konieczne do podjęcia przez najbliższe kilkadziesiąt lat, to i tak nie wepchniemy węgla do baku samochodu ani nie wykorzystamy go do żadnych innych celów, do jakich obecnie służy ropa i gaz. Zakłady do przeróbki węgla na paliwo gazowe lub ciekłe wymagają niesamowitych ilości pieniędzy i wody (potrzebnej zresztą rolnictwu), a na dodatek procesy te są tak mało wydajne i kosztowne, że trzeba je również uznać za zdecydowanie doraźne półśrodki prowadzące w niewłaściwym kierunku.

Jeszcze poważniejsze problemy rodzi na obecnym etapie swego rozwoju technologia nuklearna. Najczęściej stosowane reaktory opierają się na uranie, którego zapasy też są wyczerpywalne, a usuwanie potencjalnych zagrożeń jest szalenie kosztowne, jeżeli w ogóle kiedykolwiek zdołamy je całkowicie wyeliminować. Nikomu nie udało się dotąd skutecznie rozwiązać kwestii odpadów jądrowych, koszty zaś energii atomowej są tak wysokie, że do chwili obecnej tylko dzięki subwencjom rządowym może ona jako tako konkurować z innymi rodzajami energii.

Reaktory powielające mają wyjątkowy charakter, ale i one - choć często laikom mówi się,

że działają na zasadzie perpetuum mobile, ponieważ pluton, który z siebie wyrzucają, można stosować jako paliwo - są ostatecznie uzależnione od niewielkich i nieodnawialnych światowych zasobów uranu. Ta technologia nie tylko jest wysoce scentralizowana, potwornie droga, nieuszczelna i niebezpieczna, ale w dodatku zwiększa ryzyko wojny atomowej, jak również ryzyko przechwycenia materiałów jądrowych przez terrorystów.

Z tego wszystkiego nie wynika jednak, że cofniemy się do średniowiecza lub że dalszy rozwój gospodarczy jest niemożliwy. Wynika z tego natomiast, że osiągnęliśmy kres pewnej drogi rozwoju i musimy zacząć teraz coś innego. Oznacza to, że bazy energetycznej drugiej fali nie da się już dłużej utrzymać.

W rzeczywistości istnieje również inny, jeszcze bardziej istotny powód, dla którego świat musi stworzyć - i stworzy - całkowicie nową bazę energetyczną. W każdej bowiem gospodarce - zarówno wiejskiej, jak i przemysłowej - baza energetyczna musi być dostosowana do poziomu technologicznego społeczeństwa, do charakteru produkcji, zasięgu rynków i rozmiarów populacji oraz do wielu innych czynników.

Powstanie bazy energetycznej drugiej fali było związane z przejściem społeczeństwa do kompletnie nowego etapu rozwoju technologicznego. I chociaż paliwa kopalne przyspieszyły postęp techniczny, to przecież proces ten działał również w drugą stronę. Wynalezienie w epoce przemysłowej energochłonnych i potężnych technologii zwiększyło tempo coraz intensywniejszej eksploatacji tych właśnie paliw kopalnych. Na przykład, rozwój przemysłu motoryzacyjnego spowodował tak gwałtowny wzrost przemysłu naftowego, że stał się on w pewnym momencie całkowicie uzależniony od centrum produkcji samochodów w Detroit. Jak powiedział Donald E. Carr, poprzedni dyrektor do spraw badawczych jednego z koncernów naftowych i autor pracy *Energy and the Earth Machine* (Energia i maszyna ziemna), przemysł naftowy stał się "niewolnikiem silnika spalinowego".

Dziś znów znaleźliśmy się u progu historycznego skoku technologicznego; nowy, właśnie tworzący się system produkcji będzie wymagał radykalnego przebudowania struktury całego "biznesu energetycznego" - nawet jeżeliby OPEC nagle zwinęła swój kram i po cichutku wycofała się ze sceny.

Wbrew bowiem powszechnemu przekonaniu, w kwestii energetycznej nie chodzi tylko o ilość, ale również o strukturę produkcji. Potrzebujemy nie tylko określonej ilości energii, ale potrzebujemy jej w coraz to innych postaciach, w różnych (i zmieniających się) miejscach, o różnych porach dnia, nocy i roku, a także w celach, których nawet nie możemy sobie wyobrazić.

Z tego właśnie powodu, a nie tylko ze względu na prowadzoną przez OPEC politykę cen,

świat musi szukać alternatyw, które zastąpią stary system energetyczny. Poszukiwania w tym kierunku nabrały przyspieszenia, pochłaniają też one olbrzymie zasoby pieniędzy i ludzkiej wyobraźni. W rezultacie możemy przyjrzeć się z bliska wielu nieoczekiwanym możliwościom. Mimo że zmianie bazy energetycznej będą z pewnością towarzyszyć wstrząsy natury ekonomicznej i innej, sprawa ta ma również pewien pozytywny aspekt. Nigdy mianowicie w dziejach aż tylu ludzi nie włączyło się z takim zapalem w poszukiwania energii i nigdy przed ludzkością nie otwarło się aż tyle nowych i fascynujących perspektyw.

Na obecnym etapie absolutnie nie można przewidzieć, jakie pomysły technologiczne - i do jakich celów - okażą się w przyszłości użyteczne. Na pewno jednak ogromnie zwiększy się różnorodność urządzeń i paliw, a w miarę wzrastania cen ropy zaczniemy wypróbowywać na skalę komercyjną coraz to bardziej egzotyczne pomysły.

Znajdują się wśród nich między innymi baterie słoneczne, które przetwarzają promienie słoneczne na elektryczność (nad technologią tą pracuje obecnie wiele firm, na przykład Texas Instruments, Solarex, Energy Conversion Devices i in.); w ZSRR powstał projekt umieszczenia w górnych warstwach troposfery balonów z wiatrakami; elektryczność spływałaby z nich przewodami prosto na ziemię. Miasto Nowy Jork zawarło umowę z prywatną firmą, która ma uzyskiwać paliwo dla celów municypalnych ze spalania śmieci; na Filipinach zaś powstają elektrownie, które będą wytwarzać prąd z odpadów kokosowych. Włochy, Islandia i Nowa Zelandia już wytwarzają prąd wykorzystując energię geotermiczną, czyli ciepło samej Ziemi. Tymczasem w Japonii, u brzegów wyspy Honsiu, pływa 500-tonowa platforma do przetwarzania energii fal morskich. Na całym świecie na dachach instaluje się urządzenia do ogrzewania mieszkań energią słoneczną. Kompania Edison w południowej Kalifornii pracuje obecnie nad "wieżą mocy" - za pomocą sterowanych przez komputer lusterek promienie słoneczne ogniskuje się na kotle parowym o kształcie wieży, a otrzymaną elektryczność przeznacza się dla okolicznych odbiorców. Po Stuttgarcie w RFN jeździ autobus napędzany wodorem, zbudowany przez firmę Daimler-Benz, a inżynierowie z zakładów Lockheeda w Kalifornii pracują nad wyposażonym w silnik wodorowy samolotem. Badania prowadzi się w tak wielu kierunkach, że nie sposób nawet ich wszystkich pokrótce wyliczyć.

Jeśli połączymy nowe technologie wytwarzania energii z nowymi sposobami jej przechowywania i przekazywania, stajemy wobec jeszcze większych możliwości. General Motors obwieścił wynalezienie nowej, wydajniejszej baterii do samochodu o napędzie elektrycznym. Konstruktorzy z NASA zbudowali nowy akumulator "Redox" - tańszy o dwie trzecie od konwencjonalnej baterii ołowiowej. Z myślą o dalszej przyszłości prowadzone są

badania nadprzewodnictwa, a nawet - wychodząc poza granice "szacownej" nauki - badania nad falami Tesla, które przekazują energię z minimalnymi stratami.

Chociaż większość tych technologii znajduje się wciąż we wstępnych stadiach rozwoju i na pewno wiele z nich będzie zupełnie nieużytecznych, to niektóre już w tej chwili nadają się do zastosowania w praktyce albo będą się nadawać za 10-20 lat. Istotne znaczenie ma tu lekceważony na ogół fakt, iż wielkie przełomy nie następują wskutek jakiegoś pojedynczego wynalazku, lecz w efekcie odkrywczego zestawienia lub połączenia wielu nowych technologii. Może więc będziemy stosować fotowoltaiczne baterie słoneczne do produkcji elektryczności, którą z kolei użyje się do uwalniania wodoru z wody, tak by można go było stosować jako paliwo samochodowe. Dziś jeszcze znajdujemy się na etapie przygotowań do startu. Z chwilą gdy zaczniemy łączyć te wszystkie nowe technologie, nastąpi szalony skok naprzód, a wówczas niesłychanie przyspieszymy budowę bazy energetycznej trzeciej fali.

Będzie ona zdecydowanie różnić się od bazy z epoki drugiej fali. Większość energii będzie pochodzić z odnawialnych, nie zaś z wyczerpywalnych, źródeł. Uniezależnimy się od scentralizowanej lokalizacji paliw i będziemy się opierać przede wszystkim na różnorodnych i rozmieszczonych w różnych miejscach zasobach. Miast polegać wyłącznie na sztywnych i scentralizowanych technologiach, nowa baza będzie się opierać raczej na kombinacji scentralizowanych i zdecentralizowanych sposobów wytwarzania energii. Jej niebezpieczne uzależnienie od garstki metod i zasobów zostanie zastąpione przez znacznie większe zróżnicowanie form. Właśnie ta różnorodność przyczyni się do zmniejszenia ilości szkodliwych odpadów, ponieważ pozwoli na dopasowywanie rodzaju i jakości produkowanej energii do coraz bardziej zróżnicowanych potrzeb.

Krótko mówiąc, wyłaniają się przed nami po raz pierwszy zarysy takiej bazy energetycznej, która będzie funkcjonować na zasadach niemal diametralnie odmiennych od reguł, jakie obowiązywały przez ostatnie 300 lat. Jest również oczywiste, że w procesie tworzenia bazy energetycznej trzeciej fali nie obejdzie się bez zaciekłych konfliktów.

W wojnie idei i pieniędzy, jaka już rozszalała się we wszystkich krajach wysoko rozwiniętych, wyróżnić można nie dwie, lecz trzy antagonistyczne strony. Przede wszystkim są tam akcjonariusze starej bazy energetycznej drugiej fali. Obstają oni przy konwencjonalnych zasobach i technologiach - przy węglu, ropie i energii jądrowej w ich różnych kombinacjach i postaciach. Im zależy na przedłużeniu status quo drugiej fali. A ponieważ oni właśnie rządzą kompaniami naftowymi, gazowniami i elektrowniami, komisjami nuklearnymi, korporacjami górniczymi i działającymi w tych dziedzinach związkami zawodowymi, siły drugiej fali wydają się im niepodważalne.

W odróżnieniu od nich, orędownicy tworzenia bazy trzeciej fali - a więc przedstawiciele ruchu na rzecz ochrony środowiska, konsumenci, naukowcy oraz przedsiębiorcy reprezentujący najnowocześniejsze gałęzie przemysłu, pospołu z innymi sprzymierzeńcami wszelkiej maści - są rozproszeni, niedofinansowani i często nieudolni pod względem politycznym. Propagandyści drugiej fali zazwyczaj przedstawiają ich jako otumanionych technicznymi nowinkami nie z tej ziemi naiwniaków, których nie obchodzi prawdziwa wartość dolara.

Co gorsza, rzeczników trzeciej fali łatwo pomylić z głośną grupą ludzi opowiadających się za - nazwijmy to - siłami pierwszej fali; ludzi, którzy domagają się nie tylko postępu w kierunku nowego, inteligentniejszego, możliwego do utrzymania i opartego na naukowych podstawach systemu energetycznego, lecz apelują o powrót do przedprzemysłowej przeszłości. Ich najskrajniejsze żądania mają na celu doprowadzenie do zaniku większości osiągnięć technologicznych, wstrzymania mobilności społecznej, skurczenia i śmierci miast. W imię konserwacji rzekomych zasobów planety - chcieliby narzucić światu kulturę ascezy.

Rzecznicy drugiej fali, publicyści i politycy, utożsamiając te dwie grupy, pogłębiają dezorientację społeczeństwa i spychają siły trzeciej fali do defensywy.

Tymczasem ani zwolennicy pierwszej, ani drugiej fali nie mogą ostatecznie zwyciężyć. Pierwsi bujają w obłokach, drudzy natomiast próbują ocalić bazę energetyczną, której problemy nie tylko rosną, ale są wręcz nie do przewyciężenia.

Bezlitośnie rosnące koszty paliw zagrażają interesom drugiej fali. Zawrotna kapitałochłonność technologii wytwarzania energii drugiej fali także działa przeciwko tym interesom. Fakt, że metody drugiej fali często wymagają ogromnych nakładów energii w celu dodatkowego uzyskania względnie małego wzrostu energii "na czysto", też nie sprzyja tym interesom. Nie sprzyjają im również coraz poważniejsze problemy związane z zanieczyszczeniem środowiska, ryzyko zawarte w wykorzystywaniu energii jądrowej, a także gotowość tysięcy ludzi w wielu krajach do wychodzenia na ulicę mimo zakazów policji, żeby tylko zatrzymać budowę reaktorów atomowych, zlikwidować kopalnie odkrywkowe albo zamknąć gigantyczne elektrownie czy gazownie. Przeciwko interesom drugiej fali działa także gwałtownie rosnący apetyt krajów nieuprzemysłowionych na posiadanie własnej energii i ich niepohamowana chęć zwiększania wpływów za dostępne u nich kopaliny.

Słowem, mimo że reaktory atomowe czy fabryki do gazyfikacji lub upłynnienia węgla oraz inne tym podobne technologie mogą się wydawać nowoczesne i przyszłościowe, a więc postępowe - to w rzeczywistości są one przestarzałymi wytworami drugiej fali, która utkwiała w potrzasku własnych nierozwiązywalnych sprzeczności. Niektóre z tych pomysłów mogą

być niezbędne jako środki tymczasowe, ale zasadniczo wszystkie są zacofane. I podobnie - chociaż siły drugiej fali mogą się wydawać potężne, głosy krytyczne zaś zrodzone z trzeciej fali słabe - byłoby nierozsądnie stawiać na przeszłość. W istocie bowiem nie chodzi o to, czy baza energetyczna drugiej fali zostanie zlikwidowana i wyparta przez inną, lecz tylko o to, kiedy to nastąpi. Wszak z batalią o energię nierozzerwalnie wiąże się inne, nie mniej głębokie przeobrażenie, czyli kryzys technologii drugiej fali.

PRZEMYSŁY NA JUTRO

Klasyczne gałęzie przemysłu drugiej fali związane były z węglem, kolejami, włókiennictwem, motoryzacją, gumą oraz produkcją maszyn. Opierając się na zasadniczo prostych zasadach elektromechaniki, zużywały one bardzo dużo energii, wypluwały potworne ilości odpadów i zanieczyszczeń oraz charakteryzowały się długimi seriami produkcyjnymi, niskimi wymaganiami co do kwalifikacji robotników, monotonną, jednostajną pracą, standardowymi produktami i wysoce scentralizowanym nadzorem.

Od połowy lat pięćdziesiątych stawało się oczywiste, że te gałęzie przemysłu są zacofane i zaczynają zanikać w krajach przemysłowych. W USA na przykład, gdzie między 1965 i 1974 rokiem liczba wszystkich zatrudnionych wzrosła o 21 procent, zatrudnienie w przemyśle włókienniczym wzrosło tylko o 6 procent, a w przemyśle żelaza i stali - spadło o 10 procent. Podobne zjawiska wystąpiły w Szwecji, Czechosłowacji, Japonii i w innych krajach drugiej fali.

Jednocześnie zaczęto przenosić te staroświeckie gałęzie przemysłu do tzw. "krajów rozwijających się", gdzie w parze z niskim poziomem rozwoju technologicznego szła tańsza siła robocza. W rezultacie społeczne znaczenie tych dziedzin także malało, a ich miejsce zajmowało wiele nowych, dynamicznych gałęzi przemysłu.

Różnią się one pod wieloma względami od poprzednich. Nie opierają się mianowicie w tak znacznym stopniu na elektromechanice ani na klasycznej nauce z epoki drugiej fali. Wyrosły z przełomowych odkryć w dyscyplinach naukowych, które zrodziły się zaledwie 25 lat temu albo i później, jak na przykład elektronika kwantowa, teoria informacji, biologia molekularna, oceanika, nukleonika, ekologia oraz nauki związane z kosmosem. Te nowe dyscypliny nauki pozwoliły wykroczyć poza uchwytne wymiary czasu i przestrzeni, do jakich był ograniczony przemysł drugiej fali; umożliwiły manipulowanie, jak to określił radziecki fizyk B. G. Kuzniecowa, "bardzo małymi obszarami przestrzeni (o promieniu, powiedzmy, jądra atomu, czyli 10^{-13} cm) i odcinkami czasu rzędu 10^{-23} sekundy".

To właśnie dzięki tym nowym naukom oraz radykalnie udoskonalonym zdolnościom

manipulacyjnym człowieka powstały nowe gałęzie przemysłu - komputery i przetwarzanie danych, pojazdy kosmiczne, supernowoczesna petrochemia, półprzewodniki, nowoczesne środki komunikowania i mnóstwo innych.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie najwcześniej, bo już w połowie lat pięćdziesiątych, zaczęto przechodzić od technologii drugiej fali do technologii trzeciej fali, także tradycyjne regiony przemysłowe, jak Dolina Merrimack w Nowej Anglii, zaczęły powoli tracić swój dawny status i podupadać; tymczasem na czoło wysunęła się np. podbostońska Route 128 i "Dolina Silikonowa" w Kalifornii. Podmiejskie dzielnice willowe w tych stronach zaludnili specjaliści z dziedziny fizyki ciała stałego, inżynierii systemów, sztucznej inteligencji i chemii polimerowej.

W ślad za przeobrażeniami w technologii szły zmiany struktury zawodowej i zamożności, toteż stany położone w tzw. "pasie słonecznym", zasilane przez olbrzymie kontrakty zbrojeniowe, stworzyły nowoczesną bazę technologiczną, natomiast starsze, północno-wschodnie regiony przemysłowe i ośrodki wokół Wielkich Jezior znalazły się na poziomie bliskim bankructwu. Długotrwały kryzys finansowy miasta Nowy Jork był właśnie jaskrawym odzwierciedleniem tego przewrotu technologicznego. Podobne podłoże miała też stagnacja francuskiego centrum hutnictwa stali w Lotaryngii. W innej sferze było to również powodem fiaska socjologów w Wielkiej Brytanii. Pod koniec II wojny światowej rząd labourzystowski zapowiadał mianowicie przejęcie przez państwo "węzłowych gałęzi przemysłu", co też następnie wcielił w życie. Ale węzłowymi gałęziami, które zostały znacjonalizowane, okazały się węgiel, koleje i stal, czyli akurat te działy przemysłu, które w wyniku rewolucji technologicznej zostały w tyle - a więc niejako "węzłowe gałęzie przemysłu" dnia wczorajszego.

Regiony i sektory gospodarki oparte na przemyśle trzeciej fali rozkwitły; inne, oparte na przemysłach drugiej fali, obumarły. Jednakże przemiany te dopiero się zaczęły. Obecnie rządy wielu krajów świadomie starają się przyspieszyć tę zmianę strukturalną, zabiegając równocześnie o zminimalizowanie związanych z nią dolegliwości. Japońscy ekonomiści w Ministerstwie Handlu Zagranicznego i Przemysłu studiują nowe technologie, które przyspieszyłyby rozwój najbardziej nowoczesnych usług. Zachodniemiecki kanclerz Helmut Schmidt i jego doradcy mówią o *Strukturpolitik* i oczekują, że Europejski Bank Inwestycyjny ułatwi im odejście od tradycyjnych gałęzi przemysłu nastawionych na produkcję masową.

Obecnie cztery spokrewnione ze sobą gałęzie przemysłu mają olbrzymie perspektywy rozwoju; one pewnie staną się stosem pacierzowym całego przemysłu trzeciej fali, pociągając

za sobą kolejne zmiany potęgi gospodarczej oraz kierunków rozwoju społecznego i politycznego poszczególnych krajów.

Pierwszą grupę tworzą oczywiście elektronika i komputery. Przemysł elektroniczny względnie niedawno wszedł na arenę światową, a już obecnie wartość jego sprzedaży rynkowej wynosi 100 miliardów dolarów rocznie. Pod koniec lat osiemdziesiątych kwota ta wzrośnie do 325 lub nawet 400 miliardów dolarów. Tym samym stanie się czwartym - po stali, samochodach i artykułach chemicznych - największym przemysłem na świecie. Wiadomo, że komputery rozpowszechniły się w niesamowitym tempie, nie ma więc potrzeby dłużej się nad tym rozwodzić. Koszty ich produkcji drastycznie zmalały, a możliwości operacyjne wzrosły tak znacznie, że - czytamy w "Computerworld" - "gdyby w przemyśle samochodowym nastąpiło to samo, co w przemyśle komputerowym w ciągu ostatnich 30 lat, wówczas Rolls-Royce kosztowałby dwa i pół dolara, a na 2 miliony mil przejechanych zużywałby tylko jeden galon benzyny".

Tanie minikomputery wkroczą niebawem do każdego domu amerykańskiego. W czerwcu 1979 roku już blisko 100 kompanii produkowało komputery na użytek domowy; należały do nich między innymi takie giganty, jak Texas Instruments, a filie domów towarowych Sears i Montgomery Ward nosiły się już wówczas z zamiarem sprzedawania komputerów w działach gospodarstwa domowego. "W niedługim czasie - optymistycznie przewiduje właściciel sklepu z mikrokomputerami w Dallas - komputer znajdzie się w każdym domu. Będzie taką samą częścią standardowego wyposażenia jak wc."

Komputery te, podłączone do banków, sklepów, urzędów państwowych, do mieszkań sąsiadów oraz do miejsc pracy - przeobrażą nie tylko życie gospodarcze z produkcją i handlem detalicznym włącznie, ale także sam charakter pracy, a nawet strukturę życia rodzinnego.

Również gwałtownie rozwinął się przemysł elektroniczny, nierozzerwalnie sprzężony z przemysłem komputerowym; rynek został zalany przez ręczne kalkulatory, zegarki diodowe oraz gry telewizyjne. Nie oddają one zresztą bezmiaru możliwości w tej dziedzinie, obejmującej m.in. poręczne i tanie czujniki klimatyczne i glebowe dla rolnictwa, nieprzeliczone urządzenia medyczne do rejestrowania pracy serca lub intensywności stresów u pacjenta, które można wmontować w zwyczajne ubranie, ani wielu innych zastosowań elektroniki, jakie w każdej chwili mogą się urzeczywistnić.

Kryzys energetyczny także wpłynie na przyspieszenie rozwoju przemysłów trzeciej fali, ponieważ nowe procesy i produkty wymagają znacznie mniejszych ilości energii. I tak na przykład system telefoniczny drugiej fali zmuszał do instalowania pod powierzchnią miast

istnych kopalń miedzi - ciągnących się kilometrami węzowisk kabli, przewodów, przekaźników i wyłączników. Obecnie jesteśmy o krok od przestawienia się na system kabli światłowodowych, w którym do przekazywania informacji służą przewodzące światło włókna o grubości włosa. Efekty energetyczne związane z przejściem na ten system są zupełnie oszałamiające; do wyprodukowania światłowodu potrzeba mianowicie mniej więcej jedną tysięczną tej energii, jaką poprzednio zużywano na wydobycie rudy, wytopienie z niej metalu i wykonanie z niego drutu miedzianego o odpowiedniej długości. Jedna tona węgla, potrzebna do wyprodukowania 90 mil drutu miedzianego, wystarczy na wyprodukowanie kabla światłowodowego o długości 80 tysięcy mil!

W tym samym kierunku prowadzi zastosowanie fizyki ciała stałego w elektronice, powstają bowiem nowe komponenty, które wymagają coraz to mniejszego zużycia energii. W koncernie IBM prowadzącym badania w dziedzinie technologii LSI, czyli "układów o dużej skali integracji", wprowadzono ostatnio takie materiały, do których aktywacji potrzeba zaledwie 50 mikrowatów.

Ta cecha rewolucji elektronicznej prowadzi do wniosku, że jedną z najlepszych strategii oszczędzania energii w cierpiących na jej niedobór krajach wysoko uprzemysłowionych byłoby szybkie zastąpienie bardzo energochłonnych przemysłów drugiej fali przez przemysły trzeciej fali o niskiej energochłonności.

Ogólnie rzecz biorąc, ma rację czasopismo "Science", stwierdzając, że wskutek eksplozji elektronicznej "może się znacznie zmienić cała działalność gospodarcza kraju. Rzeczywiście prawdopodobnie prześcignie fantazję w szybkości wprowadzenia nowych i często zupełnie niespodziewanych zastosowań elektroniki."

A przecież eksplozja elektroniczna stanowi zaledwie jeden krok w kierunku całkowicie nowej technosfery.

BLIŻEJ KOSMOSU

To samo odnosi się do podboju kosmosu i eksploracji oceanów; postęp dokonany bowiem w tych dziedzinach jeszcze dalej wykroczył poza klasyczne technologie drugiej fali.

Przemysł kosmiczny to drugi sektor tworzącej się właśnie technosfery. Pomimo pewnych opóźnień, pięć wahadłowców kosmicznych wkrótce podejmie cotygodniowe regularne rejsy transportowe i pasażerskie z Ziemi w kosmos i z powrotem. Na ogół jeszcze nie docenia się konsekwencji tego faktu, ale wiele kompanii w USA i w Europie uważa, że na "kosmicznych kresach" zacznie się kolejna rewolucja w zakresie supernowoczesnej technologii, do której już teraz należy odpowiednio się przygotowywać.

Firmy Grumman i Boeing pracują nad satelitami i platformami kosmicznymi do wytwarzania energii. Jak pisze "Business Week" - "dopiero teraz dociera do przedstawicieli niektórych przemysłów to, jakie znaczenie mogą mieć dla nich urządzenia orbitalne; mowa tu o wytwórcach, którzy produkują lub stosują w produkcji najróżniejsze materiały - od półprzewodników po lekarstwa (...) Nowoczesne materiały wymagają niekiedy delikatnego i bardzo swoistego obchodzenia się, przeszkodę na przykład może stanowić przyciąganie ziemskie (...) W przestrzeni kosmicznej nie ma grawitacji, nie potrzeba żadnych pojemników, nie ma problemu ze stosowaniem trucizn czy chemicznie czynnych substancji. Istnieje tam nieograniczenie duża próżnia oraz - w zależności od potrzeb - superwysokie albo superniskie temperatury."

W rezultacie o "produkcji w kosmosie" dużo się mówi wśród naukowców, inżynierów i technologów. McDonnell Douglas proponuje kompaniom farmaceutycznym zainstalowanie na promie kosmicznym urządzenia do pozyskiwania z komórek ludzkich rzadkich enzymów. Przemysł szklany poszukuje sposobów produkowania w kosmosie materiałów do laserów i światłowodów. W porównaniu z wyprodukowanymi w kosmosie, półprzewodniki monokryształowe zrobione w warunkach ziemskich wydają się prymitywne. Jedna dawka przeciwzakrzepowej urokinazy stosowanej przy niektórych chorobach krwi kosztuje obecnie 2500 dolarów; natomiast - jak twierdzi szef NASA do spraw industrializacji kosmosu, Jesco von Puttkamer - w warunkach pozaziemskich produkcja urokinazy mogłaby kosztować pięć razy taniej.

Co ważniejsze, istnieją zupełnie nowe produkty, których po prostu za żadną cenę nie sposób wytworzyć na Ziemi. Koncern TRW, specjalizujący się w sprzęcie kosmicznym i elektronice, sporządził listę 400 różnych stopów, niewykonalnych w warunkach przyciągania ziemskiego. General Electric pracuje już nad projektem kosmicznego pieca hutniczego. Zachodnioniemieckie firmy Daimler-Benz i M. A. N. są zainteresowane produkcją łożysk kulkowych w kosmosie, a równocześnie Europejska Agencja Kosmiczna oraz niektóre kompanie w rodzaju British Aircraft Corporation pracują nad projektami specjalnych urządzeń i materiałów, dzięki którym można by było wykorzystywać kosmos w celach praktycznych. "Business Week" zapewnia, że "takie perspektywy nie należą bynajmniej do science fiction i że coraz więcej kompanii traktuje je bardzo poważnie".

Równą powagę i jeszcze większy zapał wykazują zwolennicy wysuniętego przez doktora Gerarda O'Neilla planu budowy kosmicznych miast. O'Neill, fizyk z Princeton, niezmordowanie głosi możliwości zakładania wielotysięcznych aglomeracji na platformach czy "wyspach" okołoziemskich; jego pomysły spotykały się z entuzjastycznym poparciem ze

strony NASA, a także gubernatora Kalifornii (gospodarka tego stanu jest w poważnym stopniu związana z kosmosem) oraz - co ciekawsze - ze strony ugrupowania byłych hippisów, którym przewodzi Stewart Brand, twórca Ogólnoziemskiego Katalogu będącego swego rodzaju inwentarzem wymagających ochrony zasobów naszej planety.

O'Neill mówi o zbudowaniu w kosmosie miasta - od początku do końca - z materiałów wydobytych na Księżycu albo gdziekolwiek indziej w przestrzeni pozaziemskiej. Jego kolega, Brian O'Leary, sprawdza tymczasem możliwości pozyskiwania kopalin z asteroidów Apollo i Amor. W Princeton zbierają się regularnie eksperci z NASA, General Electric, amerykańskich agencji rządowych do spraw energii oraz innych zainteresowanych stron i wymieniają opracowane przez siebie dokumentacje techniczne na temat chemicznego przerobu różnych minerałów pochodzących z Księżycy i z innych ciał niebieskich oraz projekty i założenia konstrukcyjne siedlisk kosmicznych i zamkniętych systemów ekologicznych.

Połączenie nowoczesnej elektroniki z programem kosmicznym, wykraczającym daleko poza ziemskie możliwości produkcyjne, przenosi naszą technosferę w nową fazę, w której będziemy mogli zerwać z ograniczeniami narzuconymi przez warunki drugiej fali.

PODOBÓJ GŁĘBI MORSKICH

Przypominająca podbój kosmosu eksploracja głębi morskich zrodziła kolejną grupę przemysłów składających się w znacznej mierze na powstającą właśnie technosferę. Pierwsza historyczna fala przeobrażeń społecznych na Ziemi zaczęła się wówczas, gdy nasi przodkowie, porzuciwszy zbieractwo i łowiectwo, zaczęli oswajać i hodować zwierzęta oraz uprawiać rolę. Zaczynamy dokonywać czegoś podobnego w stosunku do mórz.

Głodny świat dzięki oceanom mógłby rozwiązać bolesne problemy żywnościowe. Odpowiednia "uprawa" mórz i gospodarka morska stwarza praktyczną szansę zapewnienia nieprzebranych zasobów białka, którego braki są w świecie tak dotkliwie. Obecne rybołówstwo na skalę komercyjną, które jest przecież w poważnym stopniu uprzemysłowione - wszak po morzach krążą japońskie i radzieckie statki-przetwórnice - grozi totalnym unicestwieniem wielu form życia morskiego. Tymczasem dobrze prowadzona "akwakultura" - czyli hodowla i racjonalne połowy ryb, jak również wykorzystywanie roślinności morskiej - mogłaby znacznie zahamować światowy kryzys żywnościowy bez narażania na szwank delikatnej biosfery, od której w końcu zależy życie nas wszystkich.

Pęd do wierceń przybrzeżnych przesłonił możliwości "hodowania ropy naftowej" w morzach. Dr Lawrence Raymond z Battelle Memorial Institute wykazał, że można wyhodować glony o wysokiej zawartości ropy naftowej; prowadzi się nawet prace

zmierzające do zwiększenia opłacalności tej metody.

Oceany są również nieprzebranym źródłem minerałów - od miedzi, cynku i cyny począwszy, po srebro, złoto, platynę, a nawet - co ważniejsze - rudy fosfatu, potrzebne do produkcji nawozów dla rolnictwa na lądzie. Kompanie górnicze mają na oku ciepłe wody Morza Czerwonego, zasobnego w cynk, srebro, miedź, ołów i złoto; wartość tych minerałów szacuje się na 3,4 miliarda dolarów. Blisko sto kompanii, z największymi na świecie włącznie, przygotowuje się obecnie do wydobywania z dna morskiego manganu, który występuje tam w postaci grudek o kształcie kartofli. (Grudki te mają charakter odnawialny i tworzą się z szybkością 6-10 milionów ton rocznie w jednym tylko dobrze poznanym paśmie po południowej stronie Hawajów.)

Obecnie do "górnictwa oceanicznego" przygotowują się cztery autentycznie międzynarodowe konsorcja; przewidują one realizację swych planów, zakrojonych na skalę multimiliardową, w połowie lat osiemdziesiątych. Jedno z tych konsorcjów obejmuje 23 firmy japońskie, grupę AMR z Niemiec Zachodnich oraz amerykańską filię kanadyjskiej kompanii International Nickel. Drugie konsorcjum obejmuje belgijską kompanię Union Miniere oraz amerykańską firmę Steel and Sun. W skład trzeciego wchodzi kanadyjska Noranda, japońska Mitsubishi, południowoamerykańska Rio Tinto Zinc oraz brytyjska kompania Consolidated Gold Fields. Ostatnie z czterech to konsorcjum łączące Lockheeda z grupą Royal Dutch and Shell. Według londyńskiego dziennika "Financial Times" przedsięwzięcia te prawdopodobnie "zrewolucjonizują wydobycie światowe niektórych minerałów".

Co więcej kompania farmaceutyczna Hoffmann-La Roche prowadzi na własną rękę eksplorację mórz pod kątem poszukiwania nowych specyfików w rodzaju na przykład substancji przeciwgrzybiczych i antybólowych oraz leków zwiększających krzepliwość krwi.

Może na naszych oczach wyrosną "akwawioski" i różne pływające fabryki, zbudowane - w rezultacie rozwoju tych technologii - częściowo lub całkowicie pod wodą. Darmowe tereny (przynajmniej na razie) oraz tania energia wytwarzana na miejscu (z wiatru, prądów termicznych lub pływów morskich) mogą sprawić, że konstrukcje tego typu będą korzystniejsze od lądowych.

Specjalistyczne czasopismo "Marine Policy" twierdzi, że "technologia oceanicznych platform pływających jest na tyle tania i prosta, że znajdzie się w zasięgu możliwości większości krajów świata oraz licznych kompanii i różnych grup przedsiębiorców prywatnych. W chwili obecnej wydaje się, że pierwsze pływające miasta zbudują przeludnione kraje przemysłowe, które w ten sposób zechcą złagodzić problemy

mieszkaniowe na lądzie (...) Korporacje wielonarodowe mogłyby je wykorzystywać jako ruchome terminale do prowadzenia działalności handlowej lub jako pływające kombinaty przemysłowe. Dla kompanii przemysłu spożywczego pływające miasta byłyby odpowiednim miejscem do działań w zakresie «upraw morskich» (...) Korporacje zainteresowane w uwolnieniu się od podatków, no i oczywiście ludzie szukający dla siebie nowego stylu życia, mogłyby budować pływające miasta i tworzyć tam nowe państwa. Państwa te z kolei mogłyby uzyskiwać formalny status dyplomatyczny (...) lub też byłyby wykorzystane przez mniejszości etniczne w celu uzyskania faktycznej niezależności i niepodległości."

Niesłuchanie szybki jest dziś postęp techniczny w dziedzinie budowy pływających szybów wiertniczych, często zakotwiczonych w jednym miejscu, ale i takich, które - wyposażone w śruby okrętowe, balast lub system kontroli pływalności - mogą zmieniać położenie na morzu; doświadczenia te być może posłużą do opracowania planów budowy przyszłych miast pływających oraz do rozwoju związanych z nimi nowych gałęzi przemysłu.

W ogóle mamy wiele praktycznych powodów, by wkroczyć na teren mórz - mówi ekonomista D.M. Leipziger - i sporo wielkich korporacji, "jak niegdyś farmerzy na dzikim Zachodzie oczekuje tylko na sygnał do startu, by palami wytyczyć dla siebie jak największe obszary dna oceanu". Wyjaśnia to również, dlaczego kraje nieuprzemysłowione zabiegają o ustawodawstwo gwarantujące, że zasoby i bogactwa oceanów byłyby wspólnym dziedzictwem całej ludzkości, a nie tylko własnością bogatych narodów.

Gdy spostrzeżemy, że te różnorodne zjawiska nie są od siebie oderwane, lecz są ze sobą związane i wzajemnie na siebie oddziałują, że każde osiągnięcie techniczne czy naukowe przyspiesza postęp w innych dziedzinach, to stanie się oczywiste, że nie mamy już do czynienia z tą samą technologią, na której opierała się druga fala. Droga, którą kroczymy, prowadzi do zupełnie nowego systemu energetycznego oraz do zupełnie nowej technologii.

LECZ NAWET PRZYTOCZONE TU PRZYKŁADY ZNACZĄ NIEWIELE W PORÓWNANIU Z PRAWDZIWĄ REWOLUCJĄ, JAKA ODBYWA SIĘ W LABORATORIACH BIOLOGII MOLEKULARNEJ. PRZEMYSŁ BIOLOGICZNY OBEJMUJE CZWARTĄ GRUPĘ NOWYCH DZIEDZIN, KTÓRE W GOSPODARCE JUTRA MOGĄ ODEGRAĆ NAJPOWAŻNIEJSZĄ ROLE.¹⁹

¹⁹ W *Szoku przyszłości*, gdzie wiele lat temu po raz pierwszy poruszyłem niektóre z tych problemów, wspominałem, że kiedyś możemy "z góry planować ludzki organizm", "hodować maszyny", chemicznie programować mózg, stosując klonowanie tworzyć identyczne kopie samych siebie oraz hodować całkiem nowe, groźne formy życia. Pytałem tam, kto zajmie się kontrolą badań w tych dziedzinach. Jakie będą zastosowania nowych odkryć? Czyż nie może się zdarzyć, że wymkną się spod naszej kontroli takie potworności, do których zupełnie nie jesteśmy przygotowani? Wielu czytelników uważało wówczas, że fantazuję i przesadzam. Było to wszelako przed rokiem 1973, a więc i przed odkryciem działania mechanizmu procesu rekombinacji DNA. Dzisiaj, wraz z niepokojąco zawrotnym tempem rewolucji biologicznej, te same pytania zadają grupy protestujących obywateli,

PRZEMYSŁ GENETYCZNY

Zauważając, że dzięki wyteżonej pracy genetyków mniej więcej co dwa lata podwaja się ilość informacji związanych z genetyką, czasopismo "New Scientist" doszło do wniosku, że "inżynieria genetyczna przechodzi obecnie przez zasadniczą fazę poszukiwania metod i tworzenia narzędzi; jest już niemal gotowa do wdrożeń". "Człowiek wytwarza dziś żywe materiały, z którymi może robić to samo, co z tworzywami i metalami" - zauważył wybitny publicysta naukowy, Ritchie Calder.

Wielkie przedsiębiorstwa już pracują zaciekle nad praktycznymi zastosowaniami nowej biologii. Marzy się im wprowadzenie do aut enzymów, żeby kontrolowały spaliny i przekazywały dane dotyczące szkodliwych substancji do mikroprocesora, który z kolei odpowiednio regulowałby pracę silnika. Mówi się też - jak to określił publicysta "New York Timesa" o "metalożernych mikrobach, które można zatrudnić do wydobywania metali występujących śladowo w wodach oceanów". Wielkie koncerny już uzyskały prawo do zgłaszania patentów na nowe formy życia. W tej konkurencji ścigają się między innymi takie kompanie, jak Eli Lilly, Hoffman-La Roche, S. D. Searle, Upjohn, Merck, nie mówiąc już o General Electric.

Wyścig ten spotyka się - i nie bez racji - z nerwową krytyką licznych obserwatorów, w tym wielu uczonych, którym przychodzi do głowy wizje już nie mórz zalanych ropą, ale inwazji mikrobów, roznoszących po świecie nieznanne choroby i dziesiątkujących całe narody. Tylko że hodowanie złowieszczych mikrobów i ich przypadkowa ucieczka z laboratorium, to zaledwie jeden z wielu powodów do alarmu. Trzeźwo myślący i szanowani uczeni snują przypuszczenia przekraczające wprost ludzką wyobraźnię...

No, bo na przykład, czy powinniśmy pracować nad wyhodowaniem człowieka z krowim żołądkiem, zdolnym do trawienia trawy i siana? Przecież, jeżeli udałoby się nam wykorzystywać niższe elementy łańcucha pokarmowego, moglibyśmy złagodzić problem żywnościowy. Czy powinniśmy biologicznie przystosowywać ludzi do wymagań różnych zawodów - tworząc, na przykład, pilotów o nadprzeciętnej szybkości reakcji lub robotników do obsługi linii montażowych, których system nerwowy byłby zaprogramowany do monotonnej pracy? Czy powinniśmy eliminować ludzi "poślednich" i starać się wyhodować "superrasę"? (Próbował tego Hitler, ale nie było wówczas broni genetycznej, którą wkrótce mogą udostępnić współczesne laboratoria.) Czy powinniśmy zająć się hodowlą żołnierzy do prowadzenia za nas wojen? I czy powinniśmy stosować prognozy genetyczne do

eliminowania w zarodku "nieudanych" dzieci? Czy powinniśmy hodować zapasowe organy, tak żeby każdy z nas mógł sobie schować "na czarną godzinę", powiedzmy, zapasową nerkę, wątrobę albo płuca?

Pomysły te brzmią dość nieprawdopodobnie, a jednak wśród uczonych nie brak zwolenników (ani przeciwników) każdego z nich; każdy taki pomysł ma też szansę praktycznego zastosowania. Jeremy Rifkin i Ted Howard krytycznie ustosunkowani do inżynierii genetycznej, tak piszą w swej książce *Who Should Play God?* (Kto powinien grać rolę Pana Boga?): "Inżynieria genetyczna zostanie prawdopodobnie wprowadzona w USA na szeroką skalę mniej więcej tak samo, jak kiedyś wprowadzono linie montażowe, samochody, szczepionki, komputery i wszystkie inne osiągnięcia techniki. W miarę jak kolejne nowe pomysły i odkrycia genetyczne będą osiągać stadium praktycznej opłacalności (...) będzie się wykorzystywać nowe potrzeby konsumentów i tworzyć rynek zbytu dla nowych technologii." Nie sposób zliczyć potencjalnych możliwości w tej dziedzinie.

Nowa biologia mogłaby, na przykład, pomóc rozwiązać kwestię energii. Uczni pracują obecnie nad wykorzystaniem bakterii do przetwarzania światła słonecznego w energię elektrochemiczną. Mówią o "biologicznych ogniwach słonecznych". Czy udałoby się nam wyhodować takie formy życia, które zastąpiłyby elektrownie atomowe? A jeżeli tak, to czy winniśmy w miejsce groźby skażenia radioaktywnego ryzykować skażeniem bioaktywnym?

W dziedzinie zdrowia niewątpliwie znajdziemy lekarstwa na wiele dziś nieuleczalnych chorób lub nauczymy się im zapobiegać; mogą też pojawiać się nowe choroby - być może jeszcze straszniejsze - zrodzone przez ludzkie niedbalstwo, nieuwagę albo złą wolę. (Pomyślmy tylko, że jakaś żądna zysków kompania mogłaby potajemnie wymyślić i rozprzestrzenić nieznaną chorobę, będąc równocześnie jedynym producentem skutecznego na nią leku. Przecież nawet łagodna dolegliwość w rodzaju zwykłego przeziębienia wywołałaby masowy popyt na odpowiednie lekarstwo, zmonopolizowane przez jedną firmę.)

Prezydent kalifornijskiej kompanii Cetus, z którą współpracuje wielu genetyków światowej sławy, jest zdania, że w ciągu nadchodzących trzydziestu lat "znaczenie biologii wzrośnie tak bardzo, że zajmie ona miejsce chemii". Również w Moskwie został sformułowany oficjalny postulat, zalecający "szersze stosowanie mikroorganizmów w gospodarce radzieckiej".

Biologia ograniczy lub wyeliminuje użycie ropy naftowej w produkcji tworzyw sztucznych, nawozów, odzieży, barwników, środków owadobójczych i tysięcy innych artykułów. Biologia zmieni produkcję drewna, wełny i innych produktów "naturalnych". Kiedy zaczniemy przechodzić od manufaktury do "biofaktury", wielkie przedsiębiorstwa w

rodzaju US Steel, Fiat, Hitachi, ASEA czy IBM niewątpliwie utworzą własne biologiczne komórki badawczo-rozwojowe, gdzie będą prowadzone prace nad nowymi, wręcz niewyobrażalnymi w tej chwili asortymentami. Kierownik zespołu pod nazwą The Futures Group, Theodore J. Gordon, powiada: "W biologii, po przekroczeniu pewnego etapu początkowego, będziemy musieli myśleć o takich rzeczach, jak na przykład, (...) czy da się zrobić «miłą ciału koszulę» albo «piersiogłady materac» z takiej samej substancji jak ludzka skóra."

Ale na długo przed tym inżynieria genetyczna zostanie wykorzystana w rolnictwie do zwiększenia światowej produkcji żywności. Okrzyczana Zielona Rewolucja lat sześćdziesiątych okazała się w dużej mierze dość perfidną pułapką dla rolników w krajach pierwszej fali; potrzebowali oni bowiem gigantycznych ilości nawozów produkowanych z ropy naftowej, które trzeba było kupować zagranicą.

Kolejna rewolucja bioagrarna ma na celu zmniejszenie uzależnienia od nawozów sztucznych. Inżynieria genetyczna podsuwa nam wysoko wydajne uprawy, które doskonale będą znosić glebę piaszczystą lub zasoloną, a na dodatek same potrafią zwalczać własne szkodniki. W inżynierii genetycznej mogą również kryć się sposoby na znalezienie całkiem nowych rodzajów pożywienia i nowych włókien, jak również prostsze, tańsze i mniej energochłonne metody przechowywania i przetwórstwa produktów spożywczych. Chcąc jak gdyby zrównoważyć zagrożenia budzące powszechny przestach, inżynieria genetyczna oferuje nam także szanse uwolnienia świata od głodu.

Te świetlane obietnice trzeba traktować sceptycznie. Ale mimo to, jeżeli zwolennicy rolnictwa genetycznego miałoby bodaj w połowie rację, miałyby to niesamowity wpływ na rolnictwo zmieniając w rezultacie również charakter stosunków między bogatymi i biednymi krajami. Zielona Rewolucja sprawiła, że biedne kraje stały się bardziej, a nie mniej, zależne od bogatych. Efekt rewolucji bioagrarniej mógłby być odwrotny.

Jest jeszcze za wcześnie, by powiedzieć z całą pewnością, jaki będzie rozwój biotechnologii. Ale jest już za późno, żeby wrócić do punktu zerowego. Nie sposób zataić przed sobą tego, co już wiemy. Możemy jedynie objąć kontrolą wszelkie praktyczne zastosowania odkryć, tak aby zapobiec zbyt pochopnym wdrożeniom, aby wszelkie odkrycia udostępnić wszystkim narodom i aby zmniejszyć do minimum - nim będzie za późno - rywalizację na tym polu między poszczególnymi korporacjami, krajami i dyscyplinami naukowymi.

Jedno jest absolutnie pewne: otóż wyzwoliliśmy się już z liczących sobie trzysta lat ograniczeń elektromechaniki, stanowiących podstawę tradycyjnych technologii przemijającej

drugiej fali, chociaż dziś dopiero zaczynamy zdawać sobie sprawę z pełnego znaczenia tego historycznego faktu.

Do produkcji samochodów i tysięcy innych rzeczy przeobrażających życie człowieka druga fala musiała połączyć ze sobą węgiel, stal, elektryczność i transport szynowy; toteż, prawdziwych skutków zachodzących obecnie przemian nie odczuwamy dopóty, dopóki nie wkroczymy w etap łączenia współczesnych osiągnięć techniki i nowych technologii - a więc w etap, na którym nastąpi sprzężenie komputerów, elektroniki, nowych materiałów z Kosmosu i głębi oceanów z genetyką, a wszystko to z kolei zostanie jeszcze powiązane z nową bazą energetyczną. Dopiero zespolenie tych dziedzin wyzwoli niespotykany dotychczas strumień wynalazków i innowacji. Dzięki nim powstanie zupełnie nowa technosfera cywilizacji trzeciej fali.

TECHNOREBELIANCI

Rozmiary tego wielkiego skoku, jego znaczenie dla przyszłości samej ewolucji, stanowią dostateczny powód, by ludzie zaczęli świadomie nadawać mu kierunek. Jeżeli będziemy biernie wyczekiwać i jeśli powiemy sobie "niech będzie, co ma być" - możemy zgubić samych siebie i nasze dzieci. Impet bowiem, skala i szybkość zachodzącego przeobrażenia przekraczają wszystko, co kiedykolwiek zdarzyło się w dziejach. Wciąż przecież mamy świeżo w pamięci komunikaty o zagrożeniu atomowym w Three Mile Island i tragiczne katastrofy samolotów DC-10; zalanie wybrzeży Meksyku ropą naftową i setki innych okropności spowodowanych tzw. postępem technicznym. Stojąc dziś w obliczu takich katastrof, czyż możemy dopuścić do tego, by rozwój i wykorzystanie jeszcze potężniejszych zdobyczy techniki zależały od krótkowzrocznych i samolubnych kryteriów stosowanych w epoce drugiej fali?

W ciągu ostatnich trzystu lat zarówno w krajach kapitalistycznych, jak i socjalistycznych - od nowych technologii oczekiwano dwóch prostych rzeczy, tego mianowicie, by przyczyniały się do wzrostu gospodarczego i zwiększały potęgę militarną. Te dwa nierozłączne kryteria wyraźnie utraciły aktualność. Nowe technologie będą musiały w przyszłości sprostać o wiele ostrzejszym wymaganiom ekologicznym i społecznym, a nie tylko ekonomicznym i strategicznym.

Autorzy swoistego katalogu klęsk i zagrożeń technologicznych, jakie przeżyliśmy w ostatnich latach, sporządzonego w formie raportu dla Krajowej Fundacji Naukowej USA, użyli dosadnego określenia "szok technologiczny i społeczny". Spojrzawszy z bliska na wszystkie - wyliczone w tym raporcie katastrofy stwierdzamy, że większość z nich powodują

technologie drugiej, nie zaś trzeciej fali. Powodem jest oczywiście fakt, iż technologie trzeciej fali nie rozwinęły się jeszcze na zbyt wielką skalę. Wiele nie wyszło ze stadium niemowlęstwa. Tym niemniej, już dziś można obawiać się "smogu elektronicznego", zanieczyszczeń informatycznych, wojen prowadzonych w kosmosie, niebezpiecznych substancji genetycznych, nieprzewidzianych skutków manipulowania klimatem oraz groźby "wojny ekologicznej" - a więc na przykład umyślnego wywoływania trzęsień ziemi za pomocą zdalnie sterowanych wibracji. Można zresztą wyobrazić sobie mnóstwo innych niebezpieczeństw związanych z rozwojem nowej bazy technologicznej.

TOTEŻ TRUDNO SIĘ DZIWIĆ, ŻE OSTATNIO WIELE LUDZI WZBRANIA SIĘ PRZED NOWĄ TECHNOLOGIĄ, PRZY CZYM ZAZWYCZAJ DOTYCZY TO WSZELKICH BEZ WYJĄTKU NOWYCH OSIĄGNIĘĆ TECHNIKI. U POCZĄTKÓW DRUGIEJ FALI BYŁO PODOBNE. JUŻ W 1663 ROKU ROBOTNICZY LONDYŃSCY ZNISZCZYLI NOWO ZAINSTALOWANE MASZYNY W TARTAKU, W OBAWIE, ŻE POZBAWIĄ ICH ONE ŚRODKÓW DO ŻYCIA. W 1676 ROKU ZDRUZGOTANO MASZYNĘ PASMANTERYJNĄ W MANUFAKTURZE TEKSTYLNEJ. W 1710 ROKU ROBOTNICZY ZBUNTOWALI SIĘ PRZECIWKO WPROWADZENIU MECHANICZNEJ PRODUKCJI POŃCZOCH. NIECO PÓŹNIEJ ROZWŚCIECZONY TŁUM OBRÓCIŁ W PERZYŃĘ DOM JOHANA KAYA, WYNAŁAZCY RUCHOMEGO CZÓLENKA, PRZYCZYNIAJĄC SIĘ W KOŃCU DO JEGO UCIECZKI Z ANGLII NA ZAWSZE. NAJGŁOŚNIEJSZE WSZELAKO BYŁY WYPADKI Z NOTTINGHAM, GDZIE W ROKU 1811 NOWE MASZYNY WŁÓKIENNICZE BYŁY SYSTEMATYCZNIE NISZCZONE PRZEZ GRUPY REBELIANTÓW NAZYWAJĄCYCH SIEBIE "LUDYTAMI"²⁰.

Jednakże ta wczesna nienawiść do maszyn wybuchała sporadycznie i spontanicznie. Jak zauważył pewien historyk, wiele przypadków buntu "wynikało nie tyle z wrogości do samej maszyny, ile z chęci dokuczenia rozpanoszonemu pracodawcy". Niepiśmienni robotnicy i robotnice, ludzie biedni, głodni i zrozpaczeni, widzieli w maszynie zagrożenie dla ich własnej egzystencji.

Współczesny bunt przeciwko zagrożeniom ze strony technologii ma inny charakter. Bierze w nim udział coraz liczniejsza armia ludzi - nie są oni ani biedni, ani niewykształceni - którzy wcale niekoniecznie są przeciwni postępowi technicznemu ani też nie potępiają wzrostu gospodarczego; w niekontrolowanej sile pędu nowych technologii widzą oni natomiast zagrożenie dla przetrwania zarówno ich własnego, jak i globalnego.

ZNALEŻLIBY SIĘ WŚRÓD NICH FANATYCY, KTÓRZY - GDYBY TYLKO MOGLI - CHĘTNIE

²⁰ Od nazwiska Neda Luda, który około 1779 roku osobiście zdewastował dwie maszyny zainstalowane przez właściciela w zakładach włókienniczych w Leicestrshire - przyp. tłum.

POSŁUŻYLIBY SIĘ METODAMI NIEGDYSIEJSZYCH LUDYTÓW. NIETRUDNO WYOBRAZIĆ SOBIE PODŁOŻENIE BOMBY POD INSTALACJĘ KOMPUTEROWĄ ALBO LABORATORIUM GENETYCZNE CZY TEŻ REAKTOR ATOMOWY W BUDOWIE. JESZCZE ŁATWIEJ MOŻNA SOBIE WYOBRAZIĆ "POLOWANIE NA CZAROWNICE" - CZYLI NA UCZONYCH W BIAŁYCH KITLACH, KTÓRZY "WSZYSTKIEMU ZAWINILI" - GDYBY DOSZŁO DO JAKIEJŚ SZCZEGÓLNE UPIORNEJ KATASTROFY TECHNOLOGICZNEJ. NIEWYKLUCZONE, ŻE W PRZYSZŁOŚCI JAKIŚ POLITYK-DEMAGOG ROZSŁAWI SIĘ ŚLEDZTWEW W SPRAWIE "DZIESIĄTKI Z CAMBRIDGE" ALBO "SIÓDEMKI Z OAK RIDGE".²¹

Jednakże większość współczesnych technorebeliantów nie kwapi się ciskać bombami ani nie przypomina ludytów. Są wśród nich tysiące wykształconych inżynierów jądrowych i biochemików, lekarzy i oficjalnych przedstawicieli służby zdrowia, genetyków, a także zwyczajnych obywateli. A przy tym - znów odwrotnie niż ludy - są oni dobrze zorganizowani i umieją głosić swe poglądy. Wydają własne pisma techniczne i propagandowe. Wnoszą sprawy do sądu i proponują zmiany w ustawodawstwie, a także pikietują, urządzają marsze i manifestacje.

Ruch ten, często atakowany jako wsteczny, stanowi w istocie ważny element napływającej trzeciej fali. Jego uczestnicy stanowią bowiem ową "krawędź natarcia" nadchodzącej przyszłości, biorąc udział w politycznych i gospodarczych zmaganiach trzech sił, które to zmagania przebiegają w dziedzinie technologii równoległe z opisaną wcześniej walką o energię.

Również i tutaj po jednej stronie widzimy siły drugiej fali, a zwolenników powrotu do pierwszej fali - po drugiej stronie, oraz, siły trzeciej fali walczące z jednymi i drugimi. W tym wypadku siły drugiej fali to ci, którzy nade wszystko przedkładają dawny, krótkowzroczny stosunek do technologii: "Jeżeli coś się udaje, produkujemy to. Jeżeli można na czymś zarobić, produkujemy to. Jeżeli coś przysparza nam potęgę, budujemy to." Wykarmieni do przesytu przestarzałymi indusrealnymi ideami postępu, rzecznicy wygasającej drugiej fali są często materialnie zainteresowani w nieodpowiedzialnych zastosowaniach technologii. Nic sobie nie robią z grożących niebezpieczeństw.

Z drugiej strony mamy, znów niezbyt liczny, krzykliwy odłam romantycznych ekstremistów wrogo nastawionych do wszystkiego, z wyjątkiem najprymitywniejszych technologii pierwszej fali; mieliby oni, jak się wydaje, ochotę powrócić do średniowiecznych rzemiosł i ręcznej pracy. Należą przeważnie do sytej klasy średniej; przedstawiciele tego

²¹ W obu miejscowościach - odpowiednio w stanie Massachusetts i Tennessee - znajdują się obecnie ośrodki badań jądrowych - przyp. tłum.

ruchu tępią postęp techniczny równie bezkrytycznie, jak bezkrytycznie popierają go zwolennicy drugiej fali. Fantazjują na temat powrotu do świata, w którym życie byłoby nie do zniesienia ani dla większości z nas, ani dla większości z nich samych.

Tym dwom skrajnym nurtom przeciwstawiają się coraz liczniejsze grupy ludzi, wokół których w niemal wszystkich krajach tworzy się ruch krytyki technologii, czyli współczesna technorebelia. Nie wiedząc nawet o tym, są oni agentami trzeciej fali. Zaczynają nie od technologii, lecz od stanowczych pytań o to, jakiego społeczeństwa w przyszłości pragniemy. Przyznają, że dysponujemy obecnie tyloma możliwościami technologicznymi, iż nie sposób ich wszystkich sfinansować, rozwijać ani zastosować w praktyce. Sugerują więc, aby ostrożniej i z większą rozwagą dokonywać pośród nich takich wyborów, które będą lepiej służyć długofalowym celom społecznym i ekologicznym. Nie chcą pozwolić, aby sama technologia wyznaczała nam cele; pragną natomiast zapewnić kontrolę społeczną nad generalnymi kierunkami postępu technicznego.

Technorebelianci nie sformułowali jeszcze na razie jasnego i wszechstronnego programu. Jednakże na podstawie ich licznych manifestów, petycji, oświadczeń i prowadzonych badań można wyróżnić szereg kierunków myślenia, które składają się na nowe podejście do technologii - na pozytywną i konstruktywną politykę, mającą na celu ułatwienie nam przejścia w przyszłość.

Technorebelianci wychodzą z założenia, że biosfera ziemska jest wątpa i delikatna, toteż im potężniejsze odkrywamy technologie, tym większe jest ryzyko spowodowania nieodwracalnych szkód na naszej planecie. Domagają się więc, aby wszystkie nowe technologie sprawdzać zawczasu pod względem ewentualnych zagrożeń; żądają, by niebezpieczne technologie skorygować lub wręcz ich zakazać. Słowem, chcą oni, aby technologie przyszłości były poddawane ostrzejszym rygorom ekologicznym niż te, które obowiązywały w epoce drugiej fali.

Technorebelianci uważają, że albo my przejmemy kontrolę nad technologią, albo ona nad nami - oraz że "my" nie powinno już dłużej oznaczać wąskiej elity naukowców, inżynierów, polityków i biznesmenów. Niezależnie od realnych efektów kampanii antynuklearnych wybuchających raz po raz w Niemczech Zachodnich, Francji, Szwecji, Japonii i w Stanach Zjednoczonych, protestów przeciw budowie ponaddźwiękowego samolotu Concorde, czy też coraz głośniejszych żądań prawnego uregulowania badań genetycznych - wspólną cechą tych wszystkich ruchów jest dążenie do większej demokratyzacji decyzji technologicznych.

Technorebelianci głoszą, że "nowoczesna" technologia wcale nie musi być wielka, kosztowna lub skomplikowana. Przyciężkawe technologie drugiej fali wydawały się lepsze i

sprawniejsze niż były w rzeczywistości, ponieważ zarówno korporacje kapitalistyczne, jak i przedsiębiorstwa socjalistyczne niejako uzewnętrzniały - czyli przerzucały na całe społeczeństwo - olbrzymie koszty likwidacji skutków zanieczyszczeń, pomocy dla bezrobotnych i walki ze skutkami alienacji pracy. Gdy wszystko to uwzględnimy w ogólnych kosztach produkcji, okaże się, że sprawność i wydajność wielu maszyn jest o wiele niższa od tej, jaką im się zazwyczaj przypisuje.

Technorebelianci proponują więc opracowanie całej gamy "stosownych technologii", które zapewniłyby człowiekowi pracę w ludzkich warunkach, ograniczyłyby zanieczyszczenia, uratowałyby środowisko i wytwarzałyby towary dla indywidualnego odbiorcy i lokalnych społeczności, nie zaś wyłącznie dla wielkich rynków ogólnokrajowych i ogólnoświatowych. Dzięki technorebelii na całym świecie zaczęto eksperymentować nad takimi właśnie technologiami małej skali w dziedzinach obejmujących między innymi hodowlę ryb i przetwórstwo spożywcze, wytwarzanie energii, wtórne wykorzystywanie odpadów, tanie konstrukcje i prosty transport.

Choć niektóre eksperymenty są naiwne, nawiązują do mitycznej zamierzchłej przeszłości, to wiele z nich ma jednak bardziej praktyczny charakter. Niektóre sięgają po najnowsze materiały i metody naukowe, łącząc je w nowy sposób z technikami tradycyjnymi. Na przykład znawca średniowiecznej technologii, Jean Gimpel, zbudował eleganckie modele prostych narzędzi, które mogą się przydać mieszkańcom krajów nieuprzemysłowionych. W modelach tych nowe materiały połączone zostały ze starymi metodami. Innym przykładem jest ponowne zainteresowanie statkami powietrznymi; także w tej dziedzinie okazało się, że przy zastosowaniu nowoczesnych tworzyw dawno przebrzmiała technologia może znacznie powiększyć zdolność udźwigu sterowca. Sterowce nie zanieczyszczają środowisk i można je wykorzystywać do taniego i bezpiecznego, choć powolnego transportu na obszarach nie posiadających dróg - na przykład w Brazylii lub w Nigerii. Eksperymenty w zakresie "stosownych" albo inaczej: alternatywnych technologii dowodzą, że - po uwzględnieniu wszystkich skutków ubocznych danej technologii oraz przy właściwym dostosowaniu maszyn do jej zadań - niektóre technologie małej skali, zwłaszcza w dziedzinie energetyki, mogą być równie "nowoczesne", jak skomplikowane technologie wielkiej skali.

Technorebeliantów niepokoi również drastyczna dysproporcja w rozmieszczeniu nauki i techniki na świecie; wszak w krajach, których mieszkańcy stanowią 75 procent całej ludności kuli ziemskiej, żyje dziś zaledwie 3 procent wszystkich naukowców. Technologowie domagają się więc, by technologia w większym stopniu służyła krajom ubogim oraz by zdobycze z kosmosu i z głębi oceanów były dzielone bardziej sprawiedliwie. Nie tylko

uważają oni, że oceany i przestworza stanowią wspólne dziedzictwo ludzkości, lecz również dowodzą, że nowoczesna technologia nie powstałaby bez historycznego wkładu wielu ludów. Hindusów, Arabów czy starożytnych Chińczyków.

I wreszcie, technorebelianci twierdzą również, że powinniśmy, krok za krokiem, zmierzać ku trzeciej fali, porzucając wyniszczający zasoby naturalne i powodujący zanieczyszczenia system produkcji drugiej fali; powinniśmy przejść na system bardziej "metaboliczny", w którym nie byłoby odpadów i szkodliwych wyziewów, dzięki temu, że produkty wyjściowe i uboczne z jednej gałęzi byłyby wykorzystywane w innym przemyśle. Celem jest tu taki system, w którym nie będzie żadnych odpadów nie nadających się do wykorzystania w innych procesach produkcyjnych. W takim systemie nie tylko zwiększy się wydajność w sensie produkcyjnym, lecz zmniejszą się do minimum lub wręcz zostaną całkowicie wyeliminowane wszelkie uszkodzenia biosfery.

Potraktowany całościowo taki program technorebeliantów stwarza podstawy do zhumanizowania postępu technicznego.

Dzisiejsi technorebelianci, chcąc nie chcąc, są agentami trzeciej fali. W nadchodzących latach będzie ich wciąż przybywać. Oni bowiem kierują nas ku nowemu etapowi cywilizacji, w takim samym stopniu jak wyprawy na Wenus, coraz bardziej zadziwiające komputery, odkrycia biologiczne i misje badawcze w głębiach oceanów.

Konflikt technorebeliantów z fantastami szukającymi ucieczki w pierwszej fali oraz z obrońcami drugiej fali, głoszącymi hasło: "technologia nade wszystko" - zrodzi szereg sensownych technologii, dostosowanych do nowego systemu energetycznego, ku któremu już zaczęliśmy zmierzać. Dzięki podłączeniu nowych technologii do nowej bazy energetycznej, cała nasza cywilizacja znajdzie się na zupełnie nowym, wyższym poziomie. W sercu tej cywilizacji zbiegną się nowoczesne, podbudowane naukowo przemysły "szybkiej taśmy", obwarowane zaostrzonymi zasadami kontroli ekologicznej i społecznej, oraz równie nowoczesne przemysły "zwolnionej taśmy", funkcjonujące w mniejszej, bardziej ludzkiej skali; oba te nurty produkcji przemysłowej będą oparte na zasadach zdecydowanie odmiennych od tych, które rządziły technosferą drugiej fali. Te dwa równoległe kierunki działalności przemysłowej będą właśnie stanowić przyszłe "lokomotywy rozwoju".

Dotknęliśmy tu jednak zaledwie drobnego wycinka o wiele szerszego problemu. Równocześnie bowiem z przeobrażeniem technosfery, rewolucyjnym zmianom ulega współczesna infosfera.

Rozdział XI

ODMASOWIANIE ŚRODKÓW PRZEKAZU

Jedna z najbardziej znamiennych metafor naszych czasów wiąże się z postacią agenta wywiadu. Nikt inny nie pobudza dziś bardziej wyobraźni ludzkiej. Setki filmów gloryfikuje słynnego agenta 007 i jego zuchwałych, filmowych i powieściowych, kolegów. Telewizja i kieszonkowe edycje książek mnożą w nieskończoność sylwetkę szpiega jako bohatera nieustraszonego, romantycznego, amoralnego, przerastającego samo życie (lub doń nie dorastającego). Rządy, tymczasem, wydają na szpiegostwo miliardy. Agenci różnych wywiadów podróżują tam i z powrotem między Berlinem a Bejrutem, między Makao a Meksykiem.

Szpiegostwo zarzuca się zachodnim korespondentom w Moskwie. W Bonn, z powodu szpiegów infiltrujących ministerstwa, odchodzą kanclerze. W Waszyngtonie podczas przesłuchań w Kongresie odsłaniają się nieprawości tajnych agentów amerykańskich i koreańskich, podczas gdy równocześnie niebo jest pełne satelitów szpiegowskich, fotografujących cal po calu każdą piędź ziemi.

Historia oswojona jest ze szpiegostwem od dawna, toteż warto się zastanowić, dlaczego właśnie w tej chwili motyw szpiegostwa owładnął wyobraźnią ludzi, usuwając w cień nawet prywatnych detektywów, policjantów i kowbojów. Kiedy się nad tym zastanowimy, od razu dostrzeżemy jedną istotną różnicę między szpiegiem a innymi bohaterami naszej kultury; otóż filmowi policjanci i kowboje używają zwykłych rewolwerów lub gołych pięści, filmowi i powieściowi szpiegowie dysponują natomiast najnowocześniejszą, najbardziej wyszukaną technologią - elektronicznym podsłuchem, bankami komputerów, kamerami i promieniami podczerwonymi, latającymi i pływającymi samochodami, helikopterami, jednoosobowymi łodziami podwodnymi, promieniami śmierci itp.

Istnieje jednak i inny, głębszy powód rosnącej popularności szpiega. Kowboje, policjanci, detektywi, awanturnicy i podróżnicy, a więc tradycyjni bohaterowie książek i filmów, gonią zazwyczaj za rzeczami namacalnymi - pragną ziemi pod pastwiska, chcą pieniędzy, chcą schwytać oszusta lub zdobyć dziewczynę. Ale nie szpieg.

Szpiega interesuje informacja. Informacja stała się chyba najszybciej rozwijającym się i najpoważniejszym interesem na świecie. Szpieg jest żywym symbolem rewolucji, która ogarnia dziś infosferę.

SKŁADNICA WYOBRAŻEŃ

Bomba informacyjna wybucha pośród nas; zasypuje nas odłamkami i odpryskami wyobrażeń; drastycznie zmienia sposób, w jaki każdy z nas odbiera swój prywatny świat i w jaki odnosi się do tego świata. Na drodze od infosfery drugiej do infosfery trzeciej fali ulega przeobrażeniu psychika ludzka.

Każdy człowiek tworzy we własnej głowie myślowy model rzeczywistości - swoistą składnicę wyobrażeń. Istnieją wyobrażenia wizualne, słuchowe, a nawet dotykowe. Niektóre są tylko "perceptami" - śladami informacji o świecie, jak rzut kątem oka na błękit nieba. Inne to "ogniwa" określające pokrewieństwo łączące na przykład dwa słowa - "matka" i "dziecko". Jedne są proste, inne złożone i konceptualne, w rodzaju stwierdzenia, iż "inflację powoduje wzrost wynagrodzeń". W sumie wyobrażenia takie składają się na obraz świata - umieszczając człowieka w czasie, przestrzeni i w sieci oplatających go osobistych związków i zależności.

Wyobrażenia te nie biorą się znikąd. Powstają w niezrozumiały dla nas sposób z sygnałów i informacji docierających z otaczającego świata. Gdy jednak otaczający świat przeżywa konwulsje zmian - gdy na pracę, dom, kościół, szkołę i system polityczny, w którym żyjemy, oddziałuje napór trzeciej fali - zmienia się również cały ocean informacji, w jakim jesteśmy zanurzeni.

Zanim powstały massmedia, dzieci pierwszej fali wyrastały w niespiesznie zmieniającej się wiosce, budując swój model rzeczywistości z wyobrażeń czerpanych ze stosunkowo nielicznych źródeł, obejmujących między innymi nauczyciela, kapłana, wodza lub władcę, no i przede wszystkim - rodzinę. Jak zauważa psycholog i futurolog, Herbert Gerjuoy, "nie było telewizji ani radia, które dawałyby dziecku okazję do zetknięcia się z obcymi ludźmi, ludźmi reprezentującymi rozmaite dziedziny życia, a nawet różne narodowości (...) Tylko nieliczni bywali kiedykolwiek w innym mieście (...) W rezultacie, spotykano niewiele osób, które można było naśladować lub na których chciano się wzorować.

Wybór wzorów do naśladowania był dodatkowo ograniczony przez to, że ludzie, którzy służyli za wzór dla innych, sami mieli ubogie doświadczenia w kontaktach z innymi ludźmi." Toteż wieśniacze dziecko budowało sobie na ogół wyobrażenia świata o niesłychanie wąskim zasięgu.

A przy tym przekazy, jakie odbierało ono z zewnątrz, były zbyt rozgadane i to w dwojakim sensie; po pierwsze, miały one zwykle charakter potocznej wypowiedzi, obfitującej w pauzy i powtórzenia, a po drugie, pod względem formalnym były to "ciągi" powiązanych z sobą myśli i treści, które głosili i których przestrzegania egzekwowali różni ludzie. Dziecko słyszało te same zakazy w kościele i w szkole. A na dodatek jedne i drugie tylko wzmacniały

przykazania wpajane mu przez rodzinę i państwo. Jednomyślność zbiorowości i silny nacisk na konieczność podporządkowania się jej, oddziałując na człowieka od chwili urodzenia, dodatkowo zawężyły zakres akceptowanych wyobrażeń i zachowań.

Druga fala powiększyła liczbę kanałów, z których człowiek czerpał swój obraz rzeczywistości. Dziecko czerpało swą wiedzę o świecie nie tylko z przyrody i od innych osób, lecz również z gazet, czasopism o masowych nakładach, z radia, a później także z telewizji. Przeważnie Kościół, państwo, dom i szkoła w dalszym ciągu zgodnie głosiły jednobrzmiące prawdy. Ale środki masowego przekazu same stały się teraz potężnym megafonem. Jego moc zaczęto wykorzystywać na przekór podziałom regionalnym, etnicznym, plemiennym i językowym, w celu standaryzacji wyobrażeń krążących w obiegu myślowym i pojęciowym społeczeństwa.

Pewne wyobrażenia wizualne zostały tak szeroko upowszechnione i wryły się w pamięć tylu milionów ludzi, że nabrały one w efekcie cech współczesnych ikon. [...] Sylwetka Charlie Chaplina w meloniku i z laseczką, Hitlera szalejącego w Norymberdze, obrazy z Buchenwaldu przedstawiające ludzkie ciała zwalone niczym ścięte drzewa, postać Churchilla pokazującego palcami znak V, Roosevelta w czarnej pelerynie albo Marilyn Monroe w podwianej wiatrem spódnicy, oraz setki innych gwiazd rozślawionych przez media, także tysiące najrozmaitszych, powszechnie znanych artykułów handlowych, jak choćby kostka mydła Wory w USA, czekolada Morinaga w Japonii czy butelka wody mineralnej Perrier we Francji - wszystko to weszło w skład standardowych elementów powszechnego katalogu wyobrażeń.

Ten zbiór centralnie narzucanych wyobrażeń, wstrzykiwanych przez środki masowego przekazu do "masowej świadomości", pomógł w wytworzeniu standardu zachowań niezbędnych w przemysłowym systemie produkcji.

Obecnie trzecia fala zaczęła to wszystko drastycznie zmieniać. Zmiany nabierające rozpędu w całym świecie zewnętrznym wpływają na analogiczne przyspieszenie zmian zachodzących w nas samych. Docierają do nas nowe informacje, które zmuszają nas do nieustannego rewidowania katalogu posiadanych wyobrażeń, i to w coraz szybszym tempie. Dawne wyobrażenia, odpowiadające minionej przeszłości, trzeba zastąpić nowymi; jeżeli bowiem ich nie uaktualnimy, nasze postępowanie odbiegnie od rzeczywistości i będziemy coraz mniej zdolni do jakiegokolwiek działania. Trudno sobie z tym wszystkim poradzić.

Przyspieszenie prędkości przetwarzania wyobrażeń wewnątrz nas samych oznacza, że wyobrażenia stają się coraz bardziej tymczasowe, przelotne. Dzieła sztuki do wyrzucenia po obejrzeniu, zdjęcia polaroidowe, fotokopie i jednorazowe grafiki użytkowe pojawiają się i

znikają. Wstrzykuje się do świadomości ludzkiej idee, przekonania i postawy, które niemal natychmiast się kwestionuje i zwalcza, aż wreszcie rozmywają się one w nicości. Teorie naukowe i psychologiczne bywają obalane i wypierane przez inne w ciągu jednego dnia. Załamują się ideologie. Do naszej świadomości dociera przelotna sława coraz to nowych znakomitości, które przesuwiają się przed naszymi oczami, by zaraz ustąpić miejsca następnym. Zewsząd nacierają na nas sprzeczne hasła polityczne i moralne.

Z tych wirujących fantasmagorii trudno cokolwiek zrozumieć: trudno pojąć, jak zmienia się proces tworzenia wyobrażeń o świecie. Trzecia fala bowiem nie tylko przyspiesza przepływ informacji; przeobraża ona również najgłębszą strukturę informacji, od której zależy nasze codzienne postępowanie.

ODMASOWIONE ŚRODKI PRZEKAZU

Przez cały okres drugiej fali środki masowego przekazu umacniały swe znaczenie i powiększały zasięg oddziaływania. Obecnie ulega to drastycznej zmianie. Środki masowego przekazu nie tylko są dalekie od powiększania swych wpływów, ale pod uderzeniem trzeciej fali zmuszone zostały również do podzielenia się tymi wpływami. Na wielu frontach naraz środki masowej informacji przegrywają z czymś, co nazywam "odmasowionymi środkami przekazu".

PIERWSZYM PRZYKŁADEM SĄ GAZETY. GAZETY, NAJSTARSZE SPOŚRÓD ŚRODKÓW PRZEKAZU DRUGIEJ FALI, TRACĄ CZYTELNIKÓW. DO 1973 ROKU GAZETY AMERYKAŃSKIE OSIĄGNĘŁY W SUMIE DZIENNY NAKŁAD WYNOŚĄCY 63 MILIONY EGZEMPLARZY. JEDNAKŻE PO TYM ROKU ZAMIAST POWIĘKSZAĆ NAKŁADY, GAZETY MUSIAŁY JE ZMNIEJSZAĆ. DO 1978 ROKU LICZBA KUPOWANYCH GAZET SPADŁA DO 62 MILIONÓW EGZEMPLARZY, PRZY CZYM TENDENCJA SPADKOWA UTRZYMYWAŁA SIĘ NADAL. SPADŁA RÓWNIEŻ PROCENTOWA LICZBA OBYWATELI CZYTAJĄCYCH CODZIENNE GAZETY - Z 69 PROCENT W 1972 ROKU DO 62 PROCENT W 1977 R., NAJBARDZIEJ UCIERPIAŁY CZOŁOWE TYTUŁY O ZASIĘGU OGÓLNOKRAJOWYM. W LATACH 1970-1976 TRZY GŁÓWNE DZIENNIKI WYCHODZĄCE W NOWYM JORKU UTRACIŁY W SUMIE 550 000 CZYTELNIKÓW. "LOS ANGELES TIMES", KTÓRY W 1973 ROKU OSIĄGNĄŁ SZCZYTOWY NAKŁAD, STRACIŁ DO 1976 ROKU 80 000 CZYTELNIKÓW. DWA DUŻE DZIENNIKI FILADELFIJSKIE STRACIŁY 150 000 CZYTELNIKÓW, DWIE GAZETY W CLEVELAND - 90 000, A DWIE W SAN FRANCISCO - PONAD 80 000 CZYTELNIKÓW. W TYM SAMYM CZASIE, GDY W RÓŻNYCH CZĘŚCIACH KRAJU POWSTAŁO WIELE MNIEJSZYCH GAZET, NA DRUGI PLAN ZACZĘŁY SCHODZIĆ MIĘDZY INNYMI "CLEVELAND NEWS", "HARTFORD TIMES", "DETROIT TIMES", "CHICAGO TODAY" I "LONG ISLAND PRESS". PODOBNA PRAWIDŁOWOŚĆ WYSTĄPIŁA W WIELKIEJ BRYTANII, GDZIE MIĘDZY

ROKIEM 1965 A 1975 KRAJOWE DZIENNIKI UTRACIŁY CO NAJMNIEJ 8 PROCENT CZYTELNIKÓW.

NIE BYŁO TO BYNAJMNIEJ SPOWODOWANE JEDYNIIE UPOWSZECHNIENIEM SIĘ TELEWIZJI. WSZYSTKIM DZIENNIKOM O MASOWYCH NAKŁADACH ZAGRAŻA DZIŚ KONKURENCJA MNOŻĄCYCH SIĘ OSTATNIO NISKONAKŁADOWYCH TYGODNIKÓW, DWUTYGODNIKÓW I TZW. "SHOPPERÓW", ZAJMUJĄCYCH SIĘ NIE SPRAWAMI CAŁEJ METROPOLII, LECZ POSZCZEGÓLNYCH DZIELNIC I OSIEDLI: PRZEWAŻAJĄ W NICH REKLAMY ORAZ WIADOMOŚCI LOKALNE. OSIĄGNAWSZY SZCZYT NASYCENIA, WIELKOMIEJSKIE, WYSOKONAKŁADOWE DZIENNIKI PRZEŻYWAJĄ TERAZ POWAŻNE KŁOPOTY, KTÓRYCH PRZYCZYNĄ SĄ MIĘDZY INNYMI ODMASOWIONE ŚRODKI PRZEKAZU, CORAZ BARDZIEJ DEPCZĄCE PO PIĘTACH WIELKIM GAZETOM.

22

Drugim przykładem są czasopisma o masowych nakładach. Począwszy od połowy lat pięćdziesiątych, niemal każdego roku umierał w Stanach Zjednoczonych jakiś tytuł. W ten sposób zniknęły kolejno - "Life", "Look", "Saturday Evening Post", choć z czasem odrodziły się one w postaci niskonakładowych potomków swych wielkich poprzedników.

Mimo 14-milionowego wzrostu ludności w USA w latach 1970-1977 całkowity nakład pozostałych przy życiu 25 czołowych magazynów ilustrowanych zmniejszył się o 4 miliony egzemplarzy.

Równocześnie w Stanach Zjednoczonych gwałtownie rozmnożyły się minimagazyny - tysiące nowych pism o wąskim profilu tematycznym, często adresowanych do regionalnych lub lokalnych grup czytelniczych. Piloci i miłośnicy awiacji mogą na przykład wybierać spośród mnóstwa periodyków wydawanych specjalnie dla nich. Własną prasę mają też nastolatki, pletwonurkowie, emeryci, sportsmenki, kolekcjonerzy starych aparatów fotograficznych, fanatycy tenisa, narciarze i deskorolkarze. Mnożą się nowe magazyny regionalne - na przykład "New York", "New West", czasopismo "D" w Dallas lub "Pittsburger". Niektóre uwzględniają jeszcze dodatkowe podziały według regionów i zainteresowań specjalistycznych, jak czyni to na przykład "Kentucky Business Ledger" albo "Western Farmer".

Dzięki szybkim, tanim prasom drukarskim przeznaczonym do natychmiastowego druku

²² Niektórzy wydawcy nie uważają gazet za środki masowego przekazu, ponieważ wiele z nich wychodzi w małych nakładach i ma niewielki zasięg. Ale większość gazet, przynajmniej w USA, zawiera sporo pozycji ogólnokrajowych, nazywanych tu ogólnie "daniem gorącym" (*boilerplate*); w jego skład wchodzi doniesienia agencyjne z depesz AP i UPI, komiksy, krzyżówki, moda i artykuły publicystyczne, przy czym w różnych gazetach w wielu miastach Ameryki drukuje się te same materiały. Konkurencja z mniejszymi, lokalnymi środkami przekazu powoduje, że wielkonakładowe gazety przywiązują większą wagę do wiadomości lokalnych, starając się wprowadzać nowe rubryki o zróżnicowanej tematyce. Gazety, które zdołają przetrwać w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, będą zdecydowanie różnić się od obecnych, głównie z powodu

praktycznie każda organizacja, grupa środowiskowa i polityczna, sekta, a nawet minisekta religijna może sobie pozwolić na drukowanie własnych publikacji. Nawet bardzo małe grupy wydają pisma powielane na kopiarkach, które masowo rozpowszechniły się w biurach i urzędach Ameryki. Masowe czasopisma straciły swój niegdyś olbrzymi wpływ na życie kraju. Na ich miejsce bardzo szybko wchodzi już niemasowy minimagazyn.

Jednakże wpływ trzeciej fali na komunikację nie ogranicza się tylko do prasy. W latach 1950-1970 liczba stacji radiowych w USA wzrosła z 2 336 do 5 359. W okresie gdy ludność powiększyła się tylko o 35 procent, liczba radiostacji wzrosła aż o 129 procent. Oznacza to, że jedna stacja obsługiwała przedtem 65 000 mieszkańców, a obecnie 38 000, a nadto, radiosłuchacze mają teraz do wyboru więcej programów. Słuchacze zostali podzieleni między większą liczbę radiostacji.

BARDZO WZROSŁO RÓWNIEŻ ZRÓŻNICOWANIE PROPOZYCJI, PONIEWAŻ RÓŻNE STACJE ZACZEŁY NADAWAĆ PROGRAMY O WĄSKIEJ TEMATYCE, PRZEZNACZONE DLA WYBRANYCH GRUP ODBIORCÓW, ZAMIAST, JAK DOTĄD, DLA WSZYSTKICH RADIOSŁUCHACZY. RADIOSTACJE NADAJĄCE SAME WIADOMOŚCI ADRESUJĄ JE DO WYKSZTAŁCONYCH, DOROSŁYCH, ŚREDNIOZAMOŻNYCH WARSTW SPOŁECZEŃSTWA. RÓŻNE TEŻ SĄ STACJE NADAJĄCE MŁODZIEŻOWĄ MUZYKĘ *ROCK*; JEDNE ADRESUJĄ SWE PROGRAMY DO AMATORÓW *HARD ROCK*, INNE DO MIŁOŚNIKÓW *SOFT ROCK*, *PUNK ROCK*, *COUNTRY ROCK* CZY *FOLK ROCK*. STACJE NADAJĄCE JAZZ I MUZYKĘ *SOUL* NASTAWIONE SĄ NA ODBIORCÓW MURZYŃSKICH. INNE ZNÓW RADIOSTACJE NADAJĄ MUZYKĘ KLASYCZNĄ DLA DOROSŁYCH SŁUCHACZY O WYŻSZYCH DOCHODACH. STACJE OBCOJĘZYCZNE PRACUJĄ Z MYŚLĄ O RÓŻNYCH GRUPACH ETNICZNYCH, OD PORTUGALCZYKÓW Z NOWEJ ANGLII PO WŁOCHÓW, NARODOWOŚCI MÓWIĄCE PO HISZPAŃSKU. JAPOŃCZYKÓW I ŻYDÓW. PUBLICYSTA RICHARD REEVES PISZE: "W NEWPORT W STANIE RHODE ISLAND SPRAWDZIŁEM PRZEDPOŁUDNIOWE PROGRAMY EMITOWANE NA WSZYSTKICH ZAKRESACH FAL DŁUGICH I NATRAFIŁEM NA 38 STACJI, Z KTÓRYCH TRZY NADAWAŁY PROGRAMY RELIGIJNE, DWIE - AUDYCJE DLA MURZYNÓW I JEDNA - W JĘZYKU PORTUGALSKIM."

Nowsze formy audiokomunikacji bezlitośnie wdzierają się w jeszcze ocalałe resztki publiczności masowej. W latach sześćdziesiątych rozprzestrzenił się z prędkością pożaru na prerii, głównie wśród młodzieży, tani magnetofon kasetowy. Wbrew powszechnej, zresztą niesłusznej opinii, dzisiejsze nastolatki spędzają z uchem przyklepionym do radia mniej czasu niż w latach sześćdziesiątych. Ilość czasu przeznaczanego na słuchanie radia zmniejszyła się z 4,8 godzin dziennie w 1967 roku do 2,8 godzin w 1977 roku.

Potem zjawily się prywatne radiostacje samochodowe. O ile rozglosnia radiowa pracuje wyłacznie na zasadzie jednokierunkowej (sluchacz nie moze nic powiedziec osobie prowadzacej program), o tyle radia w samochodach umozliwiają kierowcom porozumiewanie się między sobą w promieniu od 5 do 15 mil.

W ciągu piętnastu lat, do 1977 roku, zainstalowano w Ameryce zaledwie milion radiostacji samochodowych. "Następny milion - stwierdził nie bez zdumienia przedstawiciel Federacji Komisji do Spraw Komunikacji - był kwestią kolejnych ośmiu miesięcy, a trzeci milion - już tylko trzech miesięcy." Rozwiązał się istny worek z samochodowymi radiostacjami. W 1977 roku działało ich blisko 25 milionów i w eterze zaroilo się od barwnych dialogów, w których ostrzega się przed "radarowcami" zaczajonymi przy drogach, odmawia wspólnie modlitwy lub składa niedwuznaczne propozycje erotyczne. Dzisiaj ta moda już minęła, ale jej efekty pozostały.

ZAWODOWI RADIOWCY, NIESPOKOJNI O DOCHODY UZYSKIWANE Z REKLAM, GORLIWIE ZAPRZECZAJĄ, JAKOBY Z POWODU INDYWIDUALNYCH RADIOSTACJI SAMOCHODOWYCH ZMNIJSZYŁO SIĘ ICH AUDYTORIUM. ALE AGENCJE REKLAMOWE NIE SĄ TEGO TAKIE PEWNE. JEDNA Z NICH, AGENCJA MARSTELLER INC., PRZEPROWADZIŁA W NOWYM JORKU BADANIA, Z KTÓRYCH WYNIKAŁO, ŻE 45 PROCENT POSIADACZY RADIOSTACJI SAMOCHODOWYCH WŁĄCZA ZWYKŁE RADIO SAMOCHODOWE O 10 DO 15 PROCENT RZADZIEJ NIŻ PRZEDTEM. JESZCZE BARDZIEJ ZNAMIENNY BYŁ FAKT, ŻE PONAD POŁOWA POSIADACZY RADIOSTACJI SŁUCHA JEJ JEDNOCZEŚNIE ZE ZWYKŁYM RADIEM SAMOCHODOWYM.

Tak czy owak, przechodzeniu do większego zróżnicowania w prasie towarzyszy podobne zjawisko w radio. Pejzaż dźwiękowy ulega odmasowieniu wraz z pejzażem prasowym.

Dopiero jednak w 1977 roku środki przekazu drugiej fali poniosły swą najdotkliwszą i nieoczekiwaną klęskę. Przez całe pokolenie najsilniej oddziałującym i najbardziej "umasowiającym" medium była oczywiście telewizja. W 1977 roku na srebrnym ekranie zaczęło coś się psuć. Tygodnik "Time" pisał wówczas: "Przez całą jesień dyrektorzy programowi i szefowie agencji reklamowych nerwowo spoglądali na liczby... nie mogli uwierzyć własnym oczom... Po raz pierwszy w historii telewizja traciła widzów."

"Nikt nie przypuszczał - zdumiewał się pewien specjalista od reklamy - że widownia telewizyjna w ogóle kiedykolwiek zmaleje."

Jeszcze teraz tłumaczy się to na różne sposoby. Słyszymy na przykład, że programy są gorsze niż kiedyś; albo że czegoś jest za wiele, a czego innego za mało. Co jakiś czas spadają telewizyjne głowy dyrektorskie, to znów obiecuje się nam nowe rodzaje programów. Ale głębiej ukryta prawda dopiero zaczyna wyłaniać się zza chmur zbierających się nad telewizją.

Oddała się dzień, w którym jedna scentralizowana sieć telewizyjna miałaby kontrolować formowanie się wyobrażeń wszystkich telewidzów. Prawdę mówiąc, były prezes kompanii telewizyjnej NBC, oskarżając główne amerykańskie sieci o "głupotę" strategiczną, przewidział, że do końca lat osiemdziesiątych publiczność oglądająca programy nadawane w tak zwanym "najlepszym czasie" zmaleje o połowę. Środki komunikacji trzeciej fali szerokim frontem przejmują bowiem przewagę nad głównymi mediami drugiej fali.

Już dzisiaj telewizja przewodowa dociera do 14,5 miliona amerykańskich domów i najprawdopodobniej będzie się nadal rozprzestrzeniać z prędkością huraganu w początkach lat osiemdziesiątych. Eksperci spodziewają się, że do końca 1981 roku liczba abonentów telewizji kablowej wyniesie 20-26 milionów, przy czym stan okablowania będzie umożliwiać dotarcie do co najmniej 50 procent mieszkań w USA. Postęp w tej dziedzinie będzie jeszcze szybszy po zastąpieniu przewodów miedzianych systemami światłowodowymi, w których po włóknach włosowatych przesyła się impulsy światła. Telewizja przewodowa, podobnie jak technika natychmiastowego druku krótkich serii i kopiarki kserograficzne, odmasowia rynek odbiorców, wykrawając z niego liczne, zróżnicowane minitelewidownie. Systemy kablowe można poza tym zaprogramować na komunikację dwukierunkową, dzięki której abonent nie tylko będzie mógł oglądać program, lecz również będzie mógł łączyć się ze służbami różnego typu.

W Japonii już w latach osiemdziesiątych całe miasta zostaną podłączone do światłowodu, za pomocą którego użytkownicy będą zgłaszać telefonicznie zamówienia dotyczące nie tylko nadawanych programów, ale również usług w zakresie fotografii, dostarczania różnych informacji, rezerwacji teatralnych i wyświetlania na monitorach artykułów z gazet lub czasopism. Do tego samego systemu zostaną też podłączone alarmy przeciw włamaniom i przeciwpożarowe.

W osiedlu Ikoma na przedmieściu Osaki wprowadzono eksperymentalny system Hi-Ovis; na telewizorze abonenta uczestniczącego w eksperymencie umieszczono kamerę telewizyjną oraz mikrofon, dzięki czemu każdy telewidz stał się jednocześnie potencjalnym uczestnikiem programu. Właśnie gdy przeprowadzano ze mną wywiad telewizyjny, niejaka pani Sakamoto, oglądająca program u siebie w domu, włączyła się łamaną angielszczyzną do naszej rozmowy. Ja oraz telewidzowie Ikomy zobaczyliśmy na ekranie jej rozbrykanego synka, kiedy ona sama powitała mnie w Ikomie.

Hi-Ovis posiada również archiwum wideokaset o bogatej tematyce - od muzyki i przepisów kulinarnych po programy oświatowe. Abonenci mogą wyperforować zakodowany numer, zgłaszając w ten sposób komputerowi życzenie, żeby w odpowiadającej im porze na

ich monitorze pojawił się wybrany przez nich program z kasety.

Wprawdzie eksperyment Hi-Ovis objął zaledwie około 160 domów, popiera go rząd Japonii, a finansują takie korporacje, jak Fujitsu, Sumimoto Electric, Matsushita i Kintetsu. Ten niesłychanie nowoczesny program opiera się już całkowicie na technologii światłowodowej.

Tydzień wcześniej w korporacji Warner Cable w Columbus w stanie Ohio zapoznałem się z systemem Qube. Abonenci objęci systemem Qube mają do dyspozycji 30 kanałów tv (w odróżnieniu od 4 stacji emitujących normalne programy), nadających specjalne programy tematyczne dla różnych typów widzów, począwszy od przedszkolaków, poprzez lekarzy i prawników, na programach "tylko dla dorosłych" skończywszy. Qube jest najlepiej rozwiniętym, najbardziej efektywnym dwukierunkowym systemem telewizji przewodowej na świecie. Każdy abonent wyposażony został w urządzenie przypominające z wyglądu ręczny kalkulator, które umożliwia, przez naciśnięcie guzika, komunikowanie się ze stacją. Naciskając tzw. "guziki gorącej linii" widz może porozumiewać się ze studiem Qube i z umieszczonym tam komputerem. Opisując ten system, tygodnik "Time" wpadł chyba w zbyt ekstatyczny ton, stwierdzając, że abonent może "wygłaszać swoje opinie w trakcie debaty politycznej, prowadzić wyprzedaż swoich rupieci oraz brać udział w licytacji podczas aukcji dzieł sztuki organizowanej na cele dobroczynne... Naciskając guzik, Joe lub Jane Columbus może zadawać pytania politykowi albo wyrażać krytyczną bądź entuzjastyczną ocenę produkujących się w lokalnej giełdzie talentów artystów amatorów." Qube umożliwia abonentom porównywanie cen w lokalnych supermarketach, a także zamówienie stolika w orientalnej restauracji.

Telewizja kablowa nie jest wszelako jedynym zmartwieniem sieci telewizyjnych.

Gry telewizyjne idą ostatnio w sklepach jak woda. W milionach Amerykanów obudziła się pasja do tych zabawek, w których ekran telewizyjny zmienia się raz w stół pingpongowy, innym razem w boisko do hokeja na lodzie, to znów w kort tenisowy. Ortodoksyjnym politykom i socjologom zjawisko to może się wydawać błahe lub mało istotne. A jednak niesie ono z sobą falę zbiorowej nauki, jak gdyby zaprawę treningową, przygotowującą do życia w elektronicznym środowisku jutra. Gry telewizyjne nie tylko przyczyniają się do jeszcze większego odmasowienia publiczności i powiększają szeregi ludzi, którzy oglądają dowolne programy w dowolnym czasie. Za pośrednictwem tych pozornie niewinnych urządzeń miliony ludzi uczą się bawić telewizorem, odpowiadać mu i nawiązywać z nim stosunek oparty na wzajemnym oddziaływaniu. W ten sposób ludzie zmieniają się z biernych odbiorców telewizji w aktywnych nadawców wyrażających swoje własne myśli. Ludzie

manipulują telewizją miast pozwalając jej manipulować sobą.

Usługi informacyjne za pośrednictwem ekranu telewizyjnego są już dostępne w Wielkiej Brytanii, gdzie telewidz wyposażony w odpowiednią przystawkę może, przez naciśnięcie guzika, dokonać wyboru spośród tuzina różnych serwisów informacyjnych, dotyczących np. pogody, notowań giełdowych, sportu itd. Wybrane dane przesuują się na ekranie telewizora niczym na taśmie telegrafu. Wkrótce użytkownicy będą z pewnością mogli podłączyć do telewizora urządzenie kopiujące, za pomocą którego można będzie utrwalić na papierze dowolną informację z obrazu na ekranie. Znowu mamy tu do czynienia z szerokim wachlarzem możliwości w dziedzinie, w której do niedawna nie mieliśmy prawie żadnego wyboru.

BARDZO SZYBKO ZDOBYWAJĄ TEŻ POPULARNOŚĆ URZĄDZENIA DO REJESTROWANIA PROGRAMÓW NA WIDEOKASECIE I ICH ODTWARZANIA. DO 1981 ROKU W STANACH ZJEDNOCZONYCH BĘDZIE W UŻYCIU MILION TAKICH ZESTAWÓW. DZIĘKI NIM TELEWIDZOWIE BĘDĄ MOGLI NAGRAĆ NA PRZYKŁAD PONIEDZIAŁKOWY MECZ FUTBOLOWY PO TO, ABY OBEJRZEĆ GO SOBIE ZNOWU, POWIEDZMY, W SOBOTĘ (NARUSZAJĄC W TEN SPOŚÓB NARZUCONĄ PRZEZ SIECI TELEWIZYJNE SYNCHRONIZACJĘ PROGRAMÓW); STWARZA TO TAKŻE MOŻLIWOŚCI ROZWOJU HANDLU FILMAMI I ZAREJESTROWANYMI NA WIDEOKASETACH IMPREZAMI SPORTOWYMI. (ARABOWIE, NIE ZASYPIAJĄC PRZYSŁOWIOWYCH GRUSZEK W POPIELE, JUŻ WPROWADZILI DO SZEROKIEGO OBIEGU WIDEOKASĘ ZE ZŁOCONYMI NAPISAMI W JĘZYKU ARABSKIM UMIESZCZONYMI NA PUDEŁKU, ZAWIERAJĄCYM KOPIĘ FILMU *POSŁANIEC Z ŻYCIA MAHOMETA*.) ROZPOWSZECHNIANIE SIĘ APARATURY WIDEO ROKUJE RÓWNIEŻ ROZWÓJ HANDLU KASETAMI O TEMATYCE SPECJALISTYCZNEJ, ZAWIERAJĄCYMI NA PRZYKŁAD MEDYCZNE MATERIAŁY SZKOLENIOWE DLA PERSONELU SZPITALI LUB INSTRUKTAŻ DLA NABYWCÓW SKŁADANYCH MEBLI ALBO FACHOWE WSKAZÓWKI, Z KTÓRYCH POMOCĄ KAŻDY MOŻE SAM NAPRAWIAĆ USZKODZONY OPIEKACZ DO CHLEBA. NAJWAŻNIEJSZE JEST JEDNAK TO, ŻE ODBIORNIKI WIDEO UMOŻLIWIĄ KAŻDEMU KONSUMENTOWI PRZEJĘCIE DODATKOWO FUNKCJI PRODUCENTA WŁASNYCH WYOBRAŻEŃ I IDEI. I OTO ZNÓW MAMY DO CZYNIEŃIA Z ODMASOWIENIEM SPOŁECZEŃSTWA.

I wreszcie technologia satelitarna umożliwia poszczególnym stacjom tworzenie tymczasowych minisiec zorientowanych na programy specjalistyczne; mogą one, minimalnym kosztem, przetrzucać sygnały od dowolnych nadawców do dowolnego adresata, wymanewrowując w ten sposób istniejące sieci telewizyjne. Przed końcem 1980 roku nadawcy programów telewizji przewodowej będą mieć do dyspozycji 1000 naziemnych stacji odbierających sygnały satelitarne. "Na tym etapie - czytamy w "Television and Radio Age" -

dystrybutor programów musi jedynie nabyć prawo do korzystania z satelity przez pewien czas, by stać się jak gdyby właścicielem telewizyjnej sieci ogólnokrajowej, z której poszczególne audycje może sprzedawać dalej według własnej woli. William J. Donnelly, wiceprezydent do spraw elektronicznych środków przekazu, w wielkiej agencji reklamowej Young and Rubicam, uważa, że satelita "stwarza możliwość większej różnorodności programów o zasięgu ogólnokrajowym nadawanych dla mniejszych grup odbiorców".

Te najrozmaitsze zjawiska mają jedną wspólną cechę: dzielą one masową telewizywnię na mniejsze grupy, a każdy taki podział nie tylko zwiększa naszą kulturową różnorodność, ale głęboko podważa potęgę wielkich sieci telewizyjnych, które do chwili obecnej tak niepodzielnie władały naszymi wyobrażeniami. Sprawę tę ujął zwięźle i bardzo trafnie publicysta "New York Timesa", John O'Connor, pisząc: "Jedno jest pewne. Telewizja komercyjna nie będzie już dłużej mogła dyktować nam tego, co mamy oglądać, ani tego, kiedy mamy oglądać."

To, co na pierwszy rzut oka wydaje się przypadkowym splotem zdarzeń, okazuje się być falą ściśle ze sobą powiązanych przeobrażeń, ogarniających wszystkie środki przekazu - od codziennej prasy i radia po czasopisma i telewizję. Masowe środki komunikacji znalazły się pod ostrzałem. Rozprzestrzeniają się nowe, odmasowione media, które zagrażają panującym wszechwładnie we wszystkich krajach drugiej fali mass mediom, a niekiedy nawet już je w ogóle wypierają i zajmują ich miejsce.

Trzecia fala rozpoczyna przeto prawdziwie nową erę - wiek odmasowionych środków komunikacji. Wraz z nową technosferą zaczyna się rozwijać nowa infosfera. Musi to wywierać ogromny wpływ na sferę ważniejszą od wszystkich innych; tę, która mieści się w ludzkich głowach. Albowiem wszystkie zachodzące przeobrażenia razem wzięte rewolucjonizują nasz obraz świata oraz naszą zdolność jego rozumienia.

KULTURA IMPULSÓW

Odmasowienie środków przekazu prowadzi do odmasowienia umysłów ludzkich. W czasach drugiej fali prasa, radio i telewizja ustawicznie zasypując nas standardowymi wyobrażeniami stworzyły - jak określili to krytycy - "umysłowość masową". Obecnie miejsce mas ludzkich, odbierających te same przekazy wiadomości, zajmują mniejsze, nie-masowe grupy, które odbierają i wzajemnie wymieniają między sobą własne wyobrażenia, poglądy i idee. Całe społeczeństwo przestawia się na różnorodność, która jest dominującą cechą trzeciej fali, a nowe środki komunikacji odzwierciedlają ten proces, równocześnie go przyspieszając.

Wyjaśnia to częściowo fakt, dlaczego coraz bardziej różnicują się opinie na wszelkie

tematy, od muzyki począwszy, a na polityce skończywszy. Zgodność poglądów chwieje się. A w wymiarze indywidualnym każdego człowieka osaczają i zewsząd atakują wyobrażenia fragmentaryczne, sprzeczne lub nie powiązane z sobą, które podważają jego dawne idee i trafiają do świadomości w postaci jakichś niepełnych lub wyrwanych z kontekstu elektronicznych impulsów. Bo przecież, prawdę mówiąc, żyjemy w kulturze impulsów.

"Beletrystyka zawężyła obszar swoich zainteresowań do coraz mniejszych rozmiarów" - skarży się krytyk literacki Geoffrey Wolf i dodaje: "Powieściopisarze ogarniają swą twórczością coraz to węższe wycinki szerszych fragmentów rzeczywistości." W recenzji z niesłychanie popularnych książek z zakresu wydawnictw informacyjnych - *The People's Almanac* i *The Book of Lists* - Daniel Laskin porusza podobną kwestię: "Zamysł stworzenia jakiejś wyczerpującej syntezy wydaje się wprost niemożliwy. Wiedzę o świecie nabywa się przypadkowo, gromadząc na chybił trafił co zabawniejsze, oderwane strzępki i fragmenty." Rozbicie naszych wyobrażeń na mikroimpulsy elektroniczne nie występuje bynajmniej jedynie w książkach i w literaturze pięknej. Z jeszcze większą wyrazistością przejawia się ono w prasie oraz w elektronicznych środkach przekazu.

W perspektywie nowego typu kultury, z jej pokawałkowanymi, nietrwałymi wyobrażeniami, zaczynamy dostrzegać powiększający się rozdział między ludźmi, którzy korzystają ze środków przekazu drugiej fali, a tymi, którzy już korzystają ze środków przekazu trzeciej fali.

Ludzi drugiej fali, stęsknionych za gotowymi, utartymi stereotypami moralnymi i ideologicznymi, nadmiar informacji drażni i dezorientuje. Marzą się im programy radiowe z lat trzydziestych i filmy z lat czterdziestych. Czują się obco w nowym środowisku komunikacyjnym nie tylko dlatego, że to, co słyszą, zagraża im albo ich denerwuje, lecz także dlatego, że nieznamoma i obca jest im sama forma, w jakiej informacje do nich docierają.

Dawniej ludzie otrzymywali długie, powiązane z sobą "ciągi" idei w formie uprzednio zorganizowanej lub zsyntetyzowanej specjalnie dla nich; dziś natomiast zewsząd bombardują ich krótkie, cząstkowe impulsy informacyjne - ogłoszenia i reklamy, nakazy, teorie, urywki depeš, jakieś okrojone kawałki i cząstki zupełnie nie dopasowane do dawno wytworzonych w naszej mentalności "szufladek". Nowe wyobrażenia opierają się klasyfikacji, częściowo dlatego, że czasem nie mieszczą się w dawnych kategoriach pojęciowych, ale również i dlatego, że wyobrażenia te przybierają formę zbyt niezrozumiałą, dziwaczną, nietrwałą i niespójną. Ludzie drugiej fali, oszołomieni - jak mniemają - wariactwami kultury elektronicznej, odczuwają tłumioną wściekłość wobec środków przekazu.

W odróżnieniu od nich ludzie trzeciej fali czują się o wiele swobodniej pod obstrzałem

różnych mikroimpulsów - tych 90-sekundowych wiadomości prasowych z wmontowanymi 30-sekundowymi reklamami, fragmentami piosenki, sloganami, karykaturami, fotomontażami, wyimkami z biuletynu prasowego, wydrukami komputerowymi. Nienasyceń czytelnicy kieszonkowych książek do jednorazowego użytku i magazynów dla hobbystów połykają naraz ogromne ilości informacji. Ale też śledzą oni uważnie nowe koncepcje lub metafory, które sumują lub organizują drobne impulsy w większe całości. Nie próbują wciskać nowych symboli w standardowe kategorie drugiej fali; uczą się tworzyć własne ramy pojęciowe, układać własne "ciągi" mikroimpulsów, jakimi ostrzeliwiają ich nowe środki komunikacji.

Miast zwyczajnie odbierać gotowy model rzeczywistości, zmuszeni jesteśmy do konstruowania i ciągłego rekonstruowania tego modelu. Uginamy się pod ciężarem tego zadania. Ale prowadzi ono jednocześnie ku większej indywidualności, ku odmasowieniu osobowości oraz całej kultury. Niektórzy załamują się pod tym nowym brzemieniem odpowiedzialności albo uciekają w apatię lub złość. Inni natomiast stają się w pełni uformowanymi, wciąż rozwijającymi się, kompetentnymi ludźmi, zdolnymi do funkcjonowania niejako na wyższym poziomie. (W obu przypadkach, a więc wówczas gdy przeciążenia okazują się zbyt wielkie, jak i wtedy, gdy ktoś zdoła im sprostać, rezultat jest raczej odległy od przewidywań wielu socjologów i autorów powieści fantastycznych z epoki drugiej fali; okazało się bowiem, że ludzie nie przypominają jednak w niczym zuniformizowanych robotów, standardowych twórców, którymi tak łatwo było manipulować w powieściach).

Przede wszystkim jednak to odmasowienie cywilizacji, które środki przekazu jednocześnie odzwierciedlają i potęgują, powoduje gigantyczny skok pod względem ilości informacji, jakie wszyscy wymieniamy między sobą. Ten właśnie wzrost ilościowy tłumaczy, czemu stajemy się "społeczeństwem informacyjnym".

Im bardziej bowiem urozmaicona cywilizacja, im bardziej zróżnicowane technologie, rodzaje energii oraz sami ludzie - tym więcej informacji musi przepływać między elementami składowymi, jeżeli całość ma się utrzymać razem, zwłaszcza w warunkach stresu spowodowanego drastyczną zmianą. Organizacja, na przykład, chcąc planować rozsądnie swoją działalność, musi umieć przewidywać (bodaj w przybliżeniu), w jaki sposób inne organizacje będą reagowały na zachodzące zmiany. To samo dotyczy zresztą pojedynczych osób. Im bardziej ludzie są do siebie podobni, tym mniej muszą o sobie wiedzieć, żeby przewidywać nawzajem swoje zachowania. Kiedy ludzie w naszym otoczeniu indywidualizują się i odmasowiają, potrzebujemy więcej informacji - sygnałów i wskazówek

- aby przewidzieć, bodaj z grubsza, w jaki sposób będą się do nas odnosić. A dopóki nie nauczymy się tego trafnie przewidywać, trudno nam będzie razem z nimi pracować, a może nawet żyć.

W rezultacie ludzie i organizacje ustawicznie zabiegają o coraz więcej informacji i cały system zaczyna pulsować coraz to szybszym i obfitszym przepływem różnych danych. Nieustannie powiększając ilość informacji niezbędnych do zbornego utrzymania systemu społecznego oraz zwiększając prędkość wymiany informacji, trzecia fala wstrząsa zrębami przestarzałej i przeciążonej infosfery drugiej fali i buduje nowe fundamenty w miejsce starych.

Rozdział XII

INTELISTENTNE ŚRODOWISKO

Różne ludy świata wierzyły, a niektóre wierzą nadal, że za bezpośrednią, fizyczną realnością rzeczy kryje się jakiś duch; że nawet z pozoru martwe przedmioty, skały ziemskie na przykład, zawierają w sobie żywą moc - manę. Siuksowie nazywali ją wakan. Algonkinowie - manitou. Irokezi - orenda. Dla tych ludzi całe środowisko jest żywe.

Dziś, budując dla cywilizacji trzeciej fali nową infosferę, obdarzamy otaczające nas "martwe" środowisko nie życiem, lecz inteligencją.

Kluczem do tego ewolucyjnego kroku naprzód jest oczywiście komputer. Komputery, które stanowią połączenie pamięci elektronicznej z programem dyktującym maszynie, jak przetwarzać przechowywane dane, w początkach lat pięćdziesiątych były wciąż jeszcze naukowym kuriozum. Ale między rokiem 1955 a 1965, czyli w tej samej dekadzie, w której trzecia fala jęła ogarniać Stany Zjednoczone, komputery zaczęły powoli wkraczać do świata biznesu. Z początku były to pojedyncze urządzenia o niewielkiej wydajności, wykorzystywane głównie w celach obliczeniowych. Wkrótce potem do biur rządów wielkich korporacji wkroczyły maszyny o ogromnej wydajności, przystosowane już do wykonywania najrozmaitszych zadań. Harvey Poppel, zastępca dyrektora agencji Booz Allen and Hamilton zajmującej się poradnictwem w sprawach zarządzania, mówi, że w latach 1965-1977 nastąpiła "era wielkiego komputera centralnego (...) Reprezentuje on szczytowe osiągnięcie, ostateczny przejaw myślenia wieku maszynowego. Stanowi koronne osiągnięcie - ten ogromny superkomputer ukryty w podziemiach, setki stóp pod centrum, w przeciwbombowym (...) antyseptycznym środowisku (...) pod okiem obsługujących go supertechnokratów."

Te scentralizowane giganty wywarły tak olbrzymie wrażenie, że wkrótce stały się standardowym elementem mitologii społecznej. Filmowcy, autorzy komiksów i powieści fantastyczno-naukowych, upatrujący w komputerach symbol przyszłości, przedstawiali je na ogół jako wszechpotężne mózgi, koncentrujące w sobie nadludzką inteligencję.

Tymczasem w latach siedemdziesiątych fakty prześcignęły fantazję, zostawiając daleko w tyle przestarzałe już wyobrażenia. W miarę błyskawicznego postępu miniaturyzacji, ciągłego wzrostu wydajności i zdolności operacyjnej komputera, przy ciągłym obniżaniu średniego kosztu każdej czynności - małe, tanie, wysoce sprawne minikomputery wchodziły w coraz powszechniejsze użycie. Kupowały je sobie fabryki, laboratoria, firmy handlowe i przedsiębiorstwa inżynieryjne. Namnożyło się ich w końcu tyle, że kompaniom czasem

trudno się było połapać, ile komputerów mają. "Mózg" komputera nie był już skoncentrowany w jednym miejscu, został on rozprzestrzeniony po całym urządzeniu.

Inteligencja komputerowa upowszechnia się obecnie w coraz szybszym tempie. W 1977 roku wydatki na tzw. "zdecentralizowane przetwarzanie danych" (DDP - *distributed data processing*) sięgały w USA 300 milionów dolarów. Według obliczeń International Data Corporation (Międzynarodowa Korporacja Informacyjna), czołowej firmy zajmującej się badaniem rynku w tej dziedzinie, przed upływem 1982 roku wydatki te osiągną okrągłą sumę 3 miliardów dolarów. Małe, tanie maszyny, nie wymagające specjalnie wyszkolonych "kapłanów" wiedzy komputerowej, będą wkrótce tak samo wszechobecne, jak maszyna do pisania. Nasze środowisko pracy "uinteligentnia się".

Ale nie tylko ono. Poza sferą przemysłu i biurokracją rządową obserwujemy podobne zjawisko. Niebawem wszyscy się oswoimy z innym zmyslnym urządzeniem, a mianowicie z komputerem domowym. Przed pięciu laty liczba komputerów do użytku domowego była znikoma. Dzisiaj szacuje się, że w pokojach, kuchniach i pracowniach domowych Ameryki furkocze i pobrzękuje 300 000 komputerów.

A przy tym najwięksi producenci, jak IBM lub Texas Instruments, nie zaczęli jeszcze na dobre nimi handlować. Niedługo komputery domowe będą niewiele droższe od telewizorów.

Tych zmyslnych maszyn już dziś używa się w najrozmaitszych celach - pomagają obliczać podatki, kontrolują zużycie energii w gospodarstwie domowym, można z nimi grać w gry towarzyskie, służą do gromadzenia przepisów kulinarnych, do przypominania posiadaczom o zbliżających się terminach spotkań i uroczystości, a także jako "rozumne maszyny do pisania". Te wszystkie funkcje stanowią jednak zaledwie znikomy ułamek pełnych możliwości komputera domowego.

Amerykańska Korporacja Telekomputerowa oferuje swoim klientom usługę pod nazwą "Źródło" (*The Source*): za drobną opłatą posiadacz komputera domowego może uzyskać natychmiastowy dostęp do serwisu agencyjnego United Press International, do informacji z zakresu notowań giełdowych i cen towarów rynkowych, do programów oświatowych dotyczących arytmetyki, języka angielskiego, francuskiego, niemieckiego i włoskiego; może on zostać członkiem komputerowego klubu klientów kupujących z przeceny, zarezerwować sobie hotel lub bilety na podróż itd.

System "Źródło" umożliwi każdemu posiadaczowi taniego komputerowego aparatu odbiorczego komunikowanie się z innymi uczestnikami systemu. Mogą oni na odległość tysiąca mil rozgrywać między sobą mecze brydżowe i szachowe lub partyjki tryktraka. Mogą przysyłać prywatne wiadomości do jednej lub wielu osób naraz oraz przechowywać w

pamięci elektronicznej całą swoją korespondencję. "Źródło" może nawet przyczynić się do utworzenia społeczności "elektronicznych", czyli grup ludzi zjednoczonych wspólnymi zainteresowaniami. Tuzin maniaków fotografii będzie mógł na przykład do upojenia dyskutować o aparatach, sprzęcie, różnych technikach wywoływania i utrwalania filmów, o oświetleniu i filmach kolorowych. Po upływie miesiąca każdy z nich będzie mógł przywołać własne lub cudze wypowiedzi z elektronicznej pamięci "Źródła" powołując się jedynie na temat rozmowy, datę lub inny szczegół zarejestrowany w pamięci komputera.

Rozproszenie komputerów po domach, nie mówiąc już o ich wzajemnych połączeniach w sieci odgałęzień, stanowi kolejny krok naprzód w tworzeniu inteligentnego środowiska. Ale to jeszcze nie wszystko.

Inteligencja komputerowa wkracza bowiem na zupełnie nowy poziom, dzięki równoczesnemu rozwojowi mikroprocesorów i mikrokomputerów, czyli miniaturowych "chipów" zakrzepłej inteligencji, które z czasem znajdą się we wszystkich rzeczach wytwarzanych i używanych przez człowieka.

Oprócz zastosowań w procesach produkcyjnych i w ogóle w gospodarce znalazły już one zastosowanie, lub wkrótce je znajdą, niemal wszędzie - w klimatyzatorach i samochodach, w maszynach do szycia i wagach. Będą sygnalizować i zmniejszać marnotrawstwo energii w domu. Będą regulować ilość proszku do prania i temperaturę wody stosownie do każdego ładunku w pralce automatycznej. Będą regulować układ paliwowy w samochodach. Będą sygnalizować uszkodzenia urządzeń domowych. Będą nam co rano włączać radio, opiekacz, ekspres do kawy oraz prysznic. Będą ogrzewać garaż, zamykać drzwi na klucz i wykonywać mnóstwo drobnych oraz poważniejszych zadań.

O czekających nas, być może już za kilkadziesiąt lat, niespodziankach w tej dziedzinie pisze jeden z czołowych dostawców mikrokomputerów, Alan P. Hald, w zabawnym scenariuszu zatytułowanym: *Mój dom imieniem Fred*.

Czytamy tam: "Komputery domowe już same mówią, rozumieją mowę ludzką i potrafią obsługiwać sprzęt gospodarstwa domowego. Dorzucimy jeszcze kilka czujników, jaki-taki zasób słów i system telefoniczny Bella, a dom wasz będzie mógł podjąć rozmowę z... kim lub z czym tylko zechcecie." Jest wprawdzie jeszcze sporo przeszkód, ale kierunek zmian rysuje się dość wyraźnie.

"Wyobraźcie sobie - powiada Hald - że jesteście w pracy i dzwoni telefon. To Fred, wasz dom. Przeglądając poranne wiadomości o ostatnich włamaniach, Fred odebrał komunikat o pogodzie, ostrzegający przed zbliżającą się ulewą. Skojarzyło się to w pamięci Freda z koniecznością sprawdzenia szczelności dachu. Okazało się, że w jednym miejscu jest

potencjalny przeciek. Jeszcze przed telefonem do was Fred zadzwonił do Slima po radę. Slim to domek w stylu rancho przy tej samej ulicy (...) Fred i Slim często wymieniają między sobą informacje ze swoich banków danych i wiedzą, że obaj zaprogramowani są w taki sposób, aby szybko znaleźć odpowiedni rodzaj usługi potrzebnej do naprawy uszkodzenia (...) Z doświadczenia wiecie, że w tych sprawach można na Fredzie polegać, toteż wyrażacie zgodę na uszczelnienie dachu. Reszta jest raczej prosta - Fred dzwoni po dekarza (...)"

Wszystko to brzmi zabawnie. Ale w tej fantazji jest jakieś przeczucie przyszłego życia w inteligentnym środowisku. Życie w takim środowisku nasuwa szereg mrozących krew w żyłach pytań natury filozoficznej. Czy maszyny opanują świat? Czy inteligentne maszyny, zwłaszcza jeżeli będą połączone ze sobą tworząc sieć wzajemnej komunikacji, mogą wymknąć się spod ludzkiej kontroli? Czy pewnego dnia Wielki Brat nie tylko będzie mógł kontrolować nasze rozmowy telefoniczne, ale również opiekacz do chleba i telewizory, śledząc każdy nasz ruch i nastrój? Na jakie uzależnienie od komputera i "chipa" możemy sobie pozwolić? Czy nasz własny umysł nie ulegnie atrofii, jeżeli obdarzymy inteligencją nasze środowisko materialne? Co się stanie, jeżeli ktoś lub coś wyrwie wtyczkę z kontaktu? Czy zachowamy jeszcze podstawowe umiejętności, niezbędne do przetrwania?

Każde pytanie wywołuje niezliczone kontrpytania. Czy rzeczywiście Wielki Brat może mieć na oku każdy opiekacz i telewizor, każdy silnik samochodowy i sprzęt kuchenny? Gdy inteligencja szeroko rozprzestrzeni się po całym środowisku, gdy ludzie będą mogli wykorzystywać ją w tysiącu miejsc naraz i gdy posiadacze komputerów będą mogli porozumiewać się z sobą bez pośrednictwa komputera centralnego (jak jest to możliwe w wielu zdecentralizowanych sieciach) - czy wtedy Wielki Brat będzie wciąż mógł sprawować nad wszystkim nadzór? Decentralizacja inteligencji może prowadzić nie do wzrostu potęgi państwa totalitarnego, lecz do jego osłabienia. A na dodatek, czyż nie będziemy na tyle sprytni, by przechytryć każdą władzę? W doskonałej, wieloznaczonej powieści Johna Brunnera *Shockwave Rider* główny bohater udaremnia zamiar władzy, która chce za pośrednictwem sieci komputerów kontrolować myśli obywateli. Czy umysł musi ulec atrofii? Jak wkrótce zobaczymy, stworzenie inteligentnego środowiska może przynieść wręcz odwrotny skutek. Czyż konstruując maszyny do wykonywania za nas różnych prac nie możemy zaprogramować ich tak, aby nigdy nie skrzywdziły człowieka, jak uczynił to Robbie w klasycznej powieści Isaaca Asimova *Ja, Robot*? Nie znamy jeszcze odpowiedzi na te pytania i chociaż ignorowanie takich spraw świadczyłoby o braku odpowiedzialności - naiwnością byłoby z góry zakładać, że gatunek ludzki musi przegrać. Przecież jeszcze nawet nie zaczęliśmy w pełni wykorzystywać ludzkiej inteligencji i wyobraźni.

Niezależnie od tego, w co chcemy wierzyć, jedno wszelako jest bezwzględnie oczywiste - to mianowicie, że zasadniczo zmieniamy naszą infosferę. Nie tylko odmasowiamy środki przekazu drugiej fali, ale nasz system społeczny wzbogaca się o całe nowe warstwy komunikacji. Na tle powstającej właśnie infosfery trzeciej fali, infosfera drugiej fali - zdominowana przez mass media, pocztę i telefon - wydaje się już obecnie beznadziejnie prymitywna.

POTĘGOWANIE MÓZGU

Przeobrażając tak głęboko infosferę, nie unikniemy zmian we własnych umysłach - w sposobie myślenia o nurtujących nas problemach, w sposobie syntetyzowania informacji i przewidywania konsekwencji naszych własnych działań. Zmieni się prawdopodobnie rola, jaką w życiu człowieka odgrywa umiejętność pisania i czytania. A być może zmieni się nawet chemia mózgu ludzkiego.

OPISANE PRZEZ HALDA KOMPUTERY I WYPOSAŻONE W ODPOWIEDNIĄ KOSTKĘ MIKROELEKTRONOWĄ URZĄDZENIA GOSPODARSTWA DOMOWEGO, KTÓRE MOGĄ ROZMAWIAĆ Z CZŁOWIEKIEM, WCALE NIE SĄ AŻ TAK FANTASTYCZNE, JAKBY SIĘ MOGŁO WYDAWAĆ. ISTNIEJĄCE DZISIAJ TERMINALE PRZYSTOSOWANE DO REJESTROWANIA "DANYCH GŁOSOWYCH" (*VOICE DATA ENTRY*) JUŻ DZIŚ NIE TYLKO ROZPOZNAJĄ SŁOWNE WYPOWIEDZI W ZAKRESIE TYSIĄCA SŁÓW, ALE TAKŻE REAGUJĄ NA NIE. WIELE KOMPANII - ZARÓWNO TAK WIELKICH, JAK IBM CZY NIPPON ELECTRIC, I TAK MAŁYCH, JAK HEURISTICS INC. LUB KORPORACJA CENTIGRAM - USILNIE PRACUJE NAD POSZERZENIEM ZASOBU SŁÓW, UPROSZCZENIEM TECHNOLOGII I OBNIŻENIEM KOSZTU TEGO TYPU KOMPUTERÓW. SPECJALIŚCI PRZEWIDUJĄ, ŻE ZA 5 LAT, A NAJPOŹNIEJ ZA 20, POWSTANĄ KOMPUTERY POSIADAJĄCE ZDOLNOŚĆ REAGOWANIA NA NORMALNĄ MOWĘ LUDZKĄ; POCIĄGA TO ZA SOBĄ KOŁOSALNE KONSEKWENCJE - ZARÓWNO DLA GOSPODARKI, JAK I DLA KULTURY.

Miliony ludzi są dziś wyłączone z rynku pracy z powodu ich praktycznego analfabetyzmu. Nawet przy najprostszych pracach trzeba umieć wypełnić formularz, wybrać odpowiedni przycisk na tablicy rozdzielczej, trzeba wiedzieć, jak zrealizować czek z własną pensją, trzeba czytać instrukcje itp. W świecie drugiej fali umiejętność czytania należała do najważniejszych kwalifikacji wymaganych przez kadrowców.

Ale analfabetyzm nie ma nic wspólnego z głupotą. Wiadomo, że analfabeci na całym świecie potrafią opanowywać tak skomplikowane dziedziny, jak rolnictwo, budownictwo, myślistwo czy muzyka. Analfabeci miewają często fenomenalną pamięć i władają biegle wieloma językami - czego nie można powiedzieć o większości Amerykanów z

uniwersyteckim wykształceniem. A jednak w społeczeństwach drugiej fali analfabeci byli upośledzeni pod względem ekonomicznym.

Umiejętność czytania jest oczywiście czymś więcej niż tylko sprawnością zawodową. Otwiera dostęp do fantastycznego świata wyobraźni i do wielu przyjemności. W środowisku inteligentnym wszelako, kiedy maszyny, urządzenia, a nawet ściany będą przemawiać ludzką mową, zdolność czytania jako kwalifikacja zawodowa może okazać się mniej niezbędna niż przez ostatnie trzysta lat. Pracownicy biur rezerwacji linii lotniczych, obsługa magazynów i składnic, operatorzy maszyn i mechanicy w punktach napraw oraz w warsztatach będą mogli doskonale wypełniać swoje obowiązki bez konieczności czytania czegokolwiek, wyłącznie słuchając; maszyny będą bowiem mówić im po kolei, co mają robić, lub instruować ich, punkt po punkcie, jak wymienić zepsutą część naprawianego urządzenia.

Komputery nie są nadludźmi. Mogą się popsuć. Robią błędy, niekiedy bardzo niebezpieczne. Nie ma w nich nic magicznego, a już na pewno nie są "duchami" ani "duszami" błądzącymi po naszym środowisku. A jednak przy tych wszystkich cechach należą do najbardziej zadziwiających i niepokojących osiągnięć człowieka; dodają one mocy ludzkiemu umysłowi, niejako - potęgują nasz mózg; tak samo jak niegdyś druga fala dodała mocy ludzkim mięśniom, z tym że my wciąż jeszcze nie wiemy, dokąd nas w końcu zaprowadzi umysł ludzki.

Kiedy oswoimy się ze środowiskiem inteligentnym i nauczymy się rozmawiać z nim niemal od kołyski, wtedy zaczniemy posługiwać się komputerami z wdziękiem i naturalnością trudną dziś do wyobrażenia. I pomogą one nam wszystkim, a nie tylko garstce "supertechnokratów", dogłębniej poznać siebie samych i otaczający nas świat.

DZIŚ NATRAFIAJĄC NA JAKIŚ PROBLEM NATYCHMIAST STARAMY SIĘ ODKRYĆ JEGO PRZYCZYNY. ALE NAWET NAJMĘDRSI MYŚLICIELE PRÓBUJĄ WCIAŻ WYJAŚNIAĆ ZJAWISKA ZA POMOCĄ STOSUNKOWO NIEWIELU ZWIĄZANYCH ZE SOBĄ SIŁ PRZYCZYNOWYCH. BOWIEM NAWET NAJWSPANIALSZY UMYSŁ Z TRUDEM OGARNIA WIĘCEJ NIŻ KILKA ZMIENNYCH NARAZ, NIE MÓWIĄC JUŻ O TYM, JAK TRUDNO JEST CZŁOWIEKOWI NIMI MANIPULOWAĆ.²³ **W konsekwencji stając przed naprawdę skomplikowanym problemem - chcąc na przykład zrozumieć młodocianego przestępcę lub przyczyny inflacji wyniszczającej gospodarke, albo dociec, w jaki sposób urbanizacja wpływa na ekologię pobliskiej rzeki - przeważnie koncentrujemy się na dwóch, trzech czynnikach, pomijamy natomiast wiele innych,**

²³ Choć na poziomie podświadomości lub intuicji możemy jednocześnie ogarnąć wiele czynników, to świadome myślenie o wielu zmiennych jest szalenie trudne - o czym przekonał się każdy, kto tego próbował.

które pojedynczo lub w połączeniu z innymi mogą mieć o wiele większe znaczenie.

Co gorsza, każda grupa ekspertów ma skłonność do przywiązywania pierwszorzędnej wagi do "swoich własnych" przyczyn, z pominięciem innych. Zastanawiając się nad przyczynami zastraszającego upadku miast ekspert do spraw urbanizacji doszuka się przyczyn w zbytnim przeludnieniu i zniszczeniu substancji mieszkaniowej; ekspert w dziedzinie komunikacji miejskiej wskaże na braki występujące w taborze i na niedomagania transportu publicznego; ekspert od opieki społecznej zwróci uwagę na potrzebę zwiększenia środków budżetowych na rozwój żłobków i przedszkoli oraz zaapeluje o większą aktywność społeczną; ekspert w dziedzinie przestępczości wskaże na brak patroli policyjnych; ekspert od spraw ekonomicznych natomiast powie, że wysokie podatki odstraszą ludzi od inwestowania i osłabiają ich przedsiębiorczość; i tak dalej. Wszyscy wspaniałomyślnie zgodzą się, że problemy te jakoś się z sobą łączą, że tworzą one wzajemnie powiązany system. Ale szukając wyjścia z kryzysu, nikt nie jest zdolny wziąć pod uwagę tych wielu złożonych elementów jednocześnie.

KRYZYS WIELKICH MIAST TO TYLKO JEDEN SPOŚRÓD MNÓSTWA "PROBLEMÓW WIĄZANYCH" - JAK TRAFNIE JE NAZWAŁ PETER RITNER W KSIĄŻCE *THE SOCIETY OF SPACE* (SPOŁECZEŃSTWO PRZESTRZENNE). OSTRZEGAŁ ON, ŻE CORAZ CZĘŚCIEJ BĘDIEMY STAWAĆ W OBLICZU KRYZYSÓW, KTÓRYCH "NIE DA SIĘ ROZWIĄZAĆ ZA POMOCĄ «ANALIZY PRZYCZYNOWO-SKUTKOWEJ», LECZ KTÓRE BĘDĄ WYMAGAŁY «ANALIZY OPARTEJ NA WZAJEMNYCH ZALEŻNOŚCIACH». NASZE PRZYSZŁE KRYZYSY NIE BĘDĄ SIĘ SKŁADAĆ Z ELEMENTÓW, KTÓRE MOŻNA ŁATWO ZIDENTYFIKOWAĆ I ROZWIĄZYWAĆ PO KOLEI I Z OSOBNA, LECZ BĘDĄ SIĘ SKŁADAĆ Z SETEK WSPÓLDZIAŁAJĄCYCH CZYNNIKÓW, WYPŁYWAJĄCYCH Z WSPÓLZALEŻNYCH I NAKŁADAJĄCYCH SIĘ NA SIEBIE ŹRÓDEŁ, CZYLI PRZYCZYŃ."

Komputer - zdolny do zapamiętywania i kojarzenia ogromnych ilości elementów przyczynowych - może nam pomóc rozwiązywać takie problemy na poziomie o wiele głębszym, przekraczającym nasze własne możliwości. Może przesiać masę danych, znajdując najgłębiej ukryte prawidłowości. Pomoże nam połączyć oderwane "impulsy" w większe, bardziej zrozumiałe całości. Na podstawie zbioru założeń lub modelu komputer może przewidzieć konsekwencje alternatywnych decyzji i zrobi to lepiej, bardziej systematycznie i dokładniej niż jakkolwiek człowiek. Komputer może nawet podpowiedzieć pomysłowe rozwiązania niektórych zagadnień, ponieważ znajdzie on zupełnie nowe lub dotąd nie dostrzegane związki między ludźmi, środkami i możliwościami.

W nadchodzącej przyszłości ludzka inteligencja, wyobraźnia i intuicja będą nadal odgrywać o wiele większą rolę niż maszyna. Można się jednak spodziewać, że komputery

pogłębią samo rozumienie przyczynowości w naszej kulturze, pomogą nam lepiej zrozumieć wzajemne zależności między rzeczami i zjawiskami oraz poprawią naszą zdolność do syntezy oderwanych faktów w spójną i zrozumiałą całość. Komputer może być antidotum na elektroniczną "kulturę impulsów".

Jednocześnie inteligentne środowisko może w przyszłości nie tylko zmienić sposób, w jaki analizujemy problemy oraz kojarzymy informacje, lecz także wpłynąć na procesy chemiczne zachodzące w mózgu. Między innymi David Krech, Marian Diamond, Mark Rosenzweig i Edward Bennett wykazali eksperymentalnie, że zwierzęta umieszczone we "wzbogaconym" środowisku mają korę mózgową o większej powierzchni, więcej komórek glejowych, większe neurony i bardziej aktywne neurotransmitery oraz że mózg tych zwierząt jest lepiej ukrwiony niż u zwierząt przebywających w normalnym środowisku. Czy powiększając złożoność środowiska i podwyższając jego inteligencję nie rozwijamy przypadkiem także naszej własnej inteligencji?

Nad tą kwestią zastanawia się dyrektor naukowy nowojorskiego Instytutu Psychiatrii, jeden z czołowych neuropsychiatrów na świecie, dr Donald F. Klein. Powiada on:

"Doświadczenia Krecha nasuwają wniosek, że jednym z czynników wpływających na inteligencję jest stopień urozmaicenia i poziom reagowania na bodźce środowiska, w którym ktoś przebywa we wczesnym okresie życia. Dzieci wzrastające w środowisku "głupim" - nie pobudzającym, ubogim, biernym - szybko nauczą się rezygnacji i bierności. Postawa taka wiąże się z najmniejszym marginesem błędu; ludziom tak wychowanym opłaca się ostrożność, konserwatyzm, brak dociekliwości i kompletna bierność, a żadna z tych cech nie ćwiczy umysłu i nie rozwija go.

Z drugiej strony, u dzieci wychowywanych w środowisku bystrym, reagującym na bodźce, złożonym i pobudzającym, mogą rozwinąć się zupełnie inne cechy. Jeżeli dziecko może zażądać od otoczenia wykonania różnych czynności, wcześniej uniezależni się ono od rodziców. Wyrobi w sobie poczucie odpowiedzialności i kompetencji. Będzie sobie mogło pozwolić na rozbudzanie i zaspokajanie dociekliwości, instynktu badawczego i wyobraźni; przyjmie postawę aktywnego rozwiązywania problemów. Te cechy mogą powodować pewne zmiany w samym mózgu. Na razie możemy tu tylko snuć przypuszczenia. Ale nie możemy wykluczyć, że inteligentne środowisko wpłynie na powstanie nowych synaps i powiększenie kory mózgowej. W inteligentniejszym środowisku ludzie też mogą być inteligentniejsi."

Ale to jedynie posmak zmian o dużo poważniejszym znaczeniu, jakie wnosi z sobą nowa infosfera. Odmasowianie środków przekazu oraz towarzyszący temu awans komputera przeobrażają bowiem również naszą pamięć społeczną.

PAMIĘĆ SPOŁECZNA

Pamięć można podzielić na czysto osobistą lub prywatną oraz na taką, która jest wspólna wielu ludziom, czyli społeczną. Nie dzielona z nikim pamięć prywatna człowieka umiera wraz z nim. Pamięć społeczna żyje dłużej. Nadzwyczajna zdolność człowieka do przechowywania i przywoływania wspólnie pamiętanych faktów stanowi tajemnicę sukcesu ewolucyjnego gatunku ludzkiego. Przeto wszystko, co w istotnej mierze przyczynia się do zmiany sposobu, w jaki tworzymy i przechowujemy pamięć społeczną oraz w jaki się nią posługujemy, dotyka samej istoty ludzkiego przeznaczenia.

Dwukroć w trakcie swych dziejów ludzkość zrewolucjonizowała swą pamięć społeczną. Dziś, zaangażowani już w budowę nowej infosfery, znajdujemy się w przededniu kolejnego przeobrażenia pamięci zbiorowej.

Początkowo społeczności ludzkie zmuszone były przechowywać swą wspólną pamięć w tym samym miejscu, gdzie kryła się pamięć prywatna, czyli w umysłach ludzi. Starszyzna plemienna, mędrcy oraz inne osoby nosiły w sobie tę pamięć w postaci historii, mitu, mądrości oraz legendy i ludzie ci przekazywali to wszystko swym dzieciom w formie opowiadań, pieśni, ballad i przykładów. Wszystkie doświadczenia człowieka dotyczące sposobów rozniesienia ognia, wiązania traw lub młócenia jadalnych korzeni taro, ostrzenia pługa lub hodowli bydła, były przechowywane w neuronach, głąkach i w synapsach mózgu ludzkiego.

Dopóki tak było, rozmiary pamięci społecznej były bardzo ograniczone. Choćby starcy plemienni mieli najwspanialszą pamięć, a wszyscy z wielką łatwością zapamiętywaliby pieśni i mądre pouczenia - to jednak cała pamięć społeczeństwa mieściła się tylko w głowach ludzi należących do danej społeczności.

Cywilizacja drugiej fali złamała barierę pamięci. Upowszechniła masową oświatę. Wprowadziła systematyczną księgowość. Zbudowała tysiące bibliotek i muzeów. Wymyśliła kartotekę i segregator. Słowem - przeniosła pamięć z głowy ludzkiej w nowe miejsce i znalazła lepsze sposoby przechowywania pamięci, rozszerzając jednocześnie jej zasięg poza dotychczasowe granice. Zwiększając zasoby nagromadzonej wiedzy przyspieszyła ona procesy innowacji i przemian społecznych; dzięki temu cywilizacja drugiej fali stała się najszybciej zmieniającą się i rozwijającą kulturą z wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały na świecie.

Dziś wkraczamy w zupełnie nowy etap pamięci społecznej. Radykalne odmasowianie środków przekazu, wynalezienie nowych mediów, wykreślanie map ziemi za pomocą

satelitów, kontrolowanie pacjentów w szpitalach czujnikami elektronicznymi, komputeryzacja archiwów w przedsiębiorstwach - wszystko to oznacza, że nauczyliśmy się rejestrować najdrobniejsze szczegóły tego, co dzieje się w naszej cywilizacji. Jeżeli nie obrócimy w popiół całej ziemi, a wraz z nią naszej pamięci społecznej, staniemy się w niedługim czasie cywilizacją posiadającą możliwość wywoływania z pamięci absolutnie każdej informacji. Cywilizacja trzeciej fali będzie miała do swojej dyspozycji więcej informacji o sobie, i to informacji bardziej precyzyjnie zorganizowanych, niż wydawało się to możliwe jeszcze ćwierć wieku temu.

Przejście do pamięci społecznej trzeciej fali ma jednak nie tylko charakter ilościowy. Tej nowej pamięci nadajemy jak gdyby również cechy życia.

Kiedy pamięć społeczna była przechowywana w umysłach ludzi, podlegała ona ustawicznie erozji, odświeżano ją, poruszano, składano w nowe połączenia i wciąż na nowe sposoby kojarzono jej elementy. Pamięć była aktywna, dynamiczna. Była - w najbardziej dosłownym sensie - pamięcią żywą.

Cywilizacja przemysłowa przeniosła znaczną część pamięci społecznej poza umysł człowieka. Pamięć uległa wtedy obiektywizacji. Zaczęto ją gromadzić w wytworach ręki ludzkiej - w książkach, na listach płac. w gazetach, fotografiach i filmach. Ale symbol raz uwieczniony na papierze, zdjęcie raz zatrzymane na błonie, gazeta raz wydrukowana - pozostawały bierne, statyczne. Dopiero gdy symbole te ponownie wprowadzano do mózgu ludzkiego, nabierały one życia i można było nimi znów manipulować, przedstawiać je lub łączyć na nowe sposoby. Cywilizacja drugiej fali ogromnie rozbudowała rozmiary pamięci społecznej, ale sprawiła równocześnie, że pamięć zastygła w bezruchu.

Narodziny infosfery trzeciej fali stanowią taki podniecający przełom historyczny właśnie dlatego, że pamięć społeczna nie tylko się kolosalnie powiększy, ale przy tym przestanie być martwa i niezmienna. Komputer, zdolny do przetwarzania przechowywanych danych, stanowi zapowiedź bezprecedensowej w dziejach sytuacji; dzięki niemu pamięć społeczna może być nie tylko rozległa i nieograniczona, ale jednocześnie aktywna. Połączenie tych dwóch zjawisk przyniesie ogromny postęp.

Wykorzystanie tej spotęgowanej pamięci ożywi aktywność kulturową. Przecież dzięki komputerowi nie tylko możemy organizować lub syntetyzować oderwane „impulsy” w spójne i zrozumiałe modele rzeczywistości; komputer ogromnie rozszerza granice naszych własnych możliwości. Biblioteka czy kartoteka nie potrafią myśleć, a tym bardziej myśleć w sposób nieortodoksyjny, nowatorski. Tymczasem od komputera możemy zażądać, aby „myślał o rzeczach nie do pomyślenia”; o tym, o czym nikt nigdy jeszcze nie pomyślał. Może popłynąć

strumień nowych teorii, idei, ideologii, poglądów artystycznych, wynalazków technicznych, politycznych innowacji - jakie w najdosłowniejszym sensie były dotychczas nie do pomyślenia lub przekraczały naszą wyobraźnię. Przez to właśnie komputer przyspiesza historyczne przeobrażenia oraz stanowi siłę napędową, prowadzącą do zróżnicowania społecznego charakterystycznego dla trzeciej fali.

We wszystkich poprzednich epokach społecznych w skład infosfery wchodziły środki służące do komunikacji między ludźmi. Trzecia fala zwielokrotnia liczbę i rodzaje tych środków. Ale również po raz pierwszy w dziejach wprowadza potężne środki służące do komunikacji między maszynami, oraz - co napawa jeszcze większym zdumieniem - urządzenia do porozumiewania się istot ludzkich z otaczającym ich inteligentnym środowiskiem. Jeżeli rozejrzemy się wokół siebie, zobaczymy wyraźnie, że ta rewolucja w infosferze ma przynajmniej równie przełomowy charakter jak rewolucja ogarniająca technosferę - czyli system energetyczny oraz bazę technologiczną społeczeństwa.

Nowa cywilizacja powstaje w zawrotnym tempie na wielu poziomach naraz.

Rozdział XIII

ZMIERZCH PRODUKCJI MASOWEJ

Pewnego dnia, nie tak dawno temu, zjeżdżałem wynajętym samochodem krętymi drogami z ośnieżonych szczytów Gór Skalistych, przecinając płaskie wyżyny, w dół aż do podnóży tego majestatycznego pasma górskiego po jego wschodniej stronie. Tu, w Colorado Springs, przy wspaniałej pogodzie, podjechałem do długiego kompleksu niskich zabudowań usadowionych wzdłuż autostrady; wydawały się one jeszcze niższe na tle wysokich gór, majaczących na horyzoncie.

Gdy tylko wszedłem do budynku, od razu przypomniały mi się fabryki, w których kiedyś pracowałem: stukot i huk w nich panujący, brud, dym i tłumiony gniew. Od lat, odkąd zaprzestaliśmy pracy fizycznej, moja żona i ja staliśmy się "bywalcami fabryk". Celem naszych podróży po całym świecie nie są ruiny katedr ani obiekty przyciągające zazwyczaj turystów; zawsze staramy się natomiast zobaczyć, jak pracują ludzie. Nic bowiem lepiej nie powie nam o ich kulturze. I teraz, w Colorado Springs, znowu przybyłem do fabryki. Słyszałem już, że jest to jeden z najnowocześniejszych zakładów przemysłowych na świecie.

Wkrótce wyjaśniło się, dlaczego. W takich bowiem fabrykach spotykamy najnowocześniejszą technologię i najnowocześniejsze systemy informacyjne - oraz praktyczne efekty wynikające z połączenia obu tych zjawisk.

Zakłady Hewlett-Packarda wytwarzają urządzenia elektroniczne o łącznej wartości 100 milionów dolarów rocznie; są to między innymi lampy elektronopromieniowe do monitorów telewizyjnych i urządzeń medycznych, oscyloskopy, "analizatory logiczne" do przeprowadzania testów oraz wiele jeszcze bardziej wymyślnych urządzeń. Spośród zatrudnionych tutaj 1700 osób przynajmniej 40 procent stanowią inżynierowie, programiści, technicy, inni pracownicy umysłowi i kadra kierownicza. Pracują oni w przestronnych, wysokich pomieszczeniach. Jedną ścianę zajmuje gigantyczne okno widokowe, wypełnione imponującym widokiem góry Pikes. Pozostałe ściany pomalowano na jasnożółty lub biały kolor. Winyłowe podłogi w jasnych barwach są lśniące i szpitalnie czyste.

Wszyscy pracownicy zakładów Hewlett-Packarda - od urzędników po informatyków, od dyrektora po monterów i kontrolerów - pracują nie w osobnych pokojach, lecz w otwartych wnękach we wspólnej hali. Rozmawiając nie przekrzykują stukotu maszyn, mogą mówić normalnie, nie podnosząc głosu. Ubrani są tak, jak chodzą po ulicy, nie sposób więc odróżnić, kto zajmuje jakie stanowisko i jaką pełni funkcję. Stoły i biurka, przy których siedzą pracownicy wydziału produkcji, zdobią rośliny doniczkowe, kwiaty i bluszcz, co nasuwa

skojarzenie z ogrodem lub oranżerią.

Przemierzając hale myślałem sobie, cóż to byłby za wstrząs, gdybym w jakiś magiczny sposób mógł wziąć moich dawnych kolegów z odlewni i fabryki samochodów - z tego potwornego hałasu i brudu, od ciężkiej fizycznej pracy i surowej dyscypliny narzucanej przez dyrekcję - i przenieść ich w to nowoczesne środowisko pracy.

Patrząc na to wszystko, oniemieli by ze zdumienia. Bardzo wątpię, aby zakłady Hewlett-Packarda były dla robotników rajem i myślę, że moi koledzy nie daliby się łatwo nabrać. Dopytywaliby się po kolei o zarobki i premie, o zasady ubezpieczenia, o sposób załatwiania skarg i wniosków, jeśli w ogóle te sprawy są jakoś regulowane. Chcieliby wiedzieć, czy egzotyczne, nowe materiały, używane w tym zakładzie, są rzeczywiście nieszkodliwe, i czy nie istnieją żadne zagrożenia dla zdrowia. Przyjęliby oni, i słusznie, że nawet w warunkach pozornie obojętnych stosunków wzajemnych jedni ludzie muszą wydawać polecenia, a inni muszą je wykonywać.

Tym niemniej bystry wzrok moich dawnych kolegów pozwoliłby im dojrzeć to, co nowe i najbardziej odmienne od rzeczy dobrze im znanych z klasycznej fabryki. Zauważyliby na przykład, że pracownicy zakładów Hewlett-Packarda zamiast jednocześnie odbijać karty i pędzić równocześnie do swoich stanowisk, mogą w pewnych granicach ustalać sobie własne godziny pracy. Nie zmusza się ich do przebywania w jednym miejscu i mogą swobodnie poruszać się po całym zakładzie. Moi starzy przyjaciele nie mogli by się nadziwić, że pracownicy Hewlett-Packarda mają prawo - znowu w pewnych granicach - ustalać dla siebie własne normy pracy. Że mogą zwracać się do dyrekcji lub inżynierów, nie przejmując się ich stanowiskiem czy oficjalną hierarchią. Że mogą ubierać się, jak im się podoba. Słowem, że mogą zachować swoją indywidualność. W rzeczywistości, moim dawnym towarzyszom w podkutych buciorach, brudnych kombinezonach i robociarskich czapkach trudno byłoby, jak sądzę, w ogóle uznać to miejsce za fabrykę.

Jeżeli przyjmiemy, że fabryka jest miejscem produkcji masowej, to mieliby oni rację. Wszak to, co się odbywa w tym zakładzie, nie ma nic wspólnego z produkcją masową. Tutaj znaleźliśmy się już poza produkcją masową.

CO KOT NAPŁAKAŁ I TRYKOTOWE BLUZECZKI

Powszechnie wiadomo, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat procentowa liczba robotników zatrudnionych w produkcji przemysłowej w krajach wysoko rozwiniętych stale malała. (W USA zaledwie 9 procent całej ludności, czyli 20 milionów robotników, produkuje obecnie towary dla 220-milionowej ludności. Pozostałe 65 milionów zatrudnionych świadczy usługi

lub manipuluje symbolami.) W miarę jak w uprzemysłowionych krajach coraz szybciej kurczył się sektor wytwórczy, produkcję przemysłową zaczynały wykonywać dla nich tak zwane kraje rozwijające się - od Algierii i Meksyku po Tajlandię. Tak oto bogate kraje zaczęły eksportować do biednych krajów najbardziej zacofane gałęzie przemysłu, pozbywając się ich tak samo, jak przerdzewiały, starych samochodów.

Z przyczyn strategicznych i ekonomicznych bogate kraje nie mogą sobie pozwolić na zupełne poniechanie produkcji przemysłowej; nie staną się one więc całkowicie "społeczeństwami usługowymi" czy "gospodarkami informacyjnymi".

Obraz świata, w którym bogate narody żyłyby z produkcji niematerialnej, cała zaś reszta zajmowałaby się wytwarzaniem dóbr materialnych, jest bardzo uproszczony. Bogate kraje nadal będą wytwarzać podstawowe dobra - lecz zatrudniając przy tym mniej ludzi. Ulega bowiem zmianie sposób produkcji tych dóbr.

Istotą produkcji drugiej fali były długie serie milionów identycznych, standardowych przedmiotów. W przeciwieństwie do tego, istotę produkcji trzeciej fali stanowi krótka seria przedmiotów robionych częściowo lub całkowicie na zamówienie.

Produkcję przemysłową w dalszym ciągu pojmuje się w kategoriach długich serii i nadal, oczywiście, wyrabia się papierosy w miliardach sztuk, tkaniny w milionach metrów, żarówki, zapalki, cegły czy świece zapłonowe w astronomicznych ilościach. I będzie tak niewątpliwie jeszcze przez jakiś czas. Ale są to akurat produkty zacofanych gałęzi przemysłu, nie zaś nowoczesnych. Dziś stanowią one już tylko 5 procent wszystkich produkowanych u nas artykułów przemysłowych.

Publicysta czasopisma "Critique", poświęconego studiom nad systemem radzieckim, zauważa między innymi, że podczas gdy "kraje słabiej rozwinięte - gdzie dochód na głowę ma wartość od 1000 do 2000 dolarów rocznie, są nastawione na produkcję masową", to "kraje o najwyższym stopniu rozwoju (...) skupiają się na eksporcie pojedynczych egzemplarzy i krótkich serii towarów przemysłowych, których produkcja wymaga wysoko wykwalifikowanej siły roboczej i (...) wysokich kosztów badawczych: komputerów, maszyn specjalistycznych, samolotów, zautomatyzowanych systemów produkcyjnych, barwników o skomplikowanej technologii wytwarzania, produktów farmaceutycznych, polimerów i tworzyw opartych na najnowocześniejszych technologiach."

W Japonii, RFN, USA, a nawet w ZSRR można zaobserwować tendencję do odwrotu od produkcji masowej w takich dziedzinach, jak urządzenia elektryczne, przemysł chemiczny, sprzęt lotniczy, elektronika, pojazdy o specjalnym przeznaczeniu, tele- i radiokomunikacja itp. Na przykład w supernowoczesnych zakładach Western Electric na północy stanu Illinois

produkuje się ponad 400 różnych typów "zestawów obwodów" w seriach nie większych niż dwa tysiące sztuk, a czasem zaledwie dwie sztuki miesięcznie. W zakładach Hewlett-Packarda w Colorado Springs serie zazwyczaj nie przekraczają 50 do 100 sztuk produkowanych urządzeń.

Przechodzenie na krótkie serie i produkcję pojedynczych urządzeń na zamówienie klienta można również zaobserwować w zakładach IBM, McDonnell Douglas, Westinghouse i General Electric w USA, u Plessey i w ITT w Wielkiej Brytanii, u Siemens w Niemczech oraz u Ericssona w Szwecji. Norweska firma Aker Group, która kiedyś budowała 45 procent wszystkich statków w tym kraju, przerzuciła się na urządzenia do poszukiwania ropy na dnie morskim. Rezultat: przejście od "seryjnej produkcji" statków do "robionych na zamówienie" urządzeń do wierceń przybrzeżnych.

Potentat przemysłu chemicznego, kompania Exxon - według słów jednego z jej dyrektorów. R.E. Lee - "przechodzi na produkcję krótkoseryjną: kompania specjalizuje się w polipropylenowych i polietylenowych tworzywach ciągliwych używanych do produkcji rur, oblicówek, boazerii itp. Zakłady w Paramins przyjmują coraz więcej indywidualnych zamówień. Niektóre serie są tak małe - dodaje dyrektor Lee - że nazywamy je «co kot napłakał»."

O przemyśle zbrojeniowym nadal myśli się przeważnie w kategoriach produkcji masowej, ale w rzeczywistości i tu nastąpiło już "odmasowienie" produkcji. Wyobraźmy sobie miliony identycznych mundurów, hełmów i karabinów. Tymczasem większość wyposażenia nowoczesnej armii nie pochodzi wcale z produkcji masowej. Odrzutowce bojowe można robić w jednorazowych krótkich seriach od 10 do 50 samolotów. Każdy z nich może być nieco inny, zależnie od przeznaczenia i rodzaju służby. A przy takich małych zamówieniach wiele części, z których składa się samolot, często produkuje się w równie krótkich seriach.

I tak otwierająca oczy na rzeczywistość analiza wydatków Pentagonu - obliczonych na podstawie ilości zakupionych produktów końcowych - wykazała, że z sumy 9,1 miliarda dolarów wydatkowanej na takie potrzeby, wśród których można ustalić liczbę produktów końcowych, przynajmniej 78 procent (czyli 7,1 mld dol), przeznaczano na sprzęt i urządzenia produkowane w seriach poniżej 100 sztuk.

Nawet w dziedzinach, gdzie części składowe produkowane są nadal na masową skalę w ogromnych ilościach - co zresztą dotyczy niektórych bardzo dobrze rozwiniętych gałęzi przemysłu - pojedyncze elementy lub podzespoły łączone są tak, że w rezultacie powstaje szereg zupełnie różnych produktów końcowych; każdy z nich jest następnie produkowany w krótkich seriach.

Wystarczy popatrzeć, jak wiele niewiarygodnie rozmaitych aut krąży po autostradach Arizony, aby stwierdzić, że niegdyś jednolity rynek samochodowy jest obecnie w dużym stopniu zróżnicowany; nawet więc "tyranozaury" technologii, jakimi zawsze byli producenci samochodów, zostali zmuszeni do tego, aby - acz niechętnie - wrócić do częściowej indywidualizacji samochodów. Przemysł motoryzacyjny w Europie, Stanach Zjednoczonych i Japonii produkuje obecnie na masową skalę części i podzespoły, które następnie montuje się na różne sposoby.

A z innej dziedziny weźmy na przykład popularne trykotowe bluzeczki. Robi się je masowo, w produkcji seryjnej. Ale nowe metody pozwalają tanio i szybko nadrukowywać bardzo krótkie serie różnych wzorów lub napisów. W rezultacie rynek zarzucony jest trykotkami z zabawnymi hasłami, które identyfikują posiadacza jako miłośnika Beethovena, piwosza albo gwiazdę porno. Samochody, trykotowe bluzeczki oraz wiele innych artykułów reprezentuje etap pośredni między produkcją masową i bardziej zindywidualizowaną, odmasowioną.

Jeden krok dalej i dochodzimy do produkcji na zamówienie, polegającej na tym, że powstają pojedyncze, niepodobne do siebie przedmioty. Wyraźnie widać, że właśnie w tym kierunku zmierzamy. Przemysł zacznie produkować towary spełniające indywidualne wymagania poszczególnych użytkowników.

Według Roberta H. Andersona, który jest szefem działu informacji i ekspertem w dziedzinie modernizacji produkcji w Rand Corporation: "W niedalekiej przyszłości wcale nie będzie trudniej produkować rzeczy na zamówienie (...) niż dziś (...) wytwarzać je na masową skalę (...) Mamy już za sobą etap modularyzacji, kiedy to robi się wiele modułów i następnie łączy się je z sobą (...) zbliżamy się do etapu, w którym będziemy produkować artykuły na obstalunek. Tak jak ubrania."

Przejście do coraz większej indywidualizacji w produkcji najlepiej symbolizuje komputerowe urządzenie laserowe, zastosowane po raz pierwszy przed kilku laty w przemyśle odzieżowym. Dawniej, zanim druga fala przyniosła z sobą produkcję masową, gdy człowiek chciał sobie sprawić coś z ubrania, szedł do krawca lub krawcowej albo szyla mu własna żona. W każdym razie odzież powstawała na zasadzie rękodziela, była szyta na miarę. Wszystko, co szyto, robiono w zasadzie na zamówienie klienta.

Wraz z nadejściem drugiej fali zaczęliśmy produkować identyczne ubrania na masową skalę. W tym systemie krojczy kładł materiał warstwami, jedną na drugą, na to kładł wykrój, następnie prowadził po jego obwodzie elektryczny nóż i otrzymywał w ten sposób wiele identycznych form materiału. Łączone następnie według takiego samego wzoru, zmieniały się

w produkty identyczne pod względem rozmiaru, fasonu, koloru itd.

Nowe urządzenie laserowe działa na zupełnie innej zasadzie. Z jego pomocą nie robi się wykrojów na 10, 50, 100 czy nawet 500 koszul lub marynarek. Na raz powstaje jeden wykrój. Ale za to o wiele szybciej i taniej niż przy użyciu metody stosowanej dotąd w produkcji masowej. Laserowe nożyce pozwalają do minimum zredukować odpady; eliminują one również potrzebę istnienia wielkich magazynów do składowania towarów. Z tych właśnie powodów prezydent firmy Genesco, jednego z potentatów przemysłu odzieżowego w USA, jest zdania, iż "urządzenia laserowe można zaprogramować tak, że wykonanie jednej sztuki odzieży na miarę będzie opłacalne". Oznacza to, że pewnego dnia mogą zniknąć także standardowe rozmiary ubrań. Może kiedyś będziemy telefonicznie podawać swoje wymiary lub ustawiać się przed specjalną wideokamerą, która przekaże dane wprost do komputera, a ten z kolei poinstruuje krawiecki kombajn laserowy, aby uszył ubranie, skrojone dokładnie według wziętej miary.

Mamy więc do czynienia z krawiectwem na miarę opartym na wysokiej technologii. Przywracamy w ten sposób system produkcji powszechny przed rewolucją przemysłową, wszelako obecnie jego podstawę stanowi złożona, nowoczesna technologia. Tak samo jak postępuje odmasowienie środków przekazu, odmasowieniu ulegają wyroby fabryczne.

EFEKT SZYBKOŚCI

Do zmiany sposobu wytwarzania towarów przyczynia się też wiele innych, zupełnie nadzwyczajnych wynalazków.

Podczas gdy w jednych gałęziach przemysłu odchodzi się właśnie od produkcji masowej ku krótkoseryjnej, w innych ten etap już przekroczone i produkcja odbywa się na zasadzie pełnej ciągłości przy równoczesnej indywidualizacji towarów odpowiadających wymaganiom poszczególnych klientów. Zamiast uruchamiania i zatrzymywania maszyn na początku i na końcu każdej krótkiej serii, maszyny automatycznie przestawiają się w trakcie procesu produkcyjnego tak, że poszczególne wyroby - jeden inny od drugiego - schodzą z taśmy nieprzerwanym strumieniem. Krótko mówiąc, zmierzamy ku indywidualizacji wyrobów maszynowych przy jednoczesnej nieprzerwanej ciągłości procesów produkcyjnych.

Inną, jak wkrótce się przekonamy, bardzo istotną zmianą jest bezpośrednie włączenie klienta w sam proces produkcyjny. W niektórych gałęziach przemysłu zaledwie krok dzieli nas od sytuacji, gdy kompania zamawiająca jakiś asortyment zaprogramuje według własnej specyfikacji komputery fabryczne, które z kolei nastawią odpowiednio linię produkcyjną. Kiedy ten system się rozpowszechni, klient zintegruje się z procesem produkcyjnym do tego

stopnia, że trudno będzie powiedzieć, kto faktycznie jest klientem, a kto producentem.

Wreszcie, podczas gdy przemysł drugiej fali miał kartezjański charakter, gdyż wszystkie wyroby rozkładano najpierw na części, a potem starannie montowano z nich gotowe przedmioty, to wytwórczość przemysłową trzeciej fali możemy nazwać postkartezjańską lub "holistyczną". Dobrze to ilustruje choćby przykład zwyczajnej fabryki zegarków. Zawsze dotąd zegarki powstawały z setek ruchomych elementów, obecnie natomiast potrafimy już robić zegarki jeszcze dokładniejsze i bardziej niezawodne, w których w ogóle nie ma żadnych ruchomych części. Podobnie dzisiejszy telewizor Panasonic składa się z połowy elementów, jakie znajdowały się w telewizorze 10 lat temu. W miarę jak coraz więcej wyrobów opiera się na "cudownych kostkach" - czyli miniaturowych mikroprocesorach - coraz częściej zastępują one tradycyjne części składowe. Exxon zaczął produkcję nowej maszyny do pisania "Oyx" składającej się zaledwie z garstki ruchomych części, w porównaniu z paroma setkami elementów maszyny IBM Selectric. Podobnie popularna kamera filmowa Canon AE-1,35 mm, ma obecnie o 300 części mniej niż jej poprzedni model. Aż 175 osobnych elementów znajdujących się w dawnej kamerze zastąpił jeden "chip" produkowany w firmie Texas Instruments.

Przez interwencję na poziomie molekularnym, posługując się projektami powstałymi z pomocą komputerów lub innych nowoczesnych urządzeń fabrycznych, integrujemy coraz więcej funkcji w coraz mniejszej liczbie części, zastępując wiele odrębnych elementów kilkoma "całościami". To, co obserwujemy, można porównać do powstania fotografii i jej znaczenia dla sztuk plastycznych. Fotograf - miast tworzyć obraz nakładając niezliczone plamy farby na płótno - "robi" od razu cały obraz naciskając spust migawki. Ten sam "efekt szybkości" zaczynamy już obserwować również w fabrykach.

Tak więc kierunek rozwoju jest jasny. Kolosalne zmiany w sferze techniki i informacji powodują zmianę w sposobie wytwarzania rzeczy. W szybkim tempie wychodzimy poza tradycyjną produkcję masową i podążamy w kierunku supernowoczesnego połączenia masowych i odmasowionych przedmiotów. Oczywisty jest już ostateczny cel tego procesu: całkowicie zindywidualizowane artykuły, powstające w wyniku holistycznych, nieprzerwanych procesów produkcyjnych, odbywających się coraz częściej pod bezpośrednim nadzorem konsumenta.

Krótko mówiąc, rewolucjonizujemy najgłębszą strukturę produkcji sprawiając, że przez wszystkie warstwy społeczeństwa przenikają prądy tych przemian. Będą one wpływać na studenta zastanawiającego się nad wyborem przyszłej pracy, na ekonomistów planujących inwestycje gospodarcze oraz na ekspertów opracowujących strategiczny plan rozwoju kraju.

Jednakże przemiany te trzeba dostrzegać nie w izolacji, lecz w bezpośrednim związku z jeszcze jedną rewolucją - tą, która przeobraża dzisiejsze biura.

CZYŻBY ŚMIERĆ SEKRETARKI?

W zamożnych krajach spada zapotrzebowanie na robotników zatrudnionych w produkcji przemysłowej, zwiększa się natomiast liczba ludzi tworzących pomysły, patenty i formuły naukowe, a także wyspecjalizowanych w rachunkowości i fakturowaniu, w planach reorganizacyjnych, prowadzeniu archiwów i akt, w badaniu rynku, w promocji artykułów handlowych, w korespondencji, w sporządzaniu diagramów i wykresów, w obsłudze prawnej, w sporządzaniu specyfikacji technicznych i programów komputerowych oraz w tysiącu innych zajęć umysłowych polegających na operowaniu informacjami i symbolami. Ten awans prac umysłowych, technicznych i administracyjnych występuje w oczywisty sposób w tych krajach, że przytaczanie danych liczbowych, potwierdzających to zjawisko, wydaje się zbędne. Niektórzy socjologowie uważają wręcz, że coraz większa liczba zajęć o charakterze abstrakcyjnym dowodzi, iż społeczeństwo wkroczyło w stadium "postindustrialne".

Tymczasem sytuacja jest bardziej złożona. Rozwój prac umysłowych można bowiem raczej rozumieć jako przedłużenie industrializmu, jako kolejny, szczytowy przypływ drugiej fali, a nie jako przeskok do nowego systemu. Chociaż prawdą jest, że praca stała się bardziej abstrakcyjna i mniej konkretna, to jednak biura, w których tę pracę się wykonuje, nadal wzorowane są na fabrykach drugiej fali; sama zaś praca - poćwiartowana na cząstki i fragmenty - nadal jest tam monotonna, nudna i odczłowieczająca. Nawet dzisiaj większość reorganizacji prac biurowych zmierza przede wszystkim do tego, by biuro jeszcze bardziej przypominało fabrykę.

W tej "manufakturze symboli" cywilizacja drugiej fali stworzyła również wzorowany na fabryce system kastowy. Załoga fabryki dzieli się na pracowników fizycznych i nie-fizycznych. W biurze, podobnie, pracownicy dzielą się na dwie kategorie. Jedni, stanowiący elitę technokratyczną, zajmują się pracami o "wysokim stopniu abstrakcyjności"; są to naukowcy, inżynierowie i członkowie kadry kierowniczej. Ich czas pochłaniają głównie zebrania, konferencje, narady, obiady służbowe lub też dyktowanie, pisanie notatek, odbywanie rozmów telefonicznych i wszelkie inne formy wymiany informacji. Z badań przeprowadzonych ostatnio wynika, że menedżer dokonuje od 150 do 300 "transakcji informacyjnych" dziennie, co wypełnia mu mniej więcej 80 procent czasu pracy.

Drugą kategorię stanowi biurowy proletariat, wykonujący prace o "niskim stopniu abstrakcyjności". Tak samo jak robotnicy fabryczni w czasach drugiej fali, biurowy

proletariat skazany jest na pracę wiecznie jednakową, zrutynizowaną i otepiającą. Nie zrzeszone w żadnych związkach zawodowych kobiety, które stanowią większość tej kategorii zawodowej, mają prawo uśmiechać się ironicznie słysząc od socjologów o rzekomym "postindustrializmie". Kategoria ta jest bowiem przemysłową siłą roboczą biura.

Również w biurze obserwujemy dziś jednak pierwsze oznaki zmierzchu epoki drugiej fali i zwiastuny trzeciej fali. Przemysłowy system kastowy i tutaj może wkrótce się zachwiać. Dawne hierarchie i struktury biurowe ulegną niebawem przetasowaniu.

Rewolucja w pracy biurowej, która zaczyna się pod naporem trzeciej fali, jest efektem kilku zjawisk o sprzecznych rezultatach. Zapotrzebowanie na informacje osiągnęło tak kolosalne rozmiary, że nawet najliczniejsza armia najpracowitszych urzędników, maszynistek i sekretarek drugiej fali nie dałaby sobie w żadnym wypadku rady. A w dodatku praca biurowa stała się potwornie droga i robi się obecnie wszystko, by jej koszty zmniejszyć. (Koszty biurowe stanowią 40-50 procent wszystkich kosztów ponoszonych przez wiele kompanii. Według niektórych znawców, koszt przygotowania jednego listu służbowego, przy uwzględnieniu wszystkich pośrednich czynników, może wynosić od 14 do 18 dolarów.) A nadto, podczas gdy na jednego robotnika zatrudnionego w przemyśle przypada szacunkowo technologia o średniej wartości 25 tysięcy dolarów, to zdaniem jednego ze sprzedawców sprzętu kserograficznego - pracownik biurowy "używa maszyn do pisania i maszyn do liczenia wartych zaledwie od 500 do 1000 dolarów i dlatego prawdopodobnie należy do najmniej wydajnych pracowników na świecie". W ciągu minionej dekady wydajność pracy w biurach amerykańskich wzrosła zaledwie o 4 procent; w innych krajach sytuacja jest chyba jeszcze bardziej krytyczna.

Porównajmy to z niesłychanym zmniejszeniem kosztów komputerowych, obliczanych w stosunku do liczby wykonywanych funkcji. Szacuje się, że w ciągu ostatnich 15 lat wydajność komputerów wzrosła 10 tysięcy razy, a koszt jednej operacji zmniejszył się aż 100 tysięcy razy. Zestawienie rosnących kosztów i niskiej wydajności pracy biurowej z jednej strony, z rozwojem komputerów z drugiej strony, daje kombinację nie do odrzucenia. Musi ona doprowadzić do jakiejś żywiołowej rewolucji w rutynie biurowej.

Najważniejszym symbolem tego przełomu jest urządzenie elektroniczne zwane procesorem tekstowym lub inaczej - aparatem do przetwarzania tekstów; w amerykańskich biurach pracuje już blisko 250 tysięcy procesorów. Ich producenci, łącznie z takimi kolosami jak IBM i Exxon, zagrzewają się wzajem do walki konkurencyjnej wierząc, że w niedalekiej przyszłości obroty tymi urządzeniami osiągną wartość 10 miliardów dolarów rocznie. Zwane też niekiedy "inteligentną maszyną do pisania" lub "redaktorem tekstów", urządzenie to w

zasadniczy sposób zmienia przepływ informacji w biurze, a wraz z nim również zasady podziału pracy i stanowisk. Ale procesor tekstowy to tylko jedno urządzenie spośród całej rodziny nowych technologii, które znajdują szerokie zastosowanie we wszelkiego rodzaju pracach umysłowych.

Podczas zjazdu International Word Processing Association (Międzynarodowego Stowarzyszenia Przetwarzania Tekstów), który odbył się w Chicago w czerwcu 1979 roku, blisko 20 tysięcy zwiedzających obejrzało wystawę prezentującą najnowsze osiągnięcia w tej dziedzinie. Rozemocjonowani entuzjaści nowoczesności oglądali i wypróbowywali mnóstwo najrozmaitszych urządzeń, między innymi skanery, czyli optyczne układy wybierające, urządzenia do szybkiego druku, sprzęt mikrograficzny, kopiarki, terminale komputerowe i wiele innych. Wystawa była jak gdyby próbką przyszłego "biura bez papieru".

W Waszyngtonie już zresztą istnieje taka instytucja - Micronet Inc. Całe wyposażenie tej firmy, pochodzące od 17 różnych producentów, tworzy jedno zintegrowane biuro, w którym nikt nie używa już papieru. Każdy wpływający dokument jest tam natychmiast rejestrowany na mikrofilmie i wprowadzany do pamięci komputera; można go w dowolnej chwili z łatwością odszukać i odtworzyć. W tej pokazowej placówce zgromadzono i połączono w jeden zintegrowany system dyktafony, aparaturę mikrofilmową, skanery optyczne, wideoterminaly, czyli podłączone do komputera ekrany odbiorcze, itp. Firma Micronet, jak powiada jej prezydent Larry Stockett, stawia sobie za cel stworzenie takiego biura przyszłości, w którym "dokumenty nie będą trafiać do niewłaściwych teczek; można będzie w każdej chwili wyszukać dane dotyczące marketingu, sprzedaży, rachunkowości oraz potrzebne wyniki prac badawczych; informacje można będzie powielać i rozsyłać do zainteresowanych w ilości setek tysięcy stron w ciągu godziny, po cenie wynoszącej ułamek centa od strony; przy czym (...) w razie potrzeby informację można będzie przekładać tam i z powrotem z zapisu drukowanego na cyfrowy lub fotograficzny."

Istotę funkcjonowania biura przyszłości ilustruje obrazowo zwyczajna korespondencja. W konwencjonalnym biurze drugiej fali, kiedy szef ma do napisania list albo notatkę, wzywa osobę pośredniczącą, czyli sekretarkę. Pierwszym jej zadaniem jest przelanie słów szefa na papier - odręcznie lub na maszynie. Następnie trzeba tekst poprawić, przy czym w trakcie usuwania błędów bywa on niekiedy kilkakrotnie przepisywany na maszynie. Potem przepisuje się go na czysto. Trzeba też pamiętać o kopii - kserograficznej bądź maszynowej. Wreszcie oryginał wysyła się do adresata za pośrednictwem ekspedycji biurowej lub poczty. Duplikat wpina się do akt. Cała operacja, nie licząc układania tekstu na samym początku, składa się z pięciu, kolejno po sobie następujących, etapów.

Za pomocą współczesnej aparatury można skomasować te pięć czynności w jedną, przy czym kolejne stadia operacji zachodzą niemal jednocześnie.

W celach poznawczych, a także po to, by usprawnić własny warsztat pracy, kupiłem sobie prosty komputer i używając go jako procesora tekstu napisałem drugą połowę tej książki. Stwierdzam nie bez satysfakcji, że do opanowania maszyny wystarczyła mi jedna krótka lekcja obsługi. Po kilku godzinach posługiwałem się nią biegle. Minał już rok od czasu, gdy zacząłem pracować na klawiaturze mego komputera, a wciąż wprawia mnie w zdumienie jego szybkość i sprawność.

Teraz brudnopis rozdziału wystukuję nie na maszynie do pisania, ale na klawiaturze komputera; mój zapis przechowywany jest w formie elektronicznej na tzw. "dysku elastycznym" (*floppy disk*). Własny tekst mam przed sobą na ekranie podobnym do telewizyjnego. Przez naciśnięcie odpowiednich klawiszy mogę w każdej chwili przeczytać to, co napisałem, mogę dowolnie przedstawiać i poprawiać słowa, zdania i całe akapity, wymazywać, dopisywać i podkreślać wybrane fragmenty dotąd, aż będę zupełnie zadowolony z powstałej wersji. Nie ma już potrzeby "zabielać" tekstu, ciąć go na kawałki, czy dolepić pasków papieru z jednym lub kilkoma wierszami; zbyteczne jest przepisywanie na maszynie kolejnych wersji, nie trzeba też robić ich fotokopii. Po poprawieniu brudnopisu jednym naciśnięciem guzika uruchamiam stojącą obok drukarkę, która z zawrotną prędkością odbija dla mnie bezbłędną wersję poprawionego tekstu.

Ale wykonywanie papierowych kopii tekstu należy do prymitywniejszych zastosowań takich maszyn i, prawdę mówiąc, jest przeciwne samej ich istocie. Przecież urok i zalety elektronicznego biura tkwią nie tylko w eliminacji kolejnych czynności, wykonywanych przez sekretarkę, która pisze na maszynie i poprawia teksty. W zautomatyzowanym biurze teksty zapisuje się w postaci bitów elektronicznych na taśmie lub dysku. Można (lub wkrótce będzie można) automatycznie skorygować ich pisownię za pomocą elektronicznego słownika. Dzięki połączeniu poszczególnych maszyn między sobą oraz podłączeniu ich wszystkich do linii telefonicznej, sekretarka może natychmiast przekazać treść listu na drukarkę lub na ekran adresata. Urządzenia te praktycznie za jednym zamachem mogą zatem przyjąć oryginał, poprawić go, skopiować, przesłać do adresata i wprowadzić do akt. Szybkość całego procesu niepomniernie wzrasta. Koszty maleją. I pięć oddzielnych operacji scala się w jedną.

Konsekwencje tej komasacji czynności wykraczają daleko poza biuro. Oprócz bowiem wielu innych pożytków, przyrządy te - w połączeniu z urządzeniami satelitarnymi, sprzętem mikrofalowym i innymi udogodnieniami telekomunikacyjnymi - znakomicie wyręczają klasyczną instytucję drugiej fali, czyli przeciążoną i niesprawną pocztę. Upowszechnienie

automatyzacji prac biurowych, wśród których przetwarzanie tekstów stanowi zaledwie jeden, nie koniecznie najważniejszy aspekt, wiąże się ściśle z utworzeniem systemów "poczty elektronicznej", obywatelom się bez listonosza z wypchaną torbą.

Dziś w Stanach Zjednoczonych co najmniej 35 procent wszystkich przesyłek krajowych stanowi korespondencja handlowa, obejmująca najrozmaitsze rachunki, kwity, zamówienia, faktury, wyciągi bankowe, czeki itp. Nadawcami i odbiorcami tej poczty są przeważnie nie osoby prywatne, lecz instytucje. Wraz z pogłębiającym się kryzysem usług pocztowych coraz więcej przedsiębiorstw zaczęło się zastanawiać nad zmianą systemu pocztowego drugiej fali; one też stworzyły zręby systemu trzeciej fali.

Oparty na dalekopisach, telekopiarkach i symilografach, urządzeniach do przetwarzania tekstów oraz na terminalach komputerowych, elektroniczny system pocztowy upowszechnia się bardzo szybko, zwłaszcza w nowocześniejszych gałęziach przemysłu. Dzięki nowemu systemowi łączności satelitarnej rozwój w tym kierunku zostanie jeszcze przyspieszony.

Koncerny IBM, Aetna Casualty and Surety oraz Comsat (wspomagana przez rząd agencja łączności satelitarnej) wspólnie utworzyły firmę pod nazwą Satellite Business Systems, która świadczy usługi informacyjne innym przedsiębiorstwom. Kompania SBS zapewnia swym klientom (wśród których znajdują się między innymi General Motors, Hoechst i Toshiba) dostęp do specjalnie umieszczonych przez nią na orbicie satelitów. Satelity SBS oraz system stacji naziemnych zainstalowanych w poszczególnych zakładach gwarantują każdej z tych kompanii posiadanie praktycznie własnego elektronicznego systemu łączności, co pozwala na znaczne uniezależnienie się od usług poczty publicznej.

W nowym systemie przesyła się nie papier, lecz impulsy elektonowe. Już obecnie - zauważa Vincent Giuliano z firmy badawczej Arthura D. Little - elektronika "załatwia" wiele spraw w różnych dziedzinach; to właśnie impuls elektonowy jest równoznaczny z dokonaniem transakcji, zaś papierowy rachunek, kwit lub kosztorys wysyła się po fakcie, jedynie w celu jej potwierdzenia. Trudno powiedzieć, jak długo będzie się jeszcze w biurach używać papieru, bo zdania na ten temat są podzielone.

Zawiadomienia, okólniki, komunikaty i oferty handlowe przesyła się bezszelestnie i natychmiastowo. W każdej większej instytucji są już tysiące ekranów odbiorczych, zainstalowanych niemal na każdym biurku; cichy szum i migotanie znaków na ekranie sygnalizuje przepływ informacji, która raz szybuje w górę do satelity, potem znów w dół, trafiając do jakiegoś biura na drugiej półkuli albo wprost na terminal w domu któregoś z dyrektorów. W razie potrzeby komputery wprowadzają dane z jednej kompanii do banku informacji innego przedsiębiorstwa; menedżerowie mogą też uzyskiwać informacje

przechowywane w setkach innych banków, takich choćby jak na przykład Bank Informacji New York Times'a.

Dokąd prowadzą te zmiany, dopiero się okaże. Wizja biura przyszłości jest taka schludna i bezbłędna, taka odcieleśniona, że aż nierealna. Realny jest zawsze bałagan. Ale już i tak zaszliśmy bardzo daleko i nawet częściowe przejście w kierunku elektronicznego biura wystarczy, aby spowodować żywiołowe konsekwencje natury społecznej, psychologicznej i ekonomicznej. Nadciągająca rewolucja, która ogarnia korespondencję i cały arsenał biurowych środków przekazu, dotyczyć będzie nie tylko samych maszyn. Stanowi ona zapowiedź przebudowy wszystkich stosunków międzyludzkich oraz zmiany struktury ról, jakie istnieją we współczesnym biurze.

Najpierw rewolucja ta uwolni sekretarkę od szeregu jej dotychczasowych funkcji. W biurze przyszłości nawet maszynopisanie będzie niepotrzebne, kiedy na dobre wkroczy tam technologia mechanicznego odczytywania dźwięków i przetwarzania wypowiedzi ustnych na tekst drukowany. Z początku maszynopisanie będzie konieczne do zapisywania treści wypowiedzi, by następnie móc nadać jej formę umożliwiającą przekaz za pomocą nowych środków komunikacji.

Ale niebawem urządzenia do dyktowania, odpowiednio dostrojone do cech głosu i akcentu poszczególnych użytkowników, będą przetwarzać dźwięki na język pisany, całkowicie eliminując pośredni etap maszynopisania.

"Poprzednia technologia potrzebowała maszynistek - powiada dr Giuliano - bo była to technologia przyciężkawa. W czasach glinianych tabliczek potrzebny był skryba, który potrafił wypalać glinę, a na dodatek umiał rysikiem żłobić odpowiednie znaki. Pisanie nie było bynajmniej sztuką dla mas. Potem skryba zmienił się w maszynistkę. Ale niech tylko nowa technologia rozwiąże do końca odbiór i zapis słownej wypowiedzi, jej korektę i adiustację, przechowywanie, odszukiwanie, przesyłanie i kopiowanie, a wówczas każdy będzie mógł wykonywać wszystkie operacje samodzielnie na tej samej zasadzie, na jakiej wszyscy potrafimy pisać i mówić. Skoro tylko zdołamy wyeliminować ten rzemieślniczy etap pośredni, maszynistka w ogóle przestanie być potrzebna."

Prawdę mówiąc, wielu ekspertom w dziedzinie przetwarzania tekstów marzy się taki awans sekretarki, że szef wzięłby na siebie, w całości lub częściowo, trud maszynopisania - przynajmniej do czasu, aż zostanie ono całkowicie wyeliminowane z prac biurowych. Kiedy przemawiałem na międzynarodowym kongresie specjalistów od przetwarzania tekstów, spytano mnie, czy moja sekretarka pracuje dla mnie na mojej biurowej maszynie. Gdy odpowiedziałem, że sam wystukuję swoje teksty i że w gruncie rzeczy moja sekretarka prawie

nie zbliża się do mego komputera - procesora słów, sala przyjęła to brawami. Wszyscy oni bowiem marzą o dniu, kiedy w rubryce "Pracownicy poszukiwani" pojawi się inserat takiej treści:

Międzynarodowy konglomerat zatrudni natychmiast wiceprezesa.

Wymagane kwalifikacje w zakresie koordynacji finansowej, marketingu i promocji handlowej oraz praktyka w dziedzinie kontroli zarządzania.

BIEGŁOŚĆ W MASZYNOPISANIU - KONIECZNA.

Szefom natomiast stanowczo nie chce się brudzić sobie palców, na tej samej zasadzie, na jakiej nie chce im się nalać sobie szklanki herbaty. A ponieważ wiedzą oni, że znajdujemy się o krok od wynalazku "rozpoznawania mowy", który będzie zdolny przetwarzać tekst dyktowany na pisany, to nic dziwnego, że jeszcze bardziej zdecydowanie odmawiają nauczenia się pisania na klawiaturze komputera.

Jakkolwiek jednak szefowie podejną do sprawy, nie unikną niepokojów i konfliktów, reorganizacji i restrukturalizacji, a w niektórych przypadkach nawet kompletnego przekwalifikowania i zmiany rodzaju pracy; taki bowiem będzie nieuchronny skutek zderzenia nowej rutyny biurowej trzeciej fali z opierającymi się starymi systemami drugiej fali. Nowe systemy postawią pod znakiem zapytania wszystkie kompetencje zastrzeżone dla kierownictwa, zakwestionują hierarchie i podział ról uwarunkowany różnicą płci oraz obalą bariery międzywydziałowe.

Wywołuje to wiele obaw. Jedni są zdania, że zlikwiduje się po prostu miliony miejsc pracy (lub że większość dzisiejszych sekretarek zmieni się w mechaniczne niewolnice); przeciwny pogląd reprezentują nastawieni bardziej optymistycznie przedstawiciele przemysłu produkującego urządzenia do przetwarzania tekstów. Pogląd taki przedstawiła Randy Goldfield, dyrektor firmy konsultacyjnej Booz Allen and Hamilton, która uważa, że sekretarkom nie grozi w najmniejszym stopniu zmiana w bezmyślne, zrutynizowane "procesory"; staną się one raczej "parapryncypałami", dzielącymi niektóre obowiązki swych zwierzchników i współpracownikami w podejmowaniu przez nich decyzji, od czego dotychczas przeważnie były odsuwane. Będziemy prawdopodobnie świadkami ostrego przetasowania, w rezultacie którego jedni pracownicy umysłowi zdecydowanie pójną wyżej i zajmą bardziej odpowiedzialne stanowiska, inni natomiast zostaną zaszeregowani do niższej kategorii, a w ostateczności w ogóle odejdą.

Co wówczas stanie się z tymi ludźmi i w ogóle z gospodarką? W końcu lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych, kiedy automatyzacja zaczęła dopiero wkraczać na scenę,

ekonomiści i związkowcy przepowiadali masowe bezrobocie. Tymczasem w krajach wysoko rozwiniętych zatrudnienie wzrastało. Kurczeniu się sektora wytwórczego towarzyszył rozwój prac umysłowych oraz sektora usług, które wchłaniały nadwyżki siły roboczej zbędnej w przemyśle. Skąd jednak weźmiemy jutro nowe miejsca pracy, jeżeli nadal będzie maleć zatrudnienie w produkcji, a jednocześnie będziemy likwidować etaty dla personelu biurowego?

Tego nie wie nikt. Niezliczone studia i apodyktyczne twierdzenia mówią swoje, a fakty i tak zaprzeczają prognozom. Próby znalezienia związku między nakładami na mechanizację i automatyzację a poziomem zatrudnienia w produkcji prowadzą do stwierdzenia - jak określił to londyński "Financial Times" - "niemal zupełnego braku korelacji". W latach 1963-1973 udział nakładów inwestycyjnych na rozwój nowych technologii w dochodzie narodowym był wyższy w Japonii niż w każdym z sześciu innych krajów, objętych badaniami na ten temat. W Japonii notowano też w tym okresie najwyższy wzrost zatrudnienia. Wielka Brytania, gdzie inwestycje na mechanizację były najniższe, utraciła największą liczbę miejsc pracy. Doświadczenia amerykańskie potwierdziły z grubsza model japoński; postęp techniczny szedł w parze ze wzrostem zatrudnienia. W Szwecji natomiast, we Francji, w Niemczech Zachodnich i we Włoszech dość wyraźnie zarysowały się odmienne prawidłowości.

Stąd wniosek, że poziom zatrudnienia nie jest bynajmniej prostym odzwierciedleniem postępu technicznego. Zatrudnienie nie rośnie i nie spada w wyniku automatyzacji w przemyśle lub jej braku. Wielkość zatrudnienia zależy od wielu różnych decyzji i kierunków działania.

W nadchodzących latach na rynek pracy oddziaływać będą gwałtowne naciski różnego rodzaju. Ale naiwnością by było upatrywanie ich źródła jedynie w komputerze.

Jest wszakże pewne, że następne dziesięciolecie zrewolucjonizują zarówno biuro, jak i fabrykę. Dwie analogiczne rewolucje - w sektorze pracy umysłowej i w sektorze wytwórczości dóbr - przyczynią się ni mniej, ni więcej, tylko do stworzenia całkowicie nowego społecznego sposobu produkcji; będzie to przełomowa zmiana dla całej ludzkości. Pociągnie ona za sobą nieopisanie złożone konsekwencje. Wpłynie nie tylko na poziom zatrudnienia i strukturę przemysłu, ale również na podział władzy politycznej i gospodarczej, na wielkość zakładów produkcyjnych i instytucji, na międzynarodowy podział pracy, na rolę kobiet w życiu gospodarczym, na sam charakter pracy oraz na rozdzielenie funkcji producenta od funkcji konsumenta. Zmiana ta obejmuje również sprawę z pozoru tak prostą, jak samo miejsce pracy.

Rozdział XIV

WIOSKA ELEKTRONICZNA

Rozwój nowego systemu produkcji kryje w sobie zarodki tak olbrzymiej rewolucji społecznej, że tylko niewielu spośród nas odważyło się ocenić jej znaczenie. Jesteśmy bowiem o krok od rewolucyjnej zmiany w naszych własnych domach.

Nowy sposób produkcji nie tylko sprzyja powstawaniu drobnych przedsiębiorstw, decentralizacji i wyprowadzaniu produkcji z miast oraz wprowadzaniu zmian w samym charakterze pracy, ale także może pozwolić przenieść dosłownie miliony różnych zajęć z fabryk i biur do miejsca, z którego druga fala niegdyś je wymiotła, a więc z powrotem do domu. Gdyby miało to rzeczywiście nastąpić, wówczas wszystkie znane nam instytucje - od rodziny po szkołę i zakład pracy - zmieniłyby się nie do poznania.

Przed trzystu laty, widząc całe rzesze kosiarzy na polach, tylko wariat mógłby marzyć o tym, że wkrótce nadejdą czasy, kiedy pola opustoszeją, a ludzie będą pracować na chleb stłoczeni w miejskich fabrykach. I tylko wariat miałby rację. Tak samo dziś trzeba odwagi, aby powiedzieć, że największe fabryki i biurowce mogą jeszcze za naszego życia wyludnić się i zmienić w jakieś upiorne składy czy magazyny albo zacząć służyć komuś za mieszkanie. Tymczasem nowe sposoby produkcji umożliwiają właśnie to, czyli powrót do produkcji we własnym domu, opartej na podstawie wysoko rozwiniętej elektroniki przy jednoczesnym nadaniu nowego znaczenia domowi jako najważniejszej instytucji w społeczeństwie.

Mówiąc, że miliony ludzi będą wkrótce przebywać głównie w domu zamiast w biurze czy w fabryce, otwiera się tamę tysiącom protestów i sprzeciwów. Trzeba przyznać, że nie brak uzasadnionych powodów do sceptycyzmu. "Ludzie nie chcą pracować w domu, nawet gdyby mogli. Spójrzcie na te wszystkie kobiety, które walczą o to, aby wyjść z domu i pójść do pracy." "Czy można cokolwiek zrobić w domu przy dzieciach?" "Ludzie nie będą mieli motywacji, jeżeli nikt ich nie będzie pilnował." "Ludziom potrzebny jest bezpośredni kontakt do wytworzenia wzajemnego zaufania, niezbędnego we wspólnej pracy." "Mieszkania są nie przystosowane do pracy zawodowej." "Praca w domu? To znaczy mały piec hutniczy w każdej piwnicy?" "A co zrobić z przepisami o strefach chronionych oraz z protestami właścicieli domów?" "Związki zawodowe odrzucą ten pomysł." "A co z podatkami? Urzędy podatkowe coraz niechętniej zgadzają się na potrącenia z tytułu pracy w domu." No i na koniec, koronny argument: "Co? Mam spędzać cały dzień w domu z żoną (lub mężem)!!"

Stary Marks też zmarszczyłby brwi. Był przecież zdania, że praca w domu jest wsteczną formą produkcji, ponieważ zbieranie się ludzi w miejscu pracy stanowi konieczny warunek

podziału pracy w społeczeństwie. Słowem, nie brakowało i wciąż nie brakuje prawdziwych (i nieprawdziwych) powodów, aby całą tę ideę uważać za bezsensowną.

PRACA DOMOWA

Ale przecież 300 lat temu było również wiele, jeżeli nie więcej, powodów, aby przypuszczać, że ludzie nigdy nie opuszczą domu i pola, by pracować w fabrykach. W końcu ostatecznie harowali oni na swoich gospodarstwach przez 10 tysięcy, a nie przez trzysta lat. Z ogniskiem domowym i z ziemią związana była tysiącem niewidocznych łańcuchów cała struktura życia rodzinnego, proces wychowywania dzieci i kształtowania się osobowości ludzkiej, cały system własności majątkowej i władzy, kultura i codzienna walka o byt. Łańcuchy te zostały jednak dość łatwo zerwane, gdy tylko pojawił się nowy system produkcji.

To samo dzieje się znowu teraz, kiedy różne siły społeczne i gospodarcze działają na rzecz przeniesienia pracy w inne miejsce.

Zacznijmy od tego, że wypieranie sposobu produkcji drugiej fali przez nowy, bardziej nowoczesny sposób produkcji trzeciej fali powoduje redukcję - o czym była już mowa - liczby robotników zajmujących się faktyczną obróbką lub obsługą przedmiotów fizycznych. Oznacza to, że nawet w sektorze produkcji artykułów przemysłowych - przy odpowiednich urządzeniach telekomunikacyjnych i innych - coraz większą część pracy można by było wykonywać gdziekolwiek, nawet we własnym domu. I nie jest to bynajmniej fantazja z gatunku science fiction.

Kiedy kompania Western Electric zaniechała produkcji urządzeń elektromechanicznych przeznaczonych dla telefonii i rozpoczęła produkcję układów elektronicznych, w nowoczesnych zakładach na północy stanu Illinois zmieniła się duża część załogi. Przedtem było tam trzy razy więcej robotników fizycznych niż personelu technicznego i pracowników biurowych. Po podjęciu nowej produkcji jednych i drugich było tyle samo. Oznacza to, że co najmniej połowa dwutysięcznej załogi Western Electric ma obecnie do czynienia z informacjami, a nie z przedmiotami fizycznymi i może wykonywać znaczną część swojej pracy nie w zakładzie, lecz w domu. Dyrektor techniczny zakładów w Illinois, Dom Cuomo, twierdzi kategorycznie: "Jeżeli uwzględnimy również obowiązki kadry inżynierskiej, to od 10 do 25 procent wszystkich zadań produkcyjnych można by było wykonywać w domu już teraz, przy istniejącej technologii."

Inny kierownik w dziale technicznym, Gerald Mitchel, posunął się jeszcze dalej: "Jestem pewien - powiada on - że 600 do 700 spośród 2 tysięcy pracowników mogłoby teraz, przy

obecnej technologii, pracować w domu. A za pięć lat możliwości będą o wiele większe."

Dan Howard, kierownik działu produkcji w fabryce Hewlett-Packarda w Colorado Springs, snuje bardzo podobne prognozy. Powiada on mianowicie: "Faktyczną produkcją zajmuje się u nas 1000 osób. Z punktu widzenia samej technologii jakieś 250 osób mogłoby pracować w domu. Zorganizowanie tego byłoby skomplikowane, ale nie z powodu braku oprzyrządowania lub urządzeń produkcyjnych. Jeśli zaś chodzi o pracowników naszych komórek badawczo-rozwojowych, to po zainstalowaniu komputerów w ich domach połowa do trzech czwartych mogłaby również pracować w domu." W zakładach Hewlett-Packarda ubyłoby w ten sposób dodatkowo 350 do 520 pracowników.

W sumie oznacza to, że co najmniej 35 do 50 procent wszystkich pracowników zatrudnionych w tym nowoczesnym zakładzie produkcyjnym mogłoby nawet w chwili obecnej wykonywać większość pracy, jeżeli wręcz nie całą, w swoich domach, pod warunkiem, że zechciano by to odpowiednio zorganizować. Produkcja przemysłowa trzeciej fali - nie bacząc na to, co mówił Marks - nie wymaga, aby całe 100 procent siły roboczej zbierało się w miejscu pracy.

Wspomniane dane szacunkowe nie dotyczą wyłącznie przemysłu elektronicznego, ani tylko wielkich przedsiębiorstw. Jak powiada wiceprezydent kanadyjskiej firmy Ortho Pharmaceutical, Peter Tattle, nie chodzi o to, "ilu pracownikom można zezwolić na pracę w domu", tylko raczej o to, "ilu musi pracować w biurze czy w fabryce". Tattle twierdzi, że na 300 osób zatrudnionych w jego zakładzie "co najmniej 75 procent mogłoby pracować w domu po założeniu niezbędnej instalacji łączności elektronicznej". Zdaje się zresztą, że można by to zastosować również w innych nowoczesnych gałęziach przemysłu.

Jeżeli już teraz można by było przenieść do domu znaczną liczbę osób zatrudnionych w sektorze przemysłowym, to bez obawy można stwierdzić, że stosunkowo znaczna część pracowników umysłowych, którzy nie mają do czynienia z żadnymi materiałami ani z faktyczną produkcją, również mogłaby się przenieść z pracą do domu.

Już obecnie pracuje w domu dokładnie nie znana, ale na pewno spora liczba takich ludzi, jak na przykład agenci handlowi, którzy załatwiają klientów telefonicznie lub osobiście w kantorku domowym i tylko z rzadka zagląдают do firmy. W domu pracują też architekci i projektanci; mnożący się gwałtownie konsultanci w zakresie najróżniejszych specjalności technicznych; ogromna grupa specjalistów świadczących usługi z zakresu psychiatrii, neurologii i psychologii; w domu udzielają lekcji nauczyciele muzyki i języków obcych; w domu mają swe galerie antykwariusze i marchandzi sztuki współczesnej; w domu przyjmują klientów pośrednicy handlu nieruchomościami, agenci ubezpieczeniowi, adwokaci i w domu

pracują także akademicy uczeni oraz przedstawiciele wielu wolnych zawodów, różnych dziedzin usługowych i specjalności technicznych.

Specjalności te należą ponadto do najszybciej powiększających się kategorii zawodów, toteż kiedy będziemy mogli niewielkim kosztem urządzić w każdym domu "stanowisko pracy", wyposażone na przykład w najnowszy typ maszyny do pisania, kopiarke lub konsolę komputerową oraz zainstalować urządzenie "telekonferencyjne" - możliwości wykonywania pracy zawodowej w domu zwiększą się w sposób istotny.

Kto pierwszy byłby gotów do porzucenia pracy scentralizowanej i przeniesienia się do wioski elektronicznej, zakładając, że będziemy dysponować odpowiednimi urządzeniami? Wprawdzie błędem by było niedocenianie potrzeby bezpośrednich kontaktów w zawodach przemysłowych oraz wszystkich podświadomych i niewerbalnych form komunikacji, jakie towarzyszą bezpośrednim kontaktom między ludźmi, ale prawdą jest również to, że pewne zajęcia w ogóle nie wymagają kontaktów z innymi ludźmi, a do wykonania innych wystarczają jedynie sporadyczne kontakty.

I tak pracownicy umysłowi niższego szczebla wykonują zajęcia nie związane z myśleniem abstrakcyjnym - na przykład księgowość, maszynopisanie, wszelka sprawozdawczość, rachunkowość, fakturowanie itp. - które tylko w bardzo niewielkim stopniu, jeżeli w ogóle, wymagają bezpośredniego porozumiewania się z kimkolwiek. Im byłoby prawdopodobnie najłatwiej przenieść się z pracą do wioski elektronicznej. Większość specjalistów wykonujących prace oparte w "superwysokim" stopniu na myśleniu abstrakcyjnym - a więc na przykład naukowcy, ekonomiści, planiści i wszelkiego rodzaju "organizatorzy" - potrzebują zarówno intensywnych kontaktów z partnerami i współpracownikami, jak też czasu na pracę własną w samotności. Są sytuacje, kiedy nawet kupiec idzie do siebie, żeby wykonać jakąś "pracę domową".

Zgadza się z tym w zupełności Nathaniel Samuels, jeden z dyrektorów banku inwestycyjnego Lehman Brothers Kuhn Loeb. Samuels, który pracuje w domu przez 50 do 75 dni w roku, jest zdania, że "postęp techniczny zwiększy ilość pracy w domu". W wielu przedsiębiorstwach już teraz przestano się upierać, aby pracownicy koniecznie pracowali w biurze. Kiedy niedawno wielka kompania przemysłu drzewnego Weyerhaeuser miała przygotować nową broszurę na temat praw i obowiązków pracowników, jej wiceprezydent R. L. Siegel spędził wraz z trzema współpracownikami prawie tydzień w swoim domu. gdzie wspólnie opracowali projekt broszury. "Woleliśmy uciec (z biura), żeby nic nas nie rozpraszało" - wyjaśnia Siegel. I dodaje: "Praca w domu jest zresztą zgodna z przechodzeniem naszej kompanii na indywidualny czas pracy. Najważniejsze, aby praca była

wykonana, a gdzie to nastąpi, nie ma znaczenia."

Weyerhaeuser nie stanowi wyjątku. "Wiele innych kompanii również pozwala pracownikom zabierać pracę do domu" - pisze "Wall Street Journal", wymieniając między innymi linie lotnicze United Airlines, gdzie dyrektor działu obsługi klientów pozwala swoim pracownikom odpowiadać na korespondencję i redagować materiały reklamowe w domu przez 20 dni w roku. Nawet sieć sprzedaży hamburgerów, McDonald, w której pracownicy niższych szczebli muszą obsługiwać liczne punkty sprzedaży, popiera pracę w domu wśród kadry kierowniczej.

"Czy biuro jako takie jest w ogóle potrzebne?" - pyta Harvey Poppel z firmy Booz Allen and Hamilton. Poppel przewiduje, że "do lat 90-tych możliwości komunikacji dwukierunkowej osiągną taki stopień rozwoju, że stanie się możliwe przenoszenie pracy do domu w skali masowej". Jego pogląd podziela wielu naukowców, między innymi Robert F. Latham, pracownik działu prognoz długoterminowych w kanadyjskim oddziale kompanii Bell w Montrealu. "W miarę jak będzie się zwiększać liczba ludzi pracujących w dziedzinie informacji, przy jednoczesnym udoskonaleniu urządzeń komunikacyjnych - wzrośnie liczba ludzi pracujących w domu bądź w lokalnych ośrodkach większych zakładów."

Podobnie twierdzi konsultant do spraw organizacji pracy w amerykańskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Hollis Vail, zapewniając, że do połowy lat 80-tych "przyszłościowe ośrodki informatyki z łatwością można będzie instalować w domach pracowników". Jest on autorem scenariusza, w którym opisuje, w jaki sposób sekretarka "Jane Adams", zatrudniona przez kompanię "Afgar", może pracować w domu, widując się ze swoim szefem jedynie co pewien czas w celu "omówienia aktualnych problemów, no i oczywiście, w celu brania udziału w biurowych przyjęciach".

Pogląd ten podziela również Institute for the Future (Instytut Badania Przyszłości), który już w 1971 roku przeprowadził ankietę wśród 150 ekspertów, zatrudnionych w przodujących przedsiębiorstwach opartych na informatyce i na tej podstawie wyodrębnił pięć różnych kategorii zajęć nadających się do wykonywania w domu.

Z badań Instytutu wynika, że przy zastosowaniu odpowiednich urządzeń dzisiejsza sekretarka "mogłaby równie dobrze wypełniać wiele obowiązków u siebie w domu". System ten umożliwiłby kontynuowanie pracy także zamężnym sekretarkom mającym małe dzieci... Nie ma szczególnego powodu, żeby sekretarka nie miała na przykład pisać pod telefoniczne dyktando szefa w domu, na maszynie stanowiącej część jej terminalu komputerowego, a w domu szefa albo w jego biurze wychodziłby, dzięki przekazowi teleksowemu, gotowy tekst.

Poza tym w sprawozdaniu Instytutu czytamy, że "inżynierowie, kreślarze i inni pracownicy

umysłowi mogliby wykonywać wiele swoich zajęć w domu z taką samą lub z jeszcze większą łatwością jak w biurze". Jedno takie "ziarno przyszłości" kiełkuje już w Wielkiej Brytanii, gdzie przedsiębiorstwo pod nazwą F. International Ltd. (F. - od *freelance*, czyli wolny, niezależny) zatrudnia 400 nieetatowych programistów komputerów, z których tylko garstka wykonuje swą pracę poza domem. Kompania ta, organizująca zespoły programistów dla przemysłu, znalazła już klientów poza Wielką Brytanią, między innymi w Holandii i w krajach skandynawskich; korzystają z jej usług nawet takie giganty, jak British Steel, Shell i Unilever. "Domowe programowanie komputerów - pisze - «Guardian» - to przemysł wioski elektronicznej lat 80-tych."

Słowem, w miarę jak trzecia fala ogarnia społeczeństwo, spotykamy coraz więcej przedsiębiorstw, które można określić - za pewnym uczonym - jako "gromady ludzi stłoczonych wokół komputera". Wprowadźmy komputery do mieszkań, a ludzie nie będą już musieli wokół nich się tłoczyć. Praca "białych kołnierzyków" w epoce trzeciej fali, podobnie jak produkcja przemysłowa trzeciej fali, nie będzie wymagała 100-procentowej koncentracji wszystkich zatrudnionych w miejscu pracy.

Nie wolno nam jednak nie doceniać trudności związanych z przenoszeniem pracy zlokalizowanej w czasach drugiej fali w fabryce i w biurze do nowej lokalizacji trzeciej fali, czyli do domu. Problemy motywacji i zarządzania oraz reorganizacja przedsiębiorstw i struktur społecznych będą wymagały czasu i mogą okazać się bolesne. Nie wszystko da się też załatwić na odległość. Niektóre zajęcia - zwłaszcza te, gdzie w grę wchodzi twórcze współdziałanie lub transakcje i gdzie decyzje nie mogą być rutynowe - stanowczo wymagają wielu kontaktów bezpośrednich. Stąd też opinia Michaela Koernerera, prezydenta firmy Canada Overseas Investments, Ltd.: "Ludzie nie powinni żyć od siebie dalej niż o tysiąc stóp."

TELEKOMUNIKACJA ZAMIAST TRANSPORTU

Tymczasem jednak wiele potężnych sił działa na rzecz stworzenia wioski elektronicznej. Najbardziej oczywista jest ekonomiczna przewaga telekomunikacji nad transportem. Większość krajów wysoko rozwiniętych przeżywa obecnie kryzys transportu i motoryzacji w ogóle, polegający na przeciążeniu do granic wytrzymałości systemu transportu masowego, na ustawicznych korkach na drogach i autostradach, na braku miejsc do parkowania oraz na szczególnie groźnym skażeniu atmosfery spalinami. Strajki pracowników transportu i awarie stały się codziennym zjawiskiem, a jednocześnie koszty transportu wciąż zawrotnie idą w górę.

Rosnące koszty dojazdów do pracy ponoszą poszczególni pracownicy. Ale naturalnie

koszty te pośrednio spadają na pracodawców w postaci wyższych płac oraz na klientów - w postaci wyższych cen. Na zlecenie Krajowej Fundacji Naukowej Jack Nilles wraz z zespołem specjalistów obliczyli, jakie można by było uzyskać oszczędności - zarówno finansowe, jak i energetyczne - gdyby pewna, względnie spora grupa pracowników umysłowych przestała dojeżdżać do biur w śródmieściu. Zespół Nillesa nie upiera się zresztą przy pracy w domu; zaproponowali oni coś, co można określić jako "pośrednie miejsce pracy" - ludzie mogliby pracować w ośrodkach rozmieszczonych w pobliżu ich miejsc zamieszkania.

Wnioski wynikające z badań Nillesa są wręcz zdumiewające. Zespół Nillesa stwierdził, że na 2048 pracowników pewnej kompanii ubezpieczeniowej w Los Angeles każda osoba przebywa średnio 21,4 mili dziennie w drodze do pracy i z powrotem (w całych Stanach Zjednoczonych każdy pracownik miejski przejeżdża średnio 18,8 mili). Im wyższy szczebel drabiny stanowisk i funkcji, tym dłuższe dojazdy, osiągające średnią wartość 33,2 mili w przypadku posad dyrektorskich. W sumie pracownicy tej jednej firmy odbywali swoimi samochodami do pracy i z pracy drogę długości 12,4 miliona mil co rok, zużywając na to blisko tyle godzin, ile składa się na połowę stulecia.

W 1974 roku kosztowało to 22 centy za każdą milę, czyli łącznie 2 730 000 dolarów; kwota ta została pośrednio pokryta przez kompanię i jej klientów. Nilles zauważył, że kompania ta w skali rocznej płaciła pracownikom filii śródmiejskiej o 520 dolarów więcej niż ludziom zatrudnionym na tych samych stanowiskach w oddziałach peryferyjnych; był to jak gdyby "dodatek z tytułu kosztów transportu". W centrum musiał być również wielki parking i inne kosztowne usługi konieczne przy scentralizowanej lokalizacji. Biorąc pod uwagę, że sekretarka pracująca w podmiejskiej dzielnicy zarabiała wówczas około 10 tysięcy dolarów rocznie, łatwo obliczyć, że wyeliminowanie kosztów dojazdu pozwoliłoby na zatrudnienie w tym jednym przedsiębiorstwie prawie 300 dodatkowych pracowników albo na znaczne zwiększenie zysków.

ZASADNICZE PYTANIE BRZMI: KIEDY KOSZT INSTALACJI I DZIAŁANIA URZĄDZEŃ TELEKOMUNIKACYJNYCH SPADNIE PONIŻEJ KOSZTU DOJAZDÓW DO PRACY? W MIARĘ JAK WSZĘDZIE HORRENDALNIE DROŻEJE BENZYNA I INNE KOSZTY TRANSPORTU, ŁĄCZNIE Z KOSZTAMI TRANSPORTU MASOWEGO, ZASTĘPUJĄCEGO SAMOCHÓD PRYWATNY - CENA USŁUG TELEKOMUNIKACYJNYCH WYRAŹNIE SIĘ ZMNIEJSZA ²⁴.

²⁴ Dzięki łączności satelitarnej transmisje na duże odległości potaniały tak gwałtownie, że łącznościowcy mówią już o telekomunikacji, której koszt jest "niezależny od odległości". Wielokrotnie zwiększyła się moc komputerów, ceny zaś spadły tak znacznie, że dziwią się temu nawet inżynierowie i producenci. Zastosowanie światłowodów w optyce oraz nowych przełomowych wynalazków technicznych będzie zapewne w przyszłości powodować dalsze zmniejszenie kosztów każdej

W którymś momencie te dwie krzywe będą musiały się przeciąć.

Nie są to jedyne czynniki, które popychają nas niepostrzeżenie w kierunku geograficznego rozproszenia produkcji, a w końcu - do przyszłej wioski elektronicznej. Badania Nillesa ujawniły, że pracujący w mieście obywatel amerykański na dojazdy do pracy i do domu średnio zużywa ekwiwalent 64,6 kilowata energii dziennie. (Pracownicy objętej badaniami kompanii ubezpieczeniowej w Los Angeles spalają w czasie dojazdów ekwiwalent 37,4 miliona kilowatów rocznie.) W przeciwieństwie do tego, przesyłanie informacji wymaga o wiele mniej energii.

Typowy terminal komputerowy potrzebuje w czasie eksploatacji tylko 100 do 125 watów, albo nawet mniej, a linia telefoniczna pod obciążeniem - zaledwie jeden wat. Wychodząc z pewnych założeń, określających liczbę potrzebnych urządzeń telekomunikacyjnych i ewentualny czas ich eksploatacji, Nilles obliczył, że "pełne zastosowanie telekomunikacji pochłonęłoby 29 razy mniej energii niż dojazdy pracowników prywatnymi samochodami, i 11 razy mniej energii niż dojazdy środkami transportu masowego przy niepełnym ich wykorzystaniu, jak to się dzieje obecnie. Ale nawet gdyby wykorzystywano środki transportu masowego w 100 procentach, to i tak zastąpienie dojazdów przez telekomunikację zmniejszyłoby zużycie energii o połowę."

Z obliczeń tych wynika, że gdyby w 1975 roku można było zastąpić telekomunikacją bodaj 12-14 procent dojazdów w zurbanizowanych obszarach USA, to Stany Zjednoczone zaoszczędziłyby blisko 75 milionów baryłek benzyny i tym samym mogłyby zupełnie zrezygnować z konieczności wszelkiego importu ropy z zagranicy. Wpływ tego jednego faktu na bilans płatniczy Stanów Zjednoczonych, a także na politykę bliskowschodnią, także mógłby okazać się brzemienny w skutki.

W najbliższych dziesięcioleciach ceny benzyny i energii najprawdopodobniej będą nadal rosnąć, podczas gdy koszty finansowe i zużycie energii supernowoczesnych maszyn do pisania, telekopiarek, łącz audio i wideo oraz terminali domowych, będą relatywnie coraz mniejsze. Zwiększy to jeszcze bardziej korzyści płynące z wyrzucenia przynajmniej części produkcji z wielkich centralnych zakładów, które przeważały w epoce drugiej fali.

Kiedy normalne funkcjonowanie obecnych systemów transportu osobowego będzie w dalszym ciągu zakłócanie, a koszty ekonomiczne i społeczne będą stale rosnąć wskutek okresowych braków paliwa, zasad tankowania co drugi dzień, długich kolejek po benzynę, a może nawet konieczności jej racjonowania - zainteresowanie telekomunikacją, która

przemieszczanie ludzi zastąpi przesyłaniem informacji, zwiększy się jeszcze bardziej.

Dodajmy do tego inne czynniki, które nawet jeszcze silniej popychają nas w tym samym kierunku. Korporacje i instytucje państwowe przekonują się, że przeniesienie pracowników do własnych domów - lub przynajmniej do peryferyjnych, pośrednich ośrodków pracy - może znacznie zmniejszyć bająnskie sumy, wydawane obecnie z tytułu własności lub dzierżawy nieruchomości. Im mniejszy jest centralny biurowiec i zakład produkcyjny, tym mniejsza jest cena nieruchomości i związane z jej użytkowaniem koszty opału, energii elektrycznej, sprzątnania, pilnowania i eksploatacji. Wraz ze wzrostem cen ziemi i nieruchomości o profilu handlowym i przemysłowym, a także związanych z tym podatków, dążenie do zmniejszenia i rozłożenia tych wszystkich kosztów zapewne przyspieszy proces decentralizacji pracy.

Przeniesienie pracy do domu i ograniczenie dojazdów zmniejszy również zanieczyszczenie środowiska, a więc i koszty likwidowania jego skutków. Im skuteczniej zwolennicy ochrony środowiska będą zmuszać przemysł do płacenia za skutki własnych zanieczyszczeń, tym skłonniejsze będą poszczególne kompanie do przerzucenia się na działalność mniej zagrażającą środowisku, a więc do odejścia od modelu gigantycznych scentralizowanych zakładów oraz do otwierania mniejszych, albo jeszcze lepiej, do organizowania swoim załogom pracy w domu.

Ideę przeniesienia pracy do domów nieświadomie popierają również wszyscy obrońcy środowiska, którzy angażują się w batalię przeciwko destrukcyjnym skutkom motoryzacji czy przeciwko budowie dróg i autostrad, a którym od czasu do czasu udaje się wywalczyć zakaz ruchu samochodowego w niektórych dzielnicach czy strefach. W rezultacie ich wysiłków jeszcze bardziej wzrosną koszty motoryzacji oraz niedogodność wszelkiego transportu, co tylko zwiększy przewagę mniej kosztownej i wygodniejszej komunikacji informatycznej.

Kiedy obrońcy środowiska zobaczą, jak odmienny wpływ na środowisko wywiera każdy z tych dwóch modeli pracy, oraz że praca w domu może być rozwiązaniem problemów środowiska - zrobią wszystko, by poprzeć tendencje decentralistyczne i ułatwić ludziom zaakceptowanie cywilizacji trzeciej fali.

Do pracy w wiosce elektronicznej skłaniają również czynniki społeczne. Im krótszy staje się dzień roboczy, tym bardziej wydłuża się względny czas dojazdów. Pracownik, który nie cierpi godziny spędzonej w samochodzie, w metrze, autobusie czy w pociągu po to, aby potem móc pracować przez 8 godzin, jeszcze bardziej nie będzie miał ochoty tracić tego samego czasu na dojeżdżanie do pracy, gdy będzie ona trwała krócej. Im większy jest stosunek czasu dojazdów do czasu pracy, tym bardziej bezsensowne, frustrujące i absurdatne staje się jeżdżenie "wte i wewte". A wraz z rosnącą niechęcią do codziennych dojazdów,

pracodawcy będą niejako zmuszani do podwyższania dodatku za transport, wypłacanego pracownikom w ogromnych, scentralizowanych przedsiębiorstwach; dodatku zbytecznego w przypadku osób spędzających mniej czasu w niewygodach podróży, a jednocześnie żyjących oszczędniej. I znów mamy poważny argument przemawiający na rzecz przeniesienia pracy bliżej domu.

Wreszcie, w tym samym kierunku prowadzą głębokie zmiany w sferze wartości. Zupełnie niezależnie od coraz powszechniejszego dzisiaj dążenia do tego, by żyć własnym życiem, z dala od zgiełku i spraw wielkiego świata, w miasteczku czy na wsi, obserwujemy również zasadniczą zmianę w stosunku do komórki rodzinnej. Rodzina nuklearna, czyli standardowa, społecznie akceptowana przez cały okres drugiej fali forma rodziny, przeżywa obecnie wyraźny kryzys.

Rodzinie przyszłości będzie w całości poświęcony następny rozdział. Tymczasem odnotujemy tylko, że w USA i w większości krajów Europy - wszędzie, gdzie odchodzenie od modelu rodziny nuklearnej poszło najdalej - narasta obecnie potrzeba ściślejszego zespolenia ludzi na nowo w obrębie komórki rodzinnej. Warto zauważyć, że w dziejach wspólna praca była jednym z czynników, które najsilniej spajały ze sobą ludzi w obrębie rodziny.

Przypuszczalnie i dziś mniej jest rozwodów wśród małżeństw pracujących razem. Wioska elektroniczna może więc stworzyć w masowej skali możliwość, że mąż będzie znów wraz z żoną, a może i z dziećmi, pracować razem w zgodnym zespole. Kiedy zwolennicy życia rodzinnego dostrzegą możliwości, jakie kryją się w przeniesieniu pracy zawodowej do domu, pojawią się zapewne żądania podjęcia specjalnych decyzji i środków ustawowych w celu przyspieszenia tego procesu - a więc na przykład wprowadzenia ulg podatkowych oraz nowych rozwiązań w zakresie praw pracowniczych.

We wczesnym okresie epoki drugiej fali robotnicy żądali "dziesięciogodzinnego dnia pracy"; żądanie to przechodziłoby ludzkie pojęcie w epoce pierwszej fali. My natomiast możemy wkrótce być świadkami żądań, aby cała praca, którą można wykonywać w domu, była tam wykonywana. Wielu pracowników będzie domagało się, by uznać taką możliwość za ich prawo. A uznając, że przeniesienie pracy do domu może umocnić życie rodzinne, poprą te żądania liczni działacze polityczni, religijni i kulturalni, o różnych skądinąd przekonaniach.

Walka na rzecz wioski elektronicznej stanowi część superwalki rozgrywającej się między minioną erą drugiej fali i nadchodzącą epoką trzeciej fali. W walce tej zjednoczą się prawdopodobnie nie tylko technologowie i korporacje przemysłowe, które zachłannie rzucają się na nowe możliwości techniczne; dołączy się do nich również wiele innych sił społecznych: obrońcy środowiska, zwolennicy reform pracy oraz ogromna koalicja

organizacji - od konserwatywnych Kościołów począwszy, a na radykalnych feministkach i głównych ugrupowaniach politycznych skończywszy. Wszyscy oni będą wspólnie walczyć o nową, bardziej satysfakcjonującą przyszłość rodziny. Wioska elektroniczna może więc stać się problemem politycznym, zespalającym ze sobą wszystkie najpoważniejsze siły nadchodzącej trzeciej fali.

SPOŁECZEŃSTWO ZORGANIZOWANE WOKÓŁ DOMU

Rozpowszechnienie się wioski elektronicznej wywołałoby w społeczeństwie doniosłe konsekwencje. Wiele z nich zadowoliliby najzagorzalszych bojowników o ochronę środowiska naturalnego oraz przeciwników nadmiernego postępu technicznego, ukazując jednocześnie przedsiębiorstwom gospodarczym nowe możliwości.

Efekt społeczny. Praca w domu, wykonywana przez pokaźną część ludności, oznaczałaby większą trwałość wspólnot osiedlowych czy sąsiedzkich, co obecnie nie jest osiągalne w licznych regionach o wysokiej ruchliwości społecznej. Gdy ludzie będą pracować zawodowo w domu, nie będą musieli tak jak dziś przenosić się z miejsca na miejsce za każdym razem, kiedy zmieniają pracodawcę. Będą oni mogli po prostu podłączać swój terminal do innego komputera.

Spowoduje to mniejszą ruchliwość wywołaną przez czynniki zewnętrzne, złagodzenie stresów przeżywanych przez ludzi podczas adaptacji do coraz to nowych warunków oraz zmniejszenie się liczby przelotnych i nietrwałych znajomości; większy natomiast będzie stopień uczestnictwa w życiu lokalnej społeczności. Dzisiaj, kiedy jakaś rodzina wprowadza się do osiedla - z przekonaniem, że za rok czy dwa znowu trzeba się będzie przeprowadzać gdzie indziej - jej członkowie wyraźnie stronią od organizacji osiedlowych, od zawierania głębszych przyjaźni, od uczestnictwa w lokalnym życiu politycznym, w ogóle od angażowania się w życie osiedla. Wioska elektroniczna mogłaby pomóc przywrócić poczucie przynależności do wspólnoty sąsiedzkiej i ożywić działalność takich organizacji społecznych, jak Kościoły, kółka kobiece, kluby, zrzeszenia sportowe i organizacje młodzieżowe. Posługując się ulubionym przez socjologów niemieckim żargonem, można powiedzieć, że wioska elektroniczna tworzyłaby coś w rodzaju *Gemeinschaft*.

Efekt środowiskowy. Przeniesienie pracy lub bodaj jakiejś jej części do domu nie tylko zmniejszyłoby zapotrzebowanie na energię, co już wiadomo z wcześniejszych rozważań, ale również mogłoby doprowadzić do decentralizacji produkcji energii. Zamiast zużywać olbrzymie ilości energii w kilku wielopiętrowych biurowcach lub nadmiernie rozbudowanych

kombinatach fabrycznych - do czego konieczny jest wysoce scentralizowany system wytwarzania energii - dzięki wiosce elektronicznej zapotrzebowanie na energię rozłożyłoby się na większe obszary, gdzie łatwiej byłoby wykorzystywać inne technologie, oparte na przykład na energii słonecznej, energii czerpanej z siły wiatru i na innych źródłach nowego typu. Niewielkie generatory w każdym domu wytwarzałyby energię, która przynajmniej częściowo odciążałaby centralne elektrownie czy ciepłownie. To pociągnęłoby za sobą również zmniejszenie zanieczyszczeń i to z dwóch powodów: po pierwsze, przejście na odnawialne źródła energii funkcjonujące na niewielką skalę wyeliminowałoby potrzebę stosowania zabójczych dla środowiska paliw; po drugie, oznaczałoby to zmniejszenie odpadów zanieczyszczających środowisko w nadal istniejących obszarach "krytycznych".

Efekt ekonomiczny. W nowym systemie niektóre gałęzie gospodarki zaczęłyby zanikać, inne natomiast rozwinęłyby się i osiągnęły niebywały rozkwit. Spotkałoby to z pewnością przemysł elektroniczny, informatykę i telekomunikację. Ucierpiałyby natomiast kompanie naftowe, przemysł motoryzacyjny i kompanie zajmujące się sprzedażą i dzierżawą nieruchomości. Pojawiłaby się cała masa małych sklepów z komputerami i usługowych punktów informatycznych, zmalałoby natomiast zapotrzebowanie na usługi pocztowe. Trochę straciłby chyba przemysł papierniczy, ale skorzystałoby na tym wszelkie gałęzie usługowe oraz różne rodzaje prac umysłowych.

Wioska elektroniczna wywołałaby również pewne zmiany o głębszym znaczeniu. Gdyby doszło do tego, że ludzie kupowaliby na własność, korzystając ze specjalnych kredytów, terminale komputerowe oraz wyposażenia elektroniczne, stawaliby się oni w istocie raczej niezależnymi przedsiębiorcami niż zwykłymi pracownikami w klasycznym sensie; oznaczałoby to niejako wzrost stopnia, w jakim człowiek pracy posiadałby na własność "środki produkcji". Niektórzy ludzie pracujący w domu mogliby tworzyć małe kompanie w celu świadczenia usług na zamówienie albo łączyć się w spółdzielnie, oparte na wspólnej własności maszyn i urządzeń. Możliwe by zresztą były najróżniejsze formy współpracy i organizacji produkcji czy usług.

Efekt psychologiczny. Obraz świata, w którym praca polega w coraz większym stopniu na operowaniu symbolami abstrakcyjnymi, nasuwa obawę, że ludzie znajdą się w środowisku pracy przesadnie zależnym od pracy umysłowej, które jest nam obce i - z pewnego punktu widzenia - jeszcze bardziej bezosobowe niż środowisko obecne. Ale z innego punktu widzenia - praca w domu stwarza możliwość pogłębiania osobistych i emocjonalnych związków zarówno we własnym domu, jak i w najbliższym otoczeniu życiowym. Wcale nie musi to być świat klinicznie wypreparowany z jakichkolwiek związków uczuciowych między

ludźmi, gdzie każdego człowieka oddzielałby od reszty ludzkości ekran monitora - jak w wielu opowieściach science fiction. Można bowiem przypuścić, że będzie to świat, w którym stosunki międzyludzkie dzieliłyby się na dwie kategorie: realne i pośrednie - i w każdej z tych kategorii obowiązywałyby inne reguły oraz inny podział ról.

Wypróbujemy zapewne liczne warianty i półśrodki. Niektórzy ludzie będą na przykład pracować w domu na pół etatu, a drugie pół wezmą "na mieście". Powstawać będą z pewnością liczne dzielnicowe ośrodki pracy. Niektórzy ludzie będą przez kilka miesięcy lub lat pracować w domu, potem brać pracę poza domem, aby znów po jakimś czasie wrócić do domu. Będą musiały się zmienić modele i reguły zwierzchności oraz organizacji pracy. Powstanie wiele małych firm, które będą otrzymywać - w drodze umowy - od większych przedsiębiorstw konkretne zadania dla swoich "białych kołnierzyków" albo też będą zajmować się organizowaniem, szkoleniem i nadzorowaniem zespołów ludzi pracujących w domach. W celu wytworzenia między nimi odpowiednich stosunków, małe przedsiębiorstwa mogłyby urządzać wieczorki, spotkania, imprezy świąteczne i inne wspólne uroczystości, aby członkom zespołu dać szansę bliższego poznania i nawiązania bezpośrednich kontaktów, niemożliwych w warunkach porozumiewania się za pośrednictwem ekranu czy klawiatury komputera.

Oczywiście nie każdy będzie mógł (lub chciał) pracować w domu. Oczywiście powstaną problemy w dziedzinie uposażeń i przyznawania rozmaitych dodatków i premii. Jakie będzie społeczeństwo, w którym coraz większa jego część będzie w pracy zdana na wzajemne porozumiewanie się tylko za pośrednictwem aparatury, natomiast w domu - na stosunki oparte na głębszych związkach emocjonalnych? Co się stanie z miastami? Jak będzie wyglądać statystyka bezrobocia? Co w tym systemie będą właściwie znaczyć pojęcia "zatrudniony" i "bezrobotny"? Byłoby naiwnością przymykać oczy na kwestie i problemy tego rodzaju.

Ale oprócz pytań, na które nie znamy jeszcze odpowiedzi, oraz wyłaniających się już bardzo bolesnych trudności, rysują się również nowe możliwości. Wydaje się, że przeskok do nowego systemu produkcji przyczyni się do zlikwidowania wielu spośród najtrudniejszych problemów mijającej epoki. Przecież w ramach systemu rolnictwa feudalnego nie można było zlikwidować niedoli pańszczyźnianego znoju. Nie zlikwidowały jej bunty chłopskie ani altruistyczna szlachta czy też religijni utopiści. Znoj i niedola przetrwały do czasu, gdy życie chłopów mogło zmienić się kompletnie dzięki pojawieniu się systemu przemysłowego, mającego swoje własne, ale już zupełnie inne, wady.

Może podobnie w systemie produkcji drugiej fali - pomimo najlepszych chęci i obietnic

polityków socjalnych, związków zawodowych, łagodnych pracodawców czy rewolucyjnych partii robotniczych - nie jest w ogóle możliwe rozwiązanie takich problemów, typowych dla społeczeństwa przemysłowego, jak choćby bezrobocie, przerażająca monotonia pracy, nadmierna specjalizacja, bezwzględne traktowanie jednostki i zbyt niskie wynagrodzenia. Skoro problemy te istniały przez 300 lat zarówno w warunkach kapitalistycznych, jak i socjalistycznych, mamy powody, by przypuszczać, że są one immanentnie związane ze sposobem produkcji.

Przeskok do nowego systemu produkcji, zarówno w przemyśle, jak i w sektorze pracy umysłowej, oraz ewentualność zupełnie odmiennego życia w wiosce elektronicznej, zapowiadają zmianę sposobu patrzenia na rzeczywistość i dyskusowania na jej temat, dezaktualizując większość spraw, o które kobiety i mężczyźni dzisiaj się kłócą, o które walczą i w których imię niekiedy umierają.

Nie możemy dziś wiedzieć, czy wizja wioski elektronicznej zostanie urzeczywistniona w przyszłości. Warto jednak zauważyć, że gdyby bodaj od 10 do 20 procent siły roboczej - określanej tak według obecnych kryteriów - miało w ciągu najbliższych 20-30 lat wykonać ten historyczny krok naprzód, zmieniłoby to niemal nie do poznania całą naszą gospodarkę, nasze miasta, środowisko, strukturę rodziny, system wartości, a nawet politykę.

Jest to możliwość - może zresztą tylko pozorna - nad którą powinniśmy się zastanowić.

Teraz możemy już się przypatrzeć wzajemnym zależnościom między poszczególnymi zmianami trzeciej fali, które dotychczas rozpatrywaliśmy osobno. Obserwujemy, jak współczesny system technologiczny oraz baza energetyczna zmieniają się, tworząc zupełnie nową technosferę. Jednocześnie trwa proces odmasowiania środków masowego przekazu i tworzenia inteligentnego środowiska, przez co rewolucjonizuje się również nasza infosfera. Te dwa potężne nurty zlewają się razem, aby z kolei przyspieszyć zmianę głęboko zakorzenionej struktury naszego systemu produkcji, przeobrażając charakter pracy w fabryce i w biurze, a w rezultacie - mobilizując nas do przeniesienia pracy z powrotem do domu.

Te kolosalne historyczne przemiany byłyby same przez się wystarczającym uzasadnieniem stwierdzenia, że ludzkość stanęła u progu nowej cywilizacji. Ale przecież przebudowie ulega jednocześnie również życie społeczne, w którym zmieniają się zarówno nasze związki rodzinne i przyjaźnie, jak i stosunki panujące w szkole i w zakładzie pracy. Wraz z technosferą i infosferą, tworzymy więc jednocześnie zupełnie nową socjosferę trzeciej fali.

Rozdział XV

RODZINY PRZYSZŁOŚCI

Podczas Wielkiej Depresji w latach trzydziestych pracę straciły miliony mężczyzn. U zatrzaśniętych bram fabryk ogarniała ich najgłębsza rozpacz i poczucie winy: z powodu różowego świstka wymówienia wielu kompletnie załamywało się psychicznie.

Z czasem zaczęto oceniać bezrobocie w bardziej obiektywny sposób - nie jako rezultat czyjegoś lenistwa lub moralnego upadku, lecz jako efekt oddziaływania potężnych sił znajdujących się poza kontrolą człowieka. Bezrobocie powodowały między innymi takie czynniki, jak wadliwy podział bogactwa, krótkowzroczne inwestycje, niekontrolowane spekulacje, głupia polityka handlowa, nieudolny rząd - nie zaś osobista słabość zwalnianych robotników. Ich poczucie winy w większości wypadków było naiwne i nie miało żadnego sensu.

Dziś znowu osobowość ludzka rozpada się w kawałki niczym strzaskana skorupka jajka. Obecnie jednak mamy poczucie winy raczej z powodu załamania się rodziny niż gospodarki. Miliony kobiet i mężczyzn rozpaczliwie oskarżają siebie za kryzys lub rozpad własnych małżeństw. Lecz i tym razem winy należy szukać gdzie indziej.

Gdyby chodziło o znikomą mniejszość, to upadek rodziny mógłby rzeczywiście odzwierciedlać złą wolę albo nieudolność poszczególnych ludzi. Skoro jednak rozwody, separacje i inne formy rozpadu rodziny ogarniają miliony małżeństw w wielu krajach równocześnie, to absurdem byłoby sądzić, że przyczyny tkwią wyłącznie w ludziach.

Obecny kryzys rodziny jest w istocie częścią ogólnego kryzysu industrializmu, załamania się wszystkich instytucji zrodzonych przez drugą falę. Wiąże się on z szerszym procesem przygotowywania gruntu pod nową socjosferę trzeciej fali. Ten szokujący proces, który odbija się na życiu osobistym każdego z nas, zmienia właśnie nie do poznania instytucję rodziny.

Słyszymy dziś bez przerwy, że "rodzina" rozpada się, lub że "rodzina" to nasz Problem Nr 1. Prezydent Jimmy Carter twierdził: "To oczywiste, że rząd powinien popierać rodzinę (...) Wśród spraw priorytetowych ta jest najpilniejsza." Z takim samym namaszczeniem mówi o rodzinie większość kaznodziejów wszelkiego autoramentu, większość premierów i publicystów. Charakterystyczne jest jednak, że kiedy mówią o "rodzinie", nie mają na myśli rodziny w bujnej mnogości jej różnych możliwych postaci, lecz jeden szczególny typ rodziny: rodzinę drugiej fali.

Mają zazwyczaj na myśli męża - zarabiającego na życie, żonę - gospodynię domową i kilkoro małych dzieci. Chociaż istnieje wiele innych rodzajów rodzin, cywilizacja drugiej fali

wyidealizowała i upowszechniła na świecie ten właśnie, dominujący nad innymi, szczególny typ rodziny - rodzinę nuklearną.

Stał się on społecznie uznanym wzorcem, ponieważ jego struktura doskonale pasowała do potrzeb społeczeństwa opartego na produkcji masowej, na powszechnie uznanych wartościach i stylach życia, na hierarchicznej, biurokratycznej władzy oraz na wyraźnym rozdziale życia domowego od życia zawodowego, określanego przez wymagania rynku.

Kiedy autorytety wzywają do "uzdrowienia" rodziny, myślą przeważnie o tej właśnie nuklearnej rodzinie drugiej fali. Podchodząc do sprawy w tak ograniczony sposób, nie tylko źle oceniają problem, ale okazują wręcz infantylną naiwność co do tego, jakie kroki byłyby rzeczywiście konieczne, aby przywrócić rodzinie nuklearnej jej dawne znaczenie.

Wspomniane autorytety zapamiętałe dopatrują się przyczyn kryzysu rodziny dosłownie wszędzie - poczynając od pornografii, a kończąc na muzyce rock. Niektórzy mówią, że protestując przeciwko usuwaniu ciąży lub likwidując lekcje wychowania seksualnego w szkołach czy też zwalczając ruch feministyczny, zdołamy posklejać rozpadającą się rodzinę. Inni zachwalają kursy "wychowania rodzinnego". Dyrektor Amerykańskiego Biura Statystycznego do Spraw Rodziny nawołuje do "skuteczniejszego kształcenia", tak aby ludzie mądrzej się żenili, albo zgoła proponuje opracowanie "sprawdzonego naukowo, popularnego systemu ułatwiającego wybór przyszłego współmałżonka". Jeszcze inni uważają, że przydałoby się więcej konsultantów, wyspecjalizowanych w poradnictwie dotyczącym życia małżeńskiego, oraz że publicystyka również mogłaby przyczynić się do podniesienia prestiżu rodziny w oczach społeczeństwa. Wszyscy oni, ślepi na to, jaki wpływ wywierają na ludzi fale historycznych przeobrażeń, występują z czczymi propozycjami, które - choć składane w dobrej wierze - całkowicie mijają się z celem.

KAMPANIA NA RZECZ RODZINY NUKLEARNEJ

Jeżeli rzeczywiście chcemy przywrócić rodzinie nuklearnej jej utraconą pozycję, zastanówmy się, czy jest coś, co moglibyśmy w tej sprawie uczynić. Otóż widzę kilka takich możliwości, a mianowicie:

1) Zamroźmy całą technologię na poziomie drugiej fali po to, by utrzymać ciągłość społeczeństwa dostosowanego do potrzeb fabrycznej produkcji masowej. Na początek zniszczmy komputer. Komputer stanowi większe zagrożenie dla rodziny drugiej fali niż przerywanie ciąży, równouprawnienie pederastów i światowa moda na pornografię. Rodzinie nuklearnej bowiem - jako dominującej formie rodziny - potrzebny jest system produkcji masowej, a właśnie komputer nas od niej odrywa.

- 2)Przeznaczmy większe dotacje na produkcję towarową, zablokujmy natomiast rozwój sektora usług. Pracownicy umysłowi, ludzie wolnych zawodów oraz personel techniczny mają mniej tradycyjny stosunek do rodziny oraz akceptują intelektualnie i psychologicznie wszelkie zmiany łatwiej niż pracownicy fizyczni. Im więcej ludzi przechodzi do prac technicznych i usługowych, tym bardziej rośnie statystyka rozwodów.
- 3)Kryzys energetyczny "rozwiążmy" opierając się na energii jądrowej i innych wysoce scentralizowanych procesach energetycznych. Rodzina nuklearna bardziej pasuje do scentralizowanego niż do zdecentralizowanego społeczeństwa, systemy energetyczne w poważnej mierze wpływają na stopień centralizacji społecznej i politycznej.
- 4) Wstrzymajmy rozwój "niemasowych" środków przekazu, zaczynając od wycofania telewizji przewodowej i wideokaset, nie zapominając oczywiście o likwidacji lokalnych i regionalnych czasopism. Rodzinom nuklearnym najlepiej bowiem służy jeden, ogólnonarodowy, skoordynowany system informacji i wartości; zagraża im natomiast społeczeństwo oparte na wysokim zróżnicowaniu w tym względzie. Niektórzy krytycy naiwnie obwiniają massmedia o rzekome podkopywanie rodziny, tymczasem jest wręcz odwrotnie: rodzinę w jej formie nuklearnej wyidealizowały właśnie środki masowego przekazu.
- 5) Kobiety wepchnijmy siłą z powrotem do kuchni. Zmniejszmy ich pensje do absolutnego minimum. Zamiast osłabiać, umocnijmy jeszcze bardziej przywileje związkowe dla mężczyzn, w wyniku czego sytuacja kobiet na rynku pracy będzie jeszcze mniej korzystna, toteż wrócą one do domu. Jeżeli bowiem nikt z dorosłych nie zostaje w domu, nie ma żadnego "jądra", wokół którego organizuje się rodzina nuklearna. (Ten sam efekt można oczywiście osiągnąć w odwrotny sposób - dopuszczając kobiety do pracy, natomiast zmuszając mężczyzn do pozostania w domu i wychowywania dzieci.)
- 6) Zmniejszmy również zarobki młodych pracowników tak, aby bardziej - i na dłużej - uzależnić ich od rodziny: będą przez to mniej niezależni, także pod względem psychicznym. Rodzina nuklearna traci przecież swój nuklearny charakter wówczas, kiedy młodzi idąc do pracy wydostają się spod kontroli rodziców.
- 7) Wprowadźmy zakaz antykoncepcji i prowadzenia badań naukowych w dziedzinie biologii rozrodczej. One to bowiem prowadzą do niezależności kobiet oraz do stosunków pozamałżeńskich, które - jak wiadomo - przyczyniają się do osłabienia rodzinnych więzów nuklearnych.
- 8) Dostatek zapewnia wystarczające środki utrzymania ludziom samotnym, rozwiedzionym, kobietom pracującym oraz innym osobom żyjącym w pojedynkę - obniżmy

zatem stopę życiową całego społeczeństwa do poziomu sprzed 1955 roku. Aby trwać w niezmięnionej postaci, rodzina nuklearna potrzebuje odrobiny ubóstwa (nie za dużo, ale i nie za mało).

9) I wreszcie, weźmy się za ponowne umasowianie szybko odmasowiającego się społeczeństwa, powstrzymując wszystkie przemiany - w polityce, w sztuce, w oświacie i wychowaniu, w gospodarce i w innych dziedzinach; prowadzą one bowiem do zróżnicowania, wolności wyboru i idei, do indywidualizacji człowieka. Rodzina nuklearna zachowuje przewagę jedynie w społeczeństwie masowym.

Krótko mówiąc, jeżeli za rodzinę chcemy nadal uważać tylko rodzinę nuklearną, powinniśmy się stosować do powyższych wskazań. Jeżeli rzeczywiście pragnęlibyśmy ocalić rodzinę drugiej fali, to będziemy świadomi, że musielibyśmy ocalić całą cywilizację drugiej fali - hamując nie tylko rozwój technologii, ale również samej historii.

Jesteśmy bowiem świadkami nie tyle śmierci rodziny jako takiej, lecz ostatecznego załamania się systemu rodziny drugiej fali: systemu, w którym wszystkie rodziny miały gorliwie naśladować wyidealizowany model nuklearny. Na naszych oczach miejsce tego modelu zajmuje mnogość różnorodnych form rodziny. Zmierzając ku cywilizacji trzeciej fali - odmasowiamy nie tylko środki przekazu i produkcji; odmasowiamy także model rodziny.

NIE-NUKLEARNE STYLE ŻYCIA

Nadejście trzeciej fali nie musi, naturalnie, przekreślać całkowicie istnienia rodziny nuklearnej, tak samo jak nadejście drugiej fali nie przekreśliło do końca rodziny rozszerzonej, wielopokoleniowej. Niemniej jednak nie możemy już uważać rodziny nuklearnej za model idealny.

Tymczasem zupełnie nie docenia się faktu, że większość ludzi już obecnie żyje inaczej niż w klasycznej rodzinie nuklearnej - przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, gdzie trzecia fala jest najbardziej zaawansowana.

Jeżeli uznamy za nuklearną taką rodzinę, w skład której wchodzi pracujący mąż, zajmująca się domem żona i dwoje dzieci, to w całej Ameryce żyje obecnie w takim modelu rodziny zadziwiająco mało ludzi, bo tylko 7 procent. 93 procent Amerykanów nie pasuje do tego modelu, będącego ideałem w epoce drugiej fali.

Jeżeli nawet rozszerzymy naszą definicję tak, aby objąć nią rodziny, w których pracują oboje małżonkowie lub w których jest mniej albo więcej niż dwoje dzieci, to i tak okaże się, że przeważająca większość - bo aż dwie trzecie do trzech czwartych ludności - żyje w inny sposób niż rodzina typu nuklearnego. Ponadto, wszystko wskazuje, że liczba nuklearnych

gospodarstw domowych (niezależnie od ostatecznie przyjętej definicji) wciąż maleje: mnożą się natomiast inne formy rodziny.

Przede wszystkim jesteśmy świadkami eksplozji obyczajowej, polegającej na tym, że coraz więcej ludzi żyje "solo" - całkowicie samotnie, poza jakąkolwiek rodziną. W Stanach Zjednoczonych w latach 1970-1978 liczba osób w wieku od 14 do 34 lat, żyjących w pojedynkę, prawie się potroiła, wzrastając z półtora miliona do 4,3 miliona. Dziś jedną piątą wszystkich gospodarstw domowych w USA prowadzą "solo" pojedyncze osoby. I nie są to bynajmniej ludzie przegrani ani odludki", zmuszeni przez los do samotnego życia. Wielu wybiera je celowo, przynajmniej na jakiś czas. Prawniczka, asystentka w radzie miejskiej w Seattle powiada: "Gdybym spotkała kogoś odpowiedniego, rozważyłabym możliwość małżeństwa, ale nie zrezygnuję ze swojej pracy tylko dla małżeństwa." Tymczasem żyje samotnie. Stanowi ona część szerszej warstwy młodych ludzi, którzy opuszczają dom rodzinny wcześniej, natomiast zawierają małżeństwa późno, tworząc w ten sposób "fazę przejściową", która - jak określił to specjalista w dziedzinie statystyki populacyjnej, Arthur Norton - "zyskuje coraz większą aprobatę społeczną jako pewien etap w cyklu życia ludzkiego".

Patrząc na grupę ludzi w starszym wieku, znów obserwujemy znaczną liczbę ludzi poprzednio żyjących w małżeństwie, często znajdujących się "między jednym a drugim małżeństwem", którzy mieszkają sami i którym - w wielu wypadkach - podoba się takie życie. Powiększanie się takich grup powoduje rozkwit specyficznej kultury "singli"; kwitną usilnie reklamowane bary i schroniska turystyczne, organizuje się coraz więcej wycieczek i innych usług planowanych z myślą o niezależnym, pojedynczym człowieku. Budownictwo mieszkaniowe wychodzi także z ofertą "tylko dla samotnych", proponując im kupno mieszkań w przeznaczonych tylko dla nich blokach oraz budując mieszkania i domki na przedmieściach z mniejszą liczbą pokoi. Prawie jedna piąta wszystkich nabywców mieszkań i domów w USA to obecnie ludzie bez rodzin.

Obserwujemy również gwałtowny wzrost liczby osób mieszkających razem, nie bacząc na żadne formalności prawne. Według oficjalnych danych, ich liczba w ciągu ostatniej dekady podwoiła się. Praktyka ta stała się tak powszechna, że Ministerstwo Budownictwa Mieszkaniowego i Urbanistyki Stanów Zjednoczonych odstąpiło od tradycji i zmieniło przepisy, zezwalając takim parom na zamieszkiwanie w osiedlach budowanych przez państwo. Tymczasem sądy - od Connecticut po Kalifornię - zmagają się z komplikacjami natury prawnej i majątkowej, jakie powstają wówczas, gdy takie pary "rozchodzą się". Felietoniści poświęcają dużo uwagi etykietce, radząc na przykład, jakiego nazwiska używać

zwracając się do partnerów żyjących bez ślubu: obok istniejącego poradnictwa dla małżeństw, zaczyna kwitnąć nowa forma usług - "poradnictwo dla ludzi żyjących parami".

BEZDZIETNA KULTURA

Zupełnie nową jakość wprowadza w nasze życie również i to, że przybywa ludzi, którzy świadomie decydują się na - nazwijmy to - "bezdziety" styl życia. Według Jamesa Rameya, kierującego badaniami w Center for Policy Research (Ośrodku Badań Ludnościowych) obserwujemy obecnie masowe przechodzenie od modelu domu "skoncentrowanego wokół dzieci" do domu "skoncentrowanego wokół dorosłych". U progu naszego stulecia żyło bardzo niewiele "singli" i równie niewiele rodziców żyjących długo po tym, jak ich najmłodsze dziecko opuściło dom rodzinny. Większość gospodarstw domowych koncentrowała się wówczas wokół dzieci. W odróżnieniu od tego, już w 1970 roku tylko jedna dorosła osoba na trzy żyła w Ameryce w domu, w którym znajdowały się dzieci poniżej 18 roku życia.

Dziś powstają liczne organizacje propagujące życie bezdzielne; niechęć do posiadania dzieci ogarnia zresztą wiele innych krajów uprzemysłowionych. W 1960 roku tylko 20 procent "kiedykolwiek zamężnych" kobiet amerykańskich poniżej 30 roku życia nie miało dzieci. Do 1975 r. ich liczba wzrosła do 32 proc. - w ciągu 15 lat nastąpił więc 60-procentowy wzrost tej kategorii kobiet. Obroną praw bezdzielnych, atakowanych przez pronatalistyczną propagandę, zajmuje się w USA aktywna organizacja pod nazwą National Alliance for Optional Parenthood (Krajowe Przymierze na rzecz Swobody Rodzicielstwa).

W Wielkiej Brytanii istnieje podobna organizacja pod nazwą National Association for the Childless (Krajowe Stowarzyszenie Bezdzielnych); na bezdzielność świadomie decyduje się również wiele małżeństw w innych krajach europejskich. Na przykład mieszkańcy Bonn w RFN - Theo i Agnes Rohl, oboje po trzydziestce, on urzędnik miejski, ona sekretarka, mówią: "Chyba w ogóle nie będziemy mieli dzieci..." Państwo Rohl są umiarkowanie zamożni. Mają nieduży dom. Stać ich od czasu do czasu na wakacyjną podróż do Kalifornii lub na południe Francji. Posiadanie dzieci radykalnie zmieniłoby ich styl życia. "Przyzwyczailiśmy się do naszego stylu życia - powiadają - i odpowiada nam nasza niezależność." Owo wzbranianie się przed posiadaniem dzieci nie jest bynajmniej znamieniem kapitalistycznej dekadencji. Występuje ono również w Związku Radzieckim, gdzie wiele młodych rosyjskich małżeństw podziela stanowisko państwa Rohl i otwarcie odrzuca stan rodzicielski - zresztą ku zmartwieniu władz radzieckich, ponieważ wśród wielu nierosyjskich mniejszości narodowych przyrost naturalny utrzymuje się nadal na wysokim poziomie.

A TERAZ PRZEJDŹMY DO TYCH, KTÓRZY MAJĄ DZIECI. O KRYZYSIE RODZINY NUKLEARNEJ

JESZCZE DOBITNIEJ ŚWIADCZY SPEKTAKULARNY WZROST LICZBY RODZIN, W KTÓRYCH POZOSTAŁ TYLKO JEDEN RODZIC. W OSTATNICH LATACH OBSERWUJEMY TYLKO ROZWODÓW, ZRYWANYCH MAŁŻEŃSTW I SEPARACJI - I TO GŁÓWNIEM W RODZINACH NUKLEARNYCH - ŻE ZATRWAŻAJĄCO WIELE, BO JEDNO DZIECKO NA SIEDMIORO, WYCHOWUJE OBECNIE W AMERYCE TYLKO JEDNO Z RODZICÓW; W MIASTACH W TAKIEJ SYTUACJI ZNAJDUJE SIĘ JESZCZE WIĘCEJ DZIECI, BO JEDNO NA CZWORO.²⁵

W miarę powiększania się liczby domów prowadzonych przez jedno z rodziców, ludzie dochodzą do przekonania, że - mimo poważnych problemów - dom taki może być w pewnych warunkach lepszy dla dziecka niż dom nuklearny, w którym panują ustawiczne spory i konflikty. Prasa i organizacje społeczne starają się pomagać samotnym rodzicom, przyczyniając się do poprawy ich zbiorowego samopoczucia i dodając im odwagi, by śmielej występowali w obronie swych praw na forum publicznym.

I to zjawisko nie dotyczy wyłącznie Ameryki. W Wielkiej Brytanii w niemal jednej rodzinie na 10 jest tylko jedno z rodziców, przy czym blisko jedną szóstą takich rodzin stanowią rodziny prowadzone przez mężczyzn. Magazyn "New Society" nazywa takie stadła "najszybciej rosnącą grupą wśród niezamożnych". O interesy tej grupy walczy między innymi założona w Londynie organizacja pod nazwą National Council for One-Parent Families (Krajowa Rada do Spraw Rodzin prowadzonych przez Samotnych Rodziców).

W jednym z osiedli w Kolonii zbudowano osobny blok z mieszkaniami dla takich rodzin; zorganizowano tam również żłobek i przedszkole, aby rodzice mogli pracować. W Skandynawii uchwalono szereg ustaw z zakresu opieki społecznej, z myślą o poprawie warunków życiowych takich rodzin. Pierwszeństwo w przyjmowaniu do żłobków i przedszkoli mają w Szwecji dzieci, którymi opiekuje się tylko jedno z rodziców. W efekcie zarówno w Norwegii, jak i w Szwecji zdarza się, że rodzina prowadzona przez jedno z rodziców żyje na wyższym stopniu niż typowa rodzina nuklearna.

POJAWIŁ SIĘ JESZCZE INNY TYP RODZINY, BĘDĄCY REZULTATEM WYSOKIEJ LICZBY PONOWNYCH ZWIĄZKÓW MAŁŻEŃSKICH ZAWIERANYCH PRZEZ TYCH SAMYCH LUDZI PO ROZWODZIE. W SZOKU PRZYSZŁOŚCI NAZWAŁEM TEN TYP "RODZINĄ ZBIOROWĄ"; SKŁADA SIĘ ONA Z DZIECI (ORAZ DOROSŁYCH) Z DWÓCH ROZWIEDZIONYCH MAŁŻEŃSTW, PO ZAWARCIU PRZEZ ROZWIEDZIONYCH PONOWNYCH ZWIĄZKÓW MAŁŻEŃSKICH. SZACUJE SIĘ, ŻE OBECNIE 25 PROCENT DZIECI AMERYKAŃSKICH NALEŻY LUB WKRÓTCE BĘDZIE NALEŻEĆ DO RODZIN

²⁵ Liczbę całkowitą powiększają także dzieci nieślubne i adoptowane przez niezamężne kobiety oraz (coraz częściej) przez nieżonatych mężczyzn.

ZBIOROWYCH. DAVIDYNE MAYLEAS UWAŻA, ŻE RODZINY TAKIE, WRAZ Z "POLI-RODZICAMI" - MOGĄ STAĆ SIĘ NAJPOWSZECHNIEJSZĄ FORMĄ RODZINY PRZYSZŁOŚCI. "ZMIERZAMY DO POLIGAMII EKONOMICZNEJ" - TWIERDZI PANI MAYLEAS, ROZUMIEJĄC PRZEZ TO, ŻE DWIE ZŁĄCZONE KOMÓRKI RODZINNE BĘDĄ PRZEKAZYWAĆ PIENIĄDZE TAM I Z POWROTEM W POSTACI ALIMENTÓW I INNYCH PŁATNOŚCI. UPOWSZECHNIENIU TEJ FORMY RODZINY - ZAUWAŻA PANI MAYLEAS - CORAZ CZĘŚCIEJ TOWARZYSZY WSPÓŁŻYCIE SEKSUALNE MIĘDZY RODZICAMI I NIE ZWIĄZANYMI WIEZAMI KRWI DZIEĆMI.

W wysoko rozwiniętych krajach obserwujemy dziś niesamowitą różnorodność form rodziny: współistnieją obok siebie, jak nigdy przedtem, małżeństwa homoseksualne, komuny, grupy ludzi starszych łągających ku sobie, by dzielić koszty utrzymania (a niekiedy również seks), skupiska plemienne wśród niektórych mniejszości etnicznych i wiele innych. Istnieją małżeństwa kontraktowe, małżeństwa-seriale (polegające na okresowym współżyciu i rozstawaniu się, powtarzanym wielokrotnie przez tę samą parę - przyp. tłum.), rodziny gromadne i najróżniejsze zbiorowiska ludzi związanych zażyłością, którzy współżyją ze sobą seksualnie lub nie, jak również rodziny, w których matka i ojciec mieszkają i pracują w dwóch różnych miastach.

Nawet te przykłady nie oddają w pełni jeszcze bogatszych różnorodności kipiących pod powierzchnią form rodziny. Kiedy psychiatrzy Kellam, Ensminger i Turner próbowali sprecyzować "rozmaitość rodzin" występujących w jednej tylko biednej dzielnicy murzyńskiej w Chicago, zidentyfikowali "przynajmniej 86 rozmaitych kombinacji współżyjących ze sobą dorosłych" - jak choćby rodziny oparte na układach "matka-babka", "matka-ciotka", "matka-ojczym" i "matka-ktoś jeszcze".

Obserwując ten prawdziwy kalejdoskop związków pokrewieństwa i powinowactwa, nawet dość ortodoksyjni uczeni dochodzą do niegdyś radykalnego przekonania, że oddalamy się od ery rodziny nuklearnej i zdążamy ku nowemu społeczeństwu, którego cechą charakterystyczną będzie różnorodność życia rodzinnego. Jak twierdzi socjolog Jessie Bernard, "najbardziej charakterystycznym aspektem małżeństw przyszłości będzie właśnie możliwość dokonywania różnych wyborów przez różnych ludzi, dla których ich związki z innymi ludźmi będą mogły zaspokajać różne potrzeby i cele".

W pytaniu, które często słyszymy: "Jaka jest przyszłość rodziny?" pobrzmiwa zazwyczaj przeświadczenie, że skoro nuklearna rodzina drugiej fali traci swe panowanie, to jej miejsce musi zająć jakaś inna forma. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że w cywilizacji trzeciej fali żadna forma rodziny nie zatriumfuje na dłuższy okres czasu. Będziemy raczej obserwować ogromną różnorodność struktur rodzinnych. Ludzie - miast żyć masowo w

zuniformizowanych układach rodzinnych - będą zmieniać własny model, podążając przez życie indywidualnymi, a raczej "kreślonymi według własnych potrzeb" szlakami.

Lecz znowu nie oznacza to kompletnej eliminacji czy "śmierci" rodziny nuklearnej. Oznacza to jedynie, że począwszy od chwili obecnej, rodzina nuklearna będzie tylko jedną z wielu społecznie akceptowanych i uznawanych form rodziny. Napływająca właśnie trzecia fala jednocześnie z odmasowianiem systemu produkcji i systemu informacji w społeczeństwie powoduje odmasowienie systemu życia rodzinnego.

"GORĄCE" ZWIĄZKI

Patrząc na rozkwit różnorodnych form rodziny, nie możemy jeszcze powiedzieć, które z nich narzucają główne style życia w cywilizacji trzeciej fali.

Czy nasze dzieci będą długo, może przez całe dziesięciolecia, żyły samotnie? Czy będą bezdzietne? A my, czy na starość przyłączymy się do komuny seniorów? Jak będziemy się zapatrywać na jeszcze bardziej egzotyczne możliwości? Na przykład, na rodziny składające się z kilku mężów i jednej żony? (To mogłoby się zdarzyć, jeżeli dzięki zabiegom genetyków nauczymy się planować płeć dziecka i zbyt wielu rodziców będzie wołało chłopców.) A co z rodzinami homoseksualnymi wychowującymi dzieci? Sądy już debatuja nad tą kwestią. Co wyniknie z wydawania na świat dzieci różnych ojców przez tą samą, sztucznie zapłodnianą kobietę?

Jeżeli każdy z nas w ciągu swego życia zechce podążać torem różnych doświadczeń rodzinnych, to jakie będą kolejne fazy? Najpierw małżeństwo na próbę, następnie bezdzietne małżeństwo dwojga ludzi aktywnych zawodowo, a potem małżeństwo homoseksualne wychowujące dzieci? Możliwych odmian jest nieskończenie wiele. Chociaż wydaje się, że niektóre pomysły wprost wołają o pomstę do nieba, żadnego z nich nie należy uważać za niemożliwy. Jessie Bernard ujęła to następująco: "Nie można sobie wyobrazić żadnego małżeństwa, które gdzieś już by rzeczywiście nie istniało (...) Wszelkie warianty wydają się zupełnie naturalne z punktu widzenia ludzi, którzy wypróbowali je na sobie."

To, które konkretnie formy rodziny zanikną, a które się upowszechnią, będzie zależało w mniejszym stopniu od wygłaszania z ambony kazań na temat "świętości rodziny", natomiast w większym stopniu od decyzji, jakie podejmiemy w sprawie postępu technicznego i pracy ludzkiej. Chociaż na strukturę rodziny wywiera wpływ wiele czynników - na przykład sposoby komunikacji, system wartości, zmiany demograficzne, ruchy religijne, a nawet przeobrażenia ekologiczne - to wyjątkowo ważny jest związek między modelem i rodzajem pracy a formą rodziny. A zatem, skoro rodzinie nuklearnej sprzyjał rozwój pracy w fabryce i

w biurze, to wszelki odwrót od fabryki i biura musi wywrzeć poważny wpływ na rodzinę.

Nie sposób w jednym rozdziale wyliczyć wszystkie możliwe zmiany, jakie mogą nastąpić w życiu rodzinnym wskutek rozpoczynających się przeobrażeń w samych ludziach i w charakterze wykonywanej przez nich pracy. Jedna wszelako zmiana jest potencjalnie tak rewolucyjna i tak obca naszemu dotychczasowemu doświadczeniu, że należy jej koniecznie poświęcić nieco więcej miejsca. Chodzi oczywiście o przeniesienie pracy z fabryki i biura z powrotem do domu.

Założmy przez moment, że za 25 lat 15 procent zatrudnionych będzie pracować wyłącznie lub częściowo w domu. W jaki sposób praca w domu zmieni jakość naszych stosunków osobistych i sens miłości? Jak będzie wyglądało życie w wiosce elektronicznej?

Bez względu na to, czy ktoś będzie w domu programował komputery, pisał broszury, kontrolował na odległość procesy produkcyjne, projektował domy czy zajmował się elektronicznym maszynopisaniem, przynajmniej jedna rzecz w jego życiu zmieni się od razu. Praca w domu oznacza, że wielu małżonków, którzy dziś widują się zaledwie przez kilka godzin, będzie łączyć większa zażyłość. Niektórzy, oczywiście, na dłuższą metę nie zniosą tej bliskości. Natomiast inni ocalą dzięki niej swe małżeństwa i wzbogacą we wspólnych przeżyciach i doświadczeniach wzajemne stosunki.

Chcąc zobaczyć, jak ludzie przystosują się do tak głębokiej i zasadniczej zmiany w życiu społecznym, moglibyśmy przejść się po kilku domach w wiosce elektronicznej. Podczas tej wycieczki dostrzeglibyśmy niewątpliwie ogromną różnorodność sposobów organizowania życia i pracy.

W niektórych domach, możliwe, że w większości, zobaczylibyśmy prawdopodobnie mniej więcej konwencjonalny podział ról i obowiązków: jedna osoba wykonuje "pracę zawodową", a druga prowadzi dom, a więc kiedy on będzie zajmował się programowaniem, ona - opieką nad dziećmi. Jednakże wprowadzenie pracy do domu może zachęcić wielu małżonków do dzielenia między sobą zarówno zajęć zawodowych, jak i domowych. Znajdzie się zatem wiele domów, w których mąż i żona będą niejako dzielić po połowie jeden pełny etat. Na przykład kontrolowaniem skomplikowanego procesu produkcyjnego przy ekranie konsoli elektronicznej zainstalowanej w domowej pracowni będą zajmować się na zmianę mąż i żona, pracując po cztery godziny każde.

Kilka domów dalej, dla odmiany, spotkalibyśmy parę wykonującą w domu nie jedną, ale dwie różne prace zawodowe. Na przykład mikrobiolog i programista komputerów pracowałiby oddzielnie, każde w swojej dziedzinie. Ale i tu, przy zajęciach diametralnie różnych, istniałaby pewna wspólna płaszczyzna, możliwość zapoznawania się ze

słownictwem używanym w drugiej dziedzinie, wspólne problemy i troski oraz rozmowy na temat pracy. W takich warunkach niemal niemożliwe byłoby rozgraniczenie życia zawodowego od życia osobistego człowieka. Tym samym nie do pomyślenia byłoby całkowite wyłączenie partnera z niezwykle ważnego wymiaru ludzkiej egzystencji.

A po sąsiedzku (kontynuując nasze zwiedzanie) natrafilibyśmy zapewne na parę wykonującą dwa różne zawody, ale wyręczającą się nawzajem w obydwu: mąż pracowałby częściowo jako ubezpieczeniowiec, a częściowo jako asystent architekta; żona robiłaby to samo, tylko "na drugą zmianę", w odwrotnej kolejności. Taki układ zapewniałby obojgu bardziej urozmaicone, a więc i ciekawsze zajęcia.

W takich domach, niezależnie od ilości wykonywanych obok siebie zajęć, jeden partner uczy się zawsze od drugiego, obaj partnerzy uczestniczą w rozwiązywaniu swoich problemów, angażują się w złożony proces wzajemnego dawania i brania, a wszystko to może tylko przyczynić się do pogłębienia zażyłości. Narzucona bliskość, jak wiadomo, nie gwarantuje szczęścia. Rozszerzone rodziny w epoce pierwszej fali, będące jednocześnie jednostkami działalności gospodarczej, nie były bynajmniej idealnym modelem wzajemnej wrażliwości i pomocy psychologicznej. Miały one też swoje problemy i stresy. Ale stosunki w tych rodzinach rzadko bywały niezaangażowane lub "chłodne"; tego właśnie oddania i wzajemnego zaangażowania ludzie dziś im zazdroszczą.

Krótko mówiąc, rozpowszechnienie na dużą skalę pracy w domu mogłoby nie tylko odbić się na strukturze rodziny, ale również przeobrazić stosunki panujące w rodzinie. Ujmując rzecz lapidarnie - chodzi o to, że ludzie mieliby więcej wspólnych doświadczeń i przeżyć, a małżeństwa mogłyby znów zacząć ze sobą rozmawiać. Na skali temperatur wzajemnych stosunków międzyludzkich ich związki zmieniłyby się z "chłodnych" w "gorące". Zmieniłaby się również definicja miłości i ludzie odkryliby nowe pojęcie - "coś więcej niż miłość".

COŚ WIĘCEJ NIŻ MIŁOŚĆ

Widzieliśmy, jak w miarę narastania drugiej fali rodzina przerzucała wiele swoich funkcji na inne instytucje - nauczanie oddając szkole, opiekę nad chorymi - szpitalom, i tak dalej. Uwalnianiu się rodziny od poszczególnych funkcji towarzyszył awans miłości romantycznej.

Najwłaściwszymi pytaniami, jakie stawiał w epoce pierwszej fali ktoś, kto szukał partnera, były zapewne: "Czy moja narzeczona, lub narzeczony, umie pracować?", "Czy umie leczyć?", "Czy będzie dobrym nauczycielem dla naszych przyszłych dzieci?", "Czy będziemy umieli zgodnie pracować razem?", "Będzie się wymigiwał, czy w razie czego weźmie cały ciężar na siebie?" W rodzinach chłopskich pytano wprost: "Czy jest silna, sprawna w schylaniu i

dźwiganiu lub może jest chorowita i słaba?"

Pytania te zmieniły się, kiedy w epoce drugiej fali rodzina pozbyła się swych dawnych funkcji. Rodzina przestała już być połączeniem brygady produkcyjnej, szkoły, szpitala polowego, żłobka i domu starców. Ważniejsze stały się natomiast jej funkcje psychologiczne. Małżeństwo miało teraz zaspokajać potrzebę towarzystwa, seksu, ciepła i wsparcia. Ta zmiana funkcji rodziny szybko znalazła odzwierciedlenie w nowych kryteriach wyboru partnera. Określano je jednym słowem: miłość. Tylko dzięki miłości, zapewniała kultura masowa, ziemia się w ogóle obraca.

Życie, naturalnie, rzadko dorównywało romantycznej fikcji. W wyborze partnera nadal odgrywały rolę przynależność klasowa, status społeczny i dochody. Ale wszystkie te względy miały rzekomo drugorzędne znaczenie w porównaniu z Miłością przez duże M.

Jutrzejszy rozwój wioski elektronicznej podważy prawdopodobnie tę prostoduszną - i jednostronną - logikę. Człowiek, którego czeka praca z drugim człowiekiem we własnym domu, który nie będzie już spędzać przeważającej części swego świadomego życia gdzie indziej - będzie zapewne brać pod uwagę również i inne względy niż tylko możliwość zwykłego zaspokojenia seksualnego i psychicznego, czy ewentualnie jeszcze status społeczny partnera. Będzie się on prawdopodobnie domagać czegoś więcej niż miłości, a więc oprócz gratyfikacji seksualnej i psychicznej także rozumu (podobnie jak pradiadowie niegdyś lubili krzepę i tężyznę fizyczną). Będzie pragnął miłości oraz sumienności, odpowiedzialności, dyscypliny wewnętrznej i innych cnót pożądaných w pracy. Kto wie, może jakiś przyszły John Denver będzie śpiewał taki przebój:

Kocham twe oczy, twe usta, aż boli. To miłość, co wiecznie plonie. I ciebie skupioną przy konsoli, Twe zręczne komputerowe dłonie...

Ale żarty na bok. Można sobie wyobrazić, że przynajmniej niektóre rodziny przyszłości wezmą na siebie dodatkowe funkcje, zamiast się ich pozbywać; że będą one realizować nie jeden lub dwa, ale bardzo wiele różnych celów. A wraz z taką zmianą kryteriów dotyczących małżeństwa ulegnie przekształceniu także i sama definicja miłości.

KAMPANIA NA RZECZ PRACY NIELETNICH

Dzieci również będą się zapewne inaczej rozwijać żyjąc w wiosce elektronicznej - choćby z tego powodu, że praca będzie rzeczywiście odbywać się na ich oczach. Dzieci pierwszej fali, od pierwszego przebłysku świadomości, oglądały swoich rodziców przy pracy. Dzieci drugiej fali, wręcz przeciwnie - przynajmniej w ostatnich dziesięcioleciach - spędzały czas w szkołach i żyły praktycznie w separacji od zajęć zawodowych ludzi dorosłych. Większość

dzieci ma dziś zaledwie mgliste pojęcie o tym, co ich rodzice robią i jak żyją w miejscu zatrudnienia. Trafnie mówi o tym zabawna historyjka: Pewien dyrektor zabrał raz swego syna do biura, a następnie na obiad. Chłopiec patrzy na gabinet wyściełany miękkim dywanem, dyskretne oświetlenie, elegancki pokój przyjęć interesantów, potem na wytworną restaurację z usłużnymi kelnerami i bająskimi cenami, a w końcu - myśląc o ich własnym domu - nie wytrzymuje i pyta: "Tato, jak to się dzieje, że ty jesteś taki bogaty, a my tacy biedni?"

Życie dzisiejszych dzieci, zwłaszcza z zamożnych domów, przebiega poza jednym z najważniejszych wymiarów życia ich rodziców. W wiosce elektronicznej natomiast dzieci nie tylko są świadkami pracy, ale po osiągnięciu pewnego wieku mogłyby same brać w niej udział. W warunkach pracy w domu trudniej też przestrzegać zakazu zatrudniania dzieci, który miał na celu ich dobro i w epoce drugiej fali był niewątpliwie konieczny, ale obecnie służy głównie jako dość anachroniczny sposób niedopuszczania młodzieży do przeludnionego rynku pracy. Myślę, że pewne zajęcia można by było specjalnie planować dla młodocianych, a nawet włączyć je do programu nauczania. (Nie doceniać zdolności bardzo młodych ludzi do wypełniania skomplikowanych zadań może ktoś, kto nigdy nie spotkał w Kalifornii czternasto- i piętnastoletnich chłopców, którzy pracują, prawdopodobnie nielegalnie, jako "sprzedawcy" w sklepach z komputerami. Mnie samemu zawilości domowych urządzeń elektronicznych wyjaśniały dosłownie dzieci, niektóre jeszcze w aparatach ortodontycznych.)

Alienacja współczesnej młodzieży wypływa w dużej mierze z narzuconej im bezproduktywnej roli w społeczeństwie w czasie wydłużającego się w nieskończoność wieku młodzieńczego. Zaradzić temu mogłaby właśnie wioska elektroniczna.

Może się okazać, że włączenie młodzieży do pracy w wiosce elektronicznej będzie jedynym praktycznym rozwiązaniem problemu wysokiego bezrobocia wśród młodzieży. W najbliższych latach problem ten będzie się w wielu krajach jeszcze bardziej nasilał, zresztą przy równoczesnym wzroście przestępczości młodocianych, fali przemocy i przygnębienia psychicznego. Problemu tego nie rozwiążemy w systemie gospodarczym drugiej fali, chyba że zastosujemy środki totalitarne - na przykład powoływanie młodych ludzi na wojnę lub do przymusowej służby wojskowej. Wioska elektroniczna stwarza natomiast możliwość, że młodzież znów będzie spełniać ważną rolę społeczną i gospodarczą. Nie wykluczone więc, że niedługo będziemy sami organizować kampanię na rzecz - zamiast przeciwko - pracy nieletnich, dbając jednocześnie o podjęcie niezbędnych kroków w celu ochrony dzieci przed rażącym wyzyskiem.

RODZINA POSZERZONA ERY ELEKTRONICZNEJ

Poza tym można sobie łatwo wyobrazić, że w gospodarstwach domowych, w których również będzie się pracować zawodowo, powstanie coś zupełnie nowego i dotąd nie spotykanego, a mianowicie "rodzina poszerzona ery elektronicznej".

Najbardziej chyba powszechną formą rodziny w społeczeństwie pierwszej fali była tzw. rodzina rozszerzona, skupiająca pod jednym dachem kilka pokoleń. Istniały również "rodziny poszerzone", obejmujące - oprócz faktycznych członków rodziny - jeszcze jedną lub dwie sieroty, jakiegoś czeladnika czy parobka. Wydaje się prawdopodobne, że pracująca w domu rodzina przyszłości przygarnie na podobnej zasadzie jedną czy dwie osoby - na przykład kogoś z pracy męża lub żony, kogoś z klientów lub dostawców związanych z tym, co się robi w domu, czy wreszcie dziecko sąsiadów, pragnące nauczyć się zawodu. Nietrudno przewidzieć, że takie rodziny będą musiały zostać prawnie usankcjonowane jako drobne przedsiębiorstwa objęte specjalnym ustawodawstwem, uchwalonym z myślą o potrzebach nowych komunokorporacji bądź zakładów spółdzielczych nowego typu. W ten sposób dla wielu ludzi gospodarstwa domowe stałyby się poszerzonymi rodzinami ery elektronicznej.

To prawda, że większość komun z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dość szybko się rozpadła, nasuwając przypuszczenie, jakoby komuny powstające w społeczeństwach rozwiniętych pod względem technologicznym były z natury rzeczy skazane na nietrwałość. Przyjrząwszy się jednak temu dokładniej, zobaczymy, że komuny, które rozpadły się najprędzej, były powoływane głównie w celach psychologicznych - do treningu interpersonalnego, zwalczania samotności, dostarczania poczucia bliskości i więzi itp. Większość z nich nie posiadała żadnej bazy ekonomicznej, a ich członkowie sami uważali je za utopijne eksperymenty. W odróżnieniu od nich komuny, które przetrwały próbę czasu - a niektóre przetrwały - miały jasną misję do spełnienia, miały zaplecze materialne i raczej praktyczne, a nie utopijne nastawienie światopoglądowe.

Każda misja zewnętrzna zbliża ludzi i integruje ich; może zapewnić uczestnikom niezbędną bazę ekonomiczną. A jeżeli tą misją zewnętrzną będzie na przykład projektowanie form przemysłowych, prowadzenie za pomocą elektronicznych urządzeń dokumentacji dla szpitala lub kompanii ubezpieczeniowej, opracowywanie rozkładu lotów dla krajowych linii lotniczych, redagowanie katalogów jakiejś firmy albo świadczenie usług w zakresie informacji technicznej, to elektroniczna komuna przyszłości może w istocie okazać się zupełnie niezłe funkcjonującą i trwałą formą rodziny.

Co więcej, ponieważ elektroniczne, poszerzone rodziny nie będą zwalczały innych stylów życia ani demonstrowały swojej wyższości, będą natomiast stanowiły integralną część całego systemu gospodarczego kraju - zdecydowanie wzrosną szanse ich przetrwania. Może się

okazać, że poszerzone rodziny będą się łączyć w większe organizacje, które zajmowałyby się jakąś użyteczną przedsiębiorczością bądź świadczeniem usług socjalnych, oferując je klientom za pośrednictwem normalnego systemu rynkowego lub własnych agencji handlowych. Wewnątrz takich wspólnot ich uczestnicy mogliby współżyć między sobą lub też nie - zupełnie niezależnie od formalnych związków małżeńskich.

Mogliby się łączyć w związki heteroseksualne albo nie. Mogliby zostać bezdzietni albo mieć dzieci.

Słowem, widzimy możliwości wskrzeszenia rodziny poszerzonej. Obecnie blisko 6 procent dorosłych Amerykanów żyje w typowych rodzinach rozszerzonych. Można przyjąć, że za życia następnego pokolenia liczba ta podwoi się lub nawet potroi, przy czym niektóre rodziny poszerzą się przez przyjmowanie ludzi z zewnątrz. I nie będzie to jednostkowe zjawisko bez większego znaczenia, lecz potężny ruch społeczny, który obejmie w samych tylko Stanach Zjednoczonych miliony ludzi. Awans rodziny poszerzonej ery elektronicznej wywrze doniosły wpływ na życie społeczności sąsiedzkiej, na wzorce miłości i małżeństwa, na renesans przyjaźni, na gospodarkę i rynek konsumenta, jak również na psychikę i strukturę osobowości człowieka.

Przedstawiona tu nowa wersja rodziny rozszerzonej nie jest bynajmniej nieuchronnym, ani lepszym czy gorszym od innych, typem rodziny; stanowi po prostu przykład takiej formy rodziny, która - wśród wielu innych - znajdzie dla siebie miejsce w złożonym środowisku społecznym dnia jutrzejszego.

RODZICE - POD SĄD

To bogactwo form rodziny trzeba będzie jednak przyłacić cierpieniem i rozterką. Wszak każda zmiana w strukturze rodziny powoduje zmianę ról poszczególnych jej członków. Każde społeczeństwo - za pośrednictwem swych instytucji - tworzy własną architekturę ról i oczekiwań społecznych. Korporacja przemysłowa i związki zawodowe ustalały między sobą, czego mniej więcej należy oczekiwać od pracowników i kadry kierowniczej. Szkoły określały odpowiednio role nauczycieli i uczniów. A w rodzinie drugiej fali następował podział ról na żywiciela rodziny, gospodynię i dzieci. Obecnie natomiast, gdy rodzina nuklearna znalazła się jak gdyby w sytuacji krytycznej, przypisane jej role zaczynają się dezaktualizować, powodując u wielu ludzi bolesne rozdarcie wewnętrzne.

Od chwili, kiedy głośna książka Betty Friedan *Feminine Mystique* (Mistyka kobiecości) zainicjowała w wielu krajach współczesny ruch feministyczny, obserwujemy dramatyczne wysiłki zmierzające do przededefiniowania ról kobiety i mężczyzny - odpowiednio do potrzeb

przyszłej rodziny postnuklearnej. Zmieniły się oczekiwania i zachowania ludzi obojga płci w odniesieniu do ich pracy, do prawnej i finansowej regulacji ich statusu, do obowiązków domowych, a nawet do ich powinności seksualnych. "Obecnie - pisze Peter Knobler w poświęconym muzyce rockowej czasopiśmie «Crawdaddy» - w rozgrywkach z mężczyznami kobiety łamią wszystkie reguły gry (...) Trzeba przyznać, że w wielu wypadkach mają one rację - dodaje Knobler - ale życie wcale nie jest przez to łatwiejsze."

Nowe światło na podział ról rzucają między innymi spory na temat przerywania ciąży, w których kobiety forsują pogląd, że to one - nie zaś politycy, księża, lekarze, a nawet nie mężowie - mają prawo do kontroli nad własnym ciałem. Role przypisane płci zamazują się także, kiedy równych praw domagają się, i częściowo je uzyskują, na przykład homoseksualiści. Są też tacy, którym nagle bardzo zależy na uchwaleniu Karty Praw Dziecka.

W związku z mnożeniem się różnych form rodziny i zdobywaniem przez nie akceptacji społecznej sądy zawałone są sprawami, w których chodzi o usankcjonowanie zmiany ról, wynikającej z nowych układów. Czy na przykład nie związanych związkiem małżeńskim ludzi dotyczą po rozejściu się zasady podziału majątkowego? Czy para ludzi powinna płacić za urodzenie dziecka innej kobiecie, która podda się sztucznemu zapłodnieniu? (Sąd Brytyjski orzekł, że nie - ale na jak długo?) Czy lesbijka może być "dobrą matką" i czy po rozwodzie z mężem można jej przyznać opiekę nad jej własnym dzieckiem? (Orzeczenie Sądu Amerykańskiego brzmi: tak.) Co to znaczy - być dobrą matką lub dobrym ojcem? Nic lepiej nie odzwierciedla zmieniającej się struktury ról niż sprawa sądowa w miejscowości Boulder w stanie Kolorado, wniesiona przez rozgniewanego dwudziestoczterolatka, Toma Hansena. Jego adwokat stwierdził, że rodzice mają prawo do błędów, ale za skutki tych błędów muszą odpowiadać przed sądem i ewentualnie ponieść karę pieniężną. Hansen domagał się w sądzie 350 000 dolarów od rodziców tytułem odszkodowania na podstawie nie mającej dotąd precedensu: mianowicie, za nadużycie władzy rodzicielskiej.

UŁATWIĆ PRZEJŚCIE W JUTRO

Na tle tej ogólnej dezorientacji i wrzawy zaczyna się krystalizować nowy system życia rodzinnego trzeciej fali, oparty na różnorodności form rodziny i bardziej zróżnicowanych rolach jej członków. Odmasowienie rodziny otwiera nowe możliwości przed każdym z nas. Cywilizacja trzeciej fali nie będzie właczać wszystkich - czy chcą, czy nie - w jakąś jedną formę rodziny. W wyłaniającym się systemie życia rodzinnego każdy będzie mógł znaleźć odpowiednie dla siebie miejsce: będzie mógł wybrać typ rodziny lub stworzyć zupełnie nowy; będzie mógł podążać przez życie po trajektorii dostosowanej do własnych, osobistych

potrzeb.

Nim jednak odtańczymy w końcu triumfalny taniec, musimy najpierw jakoś sobie poradzić z udrękami stanu przejściowego. Tkwiąc po uszy w starym systemie i jeszcze nie widząc, by nowy zajmował jego miejsce - miliony ludzi są przerażone tym szalonym zróżnicowaniem, które wcale nie wydaje im się tak bardzo pociągające. Nie uważają się za wyzwolonych, przeciwnie - cierpią z powodu nadmiaru możliwości, czują się zranieni, rozgoryczeni, pogrążeni w smutku i samotności, którą tylko potęguje ta niesamowita ilość możliwości wyboru.

Po to, by owa różnorodność nie przynosiła ludziom szkody, tylko sprzyjała im i pomagała, potrzebne są jednoczesne zmiany w wielu dziedzinach - od moralności i polityki podatkowej po zasady przyjmowania do pracy.

W sferze wartości powinniśmy się pozbyć nieuzasadnionego poczucia winy, jakie pojawia się, kiedy następuje rozpad rodziny lub zmienia się jej charakter. Zamiast tę winę rozjątrzać i pogłębiać, prasa i telewizja, kościół, sądownictwo i system polityczny powinny raczej starać się ją zmniejszać i łagodzić.

Jeżeli ktoś chce żyć inaczej niż w rodzinie nuklearnej, powinno mu się to ułatwiać, a nie utrudniać. Wartości z reguły zmieniają się wolniej niż rzeczywistość społeczna. Dlatego właśnie nie rozwinęła się jeszcze w ludziach postawa tolerancji wobec różnorodności, której niemasowe społeczeństwo będzie wymagać i którą samo spowoduje. Bardzo wielu ludzi - wychowanych w warunkach drugiej fali, stanowczo nauczonych, że jeden rodzaj rodziny jest "normalny", inne natomiast nieco podejrzane, jeżeli nie wręcz "zбочzone" - wciąż nie może się zdobyć na tolerancję w stosunku do nowej różnorodności stylów życia rodzinnego. Dopóki się to nie zmieni, dopóty dolegliwość stanu przejściowego będzie niepotrzebnie bardzo bolesna.

Ludzie nie będą mogli w życiu gospodarczym i społecznym w pełni korzystać z większych możliwości wyboru wśród różnych typów rodzin dopóty, dopóki wszystkie ustawy, przepisy podatkowe, zasady opieki społecznej, reguły obowiązujące w szkolnictwie, normy budowlane i mieszkaniowe, a nawet formy architektoniczne będą ślepo i bezwzględnie faworyzować rodzinę drugiej fali. Te przepisy i normy nie uwzględniają przeważnie specjalnych potrzeb kobiet pracujących, mężczyzn zajmujących się dziećmi w domu, kawalerów i "panien" (cóż za antypatyczna nazwa), ludzi znajdujących się między kolejnymi małżeństwami ani "rodzin zbiorowych" czy wdów żyjących oddzielnie lub razem. W społeczeństwach drugiej fali wszystkie takie układy podlegają dyskryminacji - niekiedy ledwie uchwytniej, a niekiedy całkiem otwartej.

Mimo że cywilizacja drugiej fali tak pobożnie pochwaliała zajmowanie się domem, to osoby wykonujące to zajęcie nie cieszyły się bynajmniej wielkim szacunkiem. Prowadzenie domu jest pracą produktywną, pracą o decydującym znaczeniu w życiu, powinno więc zostać uznane za naturalny element działalności gospodarczej. W celu zapewnienia wysokiego statusu pracom domowym powinniśmy płacić pensje kobietom wykonującym te prace - niezależnie od tego, czy będą to kobiety czy mężczyźni, pojedyncze osoby czy grupy osób pracujących razem. Moglibyśmy też w jakiś inny sposób określić wartość ekonomiczną tej działalności gospodarczej.

W systemie gospodarczym, w którym praca odbywa się poza domem, zasady zatrudnienia są w wielu miejscach nadal oparte na anachronicznym założeniu, że mąż jest głównym żywicielem rodziny, natomiast praca żony jest dodatkowym źródłem dochodu dla rodziny, a dla niej samej - dodatkowym zajęciem. Wciąż nikt nie chce uznać kobiety za w pełni niezależnego konkurenta na rynku pracy. Wprowadzając mniej rygorystyczne przepisy dotyczące stażu i starszeństwa, upowszechniając indywidualny czas pracy, otwierając możliwości zatrudnienia w niepełnym wymiarze godzin - nie tylko zhumanizujemy produkcję, ale dostosujemy ją do potrzeb zróżnicowanych modeli rodziny. Już dziś mamy wiele dowodów na to, że system pracy zaczyna dopasowywać się do zróżnicowania układów rodzinnych. Wkrótce po tym jak Citibank - jeden z największych banków amerykańskich - dopuścił kobiety do stanowisk kierowniczych, zauważono, że kierownicy i dyrektorzy w tym banku chętnie biorą za żony swoje nowe koleżanki. Ale w banku od dawna obowiązywał zakaz zatrudniania par małżeńskich. Trzeba więc było znieść ten zakaz. Jak pisze tygodnik "Business Week" - małżeństwa "bankowe" kwitną tam teraz z obopólną korzyścią dla kompanii oraz dla życia rodzinnego pracowników.

Wygląda na to, że niedługo wyjdziemy daleko poza takie drobne zmiany. Może zechcą pracować razem nie tylko "pary bankowe", ale całe rodziny, które będziemy zatrudniać jako brygady pracownicze? W fabrykach drugiej fali nie było to możliwe, wcale to jednak nie znaczy, że jest to niewłaściwe i niesłuszne dzisiaj. Nikt nie wie, co wyniknie z takich pomysłów, ale - podobnie jak w innych sprawach związanych z rodziną - powinniśmy zachęcać do eksperymentów na niewielką skalę, a może nawet przeznaczyć na ten cel jakieś fundusze publiczne.

Środki takie mogłyby ułatwić nam przejście w jutro, minimalizując rozterki i cierpienia, jakie przeżywają w czasie tej zmiany miliony ludzi. Ale w bólach czy nie, nowy system rodziny właśnie się rodzi, by z czasem zastąpić ten jeden jedyny model, który charakteryzował minioną epokę drugiej fali. Nowy system zróżnicowanych form rodziny

będzie główną instytucją nowoczesnej socjofery, która krystalizuje się obok nowej technosfery oraz infosfery. Proces ten stanowi część wielkiego aktu społecznej kreacji, w którym nasze pokolenie tworzy nową cywilizację, starając się równocześnie do niej przystosować.

Rozdział XVI

NOWY KODEKS POSTĘPOWANIA

W milionach średnio zamożnych domów może zdarzyć się następująca sytuacja: syn (albo córka) w wieku "podyplomowym" przychodzi spóźniony na kolację do domu, z wściekłą miną rzuca gazetę z rubryką ogłoszeń o pracy i oświadcza, że praca od 9 do 17 to poniżająca bzdura, nie warta funta kłaków. Przecież żaden człowiek mający choć odrobinę godności nie jest w stanie wprząc się w kierat na tyle godzin.

Włączają się rodzice: ojciec, który właśnie wrócił ze swojej pracy od 9 do 17, i matka, zmęczona i na dodatek zła, ponieważ dopiero co musiała opłacić cały plik rachunków. Patrzą na syna z przerażeniem. Przeżywali to kiedyś sami. Mając za sobą dobre i złe czasy, proponują spokojną posadę w dużym przedsiębiorstwie. Młody człowiek uśmiecha się szyderczo. To może lepsza będzie mniejsza firma? Nie, najlepsza jest żadna firma. To może dalsze studia? A po co? Wszystko jest i tak diabła warte!

Rodziców ogarnia konsternacja. Widzą, że ich propozycje są na nic. Frustracja narasta. Aż w końcu pada koronny argument wszystkich rodziców: "Kiedy ty wreszcie zaczniesz traktować życie poważnie?"

Takie sytuacje zdarzają się nie tylko w zamożnych domach w USA czy nawet w Europie. Japońscy przemysłowcy, popijając swoją sake, skarżą się na szybko postępujący zanik etyki pracy i lojalności wobec pracodawcy, na spadek punktualności i dyscypliny wśród młodych. Nawet w Związku Radzieckim w średnio zamożnych domach rodzice spotykają się z podobną postawą dorastających dzieci.

Czy jest to tylko kolejny przejaw tradycyjnego konfliktu pokoleń, owo *epater les parents!* Czy może jest w tym coś nowego? Czy nie jest możliwe, że inaczej rozumieją "poważne traktowanie życia" rodzice, a inaczej ich dzieci?

Faktem jest, że chodzi tu nie tylko o zwykłą konfrontację romantycznej młodzieży z realistycznymi dorosłymi. To, co niegdyś uważano za realizm, dziś może już nim nie być. Pod wpływem naporu trzeciej fali zmienia się bowiem gwałtownie elementarny kodeks postępowania, zawierający fundamentalne zasady życia społecznego.

Druga fala, jak wiemy, wprowadziła własny "kodeks" zasad i norm odnoszących się do postępowania człowieka. Takie zasady, jak synchronizacja, standaryzacja i maksymalizacja były stosowane w działalności gospodarczej oraz w zarządzaniu, a także w życiu codziennym ludzi ogarniętych obsesją punktualności oraz terminów.

Dziś powstaje kontrkodeks - nowy zestaw elementarnych reguł, dostosowanych do

nowego życia, które tworzymy opierając się na odmasowionym systemie gospodarczym, odmasowionych środkach komunikowania, na nowych strukturach rodziny i organizacji przedsiębiorstw produkcyjnych. Wiele spośród pozornie bezsensownych starć między młodymi i starymi, podobnie jak i liczne konflikty w szkołach i uczelniach, w salach konferencyjnych i w zakulisowym życiu politycznym, to w istocie nic innego, jak spory o to, który kodeks należy zastosować w konkretnym przypadku.

Nowy kodeks otwarcie atakuje wiele rzeczy, w które uczono wierzyć człowieka drugiej fali - od punktualności i synchronizacji po potrzebę ugodowości i konformizmu oraz standaryzacji. Kwestionuje on, przyjętą na wiarę, użyteczność centralizacji i profesjonalizacji. Zmusza nas do zrewidowania przekonania, że co większe, to lepsze, a także samego pojęcia "koncentracji". Zrozumienie tego nowego kodeksu oraz drastycznej różnicy między nim a starym kodeksem natychmiast pozwala na zrozumienie wielu rozgrywających się wokół nas, dotąd niepojętych, konfliktów, które doprowadzają ludzi do wyczerpania i stanowią zagrożenie dla pozycji, prestiżu i dochodów każdego człowieka.

INACZEJ NIŻ OD 9 DO 17

Przyjrzyjmy się naszym sfrustrowanym rodzicom. Cywilizacja drugiej fali, jak widzieliśmy, zsynchronizowała życie codzienne, sprzęgając rytm snu i czuwania, pracy i zabawy, z podskórnym pulsowaniem maszyn. Wyrósłi w tej cywilizacji rodzice przyjmują bez zastrzeżeń, że praca musi być zsynchronizowana, że każdy musi przychodzić do pracy i pracować w tym samym czasie, że przeciążenia komunikacji w godzinach szczytu są nieuniknione, że pory posiłków muszą być zawsze takie same oraz że dzieciom - od najwcześniejszych lat - trzeba wbijać do głowy poczucie czasu i punktualności. Rodzice nie mogą zrozumieć, dlaczego ich latorośle wydają się tak irytująco niedbałe w sprawach dotrzymywania terminów i przychodzenia na czas oraz dlaczego - jeżeli praca od 9 do 17 (lub w innych ściśle określonych godzinach) była dobra dla nich - to nagle ma być nie do przyjęcia dla ich dzieci.

Otóż dzieje się tak dlatego, że pod naporem trzeciej fali zmienia się kompletnie poczucie czasu. Życie w epoce drugiej fali przebiegało w tempie dyktowanym przez maszyny; trzecia fala natomiast podważa ową mechaniczną synchronizację, przekształca wszystkie najważniejsze rytmy życia społecznego, a czyniąc to, wyswabza ludzi spod dominacji maszyn.

Gdy to zrozumiemy, stanie się jasne, dlaczego jedną z najszybciej rozpowszechniających się innowacji w przemyśle w latach siedemdziesiątych był tzw. *flexitime* - czyli możliwość

dostosowania godzin pracy do indywidualnej wygody pracowników. Zamiast żądać, aby wszyscy stawiali się u bram fabryki lub w biurze o tej samej porze albo nawet w z góry ustalonych kilku różnych porach, przedsiębiorstwo stosujące zasadę ruchomego czasu pracy ustala jedną określoną porę, kiedy wszyscy mają znajdować się na swoich stanowiskach. Wybór zaś pozostałych godzin pracy pozostawia się samym pracownikom. W ruchomym czasie pracy każdy może sam wybrać godziny, które chce spędzić przy pracy.

Oznacza to, że ludzie, których rytm biologiczny z reguły budzi wczesnym rankiem, mogą chodzić do pracy na 8 rano, a osoby z odmiennym metabolizmem, tak zwane "nocne Marki", mogą natomiast zaczynać pracę od godziny dziesiątej czy pół do jedenastej. Oznacza to też, że można sobie wziąć "wolne" na porządki w domu, zakupy czy pójście z dzieckiem do lekarza. Grupy pracowników, którzy lubią grywać w kręgle wczesnym rankiem lub pod wieczór, mogą razem ustalić wspólne godziny pracy tak, aby nie kolidowały z ich hobby. Słowem, czas jako taki również ulega odmasowieniu.

Ruch na rzecz indywidualizacji czasu pracy zainicjowała w 1965 roku zachodnioniemiecka ekonomistka, pani Christel Kammerer, która przekonywała, że ruchomy czas pracy może być dobrym sposobem na zatrudnienie większej liczby kobiet zajmujących się opieką nad dziećmi. W 1967 roku zauważono, że pracownicy koncernu Messerschmitt-Bolkow-Blöhn, zwanego "niemieckim Boeingiem", zjawiają się w pracy zmordowani dojazdami w porannym tłoku. Zrazu ostrożnie, na próbę, dyrekcja pozwoliła 2 tysiącom robotników odstąpić od sztywnych godzin (od 8 do 17) i przejść na indywidualny czas pracy. W ciągu dwóch lat na ruchomy czas pracy przeszła cała 12-tysięczna załoga, a niektóre wydziały poniechały nawet wyznaczania określonej pory, kiedy wszyscy pracownicy mieli być równocześnie w pracy.

W 1972 roku w czasopiśmie "Europa" pisano, że "w blisko 2000 firm zachodnioniemieckich zostało nieodwołalnie przekreślone narodowe przywiązanie do bezwzględnej punktualności (...) Stało się tak w wyniku wprowadzenia *Gleitzeit* - czyli ruchomego czasu pracy. Do 1977 roku co najmniej jedna czwarta wszystkich zatrudnionych w RFN, a więc w sumie ponad 5 milionów pracowników, pracowała już według takiej czy innej formy ruchomego czasu pracy; system ten objął również 22 tysiące kompanii zatrudniających około 4 miliony ludzi we Francji, Finlandii, Danii, Szwecji, we Włoszech i w Wielkiej Brytanii. W tym samym czasie 15 do 22 procent wszystkich firm przemysłowych w Szwajcarii przestawiło na nowy system organizacji czasu pracy całe załogi lub przynajmniej niektóre wydziały.

Przedsiębiorstwa wielonarodowe (czołowa siła upowszechniania nowych prądów kulturowych we współczesnym świecie) szybko zaczęły eksportować ten system z Europy.

Na przykład firmy Nestle i Lufthansa wprowadziły go w swoich fabrykach w USA. Jak głosi raport przygotowany dla American Management Association przez profesora Stanleya Nollena i konsultantkę Virginie Martin, w 1977 roku 13 procent kompanii amerykańskich stosowało ruchomy czas pracy. Autorzy raportu przewidują, że w ciągu kilku lat liczba ich wzrośnie do 17 procent, obejmując ponad 8 milionów pracowników. Wśród firm amerykańskich, które wypróbują systemy ruchomego czasu pracy, znajdują się takie giganty, jak Scott Paper, Bank of California, General Motors, Bristol-Myers i Equitable Life.

Niektóre spośród najbardziej konserwatywnych związków zawodowych - dążące do utrzymania status quo drugiej fali - wciąż się wahają. Ale pojedynczy pracownicy widzą w ruchomym czasie pracy nadzieję na wyzwolenie się od przysłowiowego kieratu! Dyrektor jednej z londyńskich firm ubezpieczeniowych powiada: "Absolutnie zachwycone wprowadzanymi zmianami były młode mężatki." Z badań przeprowadzonych w Szwajcarii wynika, że nowy system odpowiada ponad 95 procentom pracowników objętych reformą. 35 procent pracowników - w tym więcej mężczyzn niż kobiet - stwierdza, że spędza obecnie więcej czasu z rodziną.

Pewna urzędniczka banku w Bostonie omal nie została zwolniona z pracy, ponieważ - mimo iż na ogół uważano ją za dobrą pracownicę - wciąż spóźniała się do pracy. Będąc Murzynką, stanowiła niejako potwierdzenie rasistowskiego stereotypu "niesłowności", "niedbalstwa" i "lenistwa" przedstawicieli tej rasy. Tymczasem z chwilą, gdy bank przeszedł na ruchomy czas pracy, owa pracownica przestała się "spóźniać". Socjolog Allan R. Cohen zbadał sprawę i okazało się, że "spóźniała się ona przedtem, ponieważ musiała przed pójściem do pracy odprowadzić synka do przedszkola i po prostu nigdy nie mogła zdążyć do pracy na czas".

Pracodawcy ze swej strony stwierdzają wyższą wydajność, spadek absencji i inne korzyści wynikające z indywidualizacji czasu pracy. Oczywiście, jak przy każdej innowacji, pojawiają się również problemy, ale - co wynika z badań AMA (American Management Association) - tylko 2 procent przedsiębiorstw przywróciło dawny system sztywnych godzin pracy, rezygnując z wprowadzonego na próbę ruchomego czasu pracy. Całą sprawę zwięźle podsumował jeden z szefów Lufthansy: "Punktualność przestała być dzisiaj problemem."

MOLOCH CIERPIĄCY NA BEZSENNOŚĆ

Jednakże ruchomy czas pracy, choć pisze się i mówi o nim tak wiele, to tylko drobny fragment restrukturalizacji czasu, jaką niesie z sobą trzecia fala. Obserwujemy na przykład rosnącą skłonność do pracy nocnej. Nie widać jej tak bardzo w ośrodkach tradycyjnego

przemysłu, jak Akron czy Baltimore - gdzie zawsze wielu robotników pracowało na nocnej zmianie, lecz w szybko rozwijających się usługach oraz w nowoczesnych gałęziach przemysłu opartych na komputeryzacji.

"Miasto współczesne - stwierdza francuski «Le Monde» - to moloch, który nigdy nie zasypia; w mieście tym... coraz więcej mieszkańców pracuje poza (normalnym) dziennym rytmem." W krajach wysoko uprzemysłowionych liczba pracowników zatrudnionych w pracy nocnej wynosi na ogół od 15 do 25 procent całej siły roboczej. We Francji, na przykład, odsetek ten wzrósł zaledwie 12 w 1957 roku do 21 w 1974 roku. W Stanach Zjednoczonych liczba etatowych pracowników nocnych podskoczyła w latach 1974-1977 o 13 procent, obejmując, razem z nieetatowymi pracownikami nocnymi, 13,5 miliona ludzi.

Jeszcze większe zainteresowanie towarzyszy różnym zajęciom wykonywanym w niepełnym wymiarze godzin. Szacuje się, że na obszarze wielkiego Detroit 65 procent całej siły roboczej zatrudnionej w domach towarowych firmy L.J. Hudsona stanowią pracownicy zatrudnieni w niepełnym wymiarze godzin. Kompania ubezpieczeniowa Prudential Insurance zatrudnia w swych biurach w USA i w Kanadzie około 1600 takich pracowników. Ogółem jeden pracownik niepełnozatrudniony przypada obecnie w Stanach Zjednoczonych na pięciu pracowników etatowych; od 1954 roku liczba osób pracujących w niepełnym wymiarze godzin rośnie dwakroć szybciej niż liczba pracowników zatrudnionych w pełnym wymiarze godzin.

Proces ten postępuje z takim rozmachem, że w 1977 roku grupa naukowców Uniwersytetu Georgetown stwierdziła, iż w przyszłości niemal wszyscy ludzie będą mogli pracować na pół lub ćwierć etatu. Sprawozdanie zatytułowane *Permanent Part-Time Employment: The Manager's Perspective* (Stałe zatrudnienie w niepełnym wymiarze godzin: perspektywa menedżera) powstało w wyniku badań przeprowadzonych w 68 korporacjach, z których ponad połowa już zatrudnia pracowników w niepełnym wymiarze godzin. Jeszcze bardziej znamienne jest fakt, że procent bezrobotnych, którzy chcieliby pracować krócej, niż przewiduje etat, podwoił się w ciągu ostatnich 20 lat.

Stworzenie miejsc pracy o niepełnym wymiarze godzin wzbudziło szczególne zainteresowanie kobiet, osób starszych i w wieku przedemerytalnym oraz bardzo wielu młodych ludzi, którzy woleliby otrzymywać mniej pieniędzy w zamian za więcej wolnego czasu na uprawianie hobby, sportów lub na realizowanie pasji religijnych, artystycznych czy politycznych.

Mamy więc do czynienia z zasadniczym zerwaniem z synchronizacją panującą w epoce drugiej fali. Połączenie ruchomego czasu pracy, pracy na pół lub ćwierć etatu oraz pracy w

godzinach nocnych oznacza, że coraz więcej ludzi pracuje inaczej niż od 9 do 17 (lub w ogóle poza jakimikolwiek stałymi godzinami); w efekcie całe społeczeństwo przechodzi na całodobowy rytm różnych zajęć.

Równocześnie nowe obyczaje w dziedzinie konsumpcji wywierają podobny wpływ na organizację czasu pracy. Weźmy na przykład upowszechnienie się nocnych supermarketów. "Czy klient wchodzący do sklepu o 4 nad ranem - widok powszechny w skłonnej do dziwactw Kalifornii - ma szansę stać się czymś równie powszednim na mniej ekscentrycznym Wschodnim Wybrzeżu?" - pyta "New York Times". Odpowiedź brzmi zdecydowanie "Tak!"

Rzecznik kompanii handlowej mającej swe supermarkety we wschodnich stanach oświadczył, że przedłużają one czas pracy sklepów na całą noc, ponieważ "ludzie chodzą dziś spać później niż kiedyś". Reporter "Timesa" po nocy spędzonej w jednym z typowych sklepów nocnych opisuje różnorodną klientelę, korzystającą z możliwości zakupów o późnej porze: zjawia się tam kierowca ciężarówki, który robi zakupy dla sześciuosobowej rodziny, bo właśnie zachorowała żona; młoda kobieta, w drodze na umówione po północy spotkanie, wstępuje po widokówkę; samotny ojciec wpada, by kupić chorej córce dziecinną gitarę, a przy okazji kupuje jeszcze przenośny ruszt węglowy; jakaś pani, wracając z zajęć na kursach ceramiki, robi nocą zakupy na cały tydzień; motocyklista podjeżdża z fasonem o 3 rano po talię kart; dwóch mężczyzn, w drodze na ryby, wstępuje do sklepu o brzasku...

Zmieniają się też i desynchronizują tradycyjne pory posiłków. Ludzie nie jadają już wszyscy o tej samej porze, jak to niegdyś bywało. Żelazny model trzech posiłków dziennie przestaje obowiązywać, w miarę jak otwiera się coraz więcej barów szybkiej obsługi, gdzie bez względu na porę dnia czy nocy serwuje się miliardy posiłków. Zmienia się także model oglądania telewizji, przygotowującej już nawet specjalne programy "dla dorosłych mieszkańców miast, dla nocnej zmiany lub po prostu dla ludzi cierpiących na bezsenność". Również banki odstępują coraz częściej od osławionych "godzin urzędowania".

Wpływowy Citibank na Manhattanie reklamuje w telewizji nowo wprowadzony zautomatyzowany system usług: "Oto rewolucja, która wkracza w dziedzinę bankowości. Citibank przechodzi na 24-godzinny system pracy (...) klienci mogą załatwiać większość operacji o dowolnej porze. Jeżeli więc Don Slater zechce sprawdzić stan swego konta o bladym świecie, jesteśmy do jego usług. W każdej chwili możemy też dla Briana Hollanda dokonać przelewu z konta oszczędności na konto wypłat czekowych (...) I wy, i my wiemy przecież, że życie toczy się nie tylko do godziny 15 od poniedziałku do piątku włącznie (...) Citibank nigdy nie śpi."

W tym, jak nasze społeczeństwo traktuje czas, zachodzi subtelna, ale ogromnie istotna

zmiana odróżniająca czas dzisiejszy od rytmów drugiej fali; obserwujemy też dążenie do nowej struktury czasu w życiu jednostki. Pod naporem trzeciej fali zachodzi niejako odmasowienie czasu; proces ten przebiega równoległe z odmasowieniem innych zjawisk życia społecznego.

KOMPUTERMINARZ TOWARZYSKI"

Jednocześnie zaczynamy od niedawna odczuwać społeczne konsekwencje restrukturalizacji czasu. I tak na przykład dzięki indywidualizacji rozkładu zajęć zawodowych praca staje się mniej uciążliwa, ale przecież z tego samego powodu potęguje się osamotnienie i izolacja społeczna człowieka. Coraz trudniej o bezpośrednie kontakty między przyjaciółmi, parami zakochanych i krewnymi. Każdy zajęty jest o innej porze, a przynajmniej na razie brakuje nowych form koordynowania rozkładów zajęć poszczególnych osób. Stare formy podtrzymywania między ludźmi więzi i przyjaźni - a więc spotkania w pobliskim barze, imprezy parafialne czy potańcówki szkolne - powoli tracą swe tradycyjne znaczenie. Ich miejsce muszą zająć nowe instytucje, które przejmą zadania organizowania życia społecznego i towarzyskiego w epoce trzeciej fali.

Można sobie łatwo wyobrazić nową formę usług komputerowych, taki, powiedzmy, "komputerminarz towarzyski" - który mógłby przypominać nie tylko o terminach naszych własnych spotkań i spraw do załatwienia, ale zawierałby również dane dotyczące planowanych zajęć naszych przyjaciół, znajomych i krewnych, tak że każdy mógłby - przez naciśnięcie guzika - dowiedzieć się, gdzie i kiedy każdy z jego przyjaciół czy znajomych będzie się znajdować, a następnie zaplanować spotkanie nie kolidujące z zajęciami - swoimi i innych osób. Ale - niezależnie od takich sposobów - powinny zostać stworzone również bardziej istotne ułatwienia, pozwalające na organizowanie życia społecznego.

Wśród innych poważnych konsekwencji odmasowienia czasu niebagatelny jest wpływ tego procesu na transport publiczny. Masowe rozpoczynanie i kończenie pracy o tej samej porze w systemie drugiej fali wiązało się z charakterystycznymi "godzinami szczytu" w transporcie drogowym. Odmasowienie czasu rozkładu ruchu pasażerski zarówno w przestrzeni, jak i w czasie.

Dość prostym sposobem sprawdzenia, jak dalece trzecia fala ogarnęła jakąś dzielnicę czy obszar, jest obserwacja ruchu samochodowego w danym rejonie. Jeżeli nadal wyraźnie dostrzegalne są tzw. "godziny szczytu" oraz jeżeli cały ruch odbywa się w jednym kierunku z rana, a w odwrotnym po południu - możemy mieć pewność, że nadal dominuje tam typowa dla drugiej fali synchronizacja. Jeżeli natomiast w ciągu całej doby ruch jest mniej więcej

jednakowy - jak ma to miejsce w coraz większej liczbie miast - oraz odbywa się on we wszystkich kierunkach, a nie tylko tam i z powrotem - to łącznie możemy przyjąć, że instytucje trzeciej fali już się tam zakorzeniły, że pracownicy usługowi przewyższają liczebnie robotników, że upowszechnił się tam system indywidualnych godzin pracy, że popularna jest wśród mieszkańców praca w niepełnym wymiarze godzin i praca nocna oraz że nie każą tam na siebie długo czekać takie całonocne placówki usługowe, jak sklepy, banki, stacje benzynowe i restauracje.

Przechodzenie na ruchomy i bardziej zindywidualizowany system pracy - przez likwidację szczytowych przeciążeń - powoduje również obniżkę kosztów energii oraz zmniejszenie zanieczyszczeń. Elektrownie w 12 stanach ustalają obecnie zróżnicowane opłaty za prąd dla użytkowników przemysłowych i mieszkańców w zależności od pory dnia, po to, by jak najbardziej ograniczyć zużycie prądu w tradycyjnych godzinach szczytu; a stanowy Departament Ochrony Środowiska w Connecticut uznaje wprowadzenie ruchomego czasu pracy, za dopuszczalny sposób podporządkowania się przez przedsiębiorstwo federalnym przepisom o ochronie środowiska.

Oto tylko najbardziej rzucające się w oczy efekty rewolucji w sposobie rozumienia czasu. Proces ten będzie postępował i rozwijał się w nadchodzących dziesięcioleciach, a wówczas wynikną z tego daleko głębsze i trudne w tej chwili do przewidzenia konsekwencje. Nowe zasady organizacji czasu odcisną piętno na powszednich rytmach życia domowego; nowe ujęcie czasu wywrze wpływ na sztukę, a także na biologię człowieka. Naruszając bowiem czas, naruszamy wszystko, co składa się na ludzkie doświadczenie.

KOMPUTERY I MARIHUANA

Nowe rytmy czasu trzeciej fali mają swe źródło w głęboko tkwiących siłach psychologicznych, ekonomicznych i technologicznych. Częściowo wynikają one z faktu, że sami ludzie są dziś inni niż kiedyś. Zamożniejsi i lepiej wykształceni od swoich rodziców, mając więcej szans życiowych do wyboru - ludzie nie chcą dziś po prostu poddać się umasowieniu. Im bardziej ludzie różnią się pod względem wykonywanej pracy, im mniej podobne mają potrzeby konsumpcyjne, tym bardziej domagają się, by traktowano ich jak indywidualności i tym bardziej opierają się rygorom narzucanym w życiu społecznym.

Jednakże znaczną część nowych, bardziej zindywidualizowanych rytmów trzeciej fali należy przypisać wynalazkom technicznym, których olbrzymi arsenał stopniowo wkracza w nasze życie. Na przykład wideokasety i magnetowidy domowe umożliwiają abonentom rejestrację programów telewizyjnych z eteru i oglądanie ich w dowolnym czasie. Publicysta

Steven Brill pisze: "W ciągu dwóch, trzech lat telewizja przestanie prawdopodobnie dyktować dzienny rozkład zajęć nawet najzagorzalszym telemaniakom." Już obecnie największe potęgi telewizyjne na świecie - NBC (w USA), BBC (w Wielkiej Brytanii) i NHK (w Japonii) - które synchronizują odbiór nadawanych programów, zaczynają powoli tracić swą władzę nad telewizorem.

Do przestawiania rozkładów zajęć, a nawet do zmiany całej koncepcji czasu, zaczyna przyczyniać się również komputer. To właśnie dzięki komputerowi można było wprowadzić zindywidualizowany czas pracy w dużych zakładach. Przede wszystkim komputer pomaga koordynować tysiące indywidualnych ruchomych rozkładów zajęć całej załogi. Ale zmienia on równocześnie czasowy model komunikacji między ludźmi - pozwalając na gromadzenie i wymianę danych zarówno synchronicznie (czyli jednocześnie), jak i asynchronicznie.

Dobrze to ilustruje przykład "konferencji komputerowych", prowadzonych obecnie przez coraz większą liczbę specjalistów z różnych dziedzin. Konferencje takie polegają na porozumiewaniu się ze sobą mniejszej lub większej grupy ludzi posiadających domowe lub biurowe terminale podłączone do wspólnej sieci telewideo komunikacyjnej. Blisko 660 naukowców, futurologów, planistów i nauczycieli z kilkunastu krajów może aktualnie prowadzić dyskusje na temat energii, ekonomii, decentralizacji czy satelitów kosmicznych w ramach tzw. Electronic Information Exchange System (Elektronicznego Systemu Wymiany Informacji) EIES. Dzięki teledrukarkom i ekranom wideofonów zainstalowanym w ich gabinetach mogą oni porozumieć się w każdej chwili. Bez względu na różne strefy czasu, każdy z abonentów EIES może w dogodnym dla siebie momencie nadać informację lub poprosić o potrzebne dane jednego albo wszystkich naraz abonentów systemu. Jeżeli chce, może pracować na łączach o 3 nad ranem czy o każdej innej porze. Dowolna grupa osób może też w każdej chwili uzyskać wzajemne połączenie, jeżeli tylko zajdzie taka potrzeba.

Ów "efekt komputerowy" rzutuje także na stosunek człowieka do czasu. Komputer wprowadza nowe słownictwo (na przykład powstało określenie "czas realny"), dzięki któremu zjawiska związane z czasem trafiają do naszej wyobraźni, otrzymują właściwe nazwy lub zgoła zmieniają swój dotychczasowy sens. Komputer wypiera zegar, ów najważniejszy instrument do pilnowania i wyznaczania terminów.

Operacje przeprowadzane przez komputer są tak błyskawiczne, że dla człowieka odbywają się one niejako w "czasie podświadomym" - w ułamkach czasu o wiele za krótkich, by można je było rozróżnić za pomocą zmysłów lub reagować na nie za pomocą ludzkiego systemu nerwowego. Już obecnie dysponujemy komputerowymi drukarkami, które pracują z szybkością od 10 do 20 tysięcy wierszy na minutę - a więc ponad 200 razy szybciej niż ludzka

zdolność odczytywania tekstu, a dodajmy, że zapis drukarski należy wciąż do najwolniejszych operacji przeprowadzanych przez systemy komputerowe. W ciągu 20 lat przestaliśmy mierzyć czas w milisekundach (tysięczne części sekundy), zaczęliśmy natomiast posługiwać się jednostką zwaną nanosekunda (miliardowa część sekundy); taka kompresja czasu przekracza niemal wszelką ludzką wyobraźnię. To tak, jakby całe zawodowe życie człowieka, powiedzmy 80 000 godzin pracy - czyli 2 000 godzin rocznie przez 40 lat - skondensować w króciutkie 4,8 minuty.

Nie tylko komputery przyczyniają się do odmasowienia czasu; człowiek wynajduje różne nowe sposoby i środki, które prowadzą w tym samym kierunku. Leki oddziałujące na samopoczucie i nastrój (nie wspominając o marihuanie) zmieniają także indywidualną percepcję czasu. Pojawiają się coraz to nowe środki farmakologiczne, pod których wpływem - dobrze to czy źle - coraz bardziej będzie się indywidualizować wewnętrzne poczucie czasu, a osobiste odczucia człowieka związane z trwaniem w czasie staną się coraz mniej uniwersalne.

W cywilizacji drugiej fali maszyny były z sobą mechanicznie zsynchronizowane, a z nimi z kolei byli zsynchronizowani ludzie z linii montażowej; wynikało z tego wiele konsekwencji społecznych. Dziś synchronizacja maszyn osiągnęła tak niebywale wysoki poziom, a tempo pracy nawet najszybszych ludzi jest tak śmiesznie wolne w porównaniu z możliwościami maszyn, że osiągnięcia techniki można w pełni wykorzystać dopiero uwolniwszy maszyny od robotników, nie zaś sprzęgając ich z maszynami.

Innymi słowy, podczas cywilizacji drugiej fali synchronizacja maszyn pętała człowieka, uzależniając go bezpośrednio od możliwości maszyny; całe życie społeczne zamykało się, niby w więzieniu, w jednych, wspólnych dla wszystkich ludzi, ramach. Skutki synchronizacji były jednakże w społeczeństwach kapitalistycznych i socjalistycznych. Obecnie, w miarę jak synchronizacja samych maszyn staje się coraz precyzyjniejsza, ludzie - miast tkwić w tym więzieniu - wyswobadzają się z dawnej niewoli.

Jedną z psychologicznych konsekwencji tego zjawiska jest zmiana sensu punktualności w życiu ludzkim. Punktualność "w ogóle" ustępuje miejsca punktualności selektywnej lub sytuacyjnej. Zdaje się, że nasze dzieci niejasno wyczuwają, że "zdążyć na czas", oznacza dziś zupełnie co innego niż dawniej.

Punktualność, o czym była już mowa wcześniej, nie była tak szalenie ważna w cywilizacji pierwszej fali - głównie dlatego, że zajęcia rolnicze nie są ściśle z sobą powiązane. Z nadejściem drugiej fali spóźnienie jednego pracownika mogło natychmiast spowodować brzemienne w skutki rozprężenie i dezorganizację pracy masy ludzi w fabryce czy w biurze. Stąd wzięła się olbrzymia presja kulturowa na rzecz zapewnienia punktualności.

Dzisiaj natomiast, kiedy trzecia fala wprowadza raczej zindywidualizowane, a nie uniwersalne i masowe, rozkłady zajęć dla poszczególnych ludzi, mniej oczywiste są też ewentualne konsekwencje wszelkich spóźnień. Czyjeś spóźnienie może sprawić kłopot znajomemu lub współpracownikowi, ale jego destruktywne skutki w produkcji - choć wciąż mogą być dość poważne na niektórych stanowiskach pracy - stają się stopniowo coraz mniej rażące. Trudniej obecnie - zwłaszcza młodym ludziom - powiedzieć, kiedy punktualność jest rzeczywiście ważna, a kiedy zależy na niej komuś tylko ze zwykłej siły przyzwyczajenia, uprzejmości lub swoistego rytuału. Punktualność liczy się nadal w pewnych sytuacjach, ale w miarę rozprzestrzeniania się komputerów i nowego systemu pracy, w którym ludzie mogą włączyć się lub wyłączyć w dowolnym czasie w ciągu całej doby, będzie stale malała liczba ludzi, których wydajność będzie uzależniona od ich własnej lub czyjejs punktualności.

W rezultacie młodzież kładzie dziś mniejszy nacisk na to, by ktoś "zdążył na czas" i w ogóle czas traktuje niezbyt pryncypialnie. Punktualność, podobnie jak moralność, ma teraz charakter coraz bardziej sytuacyjny.

Krótko mówiąc, podważając stary, industrialny model postępowania, trzecia fala zmienia stosunek całej cywilizacji do czasu. Mechaniczna synchronizacja, która zniszczyła niemal totalnie całą spontaniczność i radość życia, była praktycznie symbolem drugiej fali. Obecnie synchronizacja dogorywa. Młodzi ludzie, którzy odrzucają reżim pracy od 9 do 17 i są obojętni wobec klasycznej punktualności, nie bardzo rozumieją, dlaczego postępują tak, a nie inaczej. Ale to sam czas zmienił się w "realnym świecie", pociągając za sobą zmianę podstawowych reguł, które niegdyś rządziły człowiekiem.

ODEJŚCIE OD STANDARYZACJI

Trzecia fala przeobraża nie tylko model synchronizacji zrodzony w drugiej fali, lecz kwestionuje jeszcze jedną charakterystyczną cechę drugiej fali, a mianowicie - standaryzację.

Niepisany kodeks społeczeństwa drugiej fali zakładał mechaniczną standaryzację wielu rzeczy - od wartości, miar i wag, rozmiarów, czasu i walut począwszy, a na towarach i cenach skończywszy. Przemysłowcy drugiej fali starali się, jak mogli - a niektórzy starają się i dzisiaj - aby wszystkie produkowane przedmioty były identyczne.

Wiemy już, że najdojrzałsi i głęboko myślący przemysłowcy aktualnie potrafią jak najmniejszym kosztem indywidualizować (w odróżnieniu od standaryzowania) produkcję oraz znaleźć sposoby zastosowania nowoczesnej techniki i technologii do indywidualizacji towarów i usług. Przy równoczesnym wzroście zróżnicowania poszczególnych zajęć zawodowych, coraz bardziej maleją grupy robotników wykonujących identyczną pracę.

Różnice między poszczególnymi pracownikami dotyczą w coraz większym stopniu także ich pensji oraz premii i innych form wynagrodzenia. Sami ludzie pracy (z nami włącznie) zaczynają coraz bardziej różnić się między sobą, a ponieważ są oni jednocześnie klientami i konsumentami, wszelkie różnice natychmiast przenoszą się na sprawy rynku.

Odejściu od tradycyjnej produkcji masowej towarzyszy więc równocześnie odmasowienie marketingu, handlu oraz konsumpcji. Klienci zaczynają dokonywać jakiegoś wyboru nie tylko dlatego, że dany produkt spełnia określoną funkcję materialną i psychologiczną, ale również dlatego, że w określony sposób pasuje do szerszej konfiguracji produktów i usług, jakich oni potrzebują. Owe wysoce zindywidualizowane konfiguracje są zmienne i przejściowe - tak samo jak zmienne i przejściowe są style życia, które one określają. Konsumpcja, podobnie jak produkcja, staje się konfiguracyjna. Poststandardowa produkcja pociąga za sobą poststandardową konsumpcję.

Nawet ceny, które w epoce drugiej fali były objęte standaryzacją, przestają być obecnie ustalane standardowo, jako że towar zrobiony na zamówienie wycenić też trzeba indywidualnie. Cena samochodu zależy od wybranego przez klienta rodzaju wyposażenia; podobnie cena sprzętu hi-fi zależy od poszczególnych elementów oraz od tego, ile pracy w ich zmontowanie zechce włożyć sam nabywca; różnią się też ceny poszczególnych modeli samolotów, urządzeń do przybrzeżnych wierceń naftowych, statków, komputerów oraz innych skomplikowanych urządzeń technicznych.

Podobną tendencję obserwujemy także w polityce. Patrząc, jak w coraz to nowych krajach rozpada się jedność poglądów i powstają tysiące grup i partii walczących każda o swe własne, wąskie i często nietrwałe cele, stwierdzamy, że i my sami mamy coraz częściej niestandardowe poglądy. Oto sama kultura ulega destandaryzacji.

Obserwujemy załamanie się "umysłowości masowej"; następuje ono w wyniku oddziaływania nowych środków komunikowania, opisanych w rozdziale XI. Proces odmasowiania mass mediów - polegający między innymi na publikacji minimagazynów, okolicznościowych biuletynów i powielanych na małą skalę (na przykład za pomocą fotokopiarek) niskonakładowych "ulotek", przy równoczesnym rozwoju emisji i rejestracji kablowej, kasetowej i komputerowej - obraca wniwecz standardowy obraz świata ukształtowany przez techniki komunikacyjne drugiej fali i włącza w społeczeństwo ogromną różnorodność wyobrażeń, idei, symboli i wartości. Nie tylko posługujemy się specjalnie dla nas wyprodukowanymi przedmiotami, ale także używamy odmiennych symboli, składających się na własny, unikalny światopogląd każdego z nas.

W czasopiśmie "Art News" wypowiada się na ten temat dyrektor Muzeum Narodowego w

Berlinie Zachodnim, Dieter Honisch: "To, co podoba się w Kolonii, może nie podobać się w Monachium, a to, co odniosło sukces w Stuttgarcie, może nie robić żadnego wrażenia na publiczności hamburskiej. Nasz naród, kierujący się partykularnymi interesami, powoli zaczyna zatracać poczucie kultury narodowej."

Nic bardziej zdecydowanie nie potwierdza tego procesu destandardyzacji kultury, niż artykuł opublikowany niedawno w "Christianity Today", czasopiśmie konserwatywnego protestantyzmu w Ameryce. Autor artykułu pisze między innymi: "Istnienie wielu rozmaitych interpretacji Biblii zda się wprawiać w zakłopotanie wielu chrześcijan. Dawniej nie mieli oni tak dużego wyboru." Dalej, dość nieortodoksyjnie, "Christianity Today" proponuje, aby żadnej wersji nie uważać za "standardową". A więc nawet w wąskich granicach interpretacji Biblii, jak zresztą w ogóle w religii, zanika obecnie pojęcie jedynej uznanej wersji, obowiązującej wszystkich wyznawców. Tak samo jak nasze upodobania i gusty, również nasze przekonania religijne stają się coraz mniej podobne do siebie i coraz mniej standardowe.

Wyraźnie widać, że wszystko to zmierza w przeciwnym kierunku niż Huxleyowska czy Orwellowska wizja społeczeństwa, która składa się z odindywidualizowanych humanoidów o wspólnej twarzy, do czego - jak się wydaje - musiałaby niechybnie doprowadzić prosta kontynuacja tendencji drugiej fali. Kierunek, ku któremu zdążamy, prowadzi natomiast do upowszechnienia się mnogości różnych stylów życia i ogromnie zindywidualizowanych osobowości. Obserwujemy więc początki "poststandardowej umysłowości" i narodziny "poststandardowej publiczności".

Zrodzi to nieznanne dotąd problemy społeczne, psychologiczne i filozoficzne. Część ich już ujawnia się, na przykład w powszechnym poczuciu osamotnienia i izolacji społecznej. Nie przypominają one jednak w niczym problemów masowej uniformizacji, jakiej doświadczała ludzkość w epoce przemysłowej.

Ponieważ w żadnym spośród nawet najwyżej rozwiniętych krajów trzecia fala nie osiągnęła jeszcze przewagi, wszędzie odczuwa się w dalszym ciągu napór potężnych prądów drugiej fali. Przedsięwzięcia pozaczynane w epoce drugiej fali doprowadza się do końca. Na przykład w Stanach Zjednoczonych książki w twardych okładkach (od dawna uważane za nienowoczesne) dopiero teraz zbliżają się do masowego upowszechnienia, jakie książki w miękkich okładkach - podobnie jak i większość innych artykułów konsumpcyjnych - osiągnęły całe pokolenie temu. Również i inne idee, rodem z drugiej fali, jak na przykład pomysł, aby z takim opóźnieniem przyjąć w Stanach Zjednoczonych system metryczny w celu ujednolicenia miar i wag z systemem używanym w Europie, zakrawają na donkiszoterię.

Jeszcze inne koncepcje mają związek z próbami tworzenia biurokratycznych imperiów; prym wiodą tu brukselscy technokraci z EWG, którzy chcieliby "zharmonizować" wszystko - począwszy od lusterek samochodowych, a skończywszy na dyplomach wyższych uczelni. "Harmonizacja" jest ulubionym słowem w dzisiejszej gadaninie na rzecz standaryzacji w stylu przemysłowym.

I wreszcie pojawiają się ruchy mające na celu dosłownie cofnięcie wskazówek zegara. Należy do nich na przykład kampania na rzecz powrotu do starego systemu nauczania w szkołach amerykańskich. Jego zwolennicy - nie bez powodu przerażeni kryzysem edukacji masowej - nie chcą wszelako uznać, że społeczeństwo niemasowe potrzebuje nowych strategii oświatowych i wciąż usiłuje restaurować i umacniać uniformizację w szkolnictwie według wzorców drugiej fali.

Aliści wszystkie te próby doprowadzenia do uniformizacji przypominają łabędzi śpiew zanikającej cywilizacji. Pęd trzeciej fali prze nas w kierunku zwiększenia różnicowań, nie zaś w stronę dalszej standaryzacji życia. Dotyczy to w równej mierze idei, poglądów politycznych, skłonności seksualnych, metod wychowawczych, obyczajów związanych ze spożywaniem posiłków, przekonań religijnych, postaw etnicznych, gustów muzycznych, mody, form życia rodzinnego, jak i zautomatyzowanej produkcji.

Został osiągnięty historyczny punkt zwrotny, toteż standaryzacja, czyli jedna z zasad rządzących cywilizacją drugiej fali, zostaje wyparta.

NOWA MATRYCA

Zobaczywszy, jak spieszenie i skwapliwość pragniemy się uwolnić od przemysłowej synchronizacji i standaryzacji, nie powinniśmy się dziwić, że życie pisze na nowo również inne rozdziały kodeksu społecznego.

Przekonaliśmy się już, że chociaż we wszystkich społeczeństwach potrzebna jest pewna doza zarówno centralizacji, jak i decentralizacji, to cywilizacja drugiej fali przesadnie skłaniała się ku pierwszej, a za mało - ku drugiej. Wielcy Standaryzatorzy, którzy pomagali budować industrializm, szli ręką w rękę z Wielkimi Centralistami - z Hamiltonem i Leninem, a później także z Rooseveltem na czele.

Dziś nastąpił wyraźny zwrot w kierunku przeciwnym. Powstają nowe partie polityczne, nowe techniki zarządzania i nowe filozofie, które otwarcie atakują centralistyczne przesłanki drugiej fali. Decentralizacja stała się problemem politycznym, gorąco dyskutowanym od Kalifornii po Kijów.

W Szwecji koalicja małych partii o orientacji decentralistycznej odebrała władzę

centralistycznym socjaldemokratom po 44 latach panowania. Batalie o decentralizację i regionalizm wstrząsają w ostatnich latach także Francją; a po północnej stronie Kanału w partii Nacjonalistów Szkockich wyłoniła się frakcja walcząca o "radykałną decentralizację gospodarczą". Również w innych krajach Europy Zachodniej pojawiają się podobne tendencje polityczne; w Nowej Zelandii powstała, na razie niezbyt liczna, Partia Wartości, która domaga się "rozszerzenia kompetencji i autonomii rządów lokalnych i regionalnych..., a w konsekwencji - ograniczenia uprawnień i składu rządu centralnego".

Również w Stanach Zjednoczonych do głosu dochodzą zwolennicy decentralizmu, będącego - przynajmniej dla niektórych - argumentem przetargowym w coraz głośniejszych protestach przeciwko podatkom federalnym, które - słusznie czy nie - słyszy się ostatnio w USA. Decentralistyczne tendencje przybierają na sile również w organach municypalnych, gdzie lokalni politykierzy zabiegają o zwiększenie uprawnień "władzy terenowej". Angażują się w ten ruch coraz to nowe lokalne ugrupowania społeczne, w rodzaju Residents Organised for Better and Beautiful Environmental Development, ROBBED (Organizacja Mieszkańców na Rzecz Lepszego, Estetyczniejszego Zagospodarowania Środowiska), w San Antonio, czy Citizens to Bring Broadway Back, CBBB, (Obywatelski Komitet na rzecz Odzyskania Broadwayu), w Cleveland, albo brooklyńskiej People's Firehouse (Ludowa Straż Ogniowa). Wielu ludzi upatruje dziś w centralnym rządzie w Waszyngtonie raczej źródła lokalnych kłopotów niż potencjalnego sprzymierzeńca w ich rozwiązywaniu.

Jak twierdzi długoletni działacz terenowy i bojownik o prawa obywatelskie, a obecnie wiceminister do spraw zarządzania terenowego przy amerykańskim Departamencie Gospodarki Mieszkaniowej i Rozwoju Miast, ksiądz Geno Baroni, działalność tych niewielkich, zdecentralizowanych ugrupowań odzwierciedla załamanie się tradycyjnej maszyny politycznej i świadczy o niezdolności wielkiego aparatu władzy do radzenia sobie z ogromnie zróżnicowanymi warunkami lokalnymi i z różniącymi się między sobą ludźmi. "New York Times" uważa, że "w Waszyngtonie i w całym kraju działacze terenowi odnoszą zwycięstwo".

Filozofia decentralistyczna zaczyna ponadto ogarniać wydziały architektury i urbanistyki od Berkeley i Yale w USA po Towarzystwo Architektoniczne w Londynie. Studenci zajmują się tam dziś między innymi badaniami nowych metod ochrony środowiska, możliwościami wykorzystania energii słonecznej do ogrzewania domów i sposobami produkcji rolnej w warunkach miejskich; chodzi im o to, aby miasta przyszłości mogły stać się przynajmniej częściowo samowystarczalne. W nadchodzących latach ci młodzi urbaniści i architekci zaczną pracować na odpowiedzialnych stanowiskach, a ich działalność będzie miała coraz

większe znaczenie.

Ważniejsze jednak, że termin "decentralizacja" stał się już modny w dziedzinie zarządzania. Wielkie kompanie prześcigają się w rozbijaniu swoich struktur na mniejsze, bardziej autonomiczne "ośrodki gospodarowania". Typowym przykładem była reorganizacja Esmark Inc., wielkiej kompanii obejmującej przedsiębiorstwa przemysłu spożywczego, chemicznego, naftowego i ubezpieczeń.

"Dawniej - stwierdził prezes Esmarku, Robert Reneker - szło nam wszystko jak po grudzie... Podział na dużo mniejsze części był jedynym sposobem skoordynowania wysiłków." W rezultacie Esmark rozpadł się na tysiąc różnych ośrodków "samofinansowania", a każdy z nich jest w dużej mierze odpowiedzialny za własne decyzje.

"W efekcie - pisze tygodnik «Business Week» - został zdjęty ciężar podejmowania codziennych decyzji z barków Renekera. Decentralizację zastosowano wszędzie z wyjątkiem kontroli finansowej kompanii Esmark."

Nie chodzi tu tylko o Esmark - który prawdopodobnie przeszedł od tamtego czasu niejedną reorganizację - lecz o ogólną tendencję, jaką ten przykład ilustruje. W setkach, a może w tysiącach kompanii zaczął się proces ustawicznej reorganizacji; decentralizują się one, niekiedy zbyt radykalnie - i wówczas proces się cofa, ale z biegiem czasu scentralizowany nadzór nad normalnym funkcjonowaniem przedsiębiorstwa ulega stopniowo ograniczeniu.

Zmienia się również coś więcej, a mianowicie charakter władzy w zakładzie pracy, stanowiący poprzednio mocny filar centralizmu. Typowa firma lub agencja rządowa drugiej fali zorganizowana była na zasadzie "jednoosobowego kierownictwa". Wprawdzie pojedynczy pracownik lub członek kadry kierowniczej mógł mieć pod sobą wielu podwładnych, ale on sam nigdy nie podlegał więcej niż jednemu zwierzchnikowi. Z tej zasady wynikało, że wszystkie kanały zarządzania i nadzoru zbiegały się w jednym centralnym punkcie.

Dziś patrzymy zafascynowani, jak system ten wali się pod własnym ciężarem w najbardziej nowoczesnych gałęziach przemysłu, w usługach, w wolnych zawodach oraz w wielu instytucjach rządowych. Faktem jest, że rosną zastępy ludzi mających już więcej niż jednego szefa.

W *Szoku przyszłości* zwracałem uwagę, że w wielkich, złożonych przedsiębiorstwach coraz częściej powołuje się różne tymczasowe jednostki, na przykład komórki do określonych zadań, komitety międzywydziałowe i zespoły powoływane w związku z konkretnymi inwestycjami. Zjawisko to nazwałem "ad-hoc-kracją". Od tamtej pory wiele dużych kompanii zaczęło wcielać te przejściowe komórki do całkowicie nowej struktury formalnej, zwanej

"organizacją matrycową". Organizacja matrycowa unika scentralizowanego kierowania i nadzoru, stosuje natomiast tak zwany "system wielokierowniczy".

W takim układzie każdy pracownik przywiązany jest do swego wydziału i podlega zwierzchnikowi w tradycyjny sposób. Ale jest on również przydzielony do jednego lub kilku zespołów realizujących konkretne zadania, których nie można wykonać w jednym tylko zakładzie czy wydziale. Tak więc typowy zespół składać się może z ludzi z działu produkcji, komórki badawczej, działu sprzedaży, pionu technicznego, finansowego i innych. Członkowie tego zespołu podlegają kierownikowi zespołu, ale również - każdy z osobna - swojemu "normalnemu" szefowi wydziału.

W rezultacie mnóstwo ludzi podlega jednemu szefowi w czysto administracyjnym sensie i innemu (lub kilku innym) w praktycznym sensie, ci drudzy bowiem sprawują nadzór nad wykonaniem konkretnej pracy. System taki pozwala pracownikowi poświęcać uwagę większej liczbie zadań i prac równocześnie. Przyspiesza to przepływ informacji i pozwala pracownikowi uniknąć patrzenia na poszczególne problemy przez wąski pryzmat jego własnego wydziału. Wielkie przedsiębiorstwo może dzięki temu dostosowywać się do rozmaitych, szybko zmieniających się okoliczności. Ale w systemie tym zdecydowanie nie ma miejsca na scentralizowane zarządzanie.

W ślad za pierwszymi kompaniami, które przyjęły styl "matrycowy" (jak na przykład General Electric w USA i Scandia Insurance w Szwecji), system ten wprowadzają rozmaite instytucje - od szpitali i biur po Kongres Amerykański (gdzie jak grzyby po deszczu tworzą się najróżniejsze na wpół formalne, międzykomisyjne "banki rozrachunkowe" i "konwentykły"). Matryca, jak mówią profesorowie S. M. Davis z Uniwersytetu Bostonskiego i P.R. Lawrence z Harvardu, "nie jest tylko kolejną nowinką w dziedzinie technik zarządzania czy przemijającym kaprysem (...) reprezentuje ona radykalny przełom (...) Matryca to nowy rodzaj organizacji przedsiębiorstw."

Jest on ze swej natury mniej scentralizowany niż dawny system oparty na jednoosobowym zwierzchnictwie, które było tak charakterystyczne dla epoki drugiej fali.

Szalenie ważny jest fakt, iż decentralizacja objęła gospodarkę jako całość. Rosną na przykład wpływy małych banków regionalnych, które przejmują powoli dominację nad garstką tradycyjnych kolosów "rynku pieniądza". (Ponieważ przemysł rozprasza się geograficznie, coraz więcej firm - poprzednio związanych z bankami centralnymi - zwraca się obecnie do banków regionalnych. Prezydent banku First American w Nashville, Kenneth L. Roberts, mówi: "Przyszłość bankowości amerykańskiej leży poza bankami stanowiącymi wielkie centra rynku pieniężnego.") Ten sam proces, który ogarnął już system bankowy,

dotyczy również samej gospodarki.

Druga fala stworzyła pierwsze naprawę ogólnokrajowe rynki oraz pojęcie gospodarki narodowej. Równocześnie zaczęły się rozwijać ogólnokrajowe instrumentalia służące do zarządzania całą gospodarką, a więc centralne planowanie w krajach socjalistycznych i centralne banki oraz ogólnokrajowa polityka fiskalna i monetarna w sektorze kapitalistycznym. Dziś obie formuły zawodzą - zresztą ku niedowierzaniu ekonomistów i polityków drugiej fali, którzy wciąż starają się utrzymać stary system przy życiu.

Chociaż fakt ten nadal dość opornie przyjmuje się do wiadomości, ogólnokrajowe systemy gospodarcze zaczęły szybko się rozpadać na regionalne i związane z poszczególnymi sektorami gospodarki podsystemy, stanowiące odrębne organizmy o własnych, różniących się między sobą problemach. Poszczególne regiony - czy będzie to Sun Belt w USA, czy włoskie Mezzogiorno, czy Kansai w Japonii - miast upodabniać się wzajemnie, tak jak to było w erze przemysłowej, zaczynają różnicować się coraz bardziej pod względem zapotrzebowania na energię, zasobów, zatrudnienia, poziomu oświaty, kultury i innych istotnych czynników. Co więcej, wiele spośród tych regionalnych systemów gospodarczych osiągnęło obecnie taką skalę, jaką ogólnokrajowe systemy gospodarcze miały zaledwie pokolenie temu.

Lekceważenie tego faktu tłumaczy w dużej mierze nieskuteczność wysiłków rządowych zmierzających do stabilizacji gospodarczej. Wszelkie próby przeciwdziałania inflacji lub bezrobociu za pomocą jednolitych, niezróżnicowanych decyzji, takich na przykład, jak ogólnokrajowa obniżka lub podwyżka podatków czy manipulacje monetarne lub kredytowe, jednakowe w skali całego kraju - tylko pogarszają niezdrową sytuację.

Ci, którzy chcą kierować gospodarką trzeciej fali za pomocą scentralizowanych metod z epoki drugiej fali, przypominają lekarza, który pewnego dnia przychodzi rano do szpitala i wszystkim pacjentom przepisuje w ciemno adrenalinę w zastrzyku, nie bacząc na to, czy ktoś ma złamaną nogę, pękniętą śledzionę, guz na mózgu, czy też nadmiernie mu wrasta paznokieć dużego palca u nogi. Jedynie niejednorodne, coraz bardziej zdecentralizowane zarządzanie może być skuteczne w gospodarce nowego typu, bowiem także i ona podlega coraz większej decentralizacji, mimo że na pierwszy rzut oka wydaje się bardziej globalna i ujednolicona niż kiedykolwiek przedtem.

Te wszystkie antycentralistyczne tendencje - w życiu politycznym, w organizacji wielkich przedsiębiorstw i instytucji oraz w gospodarce jako takiej (wzmacniane przez analogiczne tendencje w środkach przekazu, w ogarniającej wszystkie dziedziny życia komputeryzacji, w systemach energetycznych itp.) - przyczyniają się do powstania zupełnie nowego społeczeństwa i powodują, że wczorajsze reguły i zasady tracą wszelką aktualność.

„MAŁE W DUŻYM” JEST PIĘKNE

Wraz z nadejściem trzeciej fali poddaje się również drastycznej rewizji wiele innych paragrafów społecznego kodeksu drugiej fali. I tak na przykład zostało ostro zaatakowane obsesyjne zamiłowanie do maksymalizacji, na którą ogromny nacisk kładziono w cywilizacji drugiej fali. Nigdy przedtem zwolennicy hasła "Im większe, tym lepsze" nie byli tak zaciekle atakowani przez rzeczników innej zasady, tej mianowicie, że "małe jest piękne", jak ostatnio. Książka pod takim tytułem mogła stać się światowym bestsellerem dopiero w latach siedemdziesiątych.

Powoli zaczyna docierać do ludzi, że wychwalana ekonomia skali ma swoje granice oraz że wiele organizacji granice te przekracza. Korporacje usilnie szukają teraz sposobów na zmniejszenie poszczególnych jednostek produkcyjnych. Gwałtownie maleje też skala operacji ekonomicznych, co stało się możliwe dzięki nowym technologiom i odchodzeniu od tradycyjnych form produkcji na rzecz usług. W krajach wysoko rozwiniętych do rzadkości będą wkrótce należeć tradycyjne fabryki i instytucje drugiej fali, skupiające pod jednym dachem tysiące ludzi naraz.

Prezydent australijskiej kompanii przemysłu samochodowego zapytany przeze mnie, jak sobie wyobraża fabrykę samochodów w przyszłości, powiedział z głębokim przekonaniem: "Nigdy już nie zbudowałbym takiej fabryki jak ta, gdzie pod jednym dachem pracuje 7000 robotników. Podzieliłbym ją na małe zakłady - po 300, 400 ludzi każdy. Postęp techniczny w dziedzinie motoryzacji stwarza taką możliwość." Podobne opinie słyszę teraz ciągle od prezydentów i prezesów różnych przedsiębiorstw przemysłu spożywczego i innych gałęzi produkcji.

Zaczynamy dziś zdawać sobie sprawę, że ani wielkie, ani małe nie jest piękne; że najpiękniejsza jest skala właściwa, jak również inteligentne połączenie wielkiego i małego. (E. E. Schumacher, autor książki *Małe jest piękne*, zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż niektórzy jego co zachłanniejsi uczniowie. Powiedział on kiedyś przyjaciółm, że gdyby żył w świecie małych organizacji, napisałby książkę *Duże jest piękne*.)

Toteż chcąc wykorzystać zalety obu koncepcji, zaczynamy już eksperymentować w dziedzinie łączenia różnych form organizacyjnych. Przykładem może tu być szybki wzrost zainteresowania firmami koncesjonowanymi, jaki obserwujemy w USA, Wielkiej Brytanii, Holandii i w innych krajach. Często wynika to z braku kapitału lub ma na celu ominięcie przepisów podatkowych; trend ten można zresztą krytykować z wielu powodów. Ale jest to metoda szybkiego tworzenia małych firm oraz łączenia ich w większe systemy o

niejednakowym stopniu centralizacji czy decentralizacji. Stanowi zatem próbę splatania organizacji o wielkiej skali z organizacjami o małej skali.

Typowa dla drugiej fali maksymalizacja kończy swój żywot. Liczy się teraz skala właściwa.

Ludzie zaczęli także patrzeć krytycznie na specjalizację i profesjonalizm. Kodeks drugiej fali umieścił ekspertów na niebotycznym piedestale. Jedną z reguł tego kodeksu brzmiała: "Przez specjalizację do sukcesu." Obecnie we wszystkich dziedzinach, z polityką włącznie, obserwujemy zasadniczą zmianę stosunku do ekspertów. Niegdyś wzbudzający zaufanie dzięki bogactwu bezstronnej inteligencji - dziś zdetronizowani specjaliści, którzy tracą aprobatę społeczną. Krytykuje się ich coraz bardziej za dążenie do realizacji własnych interesów grupowych oraz za niezdolność do niczego, co nie mieści się w ich "tunelowym", ograniczonym patrzeniu na świat. Widzimy coraz więcej wysiłków na rzecz ograniczenia władzy ekspertów i dopuszczenia do udziału w podejmowaniu decyzji laików - na przykład w szpitalach i w wielu innych instytucjach.

Rodzice żądają dopuszczenia ich do podejmowania decyzji w szkołach, najwyraźniej nie zadowolając się już zostawianiem tego zawodowym wychowawcom i nauczycielom. Przed kilku laty zespół zajmujący się udziałem obywateli w życiu politycznym w stanie Washington sformułował hasło, które dobrze ilustruje ten nowy prąd: "Nie musisz być ekspertem, żeby wiedzieć, czego chcesz!"

Kolejną zasadą cywilizacji drugiej fali była koncentracja.

Koncentracji podlegały pieniądze, energia, zasoby oraz ludzie. Cywilizacja drugiej fali wtłaczała nieprzebrane tłumy do skupisk miejskich. Dziś także kierunek tego procesu uległ zmianie; ludzie teraz zaczęli się rozpraszać pod względem geograficznym. Z kolei w dziedzinie energii dotychczasowe uzależnienie od skoncentrowanych zasobów paliw kopalnych staramy się teraz zastąpić nowymi, bardziej rozproszonymi formami energii. Obserwujemy też liczne eksperymenty zmierzające do "dekoncentracji" skupisk ludzkich w szkołach, szpitalach, zakładach psychiatrycznych itd.

Słowem, można by prześledzić systematycznie cały kodeks cywilizacji drugiej fali - od standaryzacji przez synchronizację, aż do centralizacji, maksymalizacji, specjalizacji i koncentracji - i wykazać punkt po punkcie, że stare zasady i reguły, które rządziły naszym życiem codziennym i wpływały na decyzje dotyczące całego społeczeństwa, obecnie, pod naporem trzeciej fali, ulegają rewolucyjnym przeobrażeniom.

ORGANIZACJA PRZYSZŁOŚCI

Wiemy już, że w wyniku połączenia wszystkich zasad drugiej fali w jednym przedsiębiorstwie otrzymaliśmy klasyczną biurokrację przemysłową: gigantyczną, hierarchiczną, niezmienną, opartą na zarządzaniu pionowym, mechanistyczną organizację, doskonale przystosowaną do wytwarzania powtarzalnych produktów lub podejmowania powtarzalnych decyzji i funkcjonującą we względnie stabilnym środowisku przemysłowym.

Teraz natomiast, kiedy tworzymy nowe reguły i zaczynamy już wcielać je w życie, jawi się przed nami konieczność zbudowania nowego przedsiębiorstwa przyszłości, opartego na zupełnie innej organizacji. Organizacja trzeciej fali ma bardziej płaski przekrój. Mniej ciężko wierzchołkowi. Składa się z niewielkich komponentów połączonych z sobą w krótkotrwałe, przejściowe konfiguracje. Każdy z takich komponentów utrzymuje swe własne stosunki ze światem zewnętrznym; ma jak gdyby własną "politykę zagraniczną", którą realizuje bez potrzeby odwoływania się do centrali.

Organizacja tego typu funkcjonuje coraz częściej "na okrągło", przez całą dobę.

Różni się ona od organizacji biurokratycznych jeszcze w jednym, zasadniczym sensie. Można by ją nazwać organizacją "dualną" lub "poliorganizacją", zdolną do przyjmowania dwóch lub więcej odmiennych form strukturalnych w zależności od wymogów sytuacji. To tak, jakbyśmy mieli do czynienia na przykład z jakimś tworzywem przyszłości, które pod wpływem ciepła lub zimna zmienia kształt, ale kiedy temperatura się normalizuje, powraca do formy wyjściowej.

Można wyobrazić sobie armię, która w czasie pokoju ma charakter demokratyczny, w czasie wojny zaś - wysoce scentralizowany i autorytarny, z tym że zdolność do takich zmian leżałaby u podstaw samej organizacji takiej armii. Posłużmy się analogią drużyny futbolowej, której członkowie nie tylko potrafią ustawić się w szyku według litery T oraz w innych konfiguracjach wymaganych w różnych dyscyplinach piłkarskich, ale którzy również potrafią na dźwięk gwizdka zmienić swoje ustawienie na boisku w zależności od tego, czy w danym momencie mają grać w piłkę nożną, baseball czy w koszykówkę. Tacy gracze muszą być przygotowani do natychmiastowej adaptacji; muszą dobrze się czuć w szerszym repertuarze możliwych struktur organizacyjnych i rozmaitych ról, jakie mogliby w nich odgrywać.

Potrzebna jest kadra kierownicza, która potrafi być "na luzie", ale równie dobrze nadaje się do hierarchicznego stylu zarządzania; a więc potrzebni są tacy menedżerowie, którzy potrafią pracować w przedsiębiorstwie zorganizowanym na wzór piramidy egipskiej, jak również w takim, które przypomina calderowski "mobil" - gdzie na kilku nitkach trzyma się skomplikowana konstrukcja, złożona z niemal autonomicznych form: poruszając się reagują one na najmniejszy nawet podmuch.

Na razie nie mamy nawet jeszcze odpowiedniej terminologii do opisu organizacji przedsiębiorstw przyszłości. Takie terminy, jak matryca czy "ad-hoc-kracja" też są nieadekwatne. Różni teoretycy proponują swoje własne określenia - na przykład specjalista od reklamy, Lester Wunderman, powiada: "Ekipy zespołowe, w rodzaju intelektualnych grup operacyjnych do zadań specjalnych, będą (...) zastępować strukturę hierarchiczną." Jeden z najznakomitszych amerykańskich teoretyków organizacji, Tony Judge, pisał obszernie na temat "siatkowego" charakteru kształtujących się właśnie form organizacyjnych; zwrócił on uwagę między innymi na to, "że sieć nie jest przez nikogo «koordynowana»; jednostki należące do sieci koordynują się same, można więc powiedzieć o «autokoordynacji»." Przy innej okazji, mówiąc o strukturze organizacyjnej przedsiębiorstw przyszłości, Judge powołał się na zaproponowaną wcześniej przez Buckminstera Fullera zasadę *tensegrity* (coś w rodzaju "czaso-integracji", czyli organizacji tworzonej tymczasowo, w zależności od konkretnych potrzeb).

Lecz niezależnie od tego, jaką terminologię przyjmiemy, chodzi o zjawiska rewolucyjne. Uczestniczymy nie tylko w narodzinach nowych form organizacyjnych, lecz całej nowej cywilizacji. Powstaje nowy kodeks będący zbiorem zasad trzeciej fali, spisem nowych reguł niezbędnych do społecznego przetrwania.

Nic więc dziwnego, że rodzice - w większości silnie przywiązani do kodeksu ery przemysłowej - nagle wchodzą w konflikty z dziećmi. Dzieci bowiem dobrze widzą rosnącą niestosowność starych reguł, nie znając równocześnie nowych norm i zasad. Ludzkość znalazła się dziś w potrzasku - między ginącym ładem drugiej fali a jutrzejszą cywilizacją trzeciej fali.

Rozdział XVII

PROSUMENT - KLIENT NOWEGO TYPU

Ledwie dostrzegalna zmiana w życiu codziennym znamionuje niekiedy gigantyczny przełom historyczny. Właśnie taka zmiana - której znaczenia niemal się nie dostrzega - nastąpiła na początku lat siedemdziesiątych, kiedy to w aptekach we Francji, Anglii, Holandii i w innych krajach Europy pojawił się nowy produkt. Był nim środek do przeprowadzania we własnym zakresie próby ciąży. Szacuje się, że w ciągu kilku lat sprzedano go 15-20 milionom kobiet w Europie. Wkrótce w prasie amerykańskiej zaczęły pojawiać się ogłoszenia: "Jesteś w ciąży? Im prędzej to sprawdzisz, tym lepiej." Kiedy amerykańska firma Warner-Lambert wprowadziła na rynek ów środek pod własną nazwą, klientela zareagowała "oszałamiająco dobrze". Nie minął rok 1980, kiedy po obu stronach Atlantyku miliony kobiet przeprowadzały same na sobie badanie, które poprzednio wykonywali dla nich lekarze i laboratoria.

Zresztą nie tylko one usunęły lekarzy w cień. Z pisma "Medical World News" dowiadujemy się, że "automedycyna, czyli idea zachęcająca ludzi do samodzielnego wykonywania prostych praktyk lekarskich w trosce o własne zdrowie - nabiera coraz większej popularności (...) W całym kraju ludzie uczą się posługiwać stetoskopem i aparaturą do pomiaru ciśnienia, a nawet wykonywać elementarne zabiegi chirurgiczne; kobiety wiedzą, jak samodzielnie przeprowadzać onkologiczne badania piersi oraz jak pobierać wymaz do testu cytologicznego".

Matki umieją pobrać z gardła dziecka próbkę na posiew bakteryjny. Szkoły organizują kursy, na których uczy się wszystkiego - od pedicure'u do "skróconej pediatrii". W centrach handlowych, na lotniskach i w domach towarowych w Stanach Zjednoczonych zainstalowano ponad 1300 automatów, za których pomocą - wrzuciwszy odpowiednią monetę - każdy może zmierzyć sobie ciśnienie krwi.

Jeszcze w 1972 roku tylko bardzo niewiele przyrządów medycznych sprzedawano nielekarzom. Obecnie coraz więcej urządzeń przeznaczonych do domowego użytku. W miarę jak ludzie częściej biorą na siebie odpowiedzialność za swoje zdrowie, ograniczają liczbę wizyt u lekarza i skracają pobyt w szpitalu - coraz bardziej kwitnie handel otoskopami, przyrządami do przedmuchiwania ucha, inhalatorami do nosa i gardła oraz specjalistycznymi środkami stosowanymi podczas rekonwalescencji.

Na pozór wydawać by się mogło, że wszystko to jest jedynie modą. Jednakże pęd do załatwiania samemu swoich kłopotów (zamiast płacić za to komuś innemu) odzwierciedla

zasadniczą zmianę, jaka zaszła w sferze wartości, w definicji choroby oraz w naszym stosunku do własnego ciała i osobowości. Ale nawet takie wyjaśnienie nie oddaje szerszego sensu tego zjawiska. Chcąc docenić jego prawdziwie historyczne znaczenie, musimy na chwilę cofnąć się wstecz.

NIEWIDZIALNA GOSPODARKA

W czasach pierwszej fali ludzie korzystali głównie z tego, co sami wyprodukowali. Nie byli oni producentami ani konsumentami w powszechnie przyjętym sensie. Można by ich natomiast nazwać "prosumentami".

Dopiero rewolucja przemysłowa wbiła klin między obie funkcje i rozdzieliła je, wprowadzając podział na producentów i konsumentów. Tak powstał szybko rozwijający się rynek, czyli sieć wymiany handlowej; ów labirynt kanałów, którymi docierają do klientów produkowane przez innych towary lub usługi i odwrotnie.

Już wcześniej dowodziłem, że wraz z drugą falą przeszliśmy od społeczeństwa rolniczego, zajmującego się "produkcją na użytek własny", czyli niejako od gospodarki prosumentów do społeczeństwa przemysłowego, którego podstawą stała się "produkcja na wymianę". W rzeczywistości jednak sytuacja była bardziej skomplikowana. O ile podczas pierwszej fali niewielką część produkcji przeznaczano na wymianę - a więc na rynek, to w czasach drugiej fali utrzymała się, również w małym zakresie, produkcja na użytek własny.

Dla większej jasności lepiej zatem omawiać gospodarkę uwzględniając dwa sektory. Sektor A obejmuje całą tę bezpłatną pracę wykonywaną przez ludzi bezpośrednio dla siebie, dla rodziny lub dla społeczności, w której żyją. Sektor B obejmuje produkcję dóbr i usług na sprzedaż lub wymianę.

Tak patrząc na gospodarkę, możemy powiedzieć, że w czasach pierwszej fali bardzo rozbudowany był sektor A - czyli produkcja dla siebie, natomiast sektor B był minimalny. W epoce drugiej fali było odwrotnie. W rzeczywistości produkcja dóbr i usług przeznaczonych na rynek osiągnęła takie rozmiary, że ekonomiści drugiej fali praktycznie zapomnieli o istnieniu sektora A. Sama definicja słowa "ekonomia" wykluczała wszelkie formy pracy lub produkcji nie przeznaczonej na rynek; nic zatem dziwnego, że przestano dostrzegać prosumenta.

Oznaczało to, na przykład, że zaczęto lekceważyć, jako nieistotną dla gospodarki, całą niepłatną pracę kobiet w domu - sprzątanie, szorowanie, wychowywanie dzieci, podtrzymywanie życia towarzyskiego i sąsiedzkiego, mimo że sektor B - czyli oficjalnie uznawana i ceniona gospodarka - nie mógłby w ogóle istnieć bez dóbr i usług wytwarzanych

w sektorze A - czyli w tym pozornie nieważnym, zapoznanym sektorze gospodarki. A przecież gdyby nie było komu zostać w domu i zajmować się dziećmi, nie wyrosłoby kolejne pokolenie płatnych pracowników dla sektora B i cały system runąłby pod własnym ciężarem.

Czy można sobie wyobrazić funkcjonalny system gospodarczy, a tym bardziej system o wysokiej wydajności, bez pracowników, których w dzieciństwie nie nauczono korzystać z toalety, rozmawiać i współżyć z innymi członkami danej kultury? Jaka by była wydajność sektora B, gdyby zatrudnionym w nim robotnikom brakło nawet tak elementarnych umiejętności? Mimo że ekonomiści drugiej fali zdają się to ignorować, jest niezbitym faktem, że wydajność obu sektorów jest w bardzo dużym stopniu wzajemnie od siebie uzależniona.

Dziś, kiedy społeczeństwa drugiej fali przeżywają ostateczny kryzys, politycy i eksperci wciąż szermują statystyką opartą wyłącznie na działalności sektora B. Zamartwiają się spadkiem "wzrostu" i "wydajności". Ale dopóki nie porzucą myślenia kategoriami drugiej fali, dopóki nie przestaną wzgardzać sektorem A uważając, że jego udział nie liczy się w gospodarce, i dopóki nie zechcą dostrzec zapoznanego prosumenta - dopóty nie poradzą sobie z obecnymi problemami gospodarczymi.

Po głębszym zastanowieniu znajdziemy bowiem załóżek zasadniczego przełomu we wzajemnym stosunku do siebie tych dwóch sektorów, obejmujących dwa różne rodzaje produkcji. Rozgraniczenie między producentem a konsumentem stopniowo się zaciera. Coraz większego znaczenia nabiera prosument. Ponadto stoimy w obliczu majaczącej już z dala niesamowitej zmiany, w której rezultacie nawet sam rynek zacznie spełniać zupełnie inną rolę w naszym życiu i w całym światowym systemie gospodarczym.

Po tych wyjaśnieniach możemy znów wrócić do milionów ludzi, którzy zaczynają sami sobie pomagać w sprawach jeszcze do niedawna zastrzeżonych dla lekarzy. W istocie przesuwają oni część produkcji z sektora B do sektora A, ze sfery gospodarki oficjalnie uznanej przez ekonomistów do sfery gospodarki lekceważonej, o której wszyscy zapomnieli.

Ludzie ci to "prosumenci". Nie tylko zresztą oni.

OBŻARTUCHY I WDOWY

Mieszkanca Manchesteru, pani Katherine Fisher, od lat cierpiąca z powodu choroby lękowej polegającej na niemożności opuszczenia własnego domu, założyła w 1980 roku organizację zrzeszającą ludzi o podobnej fobii. Obecnie organizacja ta ma już wiele oddziałów i stanowi jedno z tysięcy stowarzyszeń mnożących się gwałtownie w wielu krajach wysoko rozwiniętych; powstają one po to, by ludzie wzajem mogli pomagać sobie w kwestiach natury psychologicznej, medycznej, społecznej lub seksualnej.

W Detroit powstało blisko 50 grup "ludzi w żałobie", skupiających obywateli, którzy bez pomocy innych nie mogą odzyskać równowagi po stracie bliskiej osoby. W Australii istnieje organizacja pod nazwą GROW (Rozwój), która skupia byłych pacjentów oddziałów psychiatrycznych i "osoby znerwicowane". Powstały już filie GROW na Hawajach, w Nowej Zelandii i w Irlandii. W 22 krajach utworzone zostały grupy pod nazwą Parents of Gays and Lesbians (Rodzice Homoseksualistów i Lesbijek), które pomagają ludziom mającym dzieci o skłonnościach homoseksualnych. Depressives Associated (Stowarzyszenie Melancholików) w Wielkiej Brytanii posiada blisko 60 oddziałów. Wszędzie powstają coraz to nowe grupy - od Addicts Anonymous (Anonimowi Narkomani) i Parents Without Partners (Rodzice bez Pary) po Black Lung Association (Zrzeszenie Czarnych Płuc) i Widow-to-Widow (Bractwo Wdów).

Oczywiście, to nic nowego, że ludzie mający zmartwienie zbierają się razem, aby rozmawiać o swych kłopotach i uczyć się jeden od drugiego. Ale jednak chyba nie było w historii precedensu, żeby ruch duchowej samopomocy rozprzestrzenił się z tak błyskawiczną szybkością jak obecnie.

Dwaj dyrektorzy New Human Services Institute (Instytut Poradnictwa Społecznego), Frank Riesman i Alan Gartner, obliczają, że w samych Stanach Zjednoczonych istnieje obecnie ponad 500 000 różnych grup i organizacji tego rodzaju; jedna przypada zatem na 435 obywateli - a codziennie powstają nowe. Wiele z nich ma krótki żywot, ale miejsce każdej, która znika, zda się natychmiast zajmować kilka nowych.

Organizacje te bywają bardzo zróżnicowane. Niektóre łączy wspólna nieufność do specjalistów, starają się więc obywać bez nich. Zdają się całkowicie na tak zwane "wzajemne poradnictwo", polegające na wymianie porad, obserwacji i doświadczeń między poszczególnymi uczestnikami, w odróżnieniu od tradycyjnego szukania porady u profesjonalisty. Inne starają się udzielać szeroko pojętego wsparcia ludziom, którzy znaleźli się w tarapatkach. Inne znów odgrywają rolę polityczną, zabiegając o zmiany w ustawodawstwie lub w prawie podatkowym. Jeszcze inne mają charakter na wpół religijny. Są też wśród nich komuny, których członkowie nie tylko się spotykają, ale rzeczywiście żyją razem.

Grupy te tworzą obecnie regionalny, a nawet ponadnarodowy system powiązań. Rola zawodowych psychologów, opiekunów społecznych czy lekarzy - o ile w ogóle uczestniczą w tych ruchach - coraz wyraźniej ulega zmianie; bezosobowi eksperci, którzy rzekomo wszystko wiedzą najlepiej, zmieniają się w słuchaczy, nauczycieli i przewodników, współpracujących z pacjentem czy klientem. Dawniejsze organizacje i dobrowolne

stowarzyszenia nie prowadzące działalności dochodowej, zorganizowane z początku w celu niesienia pomocy innym, również starają się zadomowić w ruchu stworzonym w celu pomagania sobie samym.

W ten sposób ruch samopomocy wpływa na przeobrażenie socjofery. Nałogowi palacze, jąkały, niedoszli samobójcy, hazardziści, anginowcy, rodzice bliźniaków, obżartuchy i inni ludzie złączeni jakimś wspólnym zmartwieniem - tworzą gęstą sieć organizacji, która zazębia się i stapia z nowym modelem rodziny oraz z nowymi strukturami przedsiębiorstw gospodarczych trzeciej fali.

Jednak niezależnie od ich znaczenia dla porządku społecznego, odzwierciedlają one zasadnicze przejście od biernej konsumpcji do aktywnej prosumpcji, a tym samym nabierają wielkiego znaczenia gospodarczego. Jakkolwiek w ostateczności pozostają uzależnione od rynku i są z nim nierozłącznie splecione, grupy te przenoszą część działalności gospodarczej z sektora B do sektora A, z sektora wymiany do sektora produkcji na użytek własny. Ale ów młody ruch nie jest jedyną siłą popychającą nas w tym kierunku. Niektóre z najbogatszych i największych w świecie korporacji - z sobie wiadomych powodów natury technologicznej i ekonomicznej - popierają awans prosumenta i szybki rozwój prosumpcji.

"OBSŁUŻ SIĘ SAM"

W 1956 roku American Telephone and Telegraph Company (Amerykańska Kompania Telefoniczno-Telegraficzna), chcąc sprostać gwałtownie rosnącej wtedy popularności rozmów zamiejscowych, zastosowała nowe urządzenie elektroniczne, umożliwiające abonentom automatyczne połączenia międzymiastowe. Dziś można już łączyć się automatycznie nawet z zagranicą. Wybierając odpowiedni numer, abonent - czyli w tym wypadku konsument usług telefonicznych - wziął na siebie zadanie, które przedtem wykonywała dla niego telefonistka.

Spowodowany arabskim embargo spadek eksportu ropy naftowej w latach 1973-74 wywołał gwałtowny skok cen benzyny. Dla wielkich kompanii naftowych była to doskonała okazja do wzbogacenia się, ucierpieli natomiast właściciele małych stacji benzynowych, którzy musieli desperacko walczyć z groźbą bankructwa. W celu obniżenia kosztów własnych wielu z nich zainstalowało wówczas po raz pierwszy pompy samoobsługowe. Z początku ludzie nie mogli się przyzwyczaić. Gazety drukowały opowiadania o kierowcach, którzy lali benzynę do chłodnicy. Wkrótce jednak widok klienta napełniającego osobiście bak własnego samochodu stał się zjawiskiem powszechnym.

W 1974 roku zaledwie 8 procent stacji benzynowych w USA stanowiły stacje

samoobsługowe. Przed upływem 1977 roku ilość ich wzrosła do niemal 50 procent. W RFN do 1976 roku przeszło na samoobsługę 15 procent spośród 33 500 stacji benzynowych, ale sprzedawały one aż 35 procent całej sprzedawanej wówczas w RFN benzyny. Eksperci twierdzą, że wartość ta osiągnie niebawem wysokość 70 procent. I znowu mamy do czynienia z konsumentem, który zastępuje producenta i staje się prosumentem.

W tym samym czasie elektronika wkroczyła do banków. Nie tylko przestały obowiązywać zwykle "godziny otwarcia banku", ale wyeliminowano również tradycyjnego kasjera; coraz częściej bowiem operacje bankowe przeprowadzali bez jego pomocy sami klienci.

Dopuszczenie klientów do wykonania jakiejś części pracy - zwane przez ekonomistów "uzewnętrznieniem wkładu pracy" - nie jest bynajmniej niczym nowym. Przecież dokładnie na tym polegają supermarkety. Uśmiechniętego subiekta, który na zawołanie podawał żądany towar, zastąpił wózek albo koszyk sklepowy. Wprawdzie niektórzy z rozrzewnieniem wspominają dawne dobre czasy, kiedy to usługiwał im sklepikarz czy ekspedientka, jednak nowy system prędko znalazł wielu zwolenników. Klienci mogą teraz sami myszkować po półkach i w końcu zapłacić o parę centów mniej. W efekcie płacą sami sobie za pracę, wykonywaną poprzednio przez sprzedawcę.

Ta sama forma "uzewnętrzniania" występuje obecnie w wielu innych dziedzinach. Na przykład sklepy z artykułami przecenionymi stanowią częściowy krok w tym samym kierunku. Ekspedientki należą do rzadkości; klient płaci odrobinę mniej, ale wkłada w zakupy nieco więcej wysiłku. Nawet sklepy z obuwem, których długo nie wyobrażano sobie bez wyspecjalizowanych sprzedawców, zaczęły już przechodzić na samoobsługę, przerzucając część pracy na barki klienta.

Tę samą zasadę spotykamy zresztą i gdzie indziej. Caroline Bird w swej wnikliwej książce *The Crowding Syndrome* (Choroba zatłoczenia) zauważa: "Ludzie kupują coraz więcej rzeczy w elementach, które później składają w domu (...), a w sezonie gwiazdkowym w niektórych nowojorskich sklepach, chlubiących się najlepszymi tradycjami, klienci muszą sami wypisywać paragony, bo ekspedientki nie umieją albo nie chcą tego robić."

Pewnego dnia w styczniu 1978 roku 30-letni urzędnik państwowy zamieszkały w Waszyngtonie nagle usłyszał dziwne odgłosy wydobywające się z jego lodówki. Normalnie w takich wypadkach wzywano mechanika i płacono mu za naprawę. Ale kiedy Barry Nussbaum dowiedział się, ile to ma kosztować i jak długo musiałby czekać na przybycie specjalisty, sam zaczął czytać załączoną do lodówki instrukcję. Wyczytał tam, że może - zupełnie bezpłatnie - zadzwonić pod podany w instrukcji numer w Benton Harbor w stanie Michigan, wprost do wytwórcy, czyli Whirlpool Corporation.

Była to "chłodna linia", założona przez firmę Whirlpool dla klientów w razie jakichś kłopotów z obsługą produkowanych przez nią urządzeń. Pan Nussbaum zatelefonował. Odezwał się przedstawiciel firmy, który telefonicznie pokierował całą naprawą; objaśniał on kolejno, jakie śruby odkręcić, jak sprawdzić "na ucho", co jest uszkodzone, a następnie - jaką część wymienić. Pan Nussbaum stwierdził później: "Ten facet był fantastyczny. Nie tylko mówił, co mam robić, ale potrafił stworzyć klimat zaufania." Lodówka została naprawiona błyskawicznie.

Kompania Whirlpool zatrudnia dziesięciu etatowych i kilkunastu dochodzących konsultantów, którzy ze słuchawkami na uszach przyjmują telefony: niektórzy z nich sami prowadzili poprzednio terenowe punkty napraw. Dyżurny konsultant ma przed sobą ekran, na którym pojawia się natychmiast żądany schemat urządzenia reklamowanego przez klienta. (Oprócz lodówek Whirlpool produkuje między innymi zamrażarki, pralki, klimatyzatory i inny sprzęt domowy). W jednym tylko 1978 roku Whirlpool załatwił za pośrednictwem telefonu 150 000 reklamacji.

Taka "chłodna linia" (w nazwie tej chodzi też o ostudzenie nerwów klienta - przyp. tłum.), to przykład przyszłościowego modelu użytkowania i obsługi różnych urządzeń; w trosce o ich prawidłowe funkcjonowanie użytkownik sam będzie je konserwował i naprawiał, wyręczając w tym montera lub innego specjalistę. Dzięki postępowi technicznemu w dziedzinie telefonii, który doprowadził do znacznej obniżki cen połączeń zamiejscowych, użytkownik będzie w przyszłości otrzymywał instrukcje od przywołanego konsultanta, który udzielałby mu rad i wskazówek wprost z ekranu tele-wideofonu. Kiedy system ten się upowszechni, mechanikom pozostaną tylko bardzo skomplikowane naprawy: bądź też mechanik - podobnie jak lekarz czy opiekun społeczny - zacznie odgrywać w świecie prosumentów rolę nauczyciela, przewodnika i swego rodzaju guru.

Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem występującym w wielu dziedzinach, w których rozszerza się "uzewnętrznienie", zwiększa zaangażowanie konsumenta w spełnianie zadań poprzednio wykonywanych dla niego przez kogoś innego. A więc znowu obserwujemy tu transfer działań z sektora B gospodarki do sektora A; z sektora wymiany do sektora prosumpcji.

Wszystko to błędnie w porównaniu z dramatycznymi zmianami, które objęły inne gałęzie przemysłu, zachęcając swych klientów do współpracy w myśl zasady "Zrób to sam". Majsterkowicze zawsze chętnie trawili długie godziny przy wymianie pękniętych szyb w oknach czy płyt chodnikowych lub naprawie przepalonych korków. Nic w tym nowego. Zmienił się - i to zmienił drastycznie - stosunek między majsterkowiczem a zawodowym

robotnikiem budowlanym, stolarzem, elektrykiem, hydraulikiem itp.

Jeszcze 10 lat temu zaledwie 30 procent narzędzi elektrycznych sprzedawano w USA majsterkowiczom; 70 procent nabywali stolarze i inni rzemieślnicy. W ciągu zaledwie jednej dekady proporcje odwróciły się: dzisiaj tylko 30 procent sprzedaje się rzemieślnikom, a przynajmniej 70 procent kupują klienci, którzy coraz chętniej "robią to sami".

Według danych poważnej firmy Frost and Sullivan, zajmującej się statystyką przemysłową, w latach 1974-76 w USA przekoczono jeszcze bardziej znamieny kamień milowy: "po raz pierwszy ponad połowę wszystkich materiałów budowlanych (...) zakupili nie przedsiębiorcy budowlani, lecz ludzie, którzy chcieli sami budować sobie domy." Dane te nie uwzględniają zresztą dodatkowej sumy 350 mln dolarów, jaką zaoszczędzili domorośli majsterkowicze samodzielnie wykonujący drobne prace, za które płaci się poniżej 25 dolarów.

Podczas gdy ogólna kwota za sprzedaż materiałów budowlanych wzrosła w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych o 31 procent, to wydatki prywatnych właścicieli domów na zakup tych materiałów wzrosły o 65 procent, czyli rosły one ponad dwukrotnie szybciej. "Zmiana ta - twierdzi raport firmy Frost and Sullivan - jest drastyczna i trwała."

Z badań firmy Frost and Sullivan wynika ponadto, że następuje wprost "niebotyczny" wzrost tego typu wydatków; podkreśla się również rosnący prestiż samowystarczalności. "Niektórzy ludzie (przynajmniej wśród warstw średnich) z pogardą odnosili się do wszelkiej pracy własnych rąk, teraz natomiast staje się ona powodem do dumy. Ludzie chlubią się pracą własnych rąk."

Szkoły i uniwersytety organizują niezliczone kursy, z wydawnictw płynie lawina podręczników i poradników. Tygodnik "U.S. News and World Report" pisze: "Chwyciło to wśród biednych i bogatych. W osiedlach w Cleveland lokatorom oferuje się instrukcje ułatwiające naprawę różnych instalacji domowych. Mieszkańcy Kalifornii coraz chętniej sami budują u siebie sauny, sami szukają źródeł mineralnych i zakładają własnym sumptem tarasy rekreacyjne na dachach swoich domów."

Również w Europie toczy się tak zwana "rewolucja ZTS" (Zrób-to-sam), a w zależności od temperamentu narodowego danego kraju przyjmuje ona różne warianty. (Amatorzy tej formy pracy w Niemczech i w Holandii traktują ją raczej bardzo serio - dbają o staranne wykańczanie i mają wysokie wymagania co do jakości narzędzi. Włosi natomiast, wręcz przeciwnie, dopiero zaczynają odkrywać ruch ZTS, przy czym wielu małżonków w średnim wieku uparcie odżegnuje się od "przynoszącej im ujmę" pracy w domu.)

I w tym przypadku przyczyny są wielorakie. Inflacja. Trudności w znalezieniu stolarza lub

hydraulika. Kiepska jakość usług. Więcej wolnego czasu. To wszystko odgrywa swoją rolę. Poważniejszą jednak przyczynę stanowi coś, co można by nazwać Prawem Względnej Niewydajności. Mówi ono, że im bardziej automatyzujemy produkcję dóbr obniżając ich jednostkowy koszt, tym bardziej zwiększamy względny koszt niezautomatyzowanych usług rzemieślniczych. (Jeżeli za godzinę pracy hydraulik otrzymuje tyle samo, ile kosztuje kalkulator, czyli 20 dolarów, to po obniżeniu cen kalkulatorów do takiego poziomu, że za te same 20 dolarów można kupić ich kilka, pozornie nie zmieniony koszt usługi hydraulika znacznie się zwiększa. Następuje kilkukrotny wzrost kosztu pracy hydraulika w stosunku do cen innych dóbr.)

Właśnie z tych względów możemy oczekiwać dalszego zawrotnego wzrostu cen usług rzemieślniczych w najbliższych latach. W efekcie znaczną część prac ludzie będą wykonywać sami. Słowem, nawet bez inflacji Prawo Względnej Niewydajności sprawi, że wszelka produkcja na własny użytek będzie coraz bardziej "opłacalna", toteż ludzie będą przenosić coraz więcej działań z sektora B - czyli sektora wymiany dóbr i usług, do sektora A - a więc do sektora prosumpcji.

KONSUMENTCI PROJEKTANTAMI

Chcąc zobaczyć, jaki kierunek przyjmie to zjawisko w przyszłości, przypatrzmy się nie tylko usługom, ale również wytwarzaniu towarów i artykułów przemysłowych. I tutaj widzimy, jak konsument coraz bardziej angażuje się w proces produkcyjny.

Tak więc już dziś co bardziej entuzjastyczni producenci zatrudniają - zresztą nie za darmo - klientów do pomocy przy projektowaniu swoich produktów. Dotyczy to nie tylko tych gałęzi przemysłu, które sprzedają towary wprost konsumentom - jak na przykład żywność, mydła, kosmetyki itd. W jeszcze większym stopniu odnosi się to do nowoczesnych dziedzin przemysłu, takich jak elektronika - gdzie odmasowienie produkcji postępuje najszybciej.

"Najlepsze rezultaty osiągamy wówczas, gdy współpracujemy z jednym lub dwoma klientami" - stwierdza pracownik działu planowania firmy Texas Instruments. "Kiedy natomiast sami obmyślamy jakieś nowe zastosowanie praktyczne naszego produktu i potem wychodzimy z tym artykułem na rynek, na ogół ponosimy fiasko."

Według Cyrila H. Browna z firmy Analog Devices, Inc., wszystkie artykuły dzielą się na dwie kategorie: towary oferowane przez fabrykę i towary zamawiane przez konsumentów. Te ostatnie projektuje nie wytwórca, lecz potencjalny nabywca i - jak twierdzi Brown - są one idealne. Im nowocześniejsze metody zastosujemy w produkcji oraz im mniej masowy ma ona charakter, a także im większa część tej produkcji jest realizowana na obstalunek

poszczególnych nabywców, tym bardziej konieczne staje się coraz większe zaangażowanie klienteli w proces produkcyjny.

Zespół specjalistów kompanii CAM-I (Computer-aided Manufacturing International) pracuje obecnie usilnie nad klasyfikacją oraz kodowaniem elementów i procesów w celu umożliwienia pełnej automatyzacji produkcji. Jak na razie coś z tego rozumieją najwyżej tacy eksperci, jak profesor Inyong Ham z Wydziału Projektowania Systemów Przemysłowych i Produkcyjnych Uniwersytetu Stanowego w Pensylwanii, ale w końcu klienci też nauczą się samodzielnie programować według własnego życzenia komputery kierujące produkcją w fabrykach.

Jak wyjaśnia profesor Ham, komputer na życzenie klienta nie tylko zaprojektuje potrzebny mu produkt, ale wybierze najbardziej odpowiedni do jego wykonania proces produkcyjny. Komputer wyznaczy maszyny potrzebne do wykonania produktu. Ustali kolejność etapów - od, powiedzmy, zmielenia czy rozkruszenia surowca, aż po końcowe pomalowanie gotowego przedmiotu. Komputer spisie wymagane programy dla "podległych mu" komputerów czy numerycznych układów sterujących, nadzorujących funkcjonowanie poszczególnych maszyn i urządzeń. Komputer może nawet ustalić specjalny program "kontroli adaptacyjnej", dzięki której każdy z tych różnorodnych procesów będzie przebiegać optymalnie z punktu widzenia celów ekonomicznych i środowiskowych.

W ostatecznym efekcie klient, który będzie nie tylko składał zamówienie, ale własnoręcznie przyciskał guzik uruchamiający cały ten proces, zacznie brać udział w procesie produkcyjnym w takim samym stopniu, w jakim ubrany w drelichowy kombinezon robotnik z linii montażowej czynił to w epoce, której zmierzch właśnie obserwujemy.

Wprawdzie taki system funkcjonowania przemysłu, w którym produkcję będzie uruchamiać dla siebie sam klient, wciąż jeszcze jest dość odległy, już dziś jednak istnieje przynajmniej część potrzebnych do tego urządzeń. I tak na przykład, przynajmniej teoretycznie, sprzężony z komputerem pistolet laserowy używany w przemyśle odzieżowym i opisany dokładniej w rozdziale XIII, mógłby - po podłączeniu go drogą telefoniczną do prywatnego komputera w domu klienta - umożliwić zarejestrowanie podanych przez klienta lub klientkę wymiarów, dobór odpowiedniego materiału, a następnie uruchomienie laserowych nożyc - przy czym klient nie musiałby ruszać się z domu nawet na krok.

Robert H. Anderson, szef do spraw informacji w korporacji RAND i czołowy ekspert w dziedzinie komputeryzacji produkcji, wyjaśnia: "Za 20 lat człowiek będzie wykorzystywał swą energię twórczą przede wszystkim jako twórca czy konsument (...) Będziemy, mianowicie, zajmować się na przykład projektowaniem dla siebie strojów albo

modyfikowaniem standardowych wzorów ubrań; a potem komputery - za pomocą lasera - skroją zamówione przez nas ubranie, które uszyje dla nas numerycznie sterowana maszyna (...)

Każdy z nas naprawdę będzie mógł samodzielnie zaprojektować na przykład samochód, a komputery zadbają o to, że otrzymamy dokładnie taki pojazd, jaki się nam zamarzył. Komputery nie pozwolą nam jednak zbyt się rozfantazjować, ponieważ będą zaprogramowane w taki sposób, że wszystkie produkowane samochody będą dostosowane do federalnych przepisów o bezpieczeństwie oraz będą musiały odpowiadać ogólnym normom obowiązującym w przemyśle motoryzacyjnym."

Jeżeli dodamy do tego, że wielu ludzi prawdopodobnie i tak będzie wkrótce pracować w domu, w przyszłościowej wiosce elektronicznej, to łatwiej zrozumiemy, jak bardzo znamienna przemiana zachodzi w samych "narzędziach" dostępnych człowiekowi. Te same urządzenia elektroniczne, których będziemy używać w domu do wykonywania pracy za pieniądze, będą również mogły służyć do wytwarzania dóbr lub usług na nasz własny użytek. Wówczas prosument, który dominował w społecznościach pierwszej fali, znowu znajdzie się w centrum działalności gospodarczej - lecz tym razem dzięki wysoko rozwiniętej technologii trzeciej fali.

Krótko mówiąc, kiedy obserwujemy nowe ruchy duchowej samopomocy, upowszechnianie się hasła "Zrób-to-sam" czy też nowe technologie produkcyjne - wszędzie dostrzegamy olbrzymi postęp w kierunku o wiele większego zaangażowania konsumenta w produkcję. W nowym świecie zacierają się konwencjonalne różnice między producentem a konsumentem. Klient staje się "wytwórcą", dzięki czemu coraz większa część działalności produkcyjnej przechodzi z sektora B gospodarki do sektora A, będącego domeną prosumpcji.

A wraz z tym zaczynamy - zrazu bez większego entuzjazmu, lecz z czasem coraz szybciej - zmieniać także rynek stanowiący najbardziej zasadniczą instytucję dotychczasowego systemu.

PROSUMPCYJNY STYL ŻYCIA

To entuzjastyczne zainteresowanie konsumentów włączaniem się do produkcji pociąga za sobą poważne konsekwencje. Chcąc je zrozumieć, przypomnijmy, że rynek z założenia oparty jest na tym właśnie rozdziale między producentem i konsumentem, który obecnie zaczyna zanikać. Gdy większość ludzi zajmowała się produkcją na użytek własny, rozbudowany rynek był niepotrzebny. Zaczął być konieczny dopiero wówczas, kiedy funkcje konsumpcyjne zostały oddzielone od funkcji produkcyjnych.

Konwencjonalni i dość schematycznie myślący autorzy uważają rynek za zjawisko charakterystyczne dla opartego na pieniądzu systemu kapitalistycznego. A przecież słowo rynek znaczy tyle co sieć wymiany, której wiele różnych odmian istniało w przeszłości i istnieje nadal. Na Zachodzie mamy rynek kapitalistyczny, oparty na zysku. Ale są też rynki socjalistyczne - systemy kanałów, za których pośrednictwem towary lub usługi produkowane przez Iwana Iwanowicza ze Smoleńska wymienia się na towary lub usługi wytwarzane przez Johanna Schmidta w Berlinie. Są rynki oparte na pieniądzu, ale są też rynki oparte na handlu wymiennym. Rynek jako taki nie jest ani kapitalistyczny, ani socjalistyczny. Stanowi on bezpośrednią i nieuniknioną konsekwencję odseparowania się producenta od konsumenta. Wszędzie tam, gdzie występuje taka separacja, pojawia się rynek. Wszędzie natomiast, gdzie maleje przepaść między konsumentem i producentem, znaczenie, działanie i potęga rynku stają pod znakiem zapytania.

Obecny awans prosumpcji zaczyna więc odmieniać rolę, jaką rynek odgrywa w naszym życiu.

Nie można jeszcze w tej chwili przewidzieć, dokąd nas zaprowadzi przebieg tego niegwałtownego, choć bardzo istotnego zjawiska. Rynek, oczywiście, całkowicie nie zaniknie. Nie zamierzamy wracać do przedrynkowych systemów gospodarczych. Nie skurczy się też i nie zniknie sektor wymiany, który nazwałem tu sektorem B. Jeszcze bardzo długo pozostaniemy głęboko uzależnieni od rynku.

Ale awans prosumpcji wskazuje jednak na zasadniczą zmianę relacji między sektorem A i sektorem B - relacji, którą ekonomiści drugiej fali dotychczas całkowicie ignorowali.

Prosumpcja wiąże się bowiem z "demarketyzacją" przynajmniej niektórych rodzajów działalności, a więc i z drastyczną zmianą roli rynku w społeczeństwie. W rezultacie tej zmiany gospodarka przyszłości nie będzie podobna do żadnej znanej nam dotychczas; po raz pierwszy w gospodarce nie będą występować dysproporcje na korzyść sektora A bądź sektora B. Zmiana ta zapowiada powstanie nowego systemu gospodarczego, który nie będzie przypominał ani gospodarki pierwszej fali, ani drugiej fali, będzie natomiast łączył w sobie cechy charakterystyczne obydwu i stapał je w nową historyczną syntezę.

Prosumpcja rozwija się pod wpływem takich zbiegających się czynników, jak zawrotnie rosnące koszty wielu usług, załamanie się biurokratycznego systemu usług drugiej fali, uprzystępnienie nowych technologii trzeciej fali, problemy bezrobocia strukturalnego i inne. Awans prosumpcji prowadzi do upowszechnienia się nowego stylu pracy i nowego modelu życia. Jeżeli pozwolimy sobie na spekulacje - mając w pamięci niektóre z opisanych wcześniej przeobrażeń, w *rodzaju przebicia* w kierunku desynchronizacji pracy i częstszego

zatrudnienia pracowników w niepełnym wymiarze godzin, perspektywicznego upowszechnienia wioski elektronicznej czy zmian w strukturze życia rodzinnego - będziemy mogli dostrzec przynajmniej niektóre zmiany w stylu życia.

Zmierzamy najwyraźniej w kierunku takiej gospodarki przyszłości, w której ogromna liczba ludzi nigdy nie będzie pracować na pełnym etacie, lub w której "pełny etat" będzie oznaczał coraz krótszy tydzień czy rok roboczy, (W Szwecji, gdzie niedawno zagwarantowano ustawowo 5-tygodniowy urlop dla wszystkich pracowników, niezależnie od wieku i wysługi lat, normalny rok roboczy teoretycznie wynosi 1840 godzin. Ale z powodu wysokiej absencji, bardziej realistyczna średnia przypadająca na jednego pracownika wynosi 1600 roboczogodzin w skali rocznej.)

Już obecnie znaczna część pracowników pracuje średnio zaledwie 3-4 dni w tygodniu, bądź też przestaje pracować na okres od 6 miesięcy do jednego roku, podejmując w tym czasie studia lub wypoczywając. Ten model maże upowszechnić się jeszcze bardziej, zwłaszcza że coraz częściej na jedną rodzinę przypadają dwie pensje pracownicze. Zwiększona liczba ludzi na rynku płatnej pracy - czy, jak to określają ekonomiści, wyższa "stopa zatrudnienia" - zapewne spowoduje dalszą redukcję czasu pracy przypadającego na jednego pracownika.

To stawia w nowym świetle całą kwestię czasu wolnego. Dawny podział na czas pracy i czas wolny od pracy stanie się nieaktualny, gdy stwierdzimy, że sporą część tak zwanego czasu wolnego spędzamy w rzeczywistości na prosumpcji, czyli na wytwarzaniu dóbr i usług na nasz własny użytek. Kwestia polega nie na przeciwstawianiu pracy i wypoczynku, lecz na przeciwstawianiu pracy za pieniądze w sektorze B i bezpłatnej, dobrowolnej i podlegającej tylko własnej kontroli, pracy dla siebie w sektorze A.

W kontekście trzeciej fali nabrał praktycznego wymiaru nowy styl życia, oparty pół na pół na produkcji na wymianę i na użytek własny. Był on w istocie dość powszechny we wczesnym okresie rewolucji przemysłowej wśród ludności farmerskiej, która z wolna przekształcała się w miejski proletariat. W ciągu długiego okresu przejściowego miliony ludzi pracowały częściowo w fabrykach, częściowo na roli - produkując dla siebie żywność i kupując tylko niektóre niezbędne artykuły, wytwarzając pozostałe we własnym zakresie. Taki model wciąż jeszcze występuje w wielu rejonach świata - ale związany jest on przeważnie z prymitywnym poziomem bazy technologicznej.

Wyobraźmy sobie taki model życia - ale związany z technologią produkcji żywności i artykułów przemysłowych z XXI wieku oraz z olbrzymim rozwojem różnych metod samoobsługi i ułatwień dla majsterkowiczów. Jutrzejszy prosument zamiast wykroju

krawieckiego może będzie mógł kupić na przykład kasetę z programem, który pokieruje "inteligentną" maszyną do szycia. Nawet największy niezgrabiasz, z pomocą takiej kasety będzie mógł szyć znakomicie dopasowane koszule. A posiadacze tak zwanych "złotych rąk" będą mogli nie tylko samodzielnie regulować działanie swego samochodu, ale wręcz go sobie zbudować, przynajmniej częściowo.

Wiemy już, że pewnego dnia klient będzie mógł telefonicznie zaprogramować komputer w fabryce samochodów, dyktując własne wymagania co do zamawianego auta. Ale jest jeszcze inny sposób, w jaki klient może - i to nawet już dzisiaj - uczestniczyć w produkcji swojego samochodu.

Kompania pod nazwą Bradley Automotive już oferuje komplet części "Bradley GT" do "własnoręcznego zmontowania luksusowego samochodu sportowego". Prosząc, nabywszy taki komplet już częściowo zmontowanych podzespołów i części, ma tylko przykręcić nadwozie z włókna szklanego do podwozia Volkswagena, podłączyć przewody silnika, zamocować układ kierowniczy, wstawić fotele itd.

Można sobie łatwo wyobrazić pokolenie, którego sporą część będą stanowić ludzie zatrudnieni w niepełnym wymiarze godzin, wykonujący z przyjemnością różne prace własnymi rękami, wyposażeni w mnóstwo tanich, domowych urządzeń technicznych. Na wpół zatrudnieni, na wpół nie, pracując okresowo zamiast w kółko przez cały rok i biorąc co jakiś czas roczny urlop - ludzie ci zapewne będą zarabiać trochę mniej, ale nadrobią to wkładając własny wysiłek w wiele takich prac, za które trzeba słono płacić, łagodząc w ten sposób jednocześnie skutki inflacji.

Mormoni amerykańscy mają inną wizję możliwego stylu życia w przyszłości. Liczne ich wspólnoty - a wspólnota taka odpowiada, powiedzmy, katolickiej diecezji - prowadzą własne gospodarstwa rolne. Członkowie wspólnoty, również ci, którzy mieszkają w mieście, w wolnych chwilach pracują ochotniczo na roli. Zbiory przeznacza się nie na sprzedaż, lecz przechowuje na wypadek jakiejś wyjątkowej potrzeby lub rozdziela się wśród uboższej ludności mormońskiej. Mormoni mają także własne fabryki konserw, wytwórnie soków i przecierów oraz własne elewatory zbożowe. Niektórzy mormoni oddają do przetwórni część zbiorów z własnych działek. Inni po prostu kupują świeże warzywa w sklepie i również oddają je do miejscowej przetwórni.

Jeden z mormonów z Salt Lake City opowiada: "Moja matka co kupi pomidory, to je wekuje. «Stowarzyszenie» opieki społecznej, do którego należy, zbiera się potem któregoś dnia i wspólnie robi przecier pomidorowy na własne potrzeby." Wielu mormonów nie tylko ofiarowuje datki pieniężne na rzecz swego kościoła, ale na ochotnika bierze udział w różnych

zajęciach społecznych, uczestnicząc na przykład w pracach budowlanych.

Nie znaczy to, oczywiście, że z czasem wszyscy zostaną członkami kościoła mormonów ani że stanie się możliwe w przyszłości odtworzenie na szerszą skalę takich zależności i więzów społecznych i organizacyjnych, jakie występują w tej ogromnie wiążącej ludzi, ale autokratycznej pod względem teologicznym wspólnocie wyznaniowej. Wydaje się natomiast, że produkcja na użytek własny - w indywidualnym zakresie lub w zorganizowanych grupach - będzie się nadal rozpowszechniać.

Mając do dyspozycji domowe komputery, nasiona dobrane genetycznie do uprawy roślin w miastach, lub wręcz w mieszkaniach, mając tanie podręczne narzędzia do obróbki plastiku, mając nowe materiały, kleje i tworzywa oraz mogąc korzystać do woli z porad technicznych udzielanych przez telefon, a może jeszcze mogąc otrzymać odpowiednie schematy i instrukcje na ekranie telewizora lub komputera - będziemy zapewne zdolni stworzyć zupełnie nowe style życia. Będą one zaspokajać więcej rozmaitych potrzeb człowieka, będąc mniej monotonne, bardziej twórcze i słabiej związane z rynkiem niż ten styl życia, który cechuje cywilizację drugiej fali.

Jest jeszcze za wcześnie, by móc powiedzieć, do czego doprowadzi nas przerzucenie ludzkiej aktywności na polu wymiany w sektorze B do prosumpcji, należącej do sektora A. Nie możemy też jeszcze wiedzieć, w jaki sposób w różnych krajach ustalą się proporcje między sektorami A i B, ani tego, do jakich stylów życia zmiany te doprowadzą. Jest wszakże pewne, że wszelka istotna zmiana proporcji między produkcją na użytek własny i produkcją na wymianę podziała niczym ładunek wybuchowy eksplodujący pod fundamentami naszego systemu gospodarczego oraz naszego systemu wartości.

EKONOMIA TRZECIEJ FALI

Czy jest możliwe, by ów głośno oplakiwany kryzys protestanckiej etyki pracy był związany z przechodzeniem od produkcji dla innych do produkcji dla siebie? Wszędzie widać zanik przemysłowego etosu gloryfikującego ciężką pracę. Dyrektorzy kompanii zachodnich szemrają ponuro na tę "angielską chorobę", która ma nas rzekomo doprowadzić do nędzy, jeżeli jej w porę nie zapobiegniemy. "Tylko Japończycy jeszcze pracują solidnie" - powiadają. Ja natomiast słyszałem od czołowych przedstawicieli japońskiego przemysłu, że i u nich siła robocza cierpi na tę samą chorobę. "Tylko w Korei Południowej naprawdę się pracuje" - mówią Japończycy.

Tymczasem ludzie, którym rzekomo nie chce się pracować, to często ci sami ludzie, którzy w rzeczywistości ciężko pracują poza miejscem pracy - układając kafle w łazience, tkając

dywany, poświęcając swój czas i talenty w kampanii politycznej, uczestnicząc w konsultacjach grup samopomocy, szyjąc, uprawiając warzywa na działce, pisząc opowiadania lub remontując strych. Gdy przypadkiem główna siła motywacyjna, która, dotąd wspomagała rozwój sektora B, nie została obecnie skierowana do sektora A, nastawionego na prosumpcję?

Druga fala przyniosła z sobą coś więcej niż silnik parowy i mechaniczne warsztaty tkackie, Wraz z jej nadejściem nastąpiła kolosalna zmiana charakterologiczna. Zmianę tę jeszcze dziś możemy zaobserwować na przykładzie krajów przechodzących obecnie z epoki pierwszej fali do drugiej fali - jak na przykład w Korei Południowej, gdzie społeczeństwo wciąż usilnie próbuje powiększyć sektor B kosztem sektora A.

I ODWROTNIE, W DOJRZAŁYCH KRAJACH DRUGIEJ FALI, KTÓRE ZACHWIAŁY SIĘ POD NAPIEDEM TRZECIEJ FALI, WSKUTEK PRZERZUCANIA PRODUKCJI Z POWROTEM DO SEKTORA A I PONOWNEGO WCIĄGANIA KONSUMENTA W PROCES PRODUKCYJNY NASTĘPUJE KOLEJNE PRZEOBRAŻENIE CHARAKTEROLOGICZNE. TĘ FASCYNUJĄCĄ ZMIANĘ OMÓWIMY NIECO PÓŹNIEJ. NA RAZIE ZAPAMIĘTAJMY TYLKO, ŻE ROZWÓJ PROSUMPCJI WYWIERA OGROMNY WPŁYW NA SAMĄ STRUKTURĘ OSOBOWOŚCI CZŁOWIEKA.

Wydaje się jednak, że zmiany wywołane przez awans prosumenta w żadnej innej dziedzinie nie są bardziej gwałtowne i ostre niż w gospodarce. Ekonomiści, zamiast koncentrować całą uwagę i energię na sektorze B, będą musieli stworzyć nową, bardziej całościową koncepcję gospodarki - będą musieli przeanalizować wszystko, co dzieje się w sektorze A, oraz zbadać wzajemne zależności między obydwoma sektorami.

Kiedy trzecia fala zaczyna przebudowywać struktury gospodarki światowej, nauka ekonomii - niezdolna wyjaśnić obecnych zjawisk - zostaje wystawiona na bezlitosne ataki krytyki. Mimo że posługuje się ona szalenie nowoczesnymi i skomplikowanymi metodami i przyrządami - z modelami komputerowymi i specjalnymi matrycami do badania gospodarki włącznie - coraz mniej może nam powiedzieć o tym, jak naprawdę funkcjonuje gospodarka. Sami ekonomiści właściwie też dochodzą dziś do wniosku, że konwencjonalna myśl ekonomiczna, zarówno zachodnia, jak i marksistowska, utraciła związek z szybko zmieniającą się rzeczywistością.

Poważną przyczyną tego zjawiska jest fakt, iż w coraz większym stopniu najważniejsze zmiany zachodzą poza sektorem B, czyli poza szeroko pojętym procesem wymiany i handlu. Chcąc przywrócić ekonomii kontakt z rzeczywistością, ekonomiści trzeciej fali będą musieli wymyślić nowe modele i wskaźniki oraz znaleźć nowe kryteria do opisywania procesów zachodzących w sektorze A. W obliczu awansu prosumenta będą musieli przyjąć zupełnie nowe wyjściowe założenia teoretyczne.

Kiedy zdamy sobie sprawę, że wymierna produkcja (oraz wydajność) w sektorze B pozostaje w ścisłym związku z niewymierną produkcją (oraz wydajnością) w sektorze A - czyli w gospodarce "nieoficjalnej" - wówczas okaże się, że trzeba przededefiniować całą terminologię ekonomiczną. Już w połowie lat sześćdziesiątych, ekonomista Victor Fuchs, z Krajowego Biura Badań Ekonomicznych (National Bureau of Economic Research), trafnie wyczuł ten problem, wskazując, że pod wpływem rozwoju usług tradycyjne miary wydajności zupełnie się zdezaktualizowały. Powiedział on między innymi: "Wiedza, doświadczenie, uczciwość i motywacja konsumenta mają wpływ na wydajność w dziedzinie usług."

Ale nawet w tym stwierdzeniu "wydajność" konsumenta rozumiana jest wyłącznie w kontekście sektora B - tylko jako jego udział w produkcji na wymianę. Jak dotąd nikt nie zechciał uznać, że najdosłowniejsza produkcja odbywa się również w sektorze A; że dobra i usługi wytwarzane na użytek własny są całkiem realne i mogą wyprzeć lub zastąpić dobra i usługi powstające w sektorze B. Konwencjonalne wskaźniki produkcji, a w szczególności liczby określające wysokość produktu narodowego brutto będą coraz bardziej traciły sens, dopóki nie zaczniemy uwzględniać również danych dotyczących działalności gospodarczej w ramach sektora A.

Zrozumienie istoty prosumpcji pomoże również dostrzec we właściwym świetle sprawę cen i kosztów. Głębsza orientacja w tej kwestii prowadzi bowiem do wniosku, że wydajność prosumpcji w sektorze A prowadzi do podwyższenia lub obniżenia kosztów przedsiębiorstw prywatnych i państwowych działających w sektorze B.

Na przykład wysoki wskaźnik alkoholizmu, absencji, nerwic i chorób umysłowych wśród klasy robotniczej przyczynia się do zwiększenia "kosztów działalności gospodarczej", które - dość wygodnie - oblicza się w odniesieniu do sektora B. (Szacuje się, że z powodu samego tylko alkoholizmu przemysł amerykański traci rocznie 20 miliardów dolarów z tytułu absencji w pracy). [...] Toteż różnorodne grupy terapeutyczne, przynoszące ulgę ludziom pracy w ich kłopotach natury psychicznej, przyczyniają się równocześnie do zmniejszenia strat gospodarczych będących skutkiem tych kłopotów. Tym samym wydajność w dziedzinie prosumpcji wpływa na wartość współczynnika wydajności w dziedzinie produkcji.

Na koszty produkcji przemysłowej wywierają wpływ również mniej uchwytny czynniki. Jak piszą i wysławiają się robotnicy? Czy wszyscy mówią tym samym językiem? Czy są przygotowani do pracy pod względem kulturalnym? Czy nabyte w domu zwyczaje i sposoby zachowań pomagają, czy przeszkadzają im w pracy? Wszystkie te cechy charakteru, postawy, wartości, umiejętności i motywacje - niezbędne do uzyskania wysokiego wskaźnika wydajności pracy w sektorze B, czyli w sektorze produkcji - są wytwarzane lub raczej

powstają na drodze prosumpcji w sektorze A. Powrót do zaangażowania konsumenta w produkcję zmusi nas do o wiele bardziej wnikliwego zbadania tych wszystkich wzajemnych uzależnień.

W efekcie tych głębokich przeobrażeń będziemy musieli na nowo zdefiniować pojęcie wskaźnika wydajności. Określając wydajność ekonomisci porównują dziś różne możliwe sposoby wytworzenia danego artykułu (lub usługi). Rzadko porównują wydajność przy jego produkcji w sektorze B z wydajnością w sektorze A, gdzie można ów artykuł wytworzyć na drodze prosumpcji. A przecież to właśnie robią miliony ludzi, pozornie bez żadnego przygotowania teoretycznego w dziedzinie ekonomii. Dochodzą oni do wniosku, że zapewniwszy sobie określony dochód, korzystniej będzie - ze względów ekonomicznych i psychologicznych - zajmować się wytwarzaniem dóbr i usług na użytek własny, czyli prosumpcją - zamiast zarabiać więcej pieniędzy.

Ekonomiści i biznesmeni lekceważą też ujemny wpływ, jaki na sektor A wywiera zwiększanie wydajności pracy w sektorze B. Dzieje się tak na przykład wówczas, gdy kompania wymaga od kadry kierowniczej nieustannej dyspozycyjności i przestawiania się na coraz to nowe kierunki działań, powodując w rezultacie falę chorób związanych ze stresami, rozpad życia rodzinnego lub wzrost spożycia alkoholu. Odwrotnie - to, co wydaje się obniżać wskaźnik wydajności w konwencjonalnym sektorze B, w rzeczywistości może oznaczać kolosalny wzrost wydajności, pod warunkiem że będziemy rozpatrywać całą gospodarkę, a nie tylko jej jeden fragment.

Pojęcie "wydajności" będzie miało w ogóle jakiś sens, jeśli będzie ono obejmować także efekty drugoplanowe - niejako "prywatne", nie zaś tylko pierwszoplanowe efekty "oficjalnej" pracy ludzkiej; wskaźnik wydajności należałoby więc obliczać na podstawie pracy odbywającej się nie w jednym, lecz w obydwu sektorach gospodarki.

A co z takimi pojęciami, jak "dochód", "opieka społeczna", "ubóstwo" czy "bezrobocie"? Jeżeli ktoś żyje pół na pół w ramach gospodarki rynkowej i poza nią, to które produkty - namacalne czy też nie - należałoby traktować jako dochody? Jakie w ogóle znaczenie mają liczby określające czyjeś dochody w społeczeństwie, w którym prosumpcja może w poważnym stopniu wpływać na czyjś stan posiadania i zamożności?

Czym w takich warunkach jest opieka społeczna? Czy ludzie otrzymujący zasiłki powinni pracować? Jeżeli tak, to czy cała ich praca koniecznie powinna odbywać się w sektorze B? A może ludzi pozostających na utrzymaniu opieki społecznej należałoby zachęcać do prosumpcji?

Co naprawdę oznacza bezrobocie? Czy robotnik, zwolniony z fabryki samochodów, który

sam kryje dachem swój dom albo przeprowadza remont kapitalny swojego auta - jest bezrobotny w takim samym sensie jak ktoś, kto siedzi beczynnie w domu oglądając mecze futbolowe w telewizji? Pojawienie się prosumenta w naszym życiu podważa dotychczasowy sposób widzenia ściśle z sobą związanych problemów: bezrobocia z jednej strony i nadmiernego rozrostu biurokracji oraz wymuszanego przez związki zawodowe zatrudniania zbytecznych pracowników - z drugiej strony.

Społeczeństwa drugiej fali próbują walczyć z bezrobociem różnymi sposobami - na przykład, hamując postęp techniczny, zamykając granice przed imigracją zarobkową, wprowadzając wymianę siły roboczej z innymi krajami, zwiększając eksport, zmniejszając import, organizując roboty publiczne, skracając czas pracy, starając się zwiększyć ruchliwość i wielokierunkowość siły roboczej, przewożąc całe grupy ludności z jednego miejsca w drugie, a nawet wszczynając wojny w celu poprawy koniunktury gospodarczej. A jednak problem ten z dnia na dzień staje się coraz bardziej złożony i trudniejszy do rozwiązania.

A może problemy związane z zasobami siły roboczej - zarówno przy jej nadmiarze, jak i przy braku - nie mogą nigdy być zadowalająco rozwiązane w społeczeństwie drugiej fali - zarówno kapitalistycznym, jak i socjalistycznym? Czy patrząc na całość gospodarki, a nie ograniczając się wyłącznie do jej jednej części, będziemy zdolni tak przeformułować problem bezrobocia, by stał się on możliwy do rozwiązania?

Jeżeli produkcja odbywa się w obu sektorach, jeżeli ludzie wytwarzają dobra i usługi dla siebie w jednym sektorze, a dla innych - w drugim sektorze, to jakie ten fakt ma znaczenie w sporze o zagwarantowanie wszystkim ludziom minimum socjalnego? W społeczeństwach drugiej fali dochód jest nierozzerwalnie związany z pracą dla gospodarki opartej na wymianie dóbr i usług. Czyż jednak prosumenci również nie "pracują", nawet jeżeli nie są związani z rynkiem w żaden sposób lub są z nim związani tylko częściowo? Czy mężczyzna albo kobieta, którzy pozostają w domu i wychowują dziecko, przyczyniając się w ten sposób do lepszej wydajności w sektorze B dzięki pracy włożonej w sektorze A, nie powinni otrzymywać jakiegoś wynagrodzenia, chociaż żadne z nich nie wykonuje w tym czasie płatnej pracy w sektorze B?

Rozwój prosumpcji zdecydowanie zmieni nasze myślenie ekonomiczne. Zmieni także podłoże konfliktu ekonomicznego. Bez wątplenia nadal będzie trwać rywalizacja między robotnikami-producentami i menedżerami-producentami. Ale zmniejszy się jej znaczenie, w miarę jak będzie się rozszerzać prosumpcja, a my sami przybliżymy się jeszcze bardziej do społeczeństwa trzeciej fali. W miejsce tej rywalizacji pojawią się nowe konflikty społeczne.

Rozpętają się zapewne batalie o to, jakie potrzeby mają być zaspokajane przez każdy z

dwu sektorów gospodarki.

Ponieważ siły drugiej fali starają się utrzymać dotychczasowe zatrudnienie i zachować dotychczasowe zyski, uniemożliwiając rozwój działalności prosumentów, muszą zaostrzyć się walki dotyczące takich spraw, jak koncesje, przepisy budowlane itp. Związki zawodowe nauczycieli walczą z rodzicami, nie chcąc ich wpuścić do klas, z takim samym zapałem, z jakim rzemieślnicy budowlani walczą o utrzymanie przestarzałego prawa budowlanego. Tymczasem podobnie jak sami lekarze nie rozwiążą bez udziału pacjenta różnych problemów zdrowotnych (związanych, na przykład, z przejadaniem się, brakiem ruchu i gimnastyki albo z paleniem), również wielu problemów wychowawczych i oświatowych nie rozwiąże się bez rodziców. Awans prosumenta zmienia cały pejzaż gospodarczy.

Wszystkie te zjawiska będą się nasilać, aż cała gospodarka światowa zostanie odmieniona przez rozwój prosumpcji - niesłychanie ważny fakt historyczny, którego jesteśmy świadkami, a którego jednak zdają się nie dostrzegać ekonomiści i myśliciele drugiej fali. A dopiero dzięki zmianie znaczenia tego faktu możemy dostrzec w odpowiednich proporcjach wszystko, czego już dowiedzieliśmy się w tym rozdziale.

KRES MARKETYZACJI

Jeszcze bardziej niezauważenie niż zmiana zasad uczestniczenia w rynku, postępuje o wiele istotniejsze zjawisko, mianowicie - zakończenie wielkiego historycznego procesu budowania rynku. Ten punkt zwrotny o wręcz rewolucyjnych implikacjach jest tak trudno uchwytne, że zarówno kapitalistyczni, jak i marksistowscy myśliciele, z zapamiętaniem toczący swe stare polemiki, aktualne w epoce drugiej fali, prawie w ogóle go nie zauważyli. Nie pasując do żadnej spośród ich teorii, zjawisko to uchodzi ich uwadze.

Ludzkość budowała ogólnoswiatową sieć wymiany handlowej, czyli rynek, przez co najmniej 10 000 lat. Proces ten nabrał szalonego rozpędu 300 lat temu, kiedy to nadeszła druga fala. Cywilizacja drugiej fali "zmarketyzowała" cały świat. Dzisiaj, dokładnie w chwili, gdy na nowo zaczyna się rozwijać prosumpcja, tamten proces dobiega końca.

Nie docenimy olbrzymiego znaczenia historycznego tego faktu, dopóki nie zrozumiemy w pełni, co to jest rynek. Porównajmy go, powiedzmy, do rurociągu. Kiedy na świecie wybuchła rewolucja przemysłowa, zapoczątkowując drugą falę, tylko nieliczni ludzie byli związani z systemem pieniężnym. Handel istniał, ale obejmował wąską warstwę społeczeństwa. Niewielkie i załążkowe były jeszcze siatki różnych maklerów, kupców, hurtowników, detalistów i bankierów działających w obrębie kilku wąskich odcinków rurociągu, przez który mogły przepływać towary i pieniądze.

Przez 300 lat wydatkowaliśmy masę energii na rozbudowę tego rurociągu. Cel ten został osiągnięty trzema sposobami. Po pierwsze, kupcy i najemnicy cywilizacji drugiej fali, rozsiani po całym świecie, namawiali i zmuszali ludzi do udziału w rynku - do tego, by produkowali więcej na rynek, a mniej dla siebie. Perswazją i siłą skłoniono samowystarczalne plemiona Afryki, żeby - kopiąc miedź - zbierały raczej pieniądze niż plonów. Wieśniaków azjatyckich, niegdyś utrzymujących się z uprawy roli, posłano na plantacje do zbierania żywicy z drzew kauczukowych, żeby produkować więcej opon do samochodów. Mieszkańcy Ameryki Łacińskiej zaczęli uprawiać kawę, którą handlowano w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Z każdym takim faktem powiększały się odgałęzienia i sploty rurociągu, powodując uzależnienie od rynku coraz to nowych populacji.

Drugi sposób ekspansji rynku polegał na "utowarowieniu" życia. Nie tylko coraz więcej ludzi uzależniało się od rynku, ale coraz więcej towarów i usług przeznaczano na rynek, wymagając ciągłego powiększania "przepustowości" systemu, a więc niejako - poszerzania średnicy rurociągu.

I wreszcie, rynek rozrastał się w jeszcze inny sposób. W miarę jak społeczeństwo i gospodarka stawały się coraz bardziej złożone, zwiększała się ilość transakcji na drodze, jaką, powiedzmy, kostka mydła musiała przebyć od producenta do klienta. Im więcej było na tej drodze pośredników, tym więcej rozgałęzień i meandrów miał nasz rurociąg. Ta właśnie mnogość pośrednich etapów i swoista kunsztowność systemu stanowiła trzecią formę dalszego rozwoju rynku, tak samo jak budowanie dodatkowych odcinków i coraz to nowych połączeń oraz specjalnych zaworów jest formą powiększania rurociągu.

Wszystkie te formy ekspansji rynku zbliżają się dziś do kresu możliwości. Krajów, których nie obejmuje system rynkowy, jest już na świecie bardzo niewiele. Zaledwie garstka ludzi rozsianych po najodleglejszych zakątkach globu nie ma z rynkiem żadnych kontaktów. Nawet setki milionów samowystarczalnych rolników w biednych krajach to ludność przynajmniej częściowo związana z rynkiem oraz z towarzyszącym mu systemem pieniężnym.

Pozostaje więc tylko co najwyżej zagarnąć jeszcze te ostatnie, szczątkowe niedobitki. Rynek nie może już się powiększać poprzez wchłanianie nowych krajów czy narodów.

Druga forma ekspansji jest nadal, przynajmniej teoretycznie, możliwa. Przy odrobinie wyobraźni możemy przecież wymyślić jeszcze jakieś nowe usługi i towary, którymi można by było handlować. Ale właśnie w tym momencie szczególnego znaczenia nabiera pojawienie się prosumenta. Wzajemne zależności między sektorem A i sektorem B są skomplikowane; działalność prosumenta zależy w dużym stopniu od możliwości zakupu materiałów i narzędzi znajdujących się na rynku. Ale w szczególności rozwój samopomocy oraz

demarketyzacja wielu dóbr i usług nasuwa przypuszczenie, że i w tej dziedzinie proces rozrastania się rynku za jakiś czas osiągnie kres.

Wreszcie, zwiększająca się kunsztowność i meandryczność "rurociagu" - a więc komplikująca się dystrybucja towarów i włączanie się do rynku coraz większej liczby pośredników - również zdaje się dobiegać końca. Koszty samej wymiany handlowej, nawet mierzone w sposób konwencjonalny, przekraczają obecnie w wielu dziedzinach koszty produkcji surowców. Osiągnąwszy pewien punkt proces ten dochodzi do kresu. Tymczasem komputery i urządzenia nadające się do obsługi przez prosumentów umożliwiają zmniejszanie zapasów towarów w magazynach oraz skracanie i upraszczanie, nie zaś wydłużanie i komplikowanie istniejących łańcuchów dystrybucji towarów. Wszystko to raz jeszcze dowodzi, że kres marketyzacji jest bliski i z pewnością nastąpi - jeżeli nie za naszych czasów, to wkrótce potem.

Jeżeli inwestycja "budowy rurociagu" jest niemal skończona, to jakie to może mieć znaczenie dla pracy ludzkiej, systemu wartości i psychiki człowieka? Przecież rynek nie składa się ze stali, butów, bawełny czy konserw, które tylko przezeń przepływają. Rynek to struktura, gdzie te towary lub usługi są przez kogoś przekazywane komuś innemu. A nadto, nie jest to tylko struktura ekonomiczna. To sposób organizowania ludzi, sposób myślenia, to pewien etos oraz - podzielane przez wszystkich uczestników - oczekiwania i nadzieje (na przykład nadzieja, że towar zakupiony będzie rzeczywiście dostarczony do nabywcy). Rynek stanowi więc zarówno rzeczywistość ekonomiczną, jak i strukturę psychospołeczną, i skutki jego istnienia wykraczają daleko poza gospodarkę.

Dzięki temu, że rynek systematycznie wiązał ze sobą miliardy ludzi, powstał świat, w którym nikt - żaden człowiek, żaden naród, żadna kultura - nie mógł kierować własnym losem niezależnie od innych. Zaczęło obowiązywać przekonanie, że włączenie się do rynku jest "postępowe", samowystarczalność świadczy natomiast o "zacofaniu". Rynek zrodził trywialny materializm oraz przeświadczenie, że ekonomia i motywacja ekonomiczna stanowią podstawowe siły w życiu człowieka. Upowszechnił się pogląd, że życie stanowi ciąg kolejnych transakcji umownych, a więzy międzyludzkie w społeczeństwie polegają na "kontraktach małżeńskich" lub różnych "umowach społecznych". W ten sposób marketyzacja ukształtowała myśli i wartości oraz sposób postępowania miliardów ludzi oraz nadała ton cywilizacji drugiej fali.

Trzeba było olbrzymich nakładów czasu, energii, kapitału i surowców oraz równie olbrzymiego rozwoju kultury, aby wytworzyć taką sytuację, że kupiec z Południowej Karoliny może prowadzić interesy z handlowcem z Korei Południowej, którego w życiu nie

widział na oczy, przy czym każdy z nich ma swoje liczydło lub komputer, każdy ma własną wizję rynku i własne oczekiwania związane z partnerem, każdy postępuje zgodnie z przewidywaniami, ponieważ obaj byli przez całe życie wdrażani w określone, uprzednio zaplanowane role i każdy stanowi część gigantycznego systemu globalnego obejmującego miliony, a nawet miliardy, innych ludzi.

Można by było nawet dowodzić, że zbudowanie tej misternej i rozległej sieci stosunków międzyludzkich oraz rozprzestrzenienie jej po całej planecie było najbardziej imponującym osiągnięciem cywilizacji drugiej fali, przy którym nawet spektakularny postęp techniczny wydaje się bez znaczenia. Tworzenie - cegielka po cegielce - tej socjokulturalnej i psychologicznej w swej istocie budowli, służącej do wymiany handlowej (zupełnie niezależnie od obfitości przepływających przez nią towarów i usług), można przyrównać do budowy piramid egipskich, rzymskich akweduktów, muru chińskiego i średniowiecznych katedr, razem wziętych i zwielokrotnionych po tysiącokroć.

Ta najbardziej monumentalna budowa, przerastająca wszystko, co stworzono w dziejach, jaką było ułożenie sieci przewodów i kanałów, w których płynie i pulsuje życie gospodarcze cywilizacji, zapewniła dynamizm wewnętrzny i siłę napędową cywilizacji drugiej fali. Zaiste, jeżeli o umierającej w tej chwili cywilizacji można powiedzieć, że miała w ogóle do spełnienia jakąś misję, to była nią marketyzacja świata.

Dziś misja ta została już spełniona niemal do końca.

Skończyła się bohaterska era budowania rynku - ustępując miejsca nowej fazie, w której już tylko została nam konserwacja, remonty i unowocześnianie naszego rurociągu. Niewątpliwie konieczne będzie zaprojektowanie od nowa pewnych ważnych odcinków tak, aby mogły sprostać ogromnie zwiększonemu przepływowi informacji. Cały ten system będzie coraz bardziej uzależniony od elektroniki, biologii i nowych operacji społecznych. To będzie niewątpliwie wymagało środków, wyobraźni i kapitału. Ale w porównaniu z wyczerpującym wysiłkiem, jakiego wymagał proces marketyzacji w epoce drugiej fali, program odnowy pochłonie daleko mniejszy ułamek ludzkiego czasu, energii, kapitału i wyobraźni. Będzie do tego potrzebne nie więcej, ale mniej urządzeń technicznych i mniej ludzi niż do budowy rynku. Jakkolwiek trudne i złożone okaże się zawrócenie z tej drogi, marketyzacja przestanie być centralną inwestycją naszej cywilizacji.

Trzecia fala stworzy więc pierwszą w dziejach cywilizację "ponadrynkową".

Ponadrynkowa, to nie znaczy cywilizacja wyzuta z sieci wymiany, obrócona z powrotem w małe, wyizolowane, całkowicie samowystarczalne społeczności, niezdolne lub zniechęcone do prowadzenia handlu. Nie oznacza to kroku wstecz. Terminem "ponadrynkowa" nazywam

cywilizację, która nadal potrzebuje rynku, ale której nie zżera już ustawiczna potrzeba budowania i powiększania budowli, dodawania nowych ogniw i łączenia ich w coraz misterniejszą i potężniejszą całość. Nazywam tak cywilizację zdolną do zajęcia się nowymi sprawami - a może to uczynić właśnie dlatego, że rynek już został stworzony.

Ale zupełnie tak samo, jak nikt, kto żył w XVI wieku, nie mógłby sobie wyobrazić, w jaki sposób rynek zmieni życie ludzkie w aspekcie technologii, polityki, religii, sztuki, życia społecznego, prawa małżeńskiego czy rozwoju osobowości - trudno już dzisiaj wyobrazić sobie dalekosiężne skutki kresu marketyzacji.

Skutki te jednak będą przenikać wszystkimi szczelinami i pęknięciami w życie naszych dzieci, jeżeli już nie w nasze własne. Za inwestycję, jaką jest budowa rynku, musieliśmy zapłacić. Nawet w czysto ekonomicznym sensie cena była ogromna. Przez ostatnie 300 lat nieustannie rosła wydajność pracy ludzkiej, a znaczny procent tej wydajności - obejmującej działania w obu sektorach - przeznaczano na inwestycję budowy rynku.

No, ale przecież budowa została zasadniczo ukończona; olbrzymie zasoby energii, kierowanej poprzednio na budowę wielkiego systemu handlu światowego, można teraz przeznaczyć na inne cele. Fakt ten będzie sam w sobie źródłem nie kończącego się łańcucha zmian cywilizacyjnych. Narodzą się nowe religie. Będą powstawać dzieła sztuki na niewyobrażalną dotychczas skalę. Nastąpi fantastyczny postęp w nauce. No i przede wszystkim powstaną nowe instytucje społeczne i polityczne.

Dziś chodzi o coś więcej niż kapitalizm czy socjalizm, a także o coś więcej niż energia, żywność, przeludnienie, kapitał, surowce czy praca; idzie o rolę rynku w naszym życiu i o przyszłość samej cywilizacji.

Taki jest, w swej istocie, główny sens awansu prosumenta.

Zmiana przekształcająca najgłębszą strukturę naszej gospodarki stanowi część tej samej fali powiązanych z sobą wzajemnie przeobrażeń, ogarniających współczesną bazę energetyczną, technologię, system informacyjny, rodzinę oraz instytucje gospodarcze. Te wszystkie zmiany wiążą się z kolei ściśle z tym, w jaki sposób pojmujemy świat. A także w tej sferze ludzkość przeżywa historyczny przełom. Światopogląd cywilizacji przemysłowej - owa osobliwa "industrealność" - ulega dziś prawdziwie rewolucyjnemu przeobrażeniu.

Rozdział XVIII

W WIRZE IDEI

Nigdy jeszcze ludzie w tylu krajach świata - nawet wykształceni i zdawałoby się wyrafinowani pod względem intelektualnym - tak bezradnie nie szamotali się w wirze sprzecznych, wywołujących dezorientację, kakofonicznych idei. Tyle jest kolidujących z sobą wizji, że chwieją się w posadach wszystkie nasze dotychczasowe wyobrażenia o świecie.

Każdy dzień przynosi jakąś nową modę, odkrycie naukowe, religię, nowy ruch lub manifest. Naszą świadomość bezustannie przenikają krzyżujące się prądy: raz jest to kult natury, innym razem parapsychologia, to znów medycyna holistyczna albo socjobiologia, anarchizm, strukturalizm, neomarksizm, nowa fizyka, mistycyzm Wschodu, technofilia, technofobia i tysiące innych - a każda z tych mód ma swych uczonych kapłanów lub dziesięciominutowych guru.

Obserwujemy coraz ostrzejsze ataki na oficjalnie uznaną naukę, przy jednoczesnym nagłym ożywieniu skrajnie konserwatywnych religii. Ludzie rozpaczliwie czegoś szukają, czegokolwiek, w co mogliby wierzyć.

Dezorientację tę trzeba w dużym stopniu przypisać nasilającej się wojnie kulturowej - zderzeniu wyłaniającej się kultury trzeciej fali z obwarowanymi ideami i założeniami społeczeństwa przemysłowego. Właśnie bowiem teraz, gdy druga fala wyparła tradycyjne poglądy i upowszechniła system przekonań, który nazwałem industrealnością, pierwsze sygnały filozoficznej rewolty zaczynają podważać założenia panujące przez ostatnie 300 lat. Naczelne idee ery przemysłowej dyskredytuje się, kwestionuje, odrzuca lub przeklasyfikowuje, tworząc teorie bardziej przekonujące i o wiele wszechstronnejsze od poprzednich.

Zasadnicze założenia cywilizacji drugiej fali zdobywały, nie bez gorzkiej walki, akceptację w ciągu minionych trzystu lat. W nauce, oświacie, religii, a także w innych dziedzinach "postępowi" myśliciele walczyli przeciwko "wstecznikom", którzy reprezentowali i bronili społeczeństw rolniczych. Dziś, gdy zaczyna się zarysowywać kultura trzeciej fali, obrońcy industrializmu zostali przyparci do muru.

NOWY OBRAZ NATURY

To zderzenie idei widać najwyraźniej w zmieniającym się stosunku człowieka do przyrody.

W ostatnim dziesięcioleciu narodził się światowy ruch ochrony środowiska, będący

odpowiedzią na szereg faktów groźnych dla ziemskiej biosfery. Ruch ten podjął walkę z zanieczyszczaniem naturalnego środowiska i z zatruwaniem żywności, zaczął również krytykować reaktory jądrowe, autostrady i lakier do włosów w aerozolu. On też zmusił ludzi do przemyślenia na nowo ich uzależnienia od przyrody. W efekcie przeżył się już obraz człowieka zmagającego się w krwawej walce z przyrodą i uczymy się teraz patrzeć na przyrodę zupełnie inaczej, kładąc nacisk na symbiozę i harmonię między ludźmi a Ziemią. Uwolniliśmy się od uczucia wrogości wobec natury.

Podjęto tysiące badań naukowych mających na celu zrozumienie zależności środowiskowych po to, aby złagodzić konsekwencje działań człowieka lub ukierunkować je w konstruktywny sposób. Zaczęliśmy dopiero doceniać złożoność i dynamizm tych zależności i na razie uczymy się patrzeć na samo społeczeństwo z punktu widzenia ciągłości obiegu, odnawialności i wytrzymałości systemów naturalnych.

To wszystko znajduje odzwierciedlenie w zmianie potocznego stosunku ludzi do przyrody. Dowody zwiększonego, choć często romantycznego, poważania dla natury przejawiają się w badaniach opinii publicznej, w popularnych przebojach, w reklamach telewizyjnych i w treści kazań. Mieszkańcy miast masowo tęsknią do wsi, co Urban Land Institute (Instytut Terenów Miejskich) odnotowuje w postaci znacznego odpływu ludności miejskiej na wieś. W ostatnich latach wyraźnie ożywiło się zainteresowanie naturalnym pożywieniem i naturalnymi porodami, karmieniem piersią, biorytmami i pielęgnacją ciała. Nieufność do techniki jest tak powszechna, że nawet najzagorzalsi zwolennicy jak najwyższego dochodu narodowego brutto za wszelką cenę popierają - bodaj werbalnie - ideę, według której przyrodę należy chronić, a nie niszczyć. Zgadzają się z tym, że nie wolno nam lekceważyć szkodliwych skutków ubocznych, jakie dla przyrody wynikają z postępu technicznego; że skutki te trzeba przewidywać i starać się im skutecznie przeciwdziałać.

Ponieważ zwiększył się nasz potencjał szkodliwości, uważamy dziś Ziemię za znacznie delikatniejszą, niż się wydawało cywilizacji drugiej fali. Jednocześnie nasza planeta jawi się nam jako coraz mniejszy punkcik we Wszechświecie, który z każdą chwilą rozszerza się i komplikuje coraz bardziej.

Trzecia fala zjawiała się mniej więcej przed 25 laty, toteż nauka miała dość czasu na stworzenie arsenału nowych narzędzi do badania niedosiężnych dotąd obszarów natury. Z kolei te lasery, rakiety, akceleratory, plazmy, fantastyczne możliwości fotografii, komputery i urządzenia z wiązkami przeciwbieżnymi sprawiają, że pęka i rozpada się całe dotychczasowe rozumienie otaczającego nas świata.

Poznajemy teraz zjawiska, które są większe, mniejsze lub szybsze o całe rzędy wielkości

niż cokolwiek, co człowiek zdołał poznać w czasach drugiej fali. Potrafimy dziś mierzyć wielkości rzędu 1/1000 000 000 000 000 centymetra, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że otaczający nas Wszechświat kończy się gdzieś w odległości przynajmniej 100 000 000 000 000 000 000 000 000 mil od ziemi. Możemy też badać zjawiska tak migawkowe, że czas ich trwania nie przekracza 1/10 000 000 000 000 000 000 000 części sekundy. Astronomowie i kosmologowie tymczasem mówią nam, że wszechświat ma blisko 20 000 000 000 lat. Sama skala dających się zbadać zjawisk przyrody obróciła wniwecz najśmielsze nawet koncepcje dnia wczorajszego.

Poza tym, jak twierdzą niektórzy, w tych wirujących przestworzach Ziemia może wcale nie być jedyną sferą zamieszkaną przez żywe istoty. Jak powiada astronom Otto Struve: "Istnieje olbrzymia liczba gwiazd, które muszą posiadać swe własne planety; przypuszczenia wielu biologów, że życie stanowi nieodrodną właściwość pewnych typów złożonych cząstek lub zbiorów cząstek; występująca w całym wszechświecie jednorodność pierwiastków chemicznych; światło i ciepło wydzielane przez gwiazdy-słońca, a także występowanie wody nie tylko na Ziemi, ale również na Marsie i Wenus - wszystko to każe nam zrewidować całe nasze myślenie" i brać jednak pod uwagę możliwość istnienia życia poza Ziemią.

Nie muszą to być koniecznie małe zielone humanoidy. Niekoniecznie też ma to świadczyć (albo nie) o istnieniu UFO. Lecz sama sugestia, iż życie istnieje nie tylko na Ziemi, jeszcze bardziej zmienia nasz stosunek do przyrody i do miejsca, jakie człowiek w niej zajmuje. Od 1960 roku uczeni nasłuchują, z nadzieją, że z ciemności wszechświata wychwycą sygnały wysyłane przez jakieś inne inteligentne istoty. W Kongresie Stanów Zjednoczonych wysłuchano relacji na temat możliwości istnienia inteligentnego życia poza Ziemią. A pojazd kosmiczny Pioneer 10 zabrał ze sobą w przestrzeń międzygwiazdną obrazkowe pozdrowienia od ludzi dla istot pozaziemskich.

Wraz z napływem trzeciej fali nasza własna planeta jawi się nam o wiele mniejsza i bardziej krucha. Człowiek nie zajmuje już pierwszoplanowej pozycji we Wszechświecie. Nawet jeżeli jest tylko jedna szansa na tysiąc, że nie jesteśmy w świecie sami, to starczy, by wywołać w nas wahanie.

Nasze wyobrażenie przyrody nie jest już takie, jakie było dawniej.

PROJEKTOWANIE EWOLUCJI

Nie jest takie jak dawniej nasze wyobrażenie ewolucji, ani zresztą sama ewolucja.

Biologowie, archeologowie i antropologowie, starając się wyjaśnić tajemnice ewolucji, dochodzą do jednakowego wniosku - że świat jest większy i bardziej skomplikowany niż

sobie wyobrażano i że prawa uznawane niegdyś za uniwersalne odnoszą się w istocie do przypadków szczególnych.

Genetyk Francois Jacob, laureat Nagrody Nobla, powiada: "Od czasów Darwina biologowie stopniowo opracowali [...] schemat mechanizmu ewolucji, zwanego doborem naturalnym. Na tej podstawie często próbowano sporządzić obraz wszelkiej ewolucji - kosmicznej, chemicznej, kulturowej, ideologicznej, społecznej - tak jakby rządził nimi taki sam mechanizm doboru. To rozumowanie okazywało się bezskuteczne, ponieważ na każdej płaszczyźnie występują inne reguły."

Nawet na płaszczyźnie biologicznej budzą wątpliwości reguły niegdyś uważane za uniwersalne. Naukowcy muszą więc postawić sobie pytanie, czy cała ewolucja biologiczna stanowi rezultat mutacji i doboru naturalnego, czy też - na poziomie molekularnym - polega ona na akumulacji różnicowań, prowadzącej do "dryfu genetycznego" bez oddziaływania darwinowskiej selekcji naturalnej, jak mówi dr Motoo Kimura z Krajowego instytutu Genetyki w Japonii, ewolucja na poziomie molekularnym okazuje się "zupełnie nie do pogodzenia z neodarwinizmem".

Chwieją się również inne założenia, nigdy dotąd nie kwestionowane. Biologowie stwierdzili, że eukarioty (ludzie oraz większość innych form życia) powstały ostatecznie z prostszych komórek zwanych prokariotami (do których zaliczamy między innymi bakterie i algi). Z najnowszych badań wynika wszelako niepokojące przypuszczenie, że prostsze formy mogą pochodzić od form bardziej złożonych, a to stawia pod znakiem zapytania pogląd poprzedni.

Panuje też przekonanie, że ewolucja sprzyja przystosowaniu, które z kolei lepiej służy przetrwaniu. Tymczasem natrafiamy na uderzające przykłady takich zjawisk ewolucyjnych, w których najwidoczniej dalekosiężne korzyści osiągnane są kosztem pewnych przejściowych niedogodności. Czemu zatem sprzyja ewolucja?

I oto w najmniej spodziewanym miejscu, bo w ogrodzie zoologicznym im. Granta w Atlancie, wybucha sensacja: na świat przyszła nieznana hybryda genetyczna, która powstała w wyniku przypadkowego skojarzenia się ze sobą dwóch małp z różnych gatunków o zupełnie odmiennych zestawach chromosomów. Naukowcy nie wiedzą jeszcze, czy ta hybryda będzie zdolna do rozmnażania, ale jej dziwaczna natura genetyczna potwierdza koncepcję, według której ewolucja może równie dobrze postępować nagłymi skokami, jak i przez powolne narastanie niewielkich zmian.

I rzeczywiście, zamiast patrzeć na ewolucję jak na łagodny proces, wielu współczesnych badaczy życia i archeologów studiuje "teorię katastrof" w celu wyjaśnienia "przerw" i

"skoków" występujących w rozmaitych odgałęzieniach ciągu ewolucyjnego. Inni znów studiują drobne zmiany, które - dzięki sprzężeniom zwrotnym - mogły ulec spotęgowaniu i przyjąć postać przemian strukturalnych. Zagorzałe kontrowersje wokół każdej z tych kwestii powodują podziały w środowisku naukowym.

Jednakże wszelkie te kontrowersje przyćmił jeden przełomowy fakt.

Pewnego dnia w 1953 roku w Cambridge w Anglii młody biolog James Watson siedział sobie w barze Orlim, gdy raptem wpadł tam jego kolega Francis Crick i ogłosił w niebywałym podnieceniu "wszem wobec, że właśnie obaj odkryli tajemnicę życia". Była to prawda - Watson i Crick poznali strukturę DNA.

Jeszcze przed 1957 rokiem, kiedy już były wyczuwalne pierwsze drgnienia trzeciej fali, dr Arthur Kornberg dowiedział się, w jaki sposób DNA się odtwarza. Od tamtego, czasu popularny wykład przeznaczony dla laików głosi:

"Kod DNA został złamany (...) zbadano, w jaki sposób DNA przekazuje instrukcje komórce (...) W celu określenia funkcji genetycznej dokonano analizy chromosomów (...) Stworzono komórkę na drodze syntezy (...) Połączono komórki pochodzące z dwóch różnych gatunków (...) Wydzielono czyste geny ludzkie (...) Określono ich cechy i strukturę (...) Zsyntetyzowano gen (...) Zmieniono dziedziczność komórki (...)". Dziś genetycy w laboratoriach całego świata potrafią stworzyć zupełnie nowe formy życia. Wyprzedzili oni ewolucję.

Myśliciele drugiej fali pojmowali gatunek ludzki jako szczytowe osiągnięcie długiego procesu ewolucji; myśliciele trzeciej fali muszą teraz zdać sobie sprawę, że my sami mamy się stać projektantami ewolucji. Ewolucja nie będzie już nigdy taka jak dawniej.

Podobnie jak cała koncepcja przyrody, również pojęcie ewolucji ulega drastycznej rekonceptualizacji.

DRZEWO POSTĘPU

Nic dziwnego, że wraz ze zmianą koncepcji drugiej fali dotyczących zarówno przyrody, jak i ewolucji, przewartościowaniu ulega również charakterystyczna dla drugiej fali idea postępu. Epokę przemysłową charakteryzował, jak można już było zauważyć, łatwy optymizm, upatrujący w każdym przełomie naukowym lub w "nowym, ulepszonym produkcie" dowodu nieuchronnego postępu, przybliżającego nas ku doskonałości ludzkiego rodu. Od połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to trzecia fala zaczęła napierać na cywilizację drugiej fali, niewielu ideom zadano równie dotkliwe ciosy, jak właśnie temu radosnemu credo.

"Bitnicy" z lat pięćdziesiątych i hippisi z sześćdziesiątych sprawili, że głównym motywem kulturowym stało się nie optymistyczne, lecz pesymistyczne nastawienie do kondycji człowieka. Ruchy te przyczyniły się do tego, że odruch optymizmu ustąpił miejsca równie żywiołowemu odruchowi rozpacz.

Wkrótce pesymizm stał się bardzo modny. Hollywoodzkie filmy z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zaczęły na przykład gloryfikować już nie mocne typy z wystającą szczęką z lat trzydziestych i czterdziestych, lecz różnych wyalienowanych antybohaterów - bezideowych buntowników, szykownych snajperów, pełnych wdzięku handlarzy narkotyków, pograżonych w neurastenicznym niepokojem motocyklistów i twardych, ociążałych umysłowo (acz uduchowionych) chłystków. Życie było grą, w której nie ma zwycięzców.

Również beletrystyka, dramat i sztuka w wielu krajach drugiej fali zionęły cmentarną beznadzieją. Już na początku lat pięćdziesiątych Camus sformułował tematy, które następnie eksploatowali liczni pisarze. Pewien publicysta brytyjski podsumował to następująco: "Człowiek jest omylny, teorie polityczne są względne, automatyczny postęp to ułuda." Nawet fantastyka naukowa, niegdyś pełna utopijnych przygód, stała się gorzka i pesymistyczna; w gatunku tym namnożyło się bez liku kiepskich imitacji Huxleya i Orwella.

Techniki nie przedstawiano już wcale jako motoru postępu; coraz częściej jawiła się ona jako moloch rujnujący zarówno wolność człowieka, jak i fizyczne środowisko. Dla wielu obrońców środowiska słowo "postęp" zaczęło brzmieć nieprzyzwoicie. Księgarnie zapełniały się grubymi tomami noszącymi takie między innymi tytuły: *The Stalled Society* (Społeczeństwo w martwym punkcie), *The Coming Dark Age* (Nadchodząca mroczna era), *In Danger of Progress* (Zagrożeni postępow) lub też *The Death of Progress* (Śmierć postępu).

Kiedy społeczeństwo drugiej fali wkroczyło w lata siedemdziesiąte, raport Klubu Rzymskiego o "granicach rozwoju", rysujący wizję zagłady świata przemysłowego, nadał reszcie dekady posępny ton. Przewroty, bezrobocie i inflacja, którą zaostrzyło jeszcze embargo naftowe w 1973 roku, przyczyniły się dodatkowo do narastania powszechnego pesymizmu i odtrącania idei nieuchronnego postępu ludzkości. Henry Kissinger mówił w duchu spenglerowskim o upadku Zachodu, przeszywając dreszczem lęku niejednego słuchacza.

Czy taka rozpacz była lub jest uzasadniona, niech każdy czytelnik oceni sam. Jasne jest jednak, że - w miarę jak zbliżał się kres cywilizacji drugiej fali - kolejny filar industrialności, czyli pojęcie nieuchronnego, prostoliniowego postępu, znajdowało coraz mniej zwolenników.

Dziś świat zaczyna wyznawać przekonanie, że miarą postępu nie może być sama tylko technologia ani materialny standard życia; że społeczeństwo upadłe pod względem moralnym,

estetycznym, politycznym lub środowiskowym wcale nie jest postępowe, choćby nawet było najbogatsze lub najbardziej zaawansowane pod względem technologicznym. Słowem, przechodzimy do o wiele szerszego rozumienia postępu - takiego, którego nie sposób osiągnąć automatycznie ani zdefiniować jedynie za pomocą kryteriów materialnych.

Mniej też jesteśmy skłonni do tego, by myśleć, że społeczeństwa posuwają się po tym samym torze; wiemy już, że nie podążają one automatycznie na trasie "postępu" od jednego przystanku kulturowego do następnego. Może istnieć wiele odgałęzień, niejako bocznych torów, nie zaś jeden tylko kierunek, i społeczeństwa mogą osiągać wszechstronny rozwój w najrozmaitszy sposób.

Zaczynamy myśleć o postępie, jak o rozkwicie drzewa z wieloma gałęziami wyrastającymi w przyszłość, przy czym miarą tego postępu jest właśnie różnorodność i bogactwo kultur tworzonych przez ludzi. W tym świetle na nasze dzisiejsze przechodzenie w kierunku świata bardziej zróżnicowanego i odmasowionego można patrzeć jak na ważny skok naprzód - analogiczny do powszechnej w ewolucji biologicznej tendencji do zróżnicowania i coraz większej złożoności.

Cokolwiek się wydarzy, nie wydaje się prawdopodobne, by kultura kiedykolwiek wróciła znów do tego naiwnego, jednotorowego rozumienia postępu, jaki sobie szczególnie upodobała Pollyanna i jaki cechował i inspirował epokę drugiej fali.

Minione dziesięciolecia były zatem świadkami koniecznej rekonceptualizacji przyrody, ewolucji oraz pojęcia postępu. Ale przecież tę koncepcję były z kolei oparte na jeszcze bardziej podstawowych ideach - na założeniach dotyczących czasu, przestrzeni, materii i przyczynowości. I oto pod wpływem trzeciej fali erodują nawet i te założenia - ów lepik intelektualny, który stanowił spoiwo całej cywilizacji drugiej fali.

PRZYSZŁOŚĆ CZASU

Każda rodząca się cywilizacją wnosi z sobą nie tylko zmiany w sposobie traktowania czasu przez ludzi w ich życiu codziennym, ale również wprowadza zmiany w ich mentalnym rozumieniu czasu. Trzecia fala kreśli na nowo nasze widzenie czasu.

Poczynając od Newtona, cywilizacja drugiej fali uważała, że czas biegnie wzdłuż linii prostej od mglistej przeszłości ku najodleglejszej przyszłości. Wyobrażano sobie, że czas jest absolutny, jednakowy w całym wszechświecie i niezależny od materii oraz przestrzeni. Zakładano, że każdy moment, każdy ułamek czasu jest taki sam jak następny.

Dziś natomiast, jak pisze astrofizyk i popularyzator nauki, John Gribbin, "Zrównoważeni uczeni o nienagannej opinii akademickiej i latach doświadczeń badawczych spokojnie nas

informują, że (...) czas wcale nie płynie nieubłaganie naprzód z niezmienną prędkością, którą wskazują nasze zegary i kalendarze; natura czasu pozwala go wyginać i zakrzywiać, przy czym efekt końcowy różni się w zależności od tego, z jakiego miejsca dokonuje się pomiaru. W najbardziej skrajnym przypadku superzapadnięcia grawitacyjne, czyli tak zwane czarne dziury - mogą całkowicie zanegować naturę czasu, każąc w pobliżu siebie trwać w absolutnym bezruchu."

Jeszcze nim zaczął się wiek XX, Einstein udowodnił, że czas można kurczyć i rozciągać, a także obalił pogląd, że czas jest absolutny. On również pierwszy posłużył się następującym, dziś już klasycznym, przykładem:

Człowiek stojący przy torach kolejowych widzi, jak w tej samej chwili rozbłyskują dwa pioruny - jeden gdzieś daleko, na północnym końcu linii, drugi - na południowym. Obserwator znajduje się dokładnie w środku między nimi. Drugi człowiek jedzie pociągiem pędzącym z olbrzymią prędkością po tym torze w kierunku północnym. W chwili, gdy mija on człowieka stojącego przy torach, także spostrzegą dwie błyskawice. Lecz dla niego pioruny nie uderzają jednocześnie. Ponieważ pociąg oddala go od jednego, a przybliża do drugiego błysku pioruna, światło jednej błyskawicy dociera do obserwatora wcześniej niż światło drugiej. Obserwatorowi z pociągu wydaje się, że najpierw uderzył piorun na końcu północnym, a po nim dopiero piorun na południowym końcu linii kolejowej.

Chociaż odległości, z jakimi mamy do czynienia w codziennym życiu, są tak małe, a prędkość światła tak wielka, że różnica byłaby niedostrzegalna, przykład ten uwypukla hipotezę Einsteina: chronologiczny porządek zdarzeń, czyli kolejność następowania faktów w czasie, zależy od prędkości ruchu obserwatora. Czas nie jest absolutny, lecz względny.

To już zupełnie nie ten sam czas, na którym oparła się klasyczna fizyka i w ogóle cała indusrealność. Obie one uznawały za rzecz naturalną wszelkie "przedtem" i "potem"; pojęcia te miały dla nich ściśle określony, jednoznaczny sens, niezależny od jakiegokolwiek obserwatora.

Dziś fizyka zarówno eksploduje, jak i imploduje. Jej adepci co dzień ogłaszają nowe hipotezy albo odkrycia; mogą to być nowe cząstki elementarne lub zjawiska astrofizyczne - od kwarków do kwazarów, które pociągają za sobą niesłychane konsekwencje, powodując niekiedy dodatkowe zmiany w naszym rozumieniu czasu.

Na jednym końcu skali mamy na przykład czarne dziury. Powodują one przerwy w przestworzach, wsysając w siebie wszystko, nawet samo światło, przez co zniekształcają - jeżeli nie wręcz obalają - prawa fizyki. Te mroczne wiry, jak się dowiadujemy, osiągają swój kres w formie dziwnych "osobliwości", pochłaniających energię i materię, które w ten sposób

po prostu znikają. Fizyk Roger Penrose założył nawet istnienie "dziur-pęcherzy" i "białych dziur", przez które znikająca energia i materia są wypluwane do innego wszechświata, jakkolwiek byśmy sobie go wyobrażali.

Przyjmuje się, że jedna chwila w pobliżu czarnej dziury równa się wielu ziemskim eonom. Toteż gdyby jakaś Misja Międzyplanetarna wysłała statek kosmiczny do zbadania czarnej dziury, moglibyśmy czekać milion lat na przybycie tam statku. Ale z powodu zniekształcenia grawitacyjnego w sąsiedztwie czarnej dziury, pomijając już efekty prędkości, zegar na statku kosmicznym wskazałby w tym czasie upływ zaledwie kilku minut lub sekund.

Opuśćmy bezmiar przestworzy i wejdźmy w świat mikroskopijnych cząsteczek i fal, a spotkamy tam równie zadziwiające zjawiska. Dr Gerald Feinberg z Uniwersytetu Columbia sformułował nawet hipotezę cząsteczek zwanych "tachyonami", które poruszają się szybciej od światła i dla których - według niektórych fizyków - czas biegnie wstecz.

"Mikroskopowe pojęcie czasu różni się bardzo od makroskopowego" - mówi brytyjski fizyk, J. G. Taylor. Inny fizyk, Fritjof Capra, ujmuje to nieco prościej. Powiada on, że czas "płynie z różną prędkością w różnych częściach wszechświata". Nie można już więc nawet mówić o czasie w liczbie pojedynczej. Istnieją, jak się wydaje, jednocześnie różne i mnogie "czasy", funkcjonujące według różnych reguł w różnych częściach wszechświata lub wszechświatów, w których przebywamy. Wszystko to obala podstawy panującej w epoce drugiej fali koncepcji uniwersalnego czasu linearnego, nie przywracając bynajmniej w zamian archaicznych koncepcji czasu cyklicznego.

Tak więc dokładnie w tym samym momencie, w którym radykalnie przekształcamy nasze społeczne rozumienie czasu - na przykład przez wprowadzanie indywidualnych godzin pracy dla poszczególnych pracowników albo przez oddzielenie robotników od mechanicznego przenośnika czy innymi jeszcze sposobami, opisanymi szerzej w rozdziale XIV - jednocześnie formułujemy na nowo nasze teoretyczne wyobrażenie czasu. I chociaż te teoretyczne odkrycia nie wydają się mieć w tej chwili żadnego praktycznego zastosowania w życiu codziennym, to przecież tak samo myślano o pozornie spekulatywnym mazaniu kredą po tablicy wówczas, gdy powstawały wzory, które w końcu doprowadziły do rozbicia atomu.

WĘDRÓWKI W PRZESTRZENI

Wiele zmian w naszej koncepcji czasu powoduje również powstawanie luk w teoretycznym pojmowaniu przestrzeni, te dwa wymiary bowiem ściśle się z sobą splatają. Ale obraz przestrzeni zmieniamy też w bardziej bezpośredni sposób.

Zmieniamy na przykład przestrzeń, w której żyjemy, pracujemy i odpoczywamy. Na nasze

doznania związane z przestrzenią wpływa sposób, w jaki dostajemy się do pracy, to, jak daleko i jak często podróżujemy, oraz samo miejsce, w którym mieszkamy. A to wszystko ulega zmianie. Z nadejściem trzeciej fali wkraczamy właśnie w nową fazę w dziejach stosunku człowieka do przestrzeni.

Pierwsza fala - jak wiadomo - ogarniając świat, wniosła z sobą stałe osadnictwo wiejskie; odtąd ludzie żyli przeważnie przez całe życie w pobliżu miejsca swego urodzenia. Rolnictwo wprowadziło zasadę przywiązania do ziemi upowszechniło egzystencję przestrzennie "ciasną" i rozbudziło silne poczucie więzi lokalnej, tworząc mentalność wiejskiej wspólnoty.

Trzecia fala raczej rozprasza niż skupia ludność i przez to zmienia nasze doświadczenia związane z przestrzenią. Choć miliony ludzi wciąż napływają do wielkich miast w uprzemysławiających się ciągle częściach świata, to jednak w krajach wysoko rozwiniętych obserwujemy już wyraźne odwrócenie tego zjawiska. Z Tokio, Londynu, Zurychu, Glasgow i dziesiątków innych wielkich miast ubywa ludności, przybywa jej natomiast w średnich lub małych miasteczkach.

American Council of Life Insurance (Amerykańska Rada Ubezpieczeń na Życie) stwierdza między innymi: "Niektórzy eksperci w dziedzinie urbanizacji są zdania, iż wielkie miasto już się w USA przeżyło." Czasopismo "Fortuna" uważa, że "technologia transportu i komunikacji przecięła więzy, którymi wielkie korporacje były przywiązane do swych tradycyjnych siedzib w miastach. A w tygodniku "Business Week" jeden z artykułów opatrzone tytułem: "Perspektywa kraju, w którym nie ma w ogóle większych miast."

Rozproszenie ludności zmusi nas za jakiś czas do zmiany założeń i oczekiwań na temat przestrzeni - zarówno w rozumieniu prywatnym, jak i społecznym; zmieni też nasz stosunek do odległości przebywanych w drodze do pracy i z powrotem oraz do wielu innych spraw.

A przy tym wydają się, że oprócz tych zmian trzecia fala wprowadza nowe rozumienie świata, które ma silne zabarwienie lokalne, a jednocześnie - globalny, a nawet wręcz galaktyczny charakter. Na każdym kroku spotykamy się z zainteresowaniem lokalną "społecznością" i "sąsiedztwem", lokalną polityką i lokalnymi więziami między ludźmi, a jednocześnie bardzo wielu ludzi, których pochłaniają sprawy lokalne, angażuje się w problematykę o zasięgu ogólnoswiatowym i przejmując się głodem lub wojną w jakimś odległym o 10 tysięcy mil zakątku ziemi.

W miarę rozpowszechniania się nowoczesnych, sposobów komunikacji i przenoszenia pracy do wioski elektronicznej ta podwójna perspektywa zyska sobie jeszcze większą popularność i pomnoży szeregi ludzi, którzy będą stale przebywać bliżej domu, rzadziej zmieniać miejsce zamieszkania i częściej podróżować dla przyjemności, a nie w celach

służbowych, ale swe myśli i idee będą potrafili wysyłać na cały świat, a także w przestrzeń kosmiczną. Mentalność trzeciej fali łączy w sobie zainteresowanie tym, co blisko, i tym, co daleko.

Równie szybko przyswajamy sobie bardziej dynamiczne i relatywistyczne wyobrażenia przestrzeni. Mam w swoim gabinecie kilka dużych powiększeń zdjęć Nowego Jorku i okolicy robionych przez satelity i z samolotu U-2. Zdjęcia satelitarne przypominają fantastycznie piękne obrazy abstrakcyjne - z ciemnozielonym morzem i wyraźnym rysunkiem linii brzegowej. Zdjęcia z odrzutowca przedstawiają miasto w podczerwieni i z tak dokładnie widocznymi szczegółami, że widać na nich Metropolitan Museum, a nawet pojedyncze samoloty na lotnisku La Guardia. Spytałem kiedyś pracownika NASA, czy powiększając te zdjęcia z La Guardia jeszcze bardziej można by rzeczywiście dostrzec na samolotach paski albo symbole namalowane na skrzydłach. Ubawiony popatrzył na mnie i odpowiedział: "Zobaczy pan nawet nity."

Ale nie musimy już ograniczać się do drobiazgowych fotografii. Profesor Arthur H. Robinson, kartograf z Uniwersytetu stanowego Wisconsin, twierdzi, że przed końcem bieżącej dekady będziemy mogli za pomocą satelitów sporządzić żywą mapę - animowany obraz miasta lub kraju, na którym można będzie oglądać wszystko, co się tam dzieje.

Wówczas mapa przestanie być przedstawieniem statycznym, lecz będzie filmem, a właściwie rentgenowskim zapisem filmowym, bo pokazywać będzie nie tylko to, co znajduje się na powierzchni ziemi, ale odkryje naszym oczom - warstwa po warstwie - to wszystko, co jest pod powierzchnią, oraz to, co znajduje się ponad nią, na każdej wysokości. Mapa stanie się wrażliwym, nieustannie zmieniającym się obrazem terenu oraz relacji między tym terenem a ludźmi.

Tymczasem niektórzy kartografowie buntują się przeciwko konwencjonalnej mapie świata, jaka wisi w każdej klasie w szkołach drugiej fali. Od czasów rewolucji przemysłowej w powszechnym użyciu znajduje się mapa świata oparta na rzucie Mercatora. Wprawdzie ten typ mapy nadaje się idealnie do nawigacji oceanicznej, lecz skala i powierzchnia lądów są na niej bardzo zniekształcone. W podręcznym atlasie zawierającym mapy Mercatora możemy zobaczyć, że Skandynawia jest na nich większa od Indii, podczas gdy w rzeczywistości Indie są niemal trzykrotnie większe od Skandynawii.

Wśród kartografów rozgorzały kontrowersje na temat nowego rzutu, opracowanego przez niemieckiego historyka Arno Petersa, dzięki któremu powierzchnie lądów mają mieć na mapie właściwe proporcje wzajemne. Peters utrzymuje, że zniekształcenia na mapie Mercatora zwiększają pyszałkowatość narodów przemysłowych i utrudniają nam widzenie

świata nie uprzemysłowionego we właściwej perspektywie - zarówno politycznej, jak i kartograficznej.

Zdaniem Petersa "Kraje rozwijające się są oszukiwane co do ich powierzchni i znaczenia". Jego zaś mapa, dziwna dla nie nawykłego oka Europejczyka czy Amerykanina, ukazuje skurczoną Europę, spłaszczoną i zgniecioną Alaskę, Kanadę i Związek Radziecki, wydłużoną Amerykę Południową, Afrykę, Arabię tudzież Indie. 60 tysięcy egzemplarzy mapy Petersa rozproszony w krajach nieuprzemysłowionych niemiecka misja ewangelicka Weltmission oraz inne organizacje religijne.

Ze sporu o mapy wynika wniosek, że nie ma jakiejś jednej "słusznej" mapy, lecz są możliwe różne wyobrażenia przestrzeni, które służą różnym celom. W najbardziej dosłownym sensie nadejście trzeciej fali wnosi nowy sposób patrzenia na świat.

CAŁOŚCIOWOŚĆ I POŁOWICZNOŚĆ

Te głębokie zmiany w naszym widzeniu przyrody, ewolucji, postępu, czasu i przestrzeni zaczynają zbiegać się ze sobą akurat w chwili, gdy odchodzimy od kultury drugiej fali, gdzie podkreślano konieczność badania rzeczy we wzajemnej izolacji, i przechodzimy do kultury trzeciej fali, przywiązującej dużą wagę do kontekstów, zależności oraz całości zjawisk i spraw.

Na początku lat pięćdziesiątych, niemal dokładnie w tym samym czasie, kiedy biologowie rozwiązyali zagadkę kodu genetycznego, dla teoretyków i inżynierów komunikacji w laboratoriach koncernu Bell, dla specjalistów komputerowych z IBM, fizyków z Britain's Post Office Laboratory (laboratoria Poczty Brytyjskiej) oraz specjalistów z Le Centre National de la Recherche Scientifique (Krajowy Ośrodek Badań Naukowych) we Francji - również zaczął się okres intensywnych i fascynujących prac.

Prace te - będąc kontynuacją "badań operacyjnych" prowadzonych w czasie II wojny światowej, ale wychodząc daleko poza nie - zrodziły rewolucję automatyzacji i cały nowy rodzaj lub gatunek technologii, na którym opiera się produkcja fabryczna i organizacja biura trzeciej fali. Wraz z nową techniką i oprzyrządowaniem pojawił się nowy sposób myślenia. Głównym bowiem produktem rewolucji w automatyzacji było "ujęcie systemowe".

Podczas gdy kartezyjańscy myśliciele kładli nacisk na analizę elementów składowych, często tracąc z oczu szerszy kontekst, myśliciele systemowi podkreślali to, co jeden z pierwszych rzeczników teorii systemów, Simon Ramo, nazwał "całościowym, nie zaś fragmentarycznym, spojrzeniem na problemy". Kładąc nacisk na sprzężenia zwrotne między podsystemami i większymi całościami utworzonymi z tych mniejszych członów, myślenie

systemowe odgrywa poważną rolę kulturową od połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to po raz pierwszy wyszło poza laboratoria. Jego język i koncepcje przejęli socjologowie i psychologowie, filozofowie i analitycy polityki międzynarodowej, logicy i lingwiści, inżynierowie i administratorzy.

Nie tylko zresztą rzecznicy teorii systemów zachęcali w ciągu jednego czy dwóch ostatnich dziesięcioleci do bardziej całościowego patrzenia na problemy.

Sprzeciw wobec wąskiej, ścisłej specjalizacji poparły również kręgi zaangażowane w ruch ochrony środowiska przypadający na lata siedemdziesiąte, kiedy to ekologowie coraz częściej zwracali uwagę na swoistą "tkankę łączną" przyrody, na wzajemne związki między gatunkami oraz na całościowy charakter systemów ekologicznych.

"Ludzie, którym obce jest ujęcie ekologiczne, chcą przeważnie rozkładać rzeczy na poszczególne elementy i rozwiązywać problemy po kolei, każdy z osobna" - pisał Barry Lopez w publikacji *Environmental Action*. "Obrońcy środowiska skłaniają się natomiast do wręcz przeciwnego ujęcia (...) Instynktownie patrzą na całość, nie szukając jedynie rozwiązania poszczególnych jej części." Ujęcie ekologiczne i ujęcie systemowe częściowo się pokrywają. Łączy je też takie samo dążenie do syntezy i integracji wiedzy.

Tymczasem w uniwersytetach coraz częściej nawoływano do myślenia interdyscyplinarnego. Wprawdzie w większości uczelni wciąż jeszcze bariery międzywydziałowe hamują swobodny przepływ idei i utrudniają integrację informacji, to jednak coraz powszechniejsze hasła wzywające do prac interdyscyplinarnych lub wielodyscyplinarnych nabrały niemal rytualnej wymowy.

Te zmiany w życiu intelektualnym znalazły odbicie również w innych sferach kultury. Religie Wschodu przez długie lata nie znajdowały zbyt wielu wyznawców wśród europejskich warstw średnich, ale z chwilą, gdy społeczeństwo przemysłowe ogarnął faktyczny rozkład, tysiące młodych mieszkańców Zachodu jęły wysławiać hinduskich swami, tłoczyć się w Astrodome, by usłyszeć 16-letniego guru, otwierać hinduskie restauracje dla wegetarianów i tańczyć po Piątej Alei. Świat w ich pieśniach nie składał się już z kartezyjańskich cząstek: był teraz "jednością".

W sferze zdrowia psychicznego też zaszły zmiany; psychoterapeuci szukali sposobów leczenia "całej osoby" za pomocą tak zwanej terapii *Gestalt*. W całych Stanach Zjednoczonych mnożyły się coraz to nowe instytuty opierające się na terapii *Gestalt*. Jak twierdzi psychiatra Frederick S. Perls, celem tej działalności było "zwiększenie ludzkich możliwości przez proces połączenia zmysłowej świadomości danego człowieka, jego percepcji i stosunków ze światem zewnętrznym".

W medycynie pojawił się ruch "zdrowia holistycznego", oparty na przekonaniu, że stan zdrowia człowieka zależy od jego fizycznej, duchowej i umysłowej integracji. Ruch ten - będący mieszanką szarlatanerii i poważnych innowacji medycznych - nabrał niesłychanego znaczenia pod koniec lat siedemdziesiątych.

"Kilka lat temu - pisze "Science" - byłoby nie do pomyślenia, aby rząd federalny udzielił swego poparcia konferencji na temat ochrony zdrowia, poświęconej takim zagadnieniom, jak cudowne uzdrawianie, irydologia, akupunktura, medytacja buddyjska i elektromedycyna." Od tamtej pory nastąpiła "prawdziwa eksplozja zainteresowań wszelkimi możliwymi metodami i systemami leczenia noszącymi wspólną nazwę zdrowia holistycznego".

Przy tak ogromnym ożywieniu działalności na tylu różnych płaszczyznach jednocześnie, nie powinno dziwić, że termin "całościowość" lub "holizm" wszedł do naszego codziennego słownictwa. Dziś słyszymy te słowa niemal na każdym kroku. Przedstawiciel Banku Światowego nawołuje do "holistycznego rozumienia (...) budownictwa miejskiego". Grupa badawczo-naukowa w Kongresie Stanów Zjednoczonych domaga się dalekosiężnych "holistycznych" studiów. Ekspert w dziedzinie programów szkolnych zaleca zastosowanie "holistycznego czytania i rachowania" w podstawowym nauczaniu pisania. A salon piękności w Beverly Hills proponuje "holistyczne ćwiczenia gimnastyczne".

Każdy z tych ruchów i prądów kulturowych jest odmienny, żadna z mód niepodobna do innych. Ale łączy je wyraźnie widoczny wspólny element. Wszystkie podważają założenie, jakoby można było zrozumieć całość na drodze badania poszczególnych części z osobna. Myśl przewodnią tych ruchów i mód podsumował filozof Ervin Laszlo, jeden z czołowych teoretyków systemowych, który powiedział między innymi: "Stanowimy część systemu przyrody, polegającego na wzajemnych powiązaniach między elementami i jeżeli jacyś wtajemniczeni «generalisci» nie zdołają sformułować systemowych teorii dotyczących prawidłowości rządzących tymi wzajemnymi powiązaniem, nasze krótkowzroczne przedsięwzięcia i ograniczona zdolność sterowania przyrodą mogą nas doprowadzić do wyniszczenia i samozagłady."

To zwalczanie fragmentaryczności, częściowości i ujęcia analitycznego rozgorzało tak bardzo, że w istocie wielu fanatycznych "holistów" w uniesieniu zapomina w ogóle o częściach, goniąc za trudną do uchwycenia całością. Efektem nie jest wcale ujęcie całościowe, lecz tylko inny rodzaj fragmentaryczności. Ich całościowość to połowiczność.

Rozważniejsi krytycy próbują jednak zrównoważyć analityczne nawyki i umiejętności, jakie wykształciła druga fala, kładąc większy nacisk na syntezę. Takie ujęcie chyba najjaśniej wyraził ekolog Eugene P. Odum, który zaleca swym kolegom łączyć całościowość z

redukcjonizmem, patrzeć jednocześnie na całe systemy i na części, z których się one składają. "Kiedy poszczególne elementy łączą się, by utworzyć większe funkcjonalne całości - stwierdził, gdy on i jego sławniejszy brat Howard wspólnie zdobyli nagrodę francuskiego Instytutu Życia - pojawiają się nowe właściwości, które nie występują lub są niewidoczne na niższym poziomie zorganizowania (...) Nie chcę przez to powiedzieć, że odchodzimy od nauki redukcjonistycznej, wiele bowiem dobrego wynikło dla ludzkości z tego podejścia; nadszedł jednak czas, by zająć się również studiami nad systemami o wielkiej skali integracji."

W sumie, teoria systemów, ekologia i generalny nacisk na myślenie całościowe - podobnie jak zmieniające się koncepcje czasu i przestrzeni - stanowią część ataku kulturowego na przesłanki intelektualne cywilizacji drugiej fali. Atak ten znajduje jednak najsilniejszy wyraz w powstawaniu nowego poglądu na kwestię, dlaczego coś się dzieje tak, a nie inaczej, czyli w narodzinach nowej przyczynowości.

KOSMICZNA SALA GIER

Cywilizacja drugiej fali dała nam wygodne przeświadczenie, że poznaliśmy (lub przynajmniej możemy poznać) przyczynę zachodzących zdarzeń i zjawisk. Głosiła ona, że każde zjawisko zajmuje jedyne, możliwe do określenia, miejsce w przestrzeni i czasie. Głosiła też, że te same warunki zawsze wywołują te same efekty. Głosiła jeszcze, że cały wszechświat składa się jak gdyby z kijów i kul bilardowych - czyli z przyczyn i skutków.

Ten mechanistyczny światopogląd był i nadal jest ogromnie przydatny. Pozwala nam leczyć choroby, budować drapacze chmur, konstruować pomysłowe maszyny i tworzyć olbrzymie organizacje. Aliści, choć tak zgrabnie tłumaczy zjawiska funkcjonujące na zasadzie prostych mechanizmów, okazuje się on o wiele mniej skuteczny przy próbie wyjaśnienia takich zjawisk, jak wzrost i rozwój, podupadanie i rozkład, nagłe przełomy prowadzące do zupełnie nowych stopni złożoności czy wielkie przemiany, które raptem zamierają, lub na odwrót - mało ważne, niekiedy przypadkowe zdarzenia, które czasem rozwijają się przybierając postać potężnych, wybuchowych sił.

Dziś Newtonowski stół bilardowy poszedł w kąć kosmicznej sali gier. Mechanistyczną przyczynowość traktuje się jako szczególny przypadek odnoszący się do niektórych, ale nie do wszystkich zjawisk. Na całym świecie uczeni próbują stworzyć nowy pogląd na zmianę i przyczynowość, bliższy naszym, szybko zmieniającym się przekonaniom na temat przyrody, ewolucji i postępu; na temat czasu, przestrzeni i materii.

Urodzony w Japonii epistemolog Magoroh Maruyama, francuski socjolog Edgar Morin,

teoretycy w dziedzinie informatyki - Stafford Beer i Henri Laborit, oraz wielu innych uczonych, próbują wytłumaczyć, w jaki sposób przyczynowość funkcjonuje w systemach niemechanicznych, które żyją, umierają, rozwijają się i podlegają zarówno ewolucji, jak i rewolucji. Belgijski laureat Nagrody Nobla, Ilya Prigogine, jest twórcą niezwykle syntetyzującej koncepcji porządku i chaosu, przypadku i konieczności oraz tego, w jaki sposób sprawy te wiążą się z przyczynowością.

Na powstającą przyczynowość trzeciej fali składa się w pewnej mierze główna koncepcja teorii systemów, mianowicie idea sprzężenia zwrotnego. Klasycznym przykładem służącym do zobrazowania tego pojęcia jest domowy termostat, który utrzymuje w pokoju stale tę samą temperaturę. Termostat włącza piec i następnie śledzi wzrost temperatury, jaki wskutek tego nastąpił. Gdy pokój dostatecznie się ogrzeje, termostat powoduje wyłączenie pieca. Kiedy temperatura spadnie, termostat reaguje na zmianę w pomieszczeniu ponownie włączając piec.

Na tym przykładzie widzimy proces polegający na sprzężeniu zwrotnym, który uniemożliwia naruszenie równowagi - powstrzymuje on zachodzącą zmianę w momencie, gdy ta zagraża przekroczeniem pewnego ustalonego poziomu. Proces ten, zwany "ujemnym sprzężeniem zwrotnym", pozwala na utrzymanie stabilności.

Gdy ujemne sprzężenie zwrotne zostało zdefiniowane i zbadane przez teoretyków informatyki i myślicieli systemowych pod koniec lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych, naukowcy zaczęli szukać przykładów i analogii tego zjawiska. Z rosnącym podnieceniem udało im się odszukać podobne, chroniące stabilność systemy we wszystkich dziedzinach życia, od fizjologii począwszy (gdzie przykładem są procesy pozwalające ciału utrzymać stałą temperaturę), a na polityce skończywszy (gdzie z kolei przykładem będzie utrącanie przez "establishment" każdego dysydenta, który przekroczy dopuszczalne granice). Ujemne sprzężenie zwrotne zda się działać wszędzie wokół nas, powodując, że zjawiska i rzeczy zachowują swą równowagę lub stabilność.

Jednak przed końcem lat sześćdziesiątych krytycy, w rodzaju profesora Maruyamy, zaczęli mówić, że zbyt wiele uwagi przywiązuje się do stabilności, natomiast za mało do zmian. Maruyama stwierdził, że bardziej potrzebne są badania na temat "dodatniego sprzężenia zwrotnego", czyli na temat procesów, które nie tłumią zmian, lecz je potęgują; które nie utrzymują stabilności, lecz zagrażają jej, niekiedy nawet przełamując zastany porządek rzeczy. Maruyama podkreślał, że dodatnie sprzężenie zwrotne może wybrać drobne odchylenie lub "impuls" w danym systemie i spotęgować go, nadając mu rozmiary gigantycznego wstrząsu, który może zagrozić trwałości całej struktury.

Pierwszy rodzaj sprzężenia zwrotnego pomniejszał zmiany, czyli miał charakter "ujemny";

teraz zaś zwrócono uwagę na kategorię procesów, które potęgowały zmiany, czyli niejako miały charakter "dodatni"; oba rodzaje trzeba traktować jednakowo poważnie. Dzięki dodatnim sprzężeniom zwrotnym można lepiej zrozumieć przyczynowość w wielu poprzednio niezrozumiałych procesach.

Ponieważ dodatnie sprzężenie zwrotne niweczy stabilność i pracuje niejako samo na siebie, pozwala wyjaśnić zakłęte kręgi - zarówno zresztą złe, jak i dobre. Znowu wyobraźmy sobie termostat, tylko z odwrotnie działającym czujnikiem czyli mechanizmem wyłącznika. Za każdym razem, gdy pokój się ogrzeje, termostat miał wyłączać piec, będzie go włączać - powodując, że temperatura będzie wciąż rosła osiągając coraz wyższy poziom. Albo weźmy dla odmiany grę "Monopol" (może to zresztą być także prawdziwa ekonomia), w której im więcej gracz posiada pieniędzy, tym więcej może nabyć posiadłości, co oznacza większy dochód z czynszów lub dzierżawy, a zatem coraz więcej pieniędzy na zakup kolejnych nieruchomości. Oba przykłady pokazują, jak działa dodatnie sprzężenie zwrotne.

Dodatnie sprzężenie zwrotne pozwala wyjaśnić każdy proces mający charakter samopobudzający się, jak na przykład wyścig zbrojeń [...] - i tak aż do granic globalnego szaleństwa.

A teraz połączmy ze sobą ujemne i dodatnie sprzężenie zwrotne, a zobaczymy ze zdumieniem, jak bogato te dwa różne procesy wzajemnie na siebie oddziałują w złożonych organizmach - od ludzkiego mózgu począwszy, a na systemie gospodarczym skończywszy. Istotnie, wystarczy tylko, że kultura nasza uzna, iż każdy naprawdę złożony system - czy to będzie organizm biologiczny, miasto czy też międzynarodowy układ polityczny - zawiera w sobie zarówno czynnik potęgujący, jak i czynnik redukujący zmiany, czyli wzajemnie na siebie oddziałujące pętle dodatniego i ujemnego sprzężenia zwrotnego, a zaczniemy dostrzegać całą nową sferę złożoności w świecie, z którym się stykamy. Nasze zrozumienie przyczynowości od razu ulegnie poszerzeniu.

Zrozumienie przyczynowości stanie się jeszcze lepsze, kiedy stwierdzimy, że owe czynniki pomniejszające i potęgujące zmiany nie muszą być koniecznie od początku wbudowane w systemy biologiczne lub społeczne; zrazu może ich nie być w ogóle i mogą się pojawiać dopiero później - jak gdyby na zasadzie przypadku. I tak oto przypadkowe zdarzenie może nagle zapoczątkować fantastyczny łańcuch nieoczekiwanych konsekwencji.

To tłumaczy nam, dlaczego tak często trudno dotrzeć do przyczyny zmian, trudno przewidywać ich rozwój i dlaczego niosą z sobą tyle niespodzianek. To również wyjaśnia, czemu jakiś powolny, stały proces nagle przechodzi w gwałtowne przeobrażenie, lub vice versa. A to z kolei wyjaśnia, dlaczego podobne warunki wyjściowe prowadzą niekiedy do

zdecydowanie odmiennych rezultatów; na taką ideę w ogóle nie było miejsca w mentalności drugiej fali.

Stopniowo formująca się przyczynowość trzeciej fali przedstawia złożony świat wzajemnie oddziałujących na siebie sił, świat pełen zdziwień i zaskoczeń, w którym mamy do czynienia z czynnikami potęgującymi zmiany i czynnikami redukującymi zmiany, a nie tylko z kulami bilardowymi, które zderzają się z sobą ustawicznie i zgodnie z przewidywaniami, tocząc się po kosmicznym stole bilardowym. Świat ten jest daleko bardziej nam obcy i nieznany, niż sugerował to mechanizm drugiej fali.

Czy wszystko można w zasadzie przewidzieć, jak to zakładała mechaniczna przyczynowość drugiej fali? Czy może - jak utrzymują krytycy światopoglądu mechanistycznego - z samej natury rzeczy wynika ich nieuchronna nieprzewidywalność? Czy rządzi nami przypadek, czy konieczność?

Również i o tej odwiecznej sprzeczności ma nam do powiedzenia fantastycznie ciekawe rzeczy przyczynowość trzeciej fali. W istocie pozwala nam ona w końcu wyrwać się z pułapki, w której musimy dokonywać wyboru na zasadzie albo - albo między koniecznością i przypadkiem; a stanowi to przecież zasadniczy przedmiot sporu między deterministami i antydeterministami. To właśnie może okazać się najistotniejszym przełomem filozoficznym naszych czasów.

LEKCJA Z TERMITÓW

Dr Ilya Prigogine i zespoły jego współpracowników w Wolnym Uniwersytecie w Brukseli i w Uniwersytecie Stanu Teksas w Austin podważyli wprost założenia drugiej fali, wykazując, jak w wyniku połączenia przypadku i konieczności struktury chemiczne i inne przechodzą gwałtownie w wyższe stadia zróżnicowania i złożoności. Za te właśnie prace Prigogine otrzymał Nagrodę Nobla.

Urodził się w Moskwie, a następnie od wczesnego dzieciństwa przebywał w Belgii; już za młodu interesował się problemami czasu. Zastanawiała go pewna pozorna sprzeczność - otóż z jednej strony fizycy wyznawali zasadę entropii, wskazującą na to, że Wszechświat chyli się ku upadkowi i że wszystkie zorganizowane struktury muszą w końcu ulec rozkładowi; z drugiej zaś strony mamy przekonanie biologów, że samo życie jest organizacją i że nieustannie obserwujemy rozwój tej organizacji oraz dążenie do coraz większej złożoności. Entropia wskazywała w jednym kierunku, ewolucja - w drugim.

To nasunęło Prigogine'owi pytanie o zasadę powstawania wyższych form organizacji; szukając na nie odpowiedzi przez całe lata prowadził badania w dziedzinie chemii i fizyki.

Dziś Prigogine uważa, że we wszystkich systemach złożonych, do jakich należą między innymi cząsteczki cieczy, neurony mózgowie i ruch uliczny w mieście, poszczególne elementy tych systemów zawsze podlegają pewnym niewielkim zmianom, znajdują się w ciągłym przepływie. Wnętrze każdego systemu poruszają drgania fluktuacji.

CZASAMI, GDY WYSTĘPUJE UJEMNE SPRĘŻENIE ZWROTNE, FLUKTUACJE TE ULEGAJĄ WYHAMOWANIU LUB STŁUMIENIU I RÓWNOWAGA SYSTEMU JEST ZACHOWANA. LECZ GDY MAMY DO CZYNIEŃ Z CZYNNIKIEM WZMACNIAJĄCYM, CZYLI Z DODATNIM SPRĘŻENIEM ZWROTNYM, CZĘŚĆ FLUKTUACJI MOŻE ULEC ZNACZNEMU SPOTĘGOWANIU, OSIĄGAJĄC POZIOM, NA KTÓRYM RÓWNOWAGA CAŁEGO SYSTEMU ZOSTAJE ZAGROŻONA. JEŻELI W TYM MOMENCIE WYSTĄPIĄ TEŻ FLUKTUACJE W OTOCZENIU ZEWNĘTRZNYM I NAŁOŻĄ SIĘ NA WZMOCNIONE FLUKTUACJE WEWNĄTRZ SYSTEMU, POTĘGUJĄC JESZCZE BARDZIEJ NASILAJĄCĄ SIĘ WIBRACJĘ, RÓWNOWAGA CAŁOŚCI ZOSTANIE ZNIWECZONA, A ISTNIEJĄCA STRUKTURA DOSZCZĘTNIE I OSTATECZNIE ROZBITA.²⁶

Efektom takiego załamania równowagi - spowodowanego przez niekontrolowane fluktuacje wewnętrzne lub przez siły zewnętrzne, a może przez jedne i drugie - jest często nie chaos lub rozpad, lecz powstanie zupełnie nowej struktury na wyższym poziomie zorganizowania. Ta nowa struktura może być bardziej zróżnicowana, skomplikowana i oparta na bardziej złożonym modelu oddziaływań wewnętrznych niż poprzednia; dla utrzymania się potrzebuje też ona więcej energii i materii (a może też i informacji oraz innych zasobów). Mówiąc głównie o reakcjach fizycznych i chemicznych, aczkolwiek zwracając niekiedy uwagę na analogie socjologiczne, Prigogine nazywa te nowe, bardziej złożone systemy "strukturami rozpraszającymi".

SUGERUJE ON, ŻE NAWET NA SAMĄ EWOLUCJĘ MOŻNA PATRZEĆ JAK NA PROCES ZMIERZAJĄCY KU CORAZ BARDZIEJ ZŁOŻONYM I ZRÓŻNICOWANYM ORGANIZMOM PRZEZ TWORZENIE SIĘ NOWYCH, WYŻEJ ZORGANIZOWANYCH STRUKTUR ROZPRASZAJĄCYCH. WEDŁUG PRIGOGINE'A - KTÓREGO KONCEPCJE NIE TYLKO MAJĄ ZNACZENIE CZYSTO NAUKOWE, ALE RÓWNIEŻ WYWOŁUJĄ REZONANS POLITYCZNY I FILOZOFICZNY - TWORZYMY "ŁAD Z FLUKTUACJI" ALBO - JAK BRZMI TYTUŁ JEDNEGO Z JEGO WYKŁADÓW - "ŁAD Z CHAOSU".²⁷

²⁶ Spójrzmy w ten sposób na gospodarkę. Podaż i popyt utrzymywane są w równowadze za pomocą różnych procesów opartych na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Bezrobocie - nasilając się wskutek dodatniego sprzężenia zwrotnego, przy braku wyhamowania ze strony ujemnego sprzężenia, jakie mogłoby gdzieś w danym systemie się pojawić, może zagrozić stabilizacji całości. Fluktuacje zewnętrzne - na przykład wzrost cen ropy naftowej - mogą spowodować nasilenie się wewnętrznych wahań i fluktuacji, aż do wystąpienia zaburzeń równowagi całego systemu.

²⁷ Taki sam tytuł (*Order out of Chaos*) nosi najnowsza książka Prigogine'a, wydana w Nowym Jorku w 1984 roku - przyp. tłum.

Takiej ewolucji nie można jednak zaplanować ani z góry określić w mechanistyczny sposób. Zanim powstała teoria kwantów, wielu czołowych myślicieli drugiej fali uważało, że przypadek odgrywa niewielką lub zgoła żadną rolę w powodowaniu zmian; że warunki początkowe danego procesu z góry determinują jego końcowy rezultat. Dziś natomiast w fizyce cząstek elementarnych panuje pogląd, że zmiana zależy w przeważającej mierze od przypadku. Te dwa przeciwstawne poglądy próbuje ostatnio jakoś pogodzić wielu uczonych, jak choćby Jacques Monod w biologii, Walter Buckley w socjologii i Maruyama w epistemologii i cybernetyce.

PRIGOGINE W SWEJ PRACY NIE TYLKO ŁĄCZY PRZYPADEK I KONIECZNOŚĆ, ALE WRĘCZ DOSTRZEGA NIEUCHRONNOŚĆ WYSTĘPOWANIA WZAJEMNYCH ZALEŻNOŚCI I WPŁYWÓW MIĘDZY NIMI. KRÓTKO MÓWIĄC, TWIERDZI ON, ŻE W ŚCIŚLE OKREŚLONYM PUNKCIE, W KTÓRYM DANA STRUKTURA "PRZESKAKUJE" W NOWE STADIUM ZŁOŻONOŚCI, NIE SPOSÓB PRZEWIDZIEĆ PRAKTYCZNIE ANI NAWET TEORETYCZNIE, JAKĄ Z WIELU MOŻLIWYCH FORM PRZYJMIE ONA ZA CHWILĘ²⁸. **Ale w momencie powstania nowej struktury, gdy wybór drogi został już dokonany, znowu zaczyna obowiązywać determinizm.**

W obrazowym przykładzie opisuje on, jak termity budują swe wysoce rozwinięte strukturalnie gniazda w wyniku pozornie bezładnych działań. Otóż termity najpierw rozbiegają się po terenie w przypadkowych kierunkach, zatrzymując się tu i tam, by kapnąć kroplę lepkiej wydzieliny w zupełnie przypadkowych miejscach. Lepik ten wszakże zawiera chemiczną substancję wabiącą, która przyciąga inne termity.

W ten sposób porcje lepiku zaczynają zbierać się w kilku miejscach, stopniowo tworząc filary lub ścianki. Jeżeli budowle te stoją oddzielnie, praca zostaje poniechana. Lecz jeśli przypadkiem znajdą się one blisko siebie, może powstać łuk, który następnie staje się podstawą skomplikowanej architektury gniazda. To, co zaczęło się od przypadkowego działania, zmienia się w niesłychanie logiczne, nieprzypadkowe budowle. Widzimy - mówi Prigogine - "spontaniczne tworzenie spójnych struktur". Ład z chaosu.

Wszystko to silnie uderza w dotychczasowe rozumienie przyczynowości. Prigogine podsumowuje to następująco: "Przekonujemy się dziś, że prawa ścisłej przyczynowości mają wąskie zastosowanie i odnoszą się do wysoce wyidealizowanych przypadków; są niczym karykatury opisywanych zmian (...) Nauka o złożoności (...) prowadzi do zupełnie odmiennego poglądu."

²⁸ To, jak mniemam, odnosi się do przeskoku od cywilizacji drugiej fali do cywilizacji trzeciej fali w takim samym stopniu, jak i do reakcji chemicznych.

Nie jesteśmy już zamknięci w ciasnym wszechświecie, który funkcjonuje jak mechaniczny zegar; znajdujemy się natomiast w znacznie bardziej ruchomym i zmiennym systemie, a w nim - jak powiada Prigogine - "zawsze jest możliwa jakaś niestabilność, jakaś chwiejność, która prowadzi do jakiegoś nowego mechanizmu. Wszechświat jest rzeczywiście «otwarty»."

Kiedy wykraczamy poza myślenie przyczynowe drugiej fali i zaczynamy myśleć w kategoriach wzajemnych oddziaływań, w kategoriach czynników wzmacniających i osłabiających, załamania systemów i raptownych skoków rewolucyjnych, struktur rozpraszających i zlewania się przypadku z koniecznością - słowem, kiedy zdejmujemy końskie okulary drugiej fali - stajemy mrugając oczami przed zupełnie nową kulturą, przed kulturą trzeciej fali.

Ta nowa kultura - nastawiona na zmianę i rosnącą różnorodność - próbuje połączyć ze sobą nowe poglądy na природę, ewolucję i postęp; nowe, bogatsze koncepcje czasu i przestrzeni oraz zespolenie redukcjonizmu i całościowości z nową przyczynowością.

Industrealność, która zresztą okazała się bardzo przydatna w badaniu zależności między poszczególnymi elementami wszechświata, uważana była do niedawna za teorię naprawdę potężną, kompletną i wszechstronną. Lecz te jej pretensje do uniwersalności zostały zakwestionowane. Kiedy znajdziemy się w korzystniejszej pozycji dnia jutrzejszego, przekonamy się, że owa superideologia drugiej fali nie tylko była prowincjonalna, ale także służyła przede wszystkim samej sobie.

Rozkład systemu myślenia drugiej fali powoduje, że miliony ludzi rozpaczliwie szukają czegoś, czego mogliby się uchwycić - bywa to teksański teoizm, szwedzki sufizm, medycyna magiczna z Filipin, bywają czary walijskie. Miast budować nową kulturę, odpowiednią dla nowego świata, ludzie próbują sprowadzić i przeszczepić stare idee, pasujące do innych czasów i miejsc, lub też wskrzesić fanatyczne wierzenia swych własnych przodków, którzy żyli przecież w diametralnie odmiennych warunkach.

To nic innego, jak właśnie upadek struktury umysłowej ery industrialnej, jej rosnąca niestosowność w obliczu nowych realiów technologicznych, społecznych i politycznych, podpowiada ludziom uciekanie się do starych odpowiedzi oraz rozwiązań i przyczynia się do mnożenia się coraz to nowych pseudointelektualnych mód, które pojawiają się nagle, rozbłyskują na krótko i bardzo szybko gasną.

W samym środku tego ideowego supermarketu, pełnego przygnębiających zwątpień, podniet i fałszywych religii, kiełkuje nowa pozytywna kultura, odpowiednia dla naszego czasu i miejsca. Zaczynają się formować nowe, potężne i spoiste koncepcje, nowe metafory ułatwiające zrozumienie rzeczywistości. Gdy trzecia fala historycznych przemian wymiata

właśnie szczątki industrializmu, można już dostrzec pierwsze oznaki nowej spistości i elegancji rodzącej się kultury.

Rozdział XIX

WIZJA GANDHIEGO Z SATELITAMI

"Konwulsyjne wstrząsy", "Niespodziewane powstanie", "Szalone wahania" itd. Oto przykłady nagłówków z gazet. Dziennikarze, jak widać, gorączkowo szukają określeń, które najlepiej oddawałyby narastający, ich zdaniem, chaos i zamieszanie na świecie. Powstanie islamskie w Iranie, nagły zwrot polityki Mao w Chinach, spadek wartości dolara, nowe rozruchy w biednych krajach, wybuchy buntów w Salwadorze i Afganistanie - to według nich fakty zdumiewające i bez związku ze sobą. Świat, powiadają, z wolna pogrąża się w chaosie.

Lecz nie wszystko jest anarchiczne, co na takie wygląda. Wybuch nowej cywilizacji na Ziemi musiał bezwzględnie naruszyć dawne związki, obalić reżimy i zachwiać stabilność systemów finansowych. To, co jawi się jako chaos, w rzeczywistości jest masowym przetasowaniem władzy i wszelkich sił, które muszą się dostosować do nowej cywilizacji.

Za jakiś czas obejrzymy się za siebie, by popatrzeć na dzień dzisiejszy jak na schyłek cywilizacji drugiej fali. Nie będzie to radosny widok. Chyląc się bowiem ku końcowi, cywilizacja przemysłowa zostawi po sobie świat, w którym jedna czwarta ludzkości żyje we względnym dobrobycie, trzy czwarte - we względnym ubóstwie, oraz 800 milionów ludzi - według określenia Banku Światowego - żyje w "absolutnej" nędzy. Co najmniej 700 milionów ludzi cierpi niedożywienie, analfabetów jest w sumie 550 milionów. Szacuje się, że u kresu ery przemysłowej miliard dwieście milionów istot ludzkich na świecie pozostaje poza zasięgiem służby zdrowia, nie mając nawet dostępu do wody zdatnej do picia.

Cywilizacja przemysłowa zostawia za sobą świat, w którym 20 lub 30 krajów uprzemysłowionych może korzystać z ukrytych zasobów taniej energii i tanich surowców, w znacznym stopniu przesądzających o ich gospodarczym sukcesie. Zostawia globalną infrastrukturę - Międzynarodowy Fundusz Walutowy, GATT, Bank Światowy i RWPG - które kierowały handlem i finansami z korzyścią dla potęg i mocarstw drugiej fali. Zostawia też ta cywilizacja wiele biednych krajów, w których zdeformowane systemy gospodarcze, ograniczone do jednej uprawy, służyły głównie potrzebom bogatych.

Gwałtowny przybór trzeciej fali nie tylko zwiastuje upadek imperium drugiej fali, ale również rozsadza wszystkie nasze obiegowe przekonania na temat likwidacji ubóstwa na świecie.

STRATEGIA DRUGIEJ FALI

Od końca lat czterdziestych do dnia dzisiejszego większość wysiłków zmierzających do

zmniejszenia przepaści między bogatymi a biednymi tego świata była podporządkowana jednej dominującej strategii. Nazwijmy ją strategią drugiej fali.

Strategia ta wychodzi z założenia, że społeczeństwa drugiej fali osiągnęły szczyt postępu ewolucyjnego, toteż chcąc rozwiązać swoje problemy, wszystkie społeczeństwa muszą przejść rewolucję przemysłową mniej więcej w taki sam sposób, jak się to odbyło na Zachodzie, w Związku Radzieckim czy w Japonii. Postęp polega na przeniesieniu milionów ludzi z rolnictwa do produkcji masowej. Wymaga to urbanizacji, standaryzacji i całej reszty zabiegów z pakietu drugiej fali. Krótko mówiąc, rozwój można osiągnąć na drodze wiernej imitacji modelu, który już okazał się skuteczny.

Rządy dziesiątków krajów próbowały rzeczywiście zrealizować ten plan gry. W kilku z nich, na przykład w Korei Południowej i na Tajwanie, gdzie panują dość szczególne warunki, udało się stworzyć społeczeństwa drugiej fali. Ale większość takich wysiłków kończyła się fiaskiem.

Wylicza się najrozmaitsze powody fiaska, jakie poniosły w tym przedsięwzięciu liczneubożące kraje, między innymi neokolonializm, wadliwe planowanie, korupcję, zacofane religie, związki plemienne, korporacje ponadnarodowe, CIA, zbyt wolne lub zbyt szybkie tempo i tak dalej. Ale niezależnie od przyczyn, niewesołym faktem pozostaje to, że industrializacja według modelu drugiej fali częściej zawodziła, niż się udawała.

Najbardziej drastycznym przykładem może być przypadek Iranu. Jeszcze w 1975 roku tyrański szach chętnie głosił, że stosując strategię drugiej fali może zmienić Iran w najnowocześniejsze państwo przemysłowe Bliskiego Wschodu. "Budowniczo szacha - pisał «Newsweek» - w pocie czoła pracowali nad mnóstwem wspaniałych zakładów przemysłowych, zapór wodnych, linii kolejowych, autostrad i wszelkich innych dodatków niezbędnych do pełnego rozkwitu rewolucji przemysłowej." Jeszcze w czerwcu 1978 roku bankierzy zagraniczni starali się wyasygnować miliardowe pożyczki na minimalny procent, między innymi na rzecz korporacji budownictwa okrętowego Persian Gulf, kompanii przemysłu włókienniczego Mazadern, państwowej elektrowni Tavanir, kombinatu hutnictwa stali w Isfahanie i kompanii Iran Aluminium.

W wyniku tych przedsięwzięć Iran rzekomo zmieniał się w kraj "nowoczesny", a tymczasem w Teheranie kwitła korupcja. W rezultacie nasilającej się tendencji do konsumpcji dóbr luksusowych kontrast między biednymi i bogatymi zaostrzał się jeszcze bardziej. Przedstawiciele obcych interesów - głównie, ale nie wyłącznie amerykańskich - przeżywali szczyt koniunktury. (Pewnemu niemieckiemu menedżerowi w Teheranie płacono o jedną trzecią więcej, niż mógłby otrzymać u siebie w kraju, ale zatrudnieni przez niego pracownicy

otrzymywali dziesiątą część tej płacy, jaką pobieraliby robotnicy niemieccy.) Miejska klasa średnia stanowiła zaledwie małą wysepkę w oceanie nędzy. Konsumentami ponad dwóch trzecich wszystkich towarów rynkowych - prócz ropy naftowej - byli mieszkańcy Teheranu, stanowiący jedną dziesiątą całej ludności kraju. Na wsi, gdzie dochody wynosiły zaledwie piątą część dochodów ludności miejskiej, masy wieśniaków żyły wciąż w budzącym oburzenie uciemieniu.

Wychowani na przykładzie Zachodu milionerzy, generałowie i najemni technokraci, którzy kierowali rządem w Teheranie, uważali, że rozwój jest przede wszystkim procesem gospodarczym i próbowali stosować strategię drugiej fali. Jeśli tylko będą dolary - religia, kultura, życie rodzinne czy równouprawnienie kobiet nie będą stanowić problemu. Autentyczność kulturowa znaczyła dla nich niewiele, ponieważ - przepojeni ideologią industrialną - uważali, że świat nie tylko nie dąży do zróżnicowania, lecz coraz bardziej się standaryzuje. Gabinet składający się w 90 procentach z osób wykształconych w Harvardzie, Berkeley lub na uniwersytetach europejskich potępiał wszelki sprzeciw wobec zachodnich idei po prostu jako wyraz "zacofania".

Mimo pewnych wyjątkowych okoliczności, do jakich należała między innymi łatwopalna mieszanka ropy naftowej z Islamem - to, co się zdarzyło w Iranie, bardzo przypomina sytuację w innych krajach stosujących strategię drugiej fali. Uwzględniając pewne odmienności, to samo można powiedzieć o dziesiątkach społeczeństw cierpiących masową nędzę w Azji, Afryce czy w Ameryce Łacińskiej.

Upadek reżimu szacha w Teheranie rozniecił dyskusję w wielu stolicach świata - od Manili po Mexico City. Jedną z istotniejszych kwestii dotyczyła tempa przemian. Czy nie jest zbyt szybkie? Czy to, co przeżył lud Iranu, nie było szokiem przyszłości? Czy uwzględniając nawet ogromne zyski, jakie przynosi ropa naftowa, rządy mogą stworzyć dostatecznie liczną warstwę średnią na tyle szybko, by pozwoliło to uniknąć rewolucyjnego przewrotu? Jednakże tragedia irańska i zastąpienie reżimu szacha równie represyjną teokracją każe nam zakwestionować właśnie najbardziej podstawowe przesłanki strategii drugiej fali.

Czy klasyczne uprzemysłowienie stanowi jedyną drogę postępu? I czy ma sens naśladowanie modelu industrialnego w chwili, gdy sama cywilizacja przemysłowa znalazła się w agonii?

ROZPAD MODELU SUKCESU

Dopóki kraje drugiej fali odnosiły sukcesy jako państwa ustabilizowane, bogate i bogacące się jeszcze bardziej, nietrudno było traktować je jako model dla reszty świata. Ale przed

końcem lat sześćdziesiątych wybuchł ogólny kryzys industrializmu.

Cały świat drugiej fali ogarnęły strajki, krachy energetyczne, katastrofy, przestępczość, załamanie psychiczne i cierpienia moralne. Prasa zaczęła pisać o tym, "dlaczego wszystko się psuje". Zachwiały się zarówno system energetyczny, jak i system rodziny. Rozpadł się system wartości i runęły struktury wielkich miast. W ogniu ostrej krytyki znalazły się między innymi skażenie środowiska, korupcja, inflacja, wyobcowanie, osamotnienie ludzi, rasizm, biurokracja, rozwody i bezmyślna konsumpcja w nadmiarze. Ekonomiści zaczęli ostrzegać co do możliwości całkowitego załamania systemu finansowego.

W tym samym czasie światowy ruch ochrony środowiska rozniecił obawy, iż z powodu skażenia środowiska oraz wyczerpywania się zasobów energetycznych i surowcowych nawet już istniejące kraje drugiej fali mogą wkrótce przestać normalnie funkcjonować. Zwracano ponadto uwagę, że nawet gdyby strategia drugiej fali jakimś cudem poskutkowała w biednych krajach, to wówczas cała kula ziemską zmieniałaby się w jedną gigantyczną fabrykę i musiałoby dojść do zagłady ekologicznej planety.

Ponure czasy nastały dla najbogatszych narodów, gdy kryzys industrializmu coraz bardziej się pogłębiał. I nagle miliony ludzi na całym świecie zaczęły się zastanawiać nie tylko nad tym, czy strategia drugiej fali mogłaby być skuteczna, ale również dlaczego ktoś miałby chcieć doścignąć tę cywilizację, gdy przecież ją samą ogarniają już agonizujące konwulsje rozpadu.

Jeszcze jeden nieoczekiwany fenomen zachwiały przekonaniem, jakoby strategia drugiej fali była jedyną drogą od biedy do bogactwa. Zawsze opierała się ona na założeniu, że "najpierw jest «rozwój», a dopiero potem dobrobyt", że bogactwo stanowi rezultat ciężkiej pracy, oszczędności, etyki protestanckiej i długiego procesu przemian gospodarczych i społecznych.

Tymczasem embargo nałożone przez Organizację Państw Eksporterów Ropy Naftowej (OPEC) i gwałtowny napływ petrodolarów na Bliski Wschód postawiły na głowie tę kalwińską zasadę. W ciągu kilku zaledwie miesięcy do Iranu, Arabii Saudyjskiej, Kuwejtu, Libii i innych państw arabskich wlały się spienionym strumieniem nieoczekiwane miliardy dolarów. Świat przyglądał się, jak bogactwo rodzi się nie w efekcie przeobrażeń, lecz je wyprzedza. Na Bliskim Wschodzie pęd do "rozwoju" zrodziły właśnie pieniądze, nie odwrotnie. Nigdy przedtem nie zdarzyło się coś podobnego na tak ogromną skalę.

A jednocześnie zaczynała się zaostrzać konkurencja wśród samych krajów zamożnych. "W kalifornijskim budownictwie używa się południowokoreańskiej stali; na rynku europejskim handluje się telewizorami z Tajwanu; na Bliskim Wschodzie - traktorami z Indii (...), a Chiny

błyskawicznie nabierają znaczenia jako potencjalna potęga przemysłowa. Wszelkie objawy zagrożenia ze strony rozwijających się gospodarek dla systemów państw wysoko rozwiniętych budzą poważne zaniepokojenie w Japonii, USA czy w krajach europejskich" - pisał tokijski korespondent "New York Timesa".

Strajkujący francuscy hutnicy, jak na Francuzów przystało, nadali temu zaniepokojeniu barwniejszą formę. Otóż demonstranci, okupując Wieżę Eiffla, wezwali do zakończenia "masakry przemysłu". We wszystkich po kolei krajach o dłuższych tradycjach przemysłowych przedstawiciele i rzecznicy przemysłów drugiej fali protestowali przeciwko "eksportowi pracy" oraz generalnie przeciwko polityce sprzyjającej uprzemysłowieniu biedniejszych krajów.

Krótko mówiąc, ze wszystkich stron narastały wątpliwości co do tego, czy osławiona strategia drugiej fali jest - a nawet czy powinna być - skuteczna.

STRATEGIA PIERWSZEJ FALI

W latach siedemdziesiątych, w obliczu niepowodzeń strategii drugiej fali, pod wpływem gniewnych żądań biednych narodów, żeby światową gospodarkę poddać totalnej rewizji, oraz głęboko niepokojąc się o własną przyszłość - bogate kraje zaczęły obmyślać nową strategię rozwoju dla świata rozwijającego się.

I wtedy, niemal z dnia na dzień, nastąpiła zmiana; wiele rządów oraz różne "agencje rozwoju" - wśród nich Bank Światowy, Agency for International Development, AID (Agencja do Spraw Rozwoju Międzynarodowego) i Overseas Development Council (Międzynarodowa Rada Rozwoju) - zaczęły pracować nad metodą, którą można określić jedynie jako strategię pierwszej fali.

Nowa recepta jest niemal dokładną odwrotnością strategii drugiej fali. Zamiast nacisków na ludność wiejską, żeby przemieszczała się do zatłoczonych miast, przywiązuje ona ogromną wagę do rozwoju wsi. Zamiast koncentracji na eksportowych monokulturach rolnych, podkreśla konieczność samowystarczalności w dziedzinie produkcji żywności. Zamiast ślepo zabiegać o zwiększenie produktu narodowego brutto w nadziei, że nadwyżki dochodu trafią do biednych, nowa strategia zakłada, by część zasobów przeznaczać bezpośrednio na zaspokojenie "podstawowych potrzeb ludzkich".

Zamiast zabiegać o technologie zastępujące wkład pracy ludzkiej, nowa strategia kładzie nacisk na typy produkcji wymagające wysokiego udziału siły roboczej, ale za to małych nakładów kapitału i energii, a także niewysokich kwalifikacji pracowników. Projekty gigantycznych kolosów metalurgicznych lub wielkomiejskich kombinatów przemysłowych

zastąpiły teraz zdecentralizowane drobne przedsiębiorstwa dopasowane do skali wsi.

Odwracając do góry nogami argumentację drugiej fali, zwolennicy strategii pierwszej fali z łatwością wykazywali, że technologie przemysłowe przeniesione do biednych krajów często prowadziły do niepowodzeń. Maszyny psuły się i nie miał ich kto naprawiać. Nowoczesne technologie wymagały kosztownych i przeważnie importowanych surowców. Kraje słabo rozwinięte nie miały wyszkolonych kadr. Przeto, głosiła nowa argumentacja, potrzebne są "technologie właściwe" - niekiedy zwane również "pośrednimi", "miękkimi" lub "alternatywnymi" - stanowiące coś pośredniego "między sierpem a kombajnem zbożowym".

W USA i w Europie dość wcześnie powstały liczne ośrodki specjalizujące się w opracowywaniu takich technologii; założona w 1965 roku brytyjska Intermediate Technology Development Group (Grupa do spraw Rozwoju Technologii Pośrednich) stanowiła wzorcowy model dla innych ośrodków tego typu. Ale powstawały one również w krajach rozwijających się i niebawem ruszył strumień innowacji technologicznych małej skali.

Na przykład w Botswanie rolnicza brygada Mochudi wdrożyła nowy typ narzędzia, które - ciągnięte przez woła lub osła - służy do orania, sadzenia lub nawożenia na polach o jedno- lub dwurzędowej uprawie. W Gambii Ministerstwo Rolnictwa wprowadziło senegalski uchwyt do narzędzi, do którego można przymocować pojedynczy pług lemieszowy, zbierak do orzeszków ziemnych, siewnik lub obsypnik. W Ghanie farmerzy używają młocarni o napędzie pedałowym, pras śrubowych do ziarna słodowniczego oraz drewnianych wyciżarek do usuwania wody z włókien bananowych.

Ale strategia pierwszej fali znalazła również o wiele szersze zastosowanie. Otóż w 1978 roku nowy rząd Indii, szukając sposobów ucieczki od rosnących cen ropy i nawozów oraz rozczarowany do strategii drugiej fali, którą popierały rządy Nehru i Indiry Gandhi, dosłownie zabronił dalszej rozbudowy zmechanizowanego przemysłu włókienniczego i zalecał produkcję tkanin na ręcznych krosnach zamiast na mechanicznych. Chodziło nie tylko o zwiększenie zatrudnienia, ale również o powstrzymanie urbanizacji przez popieranie wiejskiego chałupnictwa.

Sporo faktów wyraźnie przemawia na korzyść nowej strategii. Przyczynia się ona do złagodzenia masowej migracji do miast. Ma na celu poprawę warunków życiowych wsi, gdzie żyje większość biedoty. Uwzględnia czynniki środowiskowe. Nastawiona jest na wykorzystanie tanich zasobów własnych, nie zaś drogich importowanych. Kwestionuje konwencjonalne, zawężone definicje "wydajności". Podpowiada mniej technokratyczny stosunek do rozwoju, uwzględniając miejscowe zwyczaje i kulturę. Kładzie nacisk na poprawę warunków biedoty, nie zaś na przepływ kapitału przez ręce bogatych w nadziei, że

jakaś jego cząstka trafi również do tych na dole.

Wyliczywszy te wszystkie zalety, musimy jednak uznać, że strategia pierwszej fali umożliwi jedynie poprawę warunków najbardziej upośledzonych warstw ludności w krajach wciąż tkwiących w epoce pierwszej fali; strategia ta nic w nich nie zmienia. Działa jak leukoplast, nie jak lekarstwo, z czego doskonale sobie zdają sprawę rządy wielu krajów na całym świecie.

Indonezyjski prezydent Suharto wyraził powszechny pogląd mówiąc, że taka strategia "może okazać się nową formą imperializmu. Jeżeli Zachód będzie popierał jedynie lokalne inwestycje na małą skalę, może to przynieść pewną ulgę w naszym ciężkim położeniu, ale nie zagwarantuje nam żadnego rozwoju."

Szczególne upodobanie do pracochłonnych rodzajów produkcji również spotyka się z zarzutem, że tym sposobem bogaci myślą przede wszystkim o własnych korzyściach. Im dłużej biedne kraje będą pozostawać w warunkach pierwszej fali, tym mniej konkurencyjnych towarów trafi na przesycony rynek światowy. Im dłużej, że tak powiem, będą się one trzymać roli, tym mniej zużyją ropy, gazu i innych rzadkich lub wyczerpujących się bogactw, a jednocześnie nadal będą słabsze i mniej kłopotliwe politycznie.

W strategię pierwszej fali jest również wbudowane paternalistyczne założenie, że chociaż wszystkich czynników niezbędnych do produkcji trzeba starać się używać jak najoszczędniej, to można nie oszczędzać czasu ani energii prostego robotnika; że beznadziejna i wyczerpująca praca na polach lub plantacjach ryżu jest w porządku tak długo, jak długo wykonuje ją ktoś inny.

Podsumowując te poglądy, dyrektor Institute of African Economic Development and Planning (Instytut Afrykańskiego Rozwoju Gospodarczego i Planowania), Samir Amin, mówiąc, że pracochłonne techniki nagle stały się tak atrakcyjne "dzięki połączeniu ideologii w stylu «hippie», powrotu do mitu o złotym wieku i szlachetnym dzikusie oraz krytyki rzeczywistości świata kapitalistycznego".

Jeszcze gorsze jest to, że recepta, nawiązująca do epoki pierwszej fali, niebezpiecznie pomniejsza rolę wysoko rozwiniętej nauki i nowoczesnej technologii. Technologie upowszechniane dziś jako "właściwe" są często znacznie bardziej prymitywne niż te, które stosował amerykański farmer w 1776 roku; daleko bliżej im do sierpa niż do kombajnu. 150 lat temu, kiedy amerykańscy i europejscy farmerzy zaczęli wprowadzać "właściwą technologię", zakładając do drewnianej brony stalowej nóż lub zamieniając ją na pług z żelaza, to nie odwracali się plecami do nagromadzonej wówczas światowej wiedzy technicznej i metalurgicznej, lecz brali ją w posiadanie.

Na paryskiej Wystawie Światowej w 1855 roku, jak podają ówczesne opisy, zademonstrowano między innymi pierwsze młocarnie w działaniu: "Na dany znak sześciu mężczyzn zaczęło młócić zboże cepami, a równocześnie puszczono w ruch kilka maszyn. Oto rezultaty jednogodzinnej pracy:

6 mężczyzn młocących cepami	36 litrów pszenicy
młocarnia belgijska	150 litrów pszenicy
młocarnia francuska	250 litrów pszenicy
młocarnia angielska	410 litrów pszenicy
młocarnia amerykańska	740 litrów pszenicy

Tylko ktoś, kto nie ma za sobą wielu lat męczącej pracy fizycznej, może lekko odrzucić maszyny, które już w 1855 roku młóciły ziarno 123 razy szybciej od człowieka.

Spora część tak zwanej "nowoczesnej nauki" jest dziełem naukowców z bogatych krajów i służy do rozwiązywania problemów bogatych krajów. Znikomą część badań poświęca się problematyce życia codziennego biednych tego świata. Tym niemniej wszelka "polityka rozwojowa", która zaczyna się od zamykania oczu na możliwości, jakie wiążą się z zaawansowaną wiedzą naukowo-techniczną, skazuje na wieczne ponizenie setki milionów zrozpaczonych, głodnych i uznojonnych wieśniaków.

Tylko gdzieś i tylko niekiedy strategia pierwszej fali może polepszyć życie licznych rzesz ludzi. Rażąco mało jest wszakże przykładów wskazujących, że jakiś większy kraj mógłby kiedykolwiek wyprodukować niezbędną ilość dóbr stosując jako inwestycje na rzecz przeobrażeń metody i narzędzia pierwszej fali z epoki przed mechanizacją. W rzeczywistości wszystkie niemal dowody sugerują coś wręcz przeciwnego.

Chiny Mao Tse Tunga, które samodzielnie wypracowały i zastosowały podstawowe elementy formuły strategicznej pierwszej fali, z bohaterskim wysiłkiem, aczkolwiek nie całkiem skutecznie, zdołały zapobiec klęsce głodu. Było to osiągnięcie najwyższej miary. Lecz pod koniec lat sześćdziesiątych maoistowska polityka, kładąca nacisk na rozwój wsi i przemysłu "przysagrodowego", doszła do kresu możliwości. Chiny znalazły się w ślepych zaułku.

Albowiem sama przez się formuła pierwszej fali jest w ostateczności receptą na stagnację i nie nadaje się dla większości biednych krajów ani odrobinę bardziej niż strategia drugiej fali.

W świecie gwałtownych różnicowań będziemy musieli wynaleźć dziesiątki nowatorskich strategii i przestać szukać wzorów zarówno w przemysłowej teraźniejszości, jak i przedprzemysłowej przeszłości. Najwyższy czas, abyśmy zaczęli patrzeć w stronę wyłaniającej się przyszłości.

DYLEMAT TRZECIEJ FALI

Czy zawsze będziemy musieli miotać się między dwoma przestarzałymi wizjami? Chcąc uwypuklić różnice, celowo przedstawiam te alternatywne strategie w sposób karykaturalny. W rzeczywistości tylko nieliczne rządy mogą sobie pozwolić na postępowanie w myśl abstrakcyjnych teorii; spotykamy więc wiele przykładów łączenia w praktyce elementów z obu strategii. Narodziny trzeciej fali zdecydowanie jednak wskazują, że możemy już przestać szamotać się tam i z powrotem między tymi dwiema formułami.

Wszak nadejście trzeciej fali drastycznie zmienia wszystko. I chociaż żadna teoria powstała w wysoko rozwiniętym świecie - i to zarówno o kapitalistycznej, jak i marksistowskiej orientacji - nie pozwala rozwiązać problemów "świata rozwijającego się", i chociaż ani jednego z istniejących modeli nie da się w pełni wykorzystać w innych krajach - między społeczeństwami pierwszej fali a powstającą w szybkim tempie cywilizacją trzeciej fali wywiązują się zupełnie nowego rodzaju stosunki i zależności.

Nieraz widzieliśmy naiwne zabiegi mające na celu "rozwój" jakiegoś kraju, należącego zasadniczo do pierwszej fali, przez narzucanie mu zupełnie niestosownych form drugiej fali, takich jak produkcja masowa, środki masowej komunikacji, oświata w stylu fabrycznym, rząd parlamentarny wzorowany na modelu brytyjskim oraz państwo narodowe - żeby wymienić zaledwie kilka typowych instytucji, zapominając jednocześnie, że po to, aby mogły one skutecznie funkcjonować, trzeba by było jeszcze zniszczyć tradycyjne obyczaje rodzinne i małżeńskie, religię i strukturę ról w społeczeństwie oraz wydrzeć z korzeniami całą kulturę.

Na zasadzie zadziwiającego kontrastu cywilizacja trzeciej fali ma wiele cech, takich jak decentralizacja produkcji, właściwa skala, odnawialna energia, deglomeracja, praca w domu, wysoki stopień prosumpcji - które w istocie przypominają cechy występujące w społeczeństwach pierwszej fali. Najwyraźniej mamy tu do czynienia jak gdyby z dialektycznym nawrotem.

Dlatego zresztą tylu współczesnym nadzwyczajnym wynalazkom towarzyszy dziwna aura skojarzeń. Polega ona na uczuciu, które Francuzi nazywają *deja vu*, a którym można tłumaczyć to zafascynowanie sielską przeszłością, jakie obserwujemy w społeczeństwach najszybciej obejmowanych przez trzecią falę. W tym wszystkim najbardziej zadziwia fakt, że cywilizacje pierwszej i trzeciej fali wydają się mieć więcej wspólnego ze sobą niż którakolwiek z nich z cywilizacją drugiej fali. Krótko mówiąc, są one osobliwie zbieżne.

Czy ta niezwykła zgodność pozwoli wielu spośród dzisiejszych krajów pierwszej fali przejąć niektóre cechy cywilizacji trzeciej fali bez połykania całej pigułki, bez konieczności

całkowitej rezygnacji ze swej kultury i bez przechodzenia przez "stadium" rozwoju drugiej fali? Czy naprawdę łatwiej będzie niektórym krajom wprowadzić struktury trzeciej fali niż przejść uprzemysłowienie według klasycznego modelu?

Poza tym, czy społeczeństwo może teraz łatwiej niż dawniej osiągnąć wysoką stopę życiową bez obsesyjnego kierowania całej energii na produkcję do wymiany? Czy wykorzystując nowe możliwości stwarzane przez trzecią falę, ludzie nie mogliby obniżyć śmiertelności niemowląt, przedłużyć życia ludzkiego, udoskonalić oświatę, poprawić wyżywienie oraz podnieść ogólną jakość życia - nie wyrzekając się przy tym religii i swych wartości oraz nie przyjmując koniecznie zachodniego materializmu jako elementu rozprzestrzeniania się cywilizacji drugiej fali?

Jutrzejšie strategie "rozwoju" przyjdą nie z Waszyngtonu czy z Moskwy, Paryża lub Genewy, lecz z Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. Będą one wyrastały z tamtej ziemi i będą odpowiadały rzeczywistym potrzebom lokalnym. Nie będą przywiązywać przesadnej wagi do gospodarki kosztem środowiska, kultury, religii, struktury rodziny oraz psychologicznych wymiarów egzystencji. Nie będą naśladowały żadnego obcego modelu, pierwszej ani drugiej, ani zresztą trzeciej fali.

Lecz narastanie trzeciej fali umieszcza wszystkie nasze wysiłki w nowej perspektywie. Otwierają się bowiem zupełnie nowe szanse nie tylko przed najbiedniejszymi narodami świata, ale również i przed najbogatszymi.

SŁOŃCE, KREWETKI I ELEKTRONIKA

Zaskakująca zgodność między wieloma rysami strukturalnymi cywilizacji pierwszej i trzeciej fali sugeruje, że może za kilkadziesiąt lat można będzie połączyć elementy przeszłości i przyszłości w nową, lepszą teraźniejszość.

Weźmy na przykład sprawę energii.

Mówi się tyle o kryzysie energetycznym w krajach wkraczających w cywilizację trzeciej fali, ale często się zapomina, że kraje pierwszej fali też przeżywają swój własny kryzys energetyczny. Zaczynają od niesłychanie ubogiej bazy wyjściowej, jakież więc systemy energetyczne powinny one budować?

Na pewno przydałyby się im wielkie scentralizowane elektrownie typu drugiej fali, korzystające z paliw kopalnych. Ale - jak wykazuje naukowiec indyjski Amulya Kumar N. Reddy - w wielu takich krajach najbardziej potrzebne są zdecentralizowane źródła energii na wsi, nie zaś scentralizowane dostawy do miast.

W rodzinie bezrolnych wieśniaków w Indiach zużywa się obecnie mniej więcej sześć

godzin dziennie na samo zbieranie drewna na opał, który jest niezbędny do ogrzewania domu i gotowania. Drugie cztery do sześciu godzin zajmuje przyniesienie wody ze źródła, no i jeszcze raz tyle trwa wypasanie bydła, kóz albo owiec. "Ponieważ rodziny takiej nie stać na najemną siłę roboczą ani na zakup urządzeń oszczędzających pracę ludzką, jedynym racjonalnym wyjściem jest posiadanie co najmniej trojga dzieci, które zaspokoją zapotrzebowanie całej rodziny na energię" - powiada Reddy, wskazując, iż wiejska baza energetyczna "mogłaby się okazać doskonałym środkiem antykoncepcyjnym".

Reddy przestudiował zagadnienie potrzeb energetycznych na wsi i doszedł do wniosku, że potrzeby przeciętnej wioski łatwo zaspokoić niewielka biogazowa elektrownia, wykorzystująca odpady ludzkie i zwierzęce z tej wsi. Wykazał on następnie, że wybudowanie tysięcy takich elektrowni byłoby daleko korzystniejsze dla środowiska i gospodarki niż postawienie kilku scentralizowanych elektrowni-gigantów.

Do podobnych wniosków doprowadziły badania nad zastosowaniem biogazowych elektrowni w bardzo wielu krajach - od Bangladeszu po Fidżi. W Indiach pracuje już 12 tysięcy takich obiektów, a w planach jest ich 100 tysięcy. W chińskiej prowincji Seczuan planuje się założenie 200 tysięcy jednorodzinnych biogazowych stacji energetycznych. Korea ma obecnie 20 450 takich minielektrowni, a do roku 1985 będzie ich tam w sumie 55 tysięcy.

Wybitny futurolog i przedsiębiorca, Jagdish Kapur, swoje 10 akrów wysuszonej i bezlitośnie niewydajnej ziemi tuż pod New Delhi zmienił dzięki biogazowej elektrowni we wzorcową "farmę słoneczną". Gospodarstwo przynosi teraz dość zboża, owoców i warzyw dla rodziny pisarza i dla pracowników farmy oraz tony żywności na sprzedaż, na czym korzysta miejscowy rynek.

W Indyjskim Instytucie Technicznym opracowano tymczasem projekt 10-kilowatowej wiejskiej elektrowni słonecznej, do zasilania oświetlenia domowego, pomp wodnych oraz odbiorników radiowych i telewizyjnych, W Madras w prowincji Tamil Nadu władze zainstalowały stację odsalania wody zasilaną energią słoneczną. A firma Central Electronics w pobliżu New Delhi udostępniła model domu, w którym całą niezbędną energię wytwarza się za pomocą ogniw fotoelektrycznych.

Specjalista w dziedzinie biologii molekularnej, Haim Aviv z Izraela, jest autorem projektu wspólnej egipsko-izraelskiej inwestycji na półwyspie Synaj. Twierdzi on, że połączenie egipskiej wody i nowoczesnej izraelskiej techniki irygacyjnej umożliwi uprawę manioku lub trzciny cukrowej, które z kolei można przerabiać na alkohol etylowy, wykorzystywany następnie jako paliwo samochodowe. Plan Aviva zakłada też, że odpady trzciny cukrowej będą używane jako pasza dla owiec i bydła oraz jako bogaty w celulozę surowiec do

produkcji papieru; w ten sposób zostanie zamknięty pełny cykl ekologiczny. Podobne inwestycje można według Aviva zrealizować w niektórych rejonach Afryki, Azji południowoschodniej i Ameryki Łacińskiej.

Kryzys energetyczny, jeden z krytycznych elementów załamania się cywilizacji drugiej fali, rodzi wiele nowych pomysłów produkcji energii dla biedniejszych regionów świata; nowe koncepcje dotyczą zarówno scentralizowanych, jak i zdecentralizowanych metod oraz inwestycji nastawionych na wielką lub też na niewielką skalę. Przy tym wyraźnie rysują się analogie między niektórymi problemami, przed jakimi stoją społeczeństwa pierwszej fali oraz powstające właśnie społeczeństwa trzeciej fali. W każdym razie ani jedno, ani drugie nie mogą uzależnić się od systemów energetycznych stworzonych na użytek epoki drugiej fali.

A co z rolnictwem? I znowu trzecia fala prowadzi nas w niekonwencjonalnych kierunkach. W szklarniach Environmental Research Lab (Laboratorium Badań Środowiskowych) w Tucson w stanie Arizona hoduje się w długich rynnach krewetki tuż obok ogórków i sałaty; nawóz pod warzywa powstaje w wyniku ponownego wprowadzenia do obiegu odpadów z hodowli krewetek. W stanie Vermont prowadzi się na podobnej zasadzie eksperymentalną hodowlę sumy, pstrąga i warzyw. Woda w zbiorniku rybnym pobiera ciepło słoneczne, które oddaje w godzinach nocnych, utrzymując w ten sposób temperaturę powyżej krytycznego poziomu. I tutaj nawóz dla warzyw produkuje ryby.

W Instytucie Nowej Alchemii w stanie Massachusetts fermę kurcząt umieszczono nad zbiornikiem, w którym hoduje się ryby. Łajno kurze spadające do wody stanowi pokarm dla alg i glonów, którymi następnie karmią się ryby. Oto tylko trzy przykłady spośród niezliczonych innowacji w dziedzinie produkcji i przetwarzania żywności; wiele z nich ma szczególne znaczenie i ekscytujące możliwości zastosowania we współczesnych społeczeństwach pierwszej fali.

Z dwudziestoletniej prognozy na temat tendencji w światowej produkcji żywności, sporządzonej przez Center for Futures Research - CFR (Ośrodek Badań Przyszłościowych) w Uniwersytecie Południowej Kalifornii wynika na przykład, że sporo faktów o istotnym znaczeniu obniży prawdopodobnie zapotrzebowanie na nawozy sztuczne. Według badań CFR, istnieje 9 szans na 10, że do 1996 roku wejdą w użycie tanie, łatwo przyswajalne nawozy, dzięki którym zużycie nawozów azotowych spadnie o 15 procent. Istnieje również duże prawdopodobieństwo, że do tego czasu zostaną już wyhodowane odmiany zbóż wiążących azot z powietrza, co wpłynie na dalsze zmniejszenie zapotrzebowania na te nawozy.

Autorzy opracowania uważają za "prawie pewne" wyhodowanie nowych odmian zbóż,

których uprawy na nie nawadnianych terenach przyniosą wzrost wydajności z hektara o 25 do 50 procent. Ich zdaniem, systemy nawadniające typu "natryskowego", przy użyciu zdecentralizowanych pomp wiatrakowych do wydobywania wody ze studni głębinowych oraz zwierząt pociagowych do podlewania upraw, mogłyby znacznie zwiększyć plony oraz wyeliminować coroczne wahania w wysokości zbiorów.

Raport ośrodka mówi poza tym, że trawy pastewne, ze względu na minimalne zapotrzebowanie na wodę, mogłyby podwoić wartość wypasową suchych regionów; mówi też o możliwościach 30-procentowego zwiększenia plonów roślin niezbożowych w rejonach tropikalnych w efekcie lepszego zrozumienia różnych kombinacji odżywek; o przełomowych metodach zwalczania szkodników, dzięki którym zostaną znacznie zmniejszone straty plonów; o nowych tanich metodach pompowania wody; o opanowaniu muchy tse-tse, co udostępni nowe rozległe tereny pod hodowlę bydła.

Bardziej długofalowe prognozowanie przewiduje, że sporą część rolnictwa będą kiedyś stanowić "farmy energetyczne", gdzie będzie się uprawiać kultury służące do wytwarzania energii. Droga ta może prowadzić nawet do połączenia kontroli nad zjawiskami atmosferycznymi z komputerami, kontrolą satelitarną i genetyką - co w sumie zrewolucjonizowałoby światowe zasoby i produkcję żywności.

Chociaż prognozy te dzisiaj nie napełnią jeszcze jedzeniem żołądków biednych wieśniaków, to jednak rządy państw pierwszej fali powinny je uwzględnić w swym długofalowym planowaniu dotyczącym rolnictwa i szukać jak gdyby sposobów połączenia motyki z komputerem.

Nowe technologie, właściwe dla cywilizacji trzeciej fali, również otwierają nowe możliwości. Autorzy znakomitej pracy *Basic Human Needs* (Podstawowe potrzeby człowieka), nieżyjący już futurolog John McHale oraz jego żona i współpracowniczka Magda Cordell McHale, doszli do wniosku, że narodziny supernowoczesnych biotechnologii stwarzają nadzwyczajne możliwości dla przeobrażających się społeczeństw pierwszej fali. Technologie te obejmują między innymi hodowlę oceaniczną oraz wykorzystanie owadów i innych organizmów do wykonywania zadań produkcyjnych; przeróbkę odpadów celulozowych na mięso via mikroorganizmy oraz przetwarzanie roślin w rodzaju euphorbii na paliwo bezsiarkowe. "Zielona medycyna", czyli wytwarzanie środków farmaceutycznych z dotąd nieznanymi lub niedostatecznie wykorzystywanymi form życia roślinnego, stanowi też ogromną szansę dla krajów pierwszej fali.

Postęp w innych dziedzinach również podważa tradycyjne myślenie o rozwoju. Poważnym problemem, przed którym stoją kraje pierwszej fali, jest masowe bezrobocie i niepełne

zatrudnienie. Na tle tych kwestii rozwinęła się ogólnoświatowa dyskusja między rzecznikami pierwszej i drugiej fali. Jedna strona twierdzi, że gałęzie przemysłu nastawione na produkcję masową nie wykorzystują w pełni licznej siły roboczej, przeto w polityce rozwojowej powinno się kłaść nacisk na niewielkie fabryki, oparte na bardziej prymitywnych technologiach, w których pracuje więcej ludzi, ale zużywa się mniej kapitału i energii. Druga strona chciałaby jak najszybciej tworzyć i rozwijać akurat te gałęzie przemysłu drugiej fali, którymi obecnie przestają się interesować kraje najbardziej rozwinięte pod względem technologicznym, a więc przemysły produkujące stal, samochody, buty, tekstylia itp.

Ale budowa stalowni drugiej fali przypominałaby konstruowanie parowozu dla trakcji elektrycznej. Stalownia może i miałaby sens strategiczny lub jakiś inny, ale przecież mamy już dziś kompletnie nowe materiały zespolone, wielokrotnie wytrzymalsze, sztywniejsze i lżejsze niż aluminium, mamy tworzywa przezroczyste równie mocne jak stal, rury z wzmocnionych tworzyw sztucznych do zastąpienia cynkowych rurociągów - jasne więc, że popyt na stal będzie wygasać i w którymś momencie trzeba będzie zahamować nadmierną produkcję stali, toteż trzeba się zastanowić, do kiedy w ogóle warto jeszcze inwestować w budowę nowych stalowni. Zdaniem naukowca M. S. Iyengara z Indii, dzięki wynalazkom tego typu "dalsze zwiększanie produkcji stali i aluminium może okazać się zbyteczne". Miast zabiegać o pożyczki lub zagranicznych inwestorów do rozbudowy potencjału metalurgii stali, może biedniejsze kraje powinny raczej przygotowywać się już teraz do "ery tworzyw"?

Trzecia fala oferuje też inne możliwości. Ward Morehouse, zajmujący się programem polityki badań naukowych na Uniwersytecie w Lund w Szwecji, uważa, że biedne kraje powinny wyjść poza przemysł małej skali pierwszej fali i patrzeć dalej niż scentralizowany, nastawiony na wielką skalę przemysł drugiej fali; powinny zatem zainteresować się jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu nadchodzącej trzeciej fali, czyli mikroelektroniką.

"Przesadny nacisk na technologię pracochłonną, której towarzyszy niska wydajność pracy, mógłby być zgubny dla biednych krajów" - pisze Morehouse. Zwracając uwagę, że wydajność w przemyśle mikroelektronicznym rośnie zawrotnie szybko, uważa on, iż "państwa ubogie w środki kapitałowe powinny skorzystać z możliwości uzyskiwania większej wydajności pracy na jednostkę zainwestowanego kapitału".

Ważniejsza jest jednak zgodność między technologią trzeciej fali a istniejącymi stosunkami społecznymi. Przeto, jak powiada Morehouse, ogromne zróżnicowanie produktów w mikroelektronice oznacza, że "kraje rozwijające się mogą łatwiej dostosować podstawową technologię do własnych warunków społecznych lub posiadanych surowców. Z samej technologii mikroelektronicznej wynika decentralizacja produkcji."

Oznacza to zarazem mniejsze zagęszczenie ludności w wielkich miastach, szybka zaś miniaturyzacja w tej dziedzinie pozwala na równoczesne obniżenie kosztów transportu. Ale najważniejsze jest to, że zużycie energii w tej formie produkcji jest bardzo niskie, szybko natomiast rozwija się rynek i zaostrza konkurencja, toteż mimo że bogate kraje próbują zmonopolizować te gałęzie przemysłu, jest mało prawdopodobne, aby im się to udało.

Nie tylko zresztą Morehouse zauważa, jak dalece nowoczesne gałęzie przemysłu trzeciej fali odpowiadają wymaganiom i warunkom biednych krajów. Roger Melen, dyrektor Laboratorium Obwodów Scalonych uniwersytetu Stanforda, powiada: "Gdy świat się uprzemysławiał, wszyscy wędrowali do miast, teraz natomiast przenosimy fabryki i siłę roboczą z powrotem na wieś, ale przecież liczne kraje, wśród nich i Chiny, nigdy naprawdę nie wyszły poza granice XVII-wiecznej gospodarki rolniczej. Okazuje się teraz, że mogą one wprowadzić u siebie nowe techniki produkcji bez przerzucania całych mas ludzi z miejsca na miejsce."

A skoro tak, to trzecia fala daje nam nową strategię technologiczną do walki z niedostatkiem.

Dzięki trzeciej fali możemy też spojrzeć z innej perspektywy na transport i łączność. W czasie rewolucji przemysłowej warunkiem wstępnym rozwoju społecznego, politycznego i gospodarczego były drogi. Dziś niezbędny jest system łączności elektronicznej. Kiedyś uważano, że łączność stanowi następstwo rozwoju gospodarczego. Natomiast obecnie, jak mówi prezes firmy badawczej Arthura D. Little'a, John Mage, "odrzuca się tę tezę... telekomunikacja jest raczej warunkiem wstępnym niż konsekwencją rozwoju gospodarczego".

Stałe obniżanie się kosztów komunikacji pozwala na zastąpienie łącznością wielu funkcji transportu. O wiele tańsze, oszczędniejsze pod względem energetycznym oraz bardziej dalekowzrocne będzie zbudowanie nowoczesnej sieci łączności niż kosztownych dróg i ulic z mnóstwem odgałęzień. Oczywiście transport drogowy jest potrzebny. Ale wraz z tym produkcja raczej będzie się decentralizować, niż centralizować, można będzie zmniejszyć koszty transportu wcale nie izolując wsi od wsi ani od obszarów miejskich czy od świata w ogóle.

Coraz więcej przywódców państw pierwszej fali zdaje sobie sprawę ze znaczenia komunikacji. Przejawia się to w ostrych bojach, jakie toczą o sprawiedliwszy podział światowego widma elektronicznego. Ponieważ mocarstwa drugiej fali wcześniej rozwinęły swe systemy telekomunikacyjne, one też przejęły kontrolę nad dostępnymi częstotliwościami. Stany Zjednoczone i Związek Radziecki wykorzystują aż 25 procent łatwo dostępnego widma

krótkich fal radiowych oraz lwią część innych zakresów, wymagających bardziej skomplikowanych urządzeń.

A przecież widmo to - podobnie jak głębie morskie i atmosfera ziemska - należy, lub raczej powinno należeć, do wszystkich, nie tylko do wybranych. Toteż liczne państwa pierwszej fali, uważając widmo falowe za wspólne bogactwo, pragną uzyskać doń dostęp, nawet jeżeli w obecnej chwili nie mają urządzeń do korzystania z niego. (Proponują "wydzierżawienie" swojej części zakresów do czasu, aż same będą mogły z nich korzystać.) Napotykać opór, domagają się "nowego ładu informacyjnego w świecie".

Najważniejszy problem tych krajów ma jednak charakter wewnętrzny. Muszą one zdecydować, w jaki sposób dzielić swe ograniczone zasoby między telekomunikację i transport. Przed tym samym problemem stoi zresztą również większość krajów rozwiniętych pod względem technicznym. Społeczeństwa pierwszej fali, które będą miały do dyspozycji tanie stacje naziemne, skomputeryzowane systemy irygacyjne na skalę gminy, a może nawet czujniki naziemne i wprost śmiesznie tanie terminale komputerowe do wyposażenia wsi i prowadzenia w niej produkcji przemysłowej na zasadzie wioski elektronicznej - będą mogły uniknąć kolosalnych nakładów inwestycyjnych na transport, jakie musiały ponosić kraje drugiej fali. Na razie brzmi to utopijnie. Ale wkrótce przekonamy się, że idee te znajdą się na porządku dziennym.

Nie tak dawno temu prezydent Suharto koniuszkiem historycznego miecza wcisnął przycisk elektroniczny, inaugurując tym samym system komunikacji satelitarnej łączącej części archipelagu; akt ten - przypominający wbicie złotego szyniaka w czasie otwarcia kolei łączącej dwa brzegi Ameryki sto lat temu - stał się symbolem nowych możliwości, jakie stwarza trzecia fala krajom dążącym do przeobrażeń.

Opisane fakty i zdarzenia dotyczące energii, rolnictwa, technologii i łączności świadczą o czymś jeszcze głębszym, a mianowicie o formowaniu się zupełnie nowych społeczeństw, opartych na stopieniu przeszłości i przyszłości - pierwszej fali i trzeciej fali.

Można sobie już wyobrazić strategię przeobrażeń polegającą na rozwoju zarówno niemasowych, lokalnych, nie wymagających wysokich nakładów inwestycyjnych, wiejskich gałęzi przemysłu, jak i pewnych, starannie dobranych, wysoko wydajnych technologii, które chroniłaby lub popierała - w zależności od potrzeb - odpowiednio dostosowana polityka gospodarcza.

Jagdish Kapur napisał: "Należy teraz stworzyć nową równowagę między najbardziej nowoczesną nauką i techniką dostępną dla człowieka a nakreśloną przez Gandhiego wizją idyllicznych zielonych łąk, wizją wiejskich republik." Taka praktyczna kombinacja -

stwierdza Kapur - wymaga "całkowitego przeobrażenia społeczeństwa, jego symboli i wartości, systemu oświaty, bodźców, przepływu zasobów energetycznych, jego badań naukowych i wdrożeniowych oraz całej masy innych instytucji".

Coraz częściej jednak dalekowzroczni myśliciele, socjologowie, uczeni i badacze dochodzą do wniosku, że proces tych przemian został już zapoczątkowany; przed nami zarysowuje się kompletnie nowa wizja, która powstaje z syntezy wizji Gandhiego z satelitami.

PIERWOTNI PROSUMENCI

W strategii tej kryje się jeszcze inny rodzaj syntezy. Ma on związek z całym zespołem powiązań gospodarczych między ludźmi a rynkiem, zresztą bez względu na to, czy rynkiem rządzi prawa kapitalistyczne, czy socjalistyczne. Musimy się bowiem zastanowić, ile czasu każdy człowiek powinien przeznaczyć na produkcję, a ile na prosumpcję, czyli ile czasu powinna pochłaniać praca zarobkowa w gospodarce rynkowej, a ile - praca na użytek własny.

Większość społeczeństw pierwszej fali została wciągnięta w system gospodarki pieniężnej. Zostały one "zmarketyzowane". Ale chociaż nędzne zarobki, uzyskiwane przez najbiedniejszych tego świata, mogą być niezbędne do ich przetrwania, to i tak produkcja na wymianę stanowi zaledwie część ich dochodów; resztę gwarantuje im prosumpcja.

Trzecia fala skłania nas, by i na tę sytuację spojrzeć nieco inaczej niż dotychczas. W wielu krajach na świecie miliony ludzi nie mają pracy. Czy jednak pełne zatrudnienie jest tam w ogóle realistycznym celem? Jakie decyzje i środki są niezbędne, by rosnącym rzeszom bezrobotnych zapewnić normalną pracę? Czy samo pojęcie "bezrobocia" nie jest przypadkiem - jak sugeruje szwedzki ekonomista Gunnar Myrdal - jednym z pojęć nierozzerwalnie związanych z drugą falą?

Paul Streeten z Banku Światowego pisze: "Problemem nie jest «bezrobocie», będące wymysłem Zachodu, zakładającym zatrudnienie w ramach nowoczesnego systemu płac, rynku pracy, wymiany siły roboczej i wypłat z tytułu ubezpieczeń społecznych (...) Problem stanowi raczej nienagradzana, nieprodukcyjna praca biedoty, zwłaszcza biedoty wiejskiej." Nadzwyczajny awans prosumenta w krajach bogatych, ten zdumiewający fenomen trzeciej fali, każe nam zakwestionować najgłębsze założenia i cele formułowane przez większość ekonomistów drugiej fali.

Być może błędem jest doganianie rewolucji przemysłowej na Zachodzie, gdzie nastąpił transfer przeważającej części działalności gospodarczej z sektora A (sektora prosumpcji) do sektora B (sektora rynku).

Być może prosumpcję należy traktować jako siłę pozytywną, nie zaś jako godną ubolewania pozostałość przeszłości.

Może ludziom potrzeba częściowego zatrudnienia za pensję (niekoniecznie w gotówce) plus nowe, pomysłowe decyzje mające na celu podniesienie "produktywności" i "wydajności" prosumpcji obywateli. W istocie wzajemne powiązanie tych dwóch rodzajów działalności gospodarczej w sposób bardziej inteligentny może stanowić poszukiwany przez miliony ludzi klucz do przetrwania.

Praktycznie mogłoby to oznaczać dostarczenie im "podstawowych narzędzi do prosumpcji" - co właśnie czyni się obecnie w bogatych krajach. Obserwujemy tam fascynujący zbiorowy wysiłek obu sektorów - rynek oferuje masę narzędzi do użytku prosumentów - od pralek, przez ręczne wiertarki, do kwasomierzy. Nędza w biednych krajach występuje w tak ostrej formie, że mówienie o pralkach albo narzędziach o napędzie mechanicznym czy elektrycznym wydaje się na pierwszy rzut oka zupełnie nie na miejscu. A jednak, czy w prosumpcji nie ma żadnej wskazówki dla społeczeństw odchodzących od cywilizacji pierwszej fali?

Francuski architekt i urbanista Yona Friedman jest zdania, że biedni niekoniecznie chcą pracy, oni potrzebują "pożywienia i dachu nad głową". Praca jest tylko środkiem do osiągnięcia tego celu. Ale przecież często można samemu hodować własne pożywienie i wybudować własny dach nad głową, lub przynajmniej w tym procesie czynnie uczestniczyć. Toteż Friedman w swym opracowaniu dla UNESCO twierdzi, że władze powinny popierać prosumpcję przez łagodzenie niektórych przepisów dotyczących ziemi i budownictwa. Obecne przepisy utrudniają (a często wręcz uniemożliwiają) "dzikim" osadnikom budowę domu lub poprawę warunków mieszkaniowych obywateli.

Stanowczo nagli on rządy do zniesienia tych przeszkód i przyścia ludziom z pomocą w budowie własnego domu, udzielając im "pomocy w organizowaniu się oraz w zdobywaniu trudno dostępnych materiałów (...), o ile to możliwe, w urządzaniu terenu", czyli w doprowadzaniu wody i prądu. Friedman właśnie, choć nie on jeden, uważa, że wszystko, co pomaga człowiekowi własnoręcznie pracować dla siebie samego (na tym polega prosumpcja), jest równie ważne, jak produkcja konwencjonalnie mierzona dochodem narodowym brutto.

W celu zwiększenia "wydajności produkcji" prosumenta rządy powinny popierać zarówno badania naukowe jak i techniczne nastawione na prosumpcję. Lecz nawet teraz mogłyby one niesłychanie małym kosztem zacząć udostępniać proste narzędzia ręczne, organizować osiedlowe lub gminne warsztaty, fachową pomoc ze strony rzemieślników lub instruktorów, udogodnienia w zakresie łączności, a także tam, gdzie jest to możliwe, przekazywać

generatory prądu lub ułatwiać dostęp do sieci elektrycznej. Władze powinny także tworzyć przychylną atmosferę i udzielać wsparcia moralnego dla tych, którzy chcą inwestować własną pracę w budowę domów lub uprawę działek ziemi.

Niestety, dzisiejsza propaganda drugiej fali wmawia nawet najbiedniejszym i żyjącym na krańcach świata ludziom, że ich własnoręczne wyroby są z natury rzeczy gorsze od najgorszych, masowo produkowanych bubli. Rządy drugiej fali miast uczyć ludzi pogardy i niechęci do pracy własnych rąk oraz podziwu dla fabrycznych wytworów drugiej fali, powinny dawać nagrody za najbardziej pomysłowe domy i inne użyteczne dobra, słowem za "najwydajniejszą" prosumpcję. Świadomość, że nawet w najbogatszych społeczeństwach coraz bujniej kwitnie prosumpcja, może pomóc zmienić stosunek do tej formy działalności wśród najbiedniejszych. Wszak trzecia fala rzuca zupełnie nowe światło na całość stosunków między działalnością rynkową i nierynkową we wszystkich społeczeństwach jutra.

Trzecia fala nadaje również pierwszorzędną rangę sprawom nie związanym z produkcją gospodarczą czy techniką. Na przykład zmusza nas do zupełnie nowego spojrzenia na oświatę. Wszyscy się zgodzą, że od edukacji zależy rozwój. Ale od jakiej edukacji?

Kiedy mocarstwa kolonialne wprowadzały obowiązek szkolny w Afryce, Indiach i innych rejonach świata drugiej fali, wprowadzały one bądź szkoły w stylu fabryki, bądź zakładały miniaturowe, niższej kategorii imitacje własnych szkół elitarnych. Dzisiaj wszędzie kwestionuje się modele szkolnictwa drugiej fali. Trzecia fala podważa pogląd drugiej fali, że edukacja musi koniecznie odbywać się w klasie szkolnej. Powinniśmy obecnie łączyć naukę z pracą, z walką polityczną, ze służbą publiczną, a nawet z zabawą. Zarówno w bogatych, jak i w biednych krajach powinny zostać zrewidowane wszystkie obiegowe przekonania na temat oświaty i wychowania.

Czy na przykład oświata w ogóle jest właściwym celem? Jeżeli tak, to co ona oznacza? Czy umiejętność zarówno czytania, jak i pisania? Wybitny antropolog sir Edmund Leach, w swym śmiałym opracowaniu dla ośrodka badań przyszłościowych Instytutu Nevis w Edynburgu, stwierdza, że czytanie jest łatwiejsze i bardziej użyteczne od pisania i że wcale nie każdy musi umieć pisać. Marshall McLuhan mówił o powrocie do kultury oralnej, bliższej wielu społeczeństwom pierwszej fali. Technika rejestrowania i odczytywania mowy otwiera niewiarygodne wprost perspektywy. Nowe, bardzo tanie miniaturowe magnetofony, wbudowane w prosty sprzęt rolniczy, mogą kiedyś stać się sposobem przekazywania ustnych instrukcji niepiśmiennym rolnikom. W takiej perspektywie sama definicja analfabetyzmu wymaga przemyślenia na nowo.

Wreszcie, trzecia fala każe nam spojrzeć również poza konwencjonalne założenia drugiej

fali dotyczące motywacji. Dzięki lepszemu odżywianiu miliony dzieci osiągną wyższy poziom inteligencji i zdolności funkcjonalnych, a równocześnie wzrosnie ich inicjatywa i motywacja.

Ludzie drugiej fali mówią często o bierności i braku motywacji, powiedzmy, u wieśniaków hinduskich czy u chłopów z Kolumbii. Pomijając demotywacyjny efekt niedożywienia, pasożytów przewodu pokarmowego, klimatu i ucisku politycznego, czyż ten rzekomy brak motywacji nie może przynajmniej częściowo wynikać po prostu z niechęci do zburzenia własnego domu, rodziny i obecnego życia w imię wątpliwej nadziei na lepsze życie za wiele lat? Dopóki "rozwój" będzie oznaczać podporządkowanie istniejącej kultury jakiejś kompletnie obcej kulturze i dopóki faktyczna poprawa warunków życia będzie się wydawać niemożliwa - dopóty ludzie będą mieli powody, by uparczywie trzymać się utartych sposobów życia, choćby było ono najnudniejsze.

Zgodność między wieloma cechami cywilizacji trzeciej i pierwszej fali, czy to w Chinach, czy w Iranie, pozwala przypuszczać, że możliwe jest łagodniejsze przejście od jednej do drugiej cywilizacji, bez wielkich wstrząsów, bez bólu, bez szoku przyszłości. Podobieństwa te mogą zatem usunąć źródła tego, co nazwaliśmy demotywacją.

Tak więc trzecia fala stwarza szansę rewolucyjnych przemian nie tylko w dziedzinie energii czy technologii, rolnictwa czy gospodarki, lecz także w każdym umyśle i w każdym zachowaniu ludzkim.

LINIA STARTOWA

Wyłaniająca się trzecia fala nie dostarcza gotowego modelu, do którego można dążyć. Cywilizacja trzeciej fali nie jest jeszcze sama w pełni uformowana. Jednakże otwiera ona - zarówno dla biednych, jak i dla bogatych - nowe, wyzwalające możliwości. Zwraca bowiem uwagę nie na słabości, biedę i nieszczęścia świata pierwszej fali, lecz na tkwiące w jego naturze potęgę i siłę. Te właśnie cechy owej pradawnej cywilizacji, które wydają się zacofane z punktu widzenia drugiej fali, okazują się potencjalnie korzystne, jeżeli przyrównamy je do modelu, który wnosi nadchodząca trzecia fala.

Podobieństwo tych dwu cywilizacji musi w nadchodzących latach przeobrazić sposób, w jaki myślimy o stosunkach między bogatymi i biednymi żyjącymi na świecie. Ekonomista Samir Amin mówi o "absolutnej konieczności" wyrwania się z fałszywego dylematu, w którym wybór miałby być dokonany między kopiowaną z Zachodu nowoczesną techniką albo archaiczną techniką, jaka również istniała na Zachodzie, tyle że sto lat temu. Dzięki trzeciej fali wyrwanie się z tego dylematu staje się możliwe.

Biedni razem z bogatymi stoją już w blokach startowych do nowego, sensacyjnego biegu ku przyszłości.

Rozdział XX

KODA: WIELKI NURT

Nie znajdujemy się już w tym miejscu, w którym staliśmy przed dziesięcioma laty - oślepieni przez zmiany, nie rozumiejąc wzajemnych zależności między nimi. Dziś, spoza chaosu przeobrażeń, wyłania się prawidłowość, coraz bardziej logiczna i zwarta. Przyszłość nabiera kształtu.

Z godziny na godzinę przybiera na sile trzecia fala zmian, którą tworzą wzburzone prądy przeobrażeń, spływające w jeden wielki, historyczny nurt.

Spółczesność przemysłowa nie może po prostu trwać nadal po nadejściu trzeciej fali zmian; wraz z nią następuje radykalna zmiana kierunku, często połączona z negacją wszystkiego, co było przedtem. Sprowadza się to w sumie, ni mniej ni więcej, tylko do totalnego przeobrażenia, które odgrywa dziś równie rewolucyjną rolę, jaką odegrała przed trzystu laty cywilizacja przemysłowa.

A przy tym to, co się dzieje, nie jest jedynie rewolucją technologiczną, lecz nadejściem zupełnie nowej cywilizacji w najdosłowniejszym znaczeniu tego pojęcia. Jeżeli więc przyjrzymy się ponownie omówionym już zagadnieniom, to dostrzeżemy głębokie i często przebiegające równolegle zmiany, zachodzące równocześnie na wielu poziomach.

Każda cywilizacja funkcjonuje w biosferze, jednocześnie na nią oddziałując; odzwierciedla ona lub zmienia strukturę związków między ludźmi i zasobami. Dla każdej cywilizacji charakterystyczna jest jakaś technosfera: baza energetyczna powiązana z systemem produkcji, który z kolei wiąże się z systemem dystrybucji. Każda cywilizacja posiada własną socjosferę, składającą się z wzajemnie na siebie oddziałujących instytucji. Ma też swoją infosferę, czyli kanały komunikacji, którymi przepływają niezbędne informacje. Każda cywilizacja ma swą własną sferę władzy.

Ponadto każda cywilizacja utrzymuje charakterystyczny dla niej zespół stosunków ze światem zewnętrznym, opartych na wyzysku, symbiozie, wojnie lub pokoju. Każda cywilizacja ma też swą superideologię - zbiór niezwykle ważnych założeń kulturowych, które kształtują sposób postrzegania rzeczywistości, oraz uzasadniają jej działanie.

Trzecia fala, co już powinno być oczywiste, wnosi rewolucyjne - i umacniające ją samą - zmiany jednocześnie na wszystkich tak różnych płaszczyznach; konsekwencją jest nie tylko dezintegracja starego społeczeństwa, lecz tworzenie podwalin nowego.

Kiedy widzimy, jak wala się instytucje drugiej fali, rośnie przestępczość, rozpada się rodzina nuklearna, zacinają się i psują niezawodne niegdyś biurokracje, gdy służbie zdrowia

zagroza ruina i niebezpiecznie się chwieją gospodarki przemysłowe - przeważnie dostrzegamy wokół nas jedynie rozkład i upadek. Tymczasem rozkład społeczny to niezły kompost, który użyżni glebę pod nową cywilizację. W dziedzinie energii, technologii, kultury, w modelu rodziny i w wielu innych sferach życia właśnie kładziemy podwaliny podstawowych struktur, które określą główne zarysy nowej cywilizacji.

W istocie, po raz pierwszy możemy wyróżnić już jej główne cechy, a nawet - do pewnego stopnia - poznać wzajemne zależności pomiędzy nimi. Zachęcający jest fakt, że ta, na razie embrionalna, faza cywilizacji trzeciej fali, z którą mamy właśnie do czynienia, jest nie tylko spójna wewnętrznie i skuteczna, zarówno z ekonomicznego, jak i środowiskowego punktu widzenia, lecz również - jeśli się w nią odpowiednio zaangażujemy intelektualnie - można będzie z niej stworzyć jeszcze uczciwszą i bardziej demokratyczną cywilizację niż nasza własna.

W żadnym wypadku nie zamierzam tu sugerować nieuchronności. Okres przejściowy naznacza gwałtowne rozprężenie społeczne, jak również nie kontrolowane skoki gospodarcze, lokalne tarcia i starcia, próby secesji, zaburzenia lub katastrofy technologiczne, przewroty i wstrząsy polityczne, terroryzm, wojny i zagrożenie wojnami. W klimacie kryzysu instytucji i wartości autorytatywni demagodzy i ruchy społeczne będą próbować sięgać po władzę i może nawet ją zdobędą. Żaden inteligentny człowiek nie może niefrasobliwie oczekiwać na to, co z tego wyniknie. Zderzenie dwóch cywilizacji niesie ze sobą kolosalne niebezpieczeństwa.

Jednak nie katastrofa, lecz ostateczne przetrwanie stanowi naszą szansę. Ważne jest, byśmy wiedzieli, dokąd nas pcha główny nurt zmian - jaki będzie ten świat, jeżeli zdołamy uniknąć najgorszych spośród zagrażających nam doraźnych nieszczęść. A więc, krótko mówiąc, jakiego rodzaju społeczeństwo właśnie się tworzy?

FUNDAMENTALIA JUTRA

Cywilizacja trzeciej fali, w odróżnieniu od poprzedniej, musi zacząć (i zacznie) opierać się na niezwykle zróżnicowanych źródłach energii. Będzie wykorzystywać energię wodoru, słoneczną, geotermiczną, energię pływów morskich, energię emitowaną przez żywe organizmy, wyładowania błyskawic, a w końcu może i energię syntezy termojądrowej oraz pochodzącą z jeszcze innych źródeł, nawet niemożliwych do wyobrażenia w latach osiemdziesiątych. (Chociaż niektóre elektrownie jądrowe zapewne nadal będą czynne, mimo że mogą się zdarzyć kolejne, coraz groźniejsze katastrofy - to generalnie okaże się, iż energia jądrowa była kosztownym i niebezpiecznym etapem przejściowym.)

Skutki przejścia do nowej, zróżnicowanej bazy energetycznej mogą być w ostateczności nieobliczalne; raptownie, jak w staccato, występować będą na zmianę - przesylenie rynku i kolejne niedobory, przy obłądnych skokach cen. Niemniej, długofalowy kierunek wydaje się dość wyraźny - przechodzimy od cywilizacji opartej zasadniczo na jednym źródle energii do innej, opartej na wielu i dzięki temu bardziej bezpiecznej. Na końcu tej drogi widzimy cywilizację korzystającą znów z niezależnych, odnawialnych - nie zaś wyczerpywanych - źródeł energii.

Cywilizacja trzeciej fali - szukając nowych rozwiązań w biologii, genetyce, elektronice, materiałoznawstwie - będzie korzystała z o wiele bardziej urozmaiconej bazy technologicznej; zaczną być też wykorzystywane operacje w kosmosie i w głębinach morskich. Choć niektóre nowe technologie będą wymagały dużych ilości energii, to jednak w przypadku większości technologii trzeciej fali zużycie energii będzie mniejsze, a nie większe. Technologie trzeciej fali nie będą tak ogromne, jak w przeszłości, nie będą też powodować równie wielkich jak obecnie szkód w środowisku naturalnym. Technologie te, przeważnie projektowane na niewielką skalę, będą proste w działaniu, a odpady z jednej gałęzi przemysłu będą wykorzystywane do reprodukcji materiałów wyjściowych dla innych gałęzi.

Najbardziej podstawowym surowcem - i to takim, którego nigdy nie zabraknie - jest w cywilizacji trzeciej fali informacja, pospołu z wyobraźnią. Dzięki wyobraźni i informacji zostaną wynalezione substytuty wielu wyczerpujących się już dzisiaj surowców, chociaż ich wprowadzaniu będą także towarzyszyć, niestety dość często, drastyczne zachwiania i wstrząsy gospodarcze.

Ponieważ informacja staje się ważniejsza niż kiedykolwiek przedtem, nowa cywilizacja przebuduje system oświaty, zmieni kierunki i charakter badań naukowych, a przede wszystkim zreorganizuje środki komunikacji. Współczesne massmedia - zarówno drukowane, jak i elektroniczne - absolutnie nie poradzą sobie z ogromnym ładunkiem materiału informacyjnego, nie zdołają też zapewnić niezbędnego do przetrwania zróżnicowania kulturowego. Cywilizacją trzeciej fali nie zapanuje pod względem kulturowym kilka środków masowej komunikacji. Będzie w niej występować wiele oddziałujących wzajemnie na siebie, odmasowionych środków przekazu, które będą współtworzyć prądy umysłowe w społeczeństwie, dostarczając im i jednocześnie czerpiąc z nich ogromnie zróżnicowane i często wysoce zindywidualizowane wyobrażenia i poglądy.

Spójrzmy daleko w przyszłość: miejsce telewizji zajmie "indi-video", a więc system komunikacji niemasowej, który w szczytowej fazie rozwoju osiągnie kształt programu telewizyjnego, każdorazowo adresowanego bezpośrednio do indywidualnego odbiorcy. Może

kiedyś będziemy stosować środki farmakologiczne, umożliwiające bezpośrednią komunikację myślową, oraz inne formy łączności elektrochemicznej, o których dziś jeszcze nie wiemy niemal nic.

Wszystko to zrodzi zaskakujące, lecz zapewne możliwe do rozwiązania problemy polityczne i moralne.

Do gigantycznych scentralizowanych komputerów, z ich furkoczącymi taśmami i skomplikowanym systemem chłodzenia - tam, gdzie będą one jeszcze istnieć, zostaną podłączone niezliczone czipsy inteligencji, które - w takiej czy innej formie - umieści się w każdym domu, szpitalu, hotelu, w każdym wehikule i urządzeniu, właściwie w każdej cegle. Środowisko elektroniczne będzie dosłownie z nami rozmawiać.

Wbrew temu, co się na ogół mylnie sądzi, przejście w kierunku społeczeństwa opartego na informacji i elektronicznie jeszcze bardziej zredukuje nasze zapotrzebowanie na kosztowną energię.

Ta komputeryzacja (czy raczej informacjonalizacja) społeczeństwa nie musi też wcale oznaczać dalszej depersonalizacji stosunków międzyludzkich. Jak zobaczymy w następnym rozdziale, ludzie nadal będą cierpieć, płakać, bawić i cieszyć się sobą, ale wszystko to nabierze zupełnie nowego znaczenia.

Połączenie nowych form energii, technologii i środków informacji trzeciej fali przyspieszy rewolucyjne zmiany w sposobie pracy człowieka. Chociaż nadal buduje się fabryki (w niektórych częściach świata będzie się je budować jeszcze przez nadchodzące dziesiątki lat), jednak fabryka trzeciej fali bardzo mało przypomina te, które znaliśmy dotąd, a w krajach zamożnych liczba ludzi zatrudnianych w fabrykach nadal będzie gwałtownie spadać.

W cywilizacji trzeciej fali fabryka przestanie służyć jako model dla innych instytucji. Jej podstawową funkcją nie będzie też produkcja masowa. Już obecnie w fabryce trzeciej fali powstają odmasowione - często zamawiane indywidualnie - produkty końcowe. Fabryka taka stosuje nowoczesne metody produkcji typu "holistycznego" (całościowej) lub "presto" (szybkościowej). W swej końcowej postaci fabryka zmniejszy zużycie energii i surowców, będzie wymagać mniej części składowych, ale za to o wiele więcej pomysłów i koncepcji projektowych. A najważniejsze, że wiele maszyn uruchamiać będą nie robotnicy, tylko - na odległość - bezpośrednio sami klienci.

Ludzie zatrudnieni w fabryce trzeciej fali nie będą wykonywać pracy tak brutalnie zniewalającej ani tak monotonnej jak ci, którzy wciąż nie mogą wyrwać się z potrzasku drugiej fali. Tempa pracy nie będzie w trzeciej fali dyktować mechaniczny taśmociąg. Poziom hałasu obniży się. Robotnicy będą przychodzić i wychodzić w dogodnych dla siebie porach.

W miejscu pracy, znacznie bardziej ludzkim i zindywidualizowanym, pośród maszyn pojawiają się kwiaty i rośliny. W pewnych granicach wynagrodzenie oraz inne formy premii i dodatków zacznie się w coraz większym stopniu dostosowywać do indywidualnych potrzeb pracownika.

Coraz częściej fabryki trzeciej fali będą mieścić się poza obrębem wielkich metropolii. Będą też one zapewne znacznie mniejsze od fabryk tradycyjnych, a ich poszczególne wydziały, również mniejsze, będą dysponować większą samorządnością.

Podobnie biuro trzeciej fali przestanie przypominać nasze urzędy. W znacznej mierze (choć nie całkowicie) zostanie wyeliminowany główny materiał biurowy, czyli papier. Ucichnie stukot maszyn do pisania. Znikną szafy z aktami. A ponieważ elektronika uwalnia człowieka od wielu czynności i otwiera coraz to nowe możliwości, tradycyjna rola sekretarki też ulegnie zmianie. Ciągłe przekładanie papierów tam i z powrotem, z biurka na biurko, nieustanne wystukiwanie na maszynie nie kończących się kolumn liczb - wszystko to straci sens; ważniejsze i bardziej powszechne stanie się natomiast samodzielne podejmowanie decyzji.

Do obsługi tych przyszłościowych fabryk i biur przedsiębiorstwom trzeciej fali będą bardziej potrzebni pracownicy pełni inicjatywy i zdolni do podejmowania decyzji, aniżeli ludzie automatycznie wykonujący polecenia. Aby przygotować takich pracowników, szkoły będą musiały stopniowo odchodzić od obecnych metod kształcenia pracowników drugiej fali, zdolnych do pracy polegającej przede wszystkim na powtarzaniu w kółko tych samych czynności.

Najbardziej jednak uderzającą zmianą w cywilizacji trzeciej fali będzie chyba przeniesienie pracy z fabryki i z biura na powrót do domu.

Nie wszystkie zajęcia można, powinno się i będzie się wykonywać we własnych domach. Ale gdy tania łączność zastąpi drogi transport, gdy wzrośnie znaczenie inteligencji i wyobraźni, a udział bezmyślnej siły lub zrutynizowanej pracy umysłowej będzie ciągle malał, dość znaczna część siły roboczej w społeczeństwie trzeciej fali będzie przynajmniej częściowo pracować w domu, pozostawiając fabryki wyłącznie tym, którzy faktycznie mają do czynienia z materiałem fizycznym.

Daje to nam klucz do instytucjonalnej struktury cywilizacji trzeciej fali. Niektórzy uczeni sugerują, że - wraz ze wzrostem znaczenia informacji - miejsce fabryki zajmie uniwersytet jako najważniejsza instytucja przyszłego społeczeństwa. Takie przekonanie, podzielane niemal wyłącznie przez pracowników nauki, wynika jednak z prowincjonalnego założenia, iż tylko uniwersytet może być, lub nawet jest, kolebką wiedzy teoretycznej. Przekonanie to jest niczym więcej, jak tylko profesorskim pobożnym życzeniem spełnienia ich własnych marzeń.

Ze swej strony dyrektorzy spółek ponadnarodowych za najważniejsze miejsce w przyszłości uważają gabinet dyrektorski. Przedstawiciele nowych profesji, czyli "menedżerowie informacji", widzą centrum nowej cywilizacji w hali komputerów. Naukowcy zatrudnieni w przemyśle spoglądają ku przemysłowemu laboratorium badawczemu. Niedobitkom hippisów marzy się odtworzenie wiejskiej komuny, która byłaby główną komórką neośredniowiecznej przyszłości. Jeszcze inni prorokują, że społeczeństwa upojone wygodami i beztróską życia będą koncentrować się w "łóżach dogadzania sobie i innym".

Ja natomiast, z powodów wyłożonych wcześniej, nie typuję żadnego z tych miejsc. Będzie nim z pewnością dom.

Sądzę, że w cywilizacji trzeciej fali dom nabierze zupełnie nowego znaczenia. Rozwój "prosumpcji", rozprzestrzenienie się wioski elektronicznej, nowe struktury organizacyjne w biznesie, automatyzacja i odmasowienie produkcji - wszystko to sprawi, że własny dom stanie się znów najważniejszą komórką społeczeństwa przyszłości, komórką, która w szerszym niż obecnie zakresie będzie spełniać funkcje produkcyjne, medyczne, oświatowe i społeczne.

Nie wydaje się jednak prawdopodobne, by którakolwiek instytucja - nawet dom - odgrywała równie ważną rolę jak katedra lub fabryka w przeszłości. Społeczeństwo przyszłości będzie bowiem uformowane raczej wokół poziomej sieci, a nie pionowej hierarchii, nowych instytucji.

Prowadzi to do wniosku, że w przyszłości korporacje (oraz socjalistyczne przedsiębiorstwa przemysłowe) przestaną górować nad innymi instytucjami społecznymi. W społeczeństwach trzeciej fali korporację będzie się uważać - zgodnie z rzeczywistością - za organizację kompleksową; będzie ona musiała realizować równocześnie bardzo różne cele, a nie tylko przynosić zysk czy wykonywać plan. Zamiast koncentrować się na jakimś jednym celu zasadniczym, do czego przygotowuje się dzisiejszych menedżerów, bystry menedżer trzeciej fali będzie musiał mieć na uwadze wiele różnych "celów zasadniczych" (za które będzie osobiście odpowiedzialny).

Gdy przedsiębiorstwa produkcyjne - dobrowolnie albo też pod przymusem - zaczną przywiązywać coraz większą wagę do czynników ekologicznych, politycznych, społecznych, kulturalnych i moralnych - uważanych dziś za nieekonomiczne, a więc nieistotne - ta nowa wielofunkcjonalność będzie musiała stopniowo wpływać na wysokość pensji i premii personelu kierowniczego.

Zmieni się też typowa dla drugiej fali koncepcja sprawności i wydajności, ograniczona zazwyczaj do zdolności przedsiębiorstwa do sprytnego przerzucania pośrednich kosztów na klienta lub podatnika; teraz przedsiębiorstwo zacznie uwzględniać ukryte koszty społeczne,

gospodarcze i inne, które często w praktyce i tak musi ponosić jako odroczone koszty gospodarcze firmy. "Ekono-myślenie", owa charakterystyczna deformacja menedżera drugiej fali, straci popularność.

Kiedy zaczną działać podstawowe reguły cywilizacji trzeciej fali, zostaną drastycznie zreformowane struktury przedsiębiorstw przemysłowych oraz większości innych organizacji. Ludzie, zsynchronizowani przedtem z linią montażową, wraz z nadejściem trzeciej fali zaczną sami ustalać tempo i harmonogramy swych zajęć. Zamiast skrajnej standaryzacji zachowań, idei, języka i stylów życia, występującej w społeczeństwie masowym - społeczeństwo trzeciej fali będzie raczej dążyć do dekoncentracji i zróżnicowań. Zamiast stosowania "skali maximum", zgodnie z zasadą "im większe, tym lepsze", społeczeństwo trzeciej fali pojmie sens "skali właściwej". Zamiast centralizacji za wszelką cenę i w każdej dziedzinie, ludzie trzeciej fali zaczną doceniać zdecentralizowany sposób podejmowania decyzji.

Zmiany te pociągną za sobą zdecydowane odejście od standardowej, staroświeckiej biurokracji. W biznesie, administracji rządowej, szkolnictwie i w innych dziedzinach działalności instytucjonalnej pojawią się zupełnie nowego typu organizacje. Jeżeli gdzieś przetrwają hierarchie, nie będą tak strome ani trwałe jak dzisiejsze, a w zarządzaniu skończy się z zasadą, że "od wydawania poleceń jest szef". W wyniku tych zmian powstaną takie stosunki pracy, w których prawo podejmowania decyzji - nie przypisane nikomu na stałe - będzie w rezultacie dzielić znacznie więcej pracowników.

Wszystkie kraje wchodzące w fazę poprzedzającą trzecią falę znalazły się w obliczu zaostrzającego się, przejściowego bezrobocia. Począwszy od lat pięćdziesiątych znaczny rozwój pracy biurowej i usług stworzyły miejsca pracy dla milionów ludzi, których zwalniano z kurczącego się sektora przemysłowego. Obecnie, kiedy automatyzacja wkracza z kolei do biura, powstaje poważna kwestia, czy dalszy rozwój konwencjonalnego sektora usług zdoła zapewnić zatrudnienie niepotrzebnym dziś urzędnikom. Niektóre kraje radzą sobie - skądinąd nieskutecznie - w ten sposób, że pod naciskiem związków zawodowych przyjmują zbytecznych pracowników, jeszcze bardziej rozbudowują systemy biurokracji publicznej i prywatnej albo też eksportują nadwyżkę siły roboczej. Tak czy inaczej system gospodarczy drugiej fali nie gwarantuje rozwiązania tego problemu.

Teraz łatwiej zrozumiemy sens tego, co określiłem jako awans prosumenta; ten nowy typ człowieka powstanie z połączenia producenta i konsumenta, stopionych w jedno. Cywilizacja trzeciej fali odtworzy ogromny sektor gospodarczy, w którym będzie się wytwarzać dobra raczej na własny użytek niż na wymianę - sektor funkcjonujący na zasadzie "zrób to dla siebie", a nie na sprzedaż. Ten dramatyczny zwrot wstecz, po trzystu latach "marketyzacji",

zacznie wymagać - i równocześnie umożliwiać - myślenia nowymi kategoriami o wszystkich naszych problemach ekonomicznych: od bezrobocia i opieki społecznej począwszy, a na wypoczynku i znaczeniu pracy skończywszy.

Wraz z nastaniem nowej cywilizacji zmieni się także stosunek do "prac domowych" i ich znaczenie dla gospodarki. To z kolei każe nam inaczej spojrzeć na rolę kobiet, na których nadal przeważnie spoczywają obowiązki domowe. Potężna fala marketyzacji ogarniająca cały świat powoli zaczyna opadać, a proces ten pociąga za sobą wprost niewyobrażalne konsekwencje dla przyszłych cywilizacji.

Jednocześnie ludzie trzeciej fali przyjmą zupełnie nowe założenia na temat przyrody, postępu, ewolucji, czasu, przestrzeni, materii i przyczynowości. W swym myśleniu zaczną odchodzić od analogii nawiązujących do maszyn, zastępując je takimi pojęciami, jak proces, sprzężenie zwrotne i stan nierównowagi. Będą bardziej świadomi przerw w ciągłości, bezpośrednio wpływających z samej ciągłości zjawisk.

Zaczną się mnożyć nowe religie, nowe teorie naukowe, nowe wyobrażenia na temat natury ludzkiej i nowe formy sztuki - w ilości i różnorodności o wiele bogatszej, niż było to możliwe i potrzebne w epoce przemysłowej. Tworzącą się zróżnicowaną kulturą będą jednak wstrząsać niepokoje, dopóki nie zostaną wypracowane nowe formy rozwiązywania konfliktów grupowych (obecne systemy prawne są pozbawione wyobraźni i fatalnie niedopasowane do wysoce zróżnicowanego społeczeństwa).

To rosnące zróżnicowanie społeczeństwa będzie również oznaczać zmniejszenie roli państwa narodowego, które do chwili obecnej jest głównym motorem standaryzacji. Cywilizacja trzeciej fali będzie się opierać na nowym systemie podziału władzy, w którym państwo narodowe nie będzie miało takiego znaczenia jak poprzednio, podczas gdy inne instytucje - od ponadnarodowej korporacji po autonomiczne sąsiedztwo (dzielnicowe, osiedlowe) lub nawet miasto-państwo - zyskają na znaczeniu.

Skoro tylko rynki i gospodarki narodowe zaczną się rozpadać, wzrośnie znaczenie regionów; już obecnie istnieją regiony znacznie przewyższające potęgę dawnych rynków i gospodarek krajowych. Mogą wyniknąć zupełnie nowe sojusze, w mniejszym stopniu oparte na bliskości geograficznej, w większym natomiast - na sympatiach i pokrewieństwach natury kulturowej, środowiskowej, religijnej lub gospodarczej; na przykład jakiś region północnoamerykański będzie wolał rozwijać bliższą współpracę z pewnym regionem w Europie lub w Japonii, niż z własnym sąsiadem czy też - w skrajnym wypadku - z własnym rządem. Koordynacją takich powiązań nie będzie się zajmować jakiś jednolity rząd światowy, tylko gęsta sieć nowych organizacji ponadnarodowych.

Kraje nieprzemysłowe, zamieszkiwane przez trzy czwarte ludzkości, otrzymają nowe środki do walki z nędzą. Odrzucając warunki życia z epoki pierwszej fali skończą równocześnie ze ślepym naśladownictwem społeczeństw drugiej fali. Powstaną zdecydowanie odmienne od obecnych "strategie rozwoju", uwzględniające religijną i kulturową swoistość każdego regionu i świadomie zmierzające do minimalizacji szoku przyszłości.

W wielu krajach zaprzestanie się bezlitosnego naruszania własnych tradycji religijnych, łamania struktur rodziny i życia społecznego, w nadziei stworzenia lustrzanego obrazu przemysłowej Anglii, Niemiec, Stanów Zjednoczonych czy też Związku Radzieckiego. Kraje te zaczną budować swe jutro opierając się na własnej przeszłości, dostrzegając jednocześnie, że niektóre cechy społeczeństw pierwszej fali właśnie odradzają się - korzystając z nowoczesnej technologii - w krajach trzeciej fali.

NOWE POJĘCIE: "PRAKTOPIA"

Widzimy tu więc zarys całkowicie nowego sposobu życia, który odcisnie piętno nie tylko na każdym z nas, lecz wręcz na całej planecie. Ale naszkicowanej tu nowej cywilizacji nie nazywałbym bynajmniej utopią. Będą nią wstrząsać dramatyczne problemy, z których część zostanie omówiona na następnych stronicach tej książki. Problemy jednostek i społeczności. Problemy polityczne. Problemy sprawiedliwości, równości i moralności. Problemy związane z nową gospodarką (a zwłaszcza zależności między zatrudnieniem, opieką społeczną i prosumpcją). Te oraz wiele innych problemów będą wywoływać spreczne napięcia.

Ale cywilizacja trzeciej fali nie jest też "antyutopią" - urzeczywistnieniem *Roku 1984* albo *Nowego wspaniałego świata*. Obie te znakomite książki oraz setki pochodnych opowieści fantastyczno-naukowych kreślą wizje skrajnie scentralizowanych, zbiurokratyzowanych i zestandaryzowanych społeczeństw przyszłości, w których doszczętnie wytępiono wszelkie indywidualne różnice między ludźmi. Tymczasem my zdążamy dokładnie w przeciwnym kierunku.

Mimo że trzecia fala niesie z sobą tak poważne zagrożenia, jak choćby niebezpieczeństwo katastrofy ekologicznej, terroryzmu nuklearnego czy faszyzmu elektronicznego, nie stanowi ona po prostu bezpośredniego przedłużenia koszmaru industrializmu.

Rysuje się tu natomiast, na razie jeszcze dość mgliście, coś nowego, co możemy nazwać "praktopią". Nie jest to świat ani najlepszy, ani też najgorszy z wszystkich możliwych, taki, który mając praktyczne szanse istnienia, byłby jednocześnie lepszy od poprzedniego. "Praktopią" - w odróżnieniu od utopii - wcale nie jest wolna od chorób, świństw politycznych i złych manier. Od większości utopii różni się tym, że nie jest statyczna, zastygła w nierealnej

doskonałości. Nie ma w niej atawizmu, który by ją kształtował na podobieństwo jakiegoś wymyślanego ideału przeszłości.

Ale też "praktopią" nie jest bynajmniej ucieleśnieniem czystego zła, ponurą odwrotnością utopii. Nie jest bezwzględnie antydemokratyczna ani militarystyczna. Nie uniformizuje swych obywateli i nie pozbawia ich ludzkiej twarzy. Nie niszczy sąsiadów i nie rujnuje środowiska.

Słowem "praktopią" stwarza pozytywną, wręcz rewolucyjną szansę, znajdującą się w zasięgu naszych realistycznych możliwości.

W tym sensie cywilizacja trzeciej fali stanowi właśnie przyszłość "praktopijną". Można w niej dostrzec cywilizację, która toleruje indywidualne różnice między ludźmi i dopuszcza (a nie tłumi) zróżnicowania rasowe, regionalne, religijne i subkulturowe. Cywilizację skoncentrowaną w poważnej mierze wokół własnego domu każdego człowieka. Cywilizację daleką od skostnienia, pulsującą innowacjami, a jednocześnie zdolną do stworzenia enklaw względnej stabilności dla tych, którzy tego potrzebują i pragną. Cywilizację, która już nie będzie musiała łądować wszystkiego, co najlepsze, w marketyzację. Cywilizację zdolną do wykorzystywania wielkich namietności w sztuce i działalności artystycznej. Cywilizację, stojącą w obliczu nie mających precedensu w historii wyborów - jak choćby w dziedzinie genetyki i ewolucji - oraz konieczności stworzenia nowych norm etycznych i moralnych, które pozwoliłyby rozstrzygać tak skomplikowane problemy. I wreszcie cywilizację, która - przynajmniej potencjalnie - jest demokratyczna i humanitarna, zachowuje lepszą niż obecna równowagę z biosferą i w mniejszym stopniu jest uzależniona od zasobów eksploatowanych w innych częściach świata. Trudne to do osiągnięcia, ale przecież nie niemożliwe.

Zachodzące obecnie zmiany, zlewając się razem w wielką rzekę, prowadzą ku takiej właśnie praktycznej kontrcywilizacji, która zastąpi coraz bardziej przestarzały i nie dający się już dłużej utrzymać system przemysłowy.

Słowem, zmiany te prowadzą do "praktopii".

NIEWŁĄŚCIWE PYTANIE

Dlaczego tak się dzieje? Czemu poczciwa druga fala nagle zaczęła wygasać? Dlaczego fala nowej cywilizacji pędzi wprost do zderzenia ze starą?

Tego nie wie nikt. Nawet dziś, trzysta lat po fakcie, historycy nie zdołali wyłuskać jakiejś jednej jedynej "przyczyny" rewolucji przemysłowej. Widzieliśmy, że każda dziedzina nauki i każdy kierunek filozoficzny proponują własne wyjaśnienia. Zwolennicy determinizmu technologicznego wskazują na maszynę parową, ekologowie - na wyeksploatowanie lasów w Wielkiej Brytanii, ekonomiści - na wahania cen wełny. Jeszcze inni kładą nacisk na

przemiany religijne albo kulturowe; na Reformację, Oświecenie i tak dalej.

Podobnie i w naszym świecie możemy dziś wyróżnić wiele współzależnych sił przyczynowych. Rosnące zapotrzebowanie na wyczerpywalne zasoby ropy naftowej, przyspieszony wzrost zaludnienia na kuli ziemskiej czy też gwałtownie zwiększająca się groźba skażenia środowiska - to, zdaniem ekspertów, główne przyczyny zmian strukturalnych w skali globalnej. Inni podkreślają niesamowity postęp naukowo-techniczny po II wojnie światowej oraz zmiany społeczne i polityczne, jakie ów postęp za sobą pociągnął. Jeszcze inni uważają, że największe znaczenie miało przebudzenie nieprzemysłowego świata oraz będące tego konsekwencją przewroty polityczne, zagrażające żywotnym dla nas dostawom taniej energii i tanich surowców.

Można powoływać się na drastyczne przemiany wartości - na rewolucję seksualną, na bunt młodzieży w latach sześćdziesiątych, na szybkie zmiany stosunku człowieka do pracy. Można wybrać wyścig zbrojeń, który spowodował ogromne przyspieszenie rozwoju w pewnych dziedzinach techniki. Ktoś inny mógłby z kolei upatrywać przyczyny trzeciej fali we współczesnych zmianach kulturowych i epistemologicznych, być może równie głębokich jak zmiany spowodowane przez Reformację i Oświecenie razem wzięte.

Moglibyśmy, krótko mówiąc, znaleźć dziesiątki, nawet setki różnych strumieni zmian zlewających się w jeden wielki nurt; wszystkie te strumienie krzyżują się z sobą w sposób współzależny przyczynowo. Moglibyśmy znaleźć w systemie społecznym zaskakujące dodatnie sprzężenia zwrotne, kolosalnie przyspieszające i potęgujące zmiany, jak również sprzężenia ujemne, które hamują i tłumią inne zmiany. W obecnej dobie burzliwych niepokojów moglibyśmy doszukać się analogii do wielkiego "skoku", o jakim piszą tacy uczeni, jak choćby Ilya Prigogine; w wyniku takiego "skoku" prostsza struktura - po części przypadkowo - nagle przelamuje się na wskroś i przybiera całkowicie nową formę złożoności i zróżnicowania.

To, czego jednak nie możemy znaleźć, to jedna jedyna przyczyna trzeciej fali - w sensie pojedynczej zmiennej niezależnej lub pojedynczego ogniwa, które pociąga za sobą zmiany całego łańcucha. W samej rzeczy, pytając o to, "co jest przyczyną", wybieramy niewłaściwy sposób sformułowania pytania albo w ogóle stawiamy niestosowne pytanie. Samo bowiem pytanie: "Co jest przyczyną trzeciej fali?", może należeć do sposobu myślenia drugiej fali.

Nie chcę przez to umniejszać zasady przyczynowości, ale raczej podkreślić jej wielką złożoność. Nie wynika z tego również historyczna nieuchronność. Być może cywilizacja drugiej fali chyli się ku upadkowi i nie da się jej już podtrzymać, ale nie oznacza to jeszcze, że przedstawiona tu cywilizacja trzeciej fali musi koniecznie urzeczywistnić się w praktyce.

Pod wpływem jakichś sił obraz może się radykalnie zmienić. Natychmiast na myśl przychodzą wojny, ruina gospodarcza, katastrofa ekologiczna. Wprawdzie nikt nie zdoła powstrzymać płynącej już historycznej fali zmian, ale konieczność i przypadek wciąż mają w niej jednakowe szanse. Nie oznacza to jednak, że nie mamy żadnego wpływu na bieg tej fali. Jeżeli dobrze przedstawiłem istotę dodatniego sprzężenia zwrotnego, to przecież często zaledwie jedno posunięcie może wywołać zmiany o olbrzymim zasięgu w całym systemie.

Decyzje, jakie dziś podejmujemy - jako jednostki, grupy albo rządy - mogą powodować odchylenia rwących nurtów przeobrażeń, odwrócenie ich biegu lub skierowanie ich w zupełnie inną stronę. W różnych krajach ludzie będą rozmaicie reagować na zagrożenia, jakie stanowi dla nich walka orędowników drugiej fali przeciwko rzecznikom trzeciej. Rosjanie odpowiedzą po swojemu, Amerykanie po swojemu, Japończycy, Niemcy, Francuzi czy Norwegowie jeszcze inaczej, poszczególne zaś kraje zaczną się prawdopodobnie coraz bardziej różnić między sobą, a nie coraz mniej.

Wewnątrz tych krajów będzie tak samo. Z drobnych zmian mogą wynikać poważne konsekwencje - w przedsiębiorstwach przemysłowych, w szkołach, w kościołach, w szpitalach i w osiedlach. Oto dlaczego mimo wszystko ludzie - nawet pojedyncze jednostki - wciąż się liczą.

Dzieje się tak dlatego, że zmiany, które mają nastąpić, stanowią rezultaty konfliktu, nie zaś automatycznego postępu. Tak więc bardziej zacofane regiony w każdym kraju rozwiniętym usiłują osiągnąć wysoki poziom uprzemysłowienia. Starają się ochronić swe fabryki, należące do drugiej fali, oraz istniejące w nich miejsca pracy. Cel ten stawia je w konflikcie z regionami, gdzie baza technologiczna trzeciej fali jest już zaawansowana. Takie batalie dzielą społeczeństwa, ale jednocześnie stwarzają wiele możliwych skutecznych działań politycznych i społecznych.

Tocząca się obecnie w każdym skupisku ludzkim super-walka między ludźmi drugiej i trzeciej fali nie oznacza, że inne konflikty straciły znaczenie. Nadal trwa walka klas, konflikt na tle rasowym, spór młodych i starych z tym, co kiedyś nazwałem "imperializmem wieku średniego"; nadal utrzymują się konflikty między regionami, między kobietami i mężczyznami, między ludźmi odmiennych wyznań. Niektóre konflikty jeszcze bardziej się zaostrzą. Ale wszystkie zostały już podporządkowane tej walce; ona też nadaje im własną formę. Bo to właśnie ta super-walka w najbardziej zasadniczy sposób określa naszą przyszłość.

Podczas gdy nasze uszy wypełnia huk trzeciej fali, dwa zjawiska przenikają na wskroś wszystkie inne. Jedno, to dążenie do coraz większego zróżnicowania w społeczeństwie -

tendencja do odmasowienia społeczeństwa masowego. Drugie, to przyspieszenie - szybsze tempo następowania zmian historycznych. Oba te zjawiska razem wzięte wystawiają na straszliwą próbę zarówno jednostki, jak i instytucje, zaostrzając toczącą się wokół nas super-walkę.

Jednostki i instytucje - nawykłe do radzenia sobie w warunkach niewielkiego zróżnicowania i powolnych przeobrażeń - nagle muszą zacząć funkcjonować w sytuacji wielkich zróżnicowań i zawrotnych zmian. Ostre napięcia grożą nadmiernym przeciążeniem ludzkiej zdolności podejmowania decyzji. Efektem jest szok przyszłości.

Zostaje nam tylko jedna możliwość. Musimy zechcieć dostosować siebie samych i nasze instytucje do nowych realiów.

Taka jest bowiem cena doprowadzenia do możliwej w praktyce i w miarę humanitarnej przyszłości. W celu przeprowadzenia niezbędnych zmian musimy jednak przyjąć całkowicie nowy i pełen wyobraźni punkt widzenia na dwa palące problemy. Oba mają decydujące znaczenie dla naszego przetrwania, a jednak w dyskusji publicznej prawie nie ma dla nich miejsca; problemy te, to przyszłość osobowości ludzkiej i polityki.

Właśnie nimi się teraz zajmijmy...

ZAKOŃCZENIE

Rozdział XXI

NOWA PSYCHOSFERA

Wylania się nowa cywilizacja. Ale gdzie w niej jest miejsce dla nas? Czy zachodzące dziś zmiany technologiczne i przewroty społeczne nie oznaczają kresu przyjaźni, miłości, poczucia obowiązku, wspólnoty i troski o drugiego człowieka? Czy cuda elektroniki jutra nie sprawią, że stosunki między ludźmi staną się jeszcze bardziej bezduszne i powierzchowne niż obecnie?

Pytania te są uzasadnione. Wynikają one ze słusznych obaw i tylko naiwny technokrata mógłby je lekceważyć. Jeśli bowiem rozejrzemy się wokół siebie, zobaczymy występujące powszechnie objawy załamania psychicznego. Jakby w "psychosferze" naszego społeczeństwa wybuchła bomba. Przeżywamy, w istocie, nie tylko upadek technosfery drugiej fali, klęskę jej infosfery czy socjosphery, ale także załamanie się psychosfery.

Do wszystkich bogatych krajów odnosi się aż nadto znajoma litania: wzrost wskaźnika samobójstw wśród młodocianych; szerzenie się alkoholizmu, depresji psychicznych, wandalizmu i przestępczości. W Stanach Zjednoczonych izby przyjęć pogotowia ratunkowego pełne są ludzi zaszczepionych marihuaną, znajdujących się w psychodelicznym transie po przedawkowaniu LSD, kokainistów, heroinistów i innych "ćpunów", nie wspominając już o pacjentach ze zwykłym załamaniem nerwowym.

W całym kraju rozwijają się instytucje opiekunów społecznych i kwitnie działalność na rzecz ochrony zdrowia psychicznego. Powołana przez prezydenta Komisja do spraw Zdrowia Psychicznego w Waszyngtonie stwierdza, że co najmniej jedna czwarta wszystkich obywateli USA cierpi z powodu mniej lub bardziej ostrego rozstroju nerwowego. Psycholog z Krajowego Instytutu Zdrowia Psychicznego stawia tezę, że prawie nie ma rodziny, w której nie występowałyby - w takiej czy innej formie - zaburzenia umysłowe; stwierdza on, iż "w społeczeństwie amerykańskim - zdezorientowanym, podzielonym i niespokojnym o własną przyszłość - gwałtownie szerzą się... zaburzenia psychiczne".

To prawda, że zbyt daleko idące uogólnienia, wyprowadzone z chłonnych jak gąbka definicji i nierzetelnej statystyki, brzmią podejrzanie; tym bardziej nie jest prawdą, jakoby wcześniejsze społeczeństwa były wzorami dobrego zdrowia psychicznego obywateli. Dzisiaj obserwujemy jednak coś naprawdę potwornego.

Nękanie niepokojami, przeżywamy nasze powszednie dni niczym na ostrzu noża. Nerwy

mamy w strzępkach i - sądząc po wybuchających w metro i w kolejkach pod stacjami benzynowymi bójkach i strzelaninach - nasza wytrzymałość wisi na włosku. Miliony ludzi mają już nieodwołalnie dosyć.

W dodatku coraz bardziej zatruwa im życie powiększający się legion różnych zbrojeńców, dziwaków, odszczepieńców, nawiedzonych mistyków i psychopatów, których społeczne zachowania znajdują aprobatę w prasie i telewizji. Przynajmniej na Zachodzie upiększa się obłęd i gloryfikuje pacjentów "kukułczego gniazda". Autorzy bestsellerów głoszą, że obłęd to mit, a w Berkeley powstaje pismo literackie poświęcone idei, że "Szaleństwo, Geniusz i Świątość są niemal tym samym, przeto winniśmy im nadać takie samo miano i prestiż".

Tymczasem miliony ludzi w szaleńczym zapamiętaniu gonią za utraconą tożsamością, próbują wynaleźć jakąś magiczną terapię, która pozwoliłaby zintegrować na nowo ich roztrząskaną osobowość, udzielić natychmiastowego poczucia intymności lub ekstazy albo wprowadzić ich w stan "wyższej" świadomości.

Ruch na rzecz tak zwanych "ukrytych możliwości człowieka", który z Kalifornii przenosi się na wschód Stanów Zjednoczonych, zrodził do końca lat siedemdziesiątych blisko 8 000 różnych "terapii", opartych częściowo na psychoanalizie, religiach Wschodu, eksperymentach seksualnych, na "grze" (czyli zbiorowej psychoterapii praktycznej) oraz na starych jak świat teoriach odrodzenia religijnego. Zacytujemy jedno z krytycznych opracowań na ten temat: "Techniki te, w ponętnych opakowaniach, rozpowszechniano jak kraj długi i szeroki pod różnymi nazwami: Dynamika myśli, Arica, Kontrola myśli, Silva. Medytację transcendentalną proponowano klientom zupełnie tak samo jak szkołę szybkiego czytania. «Scjentologiczna dianetyka» już od lat pięćdziesiątych upowszechniała na masową skalę swoją własną, popularną terapię. Jednocześnie pełen rozkwit osiągnęły kultury religijne organizujące w całej Ameryce masowe zbiórki funduszy i akcje rekrutacyjne."

Jeszcze ważniejszy od rozwijającego się ruchu na rzecz ukrytych możliwości ludzkich jest chrześcijański ruch ewangelicki. Apeluje do uboższych i słabiej wykształconych sfer społeczeństwa, niezwykle zręcznie wykorzystuje potężną telewizję i radio, dzięki czemu ów ruch "nowo narodzonych" osiąga wprost gigantyczne rozmiary. Wyniesieni na szczyty religijni kramarze nakazują swym uczniom zabiegać o zbawienie w dekadentckim - jak twierdzą - i skazanym na zagładę społeczeństwie.

Ta fala złego samopoczucia i depresji z niejednakową siłą zaatakowała różne części technologicznego świata. Stąd też na przykład czytelnicy w Europie i w innych częściach świata mogą uznać, że będąc zjawiskiem typowo amerykańskim, dla nich sprawa ta nie ma wielkiego znaczenia; zresztą w samych Stanach Zjednoczonych niektórzy ludzie uważają, że

jest ona po prostu kolejnym przejawem osławionej kalifornijskiej skłonności do dziwactw i odmienności.

Oba przekonania są dalekie od prawdy. Jeżeli udręczenie i dezintegrację psychiczną najbardziej uderzająco widać w Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza w Kalifornii, to oznacza to tylko, że trzecia fala nadeszła tam nieco wcześniej niż gdzie indziej, powodując rychlejsze i bardziej spektakularne załamanie się struktur społecznych drugiej fali.

Istotnie, w wielu społeczeństwach, i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych, zapanowała jakaś paranoja. Na ulicach Rzymu i Turynu czają się terroryści. W Paryżu i niegdyś tak spokojnym Londynie szerzą się napady rabunkowe i wandalizm. W Chicago starsi ludzie boją się wieczorami chodzić po ulicach. Szkoły i metro w Nowym Jorku stały się siedliskiem przemocy i gwałtu. A w samej Kalifornii jeden z magazynów oferuje czytelnikom rzekomo praktyczny poradnik na temat "broni ręcznej i jej obsługi, psów tresowanych do ataku, alarmów przeciw włamaniowych, środków bezpieczeństwa osobistego, kursów samoobrony oraz komputerowych systemów zabezpieczających".

W powietrzu cuchnie rozkładem. To odór umierającej cywilizacji drugiej fali.

SZTURM NA SAMOTNOŚĆ

Aby wyłaniającej się cywilizacji jutra zapewnić satysfakcjonujące życie emocjonalne i zdrową psychosferę, musimy uwzględnić trzy podstawowe wymogi każdego człowieka: potrzebę więzi społecznej, potrzebę struktury oraz potrzebę poczucia sensu. Zrozumienie, w jaki sposób upadek społeczeństwa drugiej fali godzi we wszystkie te trzy potrzeby, może ułatwić stworzenie zdrowszego środowiska psychologicznego dla nas i dla naszych dzieci w przyszłości.

Po pierwsze, każde godziwe społeczeństwo musi wytworzyć poczucie więzi z innymi ludźmi. Więzy społeczna przeciwdziała samotności. Daje ludziom nieodzowne poczucie przynależności. Tylko że dziś we wszystkich społeczeństwach technologicznych kruszą się i rozpadają te instytucje, od których zależy więź między ludźmi. W rezultacie plaga samotności rozszerza się.

Od Los Angeles po Leningrad - nastolatki, nieszczęśliwe małżeństwa, samotne matki i samotni ojcowie, zwyczajni ludzie pracy i ludzie starzy - wszyscy skarżą się na izolację społeczną. Rodzice wyznają, że ich dzieci zbyt są zajęte, by ich odwiedzać czy bodaj zatelefonować. Samotni ludzie w barach i w samoobsługowych pralniach bielizny czynią zupełnie obcym ludziom "bezgranicznie smutne zwierzenia" - jak określił to jeden z socjologów. Kluby i dyskoteki samotnych służą jako giełdy ciał dla zdesperowanych

rozwódek i rozwodników.

Nie dostrzega się też, że samotność odgrywa istotną rolę w gospodarce. Ileż to kobiet, doprowadzonych do szału dzwoniącą pustką w dostatnich domach na przedmieściu, poszło szukać pracy, żeby ratować się przed utratą zmysłów? Ilu ludzi kupuje koty i psy (no i jedzenie dla domowych ulubieńców), żeby zagłuszyć ciszę opustoszałego domu? Samotność wspiera nasze biura podróży i przedsiębiorstwa rozrywkowe. Przyczynia się do wzrostu spożycia leków, występowania depresji i spadku wydajności pracy. Dzięki niej rozwija się lukratywny przemysł "samotnych serc", który ma ponoć ułatwiać najpierw wyszukanie, a potem schwytanie najbardziej "odpowiedniego" partnera.

Dolegliwość osamotnienia nie jest bynajmniej niczym nowym. Ale samotność jest dziś uczuciem tak powszechnym, że - paradoksalne - przeżywa się je zbiorowo.

Poczucie wspólnoty wymaga jednak czegoś więcej niż tylko zadowalających więzi emocjonalnych między poszczególnymi ludźmi. Wymaga ono również silnych związków opartych na lojalności między ludźmi i organizacjami. Miliony ludzi równie dokuczliwie jak brak towarzystwa innych osób odczuwają brak poczucia więzi z instytucjami, których część przecież sami stanowią. Ludzie pragną instytucji godnych szacunku, sympatii i lojalności.

A właśnie tego nie zapewnia im dzisiejsza korporacja.

W miarę jak kampanie coraz bardziej się rozrastają, stają się bardziej bezosobowe i rozmieniają się na drobne w chaotycznych przedsięwzięciach, pracownicy czują, że nie uczestniczą we wspólnej sprawie. Brakuje nastroju wspólnoty. Samo określenie "lojalność korporacyjna" brzmi archaicznie. Faktycznie, lojalność wobec przedsiębiorstwa uważana jest często za zdradę samego siebie. Bohaterka popularnej powieści ze świata wielkiego biznesu *The Bottom Line* (Cel zasadniczy), Fletchera Knebela, w rozmowie ze swoim mężem, dyrektorem kompanii, rzuca opryskliwie: "Lojalność wobec kompanii! Zbiera mi się od tego na wymioty."

Z wyjątkiem Japonii, gdzie nadal obowiązuje system gwarantujący zatrudnienie do końca życia i zasada paternalizmu korporacji wobec pracowników (choć też wobec coraz mniejszej liczby zatrudnionych), wszędzie indziej stosunki pracy mają przeważnie charakter przejściowy i nie zaspokajają potrzeby więzi emocjonalnej pracowników. Nawet kiedy kompania podejmuje trud socjalizacji stosunków pracy - na przykład organizuje doroczny piknik, finansuje drużynę gry w kręgle, urządza gwiazdkowe przyjęcie dla pracowników - to i tak stosunki służbowe w większości wypadków mają powierzchowny charakter.

Z tych przyczyn tylko nieliczni mają poczucie przynależności do czegoś większego i lepszego niż oni sami. Od czasu do czasu, w okresie kryzysu, stresu, jakiejś klęski czy

masowej demonstracji, spontanicznie wybuchają gorące nastroje uczestnictwa. Na przykład poczucie wspólnoty zespałało w latach sześćdziesiątych wielkie strajki studentów. Taką samą rolę spełniają dziś manifestacje antynuklearne. Ale zarówno te ruchy, jak i wzniecane przez nie uczucia szybko przemijają. Wspólnota to rzadka rzecz.

Jedną z przyczyn tej epidemii samotności tkwi w powiększających się zróżnicowaniach społecznych. Odmasowienie społeczeństwa, podkreślanie różnic, a nie podobieństw - to wszystko przyczynia się do zróżnicowania indywidualności ludzkich. Każdemu człowiekowi ułatwia się zrealizowanie jego własnych możliwości. Ale jednocześnie utrudnia się kontakty między ludźmi. Im bardziej jesteśmy bowiem zindywidualizowani, tym trudniej nam znaleźć partnera, którego zainteresowania, wartości, plany i upodobania odpowiadałyby dokładnie naszym. O przyjaciół też trudniej. W kontaktach towarzyskich stajemy się bardziej wybredni. Ale inni też. W rezultacie tyle jest niedopasowanych związków. Albo wręcz brak jakichkolwiek związków.

Rozpad społeczeństwa masowego, chociaż zwiastuje każdemu człowiekowi znacznie większe szanse własnej realizacji, wywołuje - przynajmniej na razie - powszechną chorobę izolacji. Jeżeli wyłaniające się nowe społeczeństwo trzeciej fali nie ma być zimne i niewrażliwe, z próżnią zamiast serca - musi ten problem zaatakować frontalnie. Musi odbudować i przywrócić poczucie wspólnoty.

OD CZEGO ZACZAĆ?

Jeżeli tylko uznamy, że samotność nie jest już sprawą indywidualną, lecz problemem publicznym zrodzonym w rezultacie rozpadu instytucji drugiej fali - znajdziemy wiele możliwości działania. Trzeba chyba zacząć od rodziny - czyli tam, gdzie zazwyczaj rodzi się poczucie wspólnoty - na początek rozszerzając zakres jej funkcji.

Od czasów rewolucji przemysłowej trwa postępujący proces zwalniania rodziny od ciężaru opieki nad najstarszymi jej członkami. Zdjęliśmy zeń tę odpowiedzialność, ale może jednak teraz powinniśmy ją częściowo przywrócić. Tylko nostalgiczny głupiec chciałby zlikwidować państwowe i prywatne systemy emerytalne albo przywrócić dawne całkowite uzależnienie materialne starszych ludzi od rodziny. Czemuż by jednak nie' wprowadzić ulg podatkowych i innych bodźców ekonomicznych dla rodzin - z rodzinami nienuklearnymi i niekonwencjonalnymi włącznie - które opiekują się starymi krewnymi, miast pozbywać się ich umieszczając w bezosobowych "domach starców". Dlaczego nie mielibyśmy nagradzać, zamiast karać, materialnie tych, którzy podtrzymują i umacniają międzypokoleniowe więzy rodzinne?

Tę samą zasadę można by rozciągnąć również na inne funkcje rodziny. Powinno się zachęcać rodzinę do większego udziału w edukacji dzieci. Szkoła powinna wspierać, a nie odsądzać od czci i wiary za naruszenie prawa tych rodziców, którzy pragną uczyć swoje własne dzieci. A rodzice ze swej strony powinni wywierać większy wpływ na szkołę.

Jednocześnie sama szkoła mogłaby o wiele bardziej starać się wytworzyć u uczniów poczucie przynależności. Zamiast stawiania ocen wyłącznie za indywidualne postępy, można by ocenę ucznia częściowo uzależnić od osiągnięć klasy lub jakiegoś zespołu w klasie. Pomogłoby to dostatecznie wcześnie i silnie wyrobić przekonanie, że każdy z nas ponosi odpowiedzialność za innych. Obdarzeni wyobraźnią wychowawcy mogliby, przy odrobinie zachęty, zaproponować wiele innych, lepszych sposobów rozwijania poczucia wspólnoty wśród młodzieży.

Również wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe mogłyby wiele uczynić dla odbudowy więzi międzyludzkich. System produkcji trzeciej fali umożliwia decentralizację i tworzenie mniejszych zakładów pracy o silniejszych związkach osobistych. Pomysłowe kompanie mogłyby podnieść morale i poczucie przynależności zwracając się do grup pracowników, by organizowali się w mini-kompanie lub spółdzielnie, a następnie zawierając z tymi grupami umowy na wykonanie konkretnych prac.

Rozparcelowanie gigantycznych korporacji na małe samorządne przedsiębiorstwa nie tylko uruchomiłoby niespotykane zasoby energii produkcyjnej, ale jednocześnie roznieciłoby poczucie więzi i współodpowiedzialności.

Norman Macrae, zastępca redaktora naczelnego tygodnika "The Economist", uważa, że "na wpółautonomicznym zespole, złożonym, powiedzmy, z 6 do 17 osób, pragnącym pracować razem, bo się znają i lubią, ekonomiści i eksperci handlowi powinni mówić, ile się płaci na rynku za określony asortyment oraz jakie wynagrodzenie należy się za poszczególne czynności, a dalej nikt już nie powinien im przeszkadzać produkować to, co chcą i jak im się żywnie podoba".

W istocie, powiada dalej Macrae, "ci, którzy stworzą efektywne kooperatywy produkcyjne, oparte na grupach zaprzyjaźnionych osób, uczynią wiele dobrego dla społeczeństwa i może zasługują na jakieś dotacje lub ulgi podatkowe". (Szczególnie interesujące w tych propozycjach jest to, że można powoływać kooperatywy w ramach dochodowej korporacji, albo, jak kto woli, dochodowe kompanie w ramach socjalistycznego przedsiębiorstwa produkcyjnego.)

Korporacje mogłyby również spojrzeć krytycznie na dotychczasowe praktyki związane z odchodzeniem pracowników na emeryturę. Całkowite zwolnienie pracownika w podeszłym

wieku nie tylko pozbawia go regularnie wypłacanej pensji i odbiera mu poczucie produktywności, jaką miał w oczach społeczeństwa, ale również odcina go od jego środowiska zawodowego. Czy nie można by wprowadzić jakichś form częściowego przechodzenia na emeryturę, w których "częściowi emeryci" mogliby pracować społecznie bądź nawet odpłatnie w osiedlowych czy dzielnicowych instytucjach usługowych, cierpiących na brak personelu?

Innym sposobem odbudowania wspólnoty mogłoby być stworzenie warunków do obustronnego nawiązywania kontaktów między emerytami i młodzieżą. Można by w każdej lokalnej społeczności mianować starsze osoby "pomocnikami nauczycieli" czy "opiekunami" i zatrudniać ich na niepełnym etacie w miejscowych szkołach, gdzie nauczaliby swoich specjalności, lub po prostu zaprosić ich, by zajmowali się tym społecznie w wolnych chwilach. Mogliby też uczyć u siebie w domu, gdzie regularnie zgłaszałiby się po instrukcje i na konsultacje ich "podopieczni" uczniowie. Pod nadzorem szkoły emerytowani fotografowie uczyliby fotografii, mechanicy samochodowi - jak naprawić krąbny silnik, księgowi - buchalterii itd. W wielu wypadkach między opiekunem a "podopiecznym" rozwinęłyby się zdrowa więź, wykraczająca poza schemat instruktora zawodowego.

Samotność to nie grzech i w społeczeństwie, którego struktury rozpadają się w takim tempie, nie powinna być hańbą. Pyta więc czytelnik w liście do londyńskiego czasopisma "Jewish Chronicle": "Dlaczego «nie przystoi» chodzić na zabawy, co do których nie ma żadnej wątpliwości, że wszyscy przychodzą tam tylko po to, żeby spotkać osoby odmiennej płci?" Tak samo można by spytać o bary, dyskoteki i wczasy dla samotnych.

Autor listu przypomina, że w miasteczkach wschodnioeuropejskich instytucja swatki wyświadczała pożyteczne usługi w kojarzeniu małżeństw; obecnie tę samą rolę mogłyby spełniać biura matrymonialne i podobne agencje. "Nie powinniśmy się wstydzić przyznać, że potrzebujemy pomocy w kontaktach z ludźmi i w życiu towarzyskim."

Potrzebujemy wielu nowych rodzajów usług - zarówno tradycyjnych, jak i nowoczesnych - które by ludziom samotnym pomagały w nawiązywaniu kontaktów w godny sposób. Niektórzy ludzie w poszukiwaniu towarzystwa, męża czy żony, korzystają z ogłoszeń zamieszczanych w prasie w rubryce "samotnych serc". Jestem pewien, że niebawem telewizja w programach lokalnych zacznie nadawać wideooferty, które umożliwią ewentualnym partnerom przyjrzenie się sobie nawzajem, zanim spotkają się osobiście. (Podejrzewam, że programy takie będą się cieszyć kolosalnym powodzeniem.)

Ale czy te agencje usług towarzyskich mają się ograniczać jedynie do aranżowania romantycznych kontaktów? A dlaczegoż by nie powołać instytucji czy miejsc, gdzie ludzie

mogliby przychodzić, żeby po prostu znaleźć przyjaciela, niekoniecznie szukając kochanka lub potencjalnego współmałżonka? Ludziom potrzebne są takie instytucje i - jeśli tylko będą one uczciwe i przyzwoite - nie powinniśmy odczuwać zakłopotania organizując je oraz korzystając z ich usług.

"TELE-WIĘŹ"

W zakresie długoterminowej polityki społecznej powinniśmy również jak najprędzej zająć się "tele-więzią". Ci, którzy pragnęliby odbudować poczucie wspólnoty, winni zwrócić uwagę na fakt, że długie dojazdy do pracy i częste przeprowadzki wpływają na nietrwałość więzi międzyludzkich. Pisałem o tym szczegółowo w *Szoku przyszłości* i nie zamierzam tu powtarzać całego wywodu. Ale jednym z najważniejszych kroków prowadzących do wbudowania w trzecią falę poczucia wspólnoty byłoby selektywne zastępowanie transportu - wzajemnym komunikowaniem się człowieka z człowiekiem.

Naiwnością i uproszczeniem trąci powszechna obawa, że komputery i telekomunikacja pozbawią nas bezpośrednich kontaktów osobistych, a naszym stosunkom z innymi ludźmi odbiorą autentyczność. W rzeczywistości może być akurat na odwrót. Wprawdzie mogą rozluźnić się stosunki w biurze czy w fabryce, ale dzięki usprawnieniom technicznym zacieśnić się mogą więzy rodzinne i stosunki sąsiedzkie. Komputery i środki komunikacji mogą nam pomóc w tworzeniu wspólnoty.

A w każdym razie mogą one uwolnić wielu z nas od dojazdów do pracy, które - niczym potężna centryfuga - rzucają nas co rano w wir powierzchownych kontaktów służbowych, osłabiając jednocześnie o wiele ważniejsze związki z rodziną i sąsiedztwem. Nowe technologie, dzięki którym wiele ludzi zacznie pracować w domu (lub w pobliskich, osiedlowych czy dzielnicowych ośrodkach pracy), mogą przyczynić się do ocieplenia i zacieśnienia więzów rodzinnych oraz do wyrobienia większej wrażliwości na sprawy innych ludzi. Może okazać się, że wioska elektroniczna stanie się charakterystycznym biznesem rodzinnym przyszłości. Przekonaliśmy się już, że może to prowadzić do powstania rodziny nowego typu, opartej na wspólnej pracy, wykonywanej również przez dzieci (a niekiedy nawet wchłaniającej obcych ludzi z zewnątrz).

Nie wykluczone, że małżeństwa pracujące w ciągu dnia przez wiele godzin razem w domu zechcą pójść gdzieś wieczorem. (Dziś częściej zdarza się, że skazany na dojazdy człowiek wraca do domu skonany i nie chce mu się już nigdzie wychodzić.) Można się spodziewać, że kiedy komunikacja zacznie się kojarzyć bardziej z komunikowaniem się a mniej z transportem, będziemy świadkami mnożenia się lokalnych restauracji, kin i teatrów, barów i

klubów, ożywienia działalności kościołów i różnych organizacji społecznych, przy czym działalność tych instytucji będzie się opierać przeważnie na bezpośrednich kontaktach między ludźmi.

Ale przecież rzecz nie w tym, by wszelkie nieosobiste kontakty potępiać w czambuł. Problem nie tkwi bowiem w samym niebezpośrednim charakterze kontaktów międzyludzkich, lecz w bierności i bezradności wielu osób. Ludziom nieśmiałym i niepełnosprawnym, niezdolnym do opuszczenia domu lub lękającym się spotkania z innymi twarzą w twarz, nowoczesne wynalazki elektroniczne z zakresu infosfery umożliwią nawiązywanie wzajemnych kontaktów z ludźmi o podobnych zainteresowaniach - szachistami, filatelistami, miłośnikami poezji czy kibicami sportowymi - których można będzie natychmiast przywołać, wykręcając w dowolnym miejscu w kraju odpowiedni numer na tarczy wideofonu.

Jakkolwiek kontakty takie nadal nie będą osobiste, to jednak mogą stanowić o wiele lepsze antidotum na samotność niż ta telewizja, jaką znamy dzisiaj, gdzie wszystkie wiadomości i przesłania płyną w jedną stronę, a bierny odbiorca nie ma żadnych możliwości nawiązania obustronnego kontaktu z migającym na ekranie obrazem.

Środki telekomunikacji - stosowane z rozważą - mogą przyczynić się do stworzenia "telewizji".

Słowem, budując cywilizację trzeciej fali wcale nie trzeba burzyć poczucia wspólnoty i więzi między ludźmi; przeciwnie - można wiele uczynić w celu ich podtrzymania i wzbogacenia.

NARKOMAŃSKA STRUKTURA

Odbudowywanie wspólnoty i więzi należy jednak traktować tylko jako część wielkiego procesu. Albowiem rozpad instytucji drugiej fali zagraża jednocześnie potrzebie struktury i poczucia sensu naszego życia.

Człowiekowi potrzebna jest świadomość własnego miejsca w życiu i w świecie. Brak takiej świadomości powoduje, że życie traci sens. Nieobecność struktury rodzi załamanie.

Struktura to jest zespół niezbędnych człowiekowi, względnie trwałych punktów odniesienia. Dlatego dla wielu ludzi praca jest nade wszystko ważna ze względów psychologicznych, zupełnie niezależnie od wynagrodzenia. Wyraźnie organizując sposób rozporządzania czasem i wysiłkiem, praca stanowi element struktury, wokół której można organizować resztę życia. Absolutne wymagania niemowlęcia wobec matki, obowiązek zajmowania się inwalidą, ścisła dyscyplina narzucana wiernym przez kościół czy też - jak w niektórych krajach - przez partię polityczną - oto sposoby tworzenia prostej struktury w życiu

człowieka.

Nie widząc w życiu żadnej struktury, młodzież - chcąc ją sobie stworzyć - często ucieka w narkotyki. "Narkomania - pisze psycholog Rollo May - zapewnia młodemu człowiekowi sposób życia. Struktura człowieka, który cierpiał z powodu beznadziejnego braku celu i sensu, teraz polega na tym, jak uciec przed policją, w jaki sposób zdobyć potrzebne pieniądze, gdzie załatwić sobie następną porcję «towaru»: wszystko to powoduje nowy przypływ energii, której przedtem brakowało w jego ogołoconym ze struktur świecie."

W epoce drugiej fali strukturę życiową większości ludzi tworzyły takie czynniki, jak rodzina nuklearna, narzucone przez społeczeństwo obyczaje, precyzyjnie określone role, wyraźna hierarchia statusu oraz zrozumiałe dla wszystkich stosunki władzy i zależności.

Dziś natomiast, pod wpływem załamania się drugiej fali, w życiu wielu ludzi już rozpadła się dawna struktura, nie pojawiły się jeszcze natomiast instytucje zdolne do stworzenia nowych struktur. Ten właśnie fakt, a nie jakieś osobiste nieudacznictwo, tłumaczy, dlaczego miliony ludzi nie znajdują żadnego sensownego porządku życiowego w swym dniu powszednim.

W życiu brak nie tylko porządku; jest ono również pozbawione sensu. Człowiek czerpie przeświadczenie, że jego życie "się liczy", ze zdrowych stosunków z własnym otoczeniem - z rodziną, z przedsiębiorstwem, z kościołem lub ruchem politycznym. Przeświadczenie takie zależy również od zdolności widzenia samego siebie jako części jakiegoś większego, nawet kosmicznego, porządku.

Gwałtowne przewartościowanie podstawowych norm społecznych, zamazywanie się linii określających role, status i zakres władzy, zatracenie się człowieka w "kulturze elektronicznej" i nade wszystko klęska całego "industrialnego" sposobu myślenia - wszystko to zakłóca dotychczasowy sposób widzenia świata przez większość z nas. W konsekwencji ludzie - patrząc na otaczający ich świat - widzą dziś tylko chaos. Dotkliwie odczuwają osobistą bezsilność i bezcelowość własnego istnienia.

Dopiero uwzględnivszy towarzyszące schyłkowi cywilizacji przemysłowej zjawiska, a więc samotność, utratę poczucia struktury i sensu życia - możemy zacząć rozumieć niektóre spośród najbardziej zadziwiających fenomenów społecznych naszych czasów, wśród których wcale nie najmniej ważna jest zdumiewająca popularność różnych kultów.

SEKRET KULTÓW

Dlaczego tyle tysięcy na pozór inteligentnych, odnoszących sukcesy ludzi daje się wciągać w niezliczone ruchy duchowe, które tak żywiołowo pienia się dziś w szczelinach i rysach

pękającego systemu drugiej fali? Czym wytłumaczyć fakt, że rzesze wyznawców poddają się całkowicie totalnej władzy jakiegoś Jima Jonesa?

Oblicza się dziś, że jakieś trzy miliony Amerykanów uczestniczą w blisko tysiącu kultów religijnych, z których najliczniejsze to między innymi Kościół Zjednoczenia (Unification Church), Misja Światłości Bożej (Divine Light Mission), Hare Krishna i Droga (Way); posiadają one własne świątynie lub kapituły czy oddziały w większości dużych miast. Sam tylko Kościół Zjednoczenia Sun Myung Moona przyznaje się do 60-80 tysięcy wyznawców, wydaje własny dziennik w Nowym Jorku, jest właścicielem przetwórci rybnej w Wirginii i wielu innych dochodowych przedsiębiorstw. Nienaturalnie radosnych członków sekty widuje się często, jak kwestują ochoczo na rzecz swego Kościoła.

Sekty nie ograniczają się bynajmniej do Stanów Zjednoczonych. W sensacyjnym procesie sądowym w Szwajcarii wyszło na jaw, że w Winterthur działa misyjny ośrodek Światłości Bożej. "Kulty, sekty i komuny czcicieli... najliczniej rozmnożyły się w Stanach Zjednoczonych, bo też Ameryka wyprzedziła resztę świata o 20 lat" - powiada publicysta londyńskiego tygodnika "Economist". "Ale także można je spotkać w Europie - wschodniej i zachodniej, jak również w wielu innych miejscach." Tylko jak to się dzieje, że przywódcy tych grup potrafią nakazać członkom niemal absolutne oddanie i posłuszeństwo? Ich sekret jest prosty. Rozumieją oni potrzebę wspólnoty, struktury i sensu. A właśnie to oferują ludziom wszystkie kulty.

Przede wszystkim kulty stwarzają ludziom samotnym możliwość przyjaźni bez jakiegokolwiek dyskryminacji. Jak powiada jeden z działaczy Kościoła Zjednoczenia: "Jeżeli ktoś jest samotny, przychodzimy i rozmawiamy z nim. Na świecie pełno jest samotnych ludzi." Nowo wstępujący wyznawca trafia nagle między ludzi, którzy go aprobują i wyciągają przyjazną dłoń. Wiele kultów łączy się z życiem w komunie. Serdeczność i zainteresowanie, z jakimi spotyka się nowo przyjęty do sekty członek, są korzyścią, w zamian za którą gotów jest wyrzec się kontaktów z rodziną i dawnymi znajomymi, oddać na rzecz kultu cały majątek, porzucić narkotyki, a nawet wyrzec się seksu.

Kult zapewnia nie tylko poczucie więzi z innymi, ale także tak potrzebne człowiekowi poczucie struktury. W sektach obowiązują ściśle ograniczenia swobody zachowań. Panuje niesamowita dyscyplina, której egzekwowaniu towarzyszy niekiedy chłosta, przymus pracy i inne osobliwe formy ostracyzmu czy więzienia. Psychiatra H.A.S. Sukhedo z New Jersey School of Medicine, po zapoznaniu się z pisemnymi zeznaniami członków Świątyni Ludu i po przesłuchaniu tych, którzy ocalili ze zbiorowego samobójstwa w Jonestown, stwierdza: "Nasze społeczeństwo gwarantuje tyle wolności i swobód, ludzie mają tyle możliwości

wyboru, że nie są zdolni do podjęcia żadnej samodzielnej decyzji. Chcą, aby za nich decydował ktoś inny, a oni się podporządkują."

Ujął to w jednym zdaniu Sherwin Harris, którego córka i była żona zginęły w Gujanie idąc w ślad za Jimem Jonesem: Oto przykład, na co gotowi są narazić się niektórzy Amerykanie, byle móc oprzeć swe życie na jakiejś strukturze."

„Sens" czy też "znaczenie" - oto ostatni ważki towar, którym frymarczą kultury. Każdy z nich ma swą własną - religijną, polityczną, kulturalną - docelową wizję rzeczywistości. Każdy przypisuje sobie posiadanie jedyne go klucza do prawdy; ludzi żyjących poza kultem, którzy nie chcą uznać wartości tej prawdy, przedstawia się jako błędzących bądź usidlonych przez Szatana. Dniami i nocami wbija się do głowy nowemu członkowi sekty przewodnią ideę danego kultu. Wysłuchuje on ustawicznych kaznodziejskich tyrad dotąd, aż sam powoli zaczyna posługiwać się takimi samymi pojęciami i słownictwem, a w końcu przyswaja sobie egzystencjalną metaforę głoszoną przez wyznawców kultu. Dla postronnego obserwatora ów "sens" może być czystym absurdem, ale wyznawcy kultu się tym nie przejmują.

W istocie rzeczy, dosłowna treść ideowego przesłania głoszonego przez kult jest niemal przypadkowa. Siła oddziaływania tego przesłania na człowieka polega na ułatwianiu mu syntezy, na zastępowaniu całościową wizją pokawałkowanej kultury elektronicznych sygnałów. Z chwilą akceptacji zasadniczego zarysu ideowego kultu, lawina chaotycznych informacji napływających z zewnątrz łatwiej układa się w pewien zorganizowany porządek. Niezależnie od tego, czy ten zarys ideowy odpowiada otaczającej rzeczywistości, czy nie, ułatwia on wygodne szufladkowanie odbieranych wrażeń i faktów. Zmniejsza tym samym stres wynikający z przeciążenia informacjami i zagubienia człowieka w chaosie. Nie dostarcza mu prawdy jako takiej, nadaje natomiast wszystkiemu pewien ład, a więc sens.

Dając członkom sekty poczucie, że rzeczywistość ma sens oraz że muszą oni ten sens nieść w świat, kult zapewnia ludziom logikę w pozornie nielogicznym świecie. Za poczucie wspólnoty, strukturę i sens człowiek płaci jednak niesłychanie wysoką cenę, musi bowiem bezrozumnie wyrzec się samego siebie. Dla niektórych jest to niewątpliwie jedyny sposób, żeby nie zwariować. Ale dla większości z nas proponowane przez kult wyjście jest jednak zbyt kosztowne.

Chcąc żyć w zdrowej i demokratycznej cywilizacji trzeciej fali, powinniśmy starać się nie tylko odkrywać nowe zasoby energii i wymyślać nowe technologie. I nie tylko budować wspólnotę. Powinniśmy również zadbać, by ludzie odzyskali poczucie struktury i sensu życia. I znów widać kilka łatwych rzeczy do zrobienia, od których moglibyśmy zacząć.

ORGANIZATORZY ŻYCIA I "PÓLKULTY"

Dlaczego nie mielibyśmy na początek stworzyć kadry zawodowych i społecznych "organizatorów życia"? Prawdopodobnie nie potrzebujemy zbyt wielu psychoanalityków szperających jak krety w głębi naszych id i ego, przydałoby się natomiast więcej ludzi, którzy mogliby nam chociaż trochę pomóc wziąć się w garść. Zdania w rodzaju: "Od jutra zaprowadzę u siebie porządek" lub "Właśnie zabieram się za siebie", należą do najczęściej powtarzanych dzisiaj zapewnień i obietnic, które słychać ze wszystkich stron.

Jednakże w warunkach wstrząsów społecznych i zamieszania technologicznego coraz trudniej nam uporządkować nasze życie. Trudność tę - jak się przekonaliśmy - potęguje jeszcze załamanie się normalnych struktur drugiej fali, nadmierna ilość stylów życia, pomysłów na jego różne przeżywanie i zbyt wiele możliwości wyboru. Ludzie biedniejsi dość skutecznie organizują swe życie pod działaniem presji ekonomicznych, od których wolne są przecież klasy średnie, a zwłaszcza dzieci pochodzące z tych klas. Nie powinniśmy lekceważyć tego faktu.

Niektórzy psychiatrzy już dziś zaczęli pełnić funkcje organizatorów życia. Nie trzymają swych pacjentów latami na przysłowiowej kozetce, spieszą z pomocą, ale w konkretnych sprawach: w znalezieniu pracy czy partnera, w przestrzeganiu diety lub w tym, jak gospodarować własnymi pieniędzmi, itd. Potrzebujemy wielu takich konsultantów i nie powinniśmy się wstydzić szukania u nich pomocy.

W systemie oświaty powinniśmy zacząć zwracać uwagę na sprawy, które przeważnie pomija się milczeniem. Długie godziny poświęcamy na studiowanie, powiedzmy, struktury rządu lub budowy ameby. Ile jednak czasu przeznaczamy na zgłębienie struktur życia codziennego - na naukę gospodarowania czasem i pieniędzmi, czy tego, do kogo pójść po radę w coraz bardziej skomplikowanym społeczeństwie? Zakładamy, że młodzież umie poruszać się w istniejących strukturach naszego społeczeństwa. Tymczasem młodzi ludzie przeważnie bardzo słabo orientują się, w jaki sposób zorganizowany jest świat pracy czy biznesu. Większość studentów nie ma zielonego pojęcia o sposobach funkcjonowania gospodarki własnego miasta ani o tym, jak działa lokalna administracja, ani nawet gdzie złożyć skargę na sklepikarza. Dla większości niezrozumiała jest struktura własnej szkoły, nawet uniwersytetu, nie mówiąc już o zrozumieniu przemian, jakim te struktury ulegają pod wpływem trzeciej fali.

Powinniśmy także spojrzeć zupełnie inaczej na instytucje, które pomagają człowiekowi znaleźć w życiu sens i znaczenie, a więc i na kulty. Mądre społeczeństwo powinno stworzyć wiele różnych instytucji - od zupełnie luźnych grup po grupy o wysokim stopniu organizacji i dyscypliny. Potrzebne są zarówno szkoły otwarte, jak i tradycyjne. Niech istnieją płynne,

dobrowolne stowarzyszenia, ale obok niech też istnieją organizacje posiadające sztywną regułę klasztorną (zarówno świeckie, jak i religijne).

Dzisiaj bowiem przepaść między proponowaną przez kult totalną strukturą i pozornie totalnym brakiem struktur w życiu codziennym może okazać się zbyt wielka.

Jeżeli wymagane przez wiele kultów kompletne uzależnienie i zniewolenie wydaje się nam nie do przyjęcia, to może powinniśmy zachęcać do tworzenia "półkultów", znajdujących się gdzieś pomiędzy bezstrukturalną wolnością człowieka a poddawaniem go surowej dyscyplinie. Poszczególne społeczności w ramach organizacji religijnych, sekt wegetarianów oraz innych sekt i ugrupowań - w zależności od woli ich członków - mogłyby przyjmować bardziej lub mniej umiarkowaną czy też zaostrzoną regułę.

Można by udzielić zgody na tworzenie takich kultów, a następnie nadzorować je, by nie dopuścić do przemocy fizycznej lub psychicznej, sprzeniewierzeń, stosowania przymusu i podobnych praktyk. Można również zadbać o to, by ludzie potrzebujący zewnętrznej struktury mogli przyłączyć się do kultu na powiedzmy pół roku czy rok, a następnie powrócić do normalnego życia bez żadnych nacisków i obaw przed zemstą.

Dzięki temu niektórzy ludzie mogliby przyłączyć się do jakiegoś "półkultu", a po pewnym czasie powrócić do świata zewnętrznego, potem znów na trochę wejść w zorganizowane życie, i tak dalej, na zmianę - raz poddając się rygorom sekty lub komuny, raz czerpiąc z pełni swobód niczym nie skrupowanego społeczeństwa. Czyż nie można stworzyć ludziom i takiej możliwości?

Wydaje się, że istnieje również potrzeba stworzenia świeckich organizacji z pogranicza życia cywilnego i życia opartego na dyscyplinie wojskowej. Chyba należałoby pomyśleć o rozmaitych hufcach służb cywilnych, organizowanych przez władze municypalne, oświatowe lub nawet przez prywatne kompanie w celu wykonywania na zasadzie kontraktu prac i usług użytecznych dla danej społeczności. Hufce przyjmowałyby młodych ludzi, którzy żyliby razem w warunkach ścisłej dyscypliny i otrzymywaliby regularny żołd. (Aby pensje junaków nie odbiegały od przyjętego minimum wynagrodzenia, część ich pensji mogłaby mieć formę bonów honorowanych jako chesne przez wyższe uczelnie i kursy przysposobienia zawodowego.) Organizacje w rodzaju "hufców ochrony środowiska", "hufców oczyszczania miasta", "korpusu felczersko-pielęgniarskiego" czy "ligi opiekunów społecznych", zajmujących się ludźmi starymi, przynosiłyby ogromne korzyści zarówno społeczeństwu, jak i konkretnym zainteresowanym. Oprócz pełnienia użytecznych służb i wprowadzania w życie ludzkie zorganizowanego ładu, organizacje te pomagałyby również swym członkom odnaleźć upragniony sens w życiu, niekoniecznie za pomocą jakiejś wydumanej - mistycznej czy

politycznej - teologii, ale proponując im prosty ideał bycia pożytecznym dla innych.

Przed wszystkim jednak będziemy musieli spróbować powiązać poczucie własnego znaczenia z rozleglejszym, ogarniającym szersze obszary, światopoglądem. Nie wystarczy, że ludzie zrozumieją (lub uwierzą, że zrozumieli), jaki jest ich udział w życiu społeczeństwa. Muszą oni jeszcze pojąć, bodaj z grubsza, gdzie znajduje się ich miejsce w ogólniejszym porządku rzeczy. Nadejście trzeciej fali zmusza nas do sformułowania nowych - uogólnionych i scalających - światopoglądów, które na drodze spójnej syntezy zdołają znaleźć prawdziwy, a nie tylko chwilowy i wyrwany z kontekstu, związek między rzeczami.

Żaden światopogląd nie obejmie nigdy całej prawdy. Uzyskanie zamkniętego (choć niekoniecznie kompletnego) obrazu świata możliwe jest jedynie dzięki różnorodnym i chwilowym metaforom. Przyjęcie tego pewnika nie jest jednak równoznaczne ze stwierdzeniem, że życie nie ma sensu. Przecież nawet jeśli w jakimś kosmicznym sensie życie rzeczywiście nic nie znaczy, to możemy sami mu nadać to znaczenie, czerpiąc je z przyzwoitych stosunków społecznych i rozumiejąc, że stanowimy część o wiele większego dramatu, jakim jest logiczny rozwój historii.

Przeto szturm na samotność to za mało. Budując zręby cywilizacji trzeciej fali musimy pójść dalej - musimy zacząć pracować nad stworzeniem podstaw uporządkowanego świata, w którym każdy człowiek znajdzie dla siebie ład i sens życia. Wszak sens i zorganizowany rytm życia oraz poczucie wspólnoty z innymi - to nierozłącznie sprzężone z sobą warunki wstępne możliwej do przyjęcia przyszłości.

Warunki te zrealizujemy prędzej, jeżeli zrozumiemy, że nasze cierpienia z powodu izolacji społecznej, bezosobowości, zaniku struktur i poczucia bezsensu - są raczej symptomami załamania się przeszłości, a nie zwiastunami nadchodzącego jutra.

Nie wystarczy nam jednak samo przeobrażenie społeczeństwa. Przez codzienne decyzje i działania będziemy kształtować cywilizację trzeciej fali, a ona z kolei będzie kształtować nas samych. Już zaczęła się zarysowywać nowa psychosfera, która zasadniczo zmieni ludzki charakter. Teraz więc przejdźmy do omówienia osobowości człowieka jutra.

Rozdział XXII

OSOBOWOŚĆ CZŁOWIEKA JUTRA

Wdzierająca się w nasze życie codzienne nowa cywilizacja sprawia, że pytamy czasem samych siebie, czy przypadkiem my również nie jesteśmy nieco staroświeccy, przestarzali. Nic dziwnego, że niekiedy czujemy się, jakbyśmy byli ludźmi z minionej epoki, relikdami cywilizacji drugiej fali, skoro tyle naszych przyzwyczajzeń, wartości, reguł postępowania i reakcji zaczyna wzbudzać wątpliwości. Niewątpliwie znajdują się wśród nas ludzie tkwiący wciąż w poprzedniej epoce; czy jednak istnieją również ludzie jutra, wybiegający przed innymi w przyszłość, jak gdyby obywatele nadchodzącej cywilizacji trzeciej fali? Czy pominąwszy rozkład i upadek wokół nas, można dojrzeć jakieś zarysy przyszłej osobowości, narodziny, że tak powiem, "nowego człowieka"?

JEŻELI TAK, NIE BYŁBY TO PIERWSZY PRZYPADEK, KIEDY NA HORYZONCIE POJAWIŁ SIĘ *IM HOMME NOUVEAU*. DYREKTOR OŚRODKA KULTURY EUROPEJSKIEJ, ANDRE RESZLER, OPISAŁ W ŚWIETNYM ESEJU DAWNIEJSZE PRÓBY PRZEWIDYWANIA NARODZIN CZŁOWIEKA NOWEGO TYPU. POD KONIEC XVIII WIEKU POWSTAŁ "AMERYKAŃSKI ADAM" - CZŁOWIEK, KTÓREGO WYDAŁA NA ŚWIAT AMERYKA PÓŁNOCNA, RZEKOMO POZBAWIONY WAD I SŁABOŚCI EUROPEJCZYKA. NOWA ISTOTA MIAŁA TEŻ POJAWIĆ SIĘ W NIEMCZECH HITLERA W POŁOWIE XX WIEKU. NARODOWY SOCJALIZM - PISAŁ HERMANN RAUSCHING - "TO COŚ WIĘCEJ NIŻ RELIGIA: *TO WOLA STWORZENIA SUPERMANA*". TEN KRZEPKI I DZIELNY "ARYJCZYK" MIAŁ BYĆ PO TROSZE WIEŚNIAKIEM, WOJOWNIKIEM I BOGIEM. "MIAŁEM WIZJĘ NOWEGO CZŁOWIEKA - ZWIERZYŁ SIĘ RAZ RAUSCHINGOWI HITLER - JEST ON NIEUSTRASZONY I OKRUTNY. WZBUDZIŁ WE MNIE STRACH."

Wizja nowego człowieka (rzadko kiedy, i to zawsze po namyśle, mówi się o "nowej kobiecie") nawiedzała również komunistów. [...] Jednak najbardziej zapalonym wizjonerem przyszłej istoty ludzkiej był Trocki. "Człowiek będzie w przyszłości nieporównanie silniejszy, mądrzejszy, bardziej spostrzegawczy. Jego ciało będzie bardziej harmonijne, ruchy bardziej rytmiczne, a głos bardziej melodyjny. Sposób życia nabierze dramatycznej, wspaniałej jakości. Przeciętni ludzie będą osiągać wyżyny Arystotelesa, Goethego, Marksa."

Niespełna 20 lat temu Frantz Fanon ogłosił narodziny jeszcze innego nowego człowieka, wyposażonego w "nowy umysł". Che Guevara w swoim ideale człowieka przyszłości podkreślał bogactwo życia wewnętrznego. Każda wizja jest inna.

Jednakże Reszler przekonująco wykazuje, że za większością wyobrażeń "nowego człowieka" kryje się znany od dawien dawna facet, swego rodzaju Szlachetny Dzikus -

mityczny stwór obdarzony tymi wszystkimi zaletami, które cywilizacja rzekomo wypacza lub niweczy. Reszler słusznie kwestionuje tę idealizację prymitywa, przypominając, że reżimy, które świadomie zamierzały stworzyć "nowego człowieka", niemal zawsze prowadziły ku totalitarnej destrukcji.

Byłoby zatem niepoważne jeszcze raz głosić narodziny "nowego człowieka" (chyba że - w świetle osiągnięć inżynierii genetycznej - mówilibyśmy o tym w przerażającym, biologicznym sensie). Sam taki zamysł sugerowałby pewien prototyp, model idealny, do którego cała ludzkość starałaby się z wszystkich sił upodobnić. Ale w społeczeństwie szybko zmierzającym do odmasowienia wszelkich aspektów życia wydaje się to wręcz nieprawdopodobne.

Równie nieprawdopodobna byłaby jednak wiara w to, że zasadnicza zmiana materialnych warunków życia mogłaby nie wpłynąć na osobowość lub, mówiąc ściślej - na charakter społeczny człowieka. Zmieniając najgłębszą strukturę społeczeństwa, przeobrażamy również ludzi. Osobiście nie podzielam dość powszechnego poglądu, jakoby istniała jakaś szczególna, niezmienna natura ludzka. Gdyby jednak nawet tak było, to przecież społeczeństwo nagradzałoby pewne cechy, a potępiałoby inne - kształtując przez to określony charakter człowieka; w rezultacie prowadziłyby to do ewolucyjnej zmiany charakteru ludzkiego.

PSYCHOANALITYK ERICH FROMM, AUTOR NAJLEPSZYCH BODAJ PRAC NA TEMAT CHARAKTERU SPOŁECZNEGO, ZDEFINIOWAŁ GO JAKO "TĘ CZĘŚĆ STRUKTURY CHARAKTERU, KTÓRA JEST WSPÓLNA WIĘKSZOŚCI CZŁONKÓW DANEJ GRUPY".²⁹ **Powiada on, że w każdej kulturze występują wspólne dla wielu osób cechy, składające się na ich charakter społeczny. Z kolei charakter społeczny kształtuje ludzi w taki sposób, że "ich postępowanie nie jest rezultatem świadomych decyzji dotyczących tego, czy naśladować określony wzorzec społeczny, czy nie, lecz wynika z tego, że ludzie chcą tak postępować, jak muszą - czerpiąc równocześnie satysfakcję z postępowania zgodnego z wymaganiami kultury".**

Trzecia fala nie tworzy zatem jakiegoś idealnego supermana, jakiegoś nowego gatunku wkradającego się chyłkiem między nas, a tylko w drastyczny sposób zmienia cechy występujące w społeczeństwie. Nasze zadanie polega przeto nie na upatrywaniu jakiegoś "mitycznego człowieka", lecz na wyśledzeniu i rozpoznaniu tych cech, które najprawdopodobniej będą wysoko cenione w nadchodzącej cywilizacji.

TE CECHY CHARAKTERU NIE POWSTAJĄ PO PROSTU W WYNIKU JAKICHŚ KSZTAŁTUJĄCYCH

²⁹ Erich Fromm, *Ucieczka od wolności*, przeł. Olga i Andrzej Ziemiłscy. Warszawa 1978.

OSOBOWOŚĆ CZYNNIKÓW ZEWNĘTRZNYCH (ANI ICH NIE ODZWIERCIEDLAJĄ). RODZĄ SIĘ ONE Z NAPIĘCIA, KTÓRE ISTNIEJE MIĘDZY WEWNĘTRZNYMI POPEĐAMI I PRAGNIENIAMI WIELU JEDNOSTEK A ZEWNĘTRZNYMI POPEĐAMI I PRESJAMI WYWIERANYMI PRZEZ SPOŁECZEŃSTWO. ALE SKORO RAZ WYTWORZĄ SIĘ OKREŚLONE CECHY CHARAKTERU, WYWIERAJĄ ONE PÓŹNIEJ POWAŻNY WPŁYW NA GOSPODARCZY I SPOŁECZNY *ROZWÓJ* SPOŁECZEŃSTWA.

Na przykład, początkom drugiej fali towarzyszyło upowszechnienie się etyki protestanckiej, która kładła nacisk na oszczędność, niestrudzoną mozolną pracę i odraczała otrzymanie nagrody w życiu doczesnym; dzięki tym cechom olbrzymie zasoby energii ludzkiej zostały nakierowane na rozwój gospodarczy. Druga fala wprowadziła też zmiany w zakresie takich pojęć, jak obiektywizm i subiektywizm czy indywidualizm: zmienił się stosunek do władzy, zdolność człowieka do myślenia abstrakcyjnego oraz do empatii; inaczej zaczęto też traktować wyobraźnię.

Aby móc zatrudniać wieśniaków jako siłę roboczą w przemyśle, trzeba im było zapewnić elementarne wykształcenie. Musiano ich nauczyć czytać i pisać, musiano ich informować i kształtować ich postawy. Wieśniacy musieli uwierzyć, że możliwy jest inny sposób życia. Potrzebne były rzesze ludzi posiadające zdolność wyobrażenia sobie siebie w nowej roli i w nowym otoczeniu. Ich umysły trzeba było wyzwolić od natręctwa aktualnej wówczas teraźniejszości. W ten sposób industrializm musiał zdemokratyzować wyobraźnię ludzką w takim samym stopniu, w jakim zdemokratyzował przekaz informacji i stosunki polityczne.

Efektom tych zmian psychokulturowych był inny rozkład cech dominujących w społeczeństwie, czyli nowy charakter społeczny. I dziś znowu znajdujemy się na granicy podobnego przewrotu psychokulturowego.

Fakt, że obecnie oddalamy się gwałtownie od Orwellowskiej uniformizacji, do której prowadziła druga fala, utrudnia wszelkie generalizacje na temat zarysowującej się psychiki ludzkiej. W tym wypadku, jeszcze bardziej niż w każdej innej dziedzinie, mówiąc o przyszłości, możemy tylko spekulować.

Potrafimy jednak wskazać te doniosłe przeobrażenia, które prawdopodobnie wywrą znamienny wpływ na rozwój psychologiczny społeczeństwa trzeciej fali. Pozwoli to na sformułowanie szalenie ważnych pytań, a może i wniosków. Przeobrażenia te bowiem zachodzą między innymi w sposobie wychowywania dzieci, w oświacie i w programach nauczania, w procesie osiągania dojrzałości, w pracy, a nawet w sposobie, w jaki oceniamy samych siebie. I nie jest możliwe, by te wszystkie zmiany, nie odcisnęły swego piętna na całym charakterze społecznym człowieka.

NOWE WARUNKI ROZWOJU CZŁOWIEKA

Zacznijmy od tego, że dzieci, które wkrótce przyjdą na świat, będą zapewne żyć w społeczeństwie, poświęcającym im dużo mniej uwagi niż dotychczas.

Ze względu na to, że w wysoko rozwiniętych krajach zwiększa się stale liczba ludzi starych - a więc społeczeństwo niejako "siwieje" - należy przypuszczać, że coraz większą wagę będzie się tam przywiązywać do potrzeb ludzi w podeszłym wieku, zmniejszy się natomiast proporcjonalnie zainteresowanie sprawami młodzieży. Ponadto wraz ze wzrostem ambicji i możliwości zawodowych kobiet osłabnie odwieczna potrzeba zużywania całej ich energii życiowej niemal wyłącznie na macierzyństwo.

W epoce drugiej fali miliony rodziców lokowały własne niespełnione marzenia w swoich dzieciach, często słusznie spodziewając się, że dopiero one odniosą sukces społeczny i ekonomiczny. Nadzieja awansu była dla rodziców bodźcem, dzięki któremu kolosalna energia psychiczna koncentrowała się na dzieciach. Dzisiaj natomiast wielu średnio zamożnych ludzi przeżywa bolesne rozczarowanie, patrząc jak ich dzieci - żyjące w nieporównanie trudniejszym świecie - zamiast piąć się w górę, spadają w dół na skali społeczno-ekonomicznej. Prawdopodobieństwo osiągnięcia owego surogatu spełnienia własnych marzeń poprzez dzieci gwałtownie topnieje.

Z tych powodów dziecko urodzone w przyszłości wkroczy w społeczeństwo uwolnione od obsesji, a możliwe że i od przesadnego zainteresowania potrzebami, zachciankami i rozwojem psychologicznym dzieci oraz dostarczaniem im natychmiastowych gratyfikacji. A wówczas jakiś jutrzejszy dr Spock zaleci stosowanie wobec dzieci większych rygorów i wyższych wymagań. Rodzice będą mniej dzieciom dogadzać.

Należy się też spodziewać, że okres dorastania nie będzie tak długotrwały i przykry jak dla wielu jest dzisiaj. Miliony dzieci żyją obecnie tylko z jednym z rodziców, pracującym zawodowo i borykającym się z trudnościami materialnymi z powodu wadliwego systemu gospodarczego; dzieci te są pozbawione luksusu i wolnego czasu rodziców, jakie były udziałem pokolenia dzieci-kwiatów z lat 60-tych.

Inne zaś dzieci będą wzrastać w warunkach wioski elektronicznej, w rodzinach pracujących zawodowo w domu. Podobnie jak w początkach epoki drugiej fali całe rodziny skupiały się wokół „interesu” prowadzonego wspólnie przez ojca i matkę, może i dzieci w przyszłej wiosce elektronicznej będą bezpośrednio uczestniczyć w różnych pracach i zadaniach realizowanych w domu, ucząc się od wczesnego dzieciństwa poczucia obowiązku i współodpowiedzialności.

Z faktów tych wynika, że dzieciństwo i młodość będą trwały krócej, ale będą bardziej produktywne i będą wymagały większej odpowiedzialności. Dzieciom z takich domów,

pracującym tuż obok dorosłych, nie będzie się zapewne stawiać wygórowanych i ambitnych celów życiowych. Może się jednak okazać, że z takich właśnie dzieci będą wyrastać ludzie zdolni do wielkich osiągnięć.

Podczas przeobrażania się w nowe społeczeństwo związki zawodowe działające w tych wszystkich gałęziach gospodarki, w których zaczyna brakować miejsc pracy, będą niewątpliwie zagradzać drogę młodzieży do rynku pracy poza domem. Związki (oraz nauczyciele, bez względu na przynależność związkową) będą zabiegać o przedłużanie okresu przymusowego lub prawie przymusowego nauczania. Młodzi ludzie, zanim zaczną żyć samodzielnie, będą nadal musieli trawić długie lata w męczącym czyścucu przewlekłego dorastania. Może więc się zdarzyć, że wystąpią ostre różnice między młodymi ludźmi, którzy - żyjąc w wiosce elektronicznej - dzięki obowiązkom nakładanym na nich od wczesnego dzieciństwa będą szybciej osiągać dojrzałość, a pozostałą młodzież, dojrzewającą wolniej w warunkach życia poza wioską elektroniczną.

Z czasem jednak na pewno zmieni się także szkolnictwo i system oświaty. Ludzie będą więcej uczyć się poza szkołą. Wbrew naciskom związków zawodowych, okres przymusowego nauczania zostanie skrócony. Edukacja będzie silniej spleciona z pracą; niekoniecznie też będzie musiała odbywać się tylko w pierwszym okresie życia ludzkiego. Również pracę - czy będzie nią produkcja przeznaczona na rynek, czy prosumpcja na użytek własny - ludzie będą zaczynać wcześniej, niż bywało w ostatnich paru pokoleniach. Z tych przyczyn w cywilizacji trzeciej fali będą się chyba rozwijać wśród młodzieży zupełnie inne cechy - zmniejszy się potrzeba rywalizacji, osłabnie nastawienie na konsumpcję i hedonistyczny egocentryzm.

Może będzie tak, może nieco inaczej, ale jedno jest pewne - młodzież będzie dorastać i dojrzewać zupełnie inaczej. A więc inaczej też będzie kształtować się osobowość ludzi.

NOWY CZŁOWIEK PRACY

Wraz z osiągnięciem dojrzałości i podjęciem pierwszej pracy na osobowość młodego człowieka zaczynają oddziaływać nowe siły, stymulując rozwój jednych cech, a tępiąc inne.

W epoce drugiej fali toczył się powolny, ale ustawiczny proces monotonizacji pracy fabrycznej i biurowej; zawężyły się specjalizacje; pod presją czasu ludzie rytmicznie powtarzali te same czynności, a pracodawcy chcieli mieć pracowników posłusznych, punktualnych, gotowych wykonywać rutynowe zadania. Odpowiednie cechy charakteru wyrabiały szkoły, nagradzała zaś je korporacja.

W miarę jak trzecia fala przenika nasze życie, praca przestaje polegać na powtarzaniu tych

samych czynności. Zakres obowiązków każdego pracownika poszerza się, a nie zawęża. Indywidualny czas pracy i własne tempo jej wykonywania zastępują dawną potrzebę masowej synchronizacji zachowań. Pracownikom częściej przydziela się nowe zadania; muszą też oni dostosowywać się do nieoczekiwanych i ciągłych przeszerzowań, do zmiany asortymentu produkcji oraz do reorganizacji.

Pracodawcom trzeciej fali potrzeba więc coraz więcej kobiet i mężczyzn, którzy wezmą na siebie większą odpowiedzialność, będą umieli zrozumieć, w jaki sposób ich obowiązki łączą się z obowiązkami współpracowników; potrzeba więcej ludzi, którzy potrafią wypełniać coraz więcej zadań i błyskawicznie przystosować się do zmienionych warunków. A przy tym ludzi wrażliwych i życzliwie ustosunkowanych do otoczenia.

W przedsiębiorstwie drugiej fali pracownikowi często *opłacała* się ociężała i przewlekła rutyna biurokratyczna. Firma trzeciej fali natomiast potrzebuje ludzi mniej "zaprogramowanych" i bardziej skorych do działania. Dyrektor generalny do spraw szkolenia zawodowego w kompanii Western Electric, Donald Conover, przyrównuje pracowników *do* muzyków: podczas gdy muzycy w klasycznej orkiestrze grają zgodnie z określoną i uprzednio rozpisaną na instrumenty partyturą, muzycy jazzowi - raz ustalwszy, co będą grać - wrażliwie i z wyczuciem podchwytną, jeden od drugiego, kolejne tony i znaki muzyczne i - wykorzystując swe umiejętności oraz talent - improwizują bez dysonansów cały utwór.

Tacy ludzie mają skomplikowaną, indywidualną osobowość i są dumni z cech odróżniających ich od innych. Przemysł trzeciej fali będzie potrzebował właśnie takiej niemasowej siły roboczej.

Jak twierdzi specjalista w dziedzinie badań opinii publicznej, Daniel Yankelovich, tylko 56 procent pracowników amerykańskich - głównie starszych wiekiem - kieruje się wciąż tradycyjnymi motywacjami. To oni najlepiej się czują otrzymując wyraźne polecenia i ściśle określone zadania. W pracy nie próbują nawet szukać jakiegoś "sensu".

W odróżnieniu od nich 17 procent siły *roboczej* stanowią ludzie, dla których liczą się wartości, jakie wnoszą z sobą trzecia fala. Według badań Yankelovicha są to przeważnie przedstawiciele średniej kadry kierowniczej, którzy "najsilniej pragną odpowiedzialnej i samodzielnej pracy, dającej możliwość wykorzystania ich talentu i umiejętności". Szukają w pracy sensu, nie tylko zarobku.

Chcąc przyciągnąć takich pracowników, pracodawcy zaczynają stosować zindywidualizowany system wynagrodzeń. Tym należy tłumaczyć, czemu niektóre najnowocześniejsze kompanie proponują obecnie pracownikom nie jedną, ustaloną dla wszystkich, tabelę wynagrodzeń i dodatków, lecz, do wyboru, "szwedzki półmisek"

najrozmaitszych form premiowania i nagród - od dni wolnych i bezpłatnych świadczeń medycznych aż po emerytury i ubezpieczenia. Każdy pracownik może wybrać najodpowiedniejsze dla siebie formy wynagrodzenia za pracę. Jak twierdzi Yankelovich, "nie ma jakiejś jednej kombinacji bodźców i premii, wspólnej dla wszystkich pracowników". Z jego badań wynika również, że wśród różnych form wynagradzania pieniądze wyraźnie utraciły tę wielką rolę motywacyjną, jaką odgrywały dawniej.

Nikt nie twierdzi, że ludzie nie chcą dziś pieniędzy. Oczywiście chcą. Ale osiągnąwszy pewien poziom dochodów, mają oni również inne, bardzo zróżnicowane potrzeby. Dodatkowe zarobki pieniężne nie mają już tak wielkiego wpływu na postępowanie ludzi jak poprzednio. Gdy Richardowi Easleyowi, zastępcy wiceprezydenta Bank of America w San Francisco, zaproponowano przeniesienie na wyższe stanowisko w filii oddalonej o 20 mil, ten odrzucił awans ze względu na dłuższe dojazdy do pracy. 10 lat temu, kiedy w *Szoku przyszłości* po raz pierwszy zwróciłem uwagę na stesy, jakie wywołuje zmiana miejsca pracy, zaledwie 10 procent zatrudnionych odmawiało zgody na przeniesienie na inne stanowisko. Obecnie szacuje się, że 33 do 50 procent pracowników woli nie zmieniać pracy, mimo że - jak zauważa nadzorująca te sprawy agencja Merrill Lynch Relocation Management, Inc. - każdej zmianie miejsca pracy towarzyszy zazwyczaj większa niż zazwyczaj podwyżka płacy. "Zdecydowanie rzadziej pracownicy są dziś skłonni porzucić swą firmę dla innej, która wprawdzie oferuje większe zarobki, ale może mieścić się gdzieś w dalekim Timbuktu; większą wagę przywiązuje się do życia rodzinnego i ulubionego sposobu życia" - powiada wiceprezydent Celanese Corporation. Podobnie jak przedsiębiorstwo trzeciej fali jest zainteresowane nie tylko samym zyskiem, również pracownik nowego typu pragnie realizacji wielu różnych celów i potrzeb.

Tymczasem zmieniają się również nawet najgłębiej zakorzenione wzorce sprawowania władzy. W przedsiębiorstwach drugiej fali każdy pracownik ma jednego zwierzchnika. On rozstrzyga kwestie sporne wynikłe między pracownikami. W nowych modelach organizacji obowiązuje zupełnie inny styl. Poszczególni pracownicy mają kilku szefów jednocześnie. Ludzie wykonujący różne zadania i znajdujący się na różnych szczeblach hierarchii stanowisk spotykają się w grupach organizujących się *ad hoc* w celu rozwiązywania doraźnych problemów. Jak piszą w podręczniku na ten temat Davis i Lawrence, "nieporozumienia i różnice zdań (...) rozwiązuje się bez udziału wspólnego szefa, powoływanego do zażegnania sporów (...) Jednym z założeń wzorcowego przedsiębiorstwa jest pogląd, że konflikt jest objawem zdrowym (...) wysoko ceni się wszelkie różnice zdań; ludzie wyrażają swe opinie i przekonania nawet wtedy, kiedy wiedzą, że inni mogą się z nimi nie zgadzać."

Taki system stawia w niekorzystnej sytuacji pracowników nawykłych do ślepego posłuszeństwa. Nagradza natomiast tych, którzy - w ustalonych granicach - kwestionują wszelkie decyzje. W przedsiębiorstwach drugiej fali można było uważać za kłopotliwych pracowników "poszukujących sensu, kwestionujących władzę, pragnących podejmować decyzje czy domagających się, aby ich praca służyła potrzebom społecznym. Ale właśnie tacy ludzie są niezbędni do normalnego funkcjonowania przedsiębiorstw trzeciej fali.

Obserwujemy więc już wokół nas subtelną, ale głęboką zmianę cech osobowości, które faworyzuje i utrwala system gospodarczy - zmianę, która musi wywrzeć wpływ na tworzący się właśnie nowy charakter społeczny.

ETYKA PROSUMENTA

Na rozwój osobowości w cywilizacji trzeciej fali wpływać będą nie tylko sposoby wychowywania dzieci, kształcenia i pracy. Psychika jutra zależy także od innych, głębszych czynników. Nie tylko zatrudnienie i praca stanowią bowiem o gospodarce.

Zaproponowałem wcześniej, aby gospodarkę rozpatrywać w aspekcie dwóch sektorów; w jednym wytwarzamy dobra na wymianę, w drugim - robimy różne rzeczy na użytek własny. Pierwszy to sektor rynku lub produkcji, drugi - sektor prosumpcji. Każdy z nich pozostawia na nas swoisty efekt psychologiczny. Każdy bowiem narzuca swą własną etykę, własną hierarchię wartości i własną definicję sukcesu.

W czasach drugiej fali ogromny rozwój gospodarki rynkowej - zarówno w systemie kapitalistycznym, jak i socjalistycznym - spopularyzował etykę bogacenia się. Ona z kolei zrodziła definicję sukcesu osobistego, wąsko rozumianego jako sukces ekonomiczny.

Tymczasem - jak już stwierdziliśmy - wraz z rozprzestrzenieniem się trzeciej fali zaczęły się rozwijać różne formy samopomocy i zajęć zgodnie z hasłem "zrób to sam", czyli prosumpcja. Ponieważ nie chodzi tu tylko o jakieś hobby, owa produkcja na potrzeby własne będzie zapewne zyskiwać coraz większe znaczenie gospodarcze. A pochłaniając wiele naszego czasu i energii, zacznie także przeobrażać życie człowieka i kształtować jego charakter społeczny.

Etyka rynkowa szereguje ludzi według ich stanu posiadania, etyka prosumenta natomiast każe przywiązywać większą wagę do tego, co ludzie robią. Duże pieniądze nadal dają prestiż. Ale coraz bardziej liczą się też i inne przymioty, takie jak niezależność, zdolność do przystosowywania się i radzenia sobie w trudnych warunkach oraz umiejętność własnoręcznego wykonywania różnych rzeczy; ceni się więc kogoś, kto zbudował sobie sam ogrodzenie, kto ugotował dobry obiad, uszył sobie ubranie czy odnowił starą komodę.

Ponadto, o ile etyka produkcyjna czy rynkowa wychwala jednostronność zainteresowań i celów, to etyka prosumenta zachęca do wszechstronności. Dobrze widziana jest zmienność. W miarę jak w gospodarce trzeciej fali ustala się lepsza równowaga między udziałem produkcji na wymianę i produkcji na użytek własny, coraz głośniejsze stają się nawoływania do "zrównoważonego" sposobu życia.

Przesunięcie aktywności człowieka z sektora produkcji do sektora prosumpcji wprowadza jeszcze inny rodzaj równowagi w życiu ludzkim. Coraz liczniejsze szeregi pracowników trudniących się zawodowo produkcją na potrzeby rynku zajmują się w pracy abstrakcjami: słowami, liczbami, modelami, i mają do czynienia z ludźmi, znanymi im bardzo słabo lub wcale.

Taka praca umysłowa może być fascynująca i wielu ludziom może dawać satysfakcję. Ale towarzyszy jej często poczucie izolacji, jak gdyby oderwania od zwyczajnych spraw, które można po prostu zobaczyć, usłyszeć, dotknąć i które wzbudzają emocje niezbędne w powszedniej ludzkiej egzystencji. Dzisiejsza gloryfikacja rzeczy zrobionych własnymi rękami, uprawiania ogródków, mody w stylu wiejskim lub dżinsowym i czegoś, co można by nazwać "szoferskim szykiem", stanowi w istocie w dużej mierze rekompensatę za nadmierne przeładowanie abstrakcją w sektorze produkcji.

W przeciwieństwie do tego w czasie prosumpcji mamy zazwyczaj do czynienia z bardziej konkretnymi, namacalnymi realiami, gdyż stykamy się bezpośrednio z rzeczami i ludźmi. Kiedy więc ludzie dzielą swój czas pracując po części w produkcji i po części w prosumpcji, mają szansę obcować zarówno z konkretami, jak i z abstraktami, czerpiąc wzajemnie dopełniające się przyjemności płynące z pracy umysłowej i fizycznej. Etyka prosumenta zaczyna obecnie przywracać na nowo po 300 latach lekceważenia - szacunek dla pracy ludzkich rąk. Zrównanie wartości pracy umysłowej i fizycznej z pewnością wpłynie na upowszechnienie określonych rysów osobowości w nowoczesnym społeczeństwie.

Widzieliśmy także, jak wraz z rozwojem industrializmu oraz pracy fabrycznej opartej na ścisłych współzależnościach między różnymi ludźmi - mężczyźni stawali się coraz bardziej obiektywni, a pozostające w domu i wykonujące zajęcia nie wymagające zbyt wielu kontaktów międzyludzkich kobiety stawały się stopniowo coraz bardziej subiektywne. Obecnie, kiedy rośnie liczba kobiet pracujących w produkcji dla rynku, charakter ich coraz bardziej się obiektywizuje. Częściej "myślą po męsku". I odwrotnie - jako że mężczyźni chętnie zostają dziś w domu, biorąc na siebie większą część prac domowych, zmniejsza się ich potrzeba "obiektywizmu". Ulegają "subiektywizacji".

W przyszłości, kiedy wielu ludzi trzeciej fali będzie dzielić swój czas między jeden

póletat, czyli pracę w powiązanych w skomplikowany sposób wielkich kompaniach czy organizacjach, i drugi póletat w postaci pracy dla siebie i rodziny, odbywającej się w niewielkich, autonomicznych komórkach prosumpcyjnych - niespodziewanie może zaistnieć równowaga między obiektywizmem i subiektywizmem u przedstawicieli obu płci.

Zamiast upowszechniania "męskich" i "kobięcych" postaw - a dodajmy, że ani jedna, ani druga nie jest dość zrównoważona - nowy system pracy może promować ludzi zdolnych do rozsądnego patrzenia na świat z obu perspektyw. Obiektywni subiektywiści - i vice versa.

Krótko mówiąc, zwiększając znaczenie prosumpcji w całej gospodarce, torujemy drogę kolejnemu gwałtownemu nurtowi zmian psychologicznych. Zasadnicze zmiany w produkcji i prosumpcji w połączeniu z głębokimi przemianami sposobu wychowywania dzieci i systemu oświaty zwiastują co najmniej tak samo drastyczną przebudowę charakteru społecznego, jaką 300 lat temu spowodowała druga fala. Jesteśmy świadkami narodzin nowego charakteru społecznego.

W rzeczy samej, jeżeli nawet każdy z przedstawionych tu poglądów okazałby się mylny, jeżeli każde z dostrzeganych przeobrażeń miałyby nagle zmienić kierunek, to i tak pozostaje jeszcze jeden ostateczny, niezmiernie ważny powód, żeby spodziewać się prawdziwego przewrotu w psychosferze. Powód ten da się najlepiej ująć słowami: "rewolucja w komunikacji".

KONFIGURATYWNE "JA"

Powiązania między sposobami komunikowania się a charakterem są złożone, ale nie nierozzerwalne. Nie możemy oczekiwać, że przeobrażenie wszystkich środków i sposobów komunikacji mogłoby nie spowodować żadnej zmiany w ludziach. Rewolucja w mediach musi oznaczać rewolucję w psychice.

W okresie drugiej fali ludzie tonęli w morzu masowo produkowanych wyobrażeń. Względnie niewielka liczba centralnie produkowanych gazet, czasopism, audycji radiowych i programów telewizyjnych stanowiła pokarm dla "monolitycznej świadomości" - jak mawiali krytycy. Poszczególne jednostki miały stale porównywać się z względnie niewielką liczbą modelowych ról i oceniać swe życie na podstawie kilku propagowanych wzorów. W konsekwencji wachlarz typów osobowości cieszących się uznaniem społecznym był stosunkowo wąski.

Dzięki obecnemu odmasowieniu środków przekazu człowiek może wzorować swe życie na ogromnie zróżnicowanych modelach ról i stylach życia. Poza tym nowoczesne środki komunikacji przestały karmić nas gotowymi pigułkami: dostarczają one dziś rozłupanych

"czipsów" i "blipsów", z których składa się świat wyobrażeń. Człowiek nie otrzymuje do wyboru kolekcji zwartych i gotowych tożsamości, tylko musi samodzielnie budować z osobnych elementów własną tożsamość, swe konfiguracyjne czy inaczej - modułarne "ja". Jest to daleko trudniejsze. I właśnie to tłumaczy, dlaczego tyle milionów ludzi tak rozpaczliwie poszukuje dziś tożsamości.

Usiłowania te wyostrzają w ludziach świadomość własnej indywidualności - cech, które czynią każdego człowieka jedynym i неповtarzalnym. W ten sposób zmieniają się nasze wyobrażenia o sobie samym. Chcemy, aby widziano w nas indywidualności i aby traktowano nas jak indywidualności, a dodajmy, że dzieje się to dokładnie w tym samym czasie, kiedy w nowym systemie produkcji potrzebni są również bardziej zindywidualizowani pracownicy.

Nowe środki komunikacji trzeciej fali nie tylko ułatwiają wykrystalizowanie tego, co jest w nas czysto osobiste i indywidualne; dzięki nim stajemy się twórcami - lub raczej prosumentami - własnego wyobrażenia o sobie.

Niemiecki poeta i krytyk społeczny, Hans Magnus Enzensberger, zauważył, że we wczorajszych massmediach "techniczne zróżnicowanie między odbiorcami i nadawcami odzwierciedlało społeczny podział siły roboczej na producentów i konsumentów". Przez cały okres drugiej fali znaczyło to, że profesjonalni komunikatorzy produkowali wiadomości i opinie dla publiczności. Publiczność nie miała sposobu, by zwrócić się do nadawców, ani nie mogła w żaden bezpośredni sposób współdziałać z nimi.

Tymczasem najbardziej rewolucyjną cechą nowych środków komunikacji jest interaktywność wielu z nich, co umożliwia każdemu indywidualnemu użytkownikowi przygotowanie i nadawanie idei, nie zaś tylko zwykłe odbieranie ich z zewnątrz. Nadawczo-odbiorcze łącza, wideo-kasety, tanie koparki i magnetofony - wszystkie te urządzenia oddają komunikację w ręce indywidualnego obywatela.

Wybiegając naprzód, możemy sobie wyobrazić taki etap rozwoju, w którym nawet zwykła telewizja będzie interaktywna, tak że zamiast biernie oglądać serial z jakimś Archie Bunkerem czy przyszłą Mary Tyler Moore, będziemy mogli najautentyczniej porozumiewać się z bohaterami i wpływać na ich postępowanie w kolejnych odcinkach. Już teraz kablowy system Qube stwarza techniczną możliwość, by telewidzowie oglądający jakiś dramatyczny program mogli zadzwonić do reżysera, aby przyspieszył lub zwolnił akcję albo wybrał takie, a nie inne zakończenie dramatu.

Z rewolucji w sposobach i środkach komunikacji każdy z nas wynosi coraz bardziej złożony obraz siebie samego. Rewolucja ta więc jeszcze bardziej nas różnicuje. Przyspiesza proces, który pozwala nam "przymierzać" rozmaite wyobrażenia siebie, i w rzeczywistości

zwiększa tempo przechodzenia przez kolejno dopasowywane wizerunki własnego ja. Rewolucja ta umożliwi elektroniczną projekcję tych wizerunków w świat. I nikt w pełni nie pojmuje, co z tego wszystkiego wyniknie dla ludzkiej osobowości. Nigdy bowiem w poprzednich cywilizacjach nie mieliśmy takich potężnych narzędzi. Stopniowo obejmujemy we władanie technologię świadomości.

Świat, w który w takim tempie obecnie wkraczamy, jest wielce niepodobny do wszystkich poprzednich doświadczeń, nic więc dziwnego, iż wszelkie spekulacje psychologiczne wydają się niepewne. Jest jednak absolutnie oczywiste, że potężne siły współdziałają na rzecz zmiany charakteru społecznego - tak by uwypuklić jedne cechy, a stłumić inne, oraz że siły te uczestniczą w procesie zmierzającym do przeobrażenia nas wszystkich.

Gdy wykraczamy poza cywilizację drugiej fali, oznacza to coś więcej niż przejście od jednego systemu energetycznego do innego albo od jednej bazy technologicznej do następnej. Rewolucjonizujemy również sferę życia wewnętrznego. Toteż absurdem byłaby projekcja tego, co należy do przeszłości, na zupełnie nowe, nadchodzące warunki; nie można ludzi należących do cywilizacji trzeciej fali przedstawiać w kategoriach pojęciowych drugiej fali.

Jeżeli nasze założenia są bodaj częściowo słuszne, poszczególni ludzie będą w przyszłości różnić się między sobą bardziej niż dziś. Więcej spośród nich będzie szybciej ponosić większą odpowiedzialność, będzie umiało lepiej się przystosowywać i objawiać większą indywidualność. Ludzie jutra będą zapewne odważniej niż ich rodzice kwestionować autorytety i władzę. Będą chcieli pieniędzy i będą pracować, by je mieć, ale - z wyjątkiem skrajnych przypadków ubóstwa - nie zgodzą się pracować jedynie dla pieniędzy.

Nade wszystko jednak będą oni chyba najsilniej pragnąć harmonii i równowagi - równowagi między pracą i zabawą, między produkcją i prosumpcją, między pracą umysłową i fizyczną, między abstrakcją i konkretem, między obiektywizmem i subiektywizmem. I będą widzieć i przedstawiać siebie w daleko bardziej złożony sposób niż jakiegokolwiek poprzednie pokolenia.

Kiedy cywilizacja trzeciej fali osiągnie dojrzałość, stworzymy nie jakiegoś utopijnego mężczyznę czy kobietę, którzy górowaliby nad ludźmi z minionych epok, nie jakąś rasę nadludzi z wizji Goethego i Arystotelesa (lub Dżyngis Chana czy Hitlera), lecz po prostu i godnie, miejmy nadzieję, rasę oraz cywilizację, która zasłuży na miano naprawdę ludzkiej.

Nie można mieć jednak żadnej nadziei na taki rezultat ani żadnej nadziei na bezpieczne przejście do nowej, szlachetniejszej cywilizacji, dopóki stoimy przed ostatecznym imperatywem: koniecznością przemian politycznych. Tej perspektywie - jednakowo przerażającej i napawającej radością - poświęcone są ostatnie strony tej książki. Do

osobowości człowieka jutra musi dostosować się jutrzejsza polityka.

Rozdział XXIII

POLITYCZNE MAUZOLEUM

Byłoby nie do pomyślenia, żeby wraz z wybuchem rewolucji energetycznej i technologicznej, wraz z przewrotem ogarniającym życie rodzinne oraz zachwianiem się tradycyjnego podziału ról kobiet i mężczyzn, wraz z ogólnoswiatową rewolucją w dziedzinie komunikacji - prędzej czy później nie nastąpiła równie burzliwa rewolucja w życiu politycznym.

Wszystkie partie polityczne przemysłowego świata, wszystkie kongresy, parlamenty i rady najwyższe, urzędy naszych prezydentów i premierów, sądy i instytucje prawodawcze, wszystkie, nawarstwione jeden na drugim, biurokratyczne systemy rządzenia, słowem - wszystkie instrumenty władzy, które służą do podejmowania i realizacji zbiorowych decyzji politycznych, są zdecydowanie przestarzałe i muszą ulec zmianie. Cywilizacja trzeciej fali nie może funkcjonować przy zachowaniu struktury politycznej drugiej fali.

Podobnie jak rewolucjoniści, którzy tworząc epokę przemysłową nie mogli sprawować władzy za pomocą przeżytków aparatu feudalnego, dzisiaj my sami stanęliśmy przed koniecznością wynalezienia zupełnie nowych instrumentów politycznych. Takie jest polityczne przesłanie trzeciej fali.

CZARNA DZIURA

Chociaż nie doceniamy jeszcze powagi tego faktu, jesteśmy obecnie świadkami głębokiego kryzysu nie jednego czy drugiego rządu, lecz demokracji przedstawicielskiej jako takiej, i to we wszelkich jej formach. Kolejno w coraz to nowych krajach mechanizmy polityczne drugiej fali trzeszczą, zawodzą i niebezpiecznie się zacinają.

W Stanach Zjednoczonych obserwujemy niemal całkowity paraliż w dziedzinie podejmowania decyzji w sprawach decydujących o samym przetrwaniu społeczeństwa. Ponad sześć lat po embargo naftowym nałożonym przez OPEC wraz ze wszystkimi jego drastycznymi skutkami gospodarczymi, pomimo zagrożenia, jakie niesło ono dla niepodległości, a nawet dla bezpieczeństwa kraju, mimo przewlekłych dyskusji w Kongresie i ustawicznych reorganizacji systemu biurokratycznego, mimo związanych z kryzysem paliwowym gorących apeli prezydentów do społeczeństwa - amerykańska machina polityczna bezradnie kręci się wokół siebie, niezdolna do określenia jakiegokolwiek sensownej polityki, która bodaj z grubsza załatwiałaby problemy energetyczne.

Ale nie tylko tu panuje próżnia. Stany Zjednoczone nie mają żadnego całościowego (ani

zrozumiałego) programu w sprawie wielkich miast, ochrony środowiska, problemów rodziny czy technologii. Nie mają nawet - jeżeli dawać wiarę obcym komentatorom - konsekwentnej polityki zagranicznej. Zresztą, gdyby nawet istniał jakiś program w tych sprawach, to amerykański system polityczny i tak nie znalazłby w sobie dość siły i żywotności, by uwzględnić niezbędne priorytety i zrealizować je w praktycznej polityce kraju. Próżnia ta jest odbiciem tak głębokiej niemocy w podejmowaniu decyzji, że sam prezydent Carter w jednym ze swych wystąpień poczuł się w obowiązku zganić swój własny rząd za "paraliż (...), stagnację (...) i bierność".

Ta niezdolność do podejmowania decyzji politycznych nie jest bynajmniej monopolem jakiejś konkretnej partii czy jednego prezydenta. Pogłębia się ona już od początku lat sześćdziesiątych i stanowi rezultat głęboko tkwiących przemian strukturalnych, którym żaden prezydent - republikanin ani demokrat - nie może sprostać w obecnym systemie. Te problemy polityczne wywierają z kolei destabilizujący wpływ na inne ważne instytucje społeczne, a więc na rodzinę, szkołę i korporację.

Wśród dziesiątek ustaw dotyczących bezpośrednio życia rodzinnego jedne zaprzeczają drugim lub jedne i drugie wzajemnie się znoszą, co tylko pogłębia kryzys rodziny. Na oświatę z kolei chlusnął strumień funduszy przyznanych dokładnie na samym początku ostrego niżu demograficznego, powodując istną orgię bezsensownego budownictwa szkolnego; po czym akurat wtedy, gdy szkolnictwo rozpaczliwie potrzebowało środków na inne cele, fundusze na oświatę zostały obcięte. Tymczasem korporacje muszą funkcjonować w tak niepewnym klimacie politycznym, że dosłownie nie wiedzą, czego rząd będzie od nich oczekiwał nazajutrz.

Najpierw Kongres żąda, aby w celu ochrony czystego środowiska General Motors i inni producenci samochodów instalowali konwertory katalityczne we wszystkich nowych autach. Następnie, kiedy już GM wydał 300 milionów dolarów na konwertory i podpisał 500-milionowy dziesięcioletni kontrakt na zakup potrzebnych do tej produkcji metali szlachetnych, rząd ogłosił, że samochody z konwertorami katalitycznymi wydzielają 35 razy więcej kwasu siarkowego niż samochody bez konwertorów.

Jednocześnie niepowstrzymana machina prawna produkuje coraz bardziej niezrozumiałą plątaninę przepisów - w sumie 45 000 stron nowych, zawiłych ustaw i norm rocznie. 27 rozmaitych agencji rządowych nadzoruje realizację 5 600 przepisów federalnych dotyczących samej tylko produkcji stali. (Tysiąc dodatkowych przepisów odnosi się do wydobywania, marketingu i funkcjonowania transportu w przemyśle stalowym.) Poważna firma farmaceutyczna Eli Lilly poświęca więcej czasu na wypełnianie różnych oficjalnych

kwestionariuszy rządowych niż na badania naukowe dotyczące chorób serca i nowotworów. Jedno sprawozdanie firmy naftowej Exxon dla Federalnej Agencji do spraw Energii obejmuje 445 000 stron, czyli tyle co tysiąc książek!

Ta istic mandaryńska biurokracja przygniata gospodarke, a jednocześnie nierytmiczne i niekonsekwentne posunięcia władz pogłębiają poczucie anarchii. Niezbornie meandrując z dnia na dzień, system polityczny poważnie komplikuje walkę o przetrwanie naszych głównych instytucji społecznych.

Niemoc polityczna nie jest jednak wcale fenomenem wyłącznie amerykańskim. We władzach Francji, Niemiec, Japonii i Wielkiej Brytanii, nie mówiąc już o Włoszech, obserwujemy podobne symptomy; występują też one w przemysłowych państwach komunistycznych. A premier Japonii oświadcza wręcz: "Coraz częściej słyszymy o ogólnoświatowym kryzysie demokracji. Kwestionuje się jej zdolność do rozwiązywania problemów i tak zwaną zdolność rządu. Dotyczy to również japońskiej demokracji parlamentarnej."

We wszystkich tych krajach maszyny polityczne, od których zależą decyzje, są coraz bardziej przeciążone, przepracowane, pogrążone w powodzi nieistotnych danych, a w dodatku narażone na zupełnie nieznane niebezpieczeństwa. Dochodzi więc do tego, że członkowie rządu, niezdolni do podjęcia decyzji w ważnych, priorytetowych sprawach, pospiesznie wydają tysiące pomniejszych, zgoła nieważnych zarządzeń i postanowień.

Jeżeli nawet zapadają w końcu jakieś ważne decyzje, zwykle są one spóźnione i rzadko kiedy załatwiają to, do czego miały służyć. "Pod względem ustawodawczym rozwiązaliśmy wszystkie problemy - powiada pewien zaniepokojony ustawodawca brytyjski. - Uchwaliliśmy nawet ustawy antyinflacyjne. Wielokrotnie zwalczyliśmy bezprawie. Rozwiązaliśmy problem środowiska. Organy ustawodawcze załatwiły wszystkie problemy po wielokroć. Tylko że problemy jak były, tak są. Ustawodawstwo nie wywołuje oczekiwanego skutku."

W telewizji amerykańskiej któryś z dziennikarzy nawiązując do zamierchłej przeszłości ujął to tak: "Teraz wydaje mi się, że nasz kraj to dylizans - konie ciągną go przed siebie, a woźnica stara się ściągnąć cugle, tylko że konie nie reagują."

Dlatego właśnie tylu ludzi, łącznie z najwyższymi urzędnikami, jest tak bezradnych. Pewien znany senator amerykański przyznał mi się prywatnie do głębokiej frustracji i uczucia, że nie może niczego pożytecznego dokonać. Zadaje on sobie pytanie: "Po co to wszystko?" Po co poświęcenie jego życia rodzinnego, zawrotne tempo życia, a jednocześnie wlokące się godziny narad, gorączkowe wyjazdy w delegację, konferencje bez końca, ten wieczny pośpiech? Nad tym samym zastanawia się członek parlamentu brytyjskiego, dodając

jeszcze, że "Izba Gmin to eksponat muzealny, to relikty!" Wysoki urzędnik Białego Domu skarży mi się z kolei, że nawet nasz prezydent, mający ponoć największą władzę na świecie, czuje, że nic nie działa. "Prezydent ma wrażenie, że krzyczy do telefonu, ale na drugim końcu nie ma nikogo."

Ta pogłębiająca się niezdolność do podejmowania w porę właściwych decyzji wpływa na zmianę głęboko ugruntowanych stosunków władzy w społeczeństwie. W normalnych, nie rewolucyjnych okolicznościach elity wszystkich krajów wykorzystują system polityczny do umacniania swej władzy i realizowania swoich celów. Władzę tych elit określa ich zdolność do powodowania określonych faktów albo do zapobiegania określonym faktom. Jest to jednak możliwe tylko wówczas, gdy elity posiadają zdolność przewidywania faktów i sprawowania nad nimi kontroli, czyli przy założeniu, że szarpnięcie cugli zatrzyma rozpędzone konie.

Dziś elity nie potrafią już przewidzieć skutków własnych decyzji. Systemy polityczne, w których działają, są już tak przestarzałe i skrzypiące, tak bardzo nie nadążają za biegiem wydarzeń, że nawet jeśli znajdują się pod ścisłą "kontrolą" elit, wykorzystujących je we własnym interesie, to często i tak te działania są bezskuteczne.

Wcale to nie oznacza, dodajmy od razu, iż władza utracona przez elity przeszła w ręce reszty społeczeństwa. Władzy się nie przekazuje: nie da się jej okiełznać i zlokalizować, toteż nikt nie wie w żadnym momencie, kto za co odpowiada, kto posiada rzeczywistą władzę (w odróżnieniu od nominalnej) ani jak długo może to potrwać. W tej kipiącej półanarchii zwykłych ludzi ogarnia gorzki cynizm, nie tylko wówczas, gdy myślą o swych własnych "reprezentantach", ale co gorsza, gdy zastanawiają się nad instytucją przedstawicielstwa w ogóle.

W rezultacie zaczyna tracić swą moc "uspokajający rytuał" głosowania. Z roku na rok spada w USA uczestnictwo w głosowaniu. W 1976 roku ponad 46 procent uprawnionych do głosowania obywateli nie przyszło do urn wyborczych, co oznacza, że prezydenta wybrała, licząc z grubsza, jedna czwarta obywateli uprawnionych do głosowania, czyli zaledwie ósma część całej ludności kraju. Nie tak dawno badacz opinii publicznej Patrick Cadell ustalił, iż tylko 12 procent wyborców wierzy jeszcze w jakikolwiek sens głosowania.

Podobnie tracą swą siłę przyciągania partie polityczne. W latach 1960-1972 w USA liczba osób "niezależnych", nie związanych z żadną partią, podskoczyła o 400 procent, w wyniku czego po raz pierwszy od ponad stu lat szeregi niezależnych zrównały się liczebnie z szeregami każdej z głównych partii.

W innych krajach można zaobserwować analogiczne tendencje. Partia labourzystowska, rządząca w Wielkiej Brytanii do 1979 roku, uległa takiej atrofii, że w kraju liczącym 56

milionów ludności partia ta nie ma więcej niż 100 tysięcy czynnych członków. Japońska gazeta "Yomiuri Shimbun" pisze, że "władze utraciły zaufanie wyborców, którzy czują, że z przywódcami nic ich nie łączy". Fala politycznego niezadowolenia ogarnia też Danię. Zapytany o to, dlaczego tak jest, pewien duński inżynier wyraził chyba opinię wielu współobywateli, stwierdzając, że "politycy najwyraźniej nie radzą sobie z zahamowaniem niekorzystnych trendów".

W Nowej Zelandii próżnia w głównym nurcie życia politycznego podsunęła jednemu z zaangażowanych działaczy pomysł, by zmienić personalia na Mickey Mouse i pod tym nazwiskiem kandydował w wyborach. Za nim poszli inni, wśród których była też Alicja z Krainy Czarów. W końcu parlament ustawowo zabronił kandydować każdemu, kto w ciągu sześciu miesięcy poprzedzających wybory zmienił nazwisko.

Jeszcze silniej niż gniew ludzie przejawiają obecnie niechęć i lekceważenie wobec swych przywódców politycznych i członków rządu. Wyczuwają oni, że system polityczny, który powinien służyć jako ster lub stabilizator w społeczeństwie miotanym przez niekontrolowane zmiany i przeobrażenia sam się załamał, kręcąc się i szamocąc bezładnie.

Nic dziwnego, że kiedy zespół politologów próbował niedawno zbadać w Waszyngtonie, "kto tam rządzi", doszedł do prostej i miażdżącej odpowiedzi. Raport z tych badań, opublikowany przez American Enterprise Institute (Amerykański Instytut Przedsiębiorczości), podsumował prof. Anthony King z uniwersytetu w Essex w Wielkiej Brytanii. Powiedział on: "Najkrócej można odpowiedzieć, że nikt. Nikt tu nie rządzi."

Nie tylko w USA, lecz w wielu krajach drugiej fali, które ogarnia trzecia fala zmian, rozszerza się próżnia polityczna, niczym kosmiczna czarna dziura w życiu społecznym.

PRYWATNE ARMIE

Chcąc zobaczyć, jakie mogą być konsekwencje tej próżni politycznej, sięgnijmy pamięcią do połowy lat siedemdziesiątych. Gdy w następstwie embargo OPEC wystąpiły zahamowania w dostawach surowców i paliw, nagle nasiliła się inflacja i bezrobocie i nastąpił spadek dolara, w Afryce zaś, Azji i Ameryce Południowej coraz głośniej żądano nowego ładu gospodarczego - we wszystkich krajach drugiej fali zaczęły się kolejno pojawiać oznaki patologii politycznej.

W Wielkiej Brytanii, czczonej jako przystań tolerancji i poszanowania człowieka, emerytowani generałowie rozpoczęli rekrutację prywatnych armii do pilnowania porządku, odradzający się zaś ruch faszystowski pod nazwą Front Narodowy obsadził swoimi ludźmi stanowiska kandydatów parlamentarnych w blisko 90 okręgach wyborczych. Niewiele

brakowało, a faszyci i lewacy wszczęliby masową bitwę na ulicach Londynu. We Włoszech lewicowi faszyci z Czerwonych Brygad zaostrzyli formy swego władania, nasilając akty terroryzmu, porwania i morderstwa. W Polsce, gdy rząd chciał podnieść ceny żywności w celu złagodzenia inflacji, doszło niemal do rewolucji. W Republice Federalnej Niemiec rozdygotane władze, dotkliwie porażone przez morderstwa dokonywane przez terrorystów, w celu zwalczania wrogów politycznych co rychlej wprowadziły całą serię ustaw żywcem z epoki makkartyzmu.

To prawda, że objawy braku stabilizacji politycznej cofnęły się, gdy pod koniec lat siedemdziesiątych przemysłowe gospodarki częściowo (i przejściowo) wróciły do równowagi. Brytyjskie prywatne armie nigdy nie ruszyły do akcji. Czerwone Brygady, po zamordowaniu Aldo Moro, jak gdyby wycofały się na dalszy plan w celu dokonania przegrupowań organizacyjnych. W Japonii nowy rząd gładko przejął władzę. Rząd polski zawarł nietrwały rozejm z buntownikami.

W Stanach Zjednoczonych Jimmy Carter, który zdobył urząd dzięki temu, że przeciwstawiał się "systemowi" (by następnie go zresztą przejąć), zdołał jakoś utrzymać się u władzy mimo katastrofalnej utraty popularności.

Te dowody braku stabilności każą nam jednak zastanowić się, czy istniejące systemy polityczne drugiej fali w każdym z państw przemysłowych będą zdolne przetrwać kolejną rundę kryzysów. Bo przecież kryzysy lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych będą prawdopodobnie jeszcze poważniejsze, bardziej wyniszczające i groźniejsze niż te, które właśnie minęły. Mało kto wierzy, że najgorsze mamy za sobą, mnożą się natomiast złowróżbne scenariusze.

Jeżeli zakręcenie irańskich kurków z ropą na kilka tygodni mogło spowodować awantury i zamieszanie w kolejkach po benzynę w Stanach Zjednoczonych, to co się stanie, zresztą nie tylko w USA, jeżeli zostaną obaleni obecni władcy Arabii Saudyjskiej? Czy jest prawdopodobne, by ta klika kilku rządzących rodzin, posiadających 25 procent światowych zasobów ropy naftowej, mogła w nieskończoność utrzymywać się przy władzy - mimo wybuchających raz po raz wojen na pobliskiej granicy dzielącej Jemen Północny od Południowego i mimo że w ich własnym kraju stabilizacja jest niemożliwa z powodu napływu petrodolarów, imigrantów do pracy i palestyńskich radykałów? Ile roztropności potrafią wykazać będący w szoku (również w szoku przyszłości) politycy w Waszyngtonie, Londynie, Paryżu, Moskwie, Tokio i Tel Aviwie w razie zamachu stanu, rewolucji religijnej lub powstania ludowego w Riadzie, nie mówiąc już o ewentualności sabotażu na terenie pól naftowych w Ghawarze i Abqaiqu?

Jak zareagowaliby ci sami, przepracowani i wstrząśnięci nerwowymi tikami przywódcy drugiej fali na Wschodzie i na Zachodzie, gdyby - jak przewiduje szejk Yamani - nurkowie zatopili tankowiec lub zaminowali wody cieśniny Ormuz, blokując w ten sposób połowę transportu ropy, bez której świat nie może już normalnie funkcjonować?

W innym zatrważającym scenariuszu pada pytanie o to, co się stanie, jeżeli Meksyk na serio przystąpi do wydobycia swojej ropy i wówczas tam zaczną nagle napływać petropesos? Czy rządząca oligarchia zechce - i czy w ogóle potrafi to technicznie zorganizować - obdzielić tym nowym bogactwem niedożywiony i zaniedbywany przez wieki lud wieśniaczy Meksyku? I czy władze zdołają uczynić to na tyle wcześnie, aby uniemożliwić przerodzenie się dzisiejszych, wciąż jeszcze niewielkich, akcji partyzanckich w ogólnonarodową wojnę domową na samym progu Stanów Zjednoczonych? A gdyby taka wojna wybuchła, co wtedy zrobiłby Waszyngton? I jak zareagowałyby na to masy Chicanosów, żyjących w gettach w Południowej Kalifornii i w Teksasie? Czy przy obecnym bałaganie w Kongresie i w Białym Domu można się spodziewać, że w razie jakiegoś naprawdę poważnego kryzysu zapadną tam bodaj półinteligentne decyzje?

Czy rządy, które już w tej chwili nie radzą sobie z siłami makroekonomicznymi, potrafią opanować jeszcze bardziej rozhuśtane skoki w międzynarodowym systemie monetarnym lub uporać się z jego kompletnym załamaniem? Już dziś poszczególne systemy walutowe wymykają się spod kontroli, balon Euro waluty nabrzmiewa z niepowstrzymaną siłą, rozrastają się do niebywałych rozmiarów kredyty konsumentów i korporacji oraz kredyty rządowe - czy w tej sytuacji można oczekiwać w najbliższej przyszłości stabilizacji gospodarczej? Nie można wykluczyć, że gdyby nadeszła zawrotna inflacja i wzrosło bezrobocie, runęły kredyty lub zdarzyła się jakaś inna katastrofa gospodarcza, to jednak zobaczylibyśmy prywatne armie w akcji.

I wreszcie, co się stanie, jeżeli wśród mnóstwa pieniących się obecnie kultów religijnych pojawią się takie, które zorganizują się w celach politycznych? Pod działaniem odmasowiającego wpływu trzeciej fali wielkie, zorganizowane grupy wyznaniowe mogą rozszczepić się na wiele odłamów; mogą się wtedy pojawić całe armie samozwańczych kapłanów, pastorów, kaznodziejów i nauczycieli, a za niektórymi z nich mogą ruszyć zdyscyplinowane, może nawet paramilitarne rzesze politycznych wyznawców.

W Stanach Zjednoczonych nietrudno wyobrazić sobie jakąś nową partię polityczną lansującą na przykład Billy Grahama (lub kogoś w tym rodzaju) z surowym programem pod hasłem "prawa i porządku" lub "walki z pornografią", zabarwionym silnym odcieniem dyktatorskim. Albo też jakąś jeszcze nieznaną Anitę Bryant, żądającą kary więzienia dla

homoseksualistów lub ich sympatyków. Przykłady te rysują zaledwie nikłe perspektywy przyszłej fuzji religii i polityki nawet w najbardziej świeckich społeczeństwach. Można sobie wyobrazić najróżniejsze ruchy polityczne oparte na kultach religijnych pod wodzą ajatollahów o nazwisku Smith, Schultz czy Santini.

Nie mówię, że scenariusze te na pewno się sprawdzą. Może wszystkie okażą się nieprawdziwe. Ale jeżeli akurat te się nie ziszczą, to musimy zakładać, że wybuchną inne dramatyczne kryzysy, jeszcze groźniejsze od przeżywanych ostatnio. Musimy również zdać sobie sprawę, że obecne pokolenie przywódców drugiej fali to ludzie groteskowo nieprzygotowani do uporania się z nimi.

Ponieważ jest faktem, że struktury polityczne drugiej fali są jeszcze bardziej zrujnowane obecnie niż były w latach siedemdziesiątych, należy przypuszczać, że rządy będą mniej kompetentne, z mniejszą wyobraźnią i mniej dalekowzrocznie podchodzić do rozwiązywania kryzysów w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

A z tego wynika wniosek, że powinniśmy zrewidować od podstaw jedną z najgłębiej zakorzenionych i najniebezpieczniejszych iluzji politycznych.

KOMPLEKS MESJASZA

Kompleks Mesjasza to właśnie ta iluzja, że zdołamy jakoś się uratować, zmieniając człowieka na górze.

Obserwując polityków drugiej fali, którzy potykają się i zataczają jak pijani w obliczu problemów powstających pod naporem trzeciej fali, miliony ludzi, naczytawszy się gazet, poprzestają na prostym i zrozumiałym wyjaśnieniu naszych zmartwień: są przekonani, że wszystkim "winni są przywódcy". Gdybyż tylko zjawił się na horyzoncie jakiś Mesjasz i wszystko znów urządził po staremu!

Ta tęsknota do silnego przywódcy w stylu "pana i władcy" przejawia się dziś nawet w wypowiedziach tych ludzi, którzy kierują się najlepszymi intencjami. I jest to zrozumiałe, przecież dobrze im znany świat rozpada się, ich środowisko życiowe stwarza coraz więcej nieoczekiwanych problemów, a oni tymczasem pragną ładu, struktury i możliwości przewidywania tego, co ich czeka. Rozlega się więc - jak ujął to Ortega y Gasset w latach trzydziestych, gdy Hitler parł do władzy - "potężne wołanie, wznoszące się ku gwiazdom, niczym wycie niezliczonych psów, z błaganiem, by zjawił się ktoś lub coś i wszystkim się zajął".

W Stanach Zjednoczonych prezydenta ostro się oskarża o "brak przywództwa". W Wielkiej Brytanii wybrano Margaret Thatcher, ponieważ ona jedna stwarza przynajmniej

złudzenie, że jest "damą z żelaza". Nawet w krajach komunistycznych [...] wciąż rosną naciski, by jeszcze bardziej "umacniać władzę".

Wołanie o "przywództwo", właśnie u progu tej niebezpiecznej dekady, przychodzi w momencie, gdy na nowo ożywają pośród nas dawno zapomniane ciemne siły. "New York Times" pisze, że we Francji po z górą trzydziestu latach hibernacji znów starają się dostać na arenę intelektualną niewielkie, lecz wpływowe ugrupowania prawicowe, głoszące zdyskredytowane przez klęskę faszyzmu w drugiej wojnie światowej - teorie na temat ras, wyższości biologicznej i politycznej.

Rozgadani na temat aryjskiej wyższości rasowej i szalenie antyamerykańscy, kontrolują oni jeden z największych tygodników, "Le Figaro". Według nich ludzie różnych ras są nierówni z urodzenia i polityka społeczna nie powinna próbować tych różnic niwelować. W swojej argumentacji powołują się często na E. O. Wilsona i Arthura Jensena, chcąc przez to nadać pozornie naukowy koloryt swym zjadliwym skłonnościom antydemokratycznym.

Po drugiej stronie kuli ziemskiej, w Japonii, byliśmy z żoną świadkami 45-minutowej procesji wolno jadących ciężarówek z działaczami politycznymi w mundurach i hełmach, zwolennikami twardej ręki, skandującymi i wymachującymi zaciśniętymi pięściami w proteście przeciwko jakiejś przyjętej niedawno przez rząd ustawie. Nasi japońscy znajomi wytłumaczyli nam, że te oddziały szturmowe powiązane są z gangami *yakuza*, podobnymi do mafii, i że finansowane są przez wpływowych polityków, którym marzy się powrót do przedwojennej władzy dyktatorskiej.

Każde z tych zjawisk ma z kolei swój "lewicowy" odpowiednik; są to gangi terrorystów głoszących hasła demokracji socjalistycznej, gotowych jednocześnie narzucić narodom swoją własną odmianę władzy totalitarnej za pomocą Kałasznikowów i plastikowych bomb.

W Stanach Zjednoczonych, wśród wielu niepokojących oznak, widzimy odradzanie się jawnego rasizmu. Począwszy od 1978 roku odrodzony w Atlancie Ku Klux Klan urządza pochody z płonącymi krzyżami; w mieście Decatur w Alabamie uzbrojeni mężczyźni pikietowali ratusz; strzelaniny wybuchają w kościołach murzyńskich i w synagodze w Jackson w stanie Mississipi; Ku Klux Klan przejawia ożywioną na nowo działalność w 21 stanach od Kalifornii po Connecticut. W Północnej Karolinie członek Klanu, który jednocześnie deklaruje się jako zagorzali faszysta, zamordował pięciu lewicowych działaczy, protestujących przeciwko akcjom Ku Klux Klanu.

Krótko mówiąc, wzrostowi żądań domagających się "silnej władzy" towarzyszy odradzanie się dyktatorskich ugrupowań, mających nadzieję, że korzystając ze spadku autorytetu władzy przedstawicielskiej, same umocnią swą pozycję. Hubka i iskra zbliżają się

na niebezpieczną odległość.

To nasilające się wołanie o przywództwo opiera się na trzech mylnych założeniach; pierwsze z nich polega na mianie o efektywności i skuteczności silnej dyktatury. Mało jest równie rozpowszechnionych poglądów jak ten, że dyktatorzy przynajmniej umieją dopilnować, "żeby pociągi chodziły punktualnie". Dziś tyle instytucji źle funkcjonuje i tak powszechna jest niemożność przewidzenia czegokolwiek, że miliony ludzi chętnie poświęciłyby część swobód (najlepiej cudzych), byleby tylko ich gospodarcze, społeczne i polityczne pociągi chodziły punktualnie.

Tymczasem silna władza, nawet totalitarna, ma niewiele wspólnego z efektywnością i skutecznością. Nawet o Niemczech hitlerowskich, które wprost fantastycznie skutecznie umiały zorganizować zagładę Polaków, Rosjan, Żydów i innych "nie-Aryjczyków", nie można powiedzieć, żeby były efektywne pod jakimkolwiek innym względem. Raymond Fletcher, członek Parlamentu Brytyjskiego, który studiował w Niemczech i pozostał uważnym obserwatorem stosunków społecznych w tym kraju, przypomina o dawno zapomnianych faktach:

"Zawsze uważamy Niemcy hitlerowskie za wzór efektywności. Tymczasem Wielka Brytania była lepiej zorganizowana na okoliczność wojny niż Niemcy. Na przykład w Zagłębiu Ruhry Niemcy wciąż jeszcze produkowali czołgi i samochody pancerne, mimo że kolej od dawna nie mogła sobie poradzić z ich transportem. Nie umieli też Niemcy dostatecznie wykorzystać własnych uczonych. Z powodu ogólnej nieefektywności tylko znikoma część spośród 16 000 wynalazków o militarnym znaczeniu z okresu wojny rzeczywiście doczekała się wdrożenia do produkcji. Różne agencje wywiadu faszystowskiego w końcu szpiegowały się nawzajem, gdy tymczasem wywiad brytyjski spisywał się znakomicie. Podczas gdy Anglicy organizowali zbiórki żelaznych płytów i patelni od obywateli na cele wojenne, Niemcy wciąż produkowali różne przedmioty luksusu. Anglicy dość wcześnie wprowadzili pobór kobiet do wojska, a Niemcy nie. Sam Hitler był wzorem niezdecydowania. Trzecia Rzesza jako przykład efektywności wojskowej czy przemysłowej to po prostu śmieszny mit."

Jak zobaczymy, po to, żeby zmusić pociągi do punktualności, trzeba czegoś więcej niż tylko silnej władzy.

Drugim mylnym założeniem w wołaniu o silne przywództwo jest przeświadczenie, że taki sam styl rządzenia, który był skuteczny dawniej, będzie równie skuteczny obecnie lub w przyszłości. Myśląc o przywództwie wciąż odgrzebujemy dawne wizerunki - Roosevelta, Churchilla, de Gaulle'a. Ale różne cywilizacje potrzebują różnego rodzaju przywództwa. To,

co w jednej było siłą, w innej może być nieudolnością i skrajną słabością.

W rolniczej cywilizacji pierwszej fali władzę zwykle dawało urodzenie, nie czyny. Monarsze potrzebne były pewne ograniczone umiejętności praktyczne; musiał on tedy umieć dowodzić ludźmi w boju, chytrze wygrywać jednych baronów przeciw drugim, no i mieć dość sprytu, by inteligentnie zrealizować korzystny mariaż. Podstawowe kwalifikacje władcy nie obejmowały ani wiedzy książkowej, ani zdolności do abstrakcyjnego myślenia. Poza tym przywódcy z tamtych czasów z reguły mogli dowolnie sprawować osobistą władzę w sposób nawet najbardziej kapryśny i dziwaczny, nie licząc się z żadną konstytucją, ustawodawstwem czy opinią publiczną. A kiedy potrzebowali poparcia, wystarczała mała koteria szlachty, feudałów i ministrów. Władca, który potrafił zdobywać takie poparcie, uchodził za "silnego".

Przywódcą drugiej fali, dla odmiany, dysponował bezosobową i coraz bardziej abstrakcyjną władzą. Musiał podejmować o wiele więcej decyzji w najrozmaitszych sprawach - od manipulowania środkami masowego przekazu począwszy, a na kierowaniu makro-ekonomią skończywszy. Jego decyzje musiały być wprowadzane w życie za pośrednictwem łańcucha organizacji i agencji, których złożone współzależności musiał on rozumieć i koordynować. Musiał być wykształcony i zdolny do abstrakcyjnego rozumowania. Zamiast rozgrywek z garstką baronów, musiał teraz radzić sobie ze skomplikowanym układem między licznymi elitami i subelitami. A poza tym, nawet gdy był dyktatorem, przynajmniej nominalnie ograniczała go konstytucja, precedens prawny, wymagania polityki partyjnej i siła opinii mas.

Przy tak wielkich różnicach nawet "najsilniejszy" władca pierwszej fali nagle znalazłszy się w strukturze politycznej drugiej fali, okazałby się jeszcze słabszy, bardziej zdeorientowany, niekompetentny i nieudolny niż "najsłabszy" przywódca drugiej fali.

Toteż dziś, na etapie wkraczania w kolejne stadium cywilizacyjne, tacy "silni" przywódcy społeczeństw przemysłowych, jakimi byli Roosevelt, Churchill, de Gaulle, Adenauer (Stalin zresztą też), byłiby równie nieprzydatni i nie na miejscu, jak król Ludwik Szalony w Białym Domu. Poszukiwanie przywódców wyglądających na zdecydowanych, stanowczych, upartych i pryncypialnych - w rodzaju Kennedy'ego, Connally'ego, Reagana, Chiraca czy pani Thatcher - to w istocie nostalgiczne poszukiwanie kogoś, kto uosabiałby silną władzę ojcowską (lub macierzyńską), czyli zamysł oparty na zdezaktualizowanych założeniach. "Słabość" współczesnych przywódców jest nie tyle odbiciem ich osobistych cech, ile konsekwencją załamania się instytucji, od których zależy ich władza i potęga.

W rzeczywistości ta pozorna "słabość" wynika wprost z coraz większej "władzy". W miarę przekształcania się społeczeństwa pod wpływem trzeciej fali, która przede wszystkim

powoduje w nim większe zróżnicowanie i złożoność, wszyscy przywódcy uzależniają się przecież od coraz większej liczby ludzi, którzy muszą im pomagać w podejmowaniu decyzji, a potem w ich realizacji. Im potężniejsze narzędzia władzy ma w swym ręku przywódca - a więc im więcej posiada myślicieli naddźwiękowych, broni jądrowej, komputerów, urządzeń telekomunikacyjnych - tym bardziej staje się on zależny od innych.

I od tej zależności nie można się uwolnić, gdyż ona właśnie odzwierciedla rosnący stopień złożoności samego sprawowania władzy. Dlatego właśnie prezydent amerykański może siedzieć tuż obok przycisku, który daje mu możliwość nuklearnego rozsądzenia globu, a mimo to czuć się tak bezradnie, jak gdyby "nikogo nie było na drugim końcu jego linii telefonicznej". Władza i bezsilność leżą po dwóch przeciwnych stronach tego samego układu scalonego.

Z tych właśnie powodów wyłaniająca się cywilizacja trzeciej fali wymaga władzy zupełnie nowego typu. Nie wiadomo jeszcze dokładnie, jaki powinien być przywódca trzeciej fali. Może się okazać, że silny będzie nie ten przywódca, który bardziej stanowczo upomina się o swoje prawa, lecz ten, który potrafi słuchać innych; że władza nie polega na sile burzenia, lecz na wyobraźni i że nie tkwi w megalomanii, lecz w zdawaniu sobie sprawy z ograniczonego charakteru władzy w nowym świecie.

Jutrzejści przywódcy będą najpewniej musieli sobie radzić ze społeczeństwem o wiele bardziej zdecentralizowanym i zaangażowanym, jeszcze bardziej zróżnicowanym niż dzisiaj. Nigdy już nie będą całkowicie zadowalać wszystkich ludzi. Prawdę mówiąc, nie wydaje się prawdopodobne, by jeden człowiek kiedykolwiek ucieleśniał wszystkie wymagane zalety. Okaze się chyba, że władza będzie bardziej tymczasowa, kolegialna i oparta na poszukiwaniu porozumienia.

Jill Tweedie, felietonistka "Guardiana", trafnie przeczuła tę zmianę, pisząc: "Łatwo krytykować (...) Cartera. Możliwe, że był on (jest?) człowiekiem słabym i chwiejnym (...) Ale jest równie możliwe (...) że głównym grzechem Jimmy Cartera jest milczące uznanie, iż w miarę kurczenia się globu, problemy (...) stają się tak ogólne, tak podstawowe i tak z sobą wzajemnie powiązane, że nie może ich rozwiązać, jak to niegdyś bywało, jeden człowiek lub jakaś inicjatywa jednego rządu." Słowem, sugeruje autorka, tak mozolnie szukamy nowego typu przywódcy nie dlatego, że ktoś uważa to za właściwe, lecz ponieważ zmusza nas do tego charakter problemów.

Ktoś, kto wczoraj uchodził za mocnego człowieka, jutro może okazać się cherlawym słabeuszem.

Niezależnie od tego, czy rzeczywiście tak jest, mamy jeszcze jeden argument przeciw

przeświadczeniu, jakoby od katastrofy mógł nas uchronić jedynie jakiś Mesjasz polityczny. Przeświadczenie to zakłada bowiem, że nasz główny problem ma charakter personalny. A tak nie jest. Nawet gdyby rządili nami święci, geniusze i herosi, nadal stalibyśmy przed ostatecznym kryzysem rządu przedstawicielskiego, będącego jak gdyby wcieleniem technologii politycznej drugiej fali.

W SIECI PROBLEMÓW

Gdyby wybór "najlepszego" przywódcy był naszym jedynym zmartwieniem, moglibyśmy ten problem rozwiązać w warunkach istniejącego systemu politycznego. W istocie jednak problem leży znacznie głębiej. Mówiąc w skrócie, przywódcy - nawet ci "najlepsi" - są kompletnie niesprawni, ponieważ zestarzały się instytucje, za których pośrednictwem muszą działać.

Po pierwsze, obecne struktury polityczne i rządowe powstały w czasie, gdy państwo narodowe zabiegało jeszcze o ostateczne uznanie. Każdy rząd mógł podejmować mniej lub bardziej niezależne decyzje. Jak się przekonaliśmy, dziś nie jest to już możliwe - mimo utrzymującego się mitu o suwerenności. Inflacja stała się chorobą tak bardzo ponadnarodową, że ani pan Breżniew, ani jego następcy nie zdołają zapobiec przedostaniu się przez ich granicę tej zaraźliwej choroby. Komunistyczne państwa przemysłowe - mimo że podlegając ścisłej kontroli wewnętrznej, tylko częściowo odczuwają konkurencję ze strony gospodarki światowej - zależą od obcych zasobów ropy, żywności, technologii, kredytów i innych niezbędnych środków. W 1979 roku w ZSRR musiano podnieść ceny wielu artykułów konsumpcyjnych. Czechosłowacja podwoiła ceny paliw. Węgrów poraziła 51-procentowa podwyżka opłat za elektryczność. Decyzje podejmowane w jednym kraju wywołują problemy lub zmuszają do określonych reakcji w innych krajach.

Francja buduje centrum wykorzystywania odpadów radioaktywnych na Przylądku Haskim (skąd jest bliżej do Londynu niż od brytyjskiego reaktora w Windscale); gdyby nastąpił tam przeciek radioaktywnego pyłu lub gazu, to panujące w tym rejonie wiatry zwiałyby je ku Anglii. Wycieki ropy meksykańskiej zagrażają wybrzeżom Teksasu oddalonym o 500 mil. A kiedy Arabia Saudyjska lub Libia zwiększają lub zmniejszają wydobycie ropy naftowej, wywiera to natychmiastowy lub dalekosiężny wpływ na równowagę ekonomiczną w wielu krajach.

W tej sieci splątanych problemów przywódcy różnych krajów marnują wiele wysiłków - niezależnie od tego, jakie wygłaszają przemówienia i jakimi szabelkami pobrzękują. Decyzje ich przeważnie wywołują kosztowne, niepożądane, często groźne reperkusje zarówno w skali

globalnej, jak i lokalnej. Wielkość rządu i podział władzy przy podejmowaniu decyzji są beznadziejnie niedopasowane do współczesnego świata.

Ale to zaledwie jedna z przyczyn powodujących, że obecne struktury polityczne stały się anachroniczne.

SPRZĘŻENIE PROBLEMÓW

Nasze instytucje polityczne charakteryzują się również przestarzałą strukturą wykorzystania wiedzy. Każdy rząd składa się z ministerstw lub departamentów zajmujących się odrębnymi dziedzinami, a więc finansami, sprawami zagranicznymi, obroną, rolnictwem, pocztą, transportem. Podobnie w Kongresie Stanów Zjednoczonych i w innych organach prawodawczych istnieją komisje powołane do zajmowania się poszczególnymi problemami. Ale żaden rząd drugiej fali, nawet najbardziej scentralizowany i oparty na najostrzejszej dyktaturze, nie zdoła rozwiązać problemu wynikającego ze sprzężenia wielu problemów; nikt nie potrafi odpowiedzieć, jak zintegrować działania tych wszystkich komórek w taki sposób, aby powstał uporządkowany, całościowy program zamiast niezbornych, często sprzecznych ze sobą i wzajemnie wykluczających się ustaw i decyzji.

Przez ostatnie kilkadziesiąt lat powinniśmy się już byli nauczyć, że wszelkie problemy społeczne i polityczne ściśle się łączą ze sobą; że na przykład energia wywiera wpływ na gospodarkę, a gospodarka na zdrowie, co z kolei wpływa na oświatę, pracę, życie rodzinne i tysiąc innych rzeczy. Wynikające z industrialnej mentalności usiłowanie załatwienia wypreparowanych problemów, każdego z osobna, wywołuje jedynie dezorientację i kłopoty. Jednakże struktura organizacyjna rządu stanowi dokładne odzwierciedlenie typowego dla drugiej fali stosunku do rzeczywistości.

Ta anachroniczna struktura prowadzi do nie kończących się sporów kompetencyjnych, do przerzucania kosztów (każda instytucja stara się rozwiązywać własne problemy kosztem jakiejś innej) oraz wywołuje niekorzystne skutki uboczne. Dlatego właśnie każda podjęta przez władze próba rozwiązania jakiegoś problemu prowadzi do mnóstwa nowych problemów, często jeszcze gorszych od pierwotnego.

Rządy najczęściej starają się rozwiązać ten problem sprzężenia problemów na drodze dalszej centralizacji, powołując w tym celu nowe organy, które mają za zadanie ukrócić formalistykę i nadmiar biurokracji. Owe organy wprowadzają zmiany, nie bacząc na szkodliwe skutki uboczne swej działalności, albo też same zaczynają tak bardzo obrastać w biurokrację, że szybko się je rozwiązuje. Centralizacja władzy nie daje już bowiem efektów. Innym desperackim sposobem jest tworzenie niezliczonych międzyresortowych komitetów do

koordynowania i rewidowania decyzji. Ale w rezultacie powstaje jeszcze jeden zestaw zapór i filtrów, przez które mają przechodzić decyzje, czyli następuje dalsza komplikacja labiryntu biurokratycznego. Nasze obecne rządy i struktury polityczne są przestarzałe, ponieważ patrzą na świat przez soczewkę drugiej fali.

To z kolei prowadzi do zaostrzenia jeszcze innego problemu.

TEMPO DECYZJI

W rządach i instytucjach parlamentarnych drugiej fali decyzje mogły zapadać niespiesznie, zgodnie z powolnym tempem życia w świecie, w którym wiadomość wysłana z Bostonu czy Nowego Jorku docierała do Filadelfii po tygodniu. Dziś natomiast, gdy jakiś ajatollah uwięzi zakładników w Teheranie albo kichnie w Qom, rządy w Waszyngtonie, Moskwie, Paryżu czy Londynie mogą zareagować w ciągu kilku minut. Niesłychane tempo zachodzących zmian zaskakuje rządy i polityków powodując w nich poczucie bezsilności i dezorientacji, co zresztą znajduje wyraz w prasie. "Zaledwie trzy miesiące temu - pisze "Advertising Age" - Biały Dom zalecał konsumentom rozważę w planowaniu wydatków. A w tej chwili rząd robi, co może, by zachęcić obywateli do jak największej rozrzutności w zakupach." "Eksperci przewidzieli eksplozję cen ropy naftowej" - pisze "Aussenpolitik", niemieckie pismo poświęcone sprawom zagranicznym - "ale nie przewidzieli przyśpieszenia tempa wydarzeń". Pisząc o tym, jak w latach 1974-1975 amerykańskich polityków nagle zaskoczyła recesja, czasopismo "Fortune" użyło takich między innymi określeń, jak "zaskakująca szybkość" i "absolutna bezwzględność".

Przyspieszeniu ulegają również przemiany społeczne, powiększając jeszcze bardziej napięcia, jakie przeżywają decydenci. "Business Week" stwierdza, że "dopóki w Stanach Zjednoczonych przemieszczanie się przemysłu i ludności było powolne i stopniowe (...) zjawisko to przyczyniało się do jednoczenia narodu. Ale w ciągu ostatnich pięciu lat migracja nabrała tak gwałtownego charakteru, że obecne instytucje polityczne nie mogą sobie poradzić z tym problemem."

Kariery polityczne również nabrały tempa, często wywołując zaskoczenie samych działaczy. Jeszcze w 1970 roku Margaret Thatcher twierdziła, że za jej życia żadnej kobiecie nie uda się zdobyć wysokiego stanowiska w rządzie brytyjskim. W 1979 roku sama została premierem.

W Stanach Zjednoczonych w ciągu kilku, miesięcy Jimmy Jak-mu-tam? nagle znalazł się w Białym Domu. Co więcej, chociaż nowy prezydent nie obejmuje urzędu przed styczniem następnego roku, Carter stał się faktycznym prezydentem natychmiast. To przecież Cartera, a

nie odchodzącego Forda, bombardowano pytaniami na temat Bliskiego Wschodu, kryzysu energetycznego i innych spraw, jeszcze zanim obliczono głosy wyborcze. Ford, który przegrał wybory, stał się praktycznie bezużyteczny, ponieważ czas w polityce ceni się obecnie zbyt wysoko, historia biegnie zbyt szybko, aby pozwalać sobie na tradycyjne opóźnienia.

Skrócony został również "miodowy miesiąc" łaskowości prasy wobec nowego prezydenta. Jeszcze przed inauguracją Carter został ostro zaatakowany za wybór niektórych członków rządu i musiał wycofać swego kandydata na stanowisko szefa CIA. Następnie, jeszcze przed półmetkiem czteroletniej kadencji, wnikliwy obserwator życia politycznego Richard Reeves, już przepowiadał prezydentowi skróconą karierę; twierdził on, że "dzięki błyskawicznej komunikacji czas tak bardzo się skondensował, że na czteroletnią prezydenturę składa się dziś więcej wydarzeń, kłopotów i informacji niż na jakąkolwiek ośmioletnią kadencję w przeszłości";

Zwiększające się tempo życia politycznego, które odzwierciedla ogólniejsze przyspieszenie tempa zmian, prowadzi do dalszego załamywania się polityki i sposobu sprawowania władzy. Ujmując rzecz prościej, można powiedzieć, że nasi przywódcy - którzy muszą działać za pośrednictwem pomyślanych dla mniej rozpedzonych czasów instytucji drugiej fali - nie potrafią sprokurować inteligentnych decyzji tak szybko, jak wymagałby tego bieg wydarzeń. Albo decyzje zapadają za późno, albo zaczyna panować niezdecydowanie.

Profesor Robert Skidelsky z Podyplomowego Studium Spraw Międzynarodowych na Uniwersytecie Johna Hopkinsa pisze na przykład: "Jakakolwiek polityka jest praktycznie niemożliwa do zrealizowania, ponieważ zbyt wiele czasu pochłania formalna procedura w Kongresie, nawet wówczas gdy jakiś projekt pozyska sobie większość głosów." A napisano to w 1974 roku, na długo przedtem, zanim zaczął się szósty rok niekończącej się procedury ustawodawczej, związanej z próbą opracowania odpowiedniej polityki energetycznej w Stanach Zjednoczonych.

Przyspieszenie zmian przekracza zdolność naszych instytucji do podejmowania decyzji, powodując, że dzisiejsze struktury polityczne są przestarzałe, bez względu na ideologię partyjną czy przywództwo. Instytucje te są nieodpowiednie nie tylko z uwagi na swą skalę i strukturę, lecz również pod względem szybkości działania. Ale to też jeszcze nie wszystko.

BRAK ZGODY I JEDNOŚCI

Podczas gdy druga fala tworzyła społeczeństwo masowe, trzecia fala odwróciła tę tendencję, powodując odmasowienie i przestawienie całego systemu społecznego na znacznie wyższy stopień zróżnicowania i złożoności. Ten rewolucyjny proces, przypominający

różnicowanie się biologiczne towarzyszące ewolucji, ułatwia wyjaśnienie jednego z najpowszechniej występujących zjawisk politycznych dzisiejszej doby, a mianowicie brak zgody i jedności.

W całym świecie przemysłowym politycy podnoszą wielki lament nad zanikaniem "wspólnego celu narodu", owego dawnego poczucia wspólnoty, nad rozpadaniem się "jedności narodowej" i raptownym zdumiewającym rozmnożeniem się prężnych odłamów i grup społecznych. Ostatnio w Waszyngtonie słyszy się dużo o "grupach jednej sprawy", czyli organizacjach politycznych, których tysiące powstają w związku z jakimś jednym palącym zagadnieniem, w rodzaju kampanii w sprawie przerywania ciąży, kontroli posiadania broni, równouprawnienia homoseksualistów, wykorzystania energii jądrowej itp. Powstaje tak wiele najróżniejszych ugrupowań tego typu - i to zarówno na szczeblu ogólnokrajowym, jak i lokalnym - że politycy i przedstawiciele oficjalnych władz stracili już wszelką orientację.

Właściciele przyczep mieszkalnych organizują się, by wspólnie występować przeciwko zmianom w planie zagospodarowania przestrzennego powiatów. Farmerzy wojują z energetycznymi liniami przesyłowymi. Emeryci i renciści protestują przeciwko podatkom na szkolnictwo. Organizują się Chicanos; górnicy, którzy są za kopalniami odkrywkowymi, i górnicy, którzy są przeciwko kopalniom odkrywkowym; organizują się samotne matki i samotni ojcowie tudzież uczestnicy kruczaty antyporno. Pewien magazyn wychodzący na Środkowym Zachodzie Ameryki donosi nawet o utworzeniu organizacji "homoseksualnych faszystów", co niewątpliwie musi wprawiać w zakłopotanie zarówno heteroseksualnych faszystów, jak i Ruch Wyzwolenia Homoseksualistów.

Jednocześnie masowe organizacje o zasięgu ogólnokrajowym z trudem bronią się przed rozpadem. Uczestnik konferencji dobrowolnych stowarzyszeń powiedział na przykład:

"Lokalne kościoły już nie respektują zaleceń swych ogólnokrajowych central." A pewien działacz związkowy zauważył, że związki zawodowe, przedtem podążające w tym samym kierunku, obieranym dla wszystkich przez Amerykańską Federację Pracy i Kongres Organizacji Przemysłowych (AFL-CIO), teraz coraz częściej organizują kampanie nastawione na realizację własnych celów każdego związku.

Ale społeczeństwo nie rozszczepia się po prostu na odłamy. Poszczególne grupy mają coraz bardziej tymczasowy charakter; coraz szybciej powstają, zamierają, zmieniają charakter, tworząc spienioną i burzliwą płynną masę, nie poddającą się żadnej analizie. Jak stwierdził pewien urzędnik państwowy: "W Kanadzie szacuje się, że żadna nowa dobrowolna organizacja nie przetrwa dłużej niż 6-8 miesięcy. Tych grup jest teraz więcej i są bardziej efemeryczne niż dawniej." W ten sposób tempo i różnorodność powodują w sumie tworzenie się

polityki całkowicie nowego typu.

Z tych samych powodów muszą pójść w zapomnienie nasze koncepcje na temat koalicji, sojuszków i zjednoczonych frontów. W społeczeństwie drugiej fali przywódca polityczny mógł zjednoczyć pół tuzina wielkich bloków wyborczych, jak uczynił to na przykład Roosevelt w 1932 roku, i spodziewać się, że utworzona w ten sposób koalicja utrzyma się przez wiele lat. Dziś trzeba łączyć razem setki, nawet tysiące niewielkich, krótkotrwałych ugrupowań powstających w różnych celach, a i taka koalicja również zwykle okazuje się nietrwała. Może dotrzeć do wyborów, ale następnego dnia rozpadnie się, zostawiając nowego prezydenta bez żadnego poparcia dla jego programu.

To odmasowienie życia politycznego - odzwierciedlające wszystkie wspomniane już głębokie tendencje w dziedzinie technologii, produkcji, komunikacji i kultury - w jeszcze większym stopniu osłabia zdolność polityków do podejmowania ważkich decyzji. Przyzwyczajeni do manipulowania paroma dobrze znanymi i przejrzystymi zorganizowanymi ruchami społecznymi, teraz nagle czują się osaczeni. Ze wszystkich stron nieprzeliczona mnogość nowych grup wyborców, zorganizowanych w sposób nietrwały i płynny, domaga się równoczesnej uwagi dla autentycznych, lecz wąskich i nieznanymi potrzeb.

Bardzo konkretne żądania zalewają instytucje prawodawcze i urzędy państwowe, przedostając się do nich przez każdą szczelinę, wciskając się oknami i drzwiami, pocztą i przez posłańców. To niesamowite spiętrzenie próśb i wniosków nie pozostawia czasu na ich rozpatrzenie. Ponadto, ponieważ społeczeństwo zmienia się w przyspieszonym tempie, a decyzje spóźnione są gorsze niż żadne, wszyscy dopominają się natychmiastowej odpowiedzi. W rezultacie Kongres stale jest tak zajęty, że - według demokratycznego członka Izby Reprezentantów, N. Y. Minety z Kalifornii - "ludzie spotykają się tam tylko przelotnie. Nie ma warunków do zastanowienia się nad czymkolwiek."

Sytuacje w różnych krajach bywają różne, ale trzecia fala wszędzie tak samo stawia pod znakiem zapytania przestarzałe instytucje drugiej fali - zbyt powolne, by nadażyć za tempem przemian, i zbyt podobne do siebie, by poradzić sobie z nowym, bardzo wysokim zróżnicowaniem społecznym i politycznym. Utworzone z myślą o znacznie powolniejszym i prostszym społeczeństwie, nasze instytucje są bezwładne i rozregulowane. Nie da się ich naprawić manipulując przepisami i ustawami. Albowiem kryzys instytucji uderza w istocie w najbardziej podstawowe założenie teorii politycznej drugiej fali, czyli w ideę przedstawicielstwa.

Wzrost zróżnicowania oznacza bowiem, że chociaż współczesne systemy polityczne są teoretycznie oparte na zasadzie rządów większości, to pozyskanie takiej większości może

okazać się niemożliwe, nawet w sprawach decydujących o przetrwaniu. Ten brak zgody i jedności oznacza z kolei, że rządy coraz częściej są rządami mniejszości, opierającymi się na zmiennych i niepewnych koalicjach.

Brak większości powoduje, że powszechne powoływanie się na demokrację staje się istną parodią. Każde to nam zastanowić się, czy w warunkach zbiegania się przyspieszonego tempa i rosnących zróżnicowań społeczeństwo może w ogóle być kiedykolwiek przez kogokolwiek "reprezentowane". W masowym społeczeństwie przemysłowym, gdzie ludzie względnie mało się różnili, a ich potrzeby - również dość jednakowe - miały nieskomplikowany charakter - osiągnięcie zgody i jedności było rzeczą realną. W społeczeństwie niemasowym trudno nie tylko o cel wspólny dla całego narodu, ale nawet dla poszczególnych regionów, stanów czy miast. Zróżnicowanie potrzeb i celów ludzi w poszczególnych okręgach wyborczych do Kongresu czy parlamentu, zarówno we Francji, Japonii, jak i w Szwecji, jest tak wielkie, że żaden przedstawiciel danego okręgu nie ma właściwie prawa występować w imieniu swoich wyborców. Nie może reprezentować woli ogółu z tego prostego powodu, że nie ma już żadnego "ogółu". Co zatem stanie się z samą ideą "demokracji przedstawicielskiej"?

Takie pytanie nie ma bynajmniej na celu kwestionowania samej demokracji. (Przekonamy się wkrótce, że trzecia fala otwiera przed światem drogę do demokracji bogatszej i szerszej.) Ale pytanie to podkreśla jeden niewątpliwy fakt, ten mianowicie, że anachroniczne są nie tylko obecne instytucje drugiej fali, ale również założenia, na których te instytucje kiedyś zbudowano.

Na naszych oczach rozpada się przeciążona i przestarzała technologia polityczna ery przemysłowej; i nic dziwnego, technologię tę zbudowano bowiem niegdyś w zupełnie innej skali. Dziś nie nadaje się już ona do rozwiązywania problemów o zasięgu ponadnarodowym ani problemów posplatanych w skomplikowany sposób; nie może też ona nadążyć za przyspieszonym tempem życia i nie może funkcjonować w warunkach wysokiego stopnia zróżnicowania we wszystkich dziedzinach życia.

IMPLOZJA DECYZJI

Nie jakiś wyimaginowany "brak przywództwa", lecz zbyt wielka liczba decyzji, zapadających zbyt szybko, na temat zbyt wielu spraw obcych i nieznanych - stanowi wyjaśnienie niekompetencji, jaka charakteryzuje dziś większość decyzji podejmowanych przez polityków i rządy. Porażone implozją decyzji, nasze instytucje dostały zawrotu głowy.

Rządy korzystają ze staroświeckiej technologii politycznej, toteż ich zdolność do podejmowania skutecznych i właściwych decyzji gwałtownie maleje. "Gdy wszystkie decyzje

miały zapadać w Białym Domu - pisał William Shawcross w miesięczniku "Harper" omawiając politykę Nixona i Kissingera w sprawie Kampuczy - nie było czasu na długie rozważanie poszczególnych posunięć". W istocie Biały Dom ma decydować o tylu sprawach, od zanieczyszczeń powietrza, kosztów leczenia szpitalnego i energii jądrowej poczynawszy, a na zakazie produkcji niebezpiecznych zabawek (!) skończywszy. Jak zwierzył mi się pewien doradca prezydenta, "wszystkich w Białym Domu poraził szok przyszłości".

Organy wykonawcze wcale nie są w lepszej sytuacji. Ministerstwa uginają się pod stosami decyzji. Każde musi przestrzegać niezliczonych przepisów i wydawać mnóstwo poleceń dziennie w niesamowicie przyspieszonym trybie.

Z przeprowadzonych ostatnio badań w jednej z amerykańskich fundacji artystycznych (National Endowment for Arts - NEA) wynika, że rada poświęca tam całe cztery i pół minuty na rozpatrzenie jednego zestawu wniosków stypendialnych. "Liczba podań (...) prześcignęła znacznie zdolność fundacji do podejmowania naprawdę rozważnych i właściwych decyzji" - stwierdzono w sprawozdaniu.

Niewiele jest dobrych opracowań na temat niemocy i bezwładu w podejmowaniu decyzji. Do najwnikliwszych należy analiza Trevora Armbristera na temat zatrzymania przez Koreę Północną w 1968 roku amerykańskiego okrętu szpiegowskiego "Pueblo" oraz ostrego konfliktu na tym tle między obydwoma krajami. Armbrister ustalił, że ekspert Pentagonu, któremu powierzono "ocenę stopnia ryzyka" misji "Puebla" i który uznał ją za wykonalną, miał zaledwie kilka godzin na zaopiniowanie 76 różnych zaplanowanych misji wojskowych. Ekspert ten w końcu odmówił określenia ilości czasu, jaki faktycznie poświęcił zastanawianiu się nad sprawą "Puebla".

W swym opracowaniu Armbrister cytuje jednego z przedstawicieli Agencji Wywiadu Wojskowego (DIA), który poczynił dość trafne spostrzeżenia. Powiedział on mianowicie: "Prawdopodobnie było tak (...), że na biurku funkcjonariusza Pentagonu materiały znalazły się pewnego dnia o 9 rano z uwagą, że mają być zwrócone do południa. Fizyczną niemożliwością było szczegółowe przestudiowanie każdej misji, ponieważ w sumie materiały te miały objętość grubego katalogu firmy wysyłkowej Searsa i Roebucka." Niemniej jednak, w strasznym pośpiechu, ryzyko misji "Puebla" określano jako "minimalne". Średnio, jeżeli agent DIA się nie myli, każdej misji wojskowej opiniowanej tego ranka poświęcono mniej niż dwie i pół minuty. Trudno się dziwić, że potem się nic nie udaje.

W Pentagonie na przykład gdzieś "zapodziało się" 30 miliardów dolarów z tytułu zamówień zagranicznych na broń i nie wiadomo, czy powstało to w wyniku kolosalnej omyłki w księgowości, czy zaniżenia rachunków wystawionych nabywcom, czy może

pieniądze te poszły na zupełnie inne cele. Kontroler finansów Departamentu Obrony uważa, że ten wielomiliardowy bałagan "przypomina śmiercionośną kulę armatnią toczącą się po pokładzie statku, którym wszyscy płynie. Smutne jest to, że naprawdę nie wiemy, jak wielkie jest w rzeczywistości to (zamieszanie). Wszystko się zapewne wyjaśni, ale nie wcześniej, niż za pięć lat." Ale jeżeli Pentagon, ze swymi komputerami i niezawodnymi systemami informacji, staje się już za duży i zbyt skomplikowany, żeby właściwie nim kierować - o czym chyba świadczą fakty - to cóż dopiero mówić o rządzie jako całości?

Stare instytucje powołane do podejmowania decyzji odzwierciedlają bezład panujący w otaczającym je świecie. Doradca Cartera, Stuart Eizenstat, mówi o "rozdrobieniu społeczeństwa na grupy interesów", któremu odpowiada "rozbitcie władzy w kongresie na podgrupy". W obliczu tej nowej sytuacji prezydent z trudem może obecnie narzucić swoją wolę Kongresowi.

Dawniej prezydent mógł uzgodnić sprawę z garstką starszych, wpływowych przewodniczących komisji i oczekiwać, że zadbają oni o zebranie liczby głosów niezbędnej do poparcia prezydenckiego programu działania. Dziś przewodniczący i przewodniczące komisji kongresowych nie potrafią zebrać głosów młodszych członków Kongresu mniej więcej tak samo, jak Federacja AFL-CIO lub Kościół Katolicki nie zdołałyby zebrać głosów swoich członków i wyznawców. Pech chce - choć może to nie być na rękę ludziom starej daty i zdeterminowanym prezydentom - że dziś ludzie, w tym i członkowie Kongresu, myślą dużo bardziej samodzielnie i nie przyjmują poleceń tak potulnie jak dawniej. Wszystko to sprawia jednak, że Kongres, przy swej obecnej strukturze, nie może poświęcić wnikliwszej uwagi jakiegokolwiek sprawie czy też zareagować z odpowiednią szybkością na potrzeby kraju.

NAWIĄZUJĄC DO "ZWARIOWANEGO ROZKŁADU ZAJĘĆ", AUTORZY RAPORTU PRZYGOTOWANEGO PRZEZ KOMISJĘ REDAKCYJNĄ KONGRESU NA TEMAT PRZYSZŁOŚCI PRZEDSTAWILI SYTUACJĘ W KONGRESIE W BARWNY SPOSÓB, PISZĄC: "Z POWODU ROSNĄCEJ ZŁOŻONOŚCI ORAZ WYBUCHAJĄCYCH Z SZYBKościĄ ŚWIATŁA TAKICH KRYZYSÓW, JAK NA PRZYKŁAD - ZNAJDUJĄCE SIĘ W PORZĄDKU OBRAD W CIĄGU JEDNEGO TYGODNIA - ZMIANA PRZEPISÓW ZWIĄZANYCH Z HANDLEM BENZYNĄ, SPRAWA RODEZJI I KANAŁU PANAMSKIEGO, POWOŁANIE NOWEGO MINISTERSTWA OŚWIATY I WYCHOWANIA, BONY OSZCZĘDNOŚCIOWE NA ZAKUP ARTYKUŁÓW SPOŻYWCZYCH, AMTRAK³⁰, **usuwanie odpadków w stanie stałym oraz ratowanie zagrożonych gatunków fauny - Kongres, będący niegdyś symbolem poważnej**

³⁰ Z dniem 1 maja 1971 roku wszedł w życie w USA nowy ogólnokrajowy system pasażerskich linii kolejowych, "Amtrak", mający na celu zachęcenie obywateli do "jeżdżenia znowu pociągami" - przyp. tłum.

i roztropnej debaty (...) zmienia się w pośmiewisko narodu."

Procesy polityczne są naturalnie różne w różnych krajach przemysłowych, ale w każdym z nich działają podobne siły. "Stany Zjednoczone nie są jedynym krajem, który wydaje się zdezorientowany i obezwładniony przez zastój - stwierdza "U. S. News and World Raport". Nawet system jednopartyjny nie gwarantuje możliwości podejmowania stanowczych decyzji politycznych ani szybkiego reagowania w skomplikowanych sytuacjach.

Jak twierdzi pewien członek Parlamentu Brytyjskiego, rząd centralny jest "potwornie przeciążony"; sir Richard Marsh, były minister w gabinecie brytyjskim, a obecnie szef Stowarzyszenia Brytyjskich Wydawców Gazet, uważa natomiast, że "struktura Parlamentu, która utrzymuje się we względnie niezmienionej postaci od 250 lat, już po prostu nie jest odpowiednia do podejmowania takich decyzji kierowniczych, jakich potrzebujemy obecnie (...) Cała ta praca jest daremna i bezskuteczna - powiada on i dodaje jeszcze, że gabinet wcale nie jest lepszy."

Podobnie jest w Szwecji, gdzie chwiejny rząd koalicyjny nie zdołał rozwiązać kwestii broni jądrowej, z której powodu w społeczeństwie już od blisko 10 lat panuje rozdarcie. A co z Włochami, z ich terroryzmem i powracającymi kryzysami politycznymi, gdzie przez 6 miesięcy nie udało się utworzyć żadnego rządu?

Stoimy przed nową i groźną sytuacją. Nadchodzących wstrząsów politycznych i kryzysów nie rozwiążą silni czy słabi przywódcy, jeżeli będą musieli działać za pośrednictwem niewłaściwych, zrujnowanych i przeciążonych instytucji.

System polityczny nie tylko powinien być zdolny do podejmowania i przestrzegania decyzji; skala funkcjonowania systemu musi być właściwa i system powinien integrować różnorakie decyzje; powinien gwarantować odpowiednią szybkość podejmowania decyzji oraz odzwierciedlać różnorodność społeczeństwa i jednocześnie dostosowywać się do niej. Jeżeli system nie spełnia któregokolwiek z tych warunków, nieszczęście gotowe. Współczesne problemy nie są już kwestią władzy "lewicowej" czy "prawicowej", ani "silnego" czy "słabego" przywódcy. Zagrożenie tkwi w samym systemie podejmowania decyzji.

Naprawdę zdumiewa to, że nasze rządy w ogóle jeszcze jakoś funkcjonują. Żaden prezes korporacji nie mógłby kierować wielkim przedsiębiorstwem na podstawie schematu organizacyjnego rzuconego szkicowo gęsim piórem przez jakiegoś XVIII-wiecznego przodka, który czerpał całe swoje kierownicze doświadczenie jedynie z prowadzenia wiejskiego gospodarstwa. Żaden przytomny pilot nie podjąłby się lotu odrzutowcem ponaddzwiękowym wyposażonym w antyczne przyrządy nawigacyjne i sterownicze, jakimi dysponowali Bleriot i

Lindbergh. A przecież na tym mniej więcej polega to, co próbujemy właśnie robić w polityce.

Szybkie starzenie się systemów politycznych drugiej fali w świecie najeżonym bronią jądrową i znajdującym się na krawędzi ruiny gospodarczej lub zagłady ekologicznej stanowi największe zagrożenie dla całej ludzkości - nie tylko dla "innych", ale dla "nas wszystkich"; nie tylko dla biednych, ale i dla bogatych oraz dla nieprzemysłowych części świata. Bezpośrednie niebezpieczeństwo dla wszystkich tkwi bowiem nie tyle w przemysłnych sposobach użycia władzy przez tych, którzy ją posiadają, ile w nieprzewidzianych skutkach ubocznych decyzji wypracowanych przez maszyny polityczno-biurokratyczne, tak niebezpiecznie anachroniczne, że nawet najlepsze zamiary w końcu mogą się tragicznie skończyć.

Tak zwane "współczesne" systemy polityczne zostały skopiowane z wzorów, które powstały przed narodzinami systemu fabrycznego - przed konserwami, lodówkami, oświetleniem gazowym i fotografią, przed piecem Bessemera i wprowadzeniem maszyny do pisania, przed wynalezieniem telefonu, przed lotem Orville'a i Wilbura Wrightów; przedtem, zanim odległości skróciły się dzięki samochodom i samolotom, zanim alchemia radia i telewizji zawładnęła naszymi umysłami, przed urządzeniem "fabryki śmierci" w Oświęcimiu, przed wynalezieniem gazu porażającego system nerwowy i przed pociskami jądrowymi, przed komputerami, kopiarkami, pigułkami antykoncepcyjnymi, tranzystorami i laserami. Systemy te powstały w świecie o dziś niemal niewyobrażalnym klimacie intelektualnym; w świecie, w którym nie znano Marksa, Darwina, Freuda i Einsteina.

Mamy więc do czynienia z jednym tylko, najważniejszym problemem politycznym - z anachronicznością naszych głównych instytucji politycznych i rządowych.

Gdy coraz to nowe kryzysy wstrząsają światem, spod piętrzących się gruzów będą raz po raz wypelzać różni ambitni Hitlerzy i mówić nam, że nadszedł czas, by rozwiązać nasze problemy przez odrzucenie nie tylko przestarzałych i bezwładnych instytucji, ale również naszej wolności. Wkraczając w erę trzeciej fali, ci spośród nas, którzy walczą o wolność człowieka, nie osiągną niczego jedynie broniąc istniejących instytucji. Trzeba będzie - jak uczynili to 200 lat temu amerykańscy Ojcowie Założyciele - stworzyć zupełnie nowe instytucje.

Rozdział XXIV

DEMOKRACJA XXI WIEKU

Do Ojców Założycieli:

Jesteście rewolucjonistami, którzy dawno odeszli. Jesteście tymi farmerami, kupcami, rzemieślnikami, prawnikami, drukarzami, autorami, sklepikarzami i żołnierzami, którzy wspólnie stworzyli nowy naród na dalekich wybrzeżach Ameryki. Wśród was jest 55 tych, którzy zebrali się razem tamtego gorącego lata 1787 roku w Filadelfii, aby wykuć ów niezwykle dokument zwany Konstytucją Stanów Zjednoczonych. Jesteście twórcami przyszłości, która stała się moją terażniejszością.

Tamta kartka papieru, wraz z Kartą Praw dodaną w 1791 roku, stanowi na pewno jedno z najbardziej oszałamiających osiągnięć w dziejach ludzkości. Ja, podobnie jak wielu innych ludzi, zastanawiam się ciągle, jak się wam udało, jak zdołaliście - pośród gorzkiego i pełnego nieszczęść chaosu społecznego i gospodarczego, w warunkach palących nakazów chwili - tak znakomicie i trafnie przewidzieć nadchodzącą przyszłość. Nasłuchując odległych sygnałów jutra, umieliście wówczas wyczuć, że jedna cywilizacja właśnie umiera, a na jej miejsce rodzi się następna.

Sądzę, że popchnęła was ku niej wzbierająca niczym przyptyw siła wydarzeń i obawa, że nieskuteczny rząd, sparaliżowany przez stare zasady i przestarzałe struktury, musi runąć.

Rzadko tak wspaniałe dzieło tworzą ludzie różniący się tak bardzo pod względem temperamentów, ludzie fanatycznie oddani odmiennym interesom regionalnym i celom, a jednocześnie do tego stopnia oburzeni i rozwścieczeni z powodu straszliwej "nieefektywności" istniejącego rządu, że potrafili zjednoczyć się i wspólnie zaproponować nowy rząd, zbudowany na niezwykle zasadach.

Zasady te wzruszają mnie jeszcze teraz tak samo, jak wzruszały niezliczone miliony ludzi na całym świecie. Przyznaję, że gdy czytam niektóre fragmenty pism na przykład Jeffersona czy Paine'a, ich piękno i głęboka treść wyciskają mi łzy z oczu.

Pragnę wam podziękować, nieżyjący rewolucjoniści, za to, że daliście mi przeżyć pół wieku jako obywatelowi amerykańskiemu pod rządem praw, nie ludzi, a zwłaszcza za tę Kartę Praw, dzięki której mogę myśleć, wyrażać niepopularne poglądy, nawet niekiedy szaleńcze i błędne, a prawdę mówiąc, również i za to, że mogę teraz pisać, co chcę, nie obawiając się żadnej cenzury.

Bo to, co teraz napiszę, bardzo łatwo mogłoby być źle odczytane przez moich

współczesnych. Niektórzy niewątpliwie uznają moje słowa za przejaw buntu. A przecież to, co piszę, jest bolesną prawdą; wierzę, że wy spostrzeżlibyście to zaraz. Wszak stworzony przez was system rządzenia, w tym również zasady, na których się on opiera, już się przeżył, i dlatego, nawet niechcący, staje się coraz bardziej uciążliwy, a nawet zagraża naszemu dobru. Trzeba go radykalnie zmienić i wynaleźć nowy system sprawowania rządów; stworzyć demokrację XXI wieku.

Wiedzieliście lepiej od nas, że żaden rząd, żaden system polityczny, żadna konstytucja, żaden statut ani państwo nie są wieczne i że decyzje, które zapadły w przeszłości, nie będą obowiązywać do końca świata. Rząd utworzony dla jednej cywilizacji nie poradzi sobie z następną.

Zrozumielibyście więc, dlaczego nawet Konstytucję Stanów Zjednoczonych trzeba rewidować i poprawiać - nie po to, aby opracować konkretny budżet federalny czy wcielić w życie tę lub inną wąską zasadę, lecz po to, aby rozszerzyć zakres Karty Praw, uwzględniając zagrożenia dla wolności, o jakich dawniej się nie śniło, i po to, aby stworzyć kompletnie nową strukturę rządu, zdolnego do podejmowania inteligentnych, demokratycznych decyzji, niezbędnych do przetrwania w nowym świecie.

Nie przychodzę z gotowym projektem nowej konstytucji. Nie ufam ludziom, którzy myślą, że znają już wszystkie odpowiedzi, podczas gdy jeszcze nie zostały sformułowane wszystkie pytania. Nadszedł jednak czas, aby zastanowić się nad zupełnie nowymi możliwościami; nadszedł czas dyskusji, ścierania się poglądów, debaty i nakreślenia od podstaw zarysu architektury demokracji jutra.

Nie w gniewie ani w duchu dogmatyzmu, nie pod wpływem nagłego impulsu, lecz na płaszczyźnie szerokiej konsultacji i zgodnego udziału całego narodu winniśmy wspólnie zregenerować Amerykę.

WY BYŚCIE TĘ POTRZEBĘ ZROZUMIELI. WSZAK TO JEFFERSON, NALEŻĄCY DO WASZEGO POKOLENIA, BYŁ AUTOREM PEŁNYCH GŁĘBOKIEJ REFLEKSJI SŁÓW: "NIEKTÓRZY SPOGLĄDAJĄ NA KONSTYTUCJĘ Z ŚWIĘTOSZKOWATĄ CZCIĄ, JAKBY NA ARKĘ PRZYMIERZA, KTÓREJ NIEGODNA JEST TKNĄĆ RĘKA LUDZKA. PRZYPISUJĄ ONI BOWIEM LUDZIOM UBIEGŁEGO WIEKU NADNATURALNĄ MĄDROŚĆ I PRZEKONANI SĄ, ŻE ICH DZIEŁ NIE GODZI SIĘ POPRAWIAĆ. (...) NIE JESTEM BYNAJMNIEJ ZWOLENNIKIEM CZĘSTYCH I NIE WYPRÓBOWANYCH ZMIAN PRAW I KONSTYTUCJI (...) ALE JESTEM TAKŻE PRZEKONANY, ŻE PRAWA I INSTYTUCJE RZĄDOWE MUSZĄ ROZWIJAĆ SIĘ WRAZ Z POSTĘPEM UMYSŁU LUDZKIEGO. TEN ZAŚ STAJE SIĘ CORAZ ŚWIATLEJSZY W MIARĘ DOKONYWANIA NOWYCH ODKRYĆ I POZNAWANIA NOWYCH PRAWD, OBYCZAJE I POGLĄDY ZMIENIAJĄ SIĘ STOSOWNIE DO OKOLICZNOŚCI, TOTEŻ INSTYTUCJE MUSZĄ ROZWIJAĆ SIĘ TAKŻE I

*DOTRZYMYWAĆ KROKU CZASOM."*³¹

Za tę mądrość, nade wszystko, dziękuję Panu Jeffersonowi, bo pomógł stworzyć ten system, który tak długo dobrze nam służył, a który teraz, gdy nadeszła jego pora, musi umrzeć i ustąpić miejsca nowemu.

Alvin Toffler Waszyngton, Connecticut

List pisany w wyobraźni... W wielu krajach są na pewno ludzie, którzy mogliby wyrazić podobne uczucia. Bo przecież nie ja jeden odkryłem fakt anachroniczności wielu współczesnych rządów. I nie tylko Ameryka cierpi na tę chorobę.

Chodzi o to, że budowa nowej cywilizacji na gruzach poprzedniej wymaga zaprojektowania nowych, właściwszych struktur politycznych w wielu krajach naraz. Jest to trudne, ale absolutnie konieczne zadanie, którego skala i zasięg oszałamia, a realizacja będzie z pewnością trwała dziesiątki lat.

Prawdopodobnie trzeba będzie już na przedpolach stoczyć batalię o radykalne zrewidowanie - lub wręcz całkowitą likwidację - Kongresu Stanów Zjednoczonych, komitetów centralnych i biur politycznych w przemysłowych państwach komunistycznych, Izby Gmin i Izby Lordów, francuskiej Izby Deputowanych, Bundestagu, japońskiego Parlamentu, gigantycznych ministerstw i obwarowanych administracji państwowych wielu krajów, konstytucji i systemów sądowych - słowem, większości ociężałych i zacinających się aparatów władzy, z pozoru i z nazwy przedstawicielskiej.

Ta fala zmagania politycznych nie utrzyma się bynajmniej w granicach poszczególnych krajów. W nadchodzących miesiącach i latach cała "globalna machina prawna" z Organizacją Narodów Zjednoczonych na jednym końcu i lokalnymi radami miejskimi na drugim - stanie w końcu przed palącą i nieuniknioną koniecznością przebudowy struktur.

Będzie je trzeba przebudować od fundamentów, nie dlatego, że są złe z natury, ani nawet dlatego, że znajdują się w rękach tej czy innej klasy lub grupy, lecz ponieważ funkcjonują one z coraz większym trudem, nie odpowiadając już potrzebom diametralnie odmienionego świata.

W tę przebudowę zaangażują się miliony ludzi. Jeżeli ktoś będzie próbował ostro przeciwdziałać tym wielkim przeobrażeniom, niechybnie poleje się krew. Czy proces ten będzie przebiegać pokojowo, zależy od wielu czynników, między innymi od tego, jak elastyczne lub jak nieprzejednane i bezkompromisowe okażą się obecne elity; od tego, czy

³¹ List Jeffersona do Samuela Kerchevala, w: *Wizja Stanów Zjednoczonych w pismach Ojców Założycieli*, przeł. Andrzej Jaraczewski, Warszawa 1977, s. 272.

zmiany zostaną przyspieszone przez katastrofę gospodarczą oraz czy sprowokują je zagrożenia lub interwencje wojskowe z zewnątrz. Niewątpliwie światu zagraża wiele niebezpieczeństw.

Ale jeszcze większe niebezpieczeństwa mogą wyniknąć z poniechania przebudowy obecnych instytucji politycznych, toteż im szybciej zaczniemy je rewidować, tym lepiej i bezpieczniej dla wszystkich.

Aby zbudować od nowa sprawne rządy i wypełnić tę najważniejszą zapewne misję polityczną naszych czasów, będziemy musieli odrzucić nagromadzone w epoce drugiej fali frazesy i dogmaty.

I będziemy musieli przemyśleć na nowo mechanizmy życia politycznego, uwzględniając trzy główne zasady.

Mogą one w gruncie rzeczy okazać się najbardziej podstawowymi zasadami przyszłych rządów trzeciej fali.

WŁADZA MNIEJSZOŚCI

Pierwszą herezją leżącą u podstaw rządu trzeciej fali jest zasada władzy mniejszości. Wynika z niej, że zasada rządów większości, będąca głównym środkiem legitymizacji władzy w epoce drugiej fali, traci właśnie swą aktualność. Liczą się teraz nie większości, lecz mniejszości. Fakt ten musi więc znaleźć odzwierciedlenie w systemie politycznym.

Poglądy swego rewolucyjnego pokolenia wyraził znowu Jefferson, który, uważał, że rządy mogą podejmować tylko takie decyzje, które posiadają "absolutną aprobatę większości". Stany Zjednoczone i Europa, wciąż jeszcze u progu ery drugiej fali, zaczynały dopiero długi proces, który w końcu przeobraził je w masowe społeczeństwo przemysłowe. Idea rządów większości doskonale pasowała do potrzeb tych społeczeństw.

Dziś, jak wykazaliśmy, wykraczamy poza industrializm i szybko stajemy się społeczeństwem niemasowym. W konsekwencji zmobilizowanie większości, lub nawet koalicji rządzącej staje się coraz trudniejsze lub zgoła niemożliwe. Dlatego właśnie Włochy przez sześć miesięcy, a Holandia przez pięć, w ogóle nie miały rządów. "Nie widzę żadnych podstaw do pozyskania w USA pozytywnej większości w żadnej sprawie" - stwierdził Walter Dean Burnham, politolog z Massachusetts Institute of Technology.

Ponieważ uzasadnieniem władzy elit drugiej fali była wola większości, głosiły one zawsze, że występują w jej imieniu. Rząd Stanów Zjednoczonych jest "z ludu, przez lud i dla ludu". [...] Prezydent Nixon rościł sobie prawo do reprezentowania "milczącej większości" Amerykanów. A dzisiaj w Stanach Zjednoczonych neokonserwatywni intelektualiści oburzają

się na wystąpienia świeżo okrzepłych ruchów mniejszości - Murzynów, feministek, Chicanosów - i przypisują sobie prawo reprezentowania interesów wielkiej, zwartej, umiarkowanej i znajdującej się pośrodku większości.

Mając swe wygodne sztaby w poważnych uniwersytetach Północnego Wschodu, uczestnicząc w "burzach mózgów" w Waszyngtonie i rzadko zaglądając do takich miejsc, jak Marietta w Ohio lub Salina w stanie Kansas - akademiccy neokonserwatyści widocznie uważają "średnią Amerykę" za ogromną, nie podlegającą erozji i jednolitą "masę" mniej lub bardziej niedouczonej, aintelektualnych i tępowych robotników oraz zamieszkującej w suburbiach "inteligencji pracującej". Ale grupy te są daleko mniej jednolite i jednobarwne, niż wydają się z daleka intelektualistom i politykom. Równie trudno napotkać zgodę i jedność wśród średnich Amerykanów jak gdziekolwiek indziej; w najlepszym razie zgoda łączy ludzi na krótko, nietrwale i w kontekście bardzo nielicznych spraw. Wydaje się, że neokonserwatyści powołują się raczej na mityczną niż realną większość po to, by ukryć swoje własne uprzedzenia wobec mniejszości.

To samo obserwujemy też na drugim końcu mapy politycznej. W wielu krajach Europy Zachodniej partie socjalistyczne i komunistyczne twierdzą, że występują w imieniu "mas pracujących". [...] Zarówno bowiem masy, jak i klasy tracą wiele ze swego znaczenia w wyłaniającej się obecnie cywilizacji trzeciej fali.

W miejsce społeczeństwa, w którym występują ostre podziały warstwowe, w którym kilka wielkich bloków łączy się w sojuszu tworząc jedną większość, mamy obecnie do czynienia ze społeczeństwem konfiguracywnym, w którym roją się tysiące mniejszości, często przelotnie powstałych, tworzących coraz to nowe krótkotrwałe układy, rzadko kiedy zwarte na tyle, by przejawiać 51-procentową jednogomyślność na temat problemów wielkiej wagi. Tak oto rozwój cywilizacji trzeciej fali podważa prawowitość wielu współczesnych rządów.

Trzecia fala kwestionuje również wszystkie nasze obiegowe założenia dotyczące współzależności między rządami większości a sprawiedliwością społeczną. I tu także, jak w tylu innych sprawach, obserwujemy niespotykany zwrot historyczny. Przez cały okres cywilizacji drugiej fali walka o uznanie rządów większości miała humanitarny i wolnościowy charakter. W krajach uprzemysławiających się obecnie, na przykład w Afryce Południowej, jest tak i dzisiaj. W społeczeństwach drugiej fali reguła większości niemal zawsze oznaczała zmianę na lepsze dla biednych. Biedni przecież stanowili tam większość.

Dzisiaj jednak w krajach, do których wtargnęła trzecia fala, często jest akurat odwrotnie. Naprawdę biedni niekoniecznie przeważają liczbowo. W bardzo wielu krajach stali się oni - podobnie jak i inne grupy społeczne - jeszcze jedną mniejszością. I pozostaną nią, chyba że

nastąpi jakaś katastrofa w całej gospodarce.

A zatem zasada rządów większości nie tylko przestała być właściwym uzasadnieniem władzy, ale w społeczeństwach wkraczających w trzecią falę wcale nie zawsze można ją uważać za czynnik humanizujący czy demokratyczny.

Ideolodzy drugiej fali zwykle lamentują nad załamaniem się społeczeństwa masowego. W tej wzbogaconej różnorodności nie chcą dostrzec szansy dla rozwoju ludzkości; różnorodność określają jako "fragmentaryzację" lub "bałkanizację" i przypisują ją rozbudzonemu egoizmowi mniejszości. To uproszczone wyjaśnienie myli skutek z przyczyną. Przecież rosnąca aktywność mniejszości nie wynika z raptownego przyływu samolubstwa; stanowi ona, między innymi, odbicie potrzeb nowego systemu produkcji, który po to, by istnieć, wymaga daleko bardziej zróżnicowanego, barwniejszego, otwartego i urozmaiconego społeczeństwa niż jakiegokolwiek inne znane nam z przeszłości.

Konsekwencje tego faktu są olbrzymie. [...] Ale i świat niekomunistyczny stoi przed takim samym wyborem: może bądź opierać się tej gwałtownej tendencji do zróżnicowań, podrywając się do ostatniego daremnego boju w obronie istniejących instytucji politycznych drugiej fali, bądź może uznać różnice i odmienności i odpowiednio dostosować do nich te instytucje.

Pierwszą strategię można zrealizować jedynie za pomocą środków totalitarnych, a wtedy musi nastąpić zastój gospodarczy i kulturalny; druga strategia prowadzi do ewolucji społecznej i opartej na mniejszościach demokracji XXI wieku.

Aby przebudować demokrację w taki sposób, by współgrała z rytmem trzeciej fali, powinniśmy uwolnić się od niepokojącego, acz fałszywego założenia, że zwiększone zróżnicowanie wywołuje automatycznie większe napięcia i konflikty w społeczeństwie. W rzeczywistości jest chyba na odwrót. Konflikt w społeczeństwie jest nie tylko nieunikniony, jest on - w pewnych granicach - pożądany. Jeżeli stu ludzi zawzięcie pragnie jednej miedzianej obrączki, to w końcu wszyscy zaczną się o nią bić. Z drugiej strony, jeżeli każdy spośród tej setki miałby inny cel, to o wiele korzystniejsze będzie, gdy zaczną ze sobą handlować, współpracować i tworzyć związki oparte na symbiozie. W odpowiednich układach społecznych zróżnicowanie może przyczynić się do powstania bezpiecznej i trwałej cywilizacji.

To właśnie brak właściwych instytucji politycznych niepotrzebnie zaostrza konflikt między mniejszościami. Brak takich instytucji powoduje bezkompromisowość mniejszości i wpływa na to, że coraz trudniej zebrać dziś w ogóle jakąś większość.

Szukając wyjścia z tej sytuacji nie należy tępić wszelkiej odmienności ani zarzucać

mniejszościom egoizm (czyż elity i ich eksperci nie są również samolubni?). Rozwiązanie problemów leży w nowych, śmiałych i niekonwencjonalnych sposobach uwzględniania i aprobowania różnicowań - w nowych instytucjach, wrażliwych na szybko zmieniające się potrzeby tasujących się i mnożących mniejszości.

Z rozwojem cywilizacji niemasowej wiążą się dotąd przemilczane, niepokojące pytania o przyszłość rządów większości i całego mechanistycznego systemu głosowania, służącego jako forma wyrażania preferencji. Może nadejdzie dzień, gdy przyszli historycy spojrzą wstecz na głosowanie i naszą pogoń za pozyskaniem większości, jak na archaiczny rytuał przejęty przez istoty w prymitywnym stadium rozwoju komunikacji międzyludzkiej. Dziś jednak, w świecie tak niebezpiecznym, nie wolno nam nikomu oddać całej władzy, ani nawet tych wątych wpływów, które utrzymują się dzięki systemom opierającym się na większości; nie możemy pozwolić, by nieliczne mniejszości podejmowały decyzje o szerokim zasięgu, za których pomocą mogłyby tyranizować inne mniejszości.

Dlatego właśnie musimy dogłębnie zrewidować nasze dotychczasowe, toporne metody pozyskiwania owej nieuchwytej większości. Potrzebne są nowe sposoby, dostosowane do demokracji mniejszości - metody mające na celu uwypuklenie różnic, nie zaś ich niwelowanie przez tworzenie "na siłę" sztucznych większości, przez specyficzną mechanikę wyborczą (tzw. "głosowanie wykluczające"), przez sztuczne wydzielanie problemów i przez dziwaczne procedury wyborcze. Powinniśmy, krótko mówiąc, zmodernizować cały system tak, aby umocniła się rola rozmaitych mniejszości i aby jednocześnie dopuszczać samoistne tworzenie się większości. W tym celu konieczne będą jednak poważne zmiany w wielu obecnych strukturach politycznych. Zacznijmy od samego symbolu demokracji, czyli od urny wyborczej.

W społeczeństwie drugiej fali na głosowaniu, jako sposobie ustalania woli ogółu, opierał się mechanizm sprzężenia zwrotnego, tak ważny dla elit rządzących. Gdy z jakiegoś powodu aktualne warunki stawały się nie do zniesienia dla większości ludzi i 51 procent wyborców odczuwało niezadowolenie, elity mogły przynajmniej przetasować partie, zmienić kierunek polityki albo przeprowadzić jakieś inne zabiegi adaptacyjne.

Ale nawet we wczorajszym społeczeństwie masowym zasada rządów 51-procentowej większości była tylko bardzo ogólnym, czysto ilościowym zabiegiem. Głosowanie ustalające, jaka jest większość, nic nam nie mówi o jakości poglądów obywateli. Z głosowania dowiadujemy się, ile osób w danym momencie chce danej rzeczy, ale nie tego, jak bardzo chcą tej rzeczy. A przede wszystkim, głosowanie nie mówi nam zupełnie nic o tym, co ludzie byliby gotowi oddać w zamian za uzyskanie tej rzeczy - a przecież taka informacja jest

najważniejsza w społeczeństwie składającym się z mniejszości.

Głosowanie nie sygnalizuje nam też, kiedy dana mniejszość czuje się szczególnie zagrożona lub kiedy jakaś sprawa ma dla niej wagę życia i śmierci; a przecież w takiej sytuacji do oceny opinii tych ludzi należałoby stosować zupełnie inną miarę.

W społeczeństwie masowym te dobrze znane mankamenty zasady większości były tolerowane między innymi dlatego, że mniejszościom brakowało strategicznej siły potrzebnej do obalenia tego systemu. Ale w dzisiejszym społeczeństwie, w którym występuje tyle skomplikowanych powiązań i zależności między ludźmi, w którym wszyscy są członkami różnych mniejszości, sytuacja jest zupełnie inna.

Dla niemasowego społeczeństwa trzeciej fali systemy sprzężenia zwrotnego, typowe dla industrialnej przeszłości, są stanowczo za mało subtelne. Trzeba więc będzie zupełnie inaczej traktować wybory i głosowanie.

Zamiast przeprowadzania uproszczonego sondażu, w którym chodzi tylko o odpowiedź "tak czy nie", powinniśmy szukać wartości, jakie ktoś jest gotów poświęcić w zamian za inne, zadając na przykład pytania w rodzaju: "Jeżeli ja zmienię zdanie w sprawie dopuszczalności przerywania ciąży, to czy wy zrezygnujecie z wydatków na broń jądrową?" albo: "Jeżeli zgodzę się na dodatkowy, niewielki podatek od moich przyszłorocznych dochodów na realizację proponowanej inwestycji, to co otrzymam w zamian?"

W świecie, ku któremu w szybkim tempie zmierzamy, z jego przebogatymi technikami komunikacji i łączności, istnieje mnóstwo sposobów rejestrowania takich opinii bez potrzeby wysyłania ludzi do lokali wyborczych. Jak zobaczymy za chwilę, istnieją również sposoby, aby opinie te dotarły do ośrodków władzy i zostały wzięte pod uwagę w procesie podejmowania decyzji.

Może też należałoby rozważyć uproszczenie przepisów wyborczych, dzięki czemu przestalibyśmy lekceważyć opinie mniejszości. Można to osiągnąć różnymi sposobami. Jedną, dość prostą metodą, byłoby przyjęcie jakiegoś wariantu głosowania kumulatywnego, stosowanego przez wiele korporacji w interesie tych akcjonariuszy, którzy stanowią mniejszość w jakiejś sprawie. Głosujący wypowiadają się w tym wypadku nie tylko na temat swoich preferencji, ale również zaznaczają kolejność i stopień zainteresowania innymi, alternatywnymi rozwiązaniami danej kwestii.

Prawie na pewno będziemy musieli odrzucić anachroniczne struktury partyjne, zbudowane z myślą o wolno zmieniającym się świecie masowych ruchów oraz masowego handlu i stworzyć przejściowe, zmienne partie, które będą służyć zmieniającym się koalicjom wielu mniejszości; będą to partie przyszłości, które potrafią włączać się i wyłączać w zależności od

potrzeb.

Może powinniśmy mianować "dyplomatów" czy "ambasadorów", którzy zajmowaliby się nie mediacją między państwami, lecz między mniejszościami w jednym kraju. Może powinniśmy tworzyć na wespół polityczne instytucje, które różnym mniejszościom - a więc grupom zawodowym i etnicznym, grupom walczącym o równouprawnienie pod względem płci, zwolennikom różnych form wypoczynku, mniejszościom regionalnym i wyznaniowym - pomagałyby zawiązywać i rozwiązywać sojusze.

Może na przykład powinniśmy pomyśleć o stworzeniu ośrodków, w których różne mniejszości, na zasadzie rotacji - nawet przypadkowej - mogłyby się zbierać w celu wspólnego omówienia problemów, negocjowania porozumień i rozstrzygania sporów. Załóżmy, że spotkają się razem lekarze, motocykliści, programiści komputerów, Adwentyści Dnia Siódmego i Szare Pantery, których wspomogą organizacyjnie instruktorzy specjalnie szkoleni w rozwiązywaniu spornych kwestii, ustalaniu priorytetów i określaniu problemów. Kto wie, czy w rezultacie nie powstaną wówczas niespodziewane i twórcze sojusze.

A jeżeli nawet nie, to przynajmniej zostaną ujawnione różnice zdań i powstanie płaszczyzna ewentualnych przetargów politycznych. Sposoby te nie zlikwidują (zresztą wcale nie powinny) wszystkich konfliktów. Mogą one natomiast wznieść walkę społeczną i polityczną na inteligentniejszy, potencjalnie konstruktywny poziom, zwłaszcza jeżeli połączy się je z umiejętnością wytyczania dalekosiężnych celów. Można by przecież umożliwić mieszkańcom jakiegoś osiedla czy dzielnicy, żyjącym w ostro wyróżniającej się subkulturze, bądź też jakiejś grupie etnicznej z jednej okolicy, założenie własnych sądów dla nieletnich pod patronatem władz stanowych, które to sądy same, bez uciekania się do wyższych instancji, karałyby i wychowywały własną młodzież. Instytucje tego typu scalałyby społeczność i umacniały ich poczucie tożsamości, działałyby na rzecz prawa i porządku, odciążając jednocześnie instytucje rządowe, niepotrzebnie uginające się od nadmiaru pracy.

Może jednak uznamy, że trzeba pójść znacznie dalej poza takie reformatorskie zabiegi. Być może po to, aby umocnić reprezentację mniejszości w systemie politycznym stworzonym dla społeczeństwa masowego, będziemy kiedyś musieli wybierać przynajmniej niektórych urzędników sposobem starym jak świat, czyli przez losowanie. Są ludzie, którzy składają dziś zupełnie poważnie takie właśnie propozycje - żeby wybierać członków przyszłych organów ustawodawczych lub parlamentu tak samo, jak wybiera się od dawna członków ławy przysięgłych lub rekrutów do armii.

Profesor Theodore Becker z wydziału prawa i nauk politycznych w Uniwersytecie stanu Hawaje pyta: "Dlaczego o życiu i śmierci mogą decydować zwykli ludzie zasiadający (...) w

ławach przysięgłych, natomiast decyzje dotyczące wydatków z budżetu na przedszkola i cele wojskowe zastrzeżone są dla «reprezentantów» tychże?"

Zauważa on, że w obecnych układach politycznych mniejszości są systematycznie oszukiwane. Becker, uznany autorytet w sprawach konstytucyjnych, przypomina, że chociaż ludność kolorowa w USA stanowi blisko 20 procent, tylko 4 procent miejsc w Izbie Reprezentantów i 1 procent w Senacie (w 1976 roku) należało do niebiałych posłów i senatorów. Kobiety, które stanowią ponad 50 procent ludności, miały w Izbie zaledwie 4 procent miejsc, a w Senacie żadnego. Podobnie dyskryminowane są inne grupy, między innymi biedota, młodzież czy niezbyt przebojowi inteligenci. Dotyczy to zresztą nie tylko Stanów Zjednoczonych. W Bundestagu tylko 7 procent miejsc zajmują kobiety. Podobne dysproporcje występują też w rządach wielu innych krajów. Te jaskrawe wypaczenia przytępią tylko wrażliwość systemu na potrzeby grup pomijanych w organach przedstawicielskich.

Becker mówi: "50 do 60 procent Kongresu Amerykańskiego powinno się wybierać w drodze losowania, mniej więcej tak samo, jak organizuje się pobór ludzi do służby wojskowej, gdy uważa się go za konieczny." Chociaż w pierwszej chwili pomysł taki wydaje się dość zaskakujący. Skłania on jednak do zastanowienia, czy przypadkowo wybrani reprezentanci spisywaliby się gorzej (jeżeli to w ogóle możliwe...) niż delegaci wybierani obecnymi metodami.

Puśćmy na moment wodze wyobraźni, a zaczną nam przychodzić do głowy inne, niezwykle pomysły. Prawdę mówiąc, dysponujemy już techniką umożliwiającą wybieranie o wiele bardziej reprezentatywnych ludzi niż ci, których kiedykolwiek udało się wybrać do ławy przysięgłych czy do wojska, stosując zasadę wykluczających preferencji. Pomysły te pomogą nam stworzyć bardziej nowatorski kongres lub parlament przyszłości, a przy tym moglibyśmy to osiągnąć niemal w ogóle nie łamiąc tradycji.

Nie trzeba wcale wybierać grupy ludzi przez wyciąganie losów, a potem fizycznie ich przenosić, jak tyłu panów Smithów, do Waszyngtonu, Londynu, Bonn, Paryża czy Moskwy. Możemy nawet utrzymać dotychczasową praktykę wybierania reprezentantów, rezerwując dla nich 50 procent głosów w każdej rozstrzyganej przez parlament sprawie, a pozostałe 50 procent głosów pozyskiwać od reprezentatywnej próbki obywateli.

Dzięki komputerom, nowoczesnej telekomunikacji oraz metodom badania opinii publicznej można z łatwością nie tylko wytypować reprezentatywną próbkę społeczeństwa, lecz także aktualizować jej skład z dnia na dzień oraz dostarczać jej najświeższych informacji dotyczących aktualnie rozstrzyganych kwestii. Gdy potrzebna będzie jakaś ustawa, pełen

komplet tradycyjnie wybranych reprezentantów spotka się w tradycyjny sposób na Kapitolu, w Westminsterze, Bundeshausie lub w gmachu tokijskiego Parlamentu, gdzie będzie się omawiać i dyskutować problem, wносить poprawki, a następnie proponować ustawy.

Ale gdy nadejdzie pora podjęcia decyzji, reprezentanci z wyboru będą mieli tylko 50 procent głosów, natomiast aktualnie dobrana próbka - nie w stolicy, lecz rozproszona geograficznie w swych domach i biurach - odda elektronicznie drugie 50 procent głosów. System taki nie tylko uczyniłby procedurę ustawodawczą bardziej "przedstawicielską", anizeli udało się to jakimkolwiek "przedstawicielskiemu" rządowi, ale zadałby on miażdżący cios grupom partykularnych interesów i różnym grupom nacisku, których pełno w kularach parlamentów. Grupy te będą musiały pozyskiwać sobie obywateli, a nie garstkę wybranych urzędników państwowych.

Idąc jeszcze dalej, można sobie wyobrazić, że okręg wyborczy wybiera jako swego "reprezentanta" nie pojedynczą osobę, lecz taką właśnie przypadkową próbkę, stanowiącą statystyczny przekrój miejscowej ludności. Tak wybrani delegaci mogliby "pracować w Kongresie", faktycznie i bezpośrednio, jak gdyby był to jeden "delegat" okręgu; ich opinie liczyłyby się statystycznie w ogólnym głosowaniu. Albo mogliby oni wybierać swego "reprezentanta", upoważniając jego lub ją do głosowania w określony sposób w konkretnej sprawie. Albo też...

Możliwości, jakie stwarzają nowe techniki łączności i komunikacji, są nieograniczone i wprost nadzwyczajne. Skoro tylko uznamy, że nasze obecne instytucje i konstytucje są przestarzałe i zaczniemy szukać innych rozwiązań, otworzą się przed nami najrozmaitsze nowe możliwości, nie do pomyślenia kiedykolwiek przedtem. Jeżeli mamy rządzić społeczeństwem wkraczającym w XXI wiek, powinniśmy przynajmniej wziąć pod uwagę te techniki i cały aparat pojęciowy, jakie udostępnił nam wiek XX.

Nie upieram się zresztą przy żadnej z tych konkretnych propozycji. Bez wątpienia wspólnym wysiłkiem można wypracować o wiele lepsze pomysły, łatwiejsze do zrealizowania i nie tak ostro zrywające z tradycją. Ważny jest wybór drogi. Możemy podjąć daremną walkę mającą na celu zdławienie - w drodze represji lub ignorowania - mnożących się dziś mniejszości albo możemy przebudować nasze systemy polityczne, dostosowując je do nowych różnicowań. Możemy nadal tkwić w sztywnych mechanizmach drugiej fali, których działanie kojarzy się z pałką policyjną, albo możemy zaprojektować nowe, wrażliwe instrumenty władzy, odpowiadające opartej na mniejszościach demokracji jutra.

W miarę odmasowienia pod wpływem trzeciej fali dawnego społeczeństwa masowego drugiej fali, nasze potrzeby i wymagania, jak sądzę, podsuną nam właściwy wybór. Przecież

skoro system polityczny w epoce pierwszej fali był "przed-większościowy", a w czasach drugiej fali - "większościowy", to jutro zmieni się prawdopodobnie w "mini-większościowy" - a więc w system oparty na połączeniu zasady większości z władzą mniejszości.

DEMOKRACJA NA WPÓŁ BEZPOŚREDNIA

Następnym elementem, którego powinniśmy użyć do budowy przyszłych systemów politycznych, jest zasada "demokracji na wpół bezpośredniej". Stanowi ona krok od modelu przedstawicielskiego ku reprezentacji samego siebie przez każdego obywatela. Z połączenia obydwu tych modeli powstaje demokracja na wpół bezpośrednia.

Zanik jednomyślności, jak widzieliśmy, podważa samą istotę przedstawicielstwa. Jeżeli sami wyborcy nie mogą dojść między sobą do porozumienia, to kogo właściwie ich przedstawiciel "reprezentuje"? Jednocześnie ustawodawcy w coraz większym stopniu opierają się na ekspertach spoza legislatury, którzy wspomagają ich radą w pracach ustawodawczych. Członkowie Parlamentu brytyjskiego słyną ze swej słabości wobec administracji rządowej, ponieważ nie ma wśród nich odpowiednich fachowców; w efekcie spora część władzy Parlamentu należy faktycznie do nie pochodzącej z wyboru administracji państwowej.

Kongres Stanów Zjednoczonych, starając się zrównoważyć wpływ biurokracji władz wykonawczych, powołał własną biurokrację - między innymi Urząd do Spraw Budżetowych (Congressional Budget Office), Urząd Oceny Technologii (Office of Technology Assessment) i inne niezbędne agencje i dodatki. Dzięki temu w ciągu minionych 10 lat liczba pracowników Kongresu wzrosła z 10 700 do 18 400 osób. Ale spowodowało to jedynie przeniesienie problemu spoza gmachu Kongresu do jego wnętrza. Wybierani przez nas reprezentanci coraz gorzej orientują się w mnóstwie sposobów i środków, o których muszą decydować; zmuszeni są w coraz większym stopniu opierać się na zdaniu innych. Reprezentant przestał już nawet reprezentować siebie samego.

Co więcej parlamenty, kongresy i zgromadzenia były to miejsca, gdzie teoretycznie można było godzić żądania rywalizujących mniejszości. Ich "przedstawiciele" mogli załatwiać ich sprawy. Przy dzisiejszych przestarzałych i niesubtelnych mechanizmach politycznych żaden ustawodawca nie jest w ogóle zdolny zorientować się, ile małych grupek on czy ona nominalnie reprezentuje, nie mówiąc już o skutecznym pośredniczeniu lub wyręczaniu w załatwianiu spraw tych grupek. Sytuacja ta pogarsza się tym bardziej, im bardziej przeciążony zaczyna być amerykański Kongres, niemiecki Bundestag czy norweski Storting.

Zrozumiałe staje się teraz, dlaczego grupy nacisku, tworzące się w związku z jakąś

konkretną sprawą, bywają tak nieprzejednane i zawzięte. Chociaż widzą ograniczone możliwości poważnego negocjowania lub szukania porozumienia w spornej kwestii za pośrednictwem Kongresu lub instytucji ustawodawczych, ich żądania wobec systemu nie dopuszczają najmniejszych ustępstw. Upada więc również koncepcja rządu przedstawicielskiego jako ostatecznego pośrednika.

Załamaniem się ducha negocjacji, trudności w podejmowaniu decyzji oraz postępujący paraliż instytucji przedstawicielskich oznacza, że w dalszej przyszłości wiele decyzji podejmowanych obecnie przez małe grupy pseudoreprezentantów będzie zapewne musiało stopniowo przejść w ręce samych wyborców. Jeżeli wybrani przez nas delegaci nie mogą dogadać się w naszym imieniu, będziemy musieli dogadywać się sami. Jeżeli ustawy uchwalane przez nich coraz dalej odbiegają od naszych potrzeb lub dotyczą ich w coraz mniejszym stopniu, będziemy musieli sami uchwalać własne ustawy. W tym celu powinniśmy jednak stworzyć nowe instytucje oraz wymyślić nowe technologie sprawowania władzy.

Rewolucjoniści drugiej fali, którzy stworzyli dzisiejsze instytucje oparte na standardowym modelu przedstawicielskim, dobrze zdawali sobie sprawę z o wiele większych możliwości demokracji bezpośredniej w porównaniu z demokracją przedstawicielską. Ślady demokracji bezpośredniej, zgodnej z zasadą "decyduj o sobie sam", znaleźć można było w rewolucyjnej konstytucji francuskiej z 1793 roku. Amerykańscy rewolucjoniści dobrze znali działalność rad miejskich Nowej Anglii i ich organiczną jedność w małej skali działania. Później w Europie Marks i jego następcy często uważali Komunę Paryską za wzór uczestnictwa obywateli w tworzeniu i realizacji ustaw. Ale mankamenty i ograniczenia demokracji bezpośredniej były równie dobrze znane i w owym czasie bardziej przekonujące.

McCauley, Rood i Johnson, autorzy propozycji powołania w USA Ogólnonarodowego Plebiscytu, piszą: "W artykułach z cyklu *Federalista* wysuwano dwa zastrzeżenia wobec tej innowacji. Po pierwsze, demokracja bezpośrednia nie pozwalała na kontrolowanie lub przeczekanie chwilowych albo też powodowanych emocjami reakcji społeczeństwa. I po drugie, nie było w owym czasie odpowiednich środków komunikacji, które umożliwiałyby sprawne działanie mechanizmów demokracji bezpośredniej."

Wątpliwości te są uzasadnione. W jaki sposób sfrustrowany i rozgorączkowany naród amerykański miałby na przykład w połowie lat sześćdziesiątych głosować nad tym, czy rzucić bombę atomową na Hanoi, czy nie? Co powiedziałyby społeczeństwo zachodnioniemieckie, oburzone na terrorystów z grupy Baader-Meinhof - w sprawie urządzania obozów dla "sympatyków terroru"? Albo gdyby na przykład w Kanadzie

próbowano ogłosić plebiscyt na temat Quebecu w tydzień po objęciu władzy przez Rene Levescua? Panuje przekonanie, że reprezentanci z wyboru w mniejszym stopniu kierują się emocjami i są bardziej skłonni do namysłu i rozwagi niż ogół społeczeństwa.

Problem nadmiernej emocjonalności reakcji ludzi można jednak rozmaicie rozwiązywać; jednym ze sposobów może być wprowadzenie okresu "ostudzenia" lub ponownego głosowania przed wprowadzeniem w życie ważniejszych decyzji podjętych wcześniej w drodze referendum lub innych form demokracji bezpośredniej.

Inne pomysłowe rozwiązania zastosowano w Szwecji, gdzie w połowie lat siedemdziesiątych rząd zwrócił się do narodu o pomoc w sformułowaniu krajowej polityki energetycznej. Wiedząc, że większość obywateli nie zna zbyt dobrze różnych możliwości wyboru między energią słoneczną, jądrową lub geotermiczną, rząd zorganizował 10-godzinny kurs dla obywateli na temat energii i zaproszono każdego uczestnika tego kursu - lub innych podobnych szkoleń - do nadesłania swojej formalnej opinii w tej sprawie.

Jednocześnie związki zawodowe, ośrodki szkolenia dorosłych, i partie wszelkich orientacji politycznych również zorganizowały 10-godzinne kursy z energetyki. Liczono na udział 10 tysięcy obywateli. Tymczasem rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania, blisko 70-80 tysięcy osób pospieszyło bowiem do udziału w dyskusjach, urządzanych w prywatnych domach i pomieszczeniach publicznych (w skali Ameryki stanowiłoby to odpowiednik dwóch milionów ludzi, którzy - wyobraźmy sobie - wspólnie naradzaliby się nad jakimś problemem swego kraju). Stosując podobne metody można bez trudu wykluczyć obawy o nadmierny "emocjonalizm" ludzi biorących udział w referendum i w innych formach demokracji bezpośredniej.

Dziś można również wykluczyć i drugie zastrzeżenie wysuwane przez autorów *Federalisty* wobec demokracji bezpośredniej. Przecież już nie stoją jej na przeszkodzie dawne ograniczenia komunikacji. Nadzwyczajny rozwój technik łączności i komunikacji otwiera po raz pierwszy w dziejach cały szereg niewiarygodnych możliwości bezpośredniego uczestnictwa obywateli w podejmowaniu decyzji politycznych.

Miałem niedawno przyjemność przemawiać na otwarciu pierwszego na świecie "elektronicznego magistratu" w Columbus w stanie Ohio; to historyczne wydarzenie zostało zorganizowane przez system telewizji przewodowej Qube. Dzięki temu systemowi wzajemnej komunikacji mieszkańcy niewielkiego przedmieścia Columbus faktycznie uczestniczyli w sesji lokalnej komisji planowania. Przez naciśnięcie guzika u siebie w domu mogli w każdej chwili oddać swój głos w sprawach dotyczących takich praktycznych kwestii, jak podział przedmieścia na mniejsze okręgi, przepisy lokalowe i budowlane oraz propozycja budowy

autostrady. Mogli nie tylko głosować na zasadzie tak lub nie, ale również uczestniczyć w dyskusji, podając swoją wypowiedź w eter. Mogli nawet, za naciśnięciem guzika, sugerować osobie prowadzącej sesję, że powinna ona przejść do następnego punktu porządku dziennego.

Jest to dopiero pierwszy, jeszcze prymitywny przykład, ilustrujący jutrzejsze możliwości demokracji bezpośredniej.

Wykorzystując nowoczesne komputery, satelity, telefony, łączność kablową, techniki ankietowe i inne sposoby - społeczeństwo wykształconych obywateli może po raz pierwszy w historii samodzielnie podejmować wiele decyzji politycznych w swych własnych sprawach.

Problemu tego nie należy rozumieć w kategoriach wyboru albo - albo. Nie chodzi o przeciwstawienie sobie demokracji bezpośredniej i pośredniej, reprezentowania samego siebie - reprezentacji przez innych.

Wszak oba systemy mają swoje dobre strony i istnieją twórcze, jeszcze nie w pełni wykorzystane sposoby łączenia bezpośredniego uczestnictwa obywateli z systemem reprezentacji, tak by powstał nowy system demokracji na w pół bezpośredniej.

Można na przykład uznać za celowe rozpisanie referendum na temat różnych sposobów wykorzystania energii jądrowej, jak uczyniono to już w Kalifornii i w Austrii. Zamiast jednak uznawać wynik referendum za równoznaczny z ostateczną decyzją, można następnie skierować sprawę pod rozwagę ciała przedstawicielskiego, czyli Kongresowi, który podjąłby ostateczną decyzję.

Gdyby więc większość ludzi wypowiedziała się za energią jądrową, pewną, z góry ustaloną, liczbę głosów można by było zagwarantować rzecznikom tej samej idei w Kongresie. Otrzymaliby oni 10- lub 25-procentowe "fory" w samym Kongresie - w zależności od liczby głosów "za" w plebiscycie. Tym sposobem życzenia społeczeństwa nie byłyby wprawdzie spełnione całkiem automatycznie, ale jednak odgrywałyby one liczącą się rolę w decydowaniu o danej kwestii. Jest to jeszcze jeden wariant wspomnianego wcześniej projektu Plebiscytu Ogólnonarodowego w USA.

Można wymyślać jeszcze wiele różnych pomysłowych sposobów łączenia demokracji bezpośredniej i pośredniej. Obecnie członkowie Kongresu oraz większości innych parlamentów i organów ustawodawczych sami powołują różne komisje i komitety. Nie ma żadnego sposobu, aby obywatele mogli skłonić prawodawców do utworzenia komisji zajmującej się jakąś pomijaną lub wysoce kontrowersyjną kwestią. Dlaczegoż by jednak nie dać wyborcom prawa do bezpośredniego wystąpienia z petycją o powołanie w organach władzy ustawodawczej odpowiedniej komisji, która zajęłaby się załatwianiem spraw, jakie społeczeństwo - a nie prawodawcy - uważa za istotne?

Tak uparcie, przytaczam coraz to nowe pomysły nie dlatego, bym uważał je za bezwzględnie dobre; chcę zwrócić uwagę na pewien ogólniejszy fakt, a mianowicie na to, że istnieje wiele dróg wiodących do poprawy i większej demokratyzacji tego systemu, który ledwie się już trzyma i w którym tylko nieliczni - jeżeli ktokolwiek w ogóle - czują się rzeczywiście godnie reprezentowani. Powinniśmy wreszcie zerwać z utartym schematem myślenia, obowiązującym przez ostatnie 300 lat. Nie sposób już dłużej rozwiązywać naszych problemów za pomocą ideologii, wzorów czy resztek przeżytych struktur drugiej fali.

Te przyszłościowe propozycje, brzemiennie w nieznane dziś jeszcze konsekwencje, wymagają ostrożnego wypróbowania na szczeblu lokalnym, zanim ewentualnie zostaną wprowadzone powszechnie. Ale chociaż zdania na temat jednego czy drugiego projektu mogą być podzielone, to faktem jest, że dawne zastrzeżenia do demokracji bezpośredniej tracą swą siłę dokładnie w tym samym momencie, gdy demokracja przedstawicielska wzbudza coraz poważniejsze zastrzeżenia. Chociaż demokracja na w pół bezpośrednia może się wydawać niebezpieczna lub nawet dziwaczna, jej umiarkowany charakter może doprowadzić do stworzenia nowych, skutecznych i sprawnych instytucji przyszłości.

DELEGACJA WŁADZY

Większy udział we władzy dla grup mniejszościowych i nadanie bardziej bezpośrednich praw obywatelom w systemie rządów, to dwa konieczne kroki prowadzące do wyjścia poza ograniczenia systemu. A jednocześnie to tylko część niezbędnych zmian. Trzecia istotna zasada określająca politykę jutra ma na celu przełamanie chaosu i przeszkód w procesie podejmowania decyzji i właściwego ulokowania w społeczeństwie uprawnień do decydowania. Nie chodzi przecież jedynie o zmiany na stanowiskach jako antidotum na paraliż polityczny. Chodzi o coś, co nazywam "delegacją władzy".

Niektórych spraw nie można załatwić na szczeblu lokalnym. Innych nie można załatwić na płaszczyźnie ogólnokrajowej. Niektóre sprawy wymagają równoczesnych działań na wielu poziomach. Poza tym najlepsze miejsce rozwiązywania problemów nie jest stale to samo. Zmienia się ono w zależności od czasu i okoliczności.

Chcąc przezwyciężyć obecny zastój w procesie podejmowania decyzji, będący wynikiem przeciążenia powołanych do tego instytucji, powinniśmy decyzje rozdzielić i przyznać prawo do ich podejmowania szerszym niż dotąd kręgom społecznym; w zależności od konkretnych przypadków powinniśmy również zmieniać organy uprawnione do decydowania o różnych sprawach.

Dzisiejsze układy polityczne gwałcą tę zasadę w sposób arbitralny. Problemy ulegają

zmianie, ale mechanizm władzy pozostaje bez zmian. Toteż proces podejmowania decyzji jest zbyt scentralizowany, a jego struktura instytucjonalna najbardziej komplikuje się na szczeblu ogólnokrajowym. Z drugiej strony zbyt mało decyzji zapada na szczeblu ponadnarodowym, a potrzebne na tym szczeblu struktury są zdecydowanie zbyt ubogie. W dodatku za mało decyzji zostaje dla instancji lokalnych, zajmujących się regionami, stanami, prowincjami lub też nie zlokalizowanymi geograficznie grupami społeczeństwa.

Wiele problemów, z którymi borykają się władze poszczególnych krajów, jak to już wykazaliśmy, wymyka się im spod kontroli; są zbyt poważne, by mógł je rozwiązać jakikolwiek pojedynczy rząd. Istnieje przeto pilna potrzeba stworzenia nowych twórczych instytucji ponadnarodowych, którym należałoby powierzyć prawo decydowania o wielu sprawach. Nie oczekujmy na przykład, że dzięki zmianom w ustawodawstwie pojedynczego kraju damy sobie radę z korporacją ponadnarodową, której potęga może konkurować z samym państwem narodowym. Potrzebne są tu nowe rozwiązania o zasięgu ponadnarodowym; rozwiązania, które stworzyłyby - i w razie potrzeby odpowiednio realizowały - system norm prawnych, określających postępowanie i działalność korporacji w skali globalnej.

Weźmy kwestię korupcji. Korporacje amerykańskie, które sprzedają swoje wyroby za granicę, cierpią dotkliwie z powodu amerykańskich przepisów antykorupcyjnych, gdyż władze innych krajów zezwalają, ba, nawet zalecają, by ich producenci pozyskiwali zagranicznych klientów dając im łapówki. Podobnie kompanie wielonarodowe, które stosują się do wymogów nakładanych z tytułu ochrony środowiska, będą nadal miały nierówne szanse w konkurencji z firmami nie przestrzegającymi przepisów o ochronie środowiska; i będzie tak dotąd, dopóki nie powstanie odpowiednia infrastruktura na poziomie ponadnarodowym.

Potrzebne są międzynarodowe zapasy żywności i "awaryjne" organizacje zajmujące się udzielaniem pomocy w razie klęsk żywiołowych i katastrof. Powinny również powstać ogólnosiwiatowe agencje zajmujące się wczesnym rozpoznawaniem nieurodzajów, a także niwelowaniem w razie potrzeby skoków cen na podstawowe zasoby oraz hamowaniem niekontrolowanego szerzenia się handlu bronią na świecie. Powinny powstać konsorcja i zespoły organizacji nierządowych, które zajmowałyby się rozwiązywaniem różnych problemów globalnych.

Potrzebne są znacznie lepsze instytucje do regulowania niekontrolowanych kursów walut. Będą potrzebne jakieś nowe, zupełnie zmienione lub częściowo, odpowiedniki Międzynarodowego Funduszu Monetarnego, Banku Światowego, RWPG, NATO itp.

Będziemy musieli stworzyć nowe agencje, które upowszechniałyby korzyści płynące z postępu technicznego oraz powstrzymałyby jego szkodliwe skutki uboczne. Musimy przyspieszyć tworzenie silnych agencji ponadnarodowych do zagospodarowywania i eksploatacji Kosmosu i oceanów. Będziemy musieli gruntownie i od podstaw zmienić skostniałą i zbiurokratyzowaną Organizację Narodów Zjednoczonych.

Na szczeblu ponadnarodowym znajdujemy się dziś na tak samo prymitywnym etapie rozwoju politycznego, na jakim byliśmy w skali poszczególnych krajów przed trzystu laty, gdy zaczynała się rewolucja przemysłowa. Przenosząc niektóre decyzje ze szczebla państwa narodowego na "wyższy szczebel" nie tylko ułatwiamy sobie skuteczniejsze działanie na poziomie, na którym mamy do czynienia z większością naszych najbardziej zapalnych problemów, lecz jednocześnie uwalniamy przeciążone centrum, czyli państwo narodowe, od brzemienia wielu problemów. Delegacja władzy ma decydujące znaczenie.

Lecz przeniesienie decyzji na wyższy szczebel to dopiero połowa zadania. Zdecydowanie konieczne jest również skierowanie szerokiego wachlarza spraw wymagających decyzji z centrum na niższe szczeble.

I znowu nie jest to kwestia typu albo - albo. Nie chodzi o przeciwstawienie decentralizacji i centralizacji w jakimś absolutnym sensie. Problem tkwi w racjonalnym rozdzieleniu uprawnień do podejmowania decyzji w systemie, w którym centralizacja osiągnęła przesadne rozmiary, powodując, że strumienie coraz to nowych informacji zalewają centralny ośrodek władzy.

Decentralizacja polityczna nie gwarantuje demokracji; zawsze mogą się zdarzyć występne tyranie na szczeblu lokalnym. Aparat władzy bywa tam często jeszcze bardziej skorumpowany niż na szczeblu centralnym. Poza tym to, co uchodzi za decentralizację - na przykład reorganizacja rządu za Nixona - może być swoistą pseudodecentralizacją, przynoszącą korzyść centralistom.

Niemniej jednak żadne kruczki nie pomogą odbudować sensu, ładu i "efektywności" sprawowania funkcji kierowniczych w rządzie wielu krajów, bez zasadniczego przekazania władzy centralnej w inne ręce. Trzeba rozdzielić ogrom oczekujących nas decyzji i przenieść znaczną ich część na niższe szczeble.

Trzeba to zrobić bynajmniej nie dlatego, że romantyczni anarchiści chcieliby odrodzić "demokrację wiejską", ani dlatego, że rozzłoszczeni bogaci podatnicy chętnie zmniejszyliby rozmiary pomocy socjalnej dla biednych. Przyczyną jest to, że każda struktura polityczna - nawet wyposażona w banki komputerów IBM 370 - może poradzić sobie tylko z pewną liczbą informacji i powziąć tylko pewną ilość dobrych decyzji, a także to, że z powodu implozji

decyzji rządu znalazły się już poza tym punktem krytycznym.

Ponadto instytucje rządowe powinny odpowiadać strukturze gospodarczej, systemowi informacji i innym aspektom cywilizacji. Obecnie następuje zasadnicza decentralizacja produkcji i działalności gospodarczej, czego zdają się nie dostrzegać ekonomiści. Prawdę mówiąc, gospodarka krajowa przestała już być podstawową jednostką działalności gospodarczej.

Jak już podkreśliłem, w systemach gospodarczych każdego kraju obserwujemy zarysowywanie się bardzo rozległych, coraz bardziej spoiстых i zwartych regionalnych subsystemów gospodarczych. Subsystemy te różnicują się coraz bardziej, a ich problemy stają się coraz mniej podobne do siebie. Gdzieś może zaostrzać się bezrobocie, gdzie indziej natomiast wystąpi brak rąk do pracy. Belgijska Walonia protestuje przeciwko przenoszeniu przemysłu do Flandrii, a stany Ameryki położone w Górach Skalistych nie chcą stać się "koloniami energetycznymi" dla Zachodniego Wybrzeża.

Zuniforzowana polityka gospodarcza przypieczętowana w Waszyngtonie, Paryżu czy Bonn wywiera całkowicie odmienny wpływ na poszczególne subsystemy gospodarcze. Ta sama ogólnokrajowa polityka gospodarcza, która przyczynia się do rozkwitu jednego regionu lub jednej gałęzi przemysłu, wyniszcza inne. Toteż polityka gospodarcza musi zostać w dużej mierze zdecentralizowana i nie powinna być planowana jednakowo dla całego kraju.

W poszczególnych korporacjach obserwujemy nie tylko wysiłki zmierzające do wewnętrznej decentralizacji (przykładem może tu być niedawne zebranie 280 dyrektorów General Motors, którzy przez dwa dni naradzali się nad tym, w jaki sposób przełamać schematy biurokracji i usamodzielnić zdominowane przez centralę niższe instancje władzy w przedsiębiorstwach), ale również do faktycznej decentralizacji w aspekcie geograficznym. "Business Week" odnotowuje "przechyl geograficzny w amerykańskiej gospodarce, w miarę jak coraz więcej koncernów buduje swe zakłady i biura w mniej dostępnych częściach kraju".

Wszystko to odzwierciedla po części kolosalną zmianę w dziedzinie przepływu informacji w społeczeństwie. Ogarnia nas, jak już zauważyliśmy, zasadnicza decentralizacja w dziedzinie komunikacji; słabnie przecież potęga centralnych środków przekazu. Niesłuchanie szybko rozpowszechniają się systemy komunikacji przewodowej, telewizja kasetowa, komputery oraz prywatne systemy poczty elektronicznej, a wszystkie te innowacje prowadzą w tym samym decentralistycznym kierunku.

Niemożliwa jest decentralizacja działalności gospodarczej, komunikacji i wielu innych procesów decydujących o życiu kraju, bez konieczności przeprowadzania wcześniej czy później decentralizacji władzy rządowej.

Wszystko to wymaga czegoś więcej niż tylko kosmetycznych zmian w istniejących instytucjach politycznych. Musimy się liczyć z wielkimi bataliami, jakie trzeba będzie stoczyć w sprawie kontroli budżetów, podatków, ziemi, energii i innych bogactw. Rozdzielenie decyzji nie przyjdzie łatwo, ale będzie ono absolutnie nieuchronne we wszystkich po kolei nadmiernie scentralizowanych krajach.

Dotąd mówiliśmy o delegacji władzy jako sposobie przełamania przeszkody, jako odmrożeniu systemu politycznego tak, aby zaczął znów sprawnie funkcjonować. Ale chodzi tu o coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Wcielenie bowiem w życie tej zasady nie tylko uwolni rządy od nadmiaru decyzji, jakie muszą one podejmować, ale w zasadniczy sposób zmieni samą strukturę elit, dostosowując je do potrzeb wyłaniającej się cywilizacji.

ROZSZERZANIE ELIT

Pojęcie "brzemień decyzji" ma istotne znaczenie dla zrozumienia demokracji. Normalne funkcjonowanie społeczeństw zależy od określonej ilości i jakości decyzji. W istocie każde społeczeństwo ma własną, niepowtarzalną strukturę władzy podejmującej decyzje. Im liczniejsze, rozmaitsze, częstsze i bardziej skomplikowane decyzje są potrzebne do kierowania krajem, tym cięższe jest "brzemień decyzji". A sposób, w jaki ciężar ten rozłożony jest w społeczeństwie, wpływa zasadniczo na poziom demokracji w danym kraju.

W społeczeństwach przedprzemysłowych, w których podział pracy był znikomy i nieostry, a zmiany następowały powoli, liczba decyzji politycznych lub administracyjnych rzeczywiście niezbędnych do tego, aby wszystko funkcjonowało w miarę sprawnie, była minimalna. Brzemień decyzji było niewielkie. Wąska, niedokształcona i nie wyspecjalizowana elita mogła rządzić lepiej lub gorzej, ale bez pomocy społeczeństwa, dźwigając cały ciężar decyzji na własnych barkach.

To, co dziś nazywamy demokracją, pojawiło się dopiero wtedy, gdy brzemień decyzji nagle zaczęło się rozrastać do rozmiarów przewyższających zdolność udźwignięcia przez dawną elitę. Nadejście drugiej fali, wraz z którą zrodził się zupełnie nowy stopień złożoności w społeczeństwie, spowodowało w swoim czasie ten sam rodzaj implozji decyzji, jaki trzecia fala powoduje obecnie.

W rezultacie została przekroczona zdolność grup rządzących do podejmowania decyzji i - żeby jednak poradzić sobie z tym nadmiernym brzemieniem decyzji - trzeba było powołać nowe elity i subelity. W tym celu należało stworzyć nowe rewolucyjne instytucje polityczne.

W miarę rozwoju społeczeństwa przemysłowego i zwiększania się jego złożoności, owe elity integrujące, czyli "technicy władzy", byli z kolei wciąż zmuszani do brania sobie do

pomocy nowych sił, które miały razem z nimi dźwigać powiększający się ciężar decyzji. Był to niewidoczny, lecz nieubłagany proces, w którym coraz bardziej wciągano na arenę polityczną warstwę średnią. To właśnie rosnąca potrzeba uczestnictwa większej liczby ludzi w podejmowaniu decyzji doprowadziła do upowszechnienia prawa głosu i stworzyła we władzach więcej miejsca dla niższych warstw społecznych.

Wiele najbardziej gorzkich batalii politycznych w krajach drugiej fali dotyczyło właśnie rozdziału powstających w ten sposób dodatkowych miejsc w strukturach elit. Tego przecież dotyczyła na przykład walka Murzynów amerykańskich o integrację, brytyjskich związkowców - o równe szanse kształcenia, kobiet - o równouprawnienie polityczne.

Ale zawsze istniały granice, określające liczbę nowych ludzi, których mogły wchłonąć elity rządzące. Granice te zależały zasadniczo od wielkości brzemienia decyzji.

Mimo że społeczeństwa drugiej fali na pozór oceniały ludzi według ich zasług, to jednak całe grupy ludności odsuwano od władzy ze względu na rasę, płeć lub inne powody tego typu. Co jakiś czas, gdy społeczeństwa przechodziły nagle na nowy stopień złożoności i wzrastało brzemień decyzji, dyskryminowane grupy - wyczuwając pojawiające się szanse - mocniej domagały się równouprawnienia, powodując, że elity nieco szerzej otwierały swoje wrota; w takich okresach społeczeństwa przeżywały coś na kształt fali większej demokratyzacji.

Jeżeli obraz ten bodaj w przybliżeniu odpowiada prawdzie, to należy wnioskować, że zakres demokracji w mniejszym stopniu zależy od kultury, marksistowskiej walki klas, odwagi bojowej, haseł i przemówień, a nawet od woli politycznej, bardziej natomiast od zakresu decyzji, z jakim musi się uporać dane społeczeństwo. W efekcie będzie ono musiało rozłożyć ciężkie brzemień na wielu ludzi poprzez szersze uczestnictwo demokratyczne. Dopóki więc powiększa się brzemień decyzji, jakie dany system społeczny musi udźwignąć, dopóty demokracja nie będzie kwestią wyboru, lecz konieczności ewolucyjnej. System nie zdoła bez niej funkcjonować.

Wynika z tego również i to, że obecnie znaleźliśmy się o krok od kolejnego ogromnego skoku ku większej demokracji. Bo właśnie ta sama implozja decyzji, która obezwładnia w tej chwili naszych prezydentów, premierów i rządy, otwiera - po raz pierwszy od czasów rewolucji przemysłowej - podniecające perspektywy niespotykanego wprost rozwoju uczestnictwa wielu ludzi w życiu politycznym.

NADCHODZĄCA SUPERWALKA

Potrzeba nowych instytucji politycznych towarzyszy potrzebie stworzenia nowego modelu rodziny, oświaty i gospodarki. Splata się ściśle z poszukiwaniem nowej bazy energetycznej,

nowych technologii i nowych gałęzi przemysłu. Stanowi odbicie przewrotu w sferze komunikacji oraz konieczności przebudowy stosunków ze światem nieprzemysłowym. Potrzeba ta stanowi przeto polityczny wyraz przyspieszenia zmian zachodzących we wszystkich sferach życia społecznego.

Nie dostrzegając tych powiązań, nie sposób pojąć głębszego sensu nagłówków w gazetach. Najważniejszym bowiem konfliktem politycznym nie jest dziś bynajmniej konflikt między bogatymi i biednymi, między uprzywilejowanymi i upośledzonymi grupami etnicznymi ani nawet między kapitalistami i komunistami. Decydująca walka rozgrywa się dzisiaj między tymi, którzy starają się podeprzeć i utrzymać społeczeństwo przemysłowe, a tymi, którzy gotowi są pójść dalej. To jest właśnie superwalka o jutro.

Inne, bardziej tradycyjne konflikty między klasami, rasami i ideologiami nie ustaną. Mogą one nawet, jak wynika z wcześniejszych rozważań, nabrać większej gwałtowności, zwłaszcza jeżeli wystąpią wstrząsy gospodarcze na większą skalę. Lecz w końcu wszystkie te konflikty wchłonie superwalka i rozstrzygnie je, w miarę jak ogarniać ona będzie wszelkie działania ludzkie, od sztuki i seksu począwszy, a na interesach i wyborach skończywszy.

Widzimy więc dwie wojny polityczne, które toczą się jednocześnie wokół nas. Na jednej płaszczyźnie ścierają się między sobą, w zwykłych rozgrywkach politycznych, poszczególne grupy drugiej fali, walczące o szybkie i bezpośrednie korzyści dla siebie. Jednakże pod powierzchnią tych konfliktów tradycyjne grupy drugiej fali współpracują ze sobą, razem występując przeciwko nowym siłom politycznym.

Z analizy tej wynika, dlaczego nasze istniejące partie polityczne - równie przestarzałe pod względem struktury, jak i ideologii - podobne są do siebie jak odbicia lustrzane, tyle że o nieco zamazanych konturach. Pomimo istniejących między nimi różnic, demokraci i republikanie, torysi i labourzyści, chadecy i gaulliści, liberałowie i socjaliści, komuniści i konserwatyści - stanowią partie drugiej fali. I wszystkim im, choć między sobą usilnie zabiegają o zdobycie władzy, przede wszystkim chodzi o utrzymanie przy życiu rozpadającego się ładu industrialnego.

Inaczej mówiąc, najważniejszym zjawiskiem politycznym naszych czasów jest formowanie się pośród nas dwóch głównych obozów - jednego, który skupia zwolenników cywilizacji drugiej fali, i drugiego, obejmującego rzeczników cywilizacji trzeciej fali. Jedni pragną za wszelką cenę utrzymać kluczowe instytucje przemysłowego społeczeństwa masowego, a więc rodzinę nuklearną, system edukacji masowej, gigantyczną korporację, masowe związki zawodowe, scentralizowane państwo narodowe oraz rząd pseudopredstawicielski. Drudzy rozumieją już, że najpilniejszych problemów

współczesności - dotyczących między innymi energii, wojny, ubóstwa, zagłady ekologicznej i kryzysu rodziny - cywilizacja przemysłowa nigdy nie zdoła rozwiązać.

Linie podziału między tymi dwoma obozami nie są jeszcze zbyt ostre. Ludzie różnią się od siebie poglądami i każdy ma swoje słabe strony. Wielu problemów wciąż nie rozumiemy i nie dostrzegamy powiązań między nimi. Obydwa obozy składają się w dodatku z różnych grup, z których każda dąży przede wszystkim do zrealizowania swych własnych, wąsko pojmowanych interesów, nie mając jakiegokolwiek całościowego wizji społeczeństwa. Żadna też ze stron nie ma monopolu na cnotę. Uczciwych ludzi nie brak po jednej i po drugiej stronie. Tym niemniej różnice między tymi dwiema podskórnymi formacjami politycznymi są olbrzymie.

Obrońcy drugiej fali na ogół zwalczają ideę władzy mniejszości; wyszydzą demokrację bezpośrednią jako "populizm"; walczą z decentralizacją, regionalizmem i zróżnicowaniem; utrudniają próby odmasowienia szkolnictwa; walczą o utrzymanie zacofanego systemu energetycznego; głoszą apoteozę rodziny nuklearnej, bagatelizują niepokoje ekologiczne, podsycają tradycyjny nacjonalizm ery przemysłowej i przeciwstawiają się zmianom prowadzącym do stworzenia sprawiedliwszego ładu gospodarczego w świecie.

W odróżnieniu od nich, siły trzeciej fali popierają formę demokracji polegającą na podziale władzy między wiele mniejszości; gotowi są eksperymentować z demokracją bardziej bezpośrednią; skłonni są tworzyć nowe ośrodki władzy - zarówno na szczeblu ponadnarodowym, jak i przekazywać władzę z góry na dół. Nawołują do rozbicia gigantycznych biurokracji. Żądają mniej scentralizowanego systemu energetycznego opartego na odnawialnych źródłach. Pragną uznania dla innych form rodziny, odmiennych od rodziny nuklearnej. Walczą o mniejszą standaryzację i większą indywidualizację w szkołach. Przywiązują wielką wagę do problemów ochrony środowiska. Uznają konieczność przebudowania gospodarki światowej na fundamentach gwarantujących większą równowagę i bardziej sprawiedliwy podział dóbr.

Ponadto, podczas gdy obrońcy drugiej fali biorą udział w konwencjonalnych rozgrywkach politycznych, ludzie trzeciej fali są podejrzliwi w stosunku do wszystkich kandydatów i partii politycznych (nawet nowo powstałych) i wyczuwają, że spraw decydujących o przetrwaniu nie można załatwić przy zachowaniu obecnego systemu politycznego.

Do obozu drugiej fali należy w dalszym ciągu większość nominalnych posiadaczy władzy w naszym społeczeństwie, a więc politycy, biznesmeni, przywódcy związkowi, działacze oświatowi, ludzie kierujący masowymi środkami przekazu - mimo że niedoskonałość i mankamenty światopoglądu drugiej fali wywołują u wielu z nich głębokie zaniepokojenie. Obóz drugiej fali cieszy się również niewątpliwie bezkrytycznym poparciem szerokich rzesz

przeciętnych obywateli, mimo panującego wśród nich pesymizmu i rozczarowania.

Rzeczników trzeciej fali trudniej scharakteryzować. Są wśród nich szefowie wielkich korporacji, ale są i zwolennicy konsumeryzmu, będący zagorzałymi przeciwnikami korporacji. Jedni zamartwiają się wyniszczeniem środowiska, inni bardziej przejmują się kwestią równouprawnienia kobiet i mężczyzn albo sprawami rodziny czy rozwoju osobowości ludzkiej. Niektórzy interesują się niemal wyłącznie wykorzystaniem alternatywnych form energii; inni znów podniecają się szansami zwiększenia demokracji w wyniku rewolucji w środkach komunikacji.

Jedni wywodzą się z "prawego" skrzydła drugiej fali, inni z "lewego"; a więc w szeregach trzeciej fali są zwolennicy wolnego rynku i wszelkich swobód w ogóle, neosocjaliści, feminiści i bojownicy o prawa obywatelskie, niegdysiejsze "dzieci-kwiaty" i prości ludzie bez żadnych odchyłeń i skrzywień. Niektórzy długie lata działali w ruchu pokoju, inni nigdy w życiu nie brali udziału w żadnym marszu ani demonstracji. Są ludzie gorliwie religijni, ale są też zaciekli ateści.

Uczeni będą zapewne długo debatować nad tym, czy taka pozornie bezkształtna grupa tworzy "klasę", a jeżeli tak, to czy jest to "nowa klasa" wykształconych pracowników informacji, intelektualistów i techników. Wiele ludzi należących do trzeciej fali to z pewnością ludzie z wyższym wykształceniem, ludzie z warstw średnich. Ale również wielu na pewno bezpośrednio uczestniczy w produkcji i rozpowszechnianiu informacji lub pracuje w usługach. Nieco naginając terminologię, ktoś mógłby ich uznać za klasę społeczną. Ale to raczej zaciemnia, niż rozjaśnia obraz.

Bo przecież w skład głównych grup zabiegających o odmasowienie społeczeństwa przemysłowego wchodzi względnie niewykształcone mniejszości etniczne, których przedstawiciele nie sposób utożsamiać z pracownikami umysłowymi.

Jak określić kobiety, które chcą oderwać się od roli przypisanej im przez społeczeństwo drugiej fali? A tym bardziej, jak opisać ruch ogarniający miliony majsterkowiczów i innych osób, pracujących "dla siebie"? Gdzie zakwalifikować tylu "psychicznie uciemżonych" - ofiary epidemii samotności i rozbitych rodzin, miliony matek i ojców wychowujących dzieci w pojedynkę oraz mniejszości seksualne - wszystkich tych, którzy nie pasują zbyt dobrze do pojęcia klasy? Grupy te rekrutują się praktycznie z wszystkich szczebli społecznych i z wszystkich środowisk zawodowych, a mimo to są ważnym źródłem siły dla ruchu trzeciej fali.

Prawdę mówiąc, nawet sam termin ruch może być mylący. Częściowo dlatego, że zakłada wyższy poziom zbiorowej świadomości niż obecny, a częściowo dlatego, że ludzie trzeciej

fali sami słusznie nie ufają żadnym masowym ruchom z przeszłości.

Niemniej jednak, niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z klasą, ruchem, czy po prostu ze zmieniającą się konfiguracją pojedynczych ludzi i chwilowych grup, łączy tych ludzi nieodwołalne rozczarowanie wobec dawnych instytucji; łączy ich wspólne przekonanie, że stary system nie nadaje się już do naprawy.

Superwalka między siłami drugiej i trzeciej fali przecina zatem klasy, partie, grupy wiekowe i etniczne, wrzynając się między przedstawicieli różnych upodobań seksualnych i różnych subkultur. Reorganizuje ona i porządkuje na nowo nasze życie polityczne. Nic nie rokuje, aby przyszłe społeczeństwo było zharmonizowane, bezklasowe, wolne od konfliktów i odideologizowane. Superwalka wskazuje raczej, że w najbliższej przyszłości wystąpią jeszcze gorsze kryzysy i głębsze niepokoje społeczne. W wielu krajach będą się toczyć ostre walki nie tylko o to, kto będzie czerpać korzyści z resztek ładu przemysłowego, lecz również o to, kto weźmie udział w kształtowaniu przyszłego społeczeństwa, a potem w kierowaniu nim.

Ta zaostrzająca się superwalka wpłynie zdecydowanie na politykę jutra i na kształt nowej cywilizacji. Każdy z nas - świadomie lub bezwiednie - opowiada się w niej po którejś stronie. Rola, jaką sobie wybierzemy, może mieć niszczący lub twórczy charakter.

NASZYM PRZEZNACZENIEM - TWORZYĆ

Niektóre pokolenia rodzą się, by tworzyć, inne - by podtrzymywać zastaną cywilizację. Pokolenia, które nadały bieg drugiej fali historycznych przemian, musiały siłą rzeczy stać się twórcami. Monteskiuszowie, Millsowie i Madisonowie stworzyli większość tych form politycznych, jakie nadal uważamy za naturalne. A skoro przyszło im żyć na przełomie dwóch cywilizacji, przeznaczeniem ich było tworzyć.

Dziś w każdej sferze życia społecznego, w naszych rodzinach, szkołach, przedsiębiorstwach i kościołach, w systemach energetycznych i komunikacyjnych, stoimy przed koniecznością stworzenia nowych form trzeciej fali. W wielu krajach ten proces tworzenia już się zaczął i uczestniczą w nim miliony ludzi. W żadnej jednak dziedzinie anachroniczność nie jest bardziej zaawansowana i równie groźna niż w naszym życiu politycznym. I nigdzie indziej nie spotykamy mniej wyobraźni niż tutaj; mniej eksperymentów i dobrych chęci, które świadczyłyby o gotowości do przeprowadzenia zasadniczych zmian.

Nawet ludzie, którzy mają odwagę unowocześniać własną pracę w firmach prawniczych, w laboratoriach, we własnych kuchniach, w klasach szkolnych i w przedsiębiorstwach produkcyjnych - drętwieją ze strachu na najmniejszą wzmiankę, że nasza konstytucja lub

struktury polityczne są przestarzałe i wymagają radykalnej zmiany. Perspektywa głębokiej zmiany politycznej i niebezpieczeństwa, jakie się z nią wiążą, napawają ich takim przerażeniem, że obecny *status quo*, jakkolwiek surrealistyczny i nieznośny, nagle zaczyna być uważany za najlepszy z wszystkich możliwych światów.

Z drugiej strony, mamy w każdym społeczeństwie grupę pseudorewolucjonistów, odczuwających taki przesyt od nadmiaru przestarzałych założeń drugiej fali, że żadna proponowana zmiana nie jest dla nich dość radykalna. Są to różni archeomarksści, anarchoromantycy, pravicowi fanatycy, salonowi partyzanci, owi zacni i prawi terroryści, którym marzą się totalitarne technokracje lub średniowieczne utopie. Nie widzą oni, że świat pędzi ku nowym rubieżom dziejów, i pielęgnują sny o rewolucji, wzięte z pożółkłych kart wczorajszych kronik politycznych.

Jednakże to, co nas czeka w związku z nasilającą się super-walką, nie będzie powtórzeniem żadnego rewolucyjnego dramatu z przeszłości; żadna "awangardowa partia" nie poprowadzi mas i nie pokieruje "centralnie" obaleniem elit rządzących; nie wydarzy się też żaden spontaniczny, pozornie oczyszczający zryw masowy, który miałby zrodzić się z terroryzmu. Stworzenie nowych struktur politycznych dla cywilizacji trzeciej fali nie nastąpi w wyniku pojedynczego gwałtownego przewrotu, lecz będzie rezultatem tysiąca innowacji i sporów, które będą się rozstrzygać na wielu płaszczyznach, w wielu miejscach i w ciągu wielu dziesięcioleci.

Nie wyklucza to aktów gwałtu i przemocy na naszej drodze w jutro. Przechodzenie od cywilizacji pierwszej fali do cywilizacji drugiej fali było długim i krwawym dramatem, pełnym wojen, buntów, głodu, przymusowej tułaczki ludzi, zamachów stanu i nieszczęść. Dziś idzie o znacznie większą stawkę, czas jest krótszy, przyspieszenie większe, i jeszcze większe są niebezpieczeństwa.

Dużo zależy od elastyczności i inteligencji członków obecnych elit, subelit i superelit. Jeżeli zabraknie im dalekowzroczności, wyobraźni i odwagi, jak to zwykle bywało z grupami rządzącymi w dziejach, będą one twardo opierać się trzeciej fali, powiększając tym samym ryzyko narastania gwałtu i przemocy oraz ryzyko własnej zagłady.

Jeżeli natomiast popłyną na tej fali, jeżeli uznają potrzebę szerszej demokracji - będą mogli sami włączyć się w proces tworzenia cywilizacji trzeciej fali. Tak właśnie uczyniła większość inteligentnych elit pierwszej fali, które przewidziały zawczasu narodziny społeczeństwa przemysłowego opartego na technice i technologii i włączyły się do jego współtworzenia.

Większość z nas wie lub przeczuwa, w jakim niebezpiecznym świecie żyjemy. Wiemy, że chwiejność społeczna i niepewność polityczna mogą zrodzić okrutne siły. Wiemy, co znaczy

wojna i kataklizm gospodarczy, i pamiętamy, jak często z połączenia szlachetnych pobudek z załamaniem społecznym rodzi się w efekcie totalitaryzm. Zdaje się, że większość ludzi nie wie jednak, jakie są pozytywne różnice między teraźniejszością i przeszłością.

Konkretne warunki są różne w różnych krajach, ale nigdy w historii nie było tylu wykształconych ludzi, uzbrojonych w swej zbiorowości w tak niewiarygodne bogactwo wiedzy. Nigdy tylu ludzi na raz nie żyło na tak wysokim poziomie dobrobytu materialnego i choć w każdej chwili mogą go utracić, to tymczasem jednak daje im on czas i energię, które mogą spożytkować w działaniu na rzecz dobra publicznego. Nigdy tylu ludzi nie miało takich możliwości podróżowania i komunikacji i nigdy tylu ludzi nie mogło się nauczyć tak wiele od innych kultur. A przede wszystkim, nigdy tak wielu ludzi nie miało tyle do zyskania w zamian za postaranie się, aby konieczne zmiany, jakkolwiek głębokie, zostały przeprowadzone w sposób pokojowy.

Nawet najbardziej oświecone elity nie zdołają same stworzyć nowej cywilizacji. Do tego potrzebna jest energia całych narodów. Ale te zasoby energii istnieją i czekają na odpowiednie ukierunkowanie. Jeżeli ludzie - zwłaszcza w krajach o wysokim rozwoju technologicznym - otwarcie postawią przyszłemu pokoleniu za cel stworzenie zupełnie nowych instytucji i konstytucji, zostanie wyzwolona nie tylko energia, lecz coś znacznie potężniejszego - a mianowicie zbiorowa wyobraźnia.

Im wcześniej zaczniemy projektować przyszłe instytucje polityczne, oparte na omówionych wyżej trzech zasadach - czyli na władzy mniejszości, na demokracji na wprost bezpośredniej oraz na delegacji władzy - tym bardziej wzrosną szanse na pokojowe przeprowadzenie zmian. To właśnie próby powstrzymywania zmian, nie zaś same zmiany, zwiększają ryzyko zagrożenia. Ślepe próby obrony tego, co przestarzałe, rodzą niebezpieczeństwo rozlewu krwi.

Oznacza to, że chcąc uniknąć gwałtownego przewrotu, powinniśmy skupić teraz uwagę na anachroniczności struktur politycznych na świecie. Powinniśmy z tą kwestią zwrócić się nie tylko do ekspertów, specjalistów w sprawach konstytucyjnych, prawników i polityków, lecz do społeczeństwa w ogóle - a więc do organizacji społecznych, związków zawodowych, kościołów, organizacji kobiecych, mniejszości etnicznych i rasowych, naukowców, gospodyń domowych, przemysłowców i przedsiębiorców.

Powinniśmy zacząć od szerokiej dyskusji publicznej nad potrzebami nowego systemu politycznego, dostosowanymi do potrzeb cywilizacji trzeciej fali. W celu pobudzenia wyobraźni ludzkiej, niezbędnej do przebudowy struktur politycznych, oraz w celu wyzwolenia jak największej ilości nowych pomysłów i koncepcji, potrzebne są konferencje,

programy telewizyjne, konkursy, eksperymenty symulacyjne i próbne konwencje konstytucyjne. Przygotujmy się do wykorzystania najnowocześniejszych narzędzi i środków, jakimi dysponujemy - od satelitów i komputerów począwszy, a na magnetowidzie, płytach telewizyjnych i telewizji interaktywnej skończywszy.

Nikt nie wie dokładnie, co przyszłość ma dla nas w zanadru ani co najlepiej będzie pasować do społeczeństwa trzeciej fali. Dlatego też powinniśmy myśleć nie o jakiejś jednorazowej, masowej reorganizacji lub narzuconej z góry dramatycznej zmianie rewolucyjnej, lecz o tysiącach świadomie podejmowanych, zdecentralizowanych eksperymentów, które pozwolą nam na wypróbowanie nowych modeli i sposobów podejmowania decyzji politycznych na szczeblu lokalnym i regionalnym, zanim zostaną one zastosowane do całych państw lub na skalę ponadnarodową.

Ale jednocześnie musimy również zacząć przygotowywać masy, by zechciały podjąć podobne eksperymenty i przeprowadzić radykalne zmiany w instytucjach - zarówno na szczeblu krajowym, jak i ponadnarodowym. Obecne powszechne niezadowolenie, gniew, złość i rozgoryczenie skierowane przeciwko rządóm drugiej fali można bądź zmienić w fanatyczną wściekłość - jeżeli uwierzymy demagogóm wołającym o władzę autokratyczną - bądź też zmobilizować w dziele demokratycznej przebudowy świata.

Podejmując olbrzymi wysiłek nauki społecznej, czyli wielki eksperyment zmierzający do wykucia przyszłościowej demokracji w wielu krajach na raz - postarajmy się zapobiec naporowi totalitaryzmu. Może zdołamy przygotować miliony ludzi do zwrotów i groźnych kryzysów, jakie nas czekają. Możemy też zastosować strategiczny nacisk na istniejące systemy polityczne w celu przyspieszenia niezbędnych zmian.

Nie powinniśmy oczekiwać, że bez olbrzymiego nacisku od dołu wielu naszych współczesnych nominalnych przywódców - prezydentów, polityków, senatorów i członków komitetów centralnych - zakwestionuje te instytucje, które - bez względu na to jak bardzo są anachroniczne - zapewniają im prestiż, pieniądze oraz - bodaj złudne, jeśli nie rzeczywiste - przekonanie o własnej potędze. Znajdą się zapewne niepospolici, dalekowzroczni politycy i członkowie rządów, którzy od samego początku poprą walkę o przeobrażenia polityczne. Lecz pozostała większość ruszy się dopiero wtedy, gdy żądania z zewnątrz staną się nie do odparcia lub gdy kryzys będzie tak zaawansowany, a wybuch gwałtu tak bliski, że już nie będą mieli innego wyjścia.

Odpowiedzialność za zmianę spoczywa więc na nas samych. Musimy zacząć od siebie, ucząc się nie zamykać z góry naszych umysłów i serc na to, co nowe, nieoczekiwane i pozornie radykalne. Oznacza to walkę z tymi, którzy ukrećą głowę każdemu pomysłowi,

którzy rzucą się, by zniszczyć każdą propozycję jako niepraktyczną, a równocześnie będą bronić wszystkiego, co istnieje jako praktyczne - choćby było nie wiadomo jak absurdalne, ciemzące lub nieskuteczne. Oznacza to walkę o wolność słowa - o prawo ludzi do głoszenia swych idei, nawet takich, które uchodzą za herezje.

Przede wszystkim oznacza to przystąpienie do procesu przebudowy już teraz, zanim postępujący rozkład istniejących systemów politycznych sprawi, że zbrojne siły tyranii wymaszerują w podkutych butach na ulice, i zanim rozkład ten uniemożliwi pokojowe przejście do demokracji XXI wieku.

Jeżeli zaczniemy od razu, my i nasze dzieci będziemy mogli uczestniczyć w podniecającej przebudowie nie tylko przestarzałych struktur politycznych, lecz samej cywilizacji.

Mamy to samo przeznaczenie, co dawni, nieżyjący już rewolucjoniści. Przeznaczeniem tym jest - tworzyć.